

KATE ELLIOTT

KRÓLEWSKI SMOK

(KING'S DRAGON)

Tłumaczyła Joanna Wołyńska

Wydanie oryginalne 1997

Wydanie polskie 2000

TMN

*Tę książkę z miłością dedykuję mojej siostrze,
Ann Marie Rasmussen*

Od Autorki

Proszę, by podziękowania zechciały przyjąć następujące osoby:

Katharine Kerr za podsuniecie mi pomysłu na tytuł, kiedy wszystko zawiodło,

mój mąż, Jay Silverstein, za nieustanne wspieranie mnie, chociaż sam zaangażowany był w wielkie przedsięwzięcie,

wielebna Jeanne Reames Zimmerman OSL, za wielką pomoc na polu klasyki i lingwistyki,

moja siostra, dr Ann Marie Rasmussen, której wiedza na temat średniowiecza okazała się bezcenna,

dr John W. Bernhardt, którego wykład na temat podróżującego dworu królewskiego w Niemczech za czasów Ottonów zainspirował scenerię.

Widukind z Corvey, mnich i historyk, którego *Historia Sasów* – dostępna mi w angielskim tłumaczeniu Raymunda F. Wooda z 1949 roku – przemówiła do mnie poprzez tysiąclecia.

Ponieważ to jest fantastyka, wiele szczegółów – małych i dużych – zapożyczonych z naszego średniowiecza zostało zmienionych, ale za wszystkie błędy sama ponoszę winę.

Prolog

Na wzgórzu otoczonym z trzech stron lasem, a z czwartej ruinami fortu, stał kamienny krąg. Był jak piękna, sztywna korona, jak kości zamku zagrzebanego tak głęboko, że tylko blanki najwyższej wieży wystawały z ziemi. Mówiono, że pod kręgiem znajdują się komnaty pełne skarbów, zjaw, stworów o nieludzkich kształtach. Mówiono, że z tych komnat, jak rzeki z podziemnego jeziora wybiegają korytarze wiodące ze wzgórza hen, daleko, aż do zimnego morza na północy, do wysokich gór na południu.

Trzeciego dnia miesiąca Avril, gdy popołudnie przeszło w zmierzch, a na ciemniejącym niebie zaśnił księżyc w pełni, samotna postać szła poprzez ruiny starej fortecy. Nosila nogawice, prostą lnianą tunikę i sandały wiązane pod kolanami, ludzkie odzienie, do którego w obcym kraju przywykła, ale nie czuła się w nim wygodnie. Do pasa miała przytroczoną sakiewkę, w dłoni trzymała kij; poruszała się w kamiennym labiryncie, jakby go znała na pamięć.

Ruiny stały na łagodnym wzniesieniu, ciągnącym się od brzegów wąskiej rzeki do miejsca, w którym ostatnia ściana, nie wyższa od rocznego dziecka, leżała wśród trawy i błota. Za nią rósł las. Na drugim brzegu rzeki, za zwalonymi pniami i polami wypalonymi pod wiosenne uprawy, płonął samotny ogień, wskazując jedyną w zasięgu wzroku wieś.

Postać zatrzymała się, nim przekroczyła ostatnią ścianę. Odrzuciła kaptur. Jej włosy były tak jasne, że zdawały się świecić własnym blaskiem. Sięgnęła do sakiewki i wydobyła strzęp materiału poznaczony czerwieni. Krzywiąc się z obrzydzenia, rozwarła palce, jakby odrzucając materię, mogła zerwać wszystkie więzy, nim wkroczy pomiędzy majestatyczne kamienie.

Zamarła, przekrzywiając głowę, nasłuchując. Zakłęła. Zawahała się i ta chwila starczyła, aby dostrzegł ją pierwszy z jeźdźców.

Jej włosy lśniły nawet w ciemnościach, a jego oczy były roziskrzone: wszak jej szukał.

– Alia! – krzyknął. – Ukochana! – Bez zastanowienia pognał konia naprzód, pomiędzy kamienie. Za nim pojawili się inni; stanął, odwodząc wierzchowca w bok, aby piesi z pochodniami mogli podejść i poprowadzić go. Trzymał wodze w jednej ręce, drugą przyciskał do piersi zawiniątko.

Odwróciła wzrok od tego zawiniątka. Przysięga złożona, wedle ludzkiego czasu, lata temu, zdawała się teraz wstrętna i nieroztropna. Wtedy stała przed zgromadzonymi wyprostowana i mówiła odważnie, ale nie miała świadomości, co ją czekało wśród ludzi.

Jej wzrok przykuł sztandar. Do młodego księcia zbliżył się pokryty bliznami mężczyzna w czarno-złotym płaszczu; siedział w siodle pewnie i butnie, a w ręku trzymał drzewce sztandaru, symbolu elitarnej straży broniącej króla i królestwa, przedstawiającego zwiniętego czarnego smoka na złocistym tle. Nad jego głową widniało siedem błyszczących gwiazd. Patrzyła na konstelację, przypominając sobie, co oznaczała: Gwiazdzistą Koronę noszoną przez władcę starego Imperium, na wpół zapomnianego już w ludzkim świecie, ale mającego powrócić. Dla niego się poświęciła.

Księżę wykorzystał jej wahanie i zbliżył się. Języki światła tańczyły na ruinach, a gorąco buchające od pochodni otoczyło ją niby ogniste więzienie.

– Dlaczego mnie śledziłeś? – spytała. – Wiedziałeś, że zamierzałam odejść.

– Jak możesz odejść? – zachnął się jak dziecko, które nie chce zostać samo. Był taki młody, miał ledwie osiemnaście lat wedle kalendarzy tego świata. Z wysiłkiem przybrał pyszną wzgardliwą minę i spróbował inaczej: – Na pewno zostaniesz, dopóki dziecko nie skończy dwóch lat, żeby dowiedzieć się, czy przeżyje.

– Żadna znana ci zaraza go nie tknie, żadna rana zadana przez samca czy samicę go nie zabije – rzekła bez namysłu.

Wśród zgromadzonych żołnierzy poniosł się szept jak podmuch wiatru, stojący bliżej przekazywali innym słowa jej przepowiedni. Stary wojak pchnął swego wierzchowca ku księciu; smoczy sztandar załopotał i otarł się o ramię młodzieńca.

Zawiniątko zadrżało. Dziecko obudziło się i odrzuciło przykrycie. Ujrzała gąszcz czarnych włosów, małą twarzyczkę i wielkie oczy niby zielony jadeit; dziecko miało jej skórę, brązową jak miedź, w niczym nie przypominającą bladych lic księcia. Rączka zacisnęła się na rogu chorągwi i pociągnęła silnie. Przyboczni zakrzyknęli, widząc ten znak: bękart zrodzony z nieludzkiej kobiety już znał swe przeznaczenie, choć nie miał nawet dwóch miesięcy.

Księżę odwrócił twarz. Wręczył dziecko – jakże ostrożnie – staremu, który oddał chorągiew towarzyszowi. Potem zsiadł, gestem odprawił ludzi i spojrzął na Alię.

– Czy dziecko nic cię nie obchodzi?

Nie patrzyła na żołnierza, który odprowadzał konia w miejsce, gdzie nie było ostrych kamieni mogących poranić zwierzęciu pęciny.

– Ono już nie jest moje.

– Jak możesz tak mówić? To najpiękniejsze dziecko, jakie w życiu widziałem!

– Tylko dlatego, że jest twoje!

– Twoje też!

– Moje nie! Nosiałam je w sobie, urodziłam, wylałam tyle krwi, że mogłaby pokryć pola

mijanej wioski! Nigdy moje nie miało być. Zostaw mnie, Henri – nie nauczyła się wschodniego akcentu i nadal wymawiała jego imię jak Salianka. – Nigdy nie obiecałam ci niczego poza dzieckiem. Pozwól mi odejść w pokoju.

Młodzieniec długo nie mówił ani słowa. Miał jednak wyrazistą twarz i dopiero uczył się nad nią panować. Zastanawiała się, patrząc na niego, co chciał powiedzieć i co powie; gdy poznała go rok temu, gadał, co mu ślina na język przyniosła. Teraz, przez prawo spłodzenia potomka uczyniony następcą tronu, uczył się najpierw myśleć, a potem mówić.

– Nie chcę, byś odchodziła – rzekł w końcu. – Na twoje imię zaklinam cię, Alio, zostań ze mną.

– Alia to nie moje imię, Henri. To ty mnie tak nazwałeś.

– Nie wydobrzałaś jeszcze. Byłaś taka chora po porodzie.

– Już wyzdrowiałam.

– Dlaczego więc do mnie przyszedłeś? Czy ty mnie wcale nie kochasz? – Głos mu się załamał, gdy wypowiadał ostatnie słowa, ale powstrzymał się, a twarz stężała mu na kształt kamiennej maski.

„Tę maskę,” pomyślała, „będzie przybierał najczęściej, gdy zostanie królem”.

Zastanawiała się, co mu powiedzieć, bo nie odstręczał jej; był młody, ciągle trochę niezadarny, ale też silny, ambitny, mądry i na ludzki sposób przystojny, dumny i elegancki.

Ale ani ona nie mogła prawdy powiedzieć, ani on jej poznać. Księżę, choć stanie się królem, będzie tylko pionkiem w rękach potęgi większej niż przynależna jemu, władcy dwóch królestw. Oboje byli tylko pionkami i dlatego nieco mu współczuła.

Pochyliła się i pocałowała go w usta.

– Nie jestem obojętna na ludzki urok – skłamała. – Ale mam inne obowiązki. – Tym razem powiedziała prawdę.

Nie mogła już dłużej słuchać jego słów. Nie mogła zostać dłużej w tym świecie; przygniatał ją swym ciężarem, ukradł tyle cennej krwi. Zmięła strzęp zakrwawionej materii, oddarty z prześcieradeł, na których rodziła; ten strzęp – i symbolizowany przez niego związek z dzieckiem – był ostatnią rzeczą, jaka ją tu trzymała. Puściła go.

Księżę uklęknął, by podnieść materiał, a ona przekroczyła zwałoną ścianę. Wyprostował się, wołając za nią, ale nie ruszył się z miejsca. Ona już nie zwracała uwagi na jego głos, bo wyrosły przed nią kamienie i nareszcie usłyszała ich cichutki śpiew.

Obróciła ku nim wewnętrzny wzrok i dotknęła kamienia wiatru, kamienia światła, kamienia krwi, wody, ognia i innych, zgodnie z ich właściwościami. Tu, w świecie ludzi, aby dotknąć serca jakiegoś przedmiotu, odnaleźć i manipulować jego esencją, musiała najpierw podążać krętymi ścieżkami wokół zapór i ścian postawionych przez ludzkich magów, którzy woleli siłą panować nad tym, czego nie potrafili pojąć. Jednak tu, wśród głązów, zapory zniknęły. Podniosła dłoń. Mgła wstaje z połączenia wody i powietrza i teraz podniosła się wokół, gdy tego zażądała, ukrywając ją przed światem.

Nad nią, nie zatarte przez mgłę, świeciły gwiazdy. Odczytała ich ustawienie i wezwała śpiewającą w nich moc, włączyła ją do rzędu kamieni, aby chór poniosł pieśń ku niebiosom. Wezwała serce swej krainy i na ołtarzu z ognia i krwi otwarły się wrota.

Nie były ani drzwiami, ani złudzeniem, wyglądały jak złączone pnie drzew, wygięte w łuk, porośnięte kwitnącą winoroślą. Poczła zapach śniegu i ukąszenie zimnego wiatru. Bez wahania przekroczyła bramę i porzuciła ludzki świat.

* * *

Książę Henryk, następca tronu królestw Wendaru i Varre, patrzył, jak Alia odchodziła od niego ku kręgowi. Zmienił w kamień swą twarz, swe serce, całe ciało, a gdy mgła się podniosła i ukryła Alię przed jego wzrokiem, po prostu zacisnął dłoń na szmatce, która zawierała wszystko, co pozostało: jej krew.

Obok stało trzech jego ludzi, wznosząc pochodnie, aby odpędzić mgłę, która się zniemacka podniosła, nocny opar otaczający kamienie. W kręgu zabłysło światło, usta księcia ukąsił zimny wiatr. Doskonały kryształowy płatek śniegu przywiany wiatrem opadł na jego but i roztopił się. Mgła ciągle wisiała nad kręgiem.

– Panie, czy mamy iść jej poszukać? – zapytał jeden z ludzi.

– Nie. Odeszła.

Zatknął szmatkę za pas i zawołał o swego konia. Dosiadł go, wziął dziecko na ręce i wraz ze swiłą zaczął powoli zjeżdżać ze wzgórza. Dziecko nie płakało, ale miało otwarte oczy i patrzyło na niebo, na ojca albo na smoczy sztandar. Któż to wiedział?

Wiatr zawiął między kamieniami i mgła spłynęła na ruiny, spowiła je gęstym tumanem, zakryła księżyc. Mężczyźni ostrożnie wybierali drogę, piesi chwyтали końskie uzdy, wołając do siebie, wyznaczając odległość.

– Lepiej ci będzie bez takiej kobiety – rzekł nagle stary żołnierz do księcia, tonem sugerującym, że miał prawo udzielania rad. – Kościół nigdy by jej nie zaakceptował. Miała taką władzę nad siłami natury, z którą lepiej nie zadzierać. – Smoczy sztandar zwisał, przemoczony przez mgłę, jakby nadnaturalny opar chciał obalić chorągiew.

Książę nie odpowiedział. Wpatrywał się w otaczające go pochodnie, strażnicze ognie rozniecone przeciw mrokom.

* * *

Krąg siedmiu świec, ognie rozniecone przeciw mrokom.

Strażnicy wpatrywali się we mgłę, która podniosła się z wielkiego obsydianu ustawionego pośrodku kręgu. Ciemność skrywała ich twarze.

We mgle widzieli małe figurki, młodego szlachcica niosącego dziecko, otoczonego wiernymi sługami. Figurki powoli przeszły przez fortecę, widzianą jednocześnie jako ruiny i duch niegdysiejszej strażnicy. Postacie przechodziły przez ściany jak przez powietrze. Tym

też były: wspomnieniem ukrytym w pamięci kilku strażników, którzy stworzyli zjawy murów, odbudowali przeszłość.

– Musimy zabić dziecko – powiedział jeden z nich, gdy mgła opadła, wsiąkając w czarny kamień. Obraz księcia i jego świty znikł.

– Jest zbyt dobrze chronione – odparł drugi.

– Musimy spróbować, bo zamierzają zniszczyć świat.

Pierwszy strażnik przesunął się, a inni, szepczący między sobą, zamilkli.

– Niemądrze jest tylko niszczyć – rzekła ta, która zasiadała na pierwszym miejscu. Jej głos był niezwykle głęboki. – Na tej drodze ruina tylko. Na tej drodze ciemność.

– Cóż więc? – zapytał pierwszy, niecierpliwie wzruszając ramionami. Światło załśniło na jego białych włosach.

– Tak jak Wróg sprawia, że wierny zstępuje z Drogi Światła i zmierza ku Otchłani, tak i niewierzący mogą zostać nawróceni i ujrzeć obietnicę Komnaty Światła. Naszą własną siłę musimy przeciwstawić tej włożonej w ręce nieświadomego dziecka.

– Jest pewna różnica – odezwał się drugi mówca. – My wiemy o istnieniu naszych wrogów, oni o naszym nie.

– Przynajmniej taką mamy nadzieję – powiedział pierwszy. Siedział sztywno, jak ktoś nienawykły do długiego bezruchu.

– Musimy zaufać Panu i Pani – odparła kobieta, a reszta jej przytaknęła.

Jedynymi źródłami światła były płomienie świec, rzucające jasne ostre błyski na obsydianowy ołtarz, gwiazdy na niebie i okrągły księżyc. Otaczały ich bloki olbrzymiej szarości, zgromadzenie gigantów.

Za nimi wiatr hulał wśród ścian, niewidzialnych lecz wyczuwalnych, pozostałościach po wielkim imperium, dawno temu pochłoniętym przez ogień, stal, krew i magię. Ruiny kończyły się nad brzegiem morza jak ucięte nożem. Piana syczała i wylewała się na plażę; piasek niesiony wiatrem wpadał w krąg, osiadając na językach i w zagłębieniach ubrań.

Jedna ze strażniczek zadygotała i gwałtownym ruchem naciągnęła kaptur na włosy.

– To szaleństwo – stwierdziła. – I tu, i we własnym kraju są silniejsi od nas.

– Musimy więc sięgnąć po moce jeszcze potężniejsze – rzekła ta, która zasiadała na pierwszym miejscu.

Zapadła pełna oczekiwania cisza.

– Poświęcę się – ciągnęła. – Tylko ja. Oni chcą zniszczyć świat, podczas gdy my pragniemy przybliżyć go do Komnaty Światła, ku której dążą wszystkie dusze. Jeśli wydają na ten świat jeden element, my musimy wydać drugi. Sami ich nie pokonamy.

Skłaniali głowy, przystając na jej decyzję, aż tylko jeden pozostał wyprostowany. Położył dłoń na ramieniu kobiety i rzekł:

– Nie będziesz sama.

Zaległa cisza. Wielkie ruiny stały wokół, odbijając echem ich milczenie; szkielet miasta,

którego nie nawiedzały ani duchy murów, ani wspomnienia przeszłej świetności. Piasek sypał się po ulicach, spływał po kamieniach, ziarenko po ziarenku, ścierając freski zdobiące długie ściany. Ale tam, gdzie ruiny ginęły w morzu jak ucięte nożem, kształty dawnego miasta mieszały się z falami, wspomnienie tego, co całkowicie zniknęło.

W górze gwiazdy podążały po odwiecznych kręgach.

Światło świec odbijało się w błyszczącej powierzchni obsydianowego ołtarza. W jego głębi nadal tkwił obraz kamiennego kręgu daleko na północy, aż blask ostatnich pochodni niesionych przez orszak księcia rozplynął się w nicości i zniknął.

CZEŚĆ PIERWSZA

SIEROTA

Rozdział pierwszy

Sztorm

1.

Kiedy zima zmieniła się w wiosnę, a wioskowa diakonisa odśpiewała mszę za świętą Teklę obserwującą ekstazę błogosławionego Daisana, nadszedł czas, aby przygotować łodzie na sezon połowów i wypraw do innych portów.

Na jesieni Alain nasmołował ojcowską barkę; teraz sprawdzał poszycie, wypełnawszy pod łódź, która zimowała na plaży, ułożoną na belach. Stara krypa przetrzymała mrozy, ale jedna klepka się oblużowała. Przytwierdził ją wierzbowym gwoździem, przedtem wypychając dziurę nasmołowaną wełną; potem zabezpieczył gwóźdź filcem. Poza tym łódź była nietknięta. Po Wielkim Tygodniu ojciec załaduje ją beczułkami oliwy i kamieniami do żaren, wydobywanymi w pobliskich kamieniołomach i obrabianych w miejscowych warsztatach.

Alain nie popłynie z nim, chociaż błagał, aby dano mu szansę choć ten jeden raz.

Odwrócił się, słysząc śmiech dobiegający z nabrzeża, kończącego drogę do wioski. Wytarł dłonie w szmatę i poczekał, aż ojciec skończy rozmawiać z innymi oszańskimi kupcami, którzy też przyszli zrobić przegląd swych łodzi i przygotować je do wypłynięcia po Wielkim Tygodniu.

– Chodź, synu – rzekł Henri, gdy sprawdził łódź. – Twoja ciotka przygotowała porządną wieczerzę, a o północy pomodlimy się o dobrą pogodę.

W ciszy ruszyli ku Osnie. Henri był szerokim w barach, niewysokim mężczyzną o włosach poznaczonych srebrem. Większość roku spędzał na morzu, zawijając do portów na całym wybrzeżu, a zimą siadywał cicho w warsztacie swej siostry Bel, strugając krzesła, stoły i ławy. Mówił mało, a kiedy się odzywał, jego głos brzmiał miękko, w przeciwieństwie do głosu siostry, która, jak żartowali ludzie, nawet wilka potrafiłaby zaszczekać na śmierć.

Alain miał ciemniejsze włosy i był wyższy, a jego długie kończyny wskazywały, że jeszcze urośnie; było to pewne jak wiosenne burze. Jak zwykle nie za bardzo wiedział, co rzecz

ojcu, ale dziś, idąc z nim po piasku, spróbował raz jeszcze zmienić jego decyzję.

– Julien popłynął z tobą, kiedy skończył szesnaście lat, zanim jeszcze odsłużył swój rok u hrabiego! Dlaczego ja nie mogę płynąć w tym roku?

– Bo nie. Przynależę do diakoniatu zamku Lavas, kiedyś był noworodkiem, że oddam cię kościołowi. Tylko dlatego pozwoliła mi cię wychować.

– Jeśli muszę złożyć śluby i resztę moich dni spędzić w klasztornych murach, dlaczego nie mogę popłynąć z tobą na jeden sezon i zobaczyć trochę świata? Nie chcę być taki jak brat Gilles...

– Brat Gilles to dobry człowiek – rzekł ostro Henri.

– Tak, oczywiście, ale nosa nie wystawił poza ziemie klasztorne, odkąd jako siedmiolatek wstąpił do zakonu! To niesprawiedliwe skazywać mnie na podobny los. Jeden sezon z tobą dałby mi przynajmniej wspomnienia.

– Brat Gilles i inni zakonnicy są zadowoleni.

– Nie jestem bratem Gillesem!

– Już o tym rozmawialiśmy, Alainie. Jesteś w odpowiednim wieku i przyrzeczony kościołowi. Wszystko odbędzie się tak, jak postanowili Pan i Pani. Nie naszą jest sprawą kwestionować ich wyroki.

Henri zacisnął usta i Alain wiedział, że ojciec nie będzie z nim dłużej dyskutował. Wściekły pognął naprzód, długimi krokami oddalając się od ojca, choć było to niegrzeczne. Tylko jeden sezon! Jeden sezon, żeby zobaczyć kawałek świata, odległe porty i nieznaną wybrzeża, porozmawiać z ludźmi z innych miast, innych krajów, ujrzeć choć fragment obcych krain, o których mówiła diakonisa, odczytując żywoty świętych i fratrów – wędrownych księży – którzy nieśli Święte Słowo Jedności barbarzyńcom. Dlaczego była to zbyt wielka prośba? Przeszedł przez ogrodzenie i dotarł do domu ciotki Bel w wyjątkowo złym humorze.

Ciotka Bel stała w ogródku, przyglądając się świeżo posadzonej pietruszce i chrzanowi. Wyprostowała się, zmierzyła go wzrokiem i potrząsnęła głową:

– Trzeba przynieść wody przed wieczną – rzekła.

– Dzisiaj kolej Juliana.

– Julien naprawia żagiel, a ty mi się nie odszczekuj, dziecko. Rób, co ci każą. Nie kłóć się z ojcem, Alainie. Wiesz, że jest najbardziej upartym człowiekiem w wiosce.

– On nie jest moim ojcem! – wrzasnął Alain.

Oberwał za to w twarz, a ciotka włożyła w uderzenie całą siłę trzydziestu lat zagniatania ciasta i rąbania drewna. Na policzku Alaina wykwitła czerwona pręga. Zamilkł.

– Nigdy więcej tak nie mów o człowieku, który cię wychował. Jazda po wodę.

Poszedł, bo nikt nie miał odwagi kłócić się z Bel, starszą siostrą kupca Henriego, matką ośmiorga dzieci, z których pięcioro przeżyło.

W milczeniu zjadł wieczną i w milczeniu udał się do kościoła. Księżyc stał w pełni, a

jego blade światło sączyło się przez nowe szklane okno, kupione dla świątyni przez kupców i rolników. Światło księżycy i świec wystarczało, aby dojrzeć pobielone wapnem drewniane ściany, na których namalowano wielkie freski przedstawiające życie błogosławionego Daisana oraz czyny dzielnych świętych i męczenników.

Diakonisa uniosła dłoń w geście błogosławieństwa i zaczęła śpiewać liturgię:

– Błogosławiony jest Kraj Matki i Ojca Życia i Święte Słowo objawione w Kręgu Jedności, teraz i zawsze, i na wieki wieków.

– Amen – mruknął Alain wraz z resztą zgromadzonych.

– Módlmy się w pokoju do Pana i Pani.

– *Kyrie eleison* – Panie bądź litościw. – Złożył dłonie i starał się skupić na diakonisie krążącej po kościele, zatrzymującej się przy stacjach oznaczających życie i służbę błogosławionego Daisana, który niósł wiernym Święte Słowo zesłane z łaski Pana i Pani. – *Kyria eleison* – Pani bądź litościwa.

Surowe malowidła na ścianach lśniły w świetle pochodni. Tam błogosławiony Daisan przy ognisku, gdzie po raz pierwszy zesłano mu wizję Kręgu Jedności. A tam błogosławiony Daisan i jego uczniowie odmawiający oddawania na klęczkach czci dariyańskiej cesarzowej Thaisanii. Siedem cudów, każdy oddany z najdrobniejszym szczegółem. A na końcu śmierć błogosławionego Daisana przy Palenisku, skąd jego duch został uniesiony przez siedem sfer do Komnaty Światła, podczas gdy jego wielka uczennica święta Tekla zawodziła w dole, a jej łzy wypełniały uświęcony kielich.

Ale o północy w mrocznym kościele oczy Alaina widziały inne kształty podobne cieniom, ukryte pod jasnymi freskami, lśniące złotem na konturach oczu niby klejnoty, swą obecnością rozpalające jego duszę.

Zdobycie starożytnego miasta Dariya przez dzikich jeźdźców, jego ostatni obrońcy odziani w błyszczące brązowe zbroje, z uniesionymi tarczami i oszczepami, gdy walczyli bez nadziei, ale jak ludzie honorowi, którzy nie ugną się przed wrogiem bez honoru.

Nie obrazy kościelne, ale sceny ze wspaniałego życia dawnych wojowników prześladowały go.

Fatalna bitwa pod Auxelles, gdzie siostrzeniec Taillefera i jego ludzie stracili życie, ale ocalili młode imperium przed inwazją barbarzyńców.

– Za zdrowie, za obfitość darów ziemi, za pokój, módlmy się.

Wielkie zwycięstwo Henryka, pierwszego króla Wendaru, nad Qumanami u brzegów rzeki Eldar, gdzie jego wnuk z nieprawego łoża, Konrad Smok, powiodł swój oddział kawalerii prosto w środek straszliwej hordy qumańskich jeźdźców, przełamał front i zmusił ich do ucieczki, ścigając jak zwierzęta.

– Błogosławieni płaczący, albowiem zostaną pocieszeni. Błogosławieni miłosierni, bo odplaci im się miłosierdziem. Błogosławieni czystego serca, albowiem na ich językach zagości Święte Słowo.

Ostatni rajd króla Ludwika z Varre, piętnastolatka, który nie zląkł się łupieżczych statków zbliżających się ku północnym wybrzeżom, zabitego w bitwie pod Nysą. Nikt nie wie, czyja dłoń zadała śmiertelny cios. Czy byli to dowódcy piratów, czy zdrajcy służący nowemu królowi Wendaru, który wiedział, że wraz ze śmiercią Ludwika jemu przypadnie korona Varre?”

Zamiast głosu diakonisy czytającej przypowieść Alain słyszał brzęk uprząży, szcęk mieczy, łopot chorągwi na wietrze, słodką siłę głosów zgromadzonych rycerzy śpiewających *Kyrie Eleison*, gdy jechali do boju.

– Boś Ty naszym uświęceniem i Twoją chwałą głosimy, Ojcze, Matko, Święte Słowo w niebiosach, teraz i zawsze, i na wieki wieków.

– Amen – powiedział odruchowo, gdy zgromadzeni podnieśli głosy. – Rozejdźmy się w pokoju w imię Naszych Pana i Pani. Zmiłujcie się nad nami.

– Zmiłujcie się nad nami – zawtórował jego ojciec głosem miękkim jak szelest liści muskających dach.

Ujął Alaina pod ramię, gdy w świetle pochodni ruszyli do domu.

– Tak musi być – powiedział, a Alain wyczuł, że to były ostatnie słowa Henriego w tej sprawie. Dawno już dokonano wyboru: jeden dla morza, jeden dla kościoła.

– Jaka była moja matka? – zapytał nagle Alain.

– Była piękna – rzekł Henri. Chłopak usłyszał żal w głosie ojca. Nie odważył się pytać o więcej, aby nie jątrzyć rany.

Weszli do domu i wypili ostatni kubek grzanego przyprawionego wina. O świcie Alain poszedł na nabrzeże i patrzył, jak przygotowywali się do odpłynięcia, spychając łódź po belach na plażę i dalej, na wodę. Załadowali ją towarem. Kuzyn Julien aż pobladł z podniecenia; przedtem był tylko w pobliskim Varre. Nigdy nie popłynął na południe na cały sezon.

– Nie przynieś wstydu rodowi – powiedział Henri do Alaina. Pocałował ciotkę Bel i ostatni wskoczył do łodzi. Wioślarze podjęli rytm, a Julien zajął się kwadratowym żaglem.

Alain stał na brzegu długo po tym, jak inni powrócili do domów, dopóki mógł wypatrzyć na szaro-niebieskich wodach ślad żagla. W końcu odwrócił się od morza, bo wiedział, że u ciotki czeka go praca. Z ciężkim sercem ruszył do wioski.

2.

Daleko, tam gdzie woda spotykała się z niebem, wyrastały z morza wyspy otaczające zatokę Osna i znaczyły horyzont jak piegi. Alain stał, przysłaniając oczy dłonią, i wpatrywał się w nie, a woda lśniła jak metal. Była gładka i spokojna, a z wysokości Smoczego Grzbietu nie było widać fal. Nie czuł tutaj wiatru. Za wyspami ujrzał welon niskich chmur, zbliżających się do brzegu. Zbierało się na deszcz.

Na moment, niby zajęczek, na morzu pojawił się biały żagiel, który szybko znikł wśród chmur i stalowoszarej wody. Może był to ojciec Alaina płynący ku wspom.

Chłopak westchnął i odwrócił się od morza. Szarpnął za linkę, odciągając osła od kępy trawy. Ten ruszył; niechętnie, ale ruszył. Poszli dalej, kopiąc piach ścieżki ciągnącej się wzdłuż grzbietu, łączącej wioskę z klasztorem. W dole szumiały fale.

Ścieżka schodziła łagodnie ku Smoczemu Ogonowi, gdzie stał klasztor. Wkrótce Alain dostrzegł budynki otaczające kościół z pojedynczą wieżą. Stracił je z oczu, kiedy ścieżka skręciła między głązy po lądowej stronie grzbietu, a potem wniknęła do cichego lasu.

Wyszedł z lasu na pola i wkrótce przekroczył otwarte bramy klasztoru, który niedługo, na świętego Euzebiusza, miał się stać jego domem na resztę życia. Oj, Panie i Pani! Na pewno wina go napiętnowała: chłopak, który kochał Ojca i Matkę Życia, ale w głębi serca buntował się przeciw wstąpieniu w Ich służbę. Przemykając się wśród budynków ku skryptorium, zawstydzony patrzył na swe stopy.

Brat Gilles czekał na niego, cierpliwy jak zawsze, wsparty na lasce.

– Przyniosłeś świece z wioski – rzekł stary mnich z aprobatą. – O, widzę też dzban oleju.

Alain ostrożnie wyładował kosze wiszące na parcianej uprzęży po bokach osiołka. Położył świece, zawinięte w grube płótno, na podłodze skryptorium. Brat Gilles otworzył drzwi. Kilka małych okienek też było otwartych, a okiennice przywiązano do ściany, ale nawet na centralnych pulpitych mnisi mieli niewiele światła do pracy przy kopiowaniu mszałów i lekcjonarzy.

– Zeszłotygodniowy połów był lichy – powiedział Alain, podnosząc dzban z olejem. – Ciotka Bel obiecała przysłać jeszcze dwa dzbany po środzie.

– Naprawdę jest hojna. Pan i Pani wynagrodzą ją za służbę. Możesz wnieść olej do zakrystii.

– Tak, bracie.

– Pójdę z tobą.

Wyszli na zewnątrz, okrążyli kościół, idąc przy murze nowicjatu, w którym Alain niedługo będzie spędzał dnie i noce.

– Coś cię gryzie, dziecko – powiedział łagodnie brat Gilles, kuśtykając u boku Alaina.

Ten zaczerwienił się, bojąc się wyjawić prawdę, splugawić przymierze zawarte już między klasztorem a jego ojcem i ciotką.

Brat Gilles zamruczał.

– Przeznaczony jesteś kościołowi, dziecko, czy tego chcesz, czy nie. Przypuszczam, że nasłuchałeś się zbyt wielu historii o wspaniałych czynach wojowników cesarza Taillefera?

Alain zaczerwienił się jeszcze bardziej, ale nie odpowiedział. Nie mógł znieść myśli o okłamaniu brata Gillesa, który zawsze traktował go jak krewniaka. Czy żądał zbyt wiele, chcąc choć raz pojechać do Medemelachy albo do portów na południu, może nawet do królestwa Salii? Zobaczyć na własne oczy te dziwne i wspaniałe rzeczy, o których opowiadali

kupcy, którzy co lato wypływali z zatoki Osna? Takie historie opowiadali wszyscy za wyjątkiem jego ojca, który był gadatliwy mniej więcej w tym samym stopniu co skała.

Mógł przejść obok saliańskich żołnierzy, niosących królewski sztandar. Mógł patrzeć na hesyjskich handlarzy, ludzi z kraju tak odległego, że nikt z Osny nigdy go nie odwiedził, ludzi o niezwykle ciemnych włosach i skórze, którzy nosili okrągłe czapeczki nawet w pomieszczeniach i którzy ponoć modlili się do boga innego niż Pan i Pani Jedności. Mógł rozmawiać z handlarzami z wysp Alba, gdzie, jak powiadano, Zaginieni ciągle przemierzali głębokie lasy, ukryci przed ludzkim okiem. Mógł nawet słuchać o przygodach fratrów, którzy gotowi byli wyprawić się do barbarzyńskich krain, aby nieść słowo błogosławionego Daisana i Kościół Jedności ludziom, którzy żyli poza Światłem Świętego Kręgu Jedności.

Raz do roku latem w Medelemasze odbywał się wielki targ, na którym można było kupić i sprzedać wszystkie znane ludziom rzeczy. Niewolników z południowych krain, gdzie słońce, gorące jak piec kowalski (tak mówili kupcy) spaliło im skórę na czarno, i innych, z krajów leżących wśród lodów, o skórze tak bladej, że aż przezroczystej. Małe bazyliuszki przykute w osłoniętych całunami klatkach. Goblinki z gór Harenz, przyuczone do chwytania szczurów. Bele jedwabiu z Aretuzy. Emaliowane klamry w kształcie wilczych głów, złote, zielone i niebieskie, do ozdoby pasów i spinania szat szlachciców. Kunsztownie kute miecze. Dzbany z białej gliny malowane w kółka i ptaszki. Bursztyn. Anielskie łyżki jak szklane paciorki. Kawałki smoczego ognia zapieczone w obsydianie.

– Wróć do mnie, Alainie.

Podskoczył, uświadamiając sobie, że stoi jak niemądry dziesięć kroków od drzwi do westybulu i zakrystii, gdzie trzymano święte naczynia i szaty.

Brat Gilles uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu.

– Musisz zaakceptować to, co wybrali dla ciebie Pan i Pani, moje dziecko. Bo Oni wybrali. Tobie pozostaje zrozumieć, o co cię proszą, i podporządkować się.

Alain zwiesił głowę.

– Tak zrobię, bracie.

Wniósł do wnętrza dzban oleju i wręczył go jednemu z niemych asystentów zakrystianina. Wychodząc w światło popołudnia zasnuwane nadciągającymi chmurami, usłyszał radosny gwar jeźdźców nieskrępowanych ślubami milczenia złożonymi przez większość mnichów.

Wychodząc przed kościół, dostrzegł ojca Richandera, brata Gillesa i podkomorzego rozmawiających z grupą gości. Obcy byli odziani w kolorowe peleryny i tuniki haftowane w czerwone liście i niebieskie romby. Wśród nich była diakonisa z fratrem, oboje w brązowych sutannach, kobieta w płaszczu obszytym futrem, dwóch mężczyzn w wystawnych strojach i pół tuzina pieszych żołnierzy w skórzanych kaftanach. Ach, jakże by było wspaniale móc stąd wyjechać, z klasztoru, z wioski, przebyć wielki Smoczy Grzbiet, ograniczający jego świat, i wyprawić się w zupełnie nowy!

Przysunął się bliżej, żeby posłuchać.

– Zwykła dziesięcina to także roczna służba pięciorga młodych, zdrowych ludzi, nieprawdaż, pani Dhoudo? – zapytał ojciec Richander kobietę w płaszczu. – Jeśli zażadasz więcej, mieszkańcy mogą zostać zmuszeni do przysłania na służbę tych, których tutaj zatrudniamy, a to sprawi nam trudności, szczególnie teraz, w porze sadzenia.

Kobieta mimo poważnej miny, miała coś aroganckiego w twarzy.

– To prawda, ojcze, ale tego roku nasiliły się ataki na wybrzeże i hrabia Lavastine musi zwiększyć zaciąg.

Hrabia Lavastine! Pani Dhouda była jego kasztelanką; teraz Alain ją rozpoznał, bo obróciła się ku niemu, gestykulując w stronę żołnierzy. Gdy odmówiono mu wyprawy z ojcem, liczył na to, że zostanie powołany do hrabiowskiej służby, chociażby na rok. Tak się nie stało; Alain wiedział dlaczego. Wszyscy wiedzieli. Odpowiednie miejsce dla dziecka, które kupiec Henri uznał i wychował jak własne, ale które, jak każdy wiedział, było bękartem dziwki, stanowił kościół.

– Niech Bóg ci przydaje szybkości na drodze, pani – powiedział ojciec Richander, kiedy kasztelanka i diakonisa dosiadły koni. Żołnierze przygotowali się do wymarszu.

Brat Gilles schylił się ku Alainowi.

– Jeśli chcesz towarzystwa na drodze, możesz iść z nimi – rzekł. – Niedługo do nas wrócisz.

– Tak.

Ruszył za żołnierzami. Kasztelanka Dhouda, przechylając się, by porozmawiać z diakonisą, nawet nie zauważyła jego obecności na końcu orszaku. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Wyszli z klasztoru i rozpoczęli mozolną wspinaczkę. Alain usłyszał za sobą chór kościelny, wyśpiewujący godzinki na nonę. Głosy towarzyszyły mu przez chwilę; potem pochłonął je las.

Żołnierze księcia burczeli między sobą.

– Klasztor króla, oto, czym są – powiedział najmłodszy.

– Chyba króla Wendaru. Bo nie naszego, chociaż zasiada na naszym tronie.

– Ha! Samolubne gnoje, boją się, że zaciąg zabierze im służbę. Nie chcą sobie ubrać rączek przy pracy, co?

– Cicho, Heric. Nie wygaduj na świętych braci.

Młody Heric parsknął z irytacją.

– Myślisz, że opat się zastanawia, czy zaciąg ma walczyć z piratami, czy wspierać rewoltę damy Sabelli?

– Zamknij się, idioto – uciął starszy, rzucając spojrzenie do tyłu.

Alain pochylił głowę i starał się udawać niewiniątko. Oczywiście, że go dostrzegli, uznali go jednak za niegroźnego. Ale nikt, nawet w Varre, nie rozmawiał o powstaniu przeciw

królowi Henrykowi w obecności człowieka, którego nie był pewien.

Dalszą drogę przebyli w milczeniu. Alain odmierzał ją godzinkami, które niedługo wyznaczać miały cały jego dzień. Od nony do nieszpory szli przez Grzbiet Smoka łagodnym zboczem aż do smoczej głowy, gdzie leżała zamożna wioska Osna. Pogoda jakby współgrała z jego nastrojem: otoczyła ich mżawka. Kiedy mały podjazd dotarł do domu ciotki Bel, Alain był przemoczony.

Oczekiwano tam kasztelanki Dhoudy. Przyjeżdżała raz do roku, aby zebrać podatki, jakie wieś musiała płacić hrabiemu Lavastine'owi. Zazwyczaj młodzież, która spędziła rok w książęcej służbie, wracała wraz z nią. Tradycja, że na dzień św. Euzebiusza idzie się do terminu albo bierze sierotę na wychowanie, liczyła sobie wiele lat. Jednak tego roku Dhouda przybyła sama, nie licząc orszaku.

Alain stał przy piecu, susząc ubranie, i przypatrywał się ceremonii powitalnej. Na drugim końcu holu jego rodzeństwo, kuzynostwo i służba nakrywali stół do wieczery. W zacienionych wnękach po obu stronach holu najmłodsze dzieci siedziały na skrzyniach i łózkach, aby nie plątać się pod nogami.

Niemowlę zaczęło płakać. Podeszedł do kołyski i wziął je na ręce. Natychmiast ucichło, ssąc kciuk i pogodnie przyglądając się temu, co się działo. Podobnie jak on, to dziecko nie miało matki; umarła przy porodzie, ale nie było wątpliwości, że to jego kuzyn Julien był ojcem. On i tamta kobieta zadeklarowali przed obliczem diakonisy chęć zawarcia małżeństwa. A ponieważ córka ciotki, Stancy, niedawno urodziła i miała mleko, ciotka Bel przyjęła dziecko pod swój dach.

Kiedy nadszedł czas podawania do stołu, Alain wręczył niemowlę któremuś z młodszych kuzynów. Przez szacunek dla rangi Dhoudy ciotka kazała swej rodzinie, nie służącym, usługiwać kasztelance. Alain nalewał piwo i mógł wiele usłyszeć z rozmowy, która toczyła się między kasztelanką, kupcami i tymi z rolników, którzy byli na tyle ważni, aby zasiąść przy stole z posłanką hrabiego.

– Hrabia Lavastine był zmuszony zatrzymać na kolejny rok służby całą młodzież, którą nam w zeszłym roku posłaliście – wyjaśniła Dhouda spokojnie, chociaż większość ludzi spoglądała na nią ze źle skrywanym rozdrażnieniem.

– Oczekuję pomocy syna przy żniwach! – zaprotestował ktoś, a drugi dorzucił: – Brak umiejętności tkackich mojej córki daje nam się we znaki w obejściu, zważ to pani, a poza tym już ją prawie wyswataliśmy.

– Czasy są niespokojne. Na wybrzeże napadają piraci. Potrzeba nam wszystkich, którzy są w zamku Lavas. Potrzebujemy więcej zbrojnych. Spalono klasztor w Comeng – tu kasztelanka urwała, aby obserwować niepokój na twarzach słuchaczy. – Tak, niestety, najeźdźcy są coraz bardziej bezczelni. Stanowią poważne zagrożenie dla wszystkich mieszkających nad morzem – skinęła na Alaina. – Jeszcze piwa. – Gdy nalewał, zwróciła się do ciotki Bel: – Znamo wygląda ten młodzik. To jeden z twoich?

– To mój bratanek – rzekła chłodno Bel. – Ojciec obiecał go klasztorowi. Na świętego Euzebiusza wstąpi do nowicjatu.

– Zadziwia mnie, że chcesz zasilić królewski klasztor takim wyrośniętym chłopcem.

– Kościół służy Panu i Pani. Nie obchodzą go ziemskie sprawy – odpaliła ciotka.

Dhoda uśmiechnęła się łagodnie, ale Alain dostrzegł na jej twarzy wyraz zarozumiałstwa.

– Sprawy świata obchodzą ich równie mocno jak nas, pani. Nieważne. Raz złożonej przysięgi nie mam zamiaru łamać.

Konwersacja zбочyła na miłsze tematy, zeszłoroczne zbiory, nowo wybite scetty z podobizną znienawidzonego króla Henryka, handel z południowym portem Medemelacha i plotki o tempestarich – zaklinaczach pogody – którzy ściągali sztormy i zamiecie na wybrzeże między Varre i Wendarem.

Alain stał w cieniu i słuchał cały wieczór, zbliżając się ku kręgom światła rzucanym przez lampy tylko po to, aby dolać gościom piwa. Diakonisa Dhoudy była bardzo uczoną kobietą i gustowała szczególnie w starych legendach. Ku zaskoczeniu Alaina zgodziła się wyrecytować wiersz.

*W tamtych dniach gdy władali Zaginieni
Kiedy ziemiami władali
Ludzie zrodzeni z kobiet i aniołów
Spomiędzy nich pochodził ten, który rządził
Imperium, ludźmi i elfami pospołu.*

*Potrafił on zaplatać nić
Potrafił tkać ze światła gwiazd
Uczynić mógł pieśń mocy.
Sztuki te znamy pod mianem czarów.
Nauczyła go ich jego matka.*

*W tamtych dniach z północy
W środku wiosny nadleciał smok
I wszystkie kraje nad morzem
Spustoszył.*

Ale sam cesarz przybył z nim walczyć i choć smoczysko śmiertelnie go raniło, ostatekiem sił rzucił potężne zaklęcie i zmienił bestię w kamień. I tu spoczywa, nad zatoką Osna, a wszyscy zwą tę górę Smoczym Grzbietem.

Alain obserwował ich: arogancką kasztelanę, jej przybocznych, uczoną diakonisę i

młodego fratra, który złożył śluby w wędrownym zakonie, a nie w klasztorze, którego mury uwięziłyby go na całe życie. Gdybyż on mógł choć raz wyruszyć do zamku Lavas, jak wcześniej jego ojciec, gdybyż mógł na rok pójść na służbę do księcia. Jego ojciec pojechał tam siedemnaście lat temu i spędził rok, służąc starszemu hrabiemu Lavastine'owi jak było w zwyczaju, ale wrócił do domu z dzieckiem w ramionach i smutkiem w sercu. Ku przerażeniu starszej siostry nigdy się nie ożenił; serce oddał morzu i teraz więcej czasu spędzał wśród fal niż na lądzie.

Bel wychowała dziecko, bo miała dobre serce, a malec był zdrowy i silny.

Jak wyglądało miejsce, w którym się urodził? Jego matka zmarła trzy dni po wydaniu go na świat, a przynajmniej tak twierdził ojciec, ale może ktoś ją jeszcze pamiętał...

Alain zamrugał, powstrzymując łzy. Nigdy się nie dowie. Jutro, w wigilię świętego Euzebiusza, odejdzie, aby całą noc czuwać u wrót klasztoru, jak to mieli w zwyczaju ci, którzy zamierzali wstąpić na służbę u Pana i Pani jako dorośli.

Następnego dnia złoży śluby i na zawsze zniknie za murami klasztoru.

– Co ci jest, Alainie? – zapytała kuzynka Stancy, podchodząc. Dotknęła jego policzka. – Płacz, jeśli musisz, ale odejdz z lekkim sercem. Pomyśl, ile dobrego twoje modlitwy przyniosą rodzinie. W końcu nauczysz się czytać i pisać, i może staniesz się tak uczony jak diakonisa. A potem będziesz mógł podróżować do odległych krajów...

– Tylko w wyobraźni – rzekł gorzko.

– Oj, mały, znam twoje serce. Ale taki ciężar musisz dźwigać, więc dźwigaj go z radością. – Oczywiście miała rację. Pocałowała go czule i odeszła, aby dolać oleju do lamp.

3.

Wigilia św. Euzebiusza wstała pogodna. Siatkowe drzwi skrzypiały leniwie cały poranek poruszane lekką bryzą. Czerwone flagi pomalowane w Krąg Jedności trzepotały na okapach domów wokół głównego placu.

Wszyscy mieszkańcy przybyli na plac, aby przyglądać się, jak kasztelanka Dhouda zbiera podatki. Kadzie miodu. Dzbany ciemnego i jasnego piwa. Krowa albo pięć baranów. Gęsi. Ser. Pasza. Wędzony łosoś i węgorze. Ciotka Bel oddała brosze, przywiezione przez ojca Alaina z południa, aby nie płacić piwem i olejem. Jeden z rolników oddał syna na pięcioletnią służbę, aby zachować dwie najlepsze mleczne krowy. Inna para miała niewolnicę, młodą dziewczynę przywiezioną z Salii, której nie mogli już wyżywić. Dhouda obejrzała ją, uznała za zdrową i przyjęła jako zapłatę. Stara pani Garia, której pięć dorosłych córek było biegłych w tkactwie, przyniosła jak zwykle kupony cienko utkanego samodziału, które kasztelanka wzięła z wyraźnym zadowoleniem. Kilku zapłaciło srebrem i niewielu ukarano za uchylanie się od płacenia, bo Osna była zamożną wioską i Alain wiedział od ojca, że ludziom powodziło się dobrze.

Trwało to cały ranek i jeszcze popołudnie, bo ludzie z okolicznych farm przybyli, aby uiścić opłaty.

Późnym popołudniem Alain odszedł. Ukłąkł przed ciotką i wypowiedział tradycyjną formułę:

– Ciociu, zwyczaj nakazuje nawróconemu czuwać całą noc przed bramą, aby dowieść pragnienia wstąpienia na służbę Pana i Pani.

– Masz błogosławieństwo moje i ojca, dziecko – ciotka pocałowała go w czoło.

Wstał i pożegnał się z resztą rodziny. Troje kuzynów było już dorosłych i mieli własne dzieci, więc żegnał się długo. Wreszcie pocałował niemowlaka, ostatni raz uściskał ciotkę i odszedł.

Zerwał się wiatr. Siatkowe drzwi niespokojnie uderzały o ogrodzenie, siąpił deszczyk. Obejrzał się i zobaczył, jak kasztelanka nakazuje przenieść stół do domu, aby dokończyć zbieranie podatków pod dachem.

Deszcz rozpadał się na dobre, kiedy minął płot okalający pastwiska i wolno ruszył w trzygodzinną drogę do klasztoru.

Wiatr zawiął silniej, kiedy wspinał się na ścieżkę biegnącą grzbietem. Pył zmienił się w błoto i oblepił cienkie skórzane buty, przemakając przez szwy. Mały plecaczek ledwo starczał za balast, kiedy dotarł do grzbietu, wystawiony teraz na porywisty podmuch. Był sam, widział tylko rozciągającą się w dole zatokę, poznaczoną bałwanami. Za nim rozciągały się lasy. Wioska i klasztor ukryte były za wyginającym się w łuk grzbietem wzgórza, wzdłuż którego prowadziła ścieżka.

Alain musiał się pochylić, by iść pod wiatr. Przez chwilę myślał o widzianym wczoraj statku: czy burza złapała go poza zatoką, czy zdążył skryć się w jednej z wielu grot, aby przeczekać sztorm? Stał pod wiatr i spojrzał na morze. Zamarł; ze zdziwienia stanął w miejscu.

Sztorm nadchodził szybko. W życiu czegoś podobnego nie widział.

Połowa zatoki zniknęła jak wymazana. Posuwał się ku niemu gęsty kłęb mgły, za którym podążały gęste ciemne chmury, pochłaniające wszystko na swej drodze. Po chwili został przez nie wessany; nie widział dalej niż na trzy kroki. Przykucnął, zanim uderzyły w niego pierwsze wściekle podmuchy, odwrócił się od zatoki i wcisnął głowę w ramiona.

Wicher ryczał niby skamieniały smok wracający do życia. Alain padł na kolana. Otoczyły go szalejące czarne chmury, ostry gwałtowny deszcz przemoczył na wylot między jednym oddechem a drugim.

To nie był normalny deszcz.

Kiedy tylko tak pomyślał, deszcz nagle ustał, choć wiatr nadal dał. Na pewno zesłano na Alaina karę za to, że w głębi serca złamał przysięgę daną w jego imieniu sługom Pana i Pani. Albo był to sąd.

Wstał z trudem i zwrócił się ku dolinie. Pomimo wszystko, mimo własnych pragnień

dotrze do klasztoru. Nie okryje wstydem ojca i ciotki. Wiatr szarpał go za włosy, kłuł w oczy. Jego usta, mokre od słonej mgły i zimnego deszczu, spierzchły w ostrym powietrzu wirującym wokół.

Mgła podniosła się; rozmyte światło zajaśniało na prostej drodze prowadzącej przez smoczy grzbiet. Nieziemskie zjawisko zbliżało się i rosło, rozpraszając mgłę... ale tylko wokół siebie. Ujrzał w dziwny dalekowzroczny sposób, że w miejscu, w którym przeszło światło, sztorm znów szalał. Poczł zapach wiosennych kwiatów i świeżej krwi.

Zbliżał się jeździec. Odziany w błyszczącą kolczugę, nie poganiał swojego wierzchowca, nie zwracał uwagi na szalejącą wichurę. Alain pomyślał o ucieczce, ale myśl zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Musiał patrzeć.

Rumak był piękny, niemal oślepiająco śnieżnobiały, a dosiadająca go...

Nie mógłby się ruszyć, nawet gdyby spróbował. Osadziła konia tuż przy nim. Była kobietą w średnim wieku, z poznaczonymi bliznami dłońmi i twarzą, w ubłoconych znoszonych butach, a jej kolczugę tu i ówdzie załatano nowymi, lśniącymi kółkami. Przy kolanie wisiała poobijana okrągła tarcza, przywiązana do siodła. Przechyliła się i obrzuciła Alaina spojrzaniem. Stali w martwej ciszy: trzy kroki dalej szalał sztorm.

Miała odległy i zarazem przeszywający wzrok. Nie potrafił dostrzec, jakiego koloru były jej oczy; zdawało mu się, że są czarne jak przekleństwo. Gapił się na nią, a lodowaty strach ścisnął mu serce.

– Czym ci zapłacić, byś poszedł na wojnę? – zapytała. Jej usta poruszały się, ale głos, głęboki i niski jak dzwon, rozległ się w jego głowie, niemal ją rozsadzając.

Nie wiedząc, co robić, ukląkł. Nie opuścił wzroku; nawet mrugnięcie mogło się źle skończyć.

– Pani – jego głos był tak ochrypły, jak jej dźwięczny. Spróbował raz jeszcze. – Przyobiecali mnie kościołowi.

– Twe serce nie złożyło przysięgi – odparła. Dobyła miecza. Wbrew jego oczekiwaniom z klingi nie wystrzeliła błyskawica; nie migotała ani nie błyszczła. Zrobiono ją z ciemnego metalu, twardego, porządnego metalu, odpowiedniego do zabijania. Zatoczyła mieczem wysoki łuk i wskazała za siebie.

Wydawało się, że zniknęło całe powietrze; dojrzał w dole klasztor, choć było to niemożliwe. Równo stojące budynki, mur; widząc je z wysokości, nagle dostrzegł inny wzorzec pod nimi, wzorzec starożytny i niepokojący.

Ale jego wzrok sięgał dalej i dalej, aż do dwóch łodzi wyciągniętych na brzeg i wyskakujących z nich stworów. Nie można ich było nazwać ludźmi, ich twarze były obce, o ostrych rysach i dziwnym kolorycie. Obnażeni do pasa, mieli torsy poznaczone białymi bliznami i jaskrawymi barwami wojennymi. Uzbrojeni byli w topory, włócznie, łuki i strzały z kamiennymi grotami, a ich skóra lśniła jak rybie łuski. Niektórym wyrastały z kłykci potworne, białe pazury. Biegły z nimi psy, sfora wielkich, paskudnych brytanów, w których

litości było jeszcze mniej niż w ich panach.

Przynieśli ze sobą pochodnie, którymi podpalali dachy budynków. Bez miłosierdzia szlachtowali mnichów. Dojrzał wewnątrz kaplicy. Brat Gilles, kruchy i siwowłosy, klęczał przed ołtarzem i modlił się, ściskając swą ukochaną żonę Księżę Jedności, skarb klasztoru. Białowłosy barbarzyńca przebił go od tyłu i wyrwał drogocenną książkę z rąk konającego, a potem zdarł z niej złotą, inkrustowaną klejnotami okładkę, rzucając pergaminowe stronicę, niby wyrwane wnętrzności, na skrwawione zwłoki brata Gillesa.

– Jeszcze nie złożyłeś własnej przysięgi – powiedziała kobieta. Alain zadrżał; znów stał na górze, otoczony przez burzę.

– Muszę iść! – krzyknął. Skoczył w przód, gnany dziką myślą o ratowaniu brata Gillesa.

Zatrzymała go trzymanym na płask mieczem.

– Dla nich już za późno. Patrz.

I wskazała mieczem ku wiosce.

Światła. Mokre czerwone chorągiewki uderzające o stropy. Większość domów zamknięto. Ale nie siedzibę ciotki Bel. Kobieta stała skulona w drzwiach, patrząc niewidzącym wzrokiem w stronę, w którą odszedł, a na jej twarzy malowała się gorycz. Za nią Stancy grała w szachy z Agnes, swą najmłodszą siostrą; w jednym ruchu biały smok zbił czerwoną wieżę. Reszta dzieciaków grała w serso przy palenisku, a niemowlę spało w kołysce. Ogień jaśniał i huczał, gorący, dymiący.

Oczy Alaina zaczęły łzawić od gorąca, a potem rzucono go na zewnątrz, w zimny i przeszywający wiatr. Do brzegu pod wioską przybijała długa wąska łódź. Oj, Panie i Pani! Było ich więcej! Zalali plażę, pazurzaści, pomalowani, szykujący broń.

Mgła przesunęła się przed jego oczami; odgonił ją. Łzy spływały po jego twarzy.

– Już za późno. – Odwrócił się ku niej, spokojnej jak śmierć na białym koniu. – Dlaczego mi to pokazujesz?

Uśmiechnęła się. Straszliwe piękno jej twarzy wypaliła poniewierka, cierpienie i dziki szal bitewny.

– Służ mnie – rzekła. – Służ mnie, Alainie Henrissonie, a oszczędzę wioskę.

– Jak możesz? – jęknął, przypominając sobie przeszytego włócznią brata Gillesa, klasztor w płomieniach, widok dzikich, żądnych krwi stworów zmierzających ku chatom jego rodziny i sąsiadów.

– Służ mnie – powiedziała.

Alain runął na kolana. Czy wiatr przyniósł krzyk dziecka?

– Przysięgam.

– Wstań.

Wstał. Zimna stal jej miecza opadła na jego prawe ramię, potem na lewe, aby w końcu, przeszywając swym zimnem i wysysając całe ciepło z jego ciała, a jednocześnie parząc, spocząć na jego głowie.

– Kim jesteś? – wyszeptał.

Podniosła miecz. Jej odpowiedź zagrzmiała, stłumiona wyciem wiatru:

– Jestem Panią Bitew. Zatrzymaj mój znak.

I zniknęła. Oślepiające światło przeszło mu oczy, ból ścisnął serce. Ogarnęły go czarne chmury. Z oddali usłyszał ochryply radosny okrzyk bojowy, a potem zemdłał.

Zbudził się nagle. Usiadł przerażony. Był poranek, dzień św. Euzebiusza, jasny, piękny, czysty świt pod bezchmurnym niebem. Dzień dobrych omenów. Woda zatoki marszczyła się w drobne fale. Drzewa, soczyste zielone, odbijały się od błękitu nieba. Zaklął, otrząsając się, i wstał.

Ujrzał na ścieżce krwistoczerwoną różyczkę. Lśniła jak klejnot, ale jej płatki były miękkie jak pierwsze wiosenne kwiaty. Zacisnął pięść i kolec przebił skórę, utaczając kroplę krwi.

– Ciocia Bel – wymruczał. – Stancy. Niemowlę. – Wepchnął różyczkę za pas i biegiem ruszył do Osny.

Kilku ludzi wytrzeszczyło oczy, kiedy stanął na skraju placu, łapiąc oddech. Dostrzegła go ciotka Bel: jej biała twarz poczerwieniała w jednej chwili. Podbiegła do niego i zamknęła go w objęciach.

– Alain! Dziecko moje, myślałam, żeśmy cię stracili!

– Jesteście tu wszyscy? Zdrowi? Gdzie jest Stancy?

– W warsztacie. Biedactwo, wejdz, wejdz. – Poprowadziła go do domu, usadziła przy stole i wcisnęła w garść kubek ciepłego koziego mleka. – Panie i Pani. – Otarła łzę ze zniszczonej twarzy. – Byłam pewna, że tam byłeś. Dzięki Im, dzięki. – Nakreśliła Krąg Jedności, od serca do gardła i z powrotem. – Jak uciekłeś? Kiedy stary Gilles przyniósł wieści...

Poczuł ulgę i nadzieję.

– Brat Gilles?

– Nie, chłopcze. Gilles rybak. Nawet nie widział okrętów, tak szybko przybyły w tej przeklętej burzy i równie szybko zniknęły. Cały klasztor spalili, a mnicha każdego zarżnęli, gdzie stał. Wszyscy zginęli. Jednakże, woła Ich, nas jakimś cudem oszczędzono. Ani widu, ani słychu tych barbarzyńców. Jesteśmy bezpieczni. Jestem pewna, że Henri jest daleko na południu, a oni przypłynęli z północy.

– Nie dotarłem aż do klasztoru – wyszeptał. Ciągle stał mu przed oczami odległy, nienaturalny widok pomalowanych mężczyzn, zabijających, palących... przybijających do plaży pod wioską. Nie mógł się zmusić, aby opowiedzieć o swej wizji, o ile była to wizja.

– Ale gotowam uwierzyć – ciągnęła ciotka Bel niskim głosem – że to Pan i Pani osądzili tych w klasztorze. Za to, że zwrócili się przeciw tej, która powinna być panującą królową. Ale o zmarłych źle się nie mówi. Paru wioskowych wyruszyło sprawić im godziwy pochówek.

– Muszę coś zobaczyć – Alain wstał. Ciotka spojrzała na niego pytająco, ale nie dał jej czasu na wypowiedzenie pytania, tak szybko wybiegł. Pognał brzegiem, na który kupcy i rybacy wyciągali swoje łodzie, aby handlować w Osnie.

Poszedł wzdłuż brzegu i po chwili odnalazł długą głęboką ryś, którą zostawiła łódź wywleczona na piasek. Przyływ nie zataił wszystkich śladów stóp, które prowadziły w górę plaży, a potem zakreślały w miejscu. Na matowym piasku została nawet krwawa plama i odcisk końskiego kopyta.

Poranek nadal był piękny, kiedy Alain wspinał się na grzbiet. Nie dostrzegł ani śladu statku na powierzchni zatoki ani na szaro-niebieskim horyzoncie. Ruszył dalej i doszedł do przełęczy, przy której mógł zboczyć ze ścieżki i spojrzeć na leżący w dole klasztor, z którego zostały dymiące ruiny. Krążyły nad nimi sępy. Na północ od wieży kościelnej wykopano dół; przypominał ciemne usta. Mężczyźni uwijali się, składając ciała do grobu. Ruszył biegiem, ale kiedy dotarł na miejsce, diakonisa kasztelanki Dhoudy odprawiała nad grobem mszę za umarłych, a wioskowi zasypywali ciała pomordowanych mnichów.

– Hej, chłopcze – odezwała się Dhouda. Alain podskoczył. Nie zauważył jej. – To ty miałeś dziś złożyć śluby? Ile lat sobie liczysz? Szesnaście? Jesteś sprawnym wysokim młodzieńcem.

Wzrok, jakim go zmierzyła, niemile kojarzył mu się z targiem koni albo zamorskich niewolników.

– Nic tu teraz po tobie, a hrabia Lavastine potrzebuje silnych rąk, jak sam widzisz. Czasy są złe. Porozmawiam z twoją ciotką, ale i tak mam prawo przeznaczyć cię do służby u księcia. Jutro z nami pojedziesz.

Nie wiedział, co odrzec. Czuł dziką radość na myśl o podróży, ale jednocześnie gnębiła go myśl, że to jego chęć uwolnienia się od ślubów zakonnych sprowadziła na mnichów śmierć. Jednak, jak powiedziałby jego ojciec, pychą byłoby przypuszczać, że jego samolubne zwyczajne pragnienia wpływały na świat, którym rządziła wszak wola boska. Okrutną śmierć przynieśli bezbożni barbarzyńcy; nie miała nic wspólnego z nim.

Dhouda mierzyła go niecierpliwym spojrzeniem, czekając na odpowiedź. Skinął głową, a ona odwróciła się, odprawiając go. Jej obrzeżony futrem płaszcz falował, kiedy szła szybko w stronę diakonisy, która skończyła już pospieszną mszę.

Alain zacisnął dłoń na pasie i nagle przypomniał sobie o róży. Nie zwiędła ani się nie złamała, nadal wyglądała tak świeżo jak kwiat dopiero co zerwany z krzaka. Trzymał ją w dłoni przez całą drogę do Osny, a ona się nie zmieniła.

Rankiem pieczołowicie przywiązał kwiat do cienkiego rzemyka i zawiesił na szyi, wpychając między koszulę i tunikę, aby nikt go nie dostrzegł. Grubszy rzemień podtrzymywał drewniany Krąg Jedności, który dała mu ciotka Bel na pamiątkę ojcowskiej przysięgi.

Po słodko-gorzkich pożegnaniach zarzucił swój bagaż na plecy i podążył za kasztelanką Dhoudą i jej orszakiem w szeroki świat.

Rozdział drugi

Księga tajemnic

1.

Na najdalszych rubieżach Północnej Marchii Wendaru leży kilka wsi i przysiółków znanych jako Spokój Serca. Ludzie tamtejsi mówią niezwykłym dialektem, pełnym dziwnie wymawianych słów.

Podróżujący fratry z troską zauważali, że na portalach drewnianych kościołów Pana i Pani obok Kręgu Jedności widniało drzewo o alarmująco pogańskiej proveniencji. Biskupina Spokoju Serca nie zwracała na nie uwagi, zaprzątnięta coraz częstszymi rajdami łupieskimi na wybrzeże. Ale nie zabraniała najgorliwszym fratrom wysyłania na południe raportów o tych „pogańskich praktykach”.

Raporty nie przyniosły oczekiwanych skutków. Spokój Serca leżał zbyt daleko na północy, miał zbyt mało mieszkańców i był zbyt biedny, aby król czy hierarchowie zwracali sobie nim głowę. Leżał na cichym półwyspie oddalonym od Wendaru: ludzie mówili tu miękko i nie wtykali nosa w cudze sprawy. W stosunku do przybyszów przygnanych w ich strony byli tak tolerancyjni, jak biskupina w stosunku do pozostałości pogańskich rytuałów w kościołach będących pod jej opieką.

„Lepiej się nie wtrącać”. Ludzie powtarzali to zdanie często i z przekonaniem. Obcy mogli tu odnaleźć spokój.

To, na jak długo, zależało od tego, przed kim uciekali i jak daleko wrogowie zamierzali ich ścigać.

* * *

– Popatrz tam – powiedział tato. – Pod koronami drzew na zachodzie. Gwiazda Różana, znana starożytnym magom Babaharszanu jako Zuhia, słońce nocy, mag i uczoney. Co możesz mi o niej powiedzieć?

– Dariyańscy astronomowie zwali Gwiazdę Różaną Aturna Czerwonym Magiem. Nie jest tak jasna jak Krwawa Gwiazda, ale bardziej szlachetna. Aturna to jedna z gwiazd podróżujących, czyli inaczej błędnych, albo planet. Rządzi siódmą sferą, której górna powłoka przyczepiona jest do orbity gwiazd stałych, za którymi leży Komnata Światła. Dolna powłoka tej sfery przylega do szóstej, rządzonej przez planetę Mok. Obieg dwunastu domów nocy zajmuje Aturnie dwadzieścia osiem lat.

Stali na polanie między drzewami a kamienistym szczytem wzgórza. Trawa, wybujała na wiosnę, sięgała im do kolan. Za nimi, na płaskim tarasie, stała chata, a przez jej otwarte drzwi widać było czerwony blask paleniska. Noc była idealna do prowadzenia obserwacji: ani jedna chmura nie przecinała nieba.

– Nazwij siedem sfer wedle porządku – polecił tato.

– Najbliższa Ziemi jest sfera Księżyca. Druga należy do planety Erekes, a trzecia do Somorhas, znanej też jako Świetlista Pani. Czwarta to sfera Słońca, po niej idzie piąta, rządzona przez planetę Jedu, Anioła Wojny. Szóstą rządzi Mok, a siódmą i ostatnią Aturna. Za Aturną leży pole gwiazd, płonących jasno przed Komnatą Światła.

– A siedem szczebli znanych magom, po których uczony może się wspiać, niby po siedmiu sferach, ku mądrości i mistrzostwu? – obrócił trzymaną w dłoniach księgę, ale nie otworzył jej. Z ramienia zwisały mu trzy przepiórki ustrzelone przez Liath. Wybrali się na polowanie i wrócili późno, ale ponieważ zawsze – zawsze – nosili ze sobą księgę i astrolabium, mogli obserwować niebo z każdego miejsca.

Liath zawahała się, poprawiając przewieszane przez plecy łuk i kołczan. Ona i tato śledzili gwiazdy stałe i wędrujące, odkąd tylko umiała wskazać niebo palcem. Ale dopiero w zeszłym miesiącu zaczął ją nagle uczyć sekretnej wiedzy magów. W zeszłym miesiącu, w dzień świętej Oyi, patronki tajemnic i sekretów, przypomniał sobie – jakby gwiazdy obracające się na niebie i ziemskie dni niespodziewanie popędziły naprzód – że na wiosenną równonoc, pierwszego dnia nowego roku, jego córka kończyła szesnaście lat. Pierwsze krwawienie przypadające na dzień świętej Oyi było dobrym znakiem i tato zabrał ją do wsi na tradycyjną uroczystość.

Liath cieszyła uczta i pieśni, ale wcale nie czuła się inaczej. Od tamtego dnia jednak tato traktował ją inaczej: kazał jej czytać, recytować i zapamiętywać we wściekłym tempie, zupełnie jakby dorzucał drewno do ognia, aby go podsycić.

Wczoraj, wedle kalendarza, którego nauczyła się, siedząc na ojcowskich kolanach, był pierwszy dzień nowego roku. Jej szesnaste urodziny. Tego roku, kiedy udali się do wsi na mszę z okazji Marianów – taką nazwę nadał kościół wiosennej równonocy – stała wśród młodych kobiet, a nie z dziećmi.

– Liath? – ponaglił tato.

Przygryzła wargę, nie chcąc mu sprawić zawodu. Wzięła głęboki oddech i przemówiła śpiewnym głosem, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy uczyła się na pamięć słów ojca.

– *Po takiej drabinie mag wstępuje:
Najpierw do róży, co leczy dotykiem.
Potem do miecza, co daje nam siłę.
Trzeci jest puchar nieskończonych wód.
Czwarty pierścień ognia, jak w kuźni.
Na piątym stoi tron cnoty.
Szósty to scepter mądrości.
Ostatni stopień wieńczy korona gwiazd.
Ujawniona pieśń mocy.*

– Bardzo dobrze, Liath. Dzisiaj dalej będziemy mierzyć ekliptykę. Gdzie jest astrolabium?

Instrument wisiał na jej kciuku. Wyciągnęła przed siebie wyprostowane ramię i utkwiała wzrok w delikatnym gwiazdozbiornie, zwanym Koroną, właśnie zachodzącym. Noc była tak bezchmurna, że prawdopodobnie dostrzegłaby siódmy „klejnot” w koronie; zazwyczaj widocznych było tylko sześć gwiazd, ale ona potrafiła czasami wyróżnić siódmą. Właśnie miała obliczyć wysokość i obrócić astrolabium, kiedy kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Sowa poderwała się z drzewa na skraju polany. Popatrzyła w ślad za ptakiem, którego skrzydła odbijały się od nieba, rozświetlanego tylko gwiazdami i wąskim sierpem księżyca. I tam, nisko na wschodzie...

– Tato, spójrz! Nie, tam. W Smoku. Nigdy wcześniej nie widziałam tej gwiazdy i nie jest to żadna z planet. Wszystkie inne gwiazdy są na swoich miejscach.

Wpatrzył się w niebo. Nie miał oczu tak bystrych jak ona, ale po chwili dostrzegł gwiazdę zabłąkaną w konstelacji Smoka. Szóstym Domu Wielkiego Kręgu, ziemskim smoku spajającym niebios. Gwiazda nie była bardzo jasna, choć im dłużej Liath na nią patrzyła, tym jaśniejsza się stawała; błyszczała, jakby sypała iskrami.

– Na krew Bogini – zaklął tato. Zadrżał mimo ciepłej nocy. Biały kształt przeleciał mimo; sowa uderzyła dziesięć kroków od nich i poderwała się, niosąc w szponach małe, szamoczące się stworzenie. – I tak większy spada na mniejszego. Wejźmy do środka, córko.

– Ale tato, czy nie powinniśmy zmierzyć jej położenia? Czy nie powinniśmy jej obserwować? To musi być znak z niebios. Może to anioł schodzący w niższe sfery!

– Nie, dziecko! – Otulił się płaszczem i odwrócił plecami do nieba. Jego ramiona drżały. – Musimy wracać.

Trzymając w dłoni astrolabium, ugryzła się w język i pokornie ruszyła do chaty. W środku było za gorąco. Ale ogień w palenisku płonął zawsze, a tacie często było zimno. Pamiętała, że kiedy była małą dziewczynką, potrafił jednym gestem wywołać motyle z tęczego światła, aby mogła je gonić po ogrodzie. To wszystko – jeśli wspomnienia były prawdziwe, a nie wysnute z jej pragnień – umarło razem z matką. Zostały jej tylko te właśnie wspomnienia zatarte przez czas i niekończące się odległości, które pokonywali, podróżując

przez morza, góry, nowe lądy i obce miasta. No i ogień zawsze płonący w palenisku.

Zawarł drzwi i nagle zgiął się w pół, szarpany kaszlem. Dysząc, odłożył księgę na stół i rzucił płaszcz na ławę. Poszedł nalać sobie piwa.

– Tato – powiedziała, bo nie znosiła, kiedy pił, ale on tylko pociągnął kolejny łyk. Ku swemu przerażeniu spostrzegła, że jego dłonie drżały. – Tato, usiądź.

Usiadł. Odłożyła astrolabium na półkę, postawiła łuk i kołczan w kącie, a przepiórki zawiesiła na belce. Dorzucając do ognia, obejrzała się na ojca; pod jej stopą trzasnęła deska. Izba była taka uboga. Pamiętała lepsze, z dawnych czasów: arrasy, rzeźbione ławy, prawdziwe krzesło, długi korytarz, wino nalewane ze szklanej karafki. Sami wybudowali tę chatkę, wykopali dziury i osadzili w nich fundamenty, pocięli pnie na belki i zbili z nich sufit, wypychając szpary w drewnianych ścianach słomą i gliną. Chata była surowa, ale zdatna do użytku. Oprócz stołu i ławy, pełniącej też funkcję skrzyni na odzież, w najciemniejszym kącie izby stało ojcowskie łóżko, a na ścianie wisiał jedyny zbytkowny przedmiot: orzechowa półka wyszlifowana do połysku, rzeźbiona po obu stronach w zwinięte bestie o oczach pomalowanych na czerwono.

Tato znów zakaszlał i otworzył książkę, szukając czegoś na gęsto zapisanych stronicach. Idąc mu z pomocą, przeszła obok okna. Okiennice nadal były otwarte, a przez skórę rozciągniętą w ramie, tak cienką, że aż przezroczystą, dojrzała mętne światło. Zbliżało się ścieżką wydeptaną do wioski.

– Ktoś idzie – powiedziała, ruszając ku drzwiom.

– Nie otwieraj!

Jego głos był ostry; drgnęła.

– Co się stało? Coś złego? – Wpatrywała się w niego, przestraszona paniką, jaką okazał. – Czy ta nowa gwiazda to omen? Czytałeś o jej nadejściu? Czy książka o niej wspomina? – Nigdy nie wymieniali tytułu. Pewne słowa wypowiedziane na głos zbytnio przyciągały uwagę.

Zatrzasnął książkę i przycisnął ją do piersi. Skoczył do kąta po swój łuk, a potem ruszył do okna. Nagle się rozluźnił, a twarz mu się rozjaśniła.

– To tylko frater Hugo.

Tym razem ona się wzdrygnęła.

– Nie wpuszczaj go, tato.

– Nie mów tak, dziecko. Frater Hugo to dobry człowiek, oddany Pani i Panu.

– Chciałeś powiedzieć oddany samemu sobie.

– Liath! Jak możesz tak mówić? On chce tylko porady. Jest nie mniej ciekawski od ciebie. Możesz go za to winić?

– Tato, daj mi książkę – powiedziała łagodniej, aby go ugłaskać. Zbyt niebezpiecznie byłoby powiedzieć tacie to, co wiedziała o fraterze Hugonie.

Ale tato się wahał. Na półce stały cztery inne księgi, każda drogocenna: encyklopedyczna

Historia Dariyi pióra Polyxena. Dzieła świętej Tekli, Rozprawa o roślinach Teofrazosa z Eresos i Sny Artemizji. Nie zawierały jednak wiedzy zakazanej, potępionej przez kościół na soborze w Narvone sto lat temu.

– Ale on mógłby nam pomóc, Liath – powiedział ojciec poważnie. – Uciekamy już tyle czasu. Potrzebujemy sprzymierzeńca, kogoś, kto potrafiłby zrozumieć potężne moce zastawiające na nas pułapkę. Kogoś, kto pomógłby nam z nimi walczyć...

Wyrwała mu książkę i po drabinie wspięła się na stryszek. Ze swego schronienia pod spadzistym dachem widziała połowę izby i słyszała wszystko, co w niej mówiono. Rzuciła się na siennik i naciągnęła koc na głowę.

– Powiedz mu, że śpię.

Tato wymamrotał coś, ale zdawał sobie sprawę, że skoro raz podjęła decyzję, nie przekona jej. Zamknął okiennice, odstawił łuk do kąta, otworzył drzwi i stanął w nich, czekając na fratra Hugona.

– Witaj, przyjacielu! – zawołał. Jego głos był niemal wesoły, bo lubił Hugona. – Przyszedłeś podziwiać ze mną noc?

– Niestety nie, druhu Bernardzie. Przechodziłem tędy...

„Przechodziłem tędy”. Same kłamstwa wypowiedane głosem jak miód.

– ...zdążając do starego Johannesesa. Mam oddać ostatnią posługę jego żonie, niech jej dusza wzniesie się w pokoju do Komnaty Światła. Pani Birta poprosiła mnie, żebym oddał ci ten list.

– List! – głos taty niemal się załamał. Wędrowali od ośmiu lat. Nigdy nie spotkali żadnego znajomego. Tato nigdy nie dostał listu ani nie skontaktowano się z nim w inny sposób. – Oj, błogosławiona Pani – wymruczał ochryple. – Zbyt długo tu zostałem.

– Słucham? – rzekł frater Hugo. Światło jego lampy wpadało przez okno i oświetlało postać taty na progu. – Nie wyglądasz najlepiej, przyjacielu. Mogę ci pomóc?

Tato znów się zawahał, a ona wstrzymała oddech; jednak rzucił okiem na strych i przecząco potrząsnął głową.

– Nie możesz nic zrobić. Jednak dziękuję. – Wyciągnął rękę po list. Liath przesunęła palcami po grzbiecie książki, czując grube litery wytłoczone na skórzanej okładce. *Księga tajemnic*. Czy tato zaprosi Hugona do środka? Był taki samotny i bał się. – Czy usiądziesz ze mną na chwilę? To spokojna noc i obawiam się, że okaże się długa.

Cofnęła się w cień na strychu. Hugo długo rozważał propozycję. Niemał mogła wyczuć, jak ciepło ognia, jego żądze – pragnienie wejścia, przekonania taty, aby mu jeszcze bardziej zaufał, aż do końca. A wtedy byłiby zgubieni.

– Niestety, mam dziś inne obowiązki – powiedział w końcu frater, ale nie odchodził. Lampa poruszyła się, zaświeciła we wszystkie cztery kąty izby, szukała. – Mam nadzieję, że twoja córka ma się dobrze? – Jakże słodki miał głos.

– Owszem, dobrze. Ufam, że Pan i Pani zaopiekują się nią, gdyby mnie się coś stało.

Hugo zaśmiał się cicho, a Liath wpełzła głębiej w cień, jakby ukrywanie się mogło ją uchronić.

– Zapewniam cię, że tak, przyjacielu Bernardzie. Daję ci moje słowo. Powinieneś odpocząć. Jesteś blady.

– Twoja troska mi pochlebia, przyjacielu. – Liath widziała uśmiezek taty, przyklejony do ust. Wiedziała, że nie był szczery, nie z powodu Hugona, ale z powodu listu, sowy i ataru, tej dziwnej nowej gwiazdy świecącej na niebie.

– Dobrego wieczoru. Bernardzie. Bywaj.

– Bywaj.

Rozstali się. Lampa zakołysała się na ścieżce biegnącej ku wiosce, może i podążając ku zagrodzie starego Johanna. Na pewno frater Hugo nie miał powodu, aby kłamać w tak poważnej sprawie. Ale na pewno nie „przechodził tędy”.

– To miły człowiek – powiedział tato. – Złaż. Liath.

– Nie! – odparła. – Czego tu szukał?

– Dziecko!

Prędzej czy później trzeba było powiedzieć choć część prawdy.

– Tato, on na mnie patrzy. W taki sposób...

Syknął gniewnie.

– Czy moja córka jest tak próżna, że wyobraża sobie, iż zaprzysiężony kościołowi mężczyzna przedkłada ją nad Panią?

Zawstydzona ukryła twarz w cieniu, choć ojciec jej nie widział. Czy była tak próżna? Nie, wiedziała, że to nie próżność. Osiem lat uciekania wyostrzyło jej instynkt.

„Przechodziłem tędy”

Hugo często przystawał przy chacie, aby posiedzieć i pogawędzić z tatą; dyskutowali na temat teologii i starych pism, i teraz, sześć miesięcy od pierwszego spotkania, zaczęli ostrożnie rozmawiać o tajemnej sztuce czarnoksiężkiej – oczywiście traktując temat czysto teoretycznie.

Oczywiście.

– Nie rozumiesz, tato? – powiedziała, z trudem znajdując słowa, próbując wytłumaczyć mu, nie wystawiając ich na niebezpieczeństwo, jak w Autunie dwa lata temu. – Hugo pragnie tylko twojej wiedzy o magii. Nie chce twej przyjaźni.

Hugo często przychodził, ale od dnia świętej Oyi zaczął składać wizyty także wtedy, kiedy wiedział, że tato był poza domem czy zajmował się gospodarstwem, chociaż ostatnio zdrowie nie dopisywało mu na tyle, aby mógł pracować w polu. Liath chętnie robiłaby to za niego, ale tato powtarzał: „Ktoś musi zostać z księgą”. Nie chciał puszczać jej samej.

„Przechodziłem tędy, Liath. Czy ktoś ci kiedyś mówił, jaka jesteś piękna? Jesteś już kobietą. Twój ojciec musi się zastanawiać, co się z tobą stanie – i z tym wszystkim, czego cię nauczył, co wiesz o nim, jego podróżach i przeszłości. Mogę chronić ciebie... i księgę.”

Dotknął jej ust, jakby chciał obudzić w niej oddech.

Oczywiście, takie propozycje składane przez pobożnego braciszka niewinnej dziewczynie, która jeszcze nie skończyła szesnastu lat, były nieskromne. Tylko idiota mógłby opacznie pojąć jego ton i wyraz twarzy; Liath nigdy nie lubiła Hugona, ale to zaszokowało ją i przeraziło, bo Hugo zawiódł zaufanie ojca w sposób, którego nie mogła wyjawić.

Gdyby powiedziała tacie, gdyby jej uwierzył, oskarżyłby fratra Hugona, może próbowałby go pobić. Dwa lata temu w Autunie wydarzyło się coś podobnego: tato wściekle zaatakował kupca, który zaproponował, aby Liath została jego konkubina. Straż miejska spuściła ojcu lanie i wyrzuciła ich oboje z miasta. Jednak gdyby tato oskarżył i zaatakował Hugona, zyskałby potężnego wroga. Matka Hugona była margrabiną, wielką księżną, a Hugo dopilnował, aby wszyscy się o tym dowiedzieli. Ona i tato nie mieli krewnych, którzy mogliby ich chronić.

A gdyby powiedziała i tato by jej nie uwierzył, wtedy... oj, Pani. Tato był dla niej wszystkim, nie miała nikogo innego. Nie mogła ryzykować.

– Tato. – Długa cisza; nie odpowiadał. – Tato?

Kiedy usłyszała z dołu bolesny jęk i cichy szelest pergaminu, jednym susem ześlizgnęła się po drabinie. Tato zmiął list i wrzucił go do ognia. Płomienie zabłyśły. Skoczyła ku nim, wyciągnęła rękę i dostała po łapach.

– Zostaw! – Był blady i spocony. – Jeśli dotkniesz czegokolwiek, co przeszło przez ich rękę, będą mieli do ciebie dostęp. – Opadł na ławę i oparł czoło na dłoni. – Liath, musimy jutro wyjechać.

– Wyjechać?

– Nie pozwolą nam spocząć.

– Kto, tato? Przed kim uciekamy? Dlaczego mi nie powiesz?

– Bo jedyne, co cię chroni, to niewiedza. Mają moc szukania i znajdowania, ale zabezpieczyłem cię przed nimi. – Zawsze tak mówił. „Kiedyś. Gdy będziesz silniejsza”. – Jeśli wyruszymy rankiem, będziemy mieli co najmniej kilka dni przewagi. Nie powinniśmy byli zostawać tu tak długo.

Zostali tak długo, bo go o to błagała. Bo po raz pierwszy w życiu miała przyjaciół. Jej głowa niemal dotykała sufitu chatki. Tato był tylko cieniem, niknącym w mroku, ale widziała go dobrze mimo ciemności. Żartowali z tego: oczy salamandry, na cześć duchów zamieszkujących żywioł ognia. Liath pamiętała, że je widziała, wiele lat przed śmiercią matki, płynne jak woda, z oczami niby niebieskie iskry.

Teraz już nie potrafiła ich dojrzeć. Mogła zaglądać w ogień z bliska i długo, widziała tylko płomienie buzujące w palenisku, przemieniające węgiel w czerwony żar, a pod nim szary welon popiołu.

– Jeszcze nie jest wystarczająco silna – wyszeptał w złożone dłonie.

– Jestem silna, tato, wiesz o tym.

– Idź do łóżka, dziecko. Zatrzymaj księgę. Rankiem zabierzemy wszystko, czego potrzebujemy, i odejdziemy.

Przełknęła łzy. Odejdą, pozostawiając za sobą dwa dobre lata. Wioska była miłym miejscem, dopóki zeszłej jesieni nie przybył frater Hugo. Nie mogła znieść myśli o pozostawieniu przyjaciół: dwojga ludzi tak bliskich, jakby byli jej rodziną, której nie miała. Prócz ojca.

Ale odejdą. Cokolwiek kierowało tatą, kierowało też nią. Nigdy by go nie opuściła.

– Przykro mi, Liath. Jestem żalostną namiastką ojca. Nie zaznałaś niczego dobrego. Powinienem był... – potrząsnął głową. – Ślepotą mnie osłabiła.

– Nigdy tak nie mów! – Uklękła przy ławie i objęła go. Tak szybko się postarzał przez ostatnie dwa lata, od chwili pobicia w Autunie. Jego włosy, kiedyś kasztanowe, były szare. Chodził przygarbiony, jakby przytłaczał go niewidzialny ciężar, chociaż kiedyś stawiał duże kroki i trzymał się prosto. Pił piwo za czterech, jakby chciał się utopić w alkoholu, chociaż nie mieli na to pieniędzy. W takim odległym miejscu nie było wiele zajęć dla mężczyzny zbyt słabego na pracę w polu, mógł tylko rysować wokół kurników znaki odstrasżające lisy albo kreślić na kawałkach kory lub pergaminu słowa od kobiet i mężczyzn pragnących nawiązać kontakt z odległymi znajomymi i krewnymi. Ale jakoś sobie radzili.

– Idź do łóżka, córko – powtórzył. – Musimy wcześniej wyruszyć.

Ponieważ nie wiedziała, co powiedzieć, wykonała polecenie. Pocałowała go w policzek, wypuściła z objęć i wstała. Zatrzymując się przy ogniu, rozejrzała się za pergaminem, ale splotnął. Zamienił się w popiół. Ojciec westchnął ciężko. Zostawiła go z jego myślami, bo nie potrafiła sobie wyobrazić, jakie były i dokąd go wiodły.

Na strychu rozebrała się do koszuli i przykryła kocem, przyciskając książkę do piersi. Cienie tańczyły w kątach, a cichy szum ognia uspokoił ją. Słyszała, jak tato nalał sobie piwa i pił, było tak cicho.

Tak cicho.

– Nie ufaj nikomu – zamruczał, a potem wyszeptał imię jej matki: – Anne.

Wiele nocy słyszała go wypowiadającego imię jej matki. Po ośmiu latach smutku jego głos nadal brzmiał tak, jakby ta rana była świeża. „Czy kiedykolwiek będę z kimś tak związana?” zastanowiła się.

Taniec cieni, szelest ojca na dole, szum wiatru na dachu, odległy szept drzew opadły na nią, przygniatały. Była taka zmęczona. „Co to za dziwna gwiazda narodziła się w Smoku? Czy to anioł? Czy demon powietrza?”

Zapadła w sen.

I śniła.

Ogień. Często śniła o ogniu, oczyszczającym, zapraszającym. W powietrzu płoną duchy o płomiennych skrzydłach i oczach lśniących jak noże. Za ich plecami, w ciemności, ryczy ściana ognia, ale nie trzeba się bać. Przejdź przez nią, a otworzy się nowy świat. W oddali

bęben brzmi jak puls, a gwizd fletu, niesiony przez wiatr jak ptak, rozkłada skrzydła.

Szelest skrzydeł opadających na okap. Nagły powiew białego śniegu wpadł przez komin, choć nie było zimy.

Śpiąca i świadoma, spętana milczeniem. Rozbudzona, nieruchoma, a jednak nadal śpiąca. Ciemność przytłaczała jak całun.

Dzwony na wietrze.

Czy żona starego Johanna przeszła do lepszego życia? Czy dzwony ogłaszały jej wejście do Komnaty Światła? Jedno uderzenie, aby oznajmić przejście każdej sfery, i trzy, aby zawtórować *Alleluja* śpiewanemu przez anioły witające nową siostrę.

Ale dzwony okazały się głosem rozdzierającym powietrze. Rozległy się dwa ostre trzaśnięcia, coś twardego uderzało w drewno. Gdyby tylko mogła wyrzeć, zobaczyłaby, ale nie mogła się ruszyć, nie odważyła się ruszyć. Musiała pozostać w ukryciu. Tato tak kazał.

– Twe liche strzały na nic się nie dadzą – rzekł głos jak dzwon, nie wiedziała, kobiecy czy męski. – Gdzie ona jest? – Liath poczuła, jakby ktoś przeciągnął po jej skórze coś starego i zgniłego.

– Tam, gdzie jej nie znajdziesz – odparł tato, dysząc jak po długim biegu.

Pot wystąpił jej na czoło i zebrała wszystkie siły, aby się poruszyć. Przecież to tylko sen, prawda?

Ogień rozjarzył się nagle, oślepiająco jasny, iskry buchnęły w powietrze, a potem wszystko ogarnęła cisza i ciemność.

Spała.

I obudziła się. Była szara, ciemna godzina przedświt. Zadrzała, zorientowała się, że leżała z książką przyciśniętą do ramienia i zdrętwiałymi palcami.

Coś było nie w porządku.

Tato zasnął, siedząc na ławie, z ramionami na stole i głową wygiętą pod dziwnym kątem. Jego łuk z nałożoną cięciwą leżał na podłodze. Zdrętwiała z zimna, zsunęła się po drabinie.

Tato nie spał.

Okiennice były zamknięte i zaryglowane, drzwi też. Od ośmiu lat, gdziekolwiek by nie mieszkali, w palenisku zawsze płonął ogień. Teraz było zimne.

Przy nim odcisk stopy w szarym popiele, jakby ktoś wyszedł z ognia. Dwie strzały wystawały z belki nad paleniskiem.

Na stole, obok prawej ręki taty, leżało białe pióro, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie widziała, tak jasne, że świeciło własnym blaskiem.

Wiatr wlatywał do środka, poruszając piórem i rozsypując popiół, aż po odcisku stopy nie zostało ani śladu. Sięgnęła po pióro...

„Zostaw!”

Cofnęła rękę, jakby tato ją uderzył. „Jeśli dotkniesz czegokolwiek, co przeszło przez ich

ręce...”

„Gdzie ona jest?” zapytał głos. A tato odmówił odpowiedzi.

Patrzyła na jego ciało. Wyglądał tak staro, jakby ziemską powłoka miała się rozpaść przy najlżejszym podmuchu.

„Nie ufaj nikomu”.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było ukrycie książki.

2.

Powolne kapanie wyrwało Liath z niespokojnego snu.

– Tato? – zapytała, myśląc, że to koryto za chatą znów zaczęło przeciekać. A potem, kiedy otworzyła oczy i ujrzała mroczną celę, przypomniała sobie.

Tato nie żył. Zamordowano go.

Wąskie okienko, umieszczone wysoko w grubej ścianie, wpuszczało strumyk światła; kamienna podłoga piła je jak spragniona roślina. Krople nadal spadały. Liath usiadła. Kurz okrył tunikę, ale dziewczyna była zbyt zmęczona, aby go strzepywać. Twarz ciągle ją bolała od uderzeń fratra Hugona. Podniosła palce do prawego policzka. Jęknęła; miała siniaka. Lewe ramię bolało, ale nie sądziła, żeby było złamane. Pozwoliła sobie na leciutki uśmiech; dobre i to.

Przeniosła ciężar ciała na kolana. Ruch przeszył bólem jej głowę i przez moment znalazła się na powrót w chacie. Klęczała obok ciała taty, które zdawało się sztywnieć pod jej spojrzeniem. Drzwi się otwarły i białe pióro, niesione przeciągiem, otarło się o jej skórę.

Ból jak nóż wbity w skroń. Głos, tak daleki, że przypominał uderzenia fal o kamienny brzeg...

Przycisnęła dłonie do skroni i zamknęła oczy, jakby to mogło powstrzymać wizje. Powoli ból i wspomnienie przygasły. Oparła rękę o ścianę i podniosła się na nogi; stała przez chwilę, sprawdzając swą wytrzymałość.

Kapanie dobiegało z przeciwległego kąta, zadziwiająco jednostajne i równe. Na podłodze stała kałuża brudnej wody. Nie pamiętała, jak się tu dostała, ale była pewna, że znalazła się w celi w piwnicy ratusza. Nawet Hugo nie zdołał namówić szeryfa Liudolfa do umieszczenia jej w kościelnej krypcie. Kapanie oznaczało, że cela mieściła się pod korytami dla świń, tylko pięć kroków od lasu. Gdyby tylko okienka nie były takie wąskie, a kraty w nich takie grube.

Przy świetliku zabrzmiał syczący szept, ostry i nerwowy:

– Liath? Jesteś tam?

– Hanna? – Jej serce zabiło nagłą nadzieją. – Znalazłaś książkę?

Odpowiedziało jej głębokie westchnienie pełne ulgi. Po chwili Hanna odezwała się znowu:

– Tak. Pod deskami na podłodze, jak mówiłaś. Zakopałam ją tam, gdzie kazałaś.

– Dzięki Pani – mruknęła Liath.

– Ale nie mamy wystarczająco dużo pieniędzy na wykup długu – ciągnęła Hanna, nie usłyszawszy tej krótkiej modlitwy. – Ani... – zawahała się. – Ani nawet na wykup obligacji. Jutro będzie licytacja. Przykro mi.

Liath podeszła do okna i złapała kraty brudnymi rękoma. Patrząc pod słońce, nie mogła dostrzec twarzy Hanny.

– A cztery książki taty? One na pewno są cenne. Same książki są warte dwa konie.

– Szeryf Liudolf ci nie mówił? Frater Hugo powiedział, że książki należą do kościoła, i skonfiskował je. Nie będą wystawione na licytację.

– Szlag by trafił – zakłęła Liath, ale gorzki gniew sprawił, że całe ciało ją rozboleło. Dlaczego tato zaufał Hugonowi?

– Przykro mi... – zaczęła Hanna.

– Daj spokój. Co mogłaś zrobić?

– Gdyby Inga nie była tak samolubna i nie wyprawiała wesela, moglibyśmy zapłacić przynajmniej obligację...

– To nie wina Ingi. Frater Hugo żąda wykupienia długu, więc to i tak nie ma znaczenia.

– Ale mimo wszystko, Liath, jak twój tato mógł narobić przez dwa lata takich długów? Nigdy nic nie mówiłaś. Cały czas... – głos Hanny ścichł. Na ziemi pojawił się cień i Liath dostrzegła podbródek i usta przyjaciółki. Chwilę później silna dłoń zacisnęła się na jej ręce. – Moja matka mówi, że to nie były zwykłe wydatki.

Dłoń Hanny była ciepła. Liath trzymała ją mocno. „Mój ojciec to czarownik. Oczywiście, że to nie były zwykłe wydatki”. Ale nawet ukochanej przyjaciółce nie mogła tego wyjawić. Wszyscy w wiosce myśleli, że pan Bernard był mnichem, który zdjął habit, człowiekiem, który zbecześcił przysięgę złożoną Panu i Pani i został zmuszony do opuszczenia klasztoru, ponieważ uczynił kobietę ciężarną. Mnich potrafił pisać. Mnich znał moc ziół i zaklęć odpędzających słabości, zarazy i inne zło. Tato nigdy nie wyprowadził ich z błędu. Wieśniacy mogli go zaakceptować bez lęku. Upadły braciszek był okryty wstydem, ale nie niebezpieczny.

Tylko frater Hugo coś podejrzewał. Tylko on podstępnie zdobył zaufanie taty. Na korytarzu zabrzmiały kroki. Liath usłyszała stłumione głosy.

– Hanna, idź.

– Ale, Liath...

– Ktoś nadchodzi.

– Mama przyniesie ci jedzenie. Przyjdę wieczorem.

W zamku zazgrzytał klucz. Zapadki zadzwoniły.

Liath odwróciła się, kiedy cień znikł spod okna. Drewniane drzwi otworzyły się, zgrzytając po kamiennej podłodze. Cofnęła się, dotykając ściany plecami. Uniosła podbródek w niemym wyzwaniu.

W drzwiach stanęły trzy postacie. Dwie weszły do środka: frater Hugo i szeryf. Hugo niósł świecę. „Żeby lepiej oświetlić swą przystojną twarz”, pomyślała Liath zimno.

– Księga – rzekł natychmiast ostrym, aroganckim tonem, tak różnym od cukrowych słówek, którymi karmił jej ojca – Czy po nocy tu spędzonej zdecydowałaś się powiedzieć mi, gdzie jest księga?

– Fraterze – wtrącił się cicho szeryf. – Jak sędzę, już skończyłeś z przesłuchiowaniem dziecka. Cieszę się, że nie ma ona nic wspólnego ze śmiercią ojca. – Liudolf przyciskał łokciem do boku księgę podatkową. – Dziecko – rzekł do Liath – podliczyłem dług i majątek twego ojca, a frater Hugo spisał sumę tu, na tych stronach. Przeczytam ci teraz tę listę.

Hugo nie spuszczał z niej oczu. Chociaż patrzyła na starego szeryfa, czuła jego wzrok. Znalazł w chacie cztery książki; cztery książki ukradł, nieważne co mówił o kościele. Wiedział, że była piąta, ta, którą ukryła.

Szeryf Liudolf rozpoczął wyliczanie, nie patrząc na pergamin, bo nie umiał czytać. Ale miał dobrą pamięć. Wysokość długu zadziwiła; w porównaniu z nią majątek stopniał: jeden łuk, kołczan i czternaście strzał, pióra, temperówka i pergamin, srebrna scetta wybita za panowania cesarza Taillefera, jeden garnek, jedna miska, dwie łyżki i jeden nóż, osełka, dwie koszule i jedna wełniana tunika, wełniany płaszcz podbity króliczym futrem; brązowa brosza, nogawice, buty; łóżko, stół, ława, półka, miedziana misa, dwa wełniane koce, pół baryłki piwa, miód, wędzone mięso, trzy kamienne naczynia, jedno pełne soli, dwa pełne zmielonej pszenicy, dwie kury, dwie świny, jedna córka.

– Lat piętnastu.

– Cztery dni temu, w Mariany, skończyłam szesnaście.

– Naprawdę? – zainteresował się Liudolf. – To zmienia postać rzeczy. Nie ma mowy o obligacji; jako dorosła, przejmujesz cały dług ojca. Chyba, że masz innych żyjących krewnych?

– O żadnych nie wiem.

Westchnął i pokiwał głową.

– Wobec tego ten, kto spłaci dług, kupi twoją wolność.

– A książki? – spytała szybko, nie patrząc na Hugona. – Mój tato miał cztery książki i... – musiała być przebiegła. – I instrument z brązu do pomiaru czasu.

– Te przedmioty zostały skonfiskowane przez kościół.

– Ale wystarczyłyby na spłacenie długu!

– Przykro mi, dziecko – rzekł twardo. Od razu wiedziała, że nie było sensu wdawać się w spór: dlaczego miałyby słuchać sieroty, która nie miała pieniędzy i ochrony? – Musisz podpisać stronę, na której wszystko odnotowano, na znak, że zgodnie z tym, co wiesz, wyliczyłem wszystko poprawnie.

Wzięła pióro i przytrzymała księgę w lewej dłoni. Hugo wpatrywał się w nią chciwie, więc starannie nabazgrała niezgrabny krzyżyk pod ostatnią linijką. Oddała księgę szeryfowi,

który westchnął cicho, szczerze zmartwiony jej losem, i podrapał się po głowie.

– Jutro będzie licytacja, dziecko. – Liudolf rzucił okiem na Hugona, wiedząc równie dobrze jak Liath, że frater był jedyną osobą zdolną zapłacić całą sumę – szczególnie, że zabrał książki. Lub też: Hugo był jedyną osobą, która chciała kupić Liath. Stary hrabia Harl posiadał majątek, trzymał nawet kilku niewolników, ale nie interesował się sprawami wsi – zatrudniał tylko matkę Hanny jako mamkę swoich dzieci.

– Przepraszam panów – rzekła kobieta za plecami szeryfa i fratra. – Mogę wejść?

– Oczywiście, oczywiście. Skończyliśmy już – wycofał się Liudolf. Hugo gapił się na Liath. – Fratrze – rzekł szeryf łagodnie – mamy kilka spraw do załatwienia, nieprawdaż?

– Zdobędę tę książkę – syknął Hugo. Wyszedł, zabierając świecę.

Pani Birta wynurzyła się z mroku; trzymała dzban i małe zawiniątko.

– Masz, Liath. Słyszałam, że nie dali ci ani jeść, ani pić.

– Wypiłam trochę wina. – Liath wzięła dzban. Dłonie jej drżały, gdy stawiała go na podłodze; w zawiniątku był bochenek chleba i ćwiartka koziego sera. – Bądźcie błogosławiona, pani Birto. Nawet nie wiedziałam, jaka jestem głodna.

Birta obejrzała się. Mężczyźni stali w korytarzu, czekając na nią.

– Dopilnuję, żebyś rano też dostała jedzenie – rzekła, podnosząc lekko głos. Odważnie, pomyślała Liath. – To źle trzymać cię tu o głodzie, niezależnie od sytuacji. – Zrobiła krok ku dziewczynie i wyszeptała: – Gdybyśmy mogli, mała, zapłacilibyśmy przynajmniej obligację i dobrze cię traktowali. Ale zapłaciliśmy podatek, a wesele Ingi na jesieni...

– Nie, proszę – wyszeptała Liath zakłopotana. – Wiem, że zrobiliście wszystko, co w waszej mocy. Tato nigdy nie zdawał sobie sprawy, ile kosztowało go... – przerwała, uświadamiając sobie, że na korytarzu zapadła nagle cisza. Hugo chciwie słuchał każdego jej słowa. – Uleganie zachciankom. Kochał to miejsce i wiele przyjemnych wieczorów spędził w karczmie, plotkując z waszym mężem.

– Tak, mała – odparła Birta, rozumiejąc aluzję. – Zostawiam cię. Nie pozwolili mi przynieść koca, ale ufam, że Pani i Pan ogrzeją cię w nocy. – Pocałowała Liath w czoło i wyszła.

Zamknięto za nią drzwi. Liath została sama. Zjadła wszystko, co jej przyniesiono, ale oszczędzała piwo. A potem zaczęła spacerować.

Chodzenie pomagało zebrać myśli, nawet jeśli było to tylko pięć kroków i obrót, pięć kroków i obrót. Mogła przemierzyć celę setki razy, a i tak nie zdoła uciec od schedy pozostawionej przez ojca. Tato umarł. Jutro na licytacji, aby spłacić zaciągnięte przez niego długi, sprzedadzą jego rzeczy, a potem sprzedadzą ją. Jutro utraci wolność. Ale nadal miała skarb taty. *Księgę Tajemnic*, i dopóki jej nie utraci, jej serce będzie wolne.

Skuliła się w rogu, przyciągając kolana do piersi; schowała w nich podbródek i zamknęła oczy. Raz się wzdrygnęła, bo zdawało jej się, że cichy głos wołał ją po imieniu. Nie usłyszała go ponownie. Przetarła oczy i zwinęła się ciasniej, aby nie marznąć, zadrzała i zapadła w sen.

Zamordowany. Ktokolwiek go ścigał, w końcu go dopadł. Kiedy stracił moc? Czy też używał daru matki Liath, aby wezwać z nicości motyle, które radowały samotne dziecko?

„Zabili ją, Liath”, powiedział tamtego dnia przed ośmioma laty. „Zabili Anne i zabrali jej dar, aby użyć go dla własnych celów. Musimy uciekać. Nie mogą nas znaleźć”.

Jej matka. Twarz wynurzyła się z zapamiętanego snu, włosy jak słoma, skóra tak jasna, jakby nigdy nie tknęło jej słońce, choć matka siadywała godzinami w ogrodzie ze wzrokiem utkwionym w dal. Liath siedziała obok i obserwowała matkę, czasami pocierając swą ciemną skórę, mając nadzieję, że brud w końcu zejdzie; brud nigdy nie schodził, bo zapiekł się, zupełnie jakby Liath, zanim przyszła na świat, wypalono w piecu, aż pokryła się złocistą skórką.

Kiedy rozpoczęli długą, nie kończącą się ucieczkę z małej chatki i ogrodu, w którym zabito matkę. Liath doceniła swą skórę, bo nawet w najbardziej skwarny letni dzień słońce nie mogło jej sparzyć. Na początku myślała, że chroniła ją magia taty, który często pokrywał się pęcherzami. Potem, kiedy zrozumiała, że tata nie znał prawdziwej magii, że za domowymi lekami i encyklopedyczną wiedzą nie kryły się czary, myślała, że może chroniła ją jej własna magia, przyczajona, oczekująca, aż Liath będzie dorosła. I silna.

Ale tato powtarzał jej zawsze, żeby porzuciła nadzieję na ten dar. Jego drobne zaklęcia nie miały na nią żadnego wpływu. Ogień przez niego przywołany nie parzył Liath. Mogła otworzyć zaryglowane przez niego drzwi, jakby zaklęcie wcale nie działało, a potem Hanna przychodziła i zastanawiała się, dlaczego wierzeje się zacięły.

Była odporna na magię, mówił tato, jak niemowa. Jak głuchy, który widzi, że inni poruszają ustami, ale nie może usłyszeć słów. Pewnego razu przyłapał ją na głośnym odczytywaniu zaklęcia ognia z księgi. Nic się nie stało, ale był taki wściekły, że za karę wysłał ją spać ze świniami. Świnie nigdy jej nie przeszkadzały.

– Liath.

Ocknęła się, wstała i po omacku ruszyła do okna. Nikogo nie było. Wiatr szeptał w drzewach, nic się nie poruszało. Zadrzała, rozcierając ramiona. Nie było jej zimno; bała się.

Przemierzali szmat drogi, żyli z dnia na dzień, gotowi uciekać, jeśli tylko pojawiły się dziwne znaki, tańczyli do tajemniczej melodii, którą słyszał tylko ojciec, a jednak Liath zawsze miała swojego tatę. Niezależnie od tego, kim był lub nie był, zawsze się o nią troszczył. Kochał ją. Otarła z policzka łzę.

– Kocham cię, tato – wyszeptała w chłodną noc, ale nie usłyszała odpowiedzi.

Rankiem szeryf Liudolf odprowadził ją na rynek. Zjawiała się całą wieś i kilku rolników z dalszych gospodarstw, którzy szukali okazji na zbliżającej się licytacji. Przed karczmą ustawiono stoły. Liath nie mogła winić pani Birty i pana Hansala za to, że jej upodlenie posłużyło im do zwiększenia utargu. Odmówiła, gdy szeryf zaproponował jej krzesło. Frater Hugo trzymał się z boku, kiedy Liudolf sprzedawał kolejne przedmioty z listy. Tato mógł być

dziwakiem, ale nigdy nie odmawiał pomocy potrzebującym i na pewno jego szczodre serce wpłynęło na ubóstwo Liath, bo nie liczył się z gotówką. Licytowano wysoko, bo wszyscy lubili ojca Liath, ale nawet sprzedaż wszystkich jego dóbr doczesnych nie pokryła długu.

Liudolf pokiwał głową, westchnął głęboko i spojrzał na nią. Tłum też na nią patrzył. Hanna stała w drzwiach karczmy, a na jej twarzy malował się gniew i rozpacz. Ale nie płakała, nie ona. Nagle na odległym końcu placu pojawił się jeździec, powodując zamieszanie.

– Ivar! – krzyknęła Hanna. Podbiegła przytrzymać wodze, kiedy przybysz zsiadał z konia.

Byli zbyt daleko od Liath, aby mogła usłyszeć ich rozmowę, ale Hanna mówiła szybko, gestykulując. Ivar potrząsnął głową. Hanna dodała coś jeszcze, zniecierpliwiona, ale Ivar tylko ponownie zaprzeczył. Poprowadził konia przez plac, mając Hannę u boku, i stanął przed szeryfem.

Liudolf podniósł brwi.

– Panie Ivarze, czy przybywacie licytować w imieniu ojca? – Zapytał grzecznie.

Ivar rzucił Liath jedno szybkie spojrzenie. Ona i Hanna bardziej już przypominały kobiety niż dziewczynki, którymi były dwa lata temu, kiedy we trójkę zawarli przyjaźń, ale Ivar nadal pełen był chłopięcej niezgrabności, z której niedługo miał wyrosnąć.

– Nie – odpowiedział tak cicho, że ledwie go usłyszała.

Hugo uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Właśnie dowiedziałem się o śmierci pana Bernarda – ciągnął Ivar. Odwrócił się do Hugona. – Przyjechałem upewnić się... że Liath nie dzieje się krzywda – skończył twardo, ale ta obietnica czy groźba nie zrobiła wrażenia na pewnym siebie fratrze. Był osiem lat starszy od Ivara i posiadał naturalny wdzięk, będący mieszanką tyrańskiej duszy i próżności przystojnego mężczyzny. Może i ojciec Hugona był stajennym, jak plotkowała Birta, ale jego matka była margrabiną, przewyższającą rangą księcia Harla. Hugona, bękarta czy nie, przeznaczono do wyższych zadań, poczynając od powierzenia mu pieczy nad wielkimi dobrami kościelnymi, nadanymi przez jego matkę i babkę. I chociaż rzadko spotykało się mężczyzn zarządzających majątkiem – Pan strzeże owieczek, a Pani dogląda serc – nie było to niezwykle, szczególnie gdy klasztory miały rozległe ziemie. Tak przynajmniej mówiła Birta, kiedy zeszłego roku Hugo przybył nauczać w Spokoju Serca. Birta była najlepszym w wiosce źródłem wieści, plotek i baśni.

– Szeryfie – rzekł Hugo ze znudzonym wyrazem twarzy – możemy kończyć? Nie mam czasu, żeby tu sterczeć cały dzień.

Ivar wykrzywił się, zaczerwienił i zacisnął prawą dłoń w pięść, ale Hanna złapała go za nadgarstek i pociągnęła do karczmy. Tłum, spragniony rozrywki, zauważył, że chłopak szedł opornie. Liudolf znów westchnął i długo podliczał monety i towary, które zgromadził na wyprzedazy.

– Ile zostało? – zapytał Hugo.

– Dwie złote nomie albo taka sama wartość w scettach.

– To wstyd – mruknął ktoś z tłumu.

– Cena książek – szepnęła Liath.

Nawet nie mrugnawszy okiem, Hugo wręczył szeryfowi dwie monety. Liath wyciągnęła szyję, ale Liudolf szybko zacisnął pięść, a wyraz jego twarzy dobitnie świadczył, że on też widział nomie pierwszy raz w życiu. Hugo odwrócił się do Liath.

– Idziesz czy mam cię zaciągnąć?

Tato zawsze powtarzał, aby zachowywać się tak, jakby wiedziała coś, o czym inni nie mieli pojęcia. Liath rzuciła okiem na Hannę i Ivara, którzy stali przed karczmą. Hanna była blada. Ivar czerwony. Liath skinęła im, mając nadzieję, że na jej twarzy malował się spokój. Ruszyła ku kościołowi. Jej uległość zdziwiła Hugona, który, musiał nieźle wyciągać nogi, żeby ją dogonić. Dało jej to niejaką satysfakcję.

Złapał ją za ramię i wprowadził do kaplicy, ciągnąc przez nawę do komnat na tyłach budynku. W małym pokoju stało łóżko.

– Tutaj. – Trzymał ją mocno. Liath nie spodziewała się takich luksusów; poprzedni frater, Robert, sypiał na ławie w kościele. W pokoju stały bogato rzeźbiony stół, krzesło i drewniana skrzynia inkrustowana kamieniami i emalią. Na stole leżał pergamin, trzy pióra i zakorkowany kałamarz. Podłogę pokrywał gruby drogi dywan ze wzorem ośmioramiennych gwiazd. Liath miała tyle rozumu, by nie dać po sobie poznać, że znała ten aretuzański motyw. Na łóżku leżały puchowe poduszki i kołdra. – Tutaj będziesz spać.

– Nigdy.

– W takim razie ze świniami.

– Lepsze świnię niż ty.

Uderzył ją. A potem, ciągle obolałą, przyciągnął do siebie i pocałował w usta. Odepchnęła go.

Zaśmiał się, zdyszany.

– Ty głupia. Moja matka obiecała mi opactwo w Firsebargu, kiedy tylko stary opat umrze. Jeśli zechcę, będę miał dostęp do króla Henryka. A za kilka lat będę miał w ręku biskupią mitrę i znajdę się wśród tych, którzy doradzają samej skoposie. Tylko daj mi księgę i pokaż, czego nauczył cię ojciec, a osiągnę wszystko.

– Już wzięłeś jego książki. Ukradłeś je. Pokryłyby dług, byłabym wolna.

Wyraz jego twarzy zmroził ją.

– Nigdy nie będziesz wolna, Liath. Gdzie jest księga?

– Zamordowałaś tatę.

Zaśmiał się.

– Oczywiście, że nie. Umarł na serce, tak powiedział szeryf. Zaufaj mi, moja śliczna. Jeszcze kilka miesięcy i twój ojciec zaufałby mi całkowicie. Wiesz, że to prawda.

Wiedziała. Tato był samotny, a Hugo, mimo swej podłości, miał wiele wdzięku. Tato

lubił jego lotny umysł, ciekawość, nawet arogancję, bo Hugo miał dziwny zwyczaj traktowania Bernarda jak równego sobie. Tego Bernard oczekiwał.

– Tato nigdy nie umiał dobierać sobie przyjaciół – rzuciła, aby przestać myśleć.

– Wiem, że nigdy mnie nie lubiłaś, Liath, chociaż nie rozumiem dlaczego. Nigdy cię nie obraziłem. – Podniósł jej podbródek dwoma palcami, zmuszając, aby na niego spojrzała. – Naprawdę, w tej wiosce i na tym pustkowiu nie ma innej kobiety, z którą chciałbym dzielić łóżko, a sypiałem z księżną i odmówiłem królowej. Kiedy zostanę opatem w Firsebargu, będziesz miała własny dom, służbę, wszystko, czego zapagniesz. Konia. Nie mam zamiaru spędzić życia w Firsebargu. Mam plany.

– Jeśli masz plany, to na pewno zdradzieckie – wywinęła się z jego uścisku. – Król Henryk i skoposa nigdy nie tolerowali czarnoksięstwa. Tylko dama Sabella przyjmuje heretyków pod swe skrzydła.

– Jak ty mało wiesz o kościele, moja piękna. Magia to nie herezja, a skoposa zazwyczaj ciężiej każe heretyków niż czarodziejów. Magia jest zakazana, jeśli praktykuje się ją bez wiedzy skoposy. Ciekawe, jakiego nauczyciela miał twój tato? Nieważne; zdziwiłabyś się, jak tolerancyjny potrafi być król Henryk i księżęta, jeśli tylko mogą osiągnąć swe cele. Gdzie ukryłaś księgę?

Bez słowa ruszyła do drzwi.

Uśmiechnął się.

– Jestem cierpliwy, Liath. Na Panią i Pana, co też myśleli sobie twoi rodzice, kiedy cię obdarzali starym aretuzańskim imieniem? Liathano. Starożytne imię powiązane z magią. Tak mi kiedyś powiedział twój tato.

– Kiedy za dużo wypił.

– Czy to znaczy, że kłamał? – Milczała. – Gdzie jest książka, Liath? – Kiedy nadal milczała, potrząsnął głową, nie przestając się uśmiechać. – Jestem cierpliwy. Co wybierasz? Moje łóżko czy świnie?

– Świnie.

Gwałtownie złapał ją za nadgarstek i uderzył na odlew w twarz. Potem przycisnął ją do siebie i przejechał ręką po plecach. Czowała gorący oddech na karku. Zesztywniała, ale kiedy powlókł ją do łóżka, zaczęła walczyć. Podcięła go; upadli na podłogę, ale odepchnęła go i wstała. Zaśmiał się, złapał ją za kolano i pociągnął w dół z taką siłą, że rąbnęła o kamień i z bólu straciła oddech. Puścił ją i wstał, dysząc. Skłonił się dwornie i wyciągnął dłoń, pomagając jej się podnieść.

– Przyjdiesz do mojego łóżka po dobroci albo wcale. – Wyjął białą lnianą chusteczkę zza pasa, otarł prawą rękę Liath i ucałował palce. – Moja pani – rzekł, chyba kpiąco; była zbyt oszołomiona, aby się zastanawiać nad jego tonem. – Jest ciemna i piękna, ta córka Syjasu, dotknięta słonecznym oddechem. Odwróć ode mnie twe oczy; ich blask jest niby gwiazda zaranna.

Schowała rękę za plecy i wytarła w tunikę.

– Dobrze. Nakarmisz świnie i kury, zamieścisz izbę, przygotujesz mi kąpiel, a potem powiesz pani Bircie, że już nie musi przysyłać mi posiłków dwa razy dziennie. Umiesz gotować, jak sądzę?

– Umiem. Mogę iść?

Ustąpił jej z drogi, ale ledwo weszła w wąski korytarz, zawołał ją.

– Liath. – Odwróciła się; opierał się o drzwi. Nawet w półmroku zakrystii jego jasne włosy, lniana tunika i czysta skóra zdawały się lśnić. – Może i przetrzymasz lato ze świniami, ale nie sądzę, żeby w zimie ci się tam podobało.

Jak daleko zdołałaby dotrzeć, gdyby uciekła? Bezsensowna myśl. Niedaleko; gdyby uciekła, nie miałyby za co żyć. Przez ostatnie osiem lat widziała dość, aby wiedzieć, że nie była w najgorszej sytuacji.

Hugo zaśmiał się, biorąc jej milczenie za odpowiedź.

– Powiedz pani Bircie, żeby zliczała jedzenie i wszystko, co u niej kupisz, będę płacił w każdą sobotę. Spodziewam się dobrych posiłków. Będziesz jeść ze mną. Idź już.

Odeszła. Kiedy wyszła, aby nakarmić zwierzęta zgromadzone w obórce, zobaczyła wśród drzew nieruchomego jeźdźca. Ivar; ruszył ku niej. Odpędziła go szybkimi gestami. W komnacie Hugona dostrzegła jeszcze coś: na puchowej kołdrze leżał piękny, długi miecz o złotej rękojeści, schowany w pochwie z czerwonej skóry. Miecz szlachcica. Nie wątpiła, że Hugo potrafił nim władać i nie zawahałby się go użyć nawet przeciw synowi miejscowego hrabiego.

Ivar osadził konia i obserwował ją, gdy pracowała. Po chwili weszła do szopy; kiedy wyszła, niosąc na ramionach koromysło z wiadrami, aby przygotować kąpiel dla Hugona, Ivar zniknął.

Rozdział trzeci

Cienie z przeszłości

1.

Dowodzący sierżant powiedział Alainowi, że marsz z Osny do zamku Lavas zajmuje pięć dni. Tej wiosny jednak zajął piętnaście, bo kasztelanka i jej kompania zatrzymywali się w każdej wiosce i zagrodzie, aby zebrać podatki, czynsze i młodych ludzi na służbę. Przybyli do Lavas na świętą Marcję i Alain gapił się na wysoką palisadę, która otaczała fortecę: wielki drewniany dwór, do którego przylegała kamienna stodoła: te dwa budynki otaczała mniejsza palisada. Wioska rozciągała się za zewnętrznymi umocnieniami, na brzegach leniwie płynącej rzeki.

Nie miał czasu na podziwianie widoków. Jego i innych spiesznie wpędzono do fortu, gdzie czekali w rozsypce na brudnym podwórcu, aż kasztelanka i jej towarzysze rozstawili stół i zaczęli ich kolejno wzywać. Alain znalazł się w grupie młodzieńców; szybko stanął przed obliczem sierżanta Fella.

– Umiesz jeździć konno? Miałeś kiedykolwiek oszczep w ręku? Może pracowałeś z końmi? Nie, pewnie, że nie – sierżant machnął na następnego w szeregu.

– Ale, panie.. – zaczął desperacko Alain. Czyż nie przyrzeczono mu studiowania sztuki wojennej?

– Idź, idź! Nie mamy czasu szkolić nowych rekrutów na żołnierzy, nie teraz. Hrabia Lavastine już wyruszył polować na Eików, a my za dwadzieścia dni wyruszamy z drugim oddziałem. Do następnej grupy, chłopcze, nie marnuj mojego czasu.

Zawstydzony Alain wycofał się do drugiej linii, w której stali mężczyźni, kobiety, chłopcy w jego wieku i dziewczęta, prawdziwa ludzka menażeria. Chwilę później znalazł się przed obliczem kasztelanki Dhoudy. Zadała kilka pytań. Nie słyszał swych odpowiedzi. Choć jej włosy okrywał czysty lniany welon, niesforne rude pukle wymykały się spod niego i wiły na czole i przy uszach.

– Co za akcent! – rzekła do młodego kleryka w prostym brązowym habicie fratra, który siedział obok niej i spisywał listę dla hrabiego. – Cóż, chłopcze, przydasz się Rodlinowi w stajniach. Kto następny?

– Ale brat Gilles uczył mnie liter. Umiem je wszystkie ładnie zapisać.

Frater spojrział na niego z zainteresowaniem. Miał ostry jastrzębi wzrok.

– Umiesz czytać? – spytał.

– Nie... nie umiem, ale jestem pewien, że mógłbym pomagać klerykom. Umiem liczyć... – ale frater już spojrział w bok, na następnego kandydata. Alain desperacko odwrócił się do Dhoudy. Nic nie szło tak, jak sobie wymarzył.

– Na pewno pamiętacie, że moja ciotka Bel powiedziała, że miano mnie przyjąć jako...

– Ruszaj! – usłyszał. Młoda kobieta zrobiła krok, aby zająć jego miejsce, i Alain nie miał wyboru: musiał podporządkować się rozkazom.

Znalazł stajnie i dostał pracę, jakiej podołałby byle idiota: wypróżnianie taczek z nawozem. Jego jedynym towarzyszem był głupek zwany Półgłówkiem, chłopak w jego wieku, który był chudy jak szczapa, miał krzywe nogi i niekształtną szczękę: nie potrafił sklecić nawet jednego słowa. Był rozkojarzony i równie chętnie gapił się na chmury czy głaskał osła, co pracował, ale Alain nie potrafił się na biedaka złościć.

– Widzę, że dobrze ci się układa z naszym Półgłówkiem – powiedział pan Rodlin wieczorem po szybkiej kolacji złożonej z chleba, sera i cebuli. – Możesz z nim zamieszkać na stryszku. Pilnuj, żeby nowi mu za bardzo nie dokuczali. Jest nieszkodliwy, a zwierzęta mu ufają, bo pewnie wiedzą, że ma tyle rozumu co one.

Półgłówek wydał z siebie dziwny odgłos i podniósł z klepiska stajni okruszki. Z tym skarbem wybiegł na dwór i stanął, otwierając dłonie i kołysząc się nerwowo.

Rodlin zaburczał z litością.

– Myśli, że przylecą ptaki i będą mu jeść z ręki – powiedział. – Diakonisa Waldrada rzekła, że obowiązkiem dobrych daisanitów jest chronić słabszych. A chłopak się tu urodził, przy forcie. Jego matka zmarła przy porodzie, a dla dziecka byłoby lepiej, gdyby też zmarło, biedne durne stworzenie.

– Ja się tu urodziłem – rzekł Alain. – Znaczy, w zamku Lavas.

Rodlin spojrział na niego ciepłej.

– Kim była twoja matka?

Alain zaczerwienił się.

– Nie wiem.

– Ach – rzekł Rodlin ze zrozumieniem. – Przygarnięto cię? W takim mieście jak to zawsze trafi się jedna czy dwie kobiety, które nie wiedzą, czyje dziecko urodziły, więc je oddają.

– Nie oddała mnie. Umarła przy porodzie.

– Nie miała krewnych? A twój ojciec?

Alain zwiesił głowę, widząc, że ciekawość zmienia się na twarzą Rodlina w wąski uśmiezek: oto został uznany za niechcianego bękartą jakiejś dziwki.

– Idź – mruknął stajenny. – Dasz sobie tu radę. Ale nie wchodź do bud.

– Ale tam nie ma psów.

– Ale będą, jak wróci hrabia Lavastine. Zabiłyby cię w mgnieniu oka. Nie zapominaj o tym i dla własnego dobra trzymaj się z daleka. Popatrz na tę bliznę – wskazał na poszarpaną szramę, która biegła od ucha do ramienia. – Nieźle mi przyłożyły. Nie zbliżaj się, a będziesz bezpieczny.

– Dlaczego hrabia trzyma takie wredne bestie? – zapytał Alain, ale Rodlin już odszedł, zajęty ważniejszymi sprawami niż pogawędka z osieroconym chłopcem stajennym.

Półgłówek wszedł do środka z okruszkami w dłoni i rozpaczą na twarzy. Alain kichnął i otarł pył z warg.

– Przypuszczam, że ty nie wiesz nic o psach – rzekł.

– Yłe – powiedział Półgłówek. – Payzły pygywyka.

Alain uśmiechnął się smutno do głupka. Użalenie się nad sobą nie miało sensu, kiedy patrzył na wyrosniętego chłopaka, który już nie był dzieckiem, a nie mógł się stać mężczyzną. W Osnie był bratankiem Bel, a to się liczyło. Tu był tylko wieśniakiem, który nie potrafił władać mieczem, nie mógł niczego zaofiarować i nie miał krewnych. Zrobili go stajennym i nakazali wyrzucać nawóz. Ale miał rozum, był silny i sprawny.

– Chodź – powiedział do Półgłówka. Chwycił go za łokieć i wyprowadził na majdan, gdzie zmierzch otulał wieżę cieniem, a ostatnie promienie słońca lśniły na sztandarze zatkniętym nad bramą: przedstawiał dwa czarne psy na srebrnym polu, herb hrabiów Lavas.

– Otwórz dłoń. Przytrzymam cię. A teraz musimy stać nieruchomo...

Stali tak w zapadającym mroku, a zwierzęta w stajniach powoli cichły. Przyleciał wróbel i usiadł na palcach Alaina, które wystawały spod mniejszych dłoni Półgłówka. Dziobnął okruszynę. Półgłówek zakrzyczał z radości i ptak odleciał.

– Cicho – upomniał go Alain. – Nie możesz gadać. – Czekali i po chwili przyleciał kolejny wróbel, a potem trzeci i zjadły wszystkie okruszki z dłoni Półgłówka, który płakał ze szczęścia.

Pan Rodlin nie zauważał Alaina, o ile ten czegoś nie zbroił. Zresztą przez ten miesiąc, kiedy sierżant Fell szkolił nowych żołnierzy, nikt nie zauważał Alaina. Przyglądał się kłótniom innych chłopaków, które często przeradzały się w bójki, a raz nawet poszło na noże. Zawstydzony i zawstydzająco ciekawski gapił się na żołnierzy, którzy flirtowali ze służącymi i wymykali się z nimi w ciemny róg stajni. Przypatrywał się doświadczonym wojakom przygotowującym broń i doskonalącym umiejętności bojowe.

W dzień świętej Krystyny, patronki – męczennicy miasta Gent, przybyła kobieta w barwach Królewskiego Orła, aby doręczyć list hrabiemu. Tego wieczoru przy kolacji Alain

siedzący przy stołach dla służby z zadziwieniem przysłuchiwał się rozmowie kasztelanki i gościa. Dyskusja przerodziła się w kłótnię.

– To nie jest żądanie – rzekła przybyła z widocznym oburzeniem. – Król Henryk oczekuje, że hrabia Lavastine przyłączy się do niego. Czy mówicie, że hrabia odmawia?

– Mówię wam – rzekła Dhouda spokojnie – że wyślę hrabiemu wiadomość za dwa dni, kiedy sierżant Fell wyruszy ze swoim oddziałem. Kiedy hrabia Lavastine wróci z końcem lata, na pewno zadziała tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Jeśli wyślesz sierżanta i oddział ze mną, na pewno pomoże to przekonać króla Henryka o lojalności hrabiego.

– Tylko hrabia może podjąć taką decyzję – Dhouda nakazała gestem podać więcej piwa. Alain już wiedział, że wino rezerwowano dla lubianych gości, do których Królewski Orzeł się nie zaliczał. – Tej wiosny Eikowie spalili już dwa klasztory. Hrabia potrzebuje każdego silnego mężczyzny, aby bronić swych ziem. Ale oczywiście wszystko, co powiedzieliście, znajdzie się w liście, który napiszą klerycy.

Ale wszyscy obecni, a szczególnie kobieta – posłaniec, zdawali sobie sprawę z tego, że odpowiedzi Dhoudy, choć jak najbardziej na miejscu, były unikami.

Kobieta odjechała następnego dnia, wyraźnie zła. Nazajutrz sierżant Fell i jego ludzie wymaszerowali. Konie i bydło – oprócz kilku perszeronów, osłów, starego wierzchowca i kulawej dojrzałej krowy – wypędzono na letnie pastwiska. Większość wieśniaków pracowała w swoich ogrodach albo zbierała owoce w lasach. Tych niewielu służących, którzy zostali w Lavas, wypełniało swe obowiązki tak skutecznie, że mieli dużo czasu na picie i grę w kości w długie letnie wieczory.

Nikt nie niepokoił Alaina; nawet nie doglądali jego pracy. Nocami, leżąc obok Półgłówka na stryszku nad stajniami, chłopak dotykał drewnianego Kręgu Jedności, który dała mu ciotka, a potem wyciągał rzemień, do którego przymocowana była róża, i dotykał delikatnych płatków. Wizja na Smoczym Grzbiecie wydawała się teraz taka odległa. Uznałby ją za złudzenie, przyniesione przez smutek i burzę, gdyby nie fakt, że noszona jak naszyjnik krwawa róża nie więdła.

Minął spokojny miesiąc. Alain, uczony przez nawigatora, obserwował niebo; księżyc się zmniejszył i urósł, i znów zaczął się zmniejszać. Półgłówek pokazał mu miejsca w lesie, gdzie rosły najlepsze krzaki malin; znalazł tam ścieżkę prowadzącą dalej na wzgórze, ale Półgłówek przestraszył się i odciągnął Alaina.

Alain zapytał Rodlina, czy coś mu wiadomo o starych szlakach w lesie, i koniuszy rzekł, że na wzgórzach stoją stare ruiny i niejeden głupi chłopak połamał nogi, próbując się na nie wspinać. Nawet głupek ich unikał, podobnie jak bud.

Kiedy w stajniach nie było zwierząt. Alainowi dostawały się najdziwniejsze prace, których nikt nie chciał wykonywać. Coraz więcej czasu spędzał, opierając się na łopacie i wpatrując w pustkę. Chwila na Smoczym Grzbiecie, kiedy Pani Bitew pasowała go swym

straszliwym mieczem, wydawała się tylko marzeniem. Do jakiego specjalnego zadania mógł zostać wybrany? Do kopania latryn?

– O, tutaj jest – rzekł kobiecy głos. Ktoś zachichotał.

Alain odwrócił się. W otwartych drzwiach stajni stały dwie dziewczki kuchenne. Otaczało je światło, a kurz osiadał na włosach. Ze stryszku do ich pustych wiader sypało się siano. Jedna z dziewczyn kichnęła. Druga znów zachichotała.

Alain zaczerwienił się, ale nonszalancko ruszył ku drzwiom. Nie miał zamiaru wystawiać się na pośmiewisko przed dwiema służącymi, które miały tyle lat co on i które nigdy nie obdarzyłyby go spojrzeniem, gdyby poza Półgłówkiem i starym Raimondem w forcie został jeszcze jakiś kawaler.

Niebieskooka zgarbiła się, kiedy przechodził, a dekolt sukni zsunął się, odsłaniając hipnotyzujący kawałek ciała.

Alain potknął się na prostej drodze.

– To ty masz na imię Alain? – zapytała Niebieskooka.

Nabijały się z niego. Wiedział o tym. Ale nie mógł się nie zatrzymać.

– Tak – czuł, że nadal się czerwieni.

– Słyszałeś o ruinach na wzgórzu? – zapytała Niebieskooka, prostując się. Jej towarzyszka, o oczach w nieciekawym kolorze, znów zachichotała, a potem zakryła usta dłonią, ukrywając krzywe zęby.

– Słyszałem – odparł ostrożnie Alain.

– Withi, nie odważysz się – syknęła druga dziewczyna.

Niebieskooka obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem.

– To nie ja się nie odważę – popatrzyła na Alaina. – Skąd jesteś?

– Z Osny – rzekł dumnie, ale ich tępy wzrok dobitnie dowodził, że nigdy o takim miejscu nie słyszały. – Zowią je też Smoczy Grzbiet, bo wielka góra...

Z jakiegoś powodu dziewczęta wybuchnęły wariackim śmiechem, jakby powiedział coś nieprzyzwoitego.

– Teraz to się zwie Smoczy Grzbiet? – zapytała w końcu Niebieskooka. Była ładniejsza od towarzyszki, choć na wardze miała febrę, a jej włosy były szare. – Dziś wieczorem o zachodzie słońca idę do ruin. Powiadają, że w Sobótkę duchy i demony spacerują po Ziemi! – Zamrugała do Alaina i wzięła się pod boki, prowokacyjnie wysuwając biodra. Wiedział, że mimo starań znów się zaczerwienił. Withi była jedną z tych dziewcząt, które żołnierze brali na siano. Aż do dzisiaj nigdy nie miała czasu dla Alaina.

Wziął wdech.

– Diakonisa Waldrada powiedziała w zeszlotygodniowym kazaniu, że to wcale nie demony zbudowały te ruiny. Mówiła, że zrobili to ludzie z Cesarstwa Dariyańskiego, dawno temu, jeszcze zanim na tych ziemiach nastał Taillefer. To byli tacy ludzie jak my. Albo elfy.

– Ooooo. Cóż za uczonego młody człowiek! Kim był twój ojciec? Opatem w opactwie

Smoczego Grzbietu, dosiadającym jakiejś niewinnej wieśniaczki? – roześmiała się, a Krzywozęba jej zawtórowała.

– Mój ojciec jest kupcem, dobrym przyzwoitym człowiekiem! Służył kiedyś staremu hrabiemu. A braci z klasztoru Smoczego Grzbietu na wiosnę zabili Eikowie! Pani karze tych, którzy śmieją się z nieszczęść innych!

– Ojej! – rzekła pogardliwie Krzywozęba. – Gadasz jak kleryk. Za dobry jesteś dla nas, co? Idę, Withi – porwała swoje wiadro i ruszyła ku studni.

Withi zawahała się.

– Ja tam idę – ruszyła za towarzyszką, ale obejrzała się przez ramię i uśmiechnęła. – Jeśli się nie boisz, możemy się tam spotkać. Może ci nawet pokażę coś, czego nigdy przedtem nie widziałeś. Zaczekaj na mnie! – zawołała za Krzywozębą.

Kopanie latryn było tak ohydne, że ucieszył się, gdy Rodlin go zawołał. Sierżant Fell przyprowadził kompanie i trzeba było rozładować wóz. Potem Alain umył twarz i ręce, opłukał buty i ruszył na kolację.

Kasztelanka Dhouda wyjechała na wschód, aby eskortować żonę kuzyna Lavastine'a: kobieta miała spędzić w Lavas ostatnie miesiące ciąży. Ponieważ było gorąco, a państwo wyjechali, kucharka wystawiła dwa stoły na dwór. Młodzi żołnierze zajęli jeden, przy którym na zmianę przechwalali się i jedli kolację, złożoną z chleba, owsianki, smażonych ryb i jagód. Sierżant siedział u szczytu stołu, pozwalając swoim ludziom dokazywać.

Półgłówek siedział samotnie przy drugim stole. Gdyby żołnierze nie byli tacy zajęci flirtowaniem z Withi, Krzywozębą i jakąś czarnulką, pewnie by go odgonili. Alain przysiadł się do głupka, który obdarzył go uśmiechem i jednym z niezrozumiałych zdań.

– No – sierżant Fell kontynuował opowieść. Na lewym policzku miał solidną bliznę, której nie było, gdy wyruszał. – Potem hrabia nam mówi, że ruszamy na wschód dołączyć do króla...

– Nie! – wykrzyknęła kucharka. – Nie może być! Hrabia zdecydował się przysiąc wierność Henrykowi?

Alain zakrzuszył się. Odsunął nie dojedzoną owsiankę i zaczął się pilniej przysłuchiwać.

– Nie sądzę – odparł sierżant. – Myślę, że chciał tylko prosić Henryka o pomoc, bo te najazdy są okropne. Ale nie doszło do tego. Z zachodu przyjechał posłaniec z wieścią, że Eikowie znów najechali.

Kucharka potarła podbródek.

– Przecież spalili oba klasztory na wybrzeżu. Już nie ma tam żadnych skarbów, które by ich mogły kusić.

– Na wybrzeżu nie, ale gdyby popłynęli w górę Mese, dotarliby do klasztoru świętego Synodusza, bogato wyposażonego przez hrabiowskiego dziadka, a potem do fortecy.

– Kiedy byłem chłopcem – odezwał się stary Raimond drżącym głosem – postępowaliśmy wedle praw kościoła. Dzięki naszej wierze barbarzyńcy trzymali się dala od

Varre – rąbnął w stół glinianym kubkiem. – Zanim Henryk objął nie swój tron. Kiedy byłem chłopcem, Eikowie ruszyli na południowy zachód do Salii i spustoszyli ją. Uciekający Salianie osiedlili się tutaj. – Raimond był stary, łysy jak kolano, a jego broda przypominała słomę. – To było jeszcze za życia ostatniej córki Taillefera. Może i była biskupiną, ale ani jej modlitwy, ani saliańskie wojsko nie powstrzymały Eików. Trzeba im było w końcu zapłacić. – Zachichotał, zadowolony z niechęci, jaką Pan i Pani okazali Salianom. – Muszę przyznać, że to były ciężkie czasy.

Jeden z żołnierzy roześmiał się.

– Skąd wiesz, co siedziało się w Salii, skoro nigdy nosa nie wystawiłeś poza Lavas? – parsknął, zadowolony z odzywki, i zażądał więcej piwa.

Fell dzielił go przez łeb.

– Dosyć tego zuchwalstwa. Heric! Szanuj starszych, zrozumiano? Będę zaskoczony, jeśli pożyjesz tak długo jak on! – Inni zachichotali. – Mój stary wuj także mówił, że saliański król musiał zapłacić Eikom, a ci wycofali się, ale przedtem spustoszyli wieś. Słuchaj, kucharko, nie wiem, co zamierzają w sprawie Sabelli i jej wojska ani armii króla. Wiem, że posłano nas na rozkaz księcia do biskupa Thierry, aby wsparł nas kościelnym złotem, bo potrzebujemy broni i żywności. Mieliśmy zbyt wiele najazdów. Hrabia potrzebuje pomocy.

Withi zatrzymała się przy sierżancie i otarła o niego.

– Czy to prawda, że Eikowie to dzieci smoka? Że mają łuski jak wąż? I pazury?

Alain zadrzał. Ciekawość Withi nie miała granic.

– Słyszałem gorszą historię – odpowiedział Fell, kładąc jej dłoń na biodrze. – O ile jesteś wystarczająco dzielna, aby jej wysłuchać.

– Jestem!

Uśmiechnął się.

– Dobrze. Kiedyś mi mówiono, że Eikowie zrodzili się z czarnej magii i przekleństwa. Wielki smok został pokonany i kiedy zdychał, przeklął każdego, kto odważy się zbezczcić jego ciało. Ale kobiety z wioski słyszały opowieści o sile smoczego serca: sile, która pozwalała zauroczyć każdego mężczyznę. Rozcięły ciało smoka i wyrwały serce, zakrwawione i parujące. Pocięły je na kawałki i podzieliły między siebie.

– Zjadły je? – Withi skrzywiła się, wysuwając z uścisku sierżanta.

– Ano zjadły, aż do okruszynki. Zaszły w ciążę i kiedy urodziły, urodziły potwory!

Wszyscy słuchali w ciszy i podskoczyli na dźwięk ostatniego słowa. Sierżant zaśmiał się uradowany, że historia zrobiła wrażenie. – Mówili, że te potworne dzieci uciekły na północ i nikt ich więcej nie widział. Dopóki nie zaczęły nas najeżdzać stwory zwane Eikami.

– Widziałem jednego martwego – powiedział Raimond, którym opowieść specjalnie nie wstrząsnęła. – Nie dostrzegłem pazurów, ale skórę miał twardą jak wyprawioną, i lśniąca jakby złoto.

Heric znów parsknął.

– Jak złoto! Zbroję widziałeś, złupioną z jakiegoś saliańskiego trupa. Słyszałem, że porywają kobiety, a do czego potrzebne by im były kobiety... – przerwał i zmierzył Withi spojrzeniem – ...gdyby pochodzili od smoka? Są takimi samymi ludźmi jak ty czy ja.

– Och – rzekła Withi uszczypliwie – i przypuszczam, że uważasz, że stare ruiny na wzgórzu też zbudowali ludzie tacy jak ty czy ja, a nie demony, diabły czy inne bezbożne stworzenia?

– Cicho, Withi – warknęła kucharka.

Heric i kilku jego towarzyszy ryknęło śmiechem. Fell się nie śmiał.

– Jeszcze żeś nie widział Eików, Heric – mruknął. – Bo byś się nie śmiał. Niemądrze jest się śmiać z rzeczy, które na Ziemi zostawiły stwory, o których nic nie wiemy.

Starsi zamilkli, jakby połączeni jakimś wspomnieniem, ale młodszy zdawali się tego nie zauważać.

– Słyszałam – powiedziała Withi wyzywająco – że jeśli pójdzie się do ruin w Sobótkę, można zobaczyć duchy tych, którzy postawili te budowle.

– Pójdę z tobą – zaoferował się Heric, mrugając do towarzyszy – z ciekawości, co zobaczę. – Parsknęli.

– Nie żartowałbyś – powiedział Raimond jak echo sierżanta – gdybyś tam był. Oj, dobrze to pamiętam. Wiele lat temu była tu dziewczyna, która poszła w Sobótkę do ruin. Założyła się – spojrzał ostro na Withi. – O świcie wróciła na wpół obłąkana i w ciąży, jak się później przekonałiśmy. Umarła przy porodzie tego dziecka, które miała z tym, który tam straszyl! – złapał drżącymi rękami za kubek i znów załomotał nim w stół.

– Co? – parsknął Heric. – Urodziła Półgłówka?

– Nie, i nie śmiej się, chłopcze. Jeden z wieśniaków zabrał dziecko.

– A teraz posłuchaj mnie, Hericu – powiedziała kucharka tonem kogoś, kto nie uznaje sprzeciwu. – To, co mówi Raimond, to szczerą prawdą. To wcale nie było tak dawno, bo znałam tę dziewczynę za moich młodych lat. Była ładna, szczupła i czarnowłosa. Miała saliańskich rodziców, którzy uciekli przed Eikami. Poszła do ruin, choć wszyscy jej to odradzali, i powiedziała mi... – głos kucharki opadł do szeptu i przy stołach nastąpiła cisza jak makiem zasiał. Wszyscy przysunęli się, by posłuchać. – Powiedziała mi, że przyszedł do niej cień elfiego księcia, jednego z Zaginionych, i położył się z nią, tam w kaplicy, i że to jego dziecko nosiła. – Nikt, nawet Heric, nie pisnął. – Ale Pan i Pani nie pozwalają śmiertelnym sypiać z niewierzącymi Zaginionymi. Musiała za to zapłacić. Zmarła trzy dni po porodzie.

Alain nie spuszczał wzroku z kucharki. Sierżant opowiedział legendę, żeby przestraszyć Withi; ta historia była inna. Kucharka nie kłamała; mogła mieć tyle lat co jego matka. Miał czarne włosy i ostre rysy twarzy, a wszyscy w Osnie powtarzali, że wygląda jak ktoś z obcego kraju. A jeśli czarnowłosa Salianka była jego matką, a cień z ruin ojcem? Zagubiony! Czy to wyjaśniało, dlaczego przyszła do niego Pani Bitew? Zawsze czuł się inny – a często mówiono, że elfi ród to naprawdę demony, bo żyli dłużej niż śmiertelni, a jeśli ginęli

gwałtownie, ich dusze nie wstępowały do Komnaty Światła, tylko jako mroczne cienie skazane były na wieczną tułaczkę po świecie.

– I tak idę – rzekła Withi uparcie.

– I ja też – dodał Heric.

– Ty nie! – powiedział sierżant. – To rozkaz. Nie możemy marnować czasu. Rano jedziemy do biskupa Thierry.

– Nikt z was nie jest dość odważny, by tam pójść – stwierdziła Withi, pogardliwie potrząsając głową.

– Ja pójdę – odezwał się Alain i podskoczył, zaskoczony, że jego głos zabrzmiał tak donośnie w ciszy leniwego letniego popołudnia, powoli roztapiającego się w zmierzchu.

Wszyscy utkwili w nim spojrzenia. Większość żołnierzy ryknęła śmiechem, oglądając towarzysza Półgłówka. Pogardzali nim niemal tak samo jak tamtym.

Stary Raimond syknął, ale nic nie powiedział.

– Co to za szczeniak? – zapytał Heric. – Myśli, że jak mu coś na podbródku wyrosło, to już jest mężczyzną! Albo liczy, że się nim stanie! – jako jedyny zaśmiał się ze swojego dowcipu.

– To stajenny – rzekła kucharka z sympatią.

Alain stwierdził, że nie lubi być w centrum uwagi. Przywykł do anonimowości. Spuścił wzrok i wbił go w stół.

– Tylko on jeden ma dość odwagi! – stwierdziła Withi.

– Heric – rzucił rozzłoszczony sierżant. – Jeśli zachowasz się jak idiota, rano każę ci oćwiczyć. Hej, dziewczyno, zapewnię ci wieczorem lepszą rozrywkę.

Alain spojrzał na sierżanta, który przyciągnął Withi do siebie, ale ta zaparła się jak uparty muł i odepchnęła go.

– Śmieście się, ja idę.

Heric wstał.

– Nie pozwolę stajenne...

– Heric, siadaj albo oćwiczę cię tutaj!

Pijacka duma walczyła w Hericu o lepsze ze strachem przed upokorzeniem. Usiadł.

Półgłówek beknął i kiedy wszyscy się roześmiali, zamrugał łagodnie. Fell wrócił do rozważań o rajdach Eików i planach hrabiego, aby uchronić swe ziemie i nadbrzeżne wioski.

Alain wymknął się niepostrzeżenie, gdy tylko sierżant zaczął się rozwódzić nad ostatnią spaloną wioską i plotkami, że klasztor daleko na wschodzie, za wendarską granicą, został splądrowany przez Eików. Podobno zgwałcili i zamordowali wszystkie zakonnice i nowicjuszeki, darując życie tylko sędziwej przeorowsy, której okaleczyli stopy i zmusili do wędrówki do najbliższej wioski.

Zmierzchało, na niebie pojawiła się plejada gwiazd. To musiała być prawda! Tylko idąc do ruin w noc, kiedy powracały do nich cienie dawnych budowniczych, mógł się dowiedzieć

prawdy.

Ubrał się w czystą koszulę – ciotka Bel nigdy nie puściłaby go w jednej – i naciągał starą lnianą tunikę. Po chwili wahania pożyczył latarnię. Zabrał ze stajni solidną laskę i ruszył ścieżką, która wiała się wokół wałów i czterech drewnianych wież zamku Lavastina i prowadziła w las. Ani nie widział, ani nie słyszał Withi. Towarzyszyły mu tylko nocne zwierzęta: słyszał pohukiwanie sowy, łopot skrzydeł, pisk i szelest w poszyciu.

Było bardzo ciemno, księżyc nie świecił, a gwiazdy zdawały się niezwykle jasne. W końcu jego oczy przyzwyczały się do mroku. Nie odważył się jeszcze użyć latarni: oliwa była zbyt cenna. Zejście ze wzgórza i wspięcie się na następne porośnięte dzikimi chaszczami, zajęło mu sporo czasu: kiedy ścieżka doprowadziła go do miejsca, w którym nagle urywała się linia drzew, jasnoczerwona gwiazda – Oko Węża – stała już wysoko na niebie.

Alain zatrzymał się na krawędzi lasu. Kończył się tutaj niespodziewanie, a stare grube drzewa rosły równo na brzegu przesieki. Na łące nie było samosiejek. Las nigdy nie zajął tych kamieni, choć tyle lat musiało upłynąć, odkąd zbudowano miasto, które teraz zostało kompletnie zniszczone – pewnie postawiono je na długo przed cesarzem Tailleferem, może nawet zanim błogosławiony Daisan pierwszy raz przyniósł wiernym nowinę. Było tu coś nienaturalnego.

Od razu wiedział, że kamienie zdawały sobie sprawę z jego obecności.

Zewnętrzny kamienny krąg – wysokości Alaina – otaczał ruiny. Drzewa rosły na zboczu wzgórza. Było tu znacznie ciszej niż w lesie. Kiedy tak patrzył, w górze przemknął cień i zniknął wśród drzew. Złapał laskę mocniej i ostrożnie ruszył po nierównym terenie ku dziurze w murze. Wyglądała jak wejście dla służby albo bramka, albo coś tajemnego nieznanego ludziom. Spadający kamień częściowo zablokował wejście. Jeśli wyłom kiedyś zamykały drzwi, zniknęły. Ostrożnie wszedł na kamień i z jego szczytu spojrzał na ruiny.

Kamień świecił bladym, fosforyzującym światłem jak mgła i wodorosty w zatoce Osna. Gwiazdy świeciły niezwykle jasno. Kilka konstelacji, które znał – nauczony przez ojca, który musiał być nawigatorem, skoro chciał być kupcem – jaśniało nienormalnie, zupełnie jakby niewidzialna siła wydobywała z nich więcej światła.

Wśród ruin pełzało więcej cieni, niż powinno. Padały pod dziwnymi kątami, nieprzynależnymi do żadnych z ruin. Powietrze drżało, niosąc strzępy dźwięku...

Zamarł, przerażony. Niemy kształt przeleciał nad ruinami. Alain odprężył się: to tylko sowa.

Długo tam stał, balansując na kamieniu, patrząc. To nie była dobra noc na spacer między ruinami. Teraz to wiedział. A jednak musiał zobaczyć kaplicę, sprawdzić, czy poczuje z nią związek, zew krwi. Zapalił latarnie i zamrugał, oślepiony. Cienie na ziemi i ścianach poruszyły się, gdy zrobił krok w przód.

Uświadomił sobie, co widział.

Widział cienie tego, co istniało tu niegdyś, a nie cienie ruin. Białe światło latarni i blask kamienia pokazywały budynki, jakby ich nie zburzono. Koronka łuków, kolumn i ścian rozciągająca się w niemożliwy cień na ziemi była obrazem starego fortu, ożywającego w Sobótkę. Widział cztery budynki: na zachodzie, na południu, na wschodzie i na północy, a na środku okrągłą budowlą: łączyły je arkady.

W lesie trzasnęła gałąź. Przycisnął się do kamienia i spojrział w tył. Nie było nikogo, nikt nie pojawił się na skraju przecinki. Tym dziwniejsze było, że cień zewnętrznego muru nie zmienił się ani na jotę: nadal był cieniem budowli zniszczonych przez czas. Czar, o ile to był czar, działał tylko wewnątrz ruin.

Zsunął się z kamienia i wolno ruszył do starożytnego fortu. Okrążając cienie nie istniejących kamieni, ujrzał, że były one obrobione znacznie staranniej niż te z zewnętrznego muru; różniły się od niego tak, jak wierzchowiec hrabiego od osła, którego on i Półgłówek zaprzęgali do wózka z gnojem.

Trawa wyrastała ze szczelin w chodniku. Przyklęknął i przejechał palcami po gładkiej powierzchni, zbyt gładkiej, aby wyszła spod ludzkich rąk. Ściana najbliższego budynku sięgała mu do pasa. Zbudowano ją z kamienia czarnego jak smoła. Przysunął do niej latarnię; w kamieniu wyryto zamazane teraz rysunki, przedstawiające sztywne stworzenia o ciałach kobiet i głowach węży, jastrzębi i wilków; ich oczy lśniły jak drogie kamienie. Dalej, na końcu ulicy, centralny budynek jaśniał z zadziwiającą siłą. Jego biały kamień zdawał się sięgać do nieba, dotykając konstelacji: Miecza, Drzewca, Pucharu i samej Królowej, której Łuk był wycelowany w Smoka – i ściągając w siebie ich światło po niewidzialnych niciach, oddając je w swym blasku.

Okrągły i biały. Kaplica.

Od odległej ściany oderwał się cień. Alain skoczył na równe nogi i zamarł, nagle niezdolny do ruchu. To nie była Withi.

To był człowiek, idący ku kaplicy.

A jednak to nie był człowiek. Tak, wysoki i szczupły, ale szedł z odmiennym, nieokreślonym, subtelnym wdziękiem i nosił inne odzienie. Sylwetka zatrzymała się przed zacienionym wejściem do kaplicy i obróciła powoli, obserwując ruiny. Za pierwszym razem jego spojrzenie przesunęło się po Alainie, jakby był niewidzialny.

Był niepokojącym i wspaniałym połączeniem cienia i rzeczywistości. Mimo ciemnej skóry Alain wyraźnie widział jego rysy: szczupłą twarz jak z brązu i głębokie stare oczy pod burzą czarnych włosów.

Czarnych jak włosy Alaina. Mężczyzna był gładko ogolony albo w ogóle bez zarostu, chociaż wszyscy mężczyźni wari tego miana, których Alain znał, nosili brodę. Ale ten nie był prawdziwym mężczyzną. Nosił piękny metalowy napierśnik, ozdobiony rysunkami splecionych bestii, których ogony przechodziły we frędzle kończące się nad kolanami. Pod napierśnikiem miał białą, lnianą tunikę, a na lewym ramieniu udrapowany biały płaszcz.

Szukał czegoś. Lub kogoś.

Alain usłyszał ciche ostrożne kroki. Po swojej prawej stronie, przez dziurę w murze, ujrzał kształt dziewczyny. Jej ruchy były ciężkie; od razu zidentyfikował ją jako śmiertelną. Rozglądała się wokół, patrząc na cień i najwyraźniej go nie widząc, a potem zobaczyła Alaina. Albo jego latarnię.

– Alain? – zapytała niespokojnie. – To ty?

Alain zrobił krok w przód. Cień zrobił to samo i ich spojrzenia spotkały się.

Ogarnęła go słabość, w uszach zaryczał huk odległych płomieni. W nozdrzach poczuł ciężki gryzący dym.

– Dokąd poszła Liathano? – Cień trzymał w dłoniach oszczep, ostry i śmiertelny, wycelowany w niebo.

– Nie... nie wiem – wyjąkał Alain. Nie mógł oderwać wzroku od oczu cienia: lśniły jak kaplica, jak całe ciało cienia, złotem, nie bielą. Usłyszał galopujące stado koni, dalekie krzyki, słaby głos rogu niesiony wiatrem.

– Tyś nie z krwi – rzekł ostro cień, podnosząc wyzywająco oszczep. – Ale jakże inaczej mógłbyś tu być? Jak cię zwą? Kto jest twą matką? Jak tu przybyłeś?

Chociaż ciągle patrzył na cień, kątem oka dostrzegał zjawy budynków. Stały wysokie, piękne, zadziwiająco lekkie jak na coś stworzonego z kamienia, ale teraz pełzał po nich czerwony blask ognia. Płoną. Płoną. Wiatr zawiął mu w twarz śmierdzącym oleistym dymem pożaru. Zakaszłał.

Prawdziwie zagubiony książę. Teraz Alain rozumiał, co się działo, co widział: ostateczne zniszczenie fortu. Odgłosy walki zbliżały się jak straszliwa muzyka losu.

– Mam na imię Alain – rzekł, desperacko pragnąc pomóc, choć wiedział, że fort skazany był na zagładę. Co mógł zrobić? Kim była Liathano? Czy to był cień jego ojca? – Nie wiem, jak się tu dostałem. Nie wiem, kto jest moją matką.

– Jesteś człowiekiem – powiedział książę, a jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia – a jednak naznaczonym. Gdybyśmy mieli czas na rozwiązanie tej zagadki. – Podniósł głowę. Odwrócił wzrok od Alaina, jakby ktoś zawołał go po imieniu.

Rozległ się wrzask przerażenia. Alain zadrżał i podniósł dłoń, przyciskając ją do pulsujących skroni.

– To ty, Alainie!

Przez ból w głowie słyszał, że ktoś idzie ku niemu po popękany chodniku.

– Widziałeś to? Słyszałeś to? – Rzuciła mu się na szyję. Zatoczył się pod jej ciężarem i upuścił latarnię. Bryznęła oliwą. – Były całe czarne, biegły przez niebo jak ogary hrabiego, ale wyły z głodu! Gdyby nas złapały, pożarłyby żywcem!

Ciepło jej ciała przegoniło mgłę z jego umysłu. Odepchnął ją, chociaż cały czas paplała o czerwonych oczach i sześcionogich psach, złapał latarnię i wbiegł do kaplicy. Cień zniknął.

– Nie wchodź tam! – krzyknęła, kiedy Alain przestał puste drzwi.

W środku nie było niczego poza błyskiem zrzuconych ścian i owalnym kształtem z jasnego marmuru – który tacy jak kucharka nazwaliby ołtarzem – zakopany w ziemi pośrodku komnaty. Niczego poza trawą i krzewem, którego liście były lepkie i zostawiły sok na palcach Alaina. Na zewnątrz usłyszał szloch i kroki Withi na zrzuconej ulicy.

Usiadł na ołtarzu.

To miejsce, posterunek starego Imperium Dariyańskiego, stało tutaj przez lata, których nawet nie umiał zliczyć, bo wiedział tylko, że Zagubieni żyli o wiele dłużej niż ludzie. W końcu umarło, płonąć, podczas gdy zagubiony książę szukał swej Liathano, a konie cwałowały w noc malowaną na czerwono przez ogień.

Blask kamieni przygasł. Gwiazdy zatraciły cudowną jasność i wirowały dalej, zmierzając na zachód. Podniósł dłoń do twarzy i odkrył, że oczy ma pełne łez. Nad jego głową przeleciał cień; sowa wyruszyła na łów.

2.

Lato minęło. Alain nie miał ochoty wracać do starych ruin, wiedząc, że zastanie je puste. Nie było w nich odpowiedzi. Withi się do niego nie odzywała, a kiedy na nią patrzył i wspominał jej uścisk, ciepło jej ciała, wiedział, że oplotkowała go przed innymi. Zgorzkniał i zamknął się w sobie.

Nic nie zakłócało spokoju długich letnich dni. Zebrano jęczmień, owies prawie dojrzał. Kasztelanka Dhouda wróciła do Lavas z Aldegundą, żoną Godfryda, kuzyna hrabiego. Piętnastolatka zaledwie, dotarła na miejsce wyczerpana drogą i zaawansowaną ciążą. Najemnik, który przybył pracować przy zniwach, był miesiąc wcześniej w Osnie: przekazał, że ciotka Bel i jej rodzina mają się dobrze i zatrudnili go na trzy dni przy obróbce kamieni do żaren.

Na świętą Tianę Radosną, męczeńską patronkę Bensu, przybył jeździec. Alain obserwował go z szopy, w której wiązał w snopy zboże z drugiego pokosu.

Mężczyzna miał głowę obwiązaną brudnym białym bandażem, zakrywającym prawe oko i ucho. Zakrzepła krew plamiła materiał na brązowo. Jego znoszone odzienie połatano przy pomocy starej tuniki i kaftana. Kiedy zsiadł z konia, utykał. Alain nie od razu rozpoznał w nim Herica, pyszałkowatego młodego żołnierza. Mężczyzna spokorniał.

Alain oparł się o niskie ogrodzenie otaczające szopę i słuchał posłania, jakie wygłaszał Heric do kasztelanki i fratra, który chodził za nią jak cień. Ludzie zgromadzili się, aby usłyszeć nowiny.

– Zakończyliśmy tegoroczną kampanię. Wiatry się zmieniają. Eikowie odpłynęli z powrotem na północ, zimować w swoich portach. Atakowali na całym wybrzeżu. Ale w końcu trzy z ich okrętów utknęły na Vennu w czasie odpływu. Zbudowali barykadę, ale hrabia poprosił Pana i Panią o łaskę i poprowadził atak. Zdobyliśmy ją! – uderzył pięścią w

otwartą dłoń, uśmiechając się. – Nawet ich psy schodziły nam z drogi, a są zajadlejsze niż ich panowie, bo każdego, kto znajdzie się w zasięgu ich zębów, pożerają. – Słuchacze zamruczeli z uznaniem, a Heric kontynuował: – Tym razem wyróżniłmy Eików jak owce. Ale prawda, mają mocne grzbiety, twarde i lśniące, jakby wypalili się w piecu, a nie zrodzili z niewiasty jak my. Ci, którzy uciekli na równinę, utonęli, kiedy nadszedł przypyływ, oni i ich psy!

– Słyszałam, że są zmiennokształtni – rzekła kucharka, która przepchnęła się do pierwszego szeregu. – Pół ryby.

Heric wzruszył ramionami. Triumf zniknął z jego oczu: był już tylko zmęczony.

– Toną jak my. Nie widziałem, żeby jakiś odpłynął. Wzięliśmy jeńca, księcia krwi. Lord Godfryd chciał go zabić, ale hrabia w swej mądrości rzekł, że lepiej, aby zapłacili, a nie szukali zemsty. Przywiozą tu tego barbarzyńcę w klatce, z ogarami hrabiego przywiązanymi do krat, żeby nikt nie dopomógł mu w ucieczce. – Zadrżał i nakreślił Koło Jedności na piersi.

Kasztelanka rzuciła okiem na podjazd, zapamiętując każdego, kto przyszedł posłuchać.

– Kiedy przybędzie jego lordowska mość?

– Za pięć dni. Ostro maszerowali, kiedy odjeżdżałem. To było długie lato, pełne bitew. Tęskno nam do domu.

– Idź z kucharką, nakarmi cię. – Dhouda skinęła na kobietę, która pognała do kuchni. – A potem wrócisz do mnie – jak ci na imię? Złożysz mi bardziej szczegółowy raport. – Znów zmierzyła wzrokiem słuchaczy. Alain, na wpół ukryty, patrzył, jak inni spieszenie się oddalają. On pozostał.

Kiedy dziedziniec opustoszał, Dhouda nakazała posłańcowi poczekać.

– Czy hrabia wydał polecenia, gdzie trzymać jeńca? W lochach? Czy w wieży?

– Nie jestem pewien, pani – rzekł Heric ze zwieszoną głową. Alain dziwił się, jak też młody żołnierz zmienił się od początku lata. – Sądzę, że chce go trzymać w psiarni razem z ogarami. Słyszałem na własne uszy, jak mówił, że tylko w ten sposób może być pewien, że Eikowie nie wykorzystają nadnaturalnych mocy do ucieczki.

Wyraz twarzy kasztelanki nie zmienił się, za to frater nakreślił krąg na piersi.

– To wszystko – rzekła. – Możesz odejść.

Heric skłonił się i pokuśtykał do kuchni.

Dhouda i frater ruszyli ku bramie. Alain, ukryty w mroku, usłyszał ich głosy.

– Czy to prawda – rzekł frater – że te czarne ogary zabiły żonę i córkę Lavastine’a? I że hrabia trzyma je, bo jego dziadek zawarł pakt z demonami, które zmieniły się w psy?

– Nie powtórzę tego ponownie – odpowiedziała Dhouda. Alain musiał nadstawić uszu, aby ją usłyszeć. – Mówienie tutaj takich rzeczy, fratrze Agiusie, jest równie mile widziane co głoszenie herezji na dworze skoposy.

– Ale wy wiecie, że to prawda?

– Prawdą jest, że pierwsze ogary i potomkowie tych pierwszych słuchają tylko urodzonych hrabiów Lavas. Nikt nie wie, skąd się wzięły, tyle tylko, że przysłał je w darze

saliański biskup...

Szli dalej i Alain już ich nie słyszał. Wszyscy mówili, że ogary podróżowały wszędzie z hrabią Lavastine'em. Nikt prócz niego nie mógł ich utrzymać i rozerwały już niejednego służącego. Nawet Rodlin, zajmujący się stajniami i psiarnią, nie potrafił sprawować nad nimi kontroli.

– Konie – rzekł Półgłówek.

W każdym razie wydał z siebie dźwięk, który oznaczał konia, co Alain rozpoznał, kiedy chłopiec odrzucił głowę do tyłu i zaczął grzebać nogą w ziemi, zupełnie jak wierzchowiec. Wciągnął powietrze, jakby potrafił wyczuć ich zapach. Może potrafił. Kucharka czasem nazywała go podrzutkiem i chociaż wyglądał jak człowiek, miał iście goblini talent do oswojania zwierząt. Inni, oczywiście, mówili, że boże stworzenia rozpoznają w głupcach podobne sobie niewiniątka.

Półgłówek niecierpliwie wypadł na zewnątrz.

Alain skończył oliwienie uprzęży. Od przybycia Herica z wieścią o powrocie hrabiego minęło osiem dni. Alain mógł jeszcze poczekać. Dzień wyznaczony na powrót był znaczący: na porannej mszy diakonisa przypomniała, że dziś wypadło świętego Laurencjusza, tego samego, którego kości spoczywały w relikwiarzu kaplicy fortecy Lavas tuż za miastem. Lavas było chronione przez Laurencjusza. W relikwiarzu z kości słoniowej spoczywały szczątki męczennika i kawałek skórzanego pasa, którym przymocowano go do koła, na którym zginął w ostatnich dniach Imperium Dariyańskiego. Myśli Alaina pomknęły ku gwiazdom, które zataczały nieustanne koło nad jego głową. Pomyślał o Sobótce i swej wizji, i o odrzuceniu przez Withi.

Westchnął. Ciotka Bel powiedziała mu, że z posługaczką taką jak Withi nie ma się co zadawać, ostro przypominałaby mu, że jako przyszły kleryk miał trwać w celibacie. Ale nie mógł przestać myśleć o Withi, chociaż ciotka Bel miała rację.

Kiedy odwiesił uprzęż na kołek i wyszedł przed stajnię, dostrzegł strażnika na wieży, machającego do ludzi zgromadzonych w dole:

– Najeżdżają! Hrabia przybywa!

Podwórzec zatętnił życiem.

Alain i Półgłówek zeszedli z drogi i schowali się w rogu stajni. Stamtąd patrzyli na zbrojnych przekraczających bramę, prowadzonych przez człowieka, który mógł być tylko hrabią. Lavastine dosiadał kasztanowego ogiera. Jego krewniak Godfryd jechał przy nim na kobyle, odziany w piękną zbroję; towarzyszył im młodzieniec w płaszczu spiętym broszą ze znakiem Królewskich Orłów. Otaczali ich kapitan, dwóch kleryków i tuzin innych jeźdźców, których Alain nie znał. Piechotę prowadził sierżant Fell, a na końcu jechały wozy i juczne muły wzniecające kurz.

Hrabia osadził ogiera naprzeciw schodów do dworu. Czekala tak kasztelanka Dhouda, jej

orszak i młoda żona Godfryda, Aldegunda z ogromnym brzuchem. Kiedy hrabia zsiadał z konia, Półgłówek rzucił się naprzód i stanął obok, przestępując z nogi na nogę; hrabia rzucił wodze kapitanowi i ruszył powitać krewniaczki. Kapitan spojrzawszy na Półgłówka i leciutkim skinieniem głowy pozwolił chłopcu iść obok, gdy prowadził konia do stajni.

Nagle wszystkie wierzchowce na podwórku odrzuciły łby w tył i zarżały. Jeden z kleryków ciężko rąbnął o ziemię, a lord Godfryd zaklął i ściągnął klacze wodze. Tylko prowadzony przez Półgłówka kasztan zachował spokój. Powietrze przeszło wycie, ujadanie i groźny warkot. Hrabia Lavastine zostawił kobiety i zbiegł po schodach.

Przez bramę wjechał wóz zaprzężony w cztery woły. Przy pierwszym szedł mężczyzna, trzymając się jak najdalej od wozu. Sześć czarnych ogarów warczało i kłapało pyskami na żołnierzy i gapiów, którzy cofali się, krzyczeli albo przeklinali. Wściekle ujadające psy przytrzymały krótkie grube łańcuchy przymocowane do wozu. Na środku wyrastał krzyż z solidnych belek. Na krzyżu rozciągnięto...

To nie był człowiek.

Alain cofnął się, ale nie z powodu psów, jak wszyscy, ale na widok więźnia.

Książę Eików. Opowieść sierżanta Fella o smoczym sercu i kłatwie nagle stała się bardziej wiarygodna.

Alain widział już takie stworzenia: malowane bestie, tym straszniejsze, że podobne do ludzi, które zamordowały kruchego łagodnego brata Gillesa i innych mnichów z Klasztoru Smoczego Grzbietu. Spirale na piersi i twarzy tego już wyblakły. Twarde białe pazury wyrastały z wierzchów kościstych palców. Stworzenie nosiło na prawym ramieniu obręcz z litego złota, a dwie brązowe, zwinięte jak węże obręcze ozdabiały lewe. Miał na sobie sztywne spodnie ciężkie od błota i pas przepięknej roboty, ze złotych kółek i delikatnej emalii, opinający wąską talię i zwieszający się po biodra. Od pasa w górę był nagi, a jego skóra pod farbą przypominała polerowaną miedź. Chociaż dziki, w każdym calu wyglądał na aroganckiego księcia o ciemnych wąskich oczach i białych włosach, zebranych w gęsty warkocz długi do pasa. Jego wąskie wargi rozchylone były w grymasie przywodzącym na myśl psa szczerzącego zęby, a nie ludzki uśmiech. W zęby wprawione miał klejnociki, które przydawały grymasowi niezwyklego blasku.

Łańcuchy przykuwały jego kostki do podstawy krzyża i unieruchamiały rozłożone ręce. Balansował całym ciałem, kiedy wóz podskakiwał na nierównościach. Psy skakały dziko, miotając się wokół wozu, warcząc i gryząc wściekle. Nikt nie odważył się podejść. Książę Eików patrzył wyzywająco na ludzi. Ci z fortecy i podzamcza cofali się; nawet kilku żołnierzy zrobiło krok w tył, kiedy książę wznosił się nad nimi dumny, choć w łańcuchach.

Lavastine odwrócił się, by porozmawiać z Dhoudą. Więzień odrzucił głowę w tył i zawył.

Psy oszalały.

Zaszarpały wściekle łańcuchami, topiąc dzikie wycie w kakofonii ujadania. Czarne jak bezksiężycowa noc, wzbudzały przerażenie.

Z trzaskiem ułamała się burta wozu. Dwa ogary rzuciły się w przód. Jeden z nich oderwał się od wozu i skoczył, atakując najbliższego żołnierza. Przewrócił go i sięgnął do gardła. Na początku nikt się nie ruszył; potem wybuchły krzyki. Tłum rozproszył się, gdy bydlę, zostawiwszy za sobą leżące w kałuży krwi ciało, pognało do hrabiego. Na podwórku wybuchła panika i zapanował chaos.

Ale drugi pies się nie uwolnił. Skoczył dziko za towarzyszem, a kiedy zatrzymał go naciągnięty łańcuch, zawarczał groźnie, odwrócił się i ruszył na wóz, by zaatakować jeńca.

Alainowi zdawało się, że ta chwila ciągnie się w nieskończoność; nikt nie zauważył, że bezbronny książę został napadnięty. Żołnierze biegli niemożliwie powoli ku leżącemu towarzyszowi; wozak walił wołu w łeb, ale po co? Alain oderwał się od ściany. Kiedy biegł przez podwórzec, miał wrażenie, że świat zawężił się do niego, księcia i dzikiego psa.

Dopał wozu. Złapał psa za tylne łapy, ugiął kolana i pociągnął z całej siły.

Usłyszał kolejny krzyk. Potknął się i upadł. Pies ciężko runął na niego; przez chwilę Alaina sparalizowało. Zwierzę miotało się, jego pazury rozrywały tunikę Alaina i wrzynały się w ciało. Z głębi gardła dobywał się warkot.

Alain wpatrywał się w rozwścieczone, ciemnobursztynowe, tępe oczy. Usłyszał drugie warknięcie. Zrozumiał, że leży w zasięgu kłów jednego z ciągle uwiązanych ogarów. Ślina spadła mu na twarz, zobaczył kły.

Te potężne szczęki zaraz rozedrą mu twarz.

W oddali słyszał śmiech.

A ponieważ miał umrzeć, powiedział spokojnie i stanowczo pierwszą rzecz, jaka mu przysła do głowy:

– Siad.

Dyszący ogar usiadł mu na biodrach. Jego ciężar wcisnął Alaina w ziemię, aż poczuł, że w ciało wbijają mu się drobne kamyki. Ślina spływająca po psich wargach moczyła mu tunikę. Drugi ogar zaczął go lizać po twarzy, ugniatając policzek mokrym ozorem.

Nagle oba psy spojrzały w górę i zawarczały groźnie na żołnierzy, którzy postąpili kilka kroków w ich kierunku i opuścili oszczepy, ale nawet uzbrojeni bali się podejść bliżej. Mężczyzna za nimi na przemian wył i jęczał z bólu. Inny wydawał rozkazy ostrym głosem, ale z jakiegoś powodu Alain nie potrafił rozróżnić słów. Jego wzrok przesunął się po czarnym grzbiecie siedzącego na nim psa i spotkał się z oczami księcia Eików. Były czarne jak obsydian. Jeniec uśmiechał się do niego. Jego zęby przypominały psie kły: były białe i ostre. Ogar rozdarł jedną nogawkę, a przez podartą tkaninę sączyła się krew. Dużo krwi, gęstej jak ludzka, ale o zielonym połysku. Jeśli czuł ból, nie okazywał tego.

Pies siedzący na Alainie nagle skoczył w przód, przedarł się przez okrąg opuszczonych oszczepów i zacisnął szczęki na ramieniu żołnierza. Formacja rozpadła się, a żołnierze rzucili do ucieczki. Biedny żołdak wyrwał ramię, krzycząc z bólu, i uciekł. Przytrzymywany łańcuchem pies cofnął się i warknął. A potem, zadowolony, wrócił i usadowił się na nogach

Alaina.

– Do tyłu! Zabrać ich do szpitala. Dawać wóz do psiarni. Dalej, człowieku, popędź woły. Stój. Niech chłopak wstanie.

Pojawił się hrabia Lavastine z czarnym ogarem u boku; pies wciskał pysk w dłoń pana. Książę Eików podniósł wzrok i wpatrzył się w tego, który go schwytał.

– Smutek! Wstawaj!

Ogarowi było wygodnie na nogach Alaina.

– Wstawaj! – Coś w tonie hrabiego sugerowało, że nie toleruje nieposłuszeństwa wasali. Smutek podniósł się ciężko, i napinając łańcuch, spróbował podejść do swego pana, potem zrezygnował.

– Wstawaj! – powiedział hrabia.

Alain nagle uświadomił sobie, że Lavastine mówił do niego. Pozbierał się więc i ledwo miał czas uskoczyć z drogi, kiedy wozak popędził woły przez podwórze.

Alain patrzył prosto na Lavastine'a. Hrabia był drobnym mężczyzną, niższym od chłopca. Jednak należało się z nim liczyć. Zmierzył Alaina wzrokiem i spojrzał w dal. Dwóch poturbowanych żołnierzy wyniesiono. Lord Godfryd i dwaj klerycy zatrzymali się w sporej odległości. Pies podstawiający uszy pod palce Lavastine'a zawarczał, ale Alainowi wydało się, że raczej z obowiązku niż z przekonania.

– Zabierz Furię do psiarni – nakazał hrabia, bez ceregieli wręczając Alainowi zerwany łańcuch. Jego ogniwa były zimne i szorstkie. Lavastine odwrócił się i podszedł do Godfryda, a potem, jakby nic się nie wydarzyło, wrócił do kasztelanki i zniknęli we wnętrzu forticy.

Alain popatrzył na Furię. Obwąchiwała jego stopy i kolana. A potem wzięła jego dłoń między zęby i zaskomlała.

Ta garstka, która nie uciekła, gapiała się na niego z bezpiecznej odległości, pochowana za płotami i drzwiami, chroniona przez jakąkolwiek broń, choćby widły. Furia zamachała masywnym ogonem, waląc Alaina po biodrze. Delikatnie wyjął dłoń z jej paszczy. Tam, gdzie zacisnęły się kły suki, widniały czerwone ślady, ale skóra pozostała nienaruszona. Alain mocniej chwycił łańcuch i wziął głęboki wdech.

– Chodź, mała – powiedział i ruszył, przygotowany na opór. Ale Furia posłusznie poszła za nim, zatrzymując się tylko po to, aby warknąć i wyszczerzyć zęby na każdego, kto się zbliżał. Frater Agius stał na schodach i przyglądał się im z marsową miną, kreśląc koło na piersi. Alain zadrżał. Było jak wtedy w Sobótkę w ruinach, kiedy zrozumiał, że porzucił dotychczas znany świat. Jakby nie wystarczało, że wszyscy się na niego gapili i na pewno będą gadali o dzisiejszych wydarzeniach, to jeszcze frater Agius go naznaczył...

Alaina nigdy nie obchodził wojowniczy blask w oczach fratra Agiusa, tak różny od cichego spokoju przepelniającego spojrzenie i jestestwo brata Gillesa.

Skreślił za róg dworu, minął grupę żołnierzy, którzy cofnęli się, choć i tak nie stali zbyt blisko. Zakreślili krąg, jakby bronili się od złego. Słyszał ich szepty.

– To nieczyste, mówię wam.

– Te bydlaki nie słuchają nawet pana Rodlina, tylko jego lordowskiej mości albo jego dziedzica, gdyby takiego miał.

– Myślałem, że je zarżnie po tym, co zrobiły jego dziecku...

– Cicho. Nie wspominaj o tym.

– To nieczyste. Diabelska krew. Mój tata mówił, że psy są posłuszne hrabiemu albo jego następcy, albo tym, w których wyczują diabelską krew. Te psy były chowane przez elfów.

Alain wbił wzrok w ziemię i udał, że nie słyszy. Jego myśli zakłócił chór wściekłego ujadania. Przeszedł przez palisadę i przekroczył niski mur otaczający psiarnię.

Psy przywiązane do wozu darły ziemię. Szarpały łańcuchy i kłapały na Rodlina i jego pomocników, którzy nosili ochraniacze na rękach i nogach. Księżę Eików, którego biodro wciąż krwawiło, przyglądał się spektaklowi z chłodną pogardą.

– Idź – powiedział Alain tonem, który w jego mniemaniu był rozkazujący, popychając psa w stronę bramki prowadzącej do kojca. Ale wóz jeszcze nie wjechał, chociaż woły już wyprzęgnięto i Furia pociągnęła Alaina w przeciwnym kierunku, najwyraźniej mając ochotę kogoś potar mosię. Kilku żołnierzy ruszyło za nim. Byli oni strażnikami księcia Eików, ale bardziej bawiło ich przyglądanie się, jak Rodlinowi i jego pomocnikom uda się wsadzić psy do klatek, nie pozwalając rozedrzeć się na strzępy.

Alain westchnął i popchnął niewdzięczną Furię ku bramie:

– Właź! Do środka! – Suka weszła, skomląc przepraszająco. Alain wrócił do wozu. Smutek złapał jednego z pomocników za nogę i nadweręzał ochraniacz, próbując dostać się do ciała.

– Nie wolno! Siad! – Alain złapał ogara za obrozę. Smutek zaskomlał i usiadł, puszcając nogę mężczyzny, który odskoczył i ciężko opadł na ziemię. Rodlin i drugi pomocnik szybko usunęli się z zasięgu kłów. Patrzyli z niechęcią na Alaina i psy.

Bali się go tak samo jak tych bestii. Oj, Pani i Panie, czym też sobie na to zasłużył?

– Chodź, mały – powiedział do Smutka. – Do środka. – Pojedynczo doprowadził pięć psów do kojców. Cztery inne, przywiezione w oddzielnej klatce, już uwiązano w środku. Usiadł z nimi pod ścianą, uspokajając słowem i czasami czynem, kiedy żołnierze pospiesznie wtaczali wóz z księciem do zadaszonego szałasu, wzniesionego na rozkaz Dhoudy na samym środku psiarni. Gdyby więzień w jakiś sposób wyzwolił się z łańcuchów i klatki, musiałby stawić czoło ogarom.

– Trzeba będzie opatrzyć mu ranę – powiedział Rodlin, patrząc na księcia z platformy wzniesionej na palisadzie – ale sądzę, że pogryzie medyka równie skutecznie, jak psy.

Księżę nie spuszczał z nich oczu. Krew ciągle ciekła z rany, ale zdawał się na to nie zważać.

Do psiarni zajrzał kleryk, rzucając nerwowe spojrzenia na ogary i więźnia.

– Panie Rodlinie, przepraszam – wrzasnęła, kiedy wreszcie dostrzegł platformę. – Jego

lordowska mość chce widzieć was i chłopca.

– Jakiego chłopca? – zapytał Rodlin. Wszyscy natychmiast spojrzeli na Alaina. Chwilę później księżę Eików też odwrócił ku niemu oczy. Alain poruszył się niespokojnie. Smutek i Furia, siedzące u jego stóp, zawarczały.

– Wszyscy precz – nakazał Rodlin. Pośpiech, z jakim żołnierze i pomocnicy zastosowali się do tego rozkazu, sprawił, że na wargach jeńca wykwitł pogardliwy uśmiech. – Chodź, Alain – Rodlin ruszył ku schodom. Alain puścił psy. Skoczyły przed siebie i zaczęły biegać dookoła psiarni, ujadając. Furia i Smutek poszły za nim do bramy, ale pogłaskał je po łbach i obiecał, że wróci. Wyślizgnął się i zamknął bramę, którą pomocnicy szybko zabezpieczyli.

– Za mną – rzucił Rodlin. Kleryk podązał przed nimi, kiedy w ciszy szli ku dworowi.

Alain nigdy nie wchodził dalej niż do wielkiej sali jadalnej. Rodlin poprowadził go teraz do drzwi, za którymi był mały dziedziniec pełen kolorowych kwiatów i pachnących ziół, a potem krętymi schodami do okrągłej komnaty w kamiennej wieży. Komnatę pobielono wapnem, a wspaniałe okno z witrażem przedstawiającym męczeństwo świętego Laurencjusza wpuszczało strumień światła. W komnacie było też drugie okno, bez szyby; okiennice otworzono szeroko, aby powietrze mogło swobodnie wpadać do środka. Lavastine siedział za stołem, otoczony przez Dhoude, Agiusa, Godfryda i kapitana gwardii.

Hrabia podniósł wzrok znad dokumentów, kiedy Rodlin i Alain weszli do komnaty. Kleryk stanął przy lordzie Godfrydzie. Rodlin zgiął kolano, oddając swemu panu cześć i Alain poszedł w jego ślady. Kolana się mu trzęsły.

Lavastine wrócił do innych zajęć.

– Wierzę, że w tym roku już nic nam nie grozi – powiedział do Godfryda. – Nie potrzebuję już ciebie i twego wojska. Możesz wracać do posiadłości żony, kiedy tylko będziesz gotowy.

– Tak, kuzynie – zgodził się Godfryd. Choć wyższy i cięższy od krewniaka, zdawał się być kompletnie przytłoczony przez starszego kuzyna. – Mam jednak nadzieję, że zniesiesz naszą obecność jeszcze miesiąc czy dwa. Moja droga Aldegunda jest młoda, a to jej pierwszy poród. Dobrze by było...

– Tak, tak! – Lavastine niecierpliwie zabębnił palcami po stole. – Oczywiście, że nie możecie wyjechać, dopóki lady Aldegunda nie urodzi, a dziecko nie nabierze sił, aby odbyć pięciodniową podróż. – Jego usta wykrzywiły się w czymś, co mogło zostać uznane za uśmiech. – W końcu to dziecko, jeśli Bóg da mu życie i zdrowie, zostanie dziedzicem moich ziem.

– Chyba, że znów się ożenisz – powiedział ponuro Godfryd. Ale nawet Alain wiedział, że taki miły i pozbawiony ambicji człowiek jak Godfryd będzie walczył o pozycję dziecka. Majątek Lavas był spory.

Hrabia wykonał nagły gest chroniący przed urokiem.

– Przepraszam – powiedział szybko Godfryd. – Nie miałem...

– Nieważne – rzekł Lavastine.

Kolano Alaina, wciśnięte w dywan, zaczynało boleć. Spróbował zmienić pozycję...

Spojrzenie hrabiego natychmiast powędrowało ku niemu.

– Rodlinie, czy to ten chłopiec? Jak mu na imię?

– Alain, panie.

Lavastine obejrzał go od stóp do głów. Z bliska i bez zbroi hrabia był jeszcze drobniejszy. Miał wąską twarz, brązowe włosy i przeszywająco niebieskie oczy.

– Twoi rodzice? – zapytał. – Z jakiej wioski pochodzisz?

– Syn Henriego, panie – wykrztusił Alain. Prawie nie mógł uwierzyć, że rozmawia ze szlachcicem. – Nigdy nie znałem matki. Jestem z Osny, na Smoczym Grzbiecie...

– Tak. Na wiosnę spalono tamtejszy klasztor. Królewskie nadanie. – Urwał, a Alain zastanawiał się, czy hrabia był zadowolony, czy niezadowolony z tego, że klasztor, który został ufundowany przez króla Henryka, spłonął. – Jest tam też port, jeden z handlowych. Wiesz coś o tym?

– Mój ojciec jest kupcem, panie. Moja ciotka ma dobrze prosperujące gospodarstwo i sprzedaje to, co ojciec przywiezie. Głównie wygładzają w warsztacie kamienie do żaren.

– Miałeś przedtem do czynienia z psami?

– Nie, panie.

– Poszedłeś do starych ruin w Sobótkę. Widziałeś tam coś?

Zdawałoby się, zwyczajne pytanie. Alain nie odważył się nie patrzeć na hrabiego, a jednocześnie trudno mu było nie spuścić wzroku. Walczył ze sobą, próbując poukładać myśli i zdecydować, co odrzec.

– No? – zapytał Lavastine, który najwyraźniej nie miał zbyt wiele cierpliwości.

Czy powinien się przyznać do wizji? O co mogliby go oskarżyć? Czuł na sobie świdrujący wzrok Agiusa. Czary? Zakazane praktyki? Diabelską krew w żyłach? Czy też powinien wyprzeć się wizji i skalać duszę kłamstwem?

Lavastine wstał.

– Więc coś widziałeś. – Podeszedł do otwartego okna i zapatrzył się na drzewa i wzgórza.

– Rodlinie, weźmiesz tego młodzieńca na swego pomocnika. Będzie ci asystował przy ogarach.

Alain, rozczarowany, zgiął kolana, bo Rodlin zaczął się wycofywać. Było to jednak lepsze od kopania latryn.

Hrabia odwrócił się od okna i zatrzymał Alaina.

– I zgłosisz się do sierżanta Fella, który zacznie cię szkolić na żołnierza.

Kiedy Alain gapił się na niego z otwartymi ustami, niezdolny do sensownej odpowiedzi, hrabia wrócił do stołu i usiadł.

– Fraterze Agiusie, powiedz diakonisie Waldradzie, że rozmówię się z nią przed kolacją. – Frater skinął głową i nie spuszczać z Alaina przeszywającego spojrzenia, opuścił komnatę.

– Kapitanie – Lavastine zachowywał się tak, jakby chłopca nie było w pokoju – tej jesieni postawimy barykady na brzegach Vennu. Ogłoszę dodatkowy zaciąg. Jeśli usypimy wały w ten sposób...

Rodlin dotknął łokcia Alaina.

Ten podskoczył i ruszył za stajennym ku drzwiom. Jego wzrok spoczął na dwóch arrasach, które wisiały na ścianach. Jeden przedstawiał herb Lavas: dwa czarne psy na srebrnym polu. On patrzył na scenę wyobrażoną na drugim.

Księżę z orszakiem jedzie przez ciemny las. W oddali wznosi się góra, owiana u szczytu mgłą szarego górskiego oddechu. U siodła księcia wisi tarcza: czerwona róża na czarnym tle.

Rodlin chwycił go za ramię i wyciągnął z komnaty, kiedy hrabia Lavastine omawiał z krewniakami i przybocznymi plany wznoszonych jesienią i zimą budynków oraz zamierzenia wprowadzenia nowego cięższego pługu, aby wydrzeć ziemię lasom.

Czerwona róża na tarczy. Oczywiście, że wizja była prawdziwa. Musiał wykazać się cierpliwością.

Na dziedzińcu, kiedy Rodlin rozmawiał z Fellem. Alain przejechał palcami po tunice. Młodzi żołnierze spacerowali po dziedzińcu. Nie mając nic lepszego do roboty, gapili się na niego i szeptali.

Nawet przez materię róża wydawała się ciepła, jakby była zadowolona, że podejmował szkolenie. Zadrżał, choć dzień był ciepły. Czuł się prawdziwie błogosławiony, mogąc robić to, czego pragnął. Jednak teraz zastanawiał się, czy był bezpieczny, skoro zwrócił na siebie uwagę takiej siły, nieważne, kim była: martwą świętą stąpającą po ziemi czy aniołem wojny, który zszedł pomiędzy gwiazd, aby naznaczyć zwycięzcę... albo kolejną ofiarę.

Rozdział czwarty

Skarbiec

1.

Najbardziej nienawidziła Hugona za to, że wciąż ją obserwował. Czekał. Wysilek wkładany w ciągłe zwracanie uwagi na to, co mówiła i robiła, wyczerpywał ją. Czekał. Prędzej czy później musiała się zdradzić.

Najbardziej nienawidziła wieczorów, kiedy już skończyła pracę i powinna mieć spokój przynajmniej na godzinę, od nony do nieszporów, zanim położyła się spać na sienniku w chlewie. Gdyby zostawił ją samą, mogłaby obserwować niebo i wspominać czas spędzony z tatą. Ale zazwyczaj Hugo do późna siedział na wystawionym na dwór krześle, czekając, aż uczyni coś, co ją zdradzi.

Jedyną obroną było udawanie, że o niczym nie wie; tato nie powierzył jej żadnych tajemnic niebieskich; nie powiedziała ani słowa, kiedy Hugo wyniósł astrolabium i zaczął nim obracać, potrząsać, dotykać wyrytych na nim linii z absolutnie tępym wyrazem twarzy.

Fakt, że uczony kapłan nie rozpoznał Ataru, gwiazdy w Smoku świecącej jak księżyc w pierwszej kwadrze, zaskoczył ją. I przeraził. Nigdy wcześniej nie uświadamiała sobie, jak zakazaną sztuką była astronomia, którą poznawała na ojcowskich kolanach tak naturalnie, jak kaczka uczy się pływać.

– Czarodzieje i nawigatorzy – powtarzał tato – studiują niebo z konieczności.

Teraz, kiedy była pewna, że została sama, śledziła gwiazdy. Tata zawsze zapisywał swe obserwacje drobnym, schludnym pismem na marginesach *Księgi tajemnic*. Ona musiała notować je w pamięci.

– Jak napisano we *Wspomnieniach Alissy z Jarrow*, „wiedza to skarb, a serce to skarbiec”. Liath, zbuduj ze swej pamięci wielkie miasto i poznaj ulice, jakbyś po nich codziennie spacerowała. To twoje własne tajemne miasto, w którym zachowasz wszystko, co będziesz chciała zapamiętać, każdej rzeczy malując portret lub przydając pieczęć, ułatwiające

rozpoznanie. Każda rzecz powinna zostać umieszczona we właściwym porządku we właściwym miejscu i dzięki temu będziesz bogata jak król. Wiedza to niezniszczalny skarb, który nigdy nie utraci blasku.

Przez lata, koncentrując się, przekształciła swą pamięć w miasto, po którym mogła spacerować z zamkniętymi oczami.

„Na wielkim jeziorze leży wyspa, doskonale okrągła, jej brzegi łagodnie wznoszą się, tworząc równinę. Na wyspie leży miasto, siedem murów otacza siedem tarasów, a każdy mur pomalowano na inny kolor. Na najwyższym poziomie jest plac otoczony czterema budynkami, ustawionymi w czterech stronach świata; na środku wznosi się kamienna wieża. Na linii północ – południe stoi obserwatorium zbudowane z marmuru, wycelowane prosto w Kokab, północną gwiazdę, i konstelację zwaną Strażnikiem”.

Kiedy w letnie noce stała na podwórzu między kaplicą a chlewem i patrzyła w niebo, widziała w wyobraźni obserwatorium, jego rzeźbione ściany, kamienie miernicze i szpary, centralną kolumnę. Wyobrażała sobie dwanaście łuków reprezentujących dwanaście domów zodiaku, znanych też jako Domy Nocy, ziemskiego smoka łączącego niebo.

W domu Smoka umieściła rozgwiadę, taką, jaką kiedyś widział w kałużach na plaży andallańskiej. Sześcioramienna rozgwiadza lśniła białym jasnym światłem. Zawiesiła ją na piętnastym stopniu łuku Smoka, aby zawsze pamiętać, na jakiej wysokości jej szukać. Wokół rozlokowała wyobrażone pieczęcie, aby nie zapomnieć, na jakim stopniu jakiego domu znajdowały się słońce, księżyc i planety, a za pięć czy pięćdziesiąt lat, o ile przeżyje, będzie mogła pokazać innemu matematykowi – innemu czarownikowi obznajomionemu z gwiazdami – miejsce, w którym po raz pierwszy ukazała się gwiazda.

Ale lato minęło, i trzy i pół miesiąca po tym, jak się ukazała, gwiazda zaczęła blednąć. Była ciągle widoczna w konstelacji Smoka, ale nie odróżniała się od innych. Może tak właśnie rodziły się anioły: ich przyjście na świat oznajmiał nadnaturalny blask, a potem spokojnie jaśniały na chwałę Pana i Pani. Może była to zwykła kometa; tak matematycy zwali gwiazdy, które czasami przecinały niebo i ciągnęły za sobą ogony.

Aż do tej chwili nie wiedziała, że podświadomie miała ciągle nadzieję, iż tato nie umarł, że jakimś cudem powróci, by ją ocalić. Dziwna gwiazda pojawiła się w noc, kiedy go zabito, niczym zwiastun śmierci: teraz dotarło do niej, że tato tak właśnie ją postrzegał. Kiedy Atar zbladł, zgasła jej nadzieja. On umarł, odszedł, ruszył przez siedem sfer do Komnaty Światła. Nie wróci. Została sama.

2.

Liath rozrzucała nawóz i liście po mokrej ziemi, by przygotować przyszłoroczny ogród, kiedy Hugo nadszedł od strony stajni, prowadząc jabłkowitzą klacz. Rzuciła na niego okiem, ale nie powiedział ani słowa, obserwując z zadowoleniem jej pracę. Kiedy skończyła grządkę,

oparła się na łopacie i w końcu obdarzyła go spojrzeniem.

Uśmiechnął się, zadowolony.

– Wyjeżdżam do Freelas na dwanaście dni, dowiedzieć się, co nowego u biskupiny, i nauczać w wioskach po drodze. Kiedy mnie nie będzie, możesz jadać w gospodzie. Ale w sobotę za dwa tygodnie zjesz ze mną kolację.

Liath zgodnie pochyliła głowę. Sześć tygodni temu też wyjechał do Freelas i nie było go przez osiem wspaniałych dni. Wyraz twarzy musiał ją zdradzić; Hugo puścił wodze klaczy i podszedł do Liath. Zatrzymał się przed nią, podniósł bardzo białą i czystą dłoń i odsunął z jej czoła kosmyki włosów, które wysunęły się z warkocza. Liath zeszywniała.

– Proszę – rzekł i wrócił do konia. Wskoczył na niego z leniwą gracją i z siodła spojrział na Liath. – Wykap się. W skrzyni jest bielizna i piękna długa suknia. Chcę, żebyś ją włożyła na kolację. – Szarpnął klacz i odjechał drogą w stronę północnego lasu. Co niezwykle, oprócz habitu, zarzuconego na tunikę i spodnie zdradzające szlachcica, nosił na plecach swój długi miecz.

Liath skończyła kolejne pięć grządek, zanim poszła do kuchni umyć twarz i ręce. Woda ze studni stawała się coraz zimniejsza z nastaniem jesieni. Tak, lato już minęło. Noce robiły się zimne. Ostatniej była bardzo wdzięczna Łazikowi, który przetoczył się za przepierzenie oddzielające jej siennik od chlewika i grzał ją swym grzbietem.

Westchnęła i wytarła ręce w tunikę, po czym dołożyła do ognia, na którym gotował się wielki gar owsianki. W kuchni, małym budynku umieszczonym kilka kroków od zakrystii, było trochę za ciepło. Mówiono, że pierwsze zabudowania kaplicy wzniosł dawno temu frater z królestwa Aosty. Nienawykły do zimnych nocy, aż za dobrze uszczelnił drewniane ściany. Prawdopodobnie latem było jej znacznie przyjemniej w chlewiku niż Hugonowi w sypialni.

Kichnęła, otarła słomę z twarzy i wyszła na zewnątrz. Słońce oświetlało drzewa, ich złote i czerwone liście, i zielone igły wysokich chojaków. Hugo często wyjeżdżał z ostatnią posługą do chorych i konających, albo do tych, którzy mieszkali w oddaleniu i potrzebowali wsparcia modlitw i kazań duchownego, ale te wizyty trwały zazwyczaj jedno popołudnie, rzadko noc. Ostatnim razem, gdy wyjechał do Freelea, nie odważyła się nigdzie pójść ani niczego uczynić, bała się bowiem, że Hugo ukrywa się gdzieś i czeka na okazję, by ją przyłapać. Jednak Hugo miał swoje obowiązki i sumiennie je wykonywał. Tym razem mogła podjąć ryzyko i wyprawić się tam, gdzie Hanna zakopała książkę.

Nieustannie rozmyślała o książce. Nie mogło być inaczej, bo choć Hugo całe lato nie wspominał o niej słowem, ciągle chodziła mu po głowie. Wiedziała to ze sposobu, w jaki na nią spoglądał, w jaki przeglądał w jej obecności inne książki, jakby chcąc jej przypomnieć o tym, co przed nim skrywała.

Nawet niewolnicy cieszą się wolnością. Hugo miał jej ciało. Nie posiadał jednak ani jej duszy, ani umysłu. *Księga tajemnic* ciągle należała do niej.

Przeszukała graciarnię i znalazła kawałek szmatki nasączonej olejem i motyczką. Rzuciła

okiem na północ i ruszyła ku lasom na zachodnich wzgórzach.

Pogoda była piękna. Kiedy kościół, plebania, kuchnia i ogród zostały za nią, ciężar spadł jej z serca. Namolna obecność Hugona, wszystko, co przypominało jej o utracie wolności, zniknęło na czas tego krótkiego spaceru. Na godzinę wyrwała się z grona niewolników. Tato płakałby, widząc ją w tym stanie, wiedząc, że z jego winy popadła w niewolę. Biedny tato. Otarła łzę. Była taka samotna.

Zaśpiewał ptak. Wiewiórka zachrzękała i przeskoczyła z gałęzi na gałąź. Szła miękko po opadłych liściach i śpiewała. Na początku cicho i chrypliwie, potem śmieiej nuciła starą piosenkę, której nauczyła ją matka. Nie rozumiała słów, ale ich rytm łączył się płynnie i pięknie z egzotyczną melodią. Znała dariyański na tyle, że mogła przysiąc, iż słowa piosenki mają coś wspólnego z językiem upadłego imperium, bo miały te samą kadencję.

– Liath.

Zamarła.

– Hanna?

Za jej plecami, wśród drzew, poruszyło się jakieś zwierzę. Kiedy odwróciła się, nic nie dostrzegła. Sztuczka wiatru albo jej własne pragnienia. Zatarte wspomnienie głosu matki. To wszystko. Ruszyła dalej.

Kiedy dotarła do polany, na której stał stary dąb, stanęła na jej skraju, długo i uważnie nasłuchiwała. Ptak powtarzał pięcionutowy trel. Z oddali dochodziły ciągłe rytmiczne uderzenia siekiery, ktoś ścinał drzewo. Nic więcej. Była sama.

Była zdziwiona, jak jasno książka jawiła się w jej pamięci po tak długim czasie, jak czuła dotyk stron, zmieniających strukturę, gdy czytający wertował księgę. *Księga tajemnic* była bowiem naprawdę trzema dziełami w jednej okładce.

Pierwsza z nich spisana była na pergaminie po dariyańsku, języku kościoła i imperium, które narodziło się w dalekim, południowym Darre, gdzie skoposa doglądała wielkiego Ognia Naszej Pani. Oprócz trzech pierwszych, wszystkie strony zapisała ręka jej ojca albo, pod koniec, jej własna; była to długa i myląca kompilacja wiedzy, którą przez lata poznawał matematyk, zebrana, jakby ojciec spisywał wszystko, co pamiętał i mógł znaleźć w bibliotekach. I choć nie zapamiętywała całych rozdziałów, cytaty pojawiły się jak ryby płynące ku powierzchni stawu.

„Astronomia zajmuje się obrotami niebios, wschodem i zachodem konstelacji, ich ruchem i nazwami, drogą gwiazd i planet, Słońca i Księżyca oraz prawami rządzącymi tymi ruchami we wszystkich swych odmianach...

...Matematyk poszukuje sekretów niebios poza tymi prawami, bo poruszenia te niosą ze sobą moc, a moc można wykorzystać w czarach...

I tak morze wspaniale zgadza się z obiegiem Księżyca. Towarzyszą sobie zawsze, rosnąc i malejąc...

W miesiącu grudniu zabijesz w dzwony na jutrznię, kiedy wzejdzie Arktos, a potem

trzydzieści psalmów odśpiewasz bez trudu...

Nie gol się, kiedy Księżyc stoi w Sokole...

W tenże sposób, podczas opozycji Aturny i Erekesa, przez drugą sferę można przyciągnąć demony siódmej sfery, a jeśli Księżyc stoi w pełni, jego wpływ podda je całkowicie twej woli...”

Trzecią książkę spisano na sposób niewiernych – na papierze – i w języku niewiernych, który przypominał zakręcone ptasie ślady. Był to wielki jinnijski traktat astronomiczny *O kształcie świata*, spisany przez niewiernego uczonego al-Hasana ibn Haithana al-Tulaytilaha. Tę kopię stworzyli ludzie wielkiego uczonego, którego spotkali, kiedy przez prawie dwa lata mieszkali na dworze niewiernego kalifa Qurtuby w Andalli, królestwie niewiernych.

Najstarsza i najdelikatniejsza z ksiąg, spisana na pożółkłym i skruszałym papirusie, znajdowała się w środku. Ręka, która z takim wysiłkiem stawiała każdą literę dokonała tego w alfabecie nieznanym Liath, ale stary tekst opatrzony był przypisami po aretuzańsku. Jego zawartość pozostawała tajemnicą, bo choć tato znał aretuzański, nie miał czasu nauczyć Liath nowego i trudnego języka. Czas nauki poświęcał na doskonalenie tego, co już znała: miasta pamięci, znajomości gwiazd, rozumienia wendarskiego, dariyańskiego i jinnijskiego. Tato twierdził, że jako dziecko mówiła po saliańsku i aostańsku, ale zapomniała oba języki.

„Lepiej znać dobrze trzy języki niż tuzin kiepsko”, powtarzał.

Ptak znów zagwizdał. Poruszały się tylko gałęzie na wietrze. Wzięła oddech i ruszyła na polanę, by przykłęknąć przy starym dębie. Wśród korzeni wystających z ziemi było zagłębienie, na wpeł wypełnione liśćmi i śmieciami. Szybko zaczęła pracować motyką.

Za jej plecami trzasnęła gałąź. Ptaki zaskrzeczały i odleciały ku bezpiecznemu niebu. Zapadła cisza. Podskoczyła, ale było za późno.

Idiotka, skończona idiotka. Na skraju polany stał Hugo i uśmiechał się. Ruszył ku niej powoli, smakując zwycięstwo. Liath zapała się nogami i niepotrzebnie uniosła motykę. Cóż bowiem mogła nią zdziałać przeciw mężczyźnie, wyszkolonemu szermierzowi z mieczem?

– Wykop ją – powiedział, stając przed nią. Taki szlachcic jak on nie zamierzał brudzić sobie rąk ani uszkodzić pięknej lazurowej tuniki – gdzie się podział habit? – klęcząc w piachu.

– Sam ją wykop – rzuciła motykę.

Uderzył ją wierzchem dłoni, tak mocno, że oszołomiona upadła na ziemię. Nie mogła ruszyć rękami i nogami, ale słyszała odgłos kopania, dziobania ziemi i gałęzi, odrzucania ich na jedną stronę, cichy szum ziemi.

Hugo zamruczał z satysfakcją.

– Jest – wyszeptał.

Wzięła głęboki oddech i zakrztusiła się chmurą pyłu wciągniętą do płuc. Mogła się ruszać. Nie pozwoli mu zabrać książki. Była wszystkim, co jej zostało. Podniosła się, drżąc, i

zobaczyła, że Hugo potrząsa kawałkiem materiału.

Gapił się na brudny i wilgotny materiał, kołyszący się leniwie na wietrze. Przerazona, podpełzła na czworakach do zagłębienia i zaczęła w nim kopać. Nic nie znalazła.

– Nie ma jej! – Wstała i oparła czoło o dąb. „Nie ma”. Jakiś zwierzak wykopał ją i porwał na strzępy. Dzieciak szukający jajek znalazł ją i zaniósł do domu, aby użyć jej na podpałkę. Na Panią i Pana! Tak idiotycznie utracić tak cenną rzecz! Gdyby pomyślała o lepszej kryjówce, ale miała tylko krótką chwilę na rozmowę z Hanną, zanim szeryf Liudolf zabrał ją do więzienia; stary dąb był ich ulubionym miejscem spotkań. A jeśli Hanna skłamała, że ukryła księgę? A może przywłaszczyła ją sobie...

To wpływ Hugona. Jeśli nie mogła ufać Hannie, nie mogła ufać nikomu i nigdy.

– Niech cię diabli – powiedział Hugo. – Ładna zmyłka. Ale zdobędę księgę, Liath. Jestem bardziej cierpliwy, niż potrafisz sobie wyobrazić.

Schyliła głowę, czekając na cios, który nie spadł. Usłyszała kroki i ujrzała, że odchodzi. Zniknął w lesie. Chwilę później dostrzegła jego klacz; tętent jej kopyt grzmiał wśród poszycia.

Zaczęła płakać, a potem zacisnęła powieki. Nie podda się rozpacz. Wytrzymała całe lato. Jeśli podda się teraz, może równie dobrze oddać się Hugonowi.

– Nigdy w życiu – szepnęła. Potarła oczy, aby ból stłumił łzy i w końcu wróciła na plebanię. Musi porozmawiać z Hanną. Tato zawsze mawiał: „Rób tylko jeden krok, żebyś wiedziała, gdzie postawić stopy”.

Tym razem, uprzedzona, czekała cały dzień, zanim poszła do karczmy. Pan Hansal stał na zewnątrz i uszczelniał drewniane ściany. Odłożył narzędzia, gdy ją zobaczył.

– Witaj, dziecko – powiedział wolnym ochryplym głosem. – Frater Hugo przyjechał wczoraj powiedzieć, że na dwanaście dni jedzie do Freelas, spotkać się z biskupiną. Będziesz jadła u nas. Wedle mnie jest bardzo hojny.

„Bardzo hojny”. Liath dotknęła lewej skroni, która ciągle bolała po ciosie Hugona.

– Dzień dobry, panie Hansal. Czy zastałam Hannę?

– Tak. Jest w środku, pomaga żonie. Na pewno znajdzie dla ciebie chwilę.

– Dziękuję. – Prawie wbiegła do karczmy, aby się od niego uwolnić.

Pani Birta pochylała się nad wielkim piecem, układając na węglach obrane rzepy. Wyprostowała się.

– Liath! Ciesz się, że cię widzę, dziecko. Frater Hugo tu był.

Liath zatrzymała się. Gdzie Hanna?

– Witajcie, pani Birto. Jak zdrowie?

Birta strzepnęła fartuch. Pachniała cebulą.

– Mam się dobrze, dziękować Panu i Pani. A ty, dziewczyno? Muszę przyznać, że mam się mocno martwiła, kiedy umarł twój ojciec. Ale frater był hojny, powiem, że nawet więcej niż hojny. Wielu wolnych chłopów pracuje ciężiej niż ty, żyje gorzej i nie jada mięsa cztery razy

na tydzień. Nie mówię, że na to nie zasługujesz. Ten frater Hugo to nie jest zły człowiek. Może i bękart, może i dumny, ale czego się spodziewać po szlachcicu? Nigdy nie słyszałam, by nie dopełnił obowiązków. Nigdy nie bał się chorych i wizytował najuboższych. Ba, stara Marta z Zarzeczca, kiedy umierała na ospę, poprosiła go, żeby położył na niej ręce i pobłogosławił ją, a on to zrobił bez lęku.

– Marta umarła.

– Ale, mała. Nie wątpię, że ci się nie widzi, że Hugo żąda od ciebie tego, czego ty mu nie chcesz dać. – Birta urwała. – Jest szlachcicem i nie możemy się z nim spierać. Kiedy hrabia Harl przyniósł tu małego Ivara i kazał mi karmić chłopaka z Hanną, martwiłam się, czy starczy mleka dla dwojga, ale uczyniłam, co kazał. Ty musisz zrobić to samo. Mogłaś gorzej skończyć.

Liath zaczerwieniła się, krew uderzyła jej do głowy.

– Złożył przysięgę kościołowi. Jak wszyscy bracia, zgolił brodę w ofierze Pani i przysiągł służyć tylko jej.

Birta parsknęła.

– Pewnie, że się nigdy nie ożeni, żeby nie ściągać na siebie gniewu bożego, a raczej skoposiego. Co to ma do rzeczy? Są tacy, co powiadają, że mężczyzna bez brody to nie mężczyzna i że klerycy udają kobiety, ale rzadko trafia się taki mężczyzna, nawet zaprzysiężony Kościołowi, który nie stąpa po ziemi. Mamy oczekiwać, że wszyscy wyzbęda się apetytu na kobiety? – Wyraz jej twarzy zmienił się, jakby przyszła jej do głowy nowa myśl. – Czy też sądziłaś, że wyrzeknie się ślubów, by się z tobą ożenić?

– Nie! Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam!

– Słuchaj, dziewczyno. Ty i twój ojciec przybyliście tu z daleka, ty z twoją ciemną cerą i dziwnym akcentem, on z całą swoją wiedzą. Wszyscy widzą, że nie jesteś jedną z nas, chłopów, tylko pochodzisz z innego świata, chociaż nie mam pojęcia, z jakiego. Nie słyszałam, by krewni mieli cię uratować, zresztą sama powiedziałaś Liudolfowi, że ich nie masz. Jesteś za ładna, by się obejść bez rodziny, która by cię strzegła. Frater Hugo się tobą zajmie, jeśli zechce, a pochodzi z potężnej rodziny i ma matkę szlachciankę. Oj, mała! Pomyśl, zanim zaczniesz wykrzykiwać, że dzieje ci się krzywda. Nie znajdziesz nikogo lepszego.

– On mnie bije! – wrzasnęła rozwścieczona do nieprzytomności Liath.

– Nic dziwnego przy twoim charakterze. Kupił cię. Niezależnie od tego, kim byłaś i skąd pochodzisz, kogo masz za krewnych, teraz jesteś niewolnicą. Niewolnicą Hugona. Jeśliś mądra, zrozumiesz, że cię ceni. Może za jakiś czas, jeśli będziesz zgodna i posłuszna, podpisze akt uwolnienia, ale do tego czasu jesteś gorsza od najbiedniejszych rolników z tych wzgórz. Jesteś dumna i pewnie tego jeszcze nie rozumiesz.

Liath stłumiła w sobie cierpkie odpowiedzi. Ale, na Boginię, czy Birta nie mówiła szczerzej prawdy? W końcu, z gardłem zaciśniętym z gniewu, smutku i strachu, że straci

Hannę, jeśli narazi się jej matce, wykrztusiła:

– Wybaczcie mi mój ostry język. Zawsze byliście dla mnie dobra, pani, i żałuję, że byłam wredna i niegrzeczna.

Birta uśmiechnęła się z trudem.

– Jesteś dobrą dziewczyną, Liath. Musisz nauczyć się korzystać z tego, co ci dają Pan i Pani. Wiele dziewcząt z wioski tęsknie spogląda na naszego przystojnego fratra. Mimo że Kościół naucza, że księża wyrzekli się kontaktów z kobietami, rzadko który kleryk może powiedzieć, że ma czyste sumienie.

Liath nie mogła znieść, że ludzie już uznali ją za kochankę Hugona.

– Ja nigdy...! – wykrztusiła, wściekła i upokorzona. – I nigdy nie będę!

Birta westchnęła i uśmiechnęła się smutno. I nagle, ku ogromnej uldze Liath, weszła Hanna.

– Liath! – Hanna podbiegła ją uściskać, a potem cofnęła się. – Śmierdzisz świniami. Frater przyjechał powiedzieć, że nie będzie go... Co się stało?

– Może powinnaś zabrać Liath na dwór i napić się z nią ciepłego mleka.

Hanna wyglądała na zaskoczoną.

– Jasne, mam – Złapała Liath za nadgarstek i wyciągnęła ją na zewnątrz. – Zanim zmieni zdanie. – W sieni znalazła kubki i napełniła je ze skopka, gadając bez ustanku. – Nigdy nie jest hojna, jeśli jej za to nie płacą. Co się stało?

– Właśnie mi powiedziała, że cała wioska wie, że jestem kochanką Hugona i cała wioska to pochwała i właśnie odkryła, że nie byłam, nie jestem i nie będę!

– A, chodź na dwór. Usiądziemy na ławce. – Hanna poprowadziła Liath na majdan. O ścianę oparte były grabie i miotła, a część podwórca zagrabiono w równiutkie rzędkie. Dziewczęta usiadły na ławce na słońcu. – Od licytacji nigdy nie miałaś czasu, żeby przyjść ze mną posiedzieć, oprócz tego tygodnia, kiedy pojechał do Freelas i przyszedłem cię odwiedzić. Widziałam, jak cię nie spuszcza z oka. – Rzuciła okiem ku karczmie i zniżyła głos – naprawdę jeszcze z tobą nie spał? Wszyscy wiedzą, że zamierzał...

– Hanno – Liath położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki, by ją uciszyć. – Co się stało z książką?

– Książką? – a potem twarz Hanny się rozjaśniła. – Myślałam, że zwariowałaś. Nie mów, że przyszedłaś jej szukać?

Liath chwyciła Hannę za rękę. Jej serce waliło.

– Masz ją?

– Auć! Puszczaj! Tak! Zakopałam ją tam, gdzie kazałaś, ale potem pomyślałam, że dzikie zwierzęta albo świnie Johana, albo nawet dzieci szukające jajek mogłyby ją znaleźć, więc ją przeniosłam. Kiedy tam poszłaś?

– Wczoraj. Myślałam, że Hugo wyjechał.

– Poszłaś tam tego samego dnia? Widziałam, że był wściekły. Ty głupia. Nawet ja bym ci

poradziła poczekać dzień lub dwa, żeby się upewnić, że wyjechał. Jeśli tak bardzo pragnie.

– Wiem. Wiem. Nie myślałam. Ale już wyjeżdżał. Myślałam, że jestem bezpieczna. Muszę ją zobaczyć, Hanno.

Hanna rozejrzała się po podwórku, potem zajrzała do kurnika i do sali w karczmie. W końcu bezgłośnie poprowadziła Liath do stajni.

Szły przez stajnię, wzdłuż żłobów i chlewu, pod stryszkiem z sianem, które szybowało powoli w dół, lśniąc w strumieniach słońca wpadającego przez otwarte okiennice. Na stryszku siedział młodszy brat Hanny i machał nogami.

– Won stąd, Karl. Skończ grabić podwórko.

– To twoja praca!

– Teraz twoja. Won!

Wykrzywił się, burknął Liath „cześć” i zlął po drabinie. Hanna poczekała, aż zniknie, uklękła i pociągnęła w górę deski pod świńskim korytem. Spod koryta wydobyła paczkę owiniętą w stary, poplamiony samodział.

Liath wyrwała jej paczkę z rąk. Jej dłonie drżały, gdy ją rozwijała. Palce pogładziły metalowe okucia spinające księgę i skórzaną okładkę, grubą i zszarzałą ze starości; drobne pęknięcia wyglądały jak włosy, gdy odwijala materiał. Przejechała palcem po grzbiecie, wyczuła brązowe róże zdobiące okucia, opuszkami czytała tytuł wytłoczony po dariyańsku: *Księga tajemnic*. Tato nazywał go tytułem maskującym, chroniącym prawdziwą zawartość.

Liath przycisnęła książkę do piersi. Przez długą chwilę z zamkniętymi oczami oddychała ciężko, na wpół dysząc. Kiedy w końcu podniosła powieki, dojrzała Hannę przyglądającą jej się z kompletnym zaskoczeniem.

– Myślałam, że ją straciłam – jej głos załamał się. – Dzięki ci, Hanno. Wiedziałam, że mnie nie zawiedziesz. – Objęła ją i cofnęła się. – Myśli, że jeśli zaczniesz ze mną sypiać, dam mu tę księgę. Nigdy w życiu.

– Liath – Hanna patrzyła na nią ze zmarszczonymi brwiami. – To nie jest kościelna książka. Widziałam psalterz, którego używa frater Hugo, a kiedy przyjechała tu kiedyś diakonisa odprawić msze, przywiozła ze sobą Święte Słowa. – Urwała, zakłopotana. Z jasnym warkoczem i niebieskimi jak jesienne niebo oczami. Hanna wyglądała na bezmyślną córkę karczmarza. Ale Liath wiedziała, że przyjaciółka była bystrzejsza, mądrzejsza i wrażliwsza, niż się spodziewano. Hanna odziedziczyła też po matce bezwzględną praktyczność. I nigdy nie wyjawiała tajemnic.

– Liath. Dobrze wiem, że umiesz czytać i pisać. Nie tylko dlatego, że poprawiałaś mamie rachunki, ale, wiesz, czasami widziałam, jak pisałaś w tej książce, którą trzymasz, zanim dostrzegłaś, że idę do waszej chaty. Jeśli nie zaufasz mnie, to komu?

– To prawda. Nie mam nikogo poza tobą.

– Masz Ivara.

– Ivar to jeszcze dzieciak, który ma pięciu starszych braci i ojca starucha.

– Ma tyle lat, co my...

– I klapki na oczach. Działa, zanim pomyśli, a poza tym i tak nie myśli.

– Jak możesz tak mówić? Ma dobre serce i duma mu nie zawadza uważać się za mojego krewnego, chociaż to syn hrabiego. Nigdy się nie wstydził, że jest moim mlecznym bratem. Liath, dobrze ci się żyje. Nawet stary frater Robert, chociaż ostry, miał kochankę, starą Martę. Pewnie on ją zaraził ospą. Chociaż księża i mnisi gadają o całkowitym oddaniu się Pani i Panu, zawsze są tacy, co splatają włosy i golą brody, ale nie dotrzymują ślubów. Ale Hugo nigdy nie spojrzął na kobietę z tej wioski ani z sąsiednich farm. Nawet się na żadną nie złościł, tylko kazał im poić konia i piec chleb. Nie obchodzimy go poza tym, że musi nas nauczać. Wielu ludzi sądzi, że zaprzysiągł swe serce Panu i Pani jak diakonisa Fortensja czy kierdel braciszków z Owczej Głowy. Nie widzą, jak patrzy na ciebie, Liath. Gdyby pożądał tylko książki, dostałby ją innym sposobem. Nigdy nie brudził sobie rąk czymś, czego nie pragnął.

Tyrada Hanny oszołomiła Liath.

– Hanno – zabrakło jej słów. – Hanno, ja... – Przyjaciółka czekała i Liath w końcu zebrała myśli. – Nie chcesz chyba, żeby Hugo... żeby chciał... to... – Poddała się. Przepaść była zbyt wielka. – Ale ty i Ivar...

– Ivar to mój mleczny brat. Oczywiście, że go lubię, ale to chłopiec. Hugo to mężczyzna. Nigdy nie zauważyłaś, jakie ma czyste ręce? Jak cienkie ubrania? Że pachnie inaczej, słodko? Że ma niebieskie oczy? Nawet się czasami uśmiecha. Ale nie zauważa mojego istnienia.

Liath była tak zaszokowana wyznaniem Hanny, że nie wiedziała, co powiedzieć i jak powiedzieć.

– Ja nie chciałam. Nie chciałam, żeby mnie zauważył.

Hanna westchnęła.

– Jasne, że nie. Nigdy nie chcesz. Ivar cię kocha. Liath, ale tego też nie zauważyłaś. Mam nadzieję, że nigdy nie zakochasz się w mężczyźnie, którego nie możesz mieć. Dobrze – wróciła do swego praktycznego wcielenia. – Co chcesz zrobić z książką?

Usłyszały Birtę wołającą z podwórka:

– Hanna! Już wystarczająco się nagadałyście. Trzeba pracować!

Liath przytuliła księgę do piersi. To jedyna rzecz, jaką zostawił jej tato. Ale czy rzeczywiście tylko tyle jej zostawił? Pozostawała do rozwiązania tajemnica jej pochodzenia, skrywana przez te wszystkie lata. Nie wiedziała jednak, gdzie rozpocząć poszukiwania.

– Liath – rzekła zdegustowana Hanna – będziesz idiotką, zabierając ją ze sobą do kościoła, skoro nie chcesz, by wpadła w ręce fratra.

Liath niechętnie oddała księgę i materiał. Splotła palce i zagryzła usta, obserwując, jak Hanna owija tom w samodział i chowa go z powrotem do dziury pod korytem, inaczej wyrwałaby książkę z rąk przyjaciółki. Ruszyły razem przez stajnię.

– Hanno – powiedziała łagodnie na podwórku, gdzie Karl grabił liście przywiane przez

nocny wiatr – on może i jest przystojny, wiem, że jest, ale nie chciałabyś nigdy się dowiedzieć, jaki jest naprawdę.

– Ty jesteś moją przyjaciółką. Tylko to się liczy.

Pani Birta czekała w drzwiach.

– Zjesz z nami kolację, Liath? – Pot rozmażywał na jej twarzy sadzę.

– Chętnie. Wrócę po południu.

Spacer na plebanię był za krótki, by uporządkować myśli. Dlaczego Hanna tak myślała o Hugonie? Tato zawsze mówił, że nie należy składać ślubów, jeśli się nie zamierza ich dotrzymać. Ona znieubiła Hugona od pierwszego spojrzenia, tego dnia ponad rok temu, kiedy pojawił się na progu ich chaty. Mówił, że obchodzi wszystkich nowych podopiecznych, ale ona od razu wiedziała, że coś, co usłyszał w wiosce, kazało mu zainteresować się tą.

Bałamucił go ostrożnie, ale nieustannie, a tato był taki samotny i spragniony towarzystwa kogoś wykształconego. Nigdy nie był taki samotny, odkąd zmarła jego ukochana Anne; nigdy nie potrafił o siebie zadbać. W Andalli przez dwa lata żyli przyzwoicie, ale skończyło się to w jedną straszną noc. Odtąd przez cztery lata pędzili życie w biedzie i w strachu; chociaż Liath nie lękała się ciężkiej pracy, bardzo tęskniła za zwykłym poczuciem bezpieczeństwa. Jak mawiał tato, kiedy był pijany: „Co to za księżę, który nie ma orszaku?”

Otarła łzę. Płacz nie zdał się na nic, gdy umarła jej matka; wrzucili to, co mogli unieść, do plecaków i w środku nocy opuścili dom. Teraz też płacz na nic się nie zda.

Przed stajnią Hugona przywiązano nowe zwierzę: małą szarą klacz. Liath znalazła Ivara w kuchni.

– Liath! – uściskał ją. – Śmierdzisz chlewem – powiedział, śmiejąc się zakłopotany, gdy ją puścił, zupełnie jakby zawstydził się tak otwartego okazania uczuć.

Liath uśmiechnęła się. Ivar wyszczerzał zęby w słonecznym uśmiechu i cieszył się, że ją widzi. Pocałowała go w policzek i oboje pokryli się rumieńcem.

– Nie spodziewałam się ciebie tutaj – powiedziała szybko, by pokryć zmieszanie.

Dołożył do ognia.

– Widziałem wczoraj, jak Hugo odjeżdża na północ. Pomyślałem, że może będziesz sama.

– Jestem. Poszłam do karczmy.

Stał przy ogniu, ale patrzył na nią. Płomienie rozświetliły jego rudawe włosy i zabarwiły blade pęgowe policzki. Kiedy się odezwał, jego głos był niski i poważny.

– Ucieknij ze mną. Teraz. Dzisiaj. Nie możesz tu zostać. Wiem, że on musi... – głos mu zadrżał. – Musi cię źle traktować. Nigdy go nie lubiłem. Myśli, że jest lepszy od mojego ojca, bękart jeden!

No, właśnie. Biedny Ivar; zawsze łapał gołębia na dachu.

– Dokąd byśmy pojechali?

– Słyszałem, że przez Freelas przejeżdżały Smoki, a przewodził im sam księżę. Mówią,

że całą wiosną i lato Eikowie napadali na północne wybrzeże. Biskupina wysłała wiadomość do króla Henryka, że na Owczej Górze wystawiono czujki.

– Naprawdę myślisz, że Smoki mnie przyjmą? Ty jesteś synem hrabiego i potrafisz walczyć. Gdyby twój ojciec poprosił króla, przyjęliby cię. Ale ja znam tylko podstawy samoobrony, których nauczył mnie tato. Nie mam krewnych, którzy mnie poprą. I nie rozumiem, dlaczego niby miałabym się zaciągnąć do Smoków, skoro wszyscy wiedzą, że wysłała się je zawsze na pierwszą linię i większość nie przeżywa roku.

Zaczerwienił się.

– Łóżko Hugona jest jednak wygodne, jak sądzę?

– Wypluj to! Jak śmiesz tak do mnie mówić! Wolę sypiać ze świniami niż z nim! – Cały jej gniew znalazł ujście. Drżała.

Ivar, mimo że stał przy ogniu, zbladł tak bardzo, że jego piegi wydawały się czarne.

– Wybacz – wyszeptał w końcu. – Ja po prostu... – Urwał. Była zbyt wściekła, by przeproszać za wybuch. – Ale co zrobisz? Teraz możesz spać ze świniami. Nie sądzisz chyba, że nie spróbuje tego zmienić?

– Jest człowiekiem Kościoła. Wiesz, co ślubują, kiedy są przyjmowani do zakonów. – Nawet dla niej zabrzmiało to głupio.

– Ty chyba nie rozumiesz, na czym to polega. Hugona oddano Kościołowi, bo jest bękartem. Mój własny ojciec ma córkę z... nieważne, z kim, która teraz jest diakonisą w Wislaren, na południu. Ojciec jeszcze nie zdecydował, którego z młodszych synów odda do klasztoru. Zanim się urodziłem. Rosvita, moja siostra, nałożyła habit zakonnicy, a potem przyjęła święcenia kapłańskie w szkole króla Henryka. To nie był jej wybór, choć go z wdzięcznością zaakceptowała. Dlaczego myślisz, że Hugo chciał wstąpić do zakonu albo wyrzekł się... przyjemności?

Przez głowę przeszło jej dziesięć odpowiedzi, ale bezcelowym było wypowiedzianie słów, które były komunałami albo, co gorsza, kłamstwami. Nie mogła okłamywać Ivara, próbując oszukać siebie. Nie odezwała się.

– Słuchaj – ostrożnie, jakby zbliżał się do rannego psa, podszedł do niej i ujął jej dłoń w swoją. – Wspominanie o Smokach było głupie. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale przyszłej wiosny ojciec musi wysłać królowi zaciąg i jestem pewny, że wyśle mnie. Może... cóż, jeśli Smoki pojechały na północ, muszą im towarzyszyć Orły, aby nosić posłania do króla. Słyszałem, że Orły przyjmą w swoje szeregi każdą bystrą osobę, o ile urodziła się wolna. A ty urodziłaś się wolna. Gero jedź jutro do Freelas. Zobaczę, czego się może dowiedzieć.

– Ale nie powiesz mu, jaki masz plan? – Napawała ją to lękiem, bo znów odzyskała nadzieję.

– Domyśli się. Ale możemy mu ufać. Gero nienawidzi Hugona bardziej niż ty. Gero jest dziedzicem ojca, a Hugo zeszłej wiosny spotwarzył go, traktując jak stajennego. – Obelga nadal bolała. Ivar zaczerwienił się i mówił coraz zapalczywiej. – Mój ojciec jest panem tej

ziemi, a tylko dlatego, że żyjemy tak daleko na północy, nie pojawiają się tu królewscy posłańcy ani nikt z naszej rodziny nie służy królowi, oprócz mojej siostry kapłanki i wuja w Smokach, ale on zginął w bitwie pod Lenzen. Hugo może sobie gadać, ale mój brat nie chciał podnosić ręki na mnicha.

Prawie go nie słuchała.

– Zawsze chciałam być królewskim posłańcem.

– Orły jeżdżą w pojedynkę. To bardzo niebezpieczne, nawet jeśli chroni cię królewska pieczęć.

– Nie różniłoby się to tak bardzo od życia, które prowadziłam z tatą. I byłabym wolna, Ivarze. Swoja własna. Władzę nad Orłami ma tylko król. – Zdusiła gorzki śmiech. – Wolno urodzona czy nie, i tak nie mogliby mnie zwerbować. Nie jestem wolna. Hugo kupił mnie za dwie nomie. Przed licytacją nigdy w życiu nie widziałam nomii.

Ivar puścił jej dłoń i zaczął przemierzać kuchnię.

– Twój ojciec miał cztery książki. Musiały być warte co najmniej nomię.

– Hugo je zabrał i nigdy nie zapłacił. Powiedział, że teraz należą do Kościoła. Ukradł je.

Ivar nie zgodził się z nią.

– Diakonisa Fortensja mówi, że wszystkie książki trafiają do Kościoła. A poza tym na nic ci się nie zdadzą, jeśli nie umiesz czytać. Liath – stanął przed nią. – Przyrzeknij mi, że jeśli znajdę sposób, aby cię stąd wyciągnąć, pojedziesz ze mną.

Wyglądał tak młodo, chłopiec starający się być mężczyzną. Nawet jeszcze nie miał zarostu. Liath czuła się nieskończenie starsza, mądrzejsza, strasznie zmęczona walką z Hugonem. Ale Hanna ukryła książkę w bezpiecznym miejscu. Ivar mógł odkryć drogę ucieczki.

– Przyrzekam. Dziękuję.

Zaczerwienił się. Pochylił się i pocałował ją, ale nie miał w tym wprawy i ich usta minęły się. Zaczerwienił się jeszcze bardziej, przeprosił i uciekł, zostawiając Liath samą w kuchni.

Nagle poczuła się lepiej. Dotykała książki. Jeśli Eikowie najechaliby zachód, Orły mogły zwerbować nawet kogoś takiego jak ona. Może hrabia Harl będzie potrzebował ochotników do zaciągu, aby wspomóc króla przeciw Eikom. Może zima będzie łagodna. Może stawić czoło Hugonowi. I zrobi to.

Pięć dni minęło zbyt szybko. Była nerwowa, bała się, że Hugo wróci w każdej chwili, każdy dźwięk wydawał się jej jego krokami. Ale nie wrócił. Spała w kuchni, odwiedzała karcznię i pomagała Hannie, a raz nawet, przerażona myślą, że Hugo mógłby się nagle pojawić, zakradła się do stajni i przekartkowała swą bezcenną księgę. Hugona na szczęście nigdzie nie było.

W pierwszy piątek wieczorem patrzyła na ciemniejące niebo i pozwoliła sobie na chwilę zadowolenia. Chociaż było chłodno i na niebie wisiały chmury uniemożliwiające jej

obserwację, od jego powrotu dzieliło ją jeszcze siedem dni. Przygotowała sobie kąpiel, nosząc i podgrzewając wodę. Jak z oddali powróciły wspomnienia starych dariyańskich term w willi, którą zamieszkiwała z ojcem i matką. Przywołując w pamięci te czasy, rozkoszowała się gorącą wodą, odchylając głowę i pozwalając włosom pływać po powierzchni wody, która marszczyła się za każdym razem, kiedy poruszała się w wielkiej miedzianej wannie. Palenisko roztaczało miłe ciepło. Na zewnątrz padał deszcz. Kiedy wymoczyła się za wszystkie czasy, wyprała każdą część odzieży – czego nie śmiała robić, gdy Hugo był w pobliżu – i rozwiesiła je na krzesłach przy palenisku. Owinięta w koc, zamarła, a potem z determinacją ruszyła do celi Hugona.

Komnata była zimna i pusta. Pusta. Wrzuciła wiadro gorących węgli do koksownika i kiedy nagrzewał pokój, uklękła na miękkim dywanie i otworzyła skrzynię. Na wierzchu leżała kosztowna, szmaragdowa suknia. Pod nią znalazła trzy cienkie lniane halki; wyjęła jedną i włożyła. Materiał był tak delikatny. Westchnęła z rozkoszą i szperała dalej, znajdując pod spodem chłodny jedwab. Była tam tunika i suknia z jasnozłotego jedwabiu. Długo ją podziwiała. Czy był to prezent od matki? Dlaczego ją trzymał? Złożyła suknię i schowała z powrotem do skrzyni. Sięgnęła jeszcze głębiej...

I znalazła książki.

Pierwsze cztery rozpoznała od razu: książki taty. Macała dalej w poszukiwaniu astrolabium, ale nie było go. Hugo musiał zabrać je ze sobą. W końcu natknęła się na piątą księgę. Miała wytartą, ale złoconą okładkę, grzbiet zaś inkrustowany perłami, których w paru miejscach brakowało. Otworzyła ją.

Dzieła magiczne. Przez długą chwilę nie mogła poruszyć ręką. Tato opowiadał jej o tej książce.

„Chaldeos był ministrem cesarzowej Thaisanii, zamaskowanej. Na jej rozkaz spisał lekcje dla trojga jej dzieci, aby mogły przyswoić sobie magię, dzięki której Aoi władali cesarstwem.”

W końcu zdołała przewrócić stronę. Każda kartka zapisana była trzema kolumnami starannych liter. Pierwsza była po dariyańsku, w drugiej widniały piękne, ptasie znaki jinnijskiego, a na końcu aretuzański. Patrząc na dariyański i jinnijski, odkryła, że każda kolumna powtarzała – tłumaczyła – inne. Gdyby potrafiła odcyfrować aretuzańskie litery, porównując do tamtych dwóch, mogłaby nauczyć się czytać tak, jak łamie się kody.

W okiennice załomotał deszcz. Rozpętała się burza. Kiedy wypaliły się węgle, zrobiło się zimno. Ręce jej zgrabiałały. Położyła książkę na łóżku, owinęła się w koc i pobiegła do kuchni, aby podsycić ogień, przynieść lampę i dorzucić do koksownika. W komnacie popatrzyła na krzesło i na puchowe łóżko. Na pewno tego wieczoru mogła pozwolić sobie na luksus: czytać aż do zmierzchu w tym miękkim i cudownie ciepłym łóżku. Nie mogła się zdecydować. Wydawało się to niewłaściwe, ale otwarta księga kusiała ją. *Dzieła magiczne.* Sekrety, których ojciec zaczął ją uczyć ledwie trzy miesiące przed śmiercią.

Dlaczego nie? Dlaczego nie pozwolić sobie raz na lekkomyślność? Ułożyła się na cudownie miękkim łóżku i podparła łokciem.

I wpadła.

„Księga Pierwsza. Drogi gwiazd i sfer niebieskich i jak z nich przepowiadać wedle starożytnych babaharskich nauk, aby przydać siły Sztuce”.

Znała dariyański na tyle dobrze, że mogła czytać, poruszając ustami, ale nie wypowiadając słów na głos. Czytanie w jinnijskim wymagało więcej wysiłku, choć kiedyś mówiła nim płynnie. Musiała wypowiadać każdą literę z osobna i spajać je w słowa.

Ale większość materiału była jej znajoma. Gwiazdy poruszają się ustalonymi torami, a gwiazda północna, Kokab, jest osią, wokół której po wiecznych orbitach kręcą się mniejsze gwiazdy. Mniejsze koło znane jest jako zodiak, ziemski smok spajający niebios. Jest to krąg konstelacji, z których każda reprezentuje jeden z Nocnych Domów, a przez te domy wędrują Słońce, Księżyc i błędne gwiazdy znane jako planety. Starożytni mędrcy babaharscy czerpali tę wiedzę z tysiącletnich obserwacji i doskonalili sztukę czarnoksięską czerpiąc moc z planet i gwiazd, które rosły i malały.

Zgrzyt. A potem cichy śmiech. Kompletnie zaskoczona. Liath podskoczyła i poderwała wzrok znad książki. Zamarła, przerażona. Nie miała pojęcia, jak długo czytała ani jak długo on tam stał, patrząc, jak przegląda stronicę i przewraca je, formuje trudne jinnijskie słowa i wypowiada je na głos. I tak oto zdradziła się przed nim.

Hugo wszedł do celi. Był zmęczony podróżą i przemoczony, płaszcz zwisał mu z ramienia, a habit poznaczony był deszczem. Złote włosy miał w nieładzie, na policzku smugę błota i wyglądał na zadowolonego.

– A to co? – zapytał. Nie mogła się ruszyć. Zabrał książkę z jej zmartwiałych palców i spojrzął na otwarte stronicę. – Nie tylko umiesz czytać, ale studiujesz tę rozwijającą pozycję. Jestem pod wrażeniem, ale nie zaskoczony, twoją znajomością dariyańskiego w jego dawnej formie. Nie znasz przypadkiem jinnijskiego? Nawet ja, kształcony na dworze, nie znam tego języka, chociaż oczywiście w aretuzańskim czytam tak swobodnie jak w dariyańskim.

– Znacie aretuzański? – zapytała, rozpierana przez tak ogromną żądzę wiedzy, że kompletnie się zapomniała. Przerwała, schwyciła stary koc i owinęła się nim szczelnie. Lniana halka była stanowczo zbyt cienka, by nosić ją samą, szczególnie przy nim.

Uśmiechnął się. Od niechcienia odłożył książkę na stół, poluzował palce rękawiczek i zdjął je powoli. Położył dłonie na łóżku i pochylił się, jego twarz i dłonie znalazły się tuż obok Liath.

– Taka czysta. Czyżbyś spokorniała, moja piękna? – Jego głos zmienił tembr, przybierając dziwną chrapliwą nutę.

– Nie – odwróciła głowę, aby jej nie dotykał, i czekała na cios.

Wyprostował się.

– To naprawdę wygodne łóżko. Niedługo będziesz je ze mną dzielić. Chcę się wykapać.

Możesz zatrzymać halkę, o ile przyrzekniesz, że będziesz o nią dbać. Piękne stroje są zbyt cenne, by je traktować bez troski. A kolacja będzie dziś, nie w przyszłą sobotę. Włóżysz na nią złotą suknię. – Spojrzał w otwartą skrzynię. – Którą już znalazłaś. – Znow się uśmiechnął. Liath nie wiedziała, co też takiego zaszło, że miał tak doskonały nastrój.

– Będziesz miała rzeczy znacznie lepsze od tych. Liath. Opat Firsebergu w końcu umarł. Moja matka dopilnowała wyboru jego następcy. Kiedy pojedziemy na południe? Polubisz Firseberg. Myślę, że nawet polubisz moją matkę. Edukowano ją w klasztorze i potrafi czytać, choć, jak sądzę nie tak dobrze jak ty. Na pewno nie umie czytać w jinnijskim, którego w szkołach kościelnych nie uczą.

„Pojedziemy na południe”. Liath gapiała się na niego. Nigdy przedtem nie brała na poważnie tego, że może zostać oddzielona od ostatnich ludzi, których znała i obdarzała zaufaniem, od ostatniej więzi z tatą. Jak mogłaby zabrać ze sobą książkę, nie pokazując jej Hugonowi? Musi wiedzieć, że ją ze sobą weźmie. W Firserbargu, gdzie nikogo nie zna, będzie całkowicie w jego władzy.

Hugo obserwował ją, napawając się jej lękiem.

– Myślę, że dopiero wiosną. Nie ma pośpiechu. Nienawidzę podróżować o tej porze roku.

Liath nie odpowiedziała, owijając się kocem, jakby mógł ją osłonić.

– Czy musimy dalej ciągnąć tę farsę? Wiem, że jesteś kształcona. Ciągłe się z tym zdradzasz, słowami, sposobem mówienia, wiedzą, której nie powinnaś posiadać. Nudzę się, Liath. W życiu się tak nie nudziłem jak przez dwa ostatnie lata, włócząc się po północy i pasąc moje błogosławione owieczki. Ech, Liath, moglibyśmy przynajmniej zawrzeć rozejm, żeby pokonwersować jak na wykształconych ludzi przystało. Nawet zaproponuję ci wymianę.

Urwał, aby rozważyła jego wspaniałomyślną propozycję.

– Nauczę cię aretuzańskiego. Jeśli ty nauczysz mnie jinnijskiego. Królowa Sophia, kiedy żyła, nalegała, aby wszyscy w królewskiej akademii uczyli się aretuzańskiego, bo była siostrzenicą cesarza Aretuzy, jak pewnie wiesz, posagiem, który młody Arnulf przywiózł do tych ciemnych krain. I chociaż nasza preceptorka, kleryczka Monika, uważała, że słusznym jest nauczać garstkę wybranych aretuzańskiego, bo może kiedyś któreś z nas obejmie ambasadę w dalekim kraju, oberwałem, gdy zaproponowałem, aby uczyła nas też jinnijskiego. „To język niewiernych i czarowników”, powiedziała, co tym bardziej rozbudziło we mnie chęć nauki, choć już więcej o tym nie wspomniałem. Ale nigdy nie spotkałem nikogo, kto mówiłby w tym języku, dopóki nie poznałem twego ojca. I ciebie, mój skarbie. Co ty na to?

To był bardzo zły pomysł i Liath o tym wiedziała. Dopóki nic mu nie dawała, była bezpieczna. Pojawiła się jednak wątpliwość. Może należała mu się odrobina współczucia, człowiekowi zesłanemu z królewskiego dworu na to odludzie, gdzie nie było jemu podobnych. Nic dziwnego, że ciągnęło go do taty.

A gdyby poznała aretuzański, mogłaby przetłumaczyć głosy w najstarszej części *Księgi tajemnic*. Może potrafiłaby też odcyfrować ten starożytny, nieznaną język...

– Nie wiem – wyszeptała.

Uśmiechnął się. Natychmiast zrozumiała, że straciła coś ważnego, że wygrał bitwę i zamierzał wygrać wojnę. Zsunęła się z łóżka, przycisnęła do ściany, aby zachować jak największy dystans, i popędziła do kuchni, ku schronieniu, jakie dawała ciężka praca.

Za sobą usłyszała śpiew.

*Pani jest wielka w swoim pięknie.
Pan zaś potężny w swoim mieczu.
Błogosławieni jesteśmy my, ich dzieci.
Chwała, chwała, gdzie spoczną ich oczy
Chwała śpi w ich ogniu.*

Miał piękny głos.

3.

Pierwszego dnia mrozów Liath obudziła się o świcie z niespokojnego snu. Wstała obolała. Owinięta ciasno kocem, ruszyła do sągu drewna. Rozprostowanie palców i dotknięcie jakiegokolwiek powierzchni bolało. Drewno pokryte było warstewką lodu i zagryzła wargi, aby stłumić ból, który sprawiało podnoszenie kłód. Mocowała się ze skoblem, zanim go podniosła, i weszła do kuchni. Zmiana temperatury była tak nagła, że ciepło bolało jak zimno.

Dorzuciła do ognia i stała przy nim, drząc i kaszląc. Po chwili schyliła się, by wlać do ust ciepłą wodę. Rozgrzała ją. Rozejrzała się, choć nikogo nie było, zanurzyła dłonie w kociołku i stała tak, pozwalając im odtajać. Ogień płonął tak blisko, że osmalał jej twarz, ale nie zwracała na to uwagi. Usłyszała głos, kroki, wyrwała dłonie z wody i schyliła się, by wyciągnąć mąkę na placki.

W drzwiach pojawił się Hugo.

– Jest zimno. Zimno jak cholera, a ja nienawidzę marznąć. Nienawidzę tego zamrzniętego pustkowia i za diabła nie chcę tu zimować. Powinniśmy byli pojechać na południe w zeszłym miesiącu, kiedy dostałem wiadomość, ale jest już za późno. – Przeszedł przez kuchnię i schwycił jej podbródek, wykręcając tak że musiała na niego spojrzeć. – Wyglądasz jak gówno. Wyglądasz jak jakaś cholerna wieśniaczka, spalona przez słońce od pracy w polu całymi dniami, z popękana twarzą i ciekącym nosem. Ogrzej moją komnatę. Zrób mi śniadanie. A potem wynoś się stąd. Nie mogę znieść twojego widoku.

Uderzył ją w twarz. Bolało, bo miała zmarzniętą skórę. Skuliła się, powstrzymując łzy. W jego komnacie było cieplej niż w kuchni; dorzuciła węgla do koksownika i przykucnęła przy nim, chłonąc ciepło. Na stole leżał schludnie przycięty pergamin z wilgotnymi literami

wypisanymi na nagłówku. Wyciągnęła szyję, by odczytać słowa.

– Won! Won! – Hugo pojawił się za nią i rąbnął na odlew w głowę. – Jesteś brudna. Wynoś się!

Uciekła do kuchni. Marudziła jak najdłużej, piekąc placki, gotując owsiankę i podając mu je. Ale tylko tyle czasu zyskała; potem wyszedł z celi i wyrzucił ją na dwór. Wsunęła dłonie w rękawy i szybko ruszyła do karczmy. Musiała w końcu pójść po mięso. To była dobra wymówka. Ale ledwo tam dotarła i spędziła dwie chwile przed kominkiem, ukradkiem przyglądając się samotnemu wędrowcowi jedzącemu przy pobliskim stole. Hugo wpadł do środka.

Nie musiał nic mówić. Wolałaby umrzeć, niż spowodować scenę. Pani Birta wyszła z kuchni, niosąc zapakowane mięso – było wszak przeznaczone dla fratra. Pozdrowiła Hugona, który burknął coś w odpowiedzi. Z pokoju na tyłach wyszła Hanna i patrzyła, jak Liath zabiera mięso i rusza ku drzwiom. Hugo szedł dwa kroki za nią, jakby ją prowadził. Wędrowiec podniósł głowę. Miał szare włosy, czerwoną od mrozu twarz i nosił płaszcz podbity futrem. Przyglądał się scenie z ciekawością; Liath czuła jego wzrok na plecach.

Na zewnątrz Hugo ją uderzył. Na szczęście nosił rękawice, więc tak nie bolało.

– Kazałem ci tu przyjść?

– Musiałam odebrać mięso...

Znów ją uderzył. Nie mogła się opanować i chwyciła za policzek. Bogini, bolało. Pod okapem karczmy coś się poruszyło: ktoś ich obserwował.

– Będziesz pytać o pozwolenie. Za każdym razem, gdy będziesz chciała gdzieś wyjść. Zaczekaj. – Wrócił do karczmy. Liath czekała.

Hanna wynurzyła się z wnętrza.

– Liath...

Drzwi otwarły się i wyszedł Hugo, a pani Birta biegła za nim jak posłuszna służąca.

– Oczywiście, fratrze – mówiła. Jej twarz zdobił uśmiech drewnianej lalki. – Od teraz Karl będzie wszystko dostarczał. – Rzuciła Hannie przeszywające spojrzenie, a ta szybko uciekła za róg budynku.

– Idziemy, Liath. – Hugo złapał ją za ramię palcami ostrymi jak szpony i pociągnął za sobą. Wyszarpnęła rękę. Nie powiedział nic więcej. Nie odezwał się przez cały dzień, ale śledził wszystkie jej ruchy i bił za każdym razem, kiedy sądził, że próbuje odpocząć albo uciec od zimna.

Nie spała dobrze tej nocy. Następny dzień i jeszcze kolejny minęły tak samo, a w końcu zlały się w jeden ciąg zimnej rozpaczki i straciła poczucie czasu. Było zimno, ale nie chwycił jeszcze porządny mróz. Ułożyła brudny siennik pomiędzy świniami. Łazik ją lubił i pozwalał spać przytulonej do swego szorstkiego grzbietu.

Pewnego dnia, czyszcząc konie, usłyszała na zewnątrz głos Hanny. Pobiegnęła do drzwi. Hugo spoglądał na Hannę z pogardą.

– Twój młodszy brat ma przynosić jedzenie, nikt inny – powiedział. – Tak się umówiłem z twoją matką.

– Błagam was, fratrze, pozwólcie mi przynajmniej porozmawiać...

– Kazałem ci odejść.

Hanna odwróciła się i ujrzała Liath.

– Masz zamiar się sprzeciwić, dziewczyno? – zapytał.

Hanna mogła tylko odejść.

– Wracaj do pracy – syknął Hugo do Liath.

Wślizgnęła się do stajni, pozbawiona nawet tego drobnego pocieszenia, jakim byłoby przyglądanie się odchodzącej przyjaciółce.

Wczesnym rankiem pojawił się Ivar na swej klaczy. Otulony był grubą futrzaną peleryną, a twarz miał białą od mrozu i zmartwienia.

Rąbała drewno. Zamarła i gapiła się na niego; od tak dawna nie widziała znajomej twarzy, że zdawało jej się, że śni.

– Liath – mówił cicho i szybko. – Chodź ze mną. Mam plan. Gero pomoże mi cię ukryć, a potem możemy... – poderwał głowę, nasłuchując. Hugo wołał Liath.

Podbiegła do Ivara, złapała go za rękę, skoczyła niezdarnie na koński grzbiet, przerzucając nad nim nogę. Ivar zawrócił klacz i dał jej ostrogę. Był to silny, szeroki koń i choć mógł unieść ich oboje, nie potrafił dać z siebie nic ponad kłus.

Przejechali większość drogi do dworu, kiedy dogonił ich Hugo na gniadoszu. Zajechał drogę klaczy i wy dobył miecz.

– Jesteś uzbrojony, chłopcze, czy też masz więcej rozumu, niż się spodziewałem?

Ivar miał tylko sztylet. Zatrzymał się.

– Liath, zsiądź.

Liath zsiadła.

– Liath – zaprotestował Ivar. – Nie możesz po prostu...

– Z tobą jeszcze nie skończyłem – warknął Hugo. – Możesz jechać ze mną i przedstawić sprawę hrabiemu albo pojedę sam i opowiem o twojej głupocie. Mam to gdzieś. Liath, idź przy moim koniu.

Szła ze zwieszoną głową. Przynajmniej mogła się choć trochę rozgrzać. Potknęła się, nie ze zmęczenia, a z rozpacz.

Nie podniosła głowy, gdy przekroczyli bramę i weszli na podwórzec zamku hrabiego Harla. Patrzyła na swoje stopy i stopy Hugona, za którymi podążyła szeroką drogą do wielkiej sali, a potem po schodach do komnat hrabiego. Słyszała głosy wymawiające imię jej i Ivara. Nie mogła się zdobyć na spoglądanie komukolwiek w twarz.

Kasztelan zaprowadził ich do prywatnych komnat hrabiego. Hrabia leżał w łóżku, okryty kołdrami; gładko ogolony kleryk, którego głowę zdobiła tonsura, pisał coś na pergaminie. Och, jaki ten pokój był ciepły. Zrobiła krok ku kominkowi. Hugo złapał ją i odepchnął,

stawiając prosto w przeciagu.

– Hrabio Harlu – rzekł ostro. Ledwo skłonił głowę. Była to niezwykła arogancja i gdyby Liath nie nienawidziła go tak bardzo, podziwiałaby jego niezwykłą próżność: on, zwykły bękart, uważał prawego szlachcica za gorszego od siebie. Ale matka Hugona była margrabiną, księżną, a jej rodzina znaczyła więcej niż ród Harla. – Twój szczeniak właśnie próbował ukraść mi niewolnicę.

Liath zaryzykowała rzut oka w stronę Ivara, który stał przy drzwiach. Miał czerwoną twarz, po której spływały łzy. niesprawiedliwością było upokarzanie go, bo próbował jej pomóc. Ale nie odważyła się odezwać.

Harl podrapał się po siwej brodzie i zmierzył Hugona niechętnym spojrzeniem. W panującej ciszy mężczyzna noszący na policzku znak niewolników wszedł do komnaty, aby dorzucić węgla do koksownika. Liath odwróciła od niego wzrok. Harl zignorował niewolnika i spojrzał na syna.

– Czy to prawda, Ivarze?

– Mam trochę zaoszczędzonego srebra, nie wystarczy, ale... ale inni obiecali, że pomogą mi uzbierać odpowiednią sumę. Żeby wykupić jej dług.

– Ona nie jest na sprzedaż – rzekł gładko Hugo. – A jedynym aktem uwolnienia będzie ten podpisany przeze mnie.

– Ivarze, nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Ivar rzucił Liath zrozpaczone spojrzenie i zwiesił głowę.

– Tak, panie ojcze.

Harl westchnął i popatrzyła na Hugona.

– Czego chcecie?

– Niczego poza obietnicą, że to się już nie powtórzy.

Dla Liath zajaśniała nadzieja. Czyżby Hugo obawiał się, że Ivar znajdzie jakiś sposób, by ją uwolnić? Wszyscy wiedzieli, że hrabia Harl nie znosił fratra.

– Dobrze – powiedział Harl. Wyglądał, jakby właśnie znalazł robaki w swoim mięsie. – To się więcej nie powtórzy.

– Jaką możecie mi dać gwarancję? – zapytał Hugo.

Twarz Harla przybrała taki kolor jak twarz jego syna. Liath patrzyła, jak hrabiego zalewa rumieniec.

– Wątpisz w moje słowa? – zapytał łagodnie. Ton jego głosu sprawił, że zadrżała. Zasłużyć sobie na niechęć tego człowieka to jedno; mieć w nim wroga to co innego.

Hugo uśmiechnął się swoim najohydniejszym nieszczerym uśmiechem, tym gorszym, że nie ujmującym niczego z jego urody.

– Na pewno nie, hrabio. Nigdy nie poddałbym w wątpliwość waszego honoru. Ale wasz syn jest młody i impulsywny. A moja własność dość cenna.

Po raz pierwszy hrabia spojrzał na Liath i nie miała wyboru, musiała odwzajemnić

spojrzenie. Oceniał ją – zęby, twarz, budowę, młodość, siłę – a wyraz jego twarzy nie zdradził, czy uznał ją za cenną, czy nie. W końcu popatrzył na Hugona.

– Możecie być spokojni, fratrze. Mój syn nie będzie zagrażał waszej... własności. W Quedlinhamie jest klasztor, w którym moja pierwsza żona znalazła schronienie przed burzą i szczęśliwie powiła dziecko, dawno temu. Przez wiele lat chciałem im jakoś podziękować. Zamierzam wysłać Ivara na południe, aby złożył tam śluby zakonne. Nie będzie cię już niepokoił.

Liath jęknęła. Ivar pobladł. Na twarzy Hugona pojawił się wyraz zadowolenia tak głębokiego, że aż nieprzyzwoitego.

– A teraz odejdźcie – zażądał Harl. – Proszę. Mam pracę. Ivar! Ty zostajesz.

Ivar rzucił jej ostatnie rozpaczliwe spojrzenie, gdy Hugo wyprowadzał ją z komnaty. Żołnierz doprowadził ich aż do palisady, gdzie czekał gniadosz Hugona, pilnowany przez chłopca stajennego.

– Pojedziesz ze mną.

– Wolę iść.

Uderzył ją; instynktownie uchyliła się i zamierzony mocny cios ledwie potargał jej włosy.

– Pojedziesz. – Dosiadł konia i czekał, ściskając wodze, aż w końcu wyciągnęła rękę i dała się wciągnąć na siodło.

Droga powrotna była długa i minęła w ciszy.

Ale on był ciepły.

Tej nocy rozpełtała się wichura. Było straszliwie zimno. Nie mogła spać. Drżała wraz ze świniami i wstała w środku nocy, aby tupiąc rozgrzać stopy. Była taka zmęczona tego dnia, że raz nakrył ją na drzemce na stojąco. A może dwa. Ramiona i głowę pokrywało już tyle siniaków, że jeden więcej nie robił różnicy.

Następnego dnia niebo zasnęło się chmurami i spadł śnieg. Było jej trochę łatwiej: wilgoć w powietrzu podniosła temperaturę. Ale cały następny tydzień, kiedy śnieg przykrył ziemię, trzymał mróz. Całymi dniami było tak zimno. Naciągała na siebie wszystkie rzeczy, jakie miała, i drżała bez ustanku. Wieczorem była porażona zimnem. Obolała od niego. Próbowwała wciąż się ruszać, choć była wyczerpana, nawet w kuchni obracała się, tupała, aby rozgrzały się jej kości. Nigdy już nie będzie jej ciepło. Zimno zmieniło się w ciągły ból, który ją pożerał.

O zmierzchu kazał jej wyjść z ciepłej kuchni. Powlokła się do chlewu, powłócząc nogami – nie miała już siły podnosić stóp – i usiadła obok Łazika. Nawet świni nie dawały ciepła. Zaczęła się kołysać w przód i w tył, w przód i w tył, aż wpadła w otępienie. Było tak zimno.

Zrozumiała, że umrze, jeśli zostanie na zewnątrz. Jeszcze nie tej nocy, ale następnej, może jutro, albo pojutrze czy za tydzień. Zastanawiała się, czy ją to obchodzi. Bogini, wiedziała w tej chwili, przerażona, że jednak ją obchodzi. Wola życia była jak mały nienawistny ogienek, płonący gdzieś głęboko.

– Nie chcę umierać – wyszeptała. Jej usta były zbyt suche, zbyt spękane od zimna, zbyt sztywne, by sformować słowa. Zadrżała konwulsyjnie. Nie miała nawet na to siły; nie potrafiła już płakać. Umrze, a nie chce umierać.

Na początku, widząc światło, nie mogła pojąć, co to takiego. Atar, ognik spływający z niebios? Podskakiwało, drżało, kołysało się na boki i pomyślała, że ma omamy. Ale światło przyniosło ze sobą ciepło, zatrzymując się przed jej zamglonymi oczami. To była lampa.

– Liath – jego głos był miękki. – Chodź, Liath. – Zupełnie jakby przemawiał do rannego dziecka czy psa. – Chodź do środka.

Zadrżała, kołysząc się. Delikatnie położył jej dłoń na ramieniu, by ją zatrzymać.

– Liath – powiedział tym samym tonem. – Chodź do domu. – Zabrał dłoń. I czekał.

Przez dziesięć wywalczonych oddechów po prostu siedziała. Była otępiała z zimna. Ból przeszywał ją aż do serca. Nie mogło jej spotkać nic gorszego.

Spróbowała podnieść się na nogi i gdy tylko zobaczył, że się poruszyła, pomógł jej. Tylko jej pomagał, nie popychał, tylko prowadził, kiedy jej stopy same skierowały się ku kuchni.

Było tam cudownie, wspaniale ciepło, aż parowało. Tak jej się przynajmniej zdawało, dopóki nie zobaczyła, że przygotował kąpiel, sam przyniósł i podgrzał wodę. Wanna stała naprzeciwko ognia buzującego w palenisku. Stała tam, a on odwijał z niej brudny koc, ostrożnie pomagał jej zdjąć brudne odzienie, rzecz po rzeczy. Z obrzydzeniem trzymał jej ubranie w dłoniach obleczonych w rękawiczki, ale gdy była naga, zsunął je, podwinął rękawy i pomógł jej wejść do ciepłej wody.

Ciepło bolało jak setki małych szpilek wbijanych od razu. Załkała. Szorował ją szorstką szczotką, co bolało jeszcze bardziej, ale nie miała siły protestować.

Z bólem przyszło ciepło, rozlewające się po skórze. Ogień buchał gorącem. Woda przenikała pod skórę, aż do kości. Od czasu do czasu dolewał gorącej wody z garnka; dwa razy wyszedł, aby napełnić wiadro i dolać do kotła wodę tak zimną, że syczała.

Wziął czystą miękką myjkę i umył ją, jej włosy, twarz, piersi i brzuch, uda i biodra, łydki i stopy. Kiedy ją mył, śpiewał swym pięknym głosem uwodzicielską melodię bez słów. Roztapiała się w ciepłe i znużeniu. Ale wciąż była otępiała.

Wziął ją za rękę i podniósł. Wytrzeł miękkim ręcznikiem. Otulił w pluszowy koc i zrobił krok w tył.

Nic nie mówił. Po prostu na nią patrzył. Nie uśmiechał się ani nie marszczył brwi. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, a przynajmniej wyrazu, który ona mogła zrozumieć. Ale już od dawna nie było powrotu do chlewu. Tato zawsze powtarzał: „Po co składać przysięgi, których nie zamierza się dotrzymać?”

Odwróciła się i ruszyła wąskim korytarzem ku jego celi. Dwie lampy płonęły bliźniaczym światłem. Koksownik był czerwony z gorąca. Dariyański lekcjonarz magiczny leżał otwarty na stole. Nawet na niego nie spojrzała, tylko podeszła do łóżka i usiadła na krawędzi.

Szedł za nią. Zamknął drzwi i oparł się o nie, patrząc na nią. Wciąż miał podwinęte

rękawy, odsłaniające umięśnione blade przedramiona, porośnięte jasnymi włosami.

– Nauczysz mnie jinnijskiego? – zapytał. Jego głos nadal był miękki, a słowa brzmiały jak pytanie zadane z czystej ciekawości, a nie rozkaz. Była niemal zaskoczona.

Skinęła głową. Tylko tyle. Aż tyle.

– Ach – rzekł. I zamilkł.

W końcu podniosła oczy, zdziwiona ciszą. Obserwował ją. Wyraz jego twarzy był tym bardziej denerwujący, że malował się na niej czysty gład.

– Nawet nie wiesz, czym jesteś, prawda? – zapytał. – Skarbem, jak mówi święta księga. „Moja miła to ogród zamknięty, skarbiec zaryglowany. Przyszedłem do ogrodu mej miłej i spożywałem miód. Piłem wino. Jedzcie, przyjaciele, i pijcie, aż upijecie się miłością”.

Następny wiersz, nieproszony, pojawił się w jej pamięci jak czytany na głos. „Śpię, ale moje serce czuwa. Przybądź, ukochany, a otworzę drzwi”.

Ale siedziała nieruchoma jak mroźne powietrze i patrzyła, jak się rozbierał. Jej ciało mogło być ciepłe, nawet rozbudzone, ale serce zamarzło na kamień. Patrzyła, niezdolna do jakichkolwiek uczuć, aż był nagi. Wtedy zaczerwieniła się i skromnie odwróciła wzrok. Roześmiał się.

Natychmiast znalazł się przy niej. Podłożył dłoń pod plecy i opuścił ją na miękkie puchowe łożo. Zdjął z niej koc i nakrył oboje kołdrą.

– Wciąż jesteś zimna – szepnął, gładząc ją po ramionach, brzuchu i piersiach. – Liath, powiedz coś.

Jego bliskość była przytłaczająca. Zebrała się na odwagę, by spojrzeć mu w oczy. To, co w nich ujrziała, przełamało lód jej obojętności. Poczowała łzy pod powiekami. Obróciła głowę, zamknęła oczy i leżała sztywno w jego ramionach. Ale nie próbowała uciekać.

– Wiem, czego chcesz – rzekła cicho. – Ale to jest zamknięte. Zamknięte i nigdy tego nie dostaniesz.

– Nie mówimy już o książce, nieprawdaż, moja śliczna? – Był trochę rozbawiony, trochę zły, ale zadrżał, obejmując ją, westchnął, a jego chłodna skóra nagle stała się ciepła, a potem gorąca. Powiedział tak cicho, że ledwie go słyszała: – Ty, która zasiadasz w moim ogrodzie, moja miła, pozwól mi usłyszeć twój głos.

Jego głos drżał, tak był ogarnięty uczuciem, nie tylko pasją, którą inni zwą żądzą, ale czymś silniejszym, przerażającym. Nie chciał tylko jej ciała i książki. Chciał jej. Tkwiło w niej coś głębszego, z czego istnienia aż do teraz nie zdawał sobie sprawy: dziecko dwojga czarnoksiężników, głuche na magię, ale skrywające w sobie coś tak głęboko, że samo nie potrafiło tego dostrzec.

Ale on potrafił. I choć Liath bała się go wcześniej, tamten strach był nieporównywalny z tym, który czuła teraz. On posiadał wiedzę i umiejętności pozwalające mu widzieć. Miał wzrok, który nie był normalnym postrzeganiem. Teraz, kiedy ją pieścił, pojęła prawdę.

Tato uciekał przez lata, aby ją chronić. Aby ją ukryć. Morderca jej matki teraz czyhał na

nią. Ona była skarbem i nagrodą. Ale nie wiedziała, dlaczego.

Hugo westchnął, jego oddech był ciepły i słodki. Zaciśnęła powieki.

– Nie bój się – powiedział łagodnie. – Nie będę szorstki, nie tutaj. Nigdy tutaj.

Wiedział, co robi.

Odnalazła miasto wyrastające w jej pamięci. Postawiła stopę na białym piasku plaży, o którą rozbijały się fale tak równe jak jej puls, i ruszyła spiralną aleją wyłożoną marmurem; płyty złączone były tak doskonale, że zdawały się jedną gładką nieskończoną powierzchnią, zwiężającą się ku górze. Kiedy się wspinała i mijała siedem coraz wyższych bram, zamykała każdą z nich za sobą, dopóki nie dotarła na szczyt.

Znalazła zamrożoną wieżę swego serca i odgrodziła ją winoroślą, kolcami i żelaznymi pikami. Weszła do środka jedynymi drzwiami i po drabinie wspięła się do najwyższego pokoju, komnaty drzwi, którą podarował jej tato; tylko tę komnatę dla niej stworzył, z czterema drzwiami: północnymi, południowymi, zachodnimi i wschodnimi, a na środku postawił piętę, niemożliwe, zamknięte nawet przed nią. Teraz przekreśliła brązowy klucz, w każdym zamku. Tylko w drzwiach na północ zostawiła cień, sekretną furtkę prowadzącą w dzikie ostępy. Tam stworzyła ścieżkę poprzez przeszkody, poprzez gęste lasy i mylące drogi, aby ją ukryć; tylko ten, kto naprawdę poznał jej serce, mógł odnaleźć do niego drogę. W tę dzicz, w bezdenne poplątane ostępy rzuciła klucz. Ktokolwiek będzie go szukał, znajdzie tam swą zgubę.

Uchwyciła się tej wizji, aby się ocalić.

Hugo był delikatny. Ciepły. Mówił jej słodkie słówka. A w końcu zasnął.

Leżała rozbudzona i barykadowała miasto swej pamięci, umacniając każdy mur, aż była tam bezpieczna. Była samotna i niedostępna, a po wąskiej ścieżce mogła dotrzeć tylko Hanna. W końcu odprężyła się, choć Hugo wciąż obejmował ją ciężkim ramieniem. W tym wspaniale miękkim i cudownie ciepłym łóżku zasnęła.

4.

Następnego dnia Hugo wynajął mężczyznę i kobietę z wioski we włościach hrabiego Harla, aby przychodzili codziennie i wykonywali całą pracę w kościele.

Sumiennie wysprzątałi celę przy jego komnacie, podczas gdy Hugo buszował po graciarni i znalazł stół i połamane krzesło, które szybko zostało naprawione. Najemnik Lars zabił gęś. Dorit ją ugotowała, a Liath przysposobiła pióra do pisania. W dwóch skrzyniach w graciarni znalazły się nieoczekiwane skarby: pergamin i atrament, woskowe tabliczki i rylec oraz inne niezbędne wyposażenie szkoły, plus dwa dywany (nie dorównujące świetnością aretuzańskiemu kobiercowi).

Liath uczyła się. Gdy się uczyła, mogła zapomnieć o wszystkim innym, odepchnąć to od siebie, jakby nigdy nie istniało. Przez pół dnia rozmawiali tylko po dariyańsku. Potem uczył

ją aretuzkańskiego, litera po literze, s³owo po s³owie, a ona wyklada³a mu zawi³e litery jinnijskiego, których nie potrafi³a najlepiej zapisa³. W koñcu czyta³a mu na g³os z ksi¿ek swego ojca. Czyta³a o uzdrawiaj¹cych ro³linach i kwiatach z *Rozprawy o ro³linach*. Czyta³a o domenach, znakach i wizjach, s³i¹c *Sny Artemizji*. Czyta³a rozprawy historyczne o czynach i cudach s³wi³tej Tekli, za³o¿ycielki Ko³cio³a Jednoœci w Darre, pierwszej i najwi³kszej uczennicy b³ogos³awionego Daisana, pierwszej m¹czennicy, która nie uleg³a si³e s¹du pogañskiego cesarza. Czyta³a o pocz¹tkach Imperium Dariyañskiego i jego najwi³kszych tryumfach, spisanych przez Poliksena, uczon¹ aretuzkañsk¹ na dworze cesarskim, dla której celem spisywania historii by³o odkrycie „jak Dariyanie, którzy w przeciwi³nstwie do nas nie pochodz¹ z rasy ludzkiej, zdo³ali w mniej ni¿ pi³eãdziesi¹t trzy lata podporz¹dkowa³ sobie ca³y zamieszka³y œwiat”.

Razem posuwali si³e powoli poprzez lekcje spisane w *Dziela³ magicznych*. Raz zapali³ s³wieczk¹, nie tykaj¹c jej p³omieniem. Raz przewidzia³ burz¹. Ona by³a g³ucha i niema na wszystko, prócz s³ów. T³umaczy³a mu jinnijski i zacz¹³a odcyfrowywa³ litery i s³owa w kolumnie spisanej po aretuzkañsku. Jej istnienie skupi³o si³e na tym. Wszystko inne rozmywa³o si³e, szczególnie to, co robili w nocy. Czua³a si³e tak oderwana od samej siebie, jakby by³a dwiema osobami: jedn¹, która prze¿ywa³a to wszystko, i drug¹, która obserwowa³a œwiat z bezpiecznego schronienia w zamarzni¹tej wie¿y.

Czasami wyje¿dza³, wezwany do ostatniego namaszczenia, chrztu albo leczenia. Za pierwszym razem, gdy nie wróci³ na noc, przes³¹ rankiem obok Dorit piek¹cej chleb w ceglany³m piecu obok kuchni i wysz³a na podwórze. Jednak uderzenie zimnego powietrza i zasp³y s³nie¿ne tak j¹ przerazi³y, ¿e uciek³a do ko³cio³a i nie odwa¿y³a si³e ju¿ wyjœ³.

W ka¿d¹ niedziel¹ ludzie z wioski gromadzili si³e na kazaniu. Przedtem nie opuszcza³a nabo¿eñstw; teraz ich nie znoœi³a. Ale kiedy po raz pierwszy odmówi³a pójs³cia do ko³cio³a, uderzyl j¹ i zagrozi³, ¿e odeœle z powrotem do chlewu, wi¹c si³e podda³a. Chcia³ j¹ pokaza³; zdawa³a sobie z tego spraw¹ a¿ za dobrze. Schowa³ jej stare ubranie, zmuszaj¹c do noszenia pi¹knych sukien. Ba³a si³e odezwa³ do kogokolwiek i ba³a si³e, ¿e jej milczenie uznaj¹ za dum¹ z nowego po³o¿enia.

W rzadkich chwilach, kiedy by³a sama, k³¹cza³a w pustej kaplicy, nie modl¹c si³e, nie myœl¹c, odpoczywaj¹c w boskiej ciszy. Czasami s³ni³ jej si³e tato.

„Liath, mo¿esz si³e do woli bawi³ literami. O r³oznych szko³ach dariyañskiej kaligrafii napisano tomy. Ale gdy uczysz si³e starej pisowni, gdy rysujesz Ró¿¹, musisz j¹ za ka¿dym razem rysowa³ tak¹, jak¹ zosta³a stworzona. Nie mo¿na jej ozdabia³. To, co powstaje pod tw¹ d³oni¹, to tylko wzór, wedle którego ćwiczysz swó³ umys³, a¿ w koñcu nie b¹dziesz potrzebowa³ fizycznej wi¹zi z Ró¿¹, którą wyrysujesz w swej g³owie. Albo, jak czarnoksi¹¿nicy, b¹dziesz mog³a j¹ stworzyc, gdy tylko zechcesz”. Mówi³ tak pewnie, tak jasno. Opuœci³ ramiona, a na twarzy pojawi³o si³e zm¹czenie. „Anne nauczy³aby ci³e lepiej ni¿ ja”

Liath położyła dłoń na siwych włosach taty, tak szybko pobiełałych. „Nie mów tak, tato. Sam mówiłeś, że muszę się uczyć, aby wiedzieć takie rzeczy i być może nauczać innych, ale nigdy nie oczekiwać, że sama posiadam moc”.

Westchnął. „Chciałabyś je posiadać?”

Wzruszyła ramionami. „Pewnie tak. Szkoda, że nie zacząłeś uczyć mnie wcześniej sztuk znanych czarnoksiężnikom. Dlaczego tak długo zwlekałeś?”

„Jeszcze nie jesteś wystarczająco silna. To niebezpieczne, dziecko. Jeszcze wiele, wiele czasu upłynie, zanim będziemy bezpieczni”.

Nie byli bezpieczni.

– Liath! – szept był cichy, ale ostry.

Liath podskoczyła, uderzając kolanami o podłogę, wstała i obróciła się. Stała przez chwilę, obserwując przybysza.

– H... Hanna?

– Jesteś taka... nie, nie blada, ale szara. – Hanna ruszyła w przód. Marszczyła brwi. Energia biła od niej jak ciepło w chłodnej kaplicy, ogrzewanej jedynie koksownikiem, do którego Liath dorzuciła węgla. Nie mogła znieść zimna. – Mówią, że tym razem stary Johan na pewno pójdzie do nieba. Widziałam, jak Hugo odjeżdżał. Nie będzie go co najmniej do wieczora, więc przyszedłam. Mama mi pozwoliła, a ja nie rozmawiałam z tobą od... – zawahała się. Liath nie mogła oderwać od niej oczu. Zrozumienie słów, wypowiedzianych nie przez Hugona, sprawiało jej trudność. – Od dnia, kiedy cię uderzył przed karczmą. Pamiętasz mężczyznę, który tam wtedy był? Jechał do Freelas. Pytał o ciebie, kiedy Hugo cię zabrał. Pytał o twojego tatę.

– Nie pamiętam go – odrzekła Liath bezdźwięcznie. Słowa Hanny miały znaczenie dla kogoś, kogo tu już od dawna nie było. – Nie powinnaś tu przychodzić.

Hanna zeszywniała.

– Chcesz, żebym sobie poszła?

Liath potrząsnęła głową. Nie o to jej chodziło, ale zapomniała powoli, jak się mówi, potrafiła tylko recytować słowa spisane przez innych. – Nie. Ale nie powinnaś tu przychodzić. – Zdenerwowana, rzuciła okiem za siebie, ku drzwiom prowadzącym do nawy. – On przyjdzie...

– On pojechał do Zakola. Nie wróci aż do zmierzchu.

– Dowie się. Wróci. Dowie się, że z kimś się widuję. Zawsze wie.

– Liath. Siadaj. Cała się trzęsiesz. – Hanna dotknęła jej. Dotyk parzył. Liath poruszyła się, gdy Hanna pokierowała ją ku ławce i zmusiła, aby na niej usiadła, oplatając ramieniem. Liath poddała się nagłemu wyczerpaniu i oparła czoło o ramię przyjaciółki.

– Lars poszedł odwiedzić matkę, a Dorit plotkuje w karczmie z moją mamą, więc Hugo się nie dowie. Dorit mówi, że przemycasz się tutaj cicha jak duch. Mówi, że się nie odzywasz,

chyba że frater do ciebie zagada, i to w jakimś diabelskim języku. Ale to jej słowa. – Hanna umilkła i rytmicznie gładziła ramię Liath. Siedziały tak przez jakiś czas.

Nagle Liath podniosła głowę.

– Jaki mamy dzień?

– Sobotę.

– Nie. Jaki miesiąc? Jaki dzień? Jaką porę roku? Nadal jest zima?

Hanna gapiła się na nią i Liath uświadomiła sobie, że przyjaciółka jest niespokojna, nawet przestraszona, ale dlaczego?

– Jeszcze co najmniej miesiąc do zasiewów. Już po przesileniu i po świętej Herodii. Zbiory były obfite, więc nikt nie głoduje. Większość zboża przetrwała zimę.

– Po zasiewach są Mariany – powiedziała Liath, próbując przypomnieć sobie coś ważnego, co powiedział jej kiedyś tato. Czy może jej matka? Tak, matka. Były w ogrodzie, w same Mariany, zbierając nowalijki, ale dlaczego zbierały je tak wcześnie? Jej matka, bladolica i elegancka, dumna... ale nawet, gdy przypomniła sobie tę scenę, pamięć nadal nie podsuwała słów wypowiedzianych wtedy przez matkę. – Skończę siedemnaście lat – rzekła, chwytając się jedyne sensownego usprawiedliwienia.

– Liath, spójrz na mnie – Liath z wysiłkiem odwróciła głowę i popatrzyła na Hannę, zmartwioną i znękaną. – Moi rodzice chcą mnie zaręczyć z młodym Johanem. W Mariany. Powiedziałam, że się zastanowię. – Jej głos brzmiał błagalnie. – Co mam zrobić? Nie chcę za niego wyjść i uprawiać jego pola, i rodzić mu dzieci każdego roku, aż do śmierci. Wiem, że bogini gotuje nam taki los i że powinnam być dumna ze swojej wolności, ale nie tego pragnę. Nawet, jeśli mnie wyklną. Ale nie wiem, co robić.

Hanna jej potrzebowała. Cień drzwi zarysowany w północnych wierzejach drgnął i otworzył się, przepuszczając Hannę przez dzikie pustkowia wprost do fortecy.

– Och. Hanno – rozgorzał w niej nagły płomień. – Gdyby tato i... Gdybyśmy tylko mogli wrócić do Autunu, gdzie mieszkaliśmy przed przybyciem tutaj, albo do Qurtuby na dwór kalifa, albo do Darre, gdzie mieszkaliśmy na początku, mogłabym cię zabrać ze sobą.

– Darre? W Darre mieszkają diabły!

– Diabły? Pod nosem skoposy? – Liath zachichotała – Chodzi ci o elfy. To nie są ani diabły, ani demony.

– Ale diakonisa Fortensja mówiła, że zrodziły się ze stosunków, jakie ludzkie córki utrzymywały z upadłymi aniołami. I dlatego są diabłami.

– Nie tego nauczał błogosławiony Daisan. Tato zawsze powtarzał, że elfy powstały z ognia i światła, a skaziła je ciemność, która okryła świat za czasów chaosu. Chodziły po tym świecie, zanim ludzkości nakazano Świętą Wojnę.

Hanna była tak przerażona, jakby Liath właśnie oznajmiła, że sama jest diablicą, zrodzoną z nieczystego związku między kobietą i aniołem, który wyrzekł się Pana i Pani.

– Wiesz tyle dziwnych rzeczy – wymruczała w końcu.

– Tylko dlatego, że umiem czytać. Też mogłabyś się nauczyć, gdybyś chciała.

– W zakonie!

– W Darre. Pamiętam. Hanno! – Wspomnienia zrodzone z chmur, po których wędrowała, były jak siew na pustkowiu. – Tato mówił, że właśnie w Darre król Henryk spotkał kobietę-elfa, która urodziła mu syna i zapewniła sukcesję.

Hanna nadal wyglądał na zaniepokojoną tym diabelskim gadaniem, ale wysunęła podbródek i zaczęła badać grunt:

– Czy to prawda, że on jest półelfem? Inga mówiła, że żona kuzyna jej męża była we Freelas, kiedy Smoki przejeżdżały przez miasto i widziała ich. Smoki, znaczy. Mówiła, że nie mogło być wątpliwości, że on jest jedynie półczłowiekiem, taki jest wspaniały i przerażający. Włosy ma czarne jak noc, skórę jak brąz i zielone oczy.

Liath roześmiała się. Zaskoczona umilkła: od miesiący nie słyszała tego dziwnego dźwięku.

– Jak mogła żona kuzyna męża Ingi zbliżyć się do Smoków, że o księciu nie wspomnę, na tyle, żeby zobaczyć, jakiego koloru ma oczy?

– Ma zielone oczy i jest półelfem, biedny bękart. Matka go porzuciła, zanim skończył dwa miesiące.

Liath obróciła się tak prędko, że potknęła się i upadła na podłogę. Ledwo uświadomiła sobie, że Hanna wstaje. Dzielna dziewczyna. Stał tam, oparty o drzwi prowadzące do kościoła. Oczywiście, że wiedział.

– Nigdy nie rozumiała wendarskiego ani varreńskiego, mówiła tylko po dariyańsku i trochę w aostańskim, który jest dosyć podobny do dariyańskiego. Powiadają, że przybyła z Alby, miejsca, w którym Zaginieni nadal spacerują w księżycowe noce. Ale najlepiej mówiła po saliańsku i dała dziecku saliańskie imię. – Uśmiechnął się, doskonale wiedząc, że klęczała u stóp Hanny zmrożona jego obecnością. – Nazywała się „Alia”, co po dariyańsku znaczy „inna”, chociaż książe Henryk nigdy chyba nie pojął tej gry słów. Moja stara niania była przy porodzie, bo potrzebowali wielu świadków, gdyż dziecko potwierdzało płodność Henryka. Moja niania powiedziała, że Alia po porodzie patrzyła na dziecko i krew, której przy takich okazjach nie da się uniknąć, i rzekła: „Sprowadzono mnie na krwawe pola. Zabierzcie je”. Dali mu na imię Sanglant, bo uznali, że to imię wypowiedziała.

Jego ton się zmienił, a oczy stały się twarde jak skała.

– Liath. Od dziś będziesz jeździć ze mną. Potrafisz dosiąść konia, prawda?

Przytaknęła.

– Chodź.

– Tam jest tak zimno.

– Chodź. Ale już.

Wstała i poszła.

5.

Nawet nie patrząc na Hannę, nie zauważając jej. Liath wstała i poszła ku drzwiom kaplicy tak sztywno, jakby ciągnęły ją sznurki przywiązane do kończyn. Przeszła obok Hugona i wyszła z kościoła.

Kiedy tylko zniknęła z oczu, Hugo popatrzył na Hannę. Przyglądał jej się, jakby się zastanawiał, czy stanowiła dla niego zagrożenie. A potem, nieświadomym pogardliwym ruchem głowy wyrzucił ją ze swych myśli i ruszył za Liath.

– Ty głupcze – wyszeptała Hanna, widząc, jak jego sylwetka rozplywa się w mroku. A jednak jak mogła patrzeć na niego i bez wstępu wejść do łóżnicy Johana, który miał ospowatać twarz, brudne paznokcie i wysławiał się z trudem?

– Ty głupcze – powtórzyła, upewniając się, że zna swą wartość. Usatysfakcjonowana, klękła na poduszce Liath, w ciepłe koksownika. I długo rozmyślała nad sceną, której właśnie była świadkiem.

Gdy wyszła z kościoła, nie ruszyła do karczmy, tylko skierowała się na długi spacer ku zamkowi hrabiego Harla. Być może, być może uda jej się przekonać strażników, aby wpuszczili ją do Ivara, który trzymany był w odosobnieniu aż do wiosennej podróży do Quedlinhamu. Znała setki sposobów, by go namówić – rozgoryczonego, bo wszyscy wiedzieli, że południowa dziewczyna sypiała z fratrem – do zabrania ze sobą wiadomości na południe.

Ten mężczyzna, który trzy miesiące temu przejeżdżał przez wieś, nie miał ani odznaki, ani szat, które zdradzałyby, kim był. Ale wieczorem, gdy dorzucała do ognia, widziała go piszącego na pergaminie. Może list, choć na pewno nie był klerykiem; nosił brodę. Jaki żołnierz potrafiłby pisać?

Zbliżyła się, próbując rzucić okiem, i szczęśliwie ujrzała, jak kreślił symbol u dołu pergaminu. Oczywiście, nie umiała czytać, ale córka karczmarza rozpoznawała wicie symboli. Ten znała dobrze, choć rzadko pojawiał się tak daleko na północy.

Była to pieczęć Królewskich Orłów.

Rozdział piąty

W sercu

1.

– Bo w Świętej Księdze powiedziane jest – nauczał frater Agius – że nasze cierpienie to kara, którą ponosimy za grzechy.

To prawda, stwierdził Alain, wstając do końcowej modlitwy. Nigdy nie był tak szczęśliwy i tak głęboko zrozpaczony jak przez ostatnie pół roku; jesień przeszła w zimę i teraz, na przednówku, jak nakazuje Krąg Jedności wszelkiemu życiu, zima powoli zmieniała się w wiosnę. Uczył się sztuki wojennej niby wojownicy w starych opowieściach, tak jak mu to przyobiecano w wizji na Przełęczy Smoczego Grzbietu i jak zawsze sekretnie pragnął. Ale przez ogary i dlatego, że w głębi serca wyrzekł się służby Panu i Pani, mimo iż jego ojciec zaprzysiął go Kościołowi, stronili od niego wszyscy mieszkańcy fortecy oprócz Półgłówka.

– Pobłogosław nas – jednym głosem rzekli zgromadzeni. Agius podniósł dłoń ku niebiosom. Miał mocny głos, stworzony do długich kazań, którymi raczył wiernych w Lavas, odkąd diakonisa Waldrada tak zaniemogła na płuca, że mówiła jedynie szeptem.

– Niech błogosławiony Daisan, który spoczywa teraz na łonie naszej Matki, zlituje się nad nami i zbawi nas. Niech święta Cecylia, patronka dzisiejszego dnia, i święty Laurencjusz, którego kości uświęcają ten kościół, i wszyscy święci, i nasza matka między świętymi, Klemencja, druga tego imienia, skoposa w Darre, wstawią się za nami u Matki i Ojca życia, bo ich jest chwała i miłość. Amen.

Alain czekał wśród służących, aż hrabia Lavastine i jego orszak opuszczą kościół. Dotknął ramienia Półgłówka, ale chłopiec wpatrywał się w wielki kościelny witraż, wypełniony czerwonym, złotym, lazurowym i szmaragdowo-zielonym szkłem, przechylając głowę w sposób tak dziwny, że bardziej przypominał goblina niż dziecko zrodzone z ludzkiej matki. Ale zawsze wyglądał na pokręconego. Wierni wyszli. Alain pociągnął Półgłówka za ramię, a ten podskoczył, potoczył wokół dzikim spojrzeniem i sięgnął za pas. Wyciągnął

stamtąd kawałek brudnej szmaty, w którą zawinięty był pokruszony ser i cebula. Niecierpliwie przycisnął się obok Alaina i ruszył ku drzwiom do westybulu.

Alain pobiegł za nim.

– Półgłówku, nie możesz – starał się wołać szeptem. – To zabronione.

– Przyjacielu.

Alain obrócił się. Frater Agius spoglądał na niego z ołtarza. Alaina zawsze denerwowało jasne spojrzenie fratra, a wydawało mu się, że od incydentu z psami te jasne oczy przyglądały mu się stanowczo za często. Pochylił głowę.

– Kasztelanka Dhouda powiada, że przeznaczono cię do stanu duchownego.

– Tak, bracie – nie podnosił wzroku. – Miałem wstąpić do klasztoru na Smoczym Ogonie.

– To był królewski klasztor, prawda?

– Tak, bracie.

– Spalony do cna przez Eików, którzy wyrznęli mnichów?

– Tak, bracie.

– A jednak cztery miesiące temu skoczyłeś na pomoc ich uwięzionemu księciu?

– Tak, bracie.

– Dlaczego?

– Bo Pani nakazuje nam miłosierdzie, bracie – odrzekł szybko, pragnąc, by frater zakończył przesłuchanie, nim Półgłówek zostanie nakryty.

– Nie czujesz nienawiści do tego księcia? Chociaż mógł być wśród tych, którzy zamordowali ludzi, którzy mieli się stać twymi braćmi? Może, przyjacielu, ofiarowano cię Kościołowi wbrew twojej woli?

Alain zaczerwienił się i nie odpowiedział ani nie podniósł głowy.

– Twoi rodzice? – zapytał Agius, schodząc z ambony, aby stanąć przy Alainie. Chłopiec poczuł zapach mokrej wełny, korzeni dodawanych do wody święconej i dominującego nad nimi olejku różanego. Ręce Agiusa były brązowe i pokryte odciskami, jak ręce kogoś pracującego fizycznie. A jednak akcent zdradzał, że był wysoko urodzony.

– Nie wiem, kim była moja matka, fratrze. Henri z Osny, syn Adelheida, przyciągnął mnie. To jego uznaję za ojca. Moja rodzina pochodzi z Osny: ciotka Bel, siostra Henriego i jej dzieci, które uważają mnie za kuzyna. Tam się wychowałem.

– Bel i Henri? Henryk przez „i” i Sabella, jak sądzę, z domieszką saliańskiego. A ty jesteś sierotą? – Oczy Agiusa przeszywały go na wylot. Tego obawiał się Alain.

– Tak, bracie.

– Ludzie tutaj powiadają, że stary hrabia Lavastine, dziadek obecnego hrabiego, zawarł pakt z diabłem, by dostać psy. – Alain zadrżał, pragnąc zapaść się pod ziemię. – Powiadają też, że zawarty pakt wymagał krwi i krew obiecywał, a ogary słuchać miały tylko hrabiego i dziedzica z jego krwi. Zapytałem kasztelankę Dhoudę, czy mógłbyś być bękartem hrabiego. Wedle mych kalkulacji, gdy przeglądałem zapisy, zostałbyś poczęty wtedy, gdy hrabia

zareczył się z kobietą, którą później poślubił. Bękart zrobiony wieśniaczce, nawet ładnej, byłby przeszkodą przy zawieraniu tak delikatnego związku, nie uważasz? Wiele podobnych dzieci oddaje się Kościołowi, aby utrzymać je z dala od rodziny.

Ton jego głosu sprawił, że Alain podniósł wzrok i wykrztusił:

– Wy? Wy jesteście bękartem oddanym Kościołowi wbrew waszej woli?

Agius nie uśmiechnął się.

– Nie, nie jestem. Złożyłem śluby wbrew woli moich rodziców. Zaręczono mnie z kobietą, której nie chciałem poślubić. Moja rodzina skorzystałaby na tym małżeństwie; ale ja nie, bo w sercu już przyrzekłem... – urwał, ale po chwili podjął wątek. – ...naszej miłosiernej Pani. – Położył dłoń na piersi. – Pani mnie pobłogosławiła. Miałem brata młodszego o rok, przystojniejszego i bardziej chętnego takiemu związkowi, więc we dwóch przekonałiśmy moją narzeczoną, że stanowił lepszą partię. Kiedy miałem osiemnaście lat, złożyłem śluby, a mój brat krótko potem się ożenił. Nie żyje już, zginął na jednej z wojen króla Henryka – wyrzekł to spokojnie, ale Alainowi zdawało się, że oczy Agiusa zapłonęły gniewem, a usta wygięły się z goryczą. – Ale nie wyglądasz. Jednak często dziecko przypomina matkę.

Alain nie od razu zrozumiał. „Nie wyglądasz jak hrabia Lavastine”. To miał na myśli frater Agius.

– A nawet gdybym był synem hrabiego, to co z tego? – zapytał, zły, że ktoś umniejsza znaczenie Henriego. – Przygarnięto mnie. Nawet jeśli to prawda, on chciał się mnie pozbyć.

– Nie sądzisz chyba, że to koniec? Wielu szlachciców i szlachcianki obsypuje zaszczytami i bogactwem dzieci zrodzone z chłopstwa czy nawet innych wysoko urodzonych. Jeśli naprawdę twe serce oddane jest Kościołowi, musisz zrozumieć, ile mógłbyś wnieść w wianie naszej Pani i błogosławionemu Daisanowi. Syn szlachcianki przynosi zamożność i ziemię, a syn szlachcica pokaźny posag albo, jeśli jest mocno kochany, jego ojciec zakłada dla niego kongregację.

– Nawet jeśli to byłaby prawda – wyszeptał Alain – teraz jestem tylko synem kupca. Nigdy nie potrafiłbym dowieść, że jest inaczej. – Nawet, jeśli skrycie tego pragnął. Szlachcic, nawet zrodzony z nieprawego łoża, mógł liczyć na służbę u króla, odziedziczyć majątek, który pozwoliłby mu wystawić własną drużynę albo wstąpić do Smoków, elitarniej królewskiej kawalerii.

– Przystudiowałem zapisy narodzin z roku, w którym przyszedłeś na świat. Z dzieci, które się wtedy urodziły, umknęła mi tylko trójka bezimiennych. Inne albo umarły i zostały powołane do Komnaty Światła, co zostało odnotowane w księgach, albo zostały przeze mnie odnalezione i widziałem je na własne oczy. Z tych trojga jedno zapisano jako dziewczynkę urodzoną z małżeństwa, które później stąd wyjechało. Dwoje pozostałych to dzieci niezamężnych kobiet, których imion nie podano, chociaż przynajmniej jedna z nich musiała odprawić pokutę za grzechy. Niestety, diakonisa, która rezydowała wtedy w Lavas, już nie żyje, ale kucharka niezwykle dobrze zapamiętuje podobne sprawy. Przysięga, że żadne inne

dziecko nie przyszło na świat i nie zostało oddane na wychowanie. I nie przypomina sobie żadnego podrzutka na schodach kościoła.

Alain spróbował sobie wyobrazić, jak by to było zostać uznanym za nieślubnego syna hrabiego Lavastine'a, krew z jego krwi, zostać wyniesionym na wysoką pozycję. Ale widział tylko twarz Henriego, wykrzywioną z żalu, gdy wspominał kobietę, która była matką Alaina. Kobietę, którą Henri kochał.

– Nie masz nic do powiedzenia? Przecież jesteś ambitnym chłopcem?

– Dziecko lorda Godfryda, dziewczynka urodzona przez panią Aldegundę zeszłej jesieni, odziedziczy Lavas. Słyszałem, jak o tym mówili.

– Jeśli przeżyje. Jeśli nie znajdzie się lepszy kandydat. Pani Aldegunda pochodzi z wendarskiego rodu. Owszem, to jest pogranicze, ale ludzie wolą dzieci z krwi Varre, z prawego czy nieprawego łóża.

– Nie ma dowodu – powtórzył Alain, zmieszany obecnością Agiusa i jego krzyżowym ogniem pytań. – W życiu nie słyszałem, żeby ktoś z zamku twierdził, że hrabia zrobił dziecko posługaczce. Gdyby o tym wiedziano, na pewno by plotkowano. Hrabia Lavastine miał dziedziczkę, ale ona umarła. Na pewno się jeszcze ożeni.

– Być może. Nikt nie mówi teraz o tych śmierciach, chyba, że wspominając je jako okropny wypadek. Dobrze. Nie wątpię, że jeśli hrabia zechce rozwikłać zagadkę twego urodzenia, zrobi to. Doprawdy to nie moja sprawa. Nie jest moim krewnym, a ja jestem zaprzysiężony Kościołowi, a nie ziemskim sprawom. – Jego głos nabrał ostrości, jakby nagle jego myśli zaprzętnął inny temat. – Porozmawiam z Rodlinem i sierżantem Fellem. Chciałbym, żebyś przychodził do mnie na godzinę każdego dnia. Nie mogę zapomnieć, że ciągle jesteś przyobiecany Kościołowi. Będę cię uczył, jak należy, czytania i pisania. – Wrócił do ołtarza, przyklęknął i zaczął się modlić.

Alain po cichutku wycofał się ku drzwiom i wypadł na zewnątrz.

Za późno! Oto dowody winy, leżące tuż obok niej. Odziana we włosienicę, z włosami posypanymi popiołem, Withi łkała na kolanach tuż obok drzwi do kościoła. Klęczała tam od dziesięciu dni, gdy kapitan nakrył ją i Herica, kochających się w stajniach. Oprócz niego byli inni świadkowie, więc musiał zażądać, aby grzesznicy wyznali publicznie swoje winy. Frater Agius nalegał, aby odbyli całą nakazaną pokutę, jednak kapitan odesłał Herica do swej rodzinnej wioski, gdzie diakonisa mogła okazać więcej miłosierdzia.

Withi płakała, jej piękne oczy były zapuchnięte, twarz spierzchnięta od zimna, a dłonie czerwone i popękane. Półgłówek zostawił ser i cebulę na widoku, jak ofiarę, bo zrozumiał tylko tyle, że Withi musiała klęczeć o chlebie i wodzie. Chował się w rogu kościoła. Gdy zobaczył Alaina, podbiegł ku niemu. Dźwięki wydobywające się z jego ust bardziej przypominały zwierzęce pomruki i skomlenia niż ludzką mowę. Withi wypłakiwała swój wstyd. Niektórzy żołnierze przystawali, by na nią popatrzeć. Alain skoczył ku niej i wcisnął zakazany skarb, owinięty w brudną szmatę, pod włosienicę.

Przełknęła łzy. Dłoń zacisnęła się na zawiniątku.

– Przyniosłeś to dla mnie? – szepnęła. – Ulżenie pokutującemu w cierpieniu jest grzechem, bo zawłaszczasz sobie przywilej diakonisy i fratra.

– To lekki grzech – odparł Alain. Współczuł jej. Półgłówek zamruczał coś w podnieceniu.

– A poza tym to nie ja. To Półgłówek...

Podniosła na niego błękitne oczy.

– Nie zapomnę – rzekła do Alaina.

Idiota wykrzywił twarz i spróbował przemówić:

– Iiihii.

Wzdrygnęła się i cofnęła.

A on tylko próbował wypowiedzieć jej imię.

W drzwiach ukazał się frater Agius.

– Przyjaciele – rzekł, podchodząc do nich. – Współczucie to cnota, ale pokuta oczyszcza duszę. Za rozmowę z pokutnicą, Alainie, będziesz pościł całą przyszłą sobotę i rozmyślał nad znaczeniem kazania, które wygłosiłem. Niech Pani zlituje się nad twą duszą. Amen. Chodź, porozmawiam z twoimi przełożonymi.

Podobnie jak inni, Agius nie zwracał uwagi na Półgłówka. Alain musiał ruszyć za fratrem. Jak mógł pomóc Withi? Unikała go po powrocie hrabiego i incydencie z psami jak wszyscy, ale bolało go, gdy widział ją klęczącą w błocie przed wejściem do kościoła. Diakonisa Waldrada nigdy nie była tak surowa. Na korzyść fratra Agiusa przemawiał jedynie fakt, że wszystkich, łącznie z sobą, osądzał równie surowo.

Półgłówek, który kiwał się obok Withi i był kompletnie ignorowany, w końcu stracił serce dla dziewczyny i pobiegł za Alainem. Był wierny jak psy, ale gorzej chowany. Nikt nie dawał mu mięsa, nawet w niedzielę, nie chcąc tracić smakołyków dla głupka; oprócz wykrzywionej twarzy, całe ciało miał powykręcane i chodził, kiwając się na boki. Nawet ogary, które obszczekiwały i podgryzały każdego, traktowały Półgłówka obojętnie i oczywiście go nie słuchały. Alain litował się nad nim i robił, co tylko mógł, aby ochronić go przed okrucieństwem innych ludzi.

Frater Agius szedł tak szybko, że Alain musiał za nim biec, i rychło minęli oddział maszerujący do zamku. Gdyby Alain był sam, żołnierze wyzwaliby go albo opluli; nauczył się znosić takie zachowanie, bo zrozumiał, że podobnie jak płacz pod kościołem, była to pokuta, na którą nie mógł się skarżyć. Ale teraz, widząc Agiusa, żołnierze ograniczyli się do mrużenia przekleństw.

Znaleźli Rodlina i Fella na podwórku i ustalili wszystko wedle życzeń fratra.

– Ha – mruknął sierżant, kiedy Agius odszedł. – Dziwnych dobroczyńców do siebie przyciągasz, mój chłopcze – wymienił spojrzenia z Rodlinem, który stał obok, całkowicie opanowany.

Alain desperacko pragnął zapytać tych mężczyzn, którzy tak długo służyli hrabiemu, czy

uważali go za nieślubnego syna Lavastine'a, ale nie odważył się. Słuchał rozkazów.

Kiedy sierżant Fell zwołał młodych mężczyzn na szkolenie, Alain przyłączył się do nich, jak to czynił całą zimę. Tego roku spadło mało śniegu i chociaż nie odprawiono jeszcze mszy na świętą Herodię, aby zaznaczyć początek przednówka, wiatr zwał śnieg z pól, które doskonale nadawały się do manewrów. I nawet jeśli inni młodzieńcy mocniej niż musieli, uderzali Alaina włóczniami, walili go po głowie tarczami, jeśli wystawiali go na czoło formacji znacznie częściej, niż to było konieczne, nie miał im tego za złe. Każdy siniak czynił go silniejszym. Sierżant Fell kiwał głową i powiedział pewnego razu, że dobrze sobie radził.

Wzięli udział w polowaniu z sokołami jako naganiacze, chociaż Alain biegł przy ogarach i pilnował, aby nie splątały jeźdźcom brzydkiej niespodzianki. W lesie niedaleko ruin psy wytropiły odyńca i syn lorda Godfryda, urodzony z pierwszej żony, zadał mu śmiertelny cios.

Każdego dnia Alain spędzał godzinę z fratrem Agiusem; pracowicie wypisywał litery i uczył się recytować wersy z świętej księgi. Wieczorami siadywał w izbie, jadł i pił. W sekrecie podsuwał Półgłówkowi kawałki ryby, słuchał bardów i muzyków i patrzył na mimów zabawiających hrabiego i jego gości swymi wygłupami.

A później wymykał się do swej komórki w psiarni i kulił pod grubym wełnianym kocem, który przysłała ciotka Bel przez pieszego posłańca. Tylko w psiarni, sam z ogarami, miał spokój – z ogarami albo z księciem Eików, przykutym w klatce. Stworzenie znosiło zimowe chłody, jakby ich nie zauważało.

Jeniec fascynował Alaina. Był bestią, dzikim stworem, który niemal wydarł gardło jednemu ze służących, który w pierwszym tygodniu uwięzienia księcia podszedł za blisko. Mężczyzna nie umarł, ale stracił mowę. Księżę zdawał się szanować tylko psy, które zapewne uznawał za sobie podobne w nieposkromionym gniewie.

Zadaniem Alaina było karmić go w południe i o zmroku. Eskortowany przez psy, przynosił miskę z mięsem i owsianką (jedynym jedzeniem, jakie księżę dostawał), uwalniał mu jedną rękę z łańcuchów i odsuwał się o krok, kiedy tamten jadł.

A dziwnie się do tego zabierał. Był wyjątkowo porządny, tak przy jedzeniu, jak i w dbaniu o siebie. Nie rzucał się na miskę, choć biorąc pod uwagę wielkość porcji, jakie dostawał, musiał być wiecznie głodny. Jadł powoli, a maniery miał lepsze niż większość szlachciców zasiadających przy stole hrabiego. Jeśli musiał sobie ulżyć (a Alain ocenił, że robił to znacznie rzadziej niż ludzie), dokonywał tego zawsze w tym samym kącie klatki, tak daleko, jak tylko pozwoliły mu łańcuchy. Alain zlitował się w końcu i w każdy czwartek czyścił klatkę, bo nikt inny się do niej nawet nie zbliżał. Księżę przyglądał mu się, ale nigdy, nawet gdy miał wolną rękę, nie spróbował zaatakować. Może tylko dlatego, że Alain nie ruszał się nigdzie bez psów, które z pewnością były równie przerażające i niebezpieczne jak szponiasty miedzianoskóry księżę.

Alain podsłuchał kiedyś, jak Rodlin mruczał, że diabeł instynktownie wyczuł dziecko poczęte przez demona. Ale Rodlin traktował Alaina sprawiedliwie i nigdy go nie uderzył,

choć bił Półgłówa i innych służących, jeśli się mylili albo ociągali. Tylko jak dziecko, zrodzone ze związku kobiety i elfiego księcia z ruin na wzgórzu, mogło być jednocześnie synem hrabiego Lavastine'a i służącej?

Książę Eików, jak pokutnik, bez skargi znosił niewolę całą zimę, która miała się już ku końcowi.

Dzień świętej Herodii minął, zbliżały się Mariany, pierwszy dzień wiosny, początek nowego roku, który wedle rachuby wpajanej Alainowi przez Agiusa, miał być siedemset dwudziestym ósmym rokiem od dnia Ogłoszenia Boskiej Nauki. Świętego Słowa, przez błogosławionego Daisana, zwanego też Głoszącym.

Do zamku przyjechał obcy i został poprowadzony do prywatnych komnat hrabiego, z których wyszedł dwie godziny później i na nowym koniu ruszył dalej na południe. Zaczęły się plotki.

– Naprawdę? Przyjedzie tu dama Sabella?

– Czy hrabia zamierza przyłączyć się do jej rebelii? Zaprzysięgnie jej wierność?

– Pójdzie na wojnę z królem?

– To nie nasz król. Henryk nie jest prawowitym władcą Varre, tylko Wendaru. Jego dziadek ukradł dla swych dzieci tron Varre.

Alain zebrał się na odwagę i na świętą Rozynę, tydzień przed Marianami, zadał Agiusowi dwa pytania.

– Przepraszam, bracie, ale czy wrócę do mojej wioski, kiedy rok mojej służby się skończy?

– Rok? – Agius myślał o czym innym. Kartkował świętą księgę, nie czytając jej.

– Rok mojej służby. Za dwa tygodnie będzie świętego Euzebiusza.

Agius zmarszczył brwi.

– Jeśli chcesz wracać, musisz pomówić z kasztelanką. To ona tu rządzi, nie ja. Taka decyzja leży też w gestii twej ciotki. Ale nie sądzę, aby hrabia mógł sobie pozwolić na utratę jakiegokolwiek żołnierza.

– Ja nie chcę wracać, jeszcze nie – odrzekł szybko Alain, obawiając się, że zostanie opacznie zrozumiany. Chciał zostać; nie był jeszcze gotów na powrót do Osny. Ale z drugiej strony, czy dłuższy pobyt tutaj nie okaże się nielojalnością wobec ojca i ciotki? Ale pewnie od razu znaleźliby mu inny klasztor. Agius przyglądał mu się z zaciekawieniem. Alain przypomniał sobie drugie pytanie. – Czy to prawda, że przyjedzie tu dama Sabella?

– To prawda – powiedział Agius.

– Ale nie przygotowaliśmy...! – ugryzł się w język. Agius, przycinający knot w lampie, był zbyt zajęty, by usłyszeć te słowa. Nic dziwnego. Do diabła! Księżniczka z domu panującego Wendaru i Varre przybywała tutaj, do zamku Lavas!

Tego wieczora hrabia wstał i przemówił do służących. Mówił krótko i prosto.

– Otrzymałem wiadomość od Jej Wysokości Sabelli, córki Arnulfa młodszego, króla

Wendaru i Berengarii, królowej Varre, za których się modlimy. Przesyła nam pozdrowienia i za dziesięć dni przyjedzie do Lavas ze swym mężem, księciem Berengarem z Varre, córką Tallią i orszakiem.

Kucharka dostała ataku szału.

– Dziesięć dni! Chłopcy, będziecie mi łapać wszystkie świnie i owce w pobliskich wioskach! Potrzebujemy ich co najmniej pięćset. Gdzie ja dostanę o tej porze roku tyle wina i piwa, pytam ja was? I zboża. I kur! Pięć wozów rzepy, a w piwnicach nic nie zostało. Pytam ja was!

Kasztelanka Dhouda i jej pomocnicy rozpierzchli się po okolicy, z rozwianym włosom szukając żądanych przez kucharkę produktów oraz dodatkowych służących. Alain pracował od świtu do zmierzchu, stawiając tymczasowe schronienia. Nie miał czasu na trening; nie miał czasu na lekcje. Co najdziwniejsze, brakowało mu i jednego, i drugiego.

O świcie Peniteru rozbrzmiał dzwon kościelny, wzywając wiernych na pokutę. Alain wstał, nakarmił psy i pozwolił sobie zwilżyć gardło odrobiną deszczówki z kadzi. Z palisady widział drogę prowadzącą do miasta i kościoła. Pojawili się na niej ludzie, niektórzy na kolanach, inni zgięci w pół, reszta z dłońmi przyciśniętymi do piersi, kierujący się ku kościołowi. Frater Agius miał odprawić poranne nabożeństwo, bo diakonisa Waldrada nadal była zbyt chora, by nauczać.

Jak inni stajenni, Alain musiał wypełnić swe obowiązki, zanim mógł oddać się modlitwie. Tak samo błogosławiony Daisan opłakiwał, modlił się i cierpiał za grzechy wiernych, zanim doznał ulgi i został wzięty do nieba, do serca Pana i Pani.

Ktoś patrzył. Alain odwrócił się. Księżę gapił się na niego. Jego włosy, białe jak mleko, odcinały się od ciemnych ścian klatki. Czy on w ogóle sypiał? Alain zaczynał w to wątpić.

Rodlin nie wydał żadnych poleceń dotyczących jeńca. Wszyscy pościli w Peniter. Ale przecież księżę czcił fałszywe bóstwa, więc Alain zdecydował, że nakarmienie go będzie aktem miłosierdzia. Przyniósł mu więc zwykłą porcję i kiedy tamten jadł. Alain mówił po cichu – nie chcąc go przestraszyć – o błogosławionym Daisanie i Kręgu Jedności. W końcu wszystkie stworzenia należało oświecać. Nawet gobliny z gór Harenz zostały nawrócone wysiłkiem świętego Marcina i jego siostry, męczennicy Placidany.

– Dzisiaj rozpamiętujemy nasze grzechy – powiedział. Jego głos brzmiał dziwnie, obco w chłodnym powietrzu świtu, jakby to kto inny się odzywał. Słyszał, niby kontrapunkt, ciche powarkiwania psów kruszących kości. Księżę jadł bezgłośnie. – A potem przez siedem dni modlimy się i pościmy, jak błogosławiony Daisan przy Palenisku w kościele w Sais, mieście błogosławionym. Te siedem dni nazywamy Ekstazą. Kiedy się modlił, prosząc o odkupienie dla wszystkich, którzy mogli dostąpić Światła Kręgu Jedności nakreślonego przez Pana i Panią, jego dusza wspięła się przez siedem sfer aż w końcu, siódmego dnia, wkroczył do Komnaty Światła. Pan i Pani w swej łasce wzięli go prosto do nieba. Jest napisane w *Czynach świętej Tekli*, że cały kościół rozświetlony był blaskiem bożej łaski, tak jasnym, że Tekla

oślepla siedem razy po siedem dni. A błogosławiony Daisan zniknął w Komnacie Światła. Tego dnia, znanego jako Przemienienie, cieszymy się i uczujemy, bo wszyscy możemy odnaleźć miłosierdzie w łasce naszego Pana i Pani.

Podobnie jak psy, książę wolał surowe mięso i zjadał swą porcję do ostatniej kosteczki. Podniósł głowę i wąskim językiem posmakował powietrze. Z bliska lśnił jak węzowa łuska, czerwono – brązowo. Nie pachniał jak człowiek, potem i skórą, tylko jak mszysty jaskinia, suchym kamieniem.

Odezwał się.

– Halan.

Alain poderwał się, tak był zaskoczony. Potem rzucił się w przód i skuł ręce księcia na plecach.

– Halan – powiedział jeniec, nie spuszczać wzroku z Alaina. Mógł tylko poruszać podbródkiem, do przodu i na boki. Jego głos przypominał dźwięk fletu.

„Próbuje do mnie przemówić”, pomyślał Alain. Zadrżał. „Halan”

– Mam na imię Alain – rzekł z ociąganiem, nie do końca pewien, czy dobrze odczytał intencje księcia. – Jestem Alain, syn Henriego. Masz imię? – Powtórzył gest stworzenia. – Czy masz imię?

Książę obnażył zęby, a Alain nie wiedział, czy ten grymas miał przestraszyć, czy imitować uśmiech.

– Henry. Król.

Alain ugryzł się w język.

– Król Henryk rządzi Wendarem i Varre. Jak ci na imię? Kto rządzi w twoim kraju?

– Krwawe Serce. Król klanów. Ja też syn. Syn Krwawe Serce.

Syn króla Eików! Czy on mówił prawdę? Mimo zaskoczenia Alain zachichotał dziko: jeniec sądził, że on był synem króla Henryka!

Ale zanim zdołał odpowiedzieć, ogary porzuciły kości i runęły ku bramie. Książę odrzucił głowę w tył i zawył psom do wtóru. Alain zasłonił uszy i wybiegł z klatki, zatraskując drzwi i zakładając łańcuch. Co za zgiełk! Psy ujadły i wyły jak wściekłe. Podbiegł do drabiny, wspiął się na nią i ujrzał to, co inni usłyszeli i poczuli.

Na drodze pojawił się najwspanialszy orszak, jaki kiedykolwiek widział. Około pięćdziesięciu jeźdźców otoczonych było przez masę służących i innych pieszych. Sztandary i flagi łopotały na wietrze, rozświetlane słonecznym blaskiem, który zalewał dolinę. Za nimi jechały wozy, większość pomalowana w jaskrawe barwy, a na końcu szli stajenni, prowadząc luzaki i inne zwierzęta, a także ciągnąc wielką, zasłoniętą klatkę.

Alain przeskoczył przez ogrodzenie. Rzucił się do biegu. Nigdy w życiu czegoś podobnego nie widział ani nie spodziewał się zobaczyć: orszak wielkiego księcia. Dotarł do bram zamku na czas, aby dołączyć do mniejszego pochodu domowników Lavas, prowadzonego przez hrabiego Lavastine’a, który odziany był, jak na Peniter przystało, w

prostą tunikę i nogawice. On i jego zbrojni spotkali się z kawalkadą damy Sabelli pod kościołem, gdzie już zebrał się tłum.

Alain gapił się na szlachciców i szlachcianki dosiadających wspaniałych koni. Szaty wszystkich wyszywane były złotem; była wśród nich biskupina, w białych szatach udekorowanych złotem, na osiołku, którego siodło błyszczało od srebra. Ale najwspanialsza była dama Sabella.

Alain rozpoznał ją natychmiast, bo nosiła złotą koronę i przepyszny złoty naszyjnik. Odziana była w szatę sztywną od złota, jej pas wysadzany był klejnotami, a ciżmy wyszywane złotem. Do pasa przypięty miała miecz w bogato inkrustowanej pochwie. Kobieta nosząca miecz nie była zjawiskiem codziennym, ale nie niezwykłym, jednak Alain zadrżał na jego widok, zastanawiając się, jak zareaguje Lavastine. Kobieta o pozycji Sabelli nosiła miecz tylko wtedy, gdy zamierzała sama poprowadzić armię, nie zdając się na męskich krewnych. Sabella miała mocne rysy twarzy, i jak żołnierze, nie zakrywała włosów zaplecionych w warkocz udekorowany srebrnymi i złotymi wstążkami. Przypominała Panią Bitew, którą ujrzał w wizji prawie rok temu.

Hrabia Lavastine powitał ją dwornie, ale nie pomógł zsiąść z konia. Zrobił to jeden z wasali, przytrzymując strzemiono. Później zsiadł jej mąż, brzuchaty mężczyzna, którego z tłumy wyróżniał jedynie złoty torques. Towarzyszyło im kilka dziewcząt, otulonych w szale, i Alain nie potrafił rozpoznać, która z nich była Tallią, córką Sabelli.

Przesunął się ku drzwiom kościoła, przystając przy biednej Withi, która klęczała już przy wejściu.

Biskupina z pastorałem w ręku poprowadziła kompanię do kościoła. Frater Agius przyklęknął na progu, witając ją.

– Gdzie wasza diakonisa? – zapytała biskupina.

– Diakonisa Waldrada chorowała na zapalenie płuc, wasza wielbność – odparł Lavastine. – Jeszcze nie wydobrzała na tyle, żeby prowadzić nabożeństwo.

– Przyjmujemy wyroki Pana i Pani. Choć to wbrew tradycji, ten braciszek będzie mi dziś asystował wraz z mymi klerykami i diakonisami. – Już na progu, mając za sobą cały orszak, biskupina ujrzała Withi klęczącą w błocie. Wskazała ją pastorałem. – Kim jest ta pokutnica z włosami posypanymi popiołem, która klęczy przed wszystkimi?

Alain zobaczył, jak ramiona Withi zadrżały. Chciał podejść do dziewczyny, pocieszyć ją, powiedzieć, że biskupina o miłej twarzy i łagodnych manierach nie może być gorsza od fratra Agiusa. Zrobił nawet krok w przód, jednak ostry głos Agiusa osadził go w miejscu.

– Ta grzesznica przyznała się do grzechu cudzołóstwa, wasza wielbność. Wyznała swe winy i teraz klęczy sto dni przed kościołem, aby wszyscy ujrzeli i usłyszeli, jak płacze o zmiłowanie naszej Pani.

– Biedne dziecko – powiedziała biskupina. Była starą kobietą o białych włosach, mocnej sylwetce i zdrowo zaróżowionych policzkach. – Czy nie powinniśmy tego dnia pokuty okazać

zmiłowania? – Podeszła do Withi i wyciągnęła rękę, na którą dziewczyna gapiała się bez zrozumienia.

Tłum szeptał, widząc takie miłosierdzie u biskupiny, wysoko urodzonej szlachcianki.

– Chodź, dziecko – rzekła łagodnie biskupina. – Musisz wejść do domu Pana i Pani, aby wybaczili ci twoje grzechy.

Withi wybuchnęła płaczem, ale w końcu wyciągnęła popękana dłoń; biskupina ujęła ją w swe białe czyste ręce i podniosła dziewczynę. Z Wilhi u boku poprowadziła procesję do kościoła.

Agius pozostał na kolanach. Pochylił głowę i Alain nie wiedział, czy frater miał na twarzy wyraz gniewu czy wstydu.

2.

Jako szkolony żołnierz, Alain dostąpił zaszczytu podawania do stołu w głównej jadalni. Dhouda przypomniała sobie szybko, że pierwszy raz zwróciła na niego uwagę, gdy usługiwał przy stole ciotki Bel w Osnie.

– Masz świetne maniery i godnie się zachowujesz – rzekła. – Możesz pomagać przy podawaniu wina na hrabiowski stół.

Oczywiście, nie nalewał wina do pucharów hrabiego, damy Sabelli czy innych możnych. Mieli od tego własnych służących. Przypisano mu ważne zadanie dopilnowania, aby dzbany tych służących były zawsze pełne. A ponieważ w Wielkim Tygodniu należało pić i jeść z umiarem, lub nawet pościć, jak to czynił frater Agius. Alain mógł pozwolić sobie na luksus stania i słuchania. A słuchał pilnie.

– Jestem szlachcicem z pogranicza, Wasza Wysokość. Moje włości leżą w obu królestwach.

– Ale większość z nich posiadacie w Varre, czyż nie? Na przykład ten zamek i najstarsze posiadłości. Jesteście krewnym mojego męża, księcia Berengara, a przez to powinowatym korony Varre.

– Która teraz jest w rękach króla Henryka. – Hrabia Lavastine trzymał język na wodzy tak doskonale, że Alain nie mógł odgadnąć, komu szlachcic sprzyjał: Sabelli czy Henrykowi. I czy któremukolwiek z nich.

– Lecz mu się nie należy. Ja i moja córka jesteśmy ostatnimi żyjącymi spadkobierczyniami królewskiego rodu Varre, po mej matce, królowej Berengarii. Jestem jedynym żyjącym dzieckiem Arnulfa i Berengarii, za których codziennie się modłę.

– Król Henryk też jest dzieckiem Arnulfa.

– Zrodzonym z kobiety, która stała się królową tylko przez małżeństwo z Arnulfem. Ja jestem prawowitą królową, hrabio, i kiedy wysiłkami mych wiernych popleczników odzyskam tron, osądzę Tallię na tronie Varre i oddam jej rękę mężowi szlachetnego urodzenia

spośród tych, którzy mnie popierali. Varre odzyska niepodległość, oddzieli się od Wendaru i przestaną w nim obowiązywać prawa i podatki narzucone przez wendarskiego monarchę.

Alain niemal stracił dech, słysząc tak bezczelne słowa Sabelli. Hrabia Lavastine prezentował niewyczerpane pokłady spokoju, bo nawet mu powieka nie drgnęła.

– Wasza Wysokość mówi o rebelii przeciw królowi Henrykowi, którego pobłogosławiła dariyańska skoposa oraz synod w Autunie. Wasz ojciec, Arnulf Młodszy, sam wyznaczył Henryka na swego następcę. Czy nie przysięgaliście przed biskupiną Antonią z Mainni, siedem lat temu, że pogodzicie się z bratem?

– I wtedy się pogodziłam. Byłam młodsza, a ma córka niezdrowa. Po wielu latach modlitw i za światłą radą biskupiny Antonii oraz z dużym wsparciem Rodulfa, diuka Varingii, i Konrada Czarnego, diuka Waylandu, postanowiłam znów podnieść me roszczenia. Nie owijajmy w bawełnę, hrabio: liczę również na wasze wsparcie.

Głos Sabelli był cichy i niemal monotony, ale głęboki gniew, który odbił się w jej twarzy, zadał kłam temu wypracowanemu spokojowi.

– Taka decyzja nie może być podjęta pochopnie – powiedział Lavastine. Spojrzał na Alaina, jakby cały czas wiedział, że chłopak podsłuchiwał, po czym gładko zmienił temat na zeszłoroczne wypadki Eików oraz więźnia, którego pojmano podczas potyczki nad Vennu.

Zmrożony spojrzeniem hrabiego Alain stał jak kołek, dopóki jeden z kleryków nie zamachał do niego. Alain skoczył, aby napłynąć winem piękny szklany dzban. Przez chwilę miał zajęcie.

W kuchni, gdzie dopełniał swój gliniany dzban winem z beczek, toczono zupełnie inną dyskusję.

– Słyszałam, że pięć dziesiątek naszych świń skarmimy tej bestii, co ją w klatce przywieźli – rzekła jedna z podkuchennych.

– Cicho – syknęła kucharka. – Nie plotkuj tu. Wracaj do krojenia.

– Słyszałam, jak węszy i kłapie zębami, a jednemu z pachółków ręki brakuje. Założę się, że mu ją odgryzła.

– To potwór!

– Ale, to tylko lampart, tak mówił jeden z pachółków, co tego wozu doglądają.

– A widział go kiedy? Dlaczego zasłaniają klatkę? Dlaczego trzymają ją w lesie, za murami, w ukryciu? To bazyli szek, wspomnisz moje słowa. Zamieniłby cię w kamień jednym spojrzeniem!

– Nie zniosę tego! – oznajmiła ostro kucharka i popatrzyła na Alaina. – A ty nie musisz wina podawać?

Pobiegł do sali, nalał, wrócił po więcej wina, zadziwiony jak nigdy. Potwór w zakrytej klatce! Nie był pewien, co to „lampart”. Jakiś rodzaj bazyli szka?

Ruszył ku hrabiemu, ale stanął gdzieś w okolicach krzesła biskupiny Antonii. Obok niej siedziała cicha dziewczuszka o niezdrowym wyglądzie: Tallia, córka Sabelli i Berengara. Alain

przyglądał jej się ukradkiem. Nie była już dziewczynką, ale kobietą też nie. Błada twarz nie nosiła znamion podobieństwa ani do ojca, ani do matki. Włosy okrywał cienki lniany welon, wyszywany w złote lilie na jasnym polu, który jeszcze podkreślał jej bladość. Złoty torques był tak gruby i ciężki, że zdawał się ją więzić, a nie dodawać królewskiego dostojęstwa.

Ryba – bo oczywiście szlachta pościła w Peniter, nie jedząc mięsa – warzywa i sosy spoczywały nietknięte na jej talerzu. Jadła tylko chleb i dwa razy, zmuszona przez biskupinę, która sumiennie doglądała księżniczki, pociągnęła łyk rozwodnionego wina. W dole stołu książe Berengar pił i jadł do syta.

W końcu blada Tallia pochyliła się ku biskupinie i zapytała:

– Wasza świątobliwość, czy mój pan ojciec nie mógłby w godny sposób obchodzić Wielkiego Tygodnia?

Biskupina poklepała ją po dłoni.

– Nie zwracaj na to uwagi, moje dziecko. Musimy znosić ciężar, jaki każą nam dźwigać Pan i Pani.

– Mój pan ojciec to kretyn – zamruczała Tallia i zaczerwieniła się mocno.

– Nie mów tak, dziecko. To prostak, a czy Święta Księga nie uczy nas, że „prostaczkowie są najbliżsi Bogu”?

– To miłe z waszej strony – odparła Tallia, wyraźnie zawstydzona, gdy Berengar zażądał więcej wina. Dama Sabella zdawała się nie słyszeć zapijaczonego głosu męża. Służący rzucili się ku niemu, a krótko potem Sabella dała znak swemu lokajowi. Chwilę później dwóch potężnych młodzieńców z szacunkiem wyprowadziło księcia, który właśnie zabrał się za intonowanie pierwszej zwrotki piosenki, którą Alain zazwyczaj słyszał w czworakach.

– Czy frater Agius długo jest u was? – zapytała biskupina hrabiego.

– Przybył rok czy dwa temu – odparł Lavastine. – Jeśli chcecie znać więcej szczegółów, musicie zapytać moją kasztelanę.

– Czy to dobry człowiek?

– Pobożny. Nie wloką się za nim skandale.

– Jest surowy, panie, w zadawaniu pokuty, a taka cnota lepiej pasuje braciszkom, którzy życie poświęcili na doskonalenie swego własnego ducha. Nie wszystkie dusze na tym świecie z takim wigorem szukają nawrócenia. Chciałabym, żebyście zwrócili uwagę na to biedne dziecko, które dziś zastałam na klęczkach przed kościołem. Czterdzieści dni pokuty starczyłoby aż nadto. Rozumiem, że jest młoda, ładna i bez majątku. Czy nie byłoby lepiej, gdyby poślubiła tego młodzieńca, z którym ją przyłapano? Mogłaby odplacić się Panu i Pani, wydając na świat wiele córek i synów, bez grzechu oddając się uciechom cielesnym, których umiłowanie leży wszak w ludzkiej naturze – bo wszyscy, nawet błogosławiony Daisan, nosimy w sobie cząstkę mroku. A te silne dzieci mogłyby uprawiać wasze pola, hrabio. Jeśli pomożemy Panu i Pani dotrzeć do serc wiernych, pomagając innym Im służyć, wszystkim nam będzie się lepiej wiodło.

Hrabia skłonił głowę.

– Dziękuję za radę, Wasza Świątobliwość – rzekł, a Alain nie wiedział, szczerze czy ironicznie. – A ponieważ moi żołnierze nie zenią się bez zezwolenia, muszę założyć, że ten grzesznik rzeczywiście jest kawalerem. Jeśli takie jest wasze życzenie, porozmawiam o sprawie z kasztelanką i kapitanem. Rozwiążą szybko ten problem, i jak ufam, ku ogólnej satysfakcji.

Sabella przysłuchiwała się tej wymianie zdań, unosząc brew, jakby w oczekiwaniu. Ale na co? Biskupina przytaknęła, uśmiechnęła się i odwróciła do Tallii, aby sprawdzić, czy ta zjadła już chleb.

– Twa miłość do Pana i Pani jest dla nas wszystkich przykładem, dziecko, ale musisz zachować siły.

– Tak, Wasza Świątobliwość – odrzekła dziewczyna posłusznie, zebrała okruszyny i w końcu je zjadła, popijając winem. Alainowi ślina napłynęła do ust. Pił tylko wodę i zjadł ledwie odrobinę chleba, a czekała go reszta Świętego Tygodnia, sześć dni postu i Uczta Przemienienia dnia siódmego. Westchnął i ruszył po wino.

Następnego dnia o świcie zbudziło go kołatanie u bramy. Wspiął się na drabinę i zobaczył mistrza Rodlina.

– Wstawaj, ale już! – rzekł Rodlin ostro. – Po porannej mszy hrabia przyprowadzi tu damę Sabelle, żeby obejrzała księcia Eików. Musisz wszystko zabezpieczyć, żeby nie stała im się krzywda. Mam tu pięciu pacholków i mogę przysłać więcej.

Jednak Alain zdecydował, że sam uwiąże psy, i stał przy nich, kiedy hrabia i jego goście wchodzili do psiarni. Towarzyszyli im Dhouda, kapitan i frater Agius, więc wewnątrz palisady zrobiło się tłoczno i wszyscy zebrali się w rogu przeciwnym do tego, który zajmowały czarne ogary. Psy skomlały i wyły, przywołując swego pana, aż hrabia podszedł i pogłaskał każdego po kolei: Radość, Groź, Wiarusa, Mocarza, Szczęściarza, Strach, Humor, Smutek i Furię. Stara Wrogość zdechła tej zimy, a dwa tygodnie temu Radość miała cieczkę i Strach ją pokrył. Psy lizały Lavastine'a po rękach i wały pejczowatymi ogonami po kracie, aż echo szło. Kilka zawarczało na gości. Księżę Berengar miał zamiar podejść i pogłaskać „słodkie psinki”, ale go delikatnie, jak to Alain zauważył, powstrzymano. Sabella dbała, aby jej mąż nie doznał żadnej cielesnej obrazy. Lavastine skinął Alainowi głową i dołączył do innych.

– Siad – zaszeptał chłopak do psów i posunął się ku klatce, aby zobaczyć, jak Sabella, biskupina i inni przyglądają się więźniowi. Księżę Eików patrzył na nich zimno, ale się nie poruszał. Przekleństwo, żeby inni tak na człowieka patrzyli, a ten był bezradny. Współczucie, jakie poczuł dla księcia, zaskoczyło Alaina. Czy nie powinien nienawidzić Eików za to, co zrobili bratu Gillesowi i innym mnichom w klasztorze na Smoczym Ogonie?

– Zaprawdę Pan i Pani dziwnymi sposobami działają – odezwała się biskupina. – Nigdy

takiego stwora nie widziała, ale wiem, że wszystko, co żyje na Ziemi, jest dziełem Boga Jednego. Ale te stwory zapewne są bardziej zrobione z ziemskich rzeczy, kamienia i metalu, niż światła i wiatru.

– Nie dostaliście żadnych wiadomości, propozycji okupu? – zapytała Sabella.

– Obawiam się, że zda nam się jedynie na zakładnika – odparł hrabia. – Jada tyle co dwa psy, a mniej jest od nich pożyteczny.

– Nie mówi? – pytała dalej Sabella. – Może dałoby się od niego wydobyć wiadomości o statkach i ruchach jego ludzi.

– Próbowaliśmy. Nie mówi ani słowa w naszym języku, a nikt z nas nie włada jego, jeśli oczywiście Eikowie mają język, a nie porozumiewają się zwierzęcymi wrzaskami.

– Może nauka przyniosłaby efekty – rzekła księżna, ale bez entuzjazmu. – Na łańcuchu są jakieś ślady.

– Próbował przegryźć ogniwa, ale nie zdołał mimo tak ostrych zębów. Od tego czasu zarzucił próby ucieczki, przynajmniej tak przypuszczamy.

– Cierpliwość to cnota – powiedziała Antonia – oddanie się woli Pana i Pani. Istnieje jeszcze nadzieja, że jego rasa dołączy do Kręgu Jedności.

Książę nie rzekł ani słowa, nie wykonał żadnego ruchu, tylko patrzył, jakby zapisywał w pamięci twarze tych, którzy go złapali. Alain zastanawiał się, ile naprawdę jeniec rozumiał. Podejrzewał, że znacznie więcej, niż się z tym zdradzał. Dwa dni temu on sam twierdziłby, że książę nie potrafi mówić.

– Jeśli nie przynosi wam pożytku – powiedziała biskupina – to ja chętnie się nim zaopiekuję, kiedy będziemy wyjeżdżać.

Zaopiekuje się nim? Alain nie był pewien, czy komukolwiek zaufałyby na tyle, aby przekazać mu opiekę nad księciem. A co, gdyby odkryli, że umiał mówić? Torturowaliby go; w taki sposób przesłuchiowano więźniów. Dlaczego nie? Eikowie torturowali i okaleczali niewinnych wieśniaków, mnichów i mniszki, którzy byli bezradni wobec ich bezlitosnych ataków. Dlaczego ktokolwiek miałby okazywać miłosierdzie stworowi, który zabiłby go przy pierwszej nadarzącej się okazji?

„Błogosławieni miłosierni, bo na nich spłynie miłosierdzie”.

– Wasza Świętobliwość jest bardzo wspaniałomyślna – rzekł hrabia – ale to niepotrzebne. Uważam go za zabezpieczenie mych ziem przed kolejnymi atakami.

– Jeśli rzeczywiście – wtrąciła Sabella – jego współplemieńcy troszczyliby się o siebie wzajem, przypuściliby na was atak, aby ocalić pobratymca. Być może niby dzikie psy pożerają swoich równie chętnie jak wrogów. – Odwróciła się, a jej orszak ustawił się za nią jak koraliki nawlezione na sznurek. Ogary, powstrzymywane, ledwo za nimi warknęły.

Kiedy Sabella wyszła, frater Agius skłonił ciemną głowę i pobożnie złożył dłonie.

– Po trochu odchodzi już zagrożenie, które Pani wypowiedziała ustami swego proroka: „Zaraza z północy rozwlecze się po wszystkich mieszkańcach Ziemi”.

Biskupina rzuciła mu ostre spojrzenie. Podniosła dłoń.

– Hrabio, zostańcie na moment, jeśli możecie.

– Jak sobie Wasza Świątobliwość życzy. – Służący stłoczyli się za hrabią.

– A jeśli uda mi się wydobyć z tego księcia informacje? Czy mogę wiedzę tą drogą uzyskaną wymienić na jego osobę? Wielce mnie interesują te stworzenia Pani i Pana, które nie są do nas podobne, pochodzą z zamierzchłych czasów i zdają się nam bardziej wspomnieniem niż rzeczywistością. Jeśli chcecie, nazwijcie to studiami, katalogiem czynionym na modłę dariyańskich filozofów, o ile porównanie do pogan będzie mi wybaczone. – Uśmiechnęła się i spojrzała pytająco, czy raczej upominająco na fratra Agiusa. – A przecież to spośród nich wyszedł błogosławiony Daisan, który poniósł wszystkim światło odnalezione w prawdzie.

– Jeśli taki jest wasz rozkaz. – Lavastine wyglądał na zdenerwowanego, ale w końcu to ona była biskupiną.

– Sądzę, że tak będzie najlepiej, hrabio. – Rozejrzała się i zatrzymała spojrzenie na Alainie, a ten poczuł, że ma ochotę zapaść się pod ziemię, byle uciec jej uwadze. Popatrzyła na psy, a potem ruszyli wszyscy za Sabellą. Lavastine towarzyszył biskupinie.

Frater Agius też patrzył na psy, które kłapały zębami, gdy biskupina przechodziła obok. W przeciwieństwie do reszty, nie okazała strachu.

– Alainie, to ty każdego dnia doglądasz więźnia? – zapytał nagle Agius.

Chłopak skłonił głowę na znak potwierdzenia.

– Tak, bracie. – Ale wiedział, że księżę też na niego patrzył. I on, i frater nie spuszczały z niego wzroku. Splótł razem palce i zacisnął dłonie, aby pozostać spokojnym.

– Mogłeś widzieć coś, czego inni nie dostrzegli.

– Tak, bracie.

– Ufam, że odpowiesz mi szczerze.

Gorąco uderzyło mu na twarz. Zaszurał nogami, ale nie mógł nic odrzec, bo albo okłamałby fratra, albo wydał księcia. Jednak księciu nie był nic winien, a lojalność ślubował Panu i Pani, dopiero potem hrabiemu.

– Przyjdiesz do mnie jutro – rzekł nagle Agius. – Po porannej mszy. Zrozumiano?

– Tak, bracie.

A potem, na szczęście, odszedł.

– Halan.

Alain podskoczył i lękliwie rozejrzał się wkoło, ale wszyscy wyszli, szczęśliwi, że mogą nareszcie znaleźć się za palisadą. Psy siedziały spokojnie, czekając, aż Alain je uwolni.

– Nie możesz mówić – powiedział chłopak, zadziwiony, że te słowa przeszły mu przez gardło. – Tylko kiedy jesteśmy sami. Inaczej zrobią ci krzywdę.

– Krzywdzić nie – powiedział jeniec. – Nie krzywdzić Halan. Iść wolny.

– Nie mogę cię uwolnić. Muszę służyć hrabiemu.

– Zwać mąż.

– Ten, który cię schwytał, nazywa się hrabia Lavastine. Na pewno już to wiesz.

– Tre mąż patrzy. Un, do, tre mąż. Zwać mąż.

Czego on chciał? Imion ludzi, którzy przyszli go oglądać? Czy myślał, że wszyscy byli mężczyznami, czy też w jego języku nie istniało słowo „kobieta”? Alain nie wiedział. Wiedział tylko, że nie potrafi zdradzić uwięzionego i bezradnego księcia ani zawieść hrabiowskiego zaufania. Co jednak by się stało, gdyby księżę uciekł, znając Sabelle z twarzy i imienia? Eikowie, skoro używali słowa „król”, na pewno rozumieli, co znaczy „królowa” i „księżę”.

– Nie mogę ci wyjawić ich imion. Błagam cię, zrozum to.

Księżę nie odpowiedział. Mrugnął tylko raz, wolno, jak sowa. Alain uciekł. Zbyt wiele rozumiał.

Później, kiedy usługiwał przy stole, rozmowa zesła na cesarza Taillefera, tego, który sto lat temu zjednoczył Salię, Varre, zachodnie marchie Wendaru i najdalsze południowe księstwa w olbrzymią konfederację, pobłogosławioną przez skoposę z Darre jako następczynię Imperium Dariyańskiego. Dopiero wtedy Alain uświadomił sobie, że księżę Eików liczył „raz, dwa, trzy” w zniekształconej wersji języka, którym władano w Salii. Znał trochę saliariski, na tyle, aby dogadać się z kupcami, którzy przybijali do plaży w Osnie. Ale jak nauczył się go księżę? Naprawdę, musiał być kimś więcej, niż się na pozór zdawało.

Rankiem biskupina odprawiła nabożeństwo dla uczczenia drugiego dnia Ekstazy. Kiedy wierni opuścili kościół, Alain usunął się do kaplicy. Półgłówek ruszył za nim, i chociaż Alain szepcząc i machając rękami, starał się go odprawić, ten uparcie nie zważał na znaki. A może naprawdę ich nie rozumiał. Ukłąkł obok Alaina, a ciszę zakłócał tylko jego ciężki oddech i świst powietrza wypuszczanego przez zęby. Półgłówek nigdy nie zakłócił kościelnego spokoju swymi pomrukami, krzykami czy pokasywaniami. Alain położył mu dłoń na ramieniu i tak patrzyli na ołtarz, poświęcony świętemu Laurencjuszowi, który zginął przed czasami cesarza Taillefera, niosąc Krąg Jedności varryjskim plemionom zamieszkującym ten region.

Kłęczeli tak cicho, że myszy, które miały swe gniazdo pod ołtarzem, odważyły się wyjść z kryjówki. Półgłówek wstrzymał oddech: uwielbiał małe stworzonka. Alain powoli przesunął ręką po posadzce i jedno z brązowych zwierzątek, ciemnookie i ruszające noskiem, niecierpliwie wybiegło w przód, aby obejrzeć jego palce. Podniósł mysz delikatnie i pozwolił Półgłóvkowi pogłaskać ją po futerku. Alain nie miał serca, by je zabić, choć były szkodnikami, nie wtedy, kiedy tak ufnie przychodziły do wyciągniętych dłoni.

Nagle mysz zadrapała w panice palce Półgłówka i wyskoczyła mu z rąk. Zniknęła pod ołtarzem, a szuranie ucichło.

– Przyjacielu.

Mimo że przygotowany, Alain i tak podskoczył na dźwięk głosu Agiusa za plecami. Ten ukląkł obok, odmawiając sobie jednak luksusu podłożenia pod kolana poduszki.

– Czy chcesz mi coś wyznać, Alainie?

Chłopak przełknął gulę, która nagle pojawiła się w jego gardle.

– Przysięgam, że uznam to za spowiedź, sprawę między tobą a Bogiem.

– S-spowiedź?

– Niektórzy w naszym kościele wierzą, że spowiedź powinna być prywatną sprawą między grzesznikiem a naszą Matką, ja zaś służę tylko za pośrednika. Nie wierzę w publiczne wyznawanie grzechów, Alainie, choć niektórzy za takie poglądy nazwaliby mnie radykałem. Każdy z nas musi otworzyć serce przed naszą Panią i Boską Wiedzą, Świętym Słowem, bo to, co wewnątrz, a nie zewnętrzne pozory, obchodzi naszego Boga.

– Ale, fratrze, czy pozory nie obnażają prawdy o sercu?

– Serce można poznać jedynie za łaską naszej Matki. Może ci się zdawać, że służę Pani wiernie, z czystym sercem, a jednak skąd możesz wiedzieć, czy moja dusza nie jest przeżarta próżnością i pychą, wiarą, że potrafię służyć Matce lepiej niż ktokolwiek inny? Modłę się więc co dnia o lekcję pokory. Błagam cię, przyjacielu, na twą nieśmiertelną duszę, powiedz mi prawdę o tym, co wiesz.

– Ja... ja nic nie wiem. Księżę Eików powiedział do mnie kilka słów. I tyle. – Jego złożone dłonie drżały.

– Słów w jakim języku?

– Wendarskim. Innego nie znam.

– Wielu ludzi tu, w Varre, mówi po saliańsku.

– Znam kilka słów. Księżę liczył po saliańsku, to znaczy, te słowa przypominały saliański. Ale prawie nic nie powiedział. Nie potrafi naprawdę mówić po naszymu.

– Dlaczego nie powiedziałeś hrabiemu Lavastine'owi?

Alain poczuł się jak szczur zapędzony w kąt.

– Ja... ja tylko myślałem, że torturowanie go nie będzie miłosierne, bo on nie umie mówić tak dobrze, żeby odpowiadać na pytania. – Zaryzykował spojrzenie na Agiusa, przestraszony, że przyznał się do nielojalności, ale twarz fratra nie zmieniła wyrazu. Wpatrywał się z uporem w postać świętego Laurencjusza na płonącym kole.

– Masz współczujące serce. Alainie. Wezmę to pod rozwagę, zanim zadziałam. Czy widziałeś albo słyszałeś coś jeszcze, o czym chcesz mi opowiedzieć?

Pani Bitew. Wizja, którą miał w ruinach. Sowa, która polowała w Sobótkę. Ale nie odważyłby się opowiedzieć o tym Agiusowi ani nikomu poza rodziną. Z lęku, że wyda te sekrety, wyrzekł na głos pierwszą myśl, która przyszła mu do głowy:

– Dlaczego dama Sabella nie jest królową Wendaru? To ona jest starsza, prawda?

– Panujący nie wybiera następcy ze względu na wiek. Królowanie to ciężka praca, więc dziedzic musi wykazać się innymi przymiotami, a najważniejszym z nich jest zdolność

splodzenia potomka. Ród tak długo pozostaje silny, jak długo silne dzieci zapewniają jego przetrwanie. Na pewno słyszałeś o królewskiej wyprawie?

Alain pokręcił głową.

– Kiedy dziecko, brane pod uwagę jako następca tronu, osiągnie dojrzałość, wysyła się jego lub ją w podróż po królestwie, tak jak król Henryk stale podróżuje, aby utrzymać swe ziemie w pomyślności. Pani czuwa nad wyprawą i jeśli jest łaskawa, to kobieta wróci brzemienna, a mężczyzna splodzi dziecko. Wybranego naznacza się następcą tronu, bo oznacza to, że księżę czy księżniczka są płodni.

– Ale czy mężczyzna nie może skłamać, że kobieta zaszła z nim w ciążę?

– I on, i kobieta muszą przed biskupiną, w imię Jedności przysiąc, że poczęli dziecko wspólnie. A dziecko musi urodzić się zdrowe, poświadczając, że nie splamił go grzech.

– Co się przytrafiło Sabelli?

– Wybrała się na królewską wyprawę i nie poczęła.

– A król Henryk?

– Och, on począł, jednakże w dziwny sposób. Ale to zupełnie inna historia.

– Dlaczego więc ona chce się teraz zbuntować? Jak może ogłosić się prawowitą władczynią?

– Wiele lat później dama Sabella wyszła za mąż i urodziła dziecko, poświadczając swą płodność. Po narodzinach Tallii Sabella zażądała, aby Henryk abdykował na jej korzyść. Oczywiście, odmówił.

– Aha. – Chociaż Agius opowiadał o rodzie królewskim, przywołał wspomnienia: jedna rodzina w Osnie dwa lata temu strasznie się pokłóciła o prawo dziedziczenia. Spór rozwiązała (po jednym nieumyślnym zabójstwie) diakonisa, która wszystkim zaangażowanym w sprawę nakazała klęczeć pięć dni i cztery noce u Paleniska w kościele i słuchać, jak recytuje święte wersy. – Uważacie, bracie, że jej sprawa jest słuszna?

– Nie zawracam sobie głowy takimi ziemskimi sprawami i ty, Alainie, również nie powinienes. – Obrócił się nagle na kolanach i chwilę później Alain usłyszał skrzypienie podłogi.

Biskupina Antonia, w białej szacie wyszywanej złotem, szła ku nim. Miała tak miłą twarz, że Alain nie mógł się powstrzymać i cały się rozpromienił. Przypominała mu starszą diakonisę z Osny, Mirię, która wszystkie dzieci traktowała, jakby były jej wnukami, i która wydawała wyroki twarde, współczujące i zawsze sprawiedliwe.

– Spodziewałam się, fratrze Agiusie, że znajdę was na modlitwie.

– Staram się służyć Bogu, Wasza Świętobliwość, na ile pozwala mi cielesna powłoka. – Nie odpowiedziała od razu. Alain wciągnął głowę w ramiona, starając się zniknąć, ale poczuł na sobie jej spojrzenie. Kiedy po chwili podniósł wzrok, zauważył, że znów patrzyła na Agiusa.

– Słyszałam od hrabiego, że w pobliżu znajdują się stare dariyańskie ruiny. Jutro będziesz

mi towarzyszył w wyprawie do nich.

– Jestem waszym sługą, Wasza Świątobliwość.

– Doprawdy, bracie? Słyszałam co nieco o tobie, fratrze Agiusie. Słyszałam, że wychwalasz naszą Panią tak często i gorąco, że czasami zapominasz modlić się do naszego Pana. Ojca życia. Ale... – znów spojrzała na Alaina. Szybko schylił głowę. – ...o tym pomówimy innym razem.

Agius uczynił na piersi znak, że podporządkował się woli przełożonej: skierował palce w dół i zacisnął na kciuku.

Biskupina podeszła do ognia, uklękła, pomodliła się i nakreśliła krąg na piersi. A potem opuściła kościół.

– Idź – powiedział Agius. – Spotkamy się tu jutro po porannym nabożeństwie. Chcę, żebyś mi towarzyszył.

– Ja? – jęknął Alain.

Zamiast odpowiedzi Agius zgiął się w pół przed obrazem świętego Laurencjusza.

Alain szturchnął Półgłówka.

– Idziemy – szepnął, bojąc się przerwać fratrowi, który zamknął oczy i poruszał ustami w szybkiej modlitwie. Półgłówek posłusznie ruszył za Alainem, który za drzwiami kościoła musiał zmrużyć oczy. Słońce wyszło zza porannych chmur i świeciło jasno. Światło porażało oczy.

3.

Mała grupka szła samotną leśną dróżką wiodącą ku ruinom: biskupina Antonia i jej dwaj klerycy, frater Agius. Alain i oczywiście Półgłówek, który towarzyszył Alainowi niby wierny pies i nie dawał się odpędzić. Ku zaskoczeniu Alaina, biskupina nie dosiadła muła, ale zdecydowała się iść z innymi, jak każdy pokorny pielgrzym

– Dziecko – rzekła, wskazując Alaina. – Chodź koło mnie. – Oczywiście, usłuchał. – Widziałam cię wczoraj z fratrem Agiusem w kościele.

– Tak, Wasza Świątobliwość.

– Jesteś jego krewnym?

Zaskoczony tak swobodnym porównaniem z człowiekiem wysokiego rodu, Alain ledwo wybąkał:

– Nie! – I zaraz, zawstydział się swej szorstkości. – Jestem sierotą, Wasza Świątobliwość. Wychowano mnie w wiosce Osna.

– Wolnego stanu?

– Tak, Wasza Świątobliwość. Tak przynajmniej twierdził mój ojciec i tak mnie wychowano. Mój ojciec, ciotka i kuzynowie są wolni od czasów cesarza Taillefera. W tej rodzinie nie miesza się krwi.

– Ale zostałeś przygarnięty. – Powiedziała to tak życzliwie, że pomimo onieśmienia, jakie wzbudzała skupiona na nim uwaga tak wspaniałej osobistości jak biskupina, zapragnął nagle się jej zwierzyć. Była wiekowa i godna szacunku. Przysłowie mówiło: „Białe włosy przychodzą wraz z dobrymi uczynkami”. I tak bardzo przypominała mu diakonisę Mirię z Osny, kobietę, której wszyscy chętnie się spowiadali, wiedząc, że wyznaczy pokutę sprawiedliwą i nie nazbyt surową.

Schylił głowę i zaczerwienił się, ucieszony jej zainteresowaniem.

– Mój ojciec to kupiec Henri z Osny.

– Chyba twój przybrany ojciec?

Zawahał się. „Bękart dziwki”. Ale Henri kochał matkę Alaina. Kto twierdził, że Henri nie był mu prawdziwym ojcem? Jednak jak mógł być pewien? Henri nigdy o tym nie mówił.

Kiedy nie odpowiadał, biskupina podjęła wątek.

– Słyszałam, jak pospólstwo mówi, że czarne ogary to diabelski pomiot i słuchają tylko osoby zrodzonej z krwi ich dawnych panów albo hrabiego Lavastine’a. A zauważyłam wczoraj, że pilnujesz bud i psy służą ci tak wiernie jak hrabiemu.

Przełknął gulę w gardle.

– Psy słuchają tych, którzy rozkazują im twardo i bez lęku, Wasza Świątobliwość. To cała tajemnica.

– Lękasz się księcia Eików?

– Nie, Wasza Miłość. Jest przykuty.

Agius rzucił mu ostre spojrzenie i Alain zamknął usta. Miał wrażenie, że frater nie życzył sobie, aby rozmawiać z biskupiną o więźniu. Agius miał swoje tajemnice i najwyraźniej własne plany. Pani uśmiechnęła się do niego: nie zadawała więcej pytań o więźnia.

– Jesteś wygadany chłopcem. Niezwykłe to jak na prostego wieśniaka.

– Znam alfabet, Wasza Świątobliwość. Frater Agius jest tak dobry, że uczy mnie czytać, a od ciotki prowadzącej gospodarstwo nauczyłem się trochę liczyć.

– Jak mniemam, jest ona dobrze wychowana.

Alain uśmiechnął się.

– Tak, Wasza Świątobliwość. Moja ciotka Bel to bardzo dobra kobieta, matka pięciorga żyjących dzieci i babka tyłuż wnucząt. – A może i więcej niż pięciu, bo przecież dawno wyjechał; zeszłej zimy razem z kocem dostał wiadomość, że Stancy znów była w ciąży. Czy dziecko już się urodziło? Czy przeżyło? Czy było zdrowe? Czy Stancy nie umarła w połogu? Zalała go nagła fala tęsknoty za domem, tak wielka, że niemal osłabł. Nie sądził, że będzie mu ich wszystkich tak bardzo brakowało. Henri znów wypłynie po Wielkim Tygodniu, jak co roku. Kto w tym roku reperował łódź? Kto ją zeszłej jesieni smołował? Nikt nie robił tego tak starannie jak Alain. Miał nadzieję, że Julien poświęcił tyle samo czasu na pomoc Henriemu, co na uganianie się za dziewczkami z wioski. A co z małościem? Musiało już sporo

podrosnąć, o ile przetrwało zimę. Na pewno przeżyło: było zdrowe, a ciotka Bel dobrze dbała o swoich.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Gdy dotarli do przesieki, stanęli, by popatrzeć na ruiny, nagie kamienie rozrzucone w wiosennej trawie nakrapianej żółtymi i białymi kwiatami. Po drugiej stronie przesieki płynął wartki strumyczek: nie widział go w Sobótkę, ale teraz woda rwąca przez łąkę błyszczała w południowym słońcu, omywała biały kamienny mur i znikła w lesie.

– Mówią, że cesarz Taillefer miał sforę czarnych ogarów – powiedziała nagle Antonia, patrząc na ruiny; jej głos brzmiał tak, jakby całą drogę intensywnie o tym myślała. – Ale tyle się mówi o cesarzu, że sama już nie wiem, co jest prawdą, a co wymysłem bardów, opowiadanym ludziom na uciechę. – A potem, jak atakująca sowa, spojrzała na fratra Agiusa. – Nieprawdaż, bracie?

– Jak mówicie, Wasza Świątobliwość.

– Na pewno twoja wizja prawdy jest znacznie ostrzejsza, fratrze.

Dziwne; wyglądał na zawstydzonego.

– Przestrzegam Świętego Słowa najlepiej jak umiem, Wasza Świątobliwość, ale jestem niedoskonały i przez to grzeszny. Tylko przez miłość boską mogę być odkupiony.

– O tak – rzekła biskupina. Uśmiechnęła się słodko, ale Alain podejrzewał, że właśnie odbyła z fratrem dyskusję na zupełnie inny temat. – Idziemy?

Obeszli polanę, by znaleźć dawne wejście, którego nadal strzegła zwalona brama. Gdy wchodzili w ruiny, Alaina uderzyło, jak odmiennie wyglądały: nadnaturalny blask nie dodawał im świetności; krótkie cienie kładły się na trawie i zarośniętych chodnikach. Niegdyś wznosiły się tu wspaniałe budynki; teraz był to tylko cmentarz, wspomnienie minionych czasów. Ruszył za biskupiną, która skierowała się ku centrum ruin. Co jakiś czas przystawała, aby przyjrzeć się wyrytym na kamieniach znakom: podwójnej spirali, jastrzębiowi, którego skrzydła skruszył czas, kobiecie odzianej w piękną suknię z piór, mającej czaszkę zamiast głowy.

Klerycy mruzcili coś, oglądając ślady pogańskich budowniczych. Półgłówek uderzył palcem w na wpół zagrzebany kamień i zaczął płakać.

– Cicho, cicho, dziecko – rzekła biskupina, pocieszając go, chociaż był brudny jak to tylko stajenny potrafił. Agius stał z dłońmi złożonymi na brzuchu i z dezaprobatą patrzył na kaplicę.

– Chodź – powiedziała Antonia. Półgłówek przestał płakać, kiedy tylko ból ustał, i wrócił na swe miejsce u boku Alaina. Dotarli do kaplicy. Klerycy cofnęli się, ale biskupina przekroczyła próg bez śladu zmieszania. Alain podążył za nią. Półgłówek został na zewnątrz.

– Przeszedłeś do tych ruin – powiedziała, nie odwracając się. Przyglądała się białemu kamiennemu ołtarzowi. – A przynajmniej tak słyszałam od kasztelanki Dhoudy, hrabiego Lavastine'a i tej dziewczyny, Withi, która ma wyjść za żołnierza. Dziewczyna mówiła, że

widziała na niebie sforę czarnych psów, ale ty ich nie dostrzegłeś. Mówiła, że kiedy cię zauważyła, patrzyłeś na ten budynek i gadałeś do siebie, bo w pobliżu nikogo nie było. Miałeś wizję?

Mimo że stał tyłem do wejścia, Alain poczuł za sobą obecność Agiusa. Co miał jej powiedzieć? Nie mógł okłamać biskupiny! Jednak jeśli by się przyznał, czy nie zostałby uznany za czarownika? Nagle bycie bękartem ducha dawno zmarłego elfiego księcia nie wydało się zbyt pociągające, szczególnie, jeśli mieli go za to sądzić; podobnie bękart hrabiego Lavastine'a mógł się stać pionkiem w ręku tych, którzy walczyli o dobra hrabiego, gdyby ten nie miał innych potomków.

Alain dotknął piersi, na której, pod koszulą, spoczywała róża, ciepła i jaśniejąca przez płótno. Gdy się poruszył, biskupina i Agius spojrzeli na niego wyczekująco, jakby potrafili dostrzec ukryty kwiat. Nagle bycie dzieckiem Henriego kupca i bratankiem Beli, córki Adelheida, poważanej w Osnie, wydało się alternatywą znacznie bezpieczniejszą od marzeń o potędze.

Ale nie mógł kłamać.

– Miałem wizję, Wasza Świątobliwość – odparł niechętnie, zwieszając głowę i dodał: – Ale jestem zaprzysiężony kościołowi. – Miał nadzieję, że to wystarczy.

– To prawda – rzekła spokojnie Antonia – że wielu służących naszym Panu i Pani ma wizje, jeśli służą wiernie, ale ten świat splamiony jest mrokiem, który może przynieść fałszywe wizje i fałszywą wiarę. – Spojrzała ostro na Agiusa.

Frater zaczynał się złościć.

– Jak sądzę, ten budynek uważa się za kaplicę? – Pochyliła się i przeciągnęła starczą dłonią po marmurze ołtarza. – To mogło być Palenisko naszej Pani, nieprawdaż? Tutaj, na środku, są ślady spalenizny. – Wyczyściła palcem wyryte w kamieniu wzory. Były to spiralne znaki podobne tym na zewnątrz, ale tutaj cztery spirale zbiegały się w zagłębieniu wielkości pięści w centrum ołtarza. Uśmiechnęła się, nie spuszczać wzroku z marmuru. – Straszny to ciężar, kiedy to, co mamy w sercu, nie zgadza się z tym, co pokazujemy na zewnątrz, nieprawdaż, fraterze Agiusie? Jeśli wszyscy wiemy, jak powinniśmy postępować, i działamy według zasad, wtedy z naszej twarzy Pan i Pani odczytają, że wyznajemy wiarę radośnie i z czystym sercem. Wierzyć w heretycką doktrynę i ukrywać to przed wszystkimi prócz tych, którzy tę wiarę podzielają, to dla mnie hipokryzja najgorsza z możliwych.

– To nie jest heretycka doktryna! – krzyknął Agius. Twarz mu poczerwieniała. – To skoposa zaprzecza prawdzie! To synod w Addai zaprzeczył odkupieniu i ukrył prawdę!

Antonia wyprostowała się, nieporuszona tym wybuchem. Obejrzała kamienne ściany; przy podłodze, na wpół zakryty przez mech i chwasty, biały kamień ozdobiony był wyrytymi ślimakami i delikatnymi rozetkami. Biskupina obeszała ołtarz, licząc kroki. A potem przeszła obok fratra, którego wybuch spowodowała, i wyszła.

Alain zawahał się.

Agius padł na kolana.

– Będę to głosił – rzekł, mrużąc na wpół do siebie, na wpół do bogów. – Muszę głosić prawdę, aby ci, którzy błędzą w mroku fałszywej wiary, mogli zaznać światła, które On nam zesłał swym cierpieniem i odkupieniem.

Te słowa były dziwne i wzbudzające zakłopotanie. Alain na paluszkach obszedł fratra, ale ten, z czołem na złożonych dłoniach, nawet go nie zauważył. Na zewnątrz Antonia pomagała Półgłówkowi złożyć kamienie na kupkę. Uśmiechnęła się do Alaina.

– On jest pobożny, ale błędzi. Będę się modlić, by Pan i Pani doprowadzili go z powrotem do Kręgu Jedności. – Spojrzała na kleryków. – To dobry kamień. Nie uważacie, że nadałby się do wzmocnienia ścian w zamku hrabiego Lavastine’a?

– Miejscowi nie chcą tu przychodzić i zakłócać spokoju tych ruin – odparł jeden.

– Ale na pewno kiedyś te ruiny rozciągały się dalej niż teraz. Ktoś musiał już zabierać stąd kamienie, dlatego mury są takie niskie. Te głazy, które tu leżą, nie wystarczą, aby odbudować ściany do ich poprzedniej wysokości. Jak sądzisz, bracie Heribercie? Studiowałeś kamieniarstwo i sztukę budowania, gdy stawiano kościół w Mainni.

– Zgadzam się z wami, Wasza Świętobliwość. Chyba, że ściany zbudowano do połowy z kamienia, uzupełniając drewnem, ale wątpię w to. Widywałem już inne ruiny Imperium Dariyańskiego. Bez wątplenia budynki wznoszono z kamienia, a drewniany kładziono tylko dach.

– Chodźmy więc; pomówisz o tym z hrabią.

Skłonili się i ruszyli ku wyjściu. Alain rzucił okiem na kaplicę.

– Pozwól się Agiusowi modlić, dziecko. Potrzebuje modlitwy. Chodź ze mną.

Wrócił więc do Lavas z biskupiną Antonią. Półgłówek trzymał się trzy kroki za nimi, podskakując na każdy szelest jak przestraszony szczeniak. Biskupina śpiewała hymny pochwalne na cześć Bogini i choć Alain nie śmiał się do niej przyłączyć, klerycy wtórowali jej radośnie i ochoczo.

Następne dwa dni Alain widywał Agiusa w jednym tylko miejscu, jakby frater nie mógł lub nie chciał się ruszyć; w kościele, na kolanach, ze złożonymi dłońmi przyciśniętymi do czoła, modlącego się szeptem tak cichym, że przypominał szum odległego strumienia.

Alain podawał do stołu. Hrabia Lavastine był uprzejmy dla damy Sabelli, bo musiał, ale Sabella wyglądała na coraz bardziej niespokojną, niekiedy zaś otwarcie zdenerwowaną... jakby nie dostawała tego, czego pragnęła.

Dwa razy dziennie milczący i pokryty bliznami mężczyzna wrzucał zaszlachtowaną owcę do klatki, nad którą sprawował pieczę. Pewnego dnia, biegając z psami, Alain usłyszał, jak stworzenie jadło, miażdżąc kości. Nikt nie odważył się zajrzeć do środka, nawet najmłodszy i najzuchwalsi żołnierze.

Wieczorem szóstego dnia Ekstazy Alain nakarmił psy i dał jeść więźniowi, który nagle

odrzuć głowę, jakby miał zamiar zawyć, ale zamiast tego zawarczał głucho i potrząsnął skutymi dłońmi. Psy zaszczeły, i warcząc, podbiegły do bramy. Alain ruszył, by je powstrzymać, ale wywinęły się i szczekały tak głośno, że ledwo usłyszał głosy po drugiej stronie. Chwycił drabinę i zaczął się wspinać, a potem zamarł, nasłuchując; psy kręciły się pod nim, skomlać. Palisadę zbudowano z bali powiązanych sznurem, grubych jak męskie udo, zasłaniała więc widok, a on nie wspiął się na tyle wysoko, aby przybysze mogli go usłyszeć.

Ale on słyszał ich.

– Zgodził się, ale opornie, i tylko dlatego, że jasno powiedziałam, iż się stąd nie ruszę, jeśli nie dostanę tego stworzenia w prezencie. Ty musisz dopatrzeć złożenia innych przysiąg, których mi trzeba.

– Wszystko jest przygotowane na jutrzejszą noc po uczcie Przemienienia, Wasza Wysokość. Zabierzemy więźnia, zaprowadzimy do ruin i tam odprawimy rytuał. Silna krew przyciągnie duchy i da mi nad nimi kontrolę.

– Co z psami?

– Załadaj jutro na uczcie, by je przed zmrokiem uwiązano.

– Rozumiem. Ulric mówi, że guivre się niecierpliwi. Potrzebuje pożywienia. Nie możemy sobie pozwolić, aby wyrwał się z klatki jak dwa miesiące temu, kiedy zgłodniał ponad miarę.

– Musimy być cierpliwi, wasza wysokość. Jeśli po ofierze coś zostanie, wrzucimy to do klatki. Ale tego, czego guivre najbardziej potrzebuje, nie znajdziemy tutaj, jak dobrze wiecie. Zadawaliby zbyt wiele pytań.

– Zostawiam to tobie. Nie zawieź mnie.

– Nie zawiodę, Wasza Wysokość. Pan i Pani przychylni są twojej prośbie.

– To ty tak mówisz. Ale klerycy z królewskich scholi, którzy towarzyszą memu bratu, raczej by się z tobą nie zgodzili. Inaczej interpretują wyroki soboru narvońskiego, prawda, moja droga biskupino?

– To prawda, że oni i ja nie zgadzamy się co do użycia i korzyści płynących z uprawiania czarnoksięstwa w Kościele. Dlatego wy i ja działamy razem, w imieniu tych, których żądań nie wysłuchano.

– Wyjeżdżamy pojutrze?

– Tak, i do tego czasu zyskamy wszystko, czego nam trzeba, Wasza Wysokość.

Psy zaszczeły na odczepnego, gdy rozmawiający odchodzili. Alain odczuł ich nieobecność nie tylko dlatego, że ucichły głosy: ustało mrowienie, które czuł na skórze. Jego palce, zaciśnięte na szczeblu drabiny, bolały. Rozprostował je i rozruszał. Ledwo miał czas pobierać myśli, zanim nadszedł Rodlin i wezwał go na wieczorną mszę.

W kościele Alain klęczał z innymi, wpatrując się najpierw w biskupinę, a potem we fratra Agiusa. Czy Antonia naprawdę mówiła takie dziwne i straszne rzeczy? „Silna krew przyciągnie duchy i da mi nad nimi kontrolę”. Nie był pewien, czy dobrze usłyszał te słowa i czy pojął ich znaczenie. Mówiła po wendarsku z akcentem, a Antonia to obce imię. Być może

mógłby poradzić się fratra Agiusa, ale ten, jak zwykle, zaprzątnięty był swoimi wewnętrznymi niepokojami. Alain nie wiedział, co robić.

Całą noc przewracał się z boku na bok i budził na najcichszy pomruk psów, powiew wiatru trzaskający drzwiami, odległe głosy dobiegające z kuchni, gdzie już rozpoczęły się przygotowania do uczty Przemienienia. Raz wstał i wypełził na zewnątrz, sprawdzić, jak się ma książę Eików, który, jak zwykle, nie spał.

– Halan – szept był lekki jak wiosenna bryza – iść wolny.

Alain uciekł do swojej szopy i przez resztę długiej nocy drżał skulony pod kocem. Silna krew. Czyja krew? Ale wiedział bardzo dobrze, kogo mieli na myśli.

Nie mógł się skupić podczas porannej mszy. W czasie wielkiej uczty, która zaczęła się w południe, jego ręce i ciało poruszały się niezależnie od myśli. Nie rozumiał, co mówili ludzie wokół. Nie rozumiał, o co chodziło w sztuce, którą odegrali południowi kuglarze z trupy, która przybyła z Sabellą; sztuka opowiadała o podróży i czynach świętej Euzebiei i wizji wielkiej tajemnicy świętej Tekli, obserwującej Ekstazę, oraz ostatnim cudzie Przemienienia: jasnym światłem łaski pańskiej niesionym na skrzydłach aniołów, które zmieniło kaplicę na podobieństwo Komnaty Światła.

Tak przynajmniej twierdził aktor grający świętą Euzebię: „I na skrzydłach aniołów ciało błogosławionego Daisana uniosło się do Komnaty Światła, gdzie jego dusza już zasiadła z Panem i Panią”.

Uczta ciągnęła się godzinami. Agius stał przy drzwiach i nie jadł.

Kiedy go wreszcie zwolniono. Alain pobiegł do psiarni. Specjalnie nie uwiązał psów, wbrew temu, co mu nakazał Rodlin. Milczący książę ciągle siedział w swej klatce.

Czy chciała go zabić? Co to był sobór narvoński? Najwidoczniej były to sprawy kościelne. Alain nic nie wiedział o sprawach kościelnych i synodach biskupich, a jedyną wiedzę o sztuce czarnoksięskiej czerpał z słów diakonisy, która ostrzegała wszystkich przed fałszywymi czarownicami naznaczonymi piętnem ciemności, przemierzających kraj w postaci przystojnych mężczyzn i kobiet, uwodzicieli ciała i ducha, którzy wiele obiecywali, zabierali jeszcze więcej i nie dawali nic w zamian.

Hrabia Lavastine nie obiecał, że przyłączy się do rebelii Sabelli; tyle wszyscy wiedzieli. Był miły, ale niewzruszony. Tak jak wiele miesięcy temu nie odpowiedział na wezwania króla Henryka, tak teraz pozostał głuchy na prośby i groźby Sabelli. Zachował własny sąd i ze swoich myśli nie zwierzał się nikomu.

Alain usiadł wśród psów i pozwolił, by otoczył go ich gorący oddech, ciężkie ciała, mokre języki i przyjacielskie pacnięcia grubych ogonów. Może i były pomiotem diabła czy demona, ale im ufał, a one ufały jemu.

Zawarczały, gdy nadeszła biskupina Antonia z klerykami, by popatrzeć na więźnia.

– Wyruszamy rankiem – powiedziała ostro do Rodlina – i hrabia Lavastine na pożegnanie pozwolił nam zabrać ze sobą więźnia. Wszystko musi być gotowe, bo wyjeżdżamy wcześniej.

Dopilnuj, żeby psy uwiązano na noc.

Odeszła szybko, ale chwilę później Rodlin zmył Alainowi głowę za to, że nie przywiązał psów.

– Rano zabiorą więźnia – powiedział. – Baba z wozu, koniom lżej! – wyszedł wściekły.

Alain nie wiedział, do czego odnosiło się ostatnie zdanie: do więźnia czy damy Sabelli z orszakiem, który zdążył zeżreć całe mięso w Lavas, a do tego zabierał ze sobą pięć najlepszych koni ze stajni. Ale nawet jeśli Rodlin myślał o gościach, i tak nikogo nie obchodziło, czy księżę zostanie zabity, czy też wywieziony w klatce. Czy też zniknie potajemnie w nocy i nikt go więcej nie zobaczy... Dlaczego mieliby się nim przejmować? W końcu to tylko dzikus!

Ale czy Pan i Pani nie stworzyli wszystkich stworzeń na Ziemi? Czy nie kochali każdego? Na pewno nie wszystkie stworzenia zostały obdarzone Kręgiem Jasności i mogły żyć wbrew kościelnym prawom, ale przecież należało służyć Panu i Pani i nawrócić je na wiarę w Jedności.

A jeśli się mylił? Jeśli źle zrozumiał podsłuchaną rozmowę Antonii i Sabelli? Gorzej jednak byłoby, gdyby się nie mylił i zaniechał działania.

O zmroku podjął decyzję. Przywiązał wszystkie psy prócz dwóch najwierniejszych, zdjął drewniany Krąg Jedności, który podarowała mu ciotka Bel, i pobiegł do klatki.

– Siad, Furia. Siad, Smutek – nakazał. Psy posłuchały. Zdjął skobel; księżę patrzył na niego, ale nie próbował mówić. Alain zawiesił Krąg na szyi jeńca, a potem wziął głęboki wdech i zdjął łańcuchy, spinające jego nogi i ręce.

Psy były dziwnie ciche. Nie skoczyły, by zaatakować.

Stwór rozłożył ręce i nogi, przeciągając się. A potem się odwrócił.

Był szybki. Alain nie zauważył zbliżającej się pięści, dopóki nie było za późno. Księżę złapał go za lewe ramię. Mocnym, niemal nonszlanckim ruchem ręki rozorał swymi białymi szponami wierzch dłoni Alaina. Popłynęła krew. Alain był zbyt przerażony, by się ruszyć, zbyt zaskoczony własną głupotą: „Teraz umrę. Ale na pewno Pan i Pani mi wybaczą, bo błąd spowodowało współczucie”. Psy nie ruszyły się, nie rzuciły na księcia, co było jeszcze dziwniejsze.

Księżę podniósł krwawiącą dłoń Alaina do ust i zlizął krew. Chłopakowi zakręciło się w głowie. Nie spuszczał oczu z uwolnionego jeńca, który rozciął swoją lewą dłoń i unióś ją w górę... aby Alain powtórzył jego gest.

– Iść wolny – powiedział księżę. – *Paier sangius* – Płacić krwią.

Smutek zaskomlał. Furia zawarczała głucho, obracając głowę w stronę bramy.

Nie było czasu do stracenia. Alain, krztusząc się, polizał. Krew była dziwnie słodka, jak miód. Cofnął się, zaćmiło mu się w oczach. Z oddali słyszał głosy kilku ludzi, idących przez zewnętrzny dziedziniec. Słyszał skrobanie noży o płótno. Czuł ohydny zaduch latryn, chociaż tej nocy wiatr, wiał od strony palisady i Alain nie powinien był słyszeć i czuć takich rzeczy.

– *Mi nom es fil fifte litiere fifte* – i książkę zniknął.

Alain wepchnął pięści w oczy i potarł mocno. Psy szturchnęły go; kiedy podniósł powieki, zobaczył cień na drabinie; wspiął się po niej, przeskoczył nad palisadą i zniknął.

Alain rzucił się ku drabinie i ujrzał jeszcze, jak ciemna sylwetka znika w lesie. Odszedł wolny. Dłoń mrowiła; Alain odruchowo podniósł ją do ust, czując w ustach żelazisty smak krwi.

Tej nocy las jest pełen dziwnych stworzeń. Bose stopy zapadają się w warstwę jesiennych liści. Jest chłodno, ciemno, a liście poruszają się na wietrze i rzucają cienie na ciemniejsze cienie.

Alain otrząsnął się. Tam! Zobaczył sześcioro ludzi nadchodzących od strony latryn. Dziwne, czuł ciągle w ustach smak miodu i wiedział, że osobą pośrodku jest biskupina Antonia, choć było zbyt ciemno, aby mógł wyłowić kształty wszystkich sylwetek.

Szli tutaj.

Zszedł z drabiny i spuścił psy. Rano stanie twarzą w twarz ze wściekłym Rodlinem i uda, że spał całą noc. Wiedział, że to tchórzostwo; powinien stawić jej czoło... ale była biskupiną! Wielką figurą na dworze. A on był niczym w porównaniu z nią.

Schował się w szopie, kiedy załomotali do bramy. Psy skakały, szczękając i warcząc. Po jakimś czasie biskupina i jej towarzysze odeszli.

– Wszystko jest przygotowane – usłyszał dzięki swym nowym wyostrzonym zmysłom, gdy biskupina i klerycy odchodzili. – Musimy działać. Musimy znaleźć kogoś innego do złożenia w ofierze na ołtarzu. Kogoś, kogo nie będzie brakować. – Słowa nagle zostały zastąpione wizją równego biegu przez nocny las.

Mi nom, powiedział po saliańsku książkę. „Mam na imię Piąty Syn z Piątego Miotu”. Alain potrząsnął głową. Ciągle kręciło mu się w głowie ze strachu, z podniecenia, z poczucia winy i smaku krwi. Źle usłyszał.

„Kogoś, kogo nie będzie brakować”.

Psy zawyły. Smutek podważył w końcu skobel w drzwiach szopy i wlaź do środka, przyciskając się do Alaina, liżąc go po twarzy i, jak uzdrowiciel, po zranionej dłoni.

W całym zamku była tylko jedna osoba oprócz księcia Eików, za którą nikt nie będzie tęsknił, gdy zniknie. Strach polizał Alaina po palcach.

Gwizdnął na psy i zabrał ze sobą Smutka i Furię dla ochrony. Ale gdy dotarli do stajni, Półgłówka nie było.

Przeżony, wstrząśnięty ruszył z psami starą ścieżką wijącą się przez wzgórza do starych ruin. Biegł, ale ścieżka była wąska i kręta, i niejednym razem upadł, potknąwszy się o kamień albo poślizgnąwszy na korzeniu. Psy biegły obok, zatrzymując się tylko po to, by go polizać, gdy upadał.

Kiedy wreszcie dotarł do polany, na której stały ruiny, przyszło mu do głowy, że książę rozdzielił się na dwoje i jedna połowa płonęła w ruinach wraz z Seiriosem, gwiazdą, którą

nawigatorzy zwali Płonącą Strzałą. Ale to były latarnie, ustawione wokół kaplicy. Ze środka budynku wydobywał się słaby blask.

Półgłówek krzyknął.

Furia i Smutek odrzuciły głowy i zawyły niby do księżyca, wydając przeraźliwy, wysoki dźwięk. Złapał je za obroże i osadził, zanim zbiegły do ruin; natychmiast znieruchomiały. Pani, co robić? Co mógł zrobić? Usłyszał cienki głos – nie była to pieśń, ale grzeszny zaśpiew, który nie miał końca, wznosił się i opadał, rozwijał. W tle skomlało przerażone stworzenie.

Wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby. Drżał, tak był przerażony; ale musiał iść naprzód. Psy nagle zawarczały. Na krawędzi lasu pojawił się kształt. Smutek i Furia wstały, zjeżone, i spróbowały wyrwać się, by zaatakować intruza.

– Waruj – powiedział cicho. Cień poruszył się i okazał fratrem Agiusem. – Siad. – Psy usiadły.

– Nie schodź tam – powiedział Agius. Miał bladą twarz i podkrążone oczy.

Skomlenie trwało, jak kontrapunkt do dziwnego zaśpiewu. Światło z kaplicy rozjarzyło się powoli, a na niebie zarysował wielki cień, który chwilę później zniknął. Skomlenie przeszło w urywane krzyki przerażenia. Psy skoczyły naprzód, wlokąc za sobą Alaina.

Agius spróbował złapać go za ramię, a Furia obróciła się i kłapnęła zębami.

– Spokój! Siad! – syknął chłopak.

Agius wykorzystał tę chwilę, by schwycić Alaina za ramię. Miał mocny uścisk.

– Nie idź tam – powiedział niskim mrocznym głosem. Wydawał się nieświadomy obecności psów, warczących u jego stóp. – Zabiłaby również ciebie i na co by się to zdało?

– Muszę wrócić do zamku po pomoc!

– Za daleko. Spóźniłbyś się.

Przytrzymywany przez fratra, słysząc ohydny zaśpiew i okropne jękliwe krzyki, które wydawał z siebie Półgłówek. Alain powoli tracił odwagę. „Nic nie możesz zrobić”. Jak mógł się sprzeciwić biskupinie?

Światło w dole rozjarzyło się na pomarańczowo, jakby do ognia dorzucono świeżego drewna albo innej substancji. Półgłówek wył, a jego żalosne przerażenie ścisnęło Alainowi serce.

– Muszę spróbować mu pomóc! – Wyrwał się, ale Agius znów go schwycił. Psy, wlokące Alaina w stronę ruin, skoczyły w tył i Smutek zatopił zęby w habcie fratra, ale ten nie puścił chłopaka ani nawet nie krzyknął.

– Puszczaj! – zdzielił Smutka kułakiem i, zbyt zajęty odciąganiem psa od fratra i powstrzymywaniem wrywającej się Furii, nie zauważył, że wiatr zmienił kierunek i ogary nagle nienaturalnie znieruchomiały.

Z ruin uniósł się zapach dymu, ziół i czegoś jeszcze, czegoś nieczystego. Nagle rozległ się dziki, gulgotzący wrzask, któremu towarzyszył śwąd palonego ciała. Agius zatopił palce

w ramieniu Alaina. Psy, które przestały zwracać uwagę na fratra, stanęły przed chłopakiem, jakby też chciały go zatrzymać.

– Patrz – szepnął Agius. – Jak święta Tekla patrzyła na mękę błogosławionego Daisana, tak my musimy przyglądać się temu cierpieniu. – Słuchanie takich słów było nieprzyzwoite, kiedy na dole Półgłówka torturowano, mordowano, składano w ofierze zamiast księcia Eików. W jakim celu?

Powiał wiatr. Spadł deszcz, przyniesiony nagłym powiewem zimnego powietrza; a potem wszystko zamarło kompletnie i tylko dym unosił się z kaplicy. Niezwykłą ciszę przerywał głos, wydobywający się niby spod ziemi, i miauczenie tak słabe, że Alain nie rozumiał, jak w ogóle mógł je słyszeć. Ale wokół nie było normalnych szelestów, świergotu ptaków i odgłosów różnych nocnych stworzeń, jakby wszystkie nagle zniknęły albo zostały uciszone.

Agius puścił Alaina i ukląkł.

– To znak – szepnął – że powinienem wyruszyć i głosić prawdziwe słowo o Jego męce, która była Jego cierpieniem i ofiarą, i o Jego odkupieniu.

Z ruin doleciał ich zapach, ostry i palący. Alain poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku i rękach. Agius podniósł głowę. Psy zaskomlały i przytuliły się tchórzliwie do nóg Alaina.

Alain poczuł obecność – wiele obecności – za plecami. Powietrze zadrżało. Słyszał, jak biskupina wypowiada ostre słowa, których nie rozumiał, wiedział tylko, że niosły ze sobą moc. W dziwnie eleganckiej harmonii z jej głosem rozlegało się niekształtne beznadziejne jęczenie, które nie przypominało już ludzkiego głosu. Alain płakał, ale się nie ruszał. To on skazał Półgłówka i teraz nie mógł mu pomóc.

Powietrze wypełnił odór rozgrzanego żelaza. Kształty jaśniejsze od nocy przeszły obok, przemykając przez mrok. Dotykały go i cofały się, jego ludzkie ciało było im przeszkodą. Nie przypominały ludzi, nie były cieniami dariyańskich księząt, elfów, starszych braci i sióstr ludzkości. Ich jedynym kształtem były fale, pchane po wodzie przez wiatr wiejący nad jeziorem. Wydawały się nie zauważać Alaina, psów, fratra, obserwujących ich w ciszy.

Zeszły ku ruinom, przenikając przez kamienie, jakby te nie istniały. Wynurzały się ze strumienia. Nadchodziły ze wszystkich stron.

„Silna krew przyciągnie duchy i da mi nad nimi kontrolę”.

Wcisnęły się do kaplicy i nagle wszystkie światła zgasły. Z budynku nadal bił blask, aż w końcu i on został zaćmiony przez zjawy wezwane magią i krwią. Alain widział tylko ciemność pokrywającą środek ruin i słyszał głos biskupiny.

Cichy jękliwy skowyt. Cisza. I w końcu, z daleka, dźwięk dzwonów. Psy padły na ziemię i leżały, piszcząc jak bezradne szczeniaki.

Alain drżał i płakał. Zza chmur wychynął księżyc i oświetlił milczące puste ruiny. Podniósł się wiatr, przyganiając chmury, które zakryły księżyc i gwiazdy. Zaczął padać deszcz, aż w końcu Alain był przemoczony do suchej nitki, a wszelkie ślady zapachu i dźwięku zostały zmyte. Stał tam, spływając wodą, patrząc, słuchając, ale nikogo i niczego nie zobaczył. Półgłówek nie żył.

4.

Burza w końcu minęła.

W kaplicy nie było śladu życia.

– Mam nadzieję, że wszyscy zdechli! – powiedział Alain z jadem, który go zadziwił. Nie podejrzewał, że potrafił nienawidzić.

Agius sztywno podniósł się na nogi.

– Chodź, bracie – rzekł. – Nic nie możemy zrobić, prócz zapamiętania, co widzieliśmy, modlitwy, aby nigdy się to nie powtórzyło, i dania świadectwa prawdzie.

– Czy nie powinniśmy zejść, sprawdzić, czy Półgłówek...?

– Jeśli biskupina wciąż jest w środku i domyśliła się, że wszystko widzieliśmy, myślisz, że coś ją powstrzyma przed zabiciem nas? Męczeństwo to szlachetna profesja, przyjacielu, ale tylko wtedy, kiedy ją wykonujesz przy świadkach.

Ruszył ścieżką do lasu.

– Co to było? – wyszeptał Alain.

Agius zatrzymał się i odwrócił.

– Nie wiem.

– Wiedzieliście, że zamierzała to zrobić?

– Że jest czarownicą? Nie jest tajemnicą, że biskupina Antonia i jej stronnicy różnią się od skoposy w poglądach na miejsce magii w Kościele. Tego, że sama zajmie się sztuką czarnoksiężką, należało się spodziewać.

– Że dziś zamierzała... – Nie mógł znaleźć słów, by opisać to straszne wydarzenie.

– Święte dni to czas wielkiej mocy, Alainie. A czym jest czarnoksiężstwo, jeśli nie wiedzą: o mocy, która tkwi w Ziemi i niebie, i o sposobach, aby tę moc nagiąć do swej woli?

Woda kapała z drzew. Alain milczał.

– Chodź – powiedział nagłaco Agius. – Musimy wracać. – Alain ruszył za nim otepiałymi, a psy towarzyszyły mu lunatycznym krokiem. – To prawda – ciągnął Agius tym samym groteskowo chłodnym głosem – że na początku nie wiedziałem, iż zamierzała poświęcić księcia Eików. Twój akt nieoczekiwanego miłosierdzia...

– Doprowadził do gorszej zbrodni! – wrzasnął Alain. Smutek zawył.

– Cicho! Możesz teraz żałować swego czynu. Ale Pani działa w dziwny sposób. Oddała swego jedynego syna, by odkupić nasze grzechy. Spójrz na to raczej jak na akt miłosierdzia naszej Matki, która jest w niebie i prowadzi to niewiniątko ku lepszemu życiu w blasku chwały męczenników, opromieniającym Komnatę Światła.

– Z...znak? – Wstąpili na wąską ścieżkę, Agius prowadził. Kiedy tylko minęli pierwszy zakręt, frater zapalił latarnię.

– Od Boga, poświęcenia Jej syna tego dnia, który błędnie zwiemy Przemienieniem, choć

powinien być znany jako Odpuszczenie: naszego wybawienia od grzechu przez poświęcenie błogosławionego Daisana. Jak święta Tekla widziała jego mękę, tak my musieliśmy przyglądać się temu cierpieniu.

– Ale błogosławiony Daisan pościł i modlił się przez siedem dni! Nie cierpiał!

– Tak Kościół fałszywie uczył przez lata. A prawda została obwołana herezją przez wielki sobór w Addai ponad trzysta lat temu. Ale prawdy nie można zniszczyć, a jest ona taka: błogosławiony Daisan został żywcem poćwiartowany na rozkaz cesarzowej Thaissanii zamaskowanej; tak się wtedy traktowało kryminalistów. Kiedy wyrwano mu serce, krew spłynęła na ziemię i wyrosła z niej czerwona róża. I chociaż cierpiał i umarł, zmartwychwstał i wstąpił do Komnaty Światła, swym cierpieniem oczyszczając nas z grzechu. Bo tylko dzięki litości błogosławionego Daisana, jego cierpieniu i odkupieniu, my, grzesznicy, wступujemy w niebiosa.

„Herezja”. To była prawdziwa herezja, przecząca wszystkiemu, co Alain znał, tak niepokojąca, że na moment zapomniał o kaplicy i losie biednego Półgłówka. Agius był zdeklarowanym heretykiem.

– Przecież błogosławiony Daisan był człowiekiem jak wszyscy – zaprotestował chłopak.

– Wszyscy wejdziemy do Komnaty Światła, jeśli będziemy walczyć, by oczyścić się z mroku, który nas plami...

– To właśnie jest herezja – powiedział miękko Agius. – Uważaj, Alainie, tu leży gałąź.

Krople deszczu spadły z drzew na jego dłonie; Alain uświadomił sobie, że ciągle płakał.

– Na początku były cztery czyste żywioły: światło, wiatr, ogień i woda. Nad nimi leżała Komnata Światła, a pod nimi jej wróg, ciemność. Przez przypadek żywioły przekroczyły naznaczone im granice i ciemność wślizgnęła się między nie. – Powaga głosu fratra opływała Alaina jak tren, znieczulając go, kiedy szedł za światłem latarni. Psy kroczyły za nim, ciągle skacząc, potulne jak baranki.

– Z tego chaosu Bóg, Matka życia, stworzyła świat Boskim Logosem, Świętym Słowem, ale pozostała na nim pewna ilość ciemności. Dlatego jest na nim zło. Jeden tylko błogosławiony Daisan był wolny od ciemności. Tylko przez jego ofiarę możemy zostać ocaleni.

Alain przełknął łzy.

– Zabiłem go – jęknął, po raz kolejny porażony przez to, co zobaczył.

– Nie, dziecko, to nie twoja wina. Widzieliśmy dziś w nocy prawdziwie straszny czyn. Niech nam Pani wybaczy. – Pobłogosławił chłopca. – Pośpiesz się, musimy dotrzeć do łóżek, zanim odkryją, gdzie jesteśmy.

Psy zaskomlały w odpowiedzi na nagły ton. Furia złapała rękę Alaina w swe potężne szczęki i pociągnęła go w las. Alain, ciągle płacząc, podążył za nią.

Śnił:

Dłoń, pazurzasta i pokryta łuską, zanurza się w bystrym potoku. Woda jest tak zimna, że

kluje, ale on pije.

A potem, po namyśle, dotyka drewnianego Kręgu, które wisi na jego piersi. Krag jest zimny i cichy. Jeśli wewnątrz jest Bóg, to niemy Bóg. Albo mówi w języku, którego on nie rozumie.

Podnosi głowę, smakuje powietrze. Nasłuchuje. Tam! Lis staje, węszy, odchodzi. W górze! Sowa przelatuje mu nad głową, ale znika w mroku.

Ale w nocnym powietrzu wyczuwa nadchodzący poranek. Rozgląda się za krzakiem, w którym mógłby się ukryć, poczekać na noc, podczas której bezpiecznie pobiegnie. Na północ, ciągle na północ, ku morzu.

Rozdział szósty

Miasto pamięci

1.

Chociaż ostatni śnieg leżał jeszcze płatami po północnej stronie pni i na zacienionych polach w Spokoju Serca, wiosna rozgościła się na dobre, kiedy nadszedł Wielki Tydzień. Ponieważ Wielki Tydzień musiał zacząć się w poniedziałek i skończyć w niedzielę, kiedy to błogosławiony Daisan na anielskich skrzydłach wstąpił do nieba, pełnia księżyca, wedle której go liczono, zazwyczaj wypadła przed pierwszym dniem Peniteru. Ale tym razem pełnia była w pierwszy dzień Peniteru, tak jak w roku Przemienienia, czyniąc ten rok wyjątkowym. Wydarzenia te zapisano w Świętych Księgach i ewangeliach Mateusza. Marka, Joanny i Łucji.

Kiedy Liath jeździła z Hugonem do odległych gospodarstw – on na gniadoszu, ona na jabłkowitej klaczy – widziała zielone pączki na drzewach, a delikatna pierwsza trawa porastała ziemię. Rolnicy rozpoczęli porządki, a słońce przygrzewało. Czekala na zewnątrz, jak służący, trzymając konie, kiedy Hugo odprawiał msze dla wieśniaków mieszkających zbyt daleko, by uczęszczać na regularne nabożeństwa. Te krótkie godziny, gdy była sama na dworze, stanowiły balsam dla jej duszy, chociaż w ten sposób Hugo starał się ją pozbawić kontaktu z ludźmi.

Wiosna przyniosła ze sobą ocieplenie kontaktów w ich domostwie. Dorit, która traktowała Liath z chłodną obojętnością przez całą zimę, teraz zagadywała do niej w najdziwniejszych momentach. Lars pogwizdywał.

Ale Hugo był niespokojny. Na starej północnej drodze, która wiodła do księstwa Saony, centralnego regionu Wendaru, nie pojawili się jeszcze wędrowcy. Dopiero gdy dotrze pierwszy z nich, Hugo będzie pewien, że drogi w górach Iels są czyste, a bród na Hammellefcie przejezdny.

Rankiem na świętą Perpetuę, dwunastego dnia miesiąca Yanu, który tego roku wypadł

dwa dni po uczcie Przemieniania, wstał i odział się wcześniej. Często teraz sam odbywał objazdy, aby uwinąć się z nimi jak najszybciej. Dzięki temu, gdy drogi staną się przejezdne, będą mogli natychmiast wyruszyć na południe.

– Liath – rzekł ostro. – Jadę. Zrobisz spis naszych rzeczy, przygotowując się do wyjazdu do Firsebargu. Chcę obejrzeć listę, gdy wrócę.

– Dokąd dziś jedziesz? – zapytała, nie żeby ją to obchodziło, ale mogła w ten sposób ocenić, ile błogosławionej samotności zazna: czy tylko o poranku, czy też czekał ją długi, cichy, kojący dzień bez niego.

Znał ją dobrze; znał sztuczki, dzięki którym usiłowała się od niego uwolnić, i po trochu je niszczył.

– Jadę doglądać mej trzódki – rzekł, uśmiechając się pięknie. Przesunął dłonią od jej prawego ramienia do lewego, dotykając palcami niewolniczej obroży – niewidzialnej, niematerialnej, ale ciężkiej jak żelazo – jego własność i jej kapitulacja wisiały na jej szyi. – Wrócę, kiedy wrócę.

I wyszedł.

Postanowiła nie spisywać inwentarza. Mógł ją zbić albo się śmiać z takiego trywialnego pasywnego sprzeciwu; nigdy nie wiedziała, jak postąpi. Poszła do gabinetu i tam, z rylcem i tabliczką, ćwiczyła znaki jinnijskie od prawej do lewej i od lewej do prawej. A potem, powoli, kopiowała litery aretuzańskie i łączyła je w proste słowa, których nauczył ją Hugo. W końcu pozwoliła myślom, wolnym od obecności Hugona, wędrować. Natychmiast pobiegły ku tajemnicom niebios i upływowi dni, bo ojciec przekazał jej przede wszystkim wiedzę matematyków.

Z pierwszym dniem miesiąca Yanu i Marianami, które wyznaczały wiosenną równonoc, weszli w nowy rok. Był to siedemset dwudziesty ósmy rok od ogłoszenia przez błogosławionego Daisana Boskiego Logosu, Świętego Słowa. Skończyła siedemnaście lat.

– Tato – szepnęła i otarła łzę. Tato odszedł. A jednak czy nie było prawdą, iż wszystko, czego ją nauczył, pozostało w niej i w ten sposób żyła pamięć o nim?

„Po tej drabinie mag wstępuje”. Znieruchomiała nagle, przerażona. Co było dalej? Zapomniała! Nie ćwiczyła pamięci tak, jak powinna, nie, kiedy Hugo śledził każdy jej ruch. „O czym myślisz, kiedy siedzisz tak spokojnie?” pytał. Lepiej się ruszać. Lepiej, żeby się nie wtrącał. Nienawidziła go za to, że zawsze szukał sposobu, aby ją otworzyć, dostać się do wnętrza, wyłamać zamek, który, jak oboje wiedzieli, zamykał przed nim wewnętrzne drzwi. Miała książkę. On nie. To jej dawało wolność.

Hugo niedługo wróci. Ale na razie go nie było.

Usiadła i zamknęła oczy. Odnalazła miasto w swej pamięci. Ulica wykładana białymi kamieniami wiodła od brzegu do pierwszej bramy; poszła nią. Naprzeciw wyrosła brama broniąca wstępu na pierwszy poziom: Brama Róży. Widziała wszystkie bramy we właściwym porządku: Róży, Miecza, Pucharu, Pierścienia. Tronu. Sceptru. Korony.

„Magia, jak wszystkie inne dziedziny wiedzy, musi być przyswajana, używana i doskonała. Młody pomocnik kowalski nie zaczyna od wykucia miecza dla księcia. Młoda tkaczka nie zaczyna od utkania królewskiego płaszcza. Retoryk wypowiada pierwsze przemówienie przed lustrem, a nie na placu, a młody żołnierz najpierw walczy z kukłą, a nie ze śmiertelnym wrogiem swego pana. Błogosławiony Daisan ogłosił Święte Słowo dwadzieścia jeden lat przed tym, jak posiadał sztukę modlitwy tak doskonale, że dzięki medytacji wstąpił do Komnaty Światła. Ucz się tego, Liath. Nie zrobisz użytku z tej wiedzy, bo jesteś odporna na magię, ale możesz o niej rozmyślać, praktykować, jakbyś była uczniem czarnoksiężnika, i w przyszłości możesz osiągnąć wiedzę tajemną. Opanować wiedzę to czerpać z niej moc”.

Na bramie, która istniała tylko w jej umyśle, tkwiła konstelacja kamieni, podobna garści gwiazd, w formie róży. A na każdej następnej bramie widniały nowe: miecz, puchar, pierścień, jak nakazano. Te konstelacje lśniły też na nocnym niebie, wraz z dwunastoma tworzącymi Domy Nocy, niebieskiego smoka spinającego niebiosa; na sferze gwiazd stałych widniało wiele innych emblematów, umieszczonych tam dzięki niezmierzonej mądrości Pana i Pani.

Z zamkniętymi oczami wyrysowała w pamięci różę, ale jej kształt i lekka substancja zniknęły jak ptasie ślady na plaży; nie potrafiła jej utrzymać. Ale mogła użyć stołu do grawerowania. Położyła lekko dłoń na wypolerowanym drewnie i dokładnie, precyzyjnie, wyrysowała ją na stole. Taki drobiazg, a spociała się jak mysz; czuła gorąco na policzkach i była cała rozgrzana.

Kiedy dotarła do końca wzoru, zamarła.

Nagły dźwięk przerwał jej koncentrację.

– Liath? Czy tu się coś pali?

Liath wstała tak szybko, że obita sobie biodra o krawędź blatu. Przeklinając, odwróciła się.

– Hanna! Przestraszyłaś mnie!

Hanna zmarszczyła nos, wężąc wokół jak pies.

– Chyba przegrzałaś swój piecyk. Śmierdzi palonym drewnem. Lepiej... – Ale zapach zniknął, nim skończyła mówić. Hanna westchnęła. – Wreszcie masz rumieńce na policzkach.

– Podeszła do Liath i ujęła jej dłonie w swoje. – Nie znoszę, kiedy jesteś taka blada.

– Czy Hugo wie, że tu przysłaś? – zapytała Liath, podbiegając do drzwi i wyglądając na zewnątrz. Korytarz był pusty. Słyszała, jak Lars rąbie drzewo na podwórzu.

– Oczywiście, że nie. Widziałam, jak odjeżdżał...

– Dowie się, że tu jesteś. Wróci.

– Liath! Opanuj się. – Hanna złapała ją za ręce i przytrzymała. – Jak może się dowiedzieć, skoro wyjechał z wioski? Nie widział, jak wychodziłam z gospody.

– Nieważne. Dowie się. – Liath zadrżała z emocji. – Tylko ty mi zostałeś, Hanno –

powiedziała ochryple i objęła ją mocno. – Wiem, że mogę ci ufać i jestem bezpieczna.

– Oczywiście. Oczywiście, że możesz mi ufać. – Hanna zawahała się i powoli oswobodziła z objęć Liath. – Słuchaj. Rozmawiałam z Ivarem. Potrzebuje służących, którzy dbaliby o niego w klasztorze. Zabiera... mnie. – Liath, zaskoczona, resztę słów Hanny słyszała jak przez grubą watę. – Przepraszam, Liath. Ale tylko w ten sposób mogłam się wykręcić od ślubu z młodym Johanem. Mama i tato już się zgodzili.

Nie mając się na czym oprzeć, Liath opadła na krzesło.

– Och, Liath. Wiesz... Nigdy nie chciałam... – Hanna padła na kolana. – Nie chcę cię opuszczać.

„Nie chcę, żebyś mnie opuszczała”. Ale Liath wiedziała, że nie mogła tego powiedzieć.

– Nie – powiedziała tak cicho, że ledwie było ją słyszać. – Musisz jechać. Nie możesz wyjść za Johana. Jeśli pojedziesz z Ivarem, znajdziesz lepszego męża albo lepszą pozycję. Quedlinham to piękne miasto. I klasztor męski, i żeński podlegają matce Scholastyce. To trzecie dziecko Arnulfa Młodszego i królowej Matyldy. Jest uczona. Dlatego otrzymała imię Scholastyka. Ochrzcili ją jako Richardis. – Wszystko spoczywało w mieście pamięci, wszystko, czego nauczył ją tato, poukładane w niszach, wzdłuż ulic, pod portykami i arkadami, ale na co się zda, jeżeli zostanie całkiem sama? Chciała płakać, ale nie odważyła się ze względu na Hannę. Mówiła więc. – Królowa Matylda osiadła w Quedlinhamie po śmierci króla Arnulfa, kiedy ich syn Henryk objął tron. Całe miasto jest pod jej nadzorem, specjalną opieką, dlatego, jak mówią, jest takie piękne. Sądzę, że król zjeżdża tam co roku na Wielki Tydzień, jeśli tylko może, by uhonorować swą matkę. Dla kogoś tak bystrego jak ty znajdzie się wiele możliwości zaciągnięcia na służbę. Może nawet znajdziesz się na dworze królewskim, w orszaku. Król ma dwie córki, Sapientię i Theophanu, które są już na tyle duże, by mieć swe własne orszaki i damy dworu.

Hanna położyła głowę na kolanach Liath. Ciepło i ciężar jej ciała pocieszały Liath, ale niedługo znikną na zawsze.

– Tak mi przykro, Liath. Nigdy bym cię nie opuściła, ale Inga w lecie wraca z mężem i dzieckiem z Freelas i nie będzie dla mnie miejsca. Albo małżeństwo, albo służba.

– Wiem. Oczywiście, że wiem. – Nadzieja wyciekała z Liath jak woda z dziurawego wiadra. Zamknęła oczy, jakby nie widząc tego, co ma nastąpić, mogła to powstrzymać.

– Liath, musisz mi obiecać, że nie stracisz nadziei. Nie opuszczę cię. Spróbuję wszystkiego, by cię uwolnić.

– Hugo nigdy mnie nie uwolni.

– Jak możesz być taka pewna? – Hanna podniosła głowę. – Skąd wiesz?

Westchnęła głęboko, nie otwierając oczu. Zostawiła za sobą miasto pamięci, szlachetną różę i słowa ojca.

– Bo wie, że tato znał różne sekrety, i sądzi, że ja też je znam. Bo wie, że mam księgę. Nigdy się mnie nie pozbędzie. Nieważne, Hanno. Hugo ma zostać opatem, ojcem, w

Firsebargu. Wyjdziemy na południe najszybciej, jak się da. – Otworzyła oczy i pochyliła się, szepecząc, choć nikt nie mógł ich podsłuchać. – Musisz zabrać księgę. Musisz ją stąd zabrać. Jeśli ja będę ją mieć, odbierze mi ją. Proszę, Hanno. A jeśli się kiedykolwiek od niego uwolnię, odnajdę cię.

– Liath...

Ale nigdy się od niego nie uwolni. Wiedział. Oczywiście, że wiedział.

Puściła dłonie Hanny i wstała. Hanna podniosła się, kiedy Hugo otworzył drzwi.

– Wynos się – powiedział zimno. Hanna rzuciła Liath jedno spojrzenie. – Won!

Przytrzymał jej drzwi. Potem zamknął je.

– Nie lubię, kiedy przyjmujesz gości. – Podeszedł do Liath i ujął jej podbródek lewą dłonią; palce obejmowały szczękę. Wpatrywał się w nią. Głęboki błękit tuniki dodawał niebieskim oczu świdrującego blasku. – Już nie będziesz przyjmować żadnych gości, Liath.

Wywinęła się z jego uścisku.

– Będę widywała, kogo zechcę!

Uderzył ją. Oddała mu, mocno.

Zbielał, a ślad jej palców odbijał się na czerwono. Przygwoździł ją do stołu, przyciskając boleśnie nadgarstki do twardego drewnianego blatu. Był blady z gniewu, rwał mu się oddech, gdy się w nią wpatrywał.

– Nie będziesz... – zaczął. Spojrzał nad jej ramieniem. Wciągnął powietrze. Odepchnął ją od stołu i rzucił w bok. To, co ją opętało, zniknęło już. Stała bez ruchu i patrzyła, jak przesuwał dłonią po blacie. Poruszał palcami po okręgu, śledząc kontur róży, wypalony w polerowanym drewnie. Jego twarz była spięta, uważna. W końcu się odwrócił.

– Co zrobiłaś?

– Nic.

Złapał ją za rękę i pchnął w przód, położył dłoń na stole, gdzie musiała dostrzec niemal niewidziany kontur. Linie parzyły jej skórę.

– Róża Uzdrawiania – powiedział. – Wypaliłaś jej kształt na stole. Jak to zrobiłaś?

Spróbowała wyrwać rękę, ale jego uścisk był zbyt silny.

– Nie wiem. Nie wiem. Nie chciałam.

Złapał ją za ramiona i potrząsnął.

– Nie wiesz? – Rozwścieczyło go to bardziej niż policzek, który mu wymierzyła. – Mów!

– Nie wiem!

Uderzył ją wierzchem dłoni. Ciężkie pierścienie rozorały jej policzek. Uderzył znów. Wpadał w furję.

– Tyle lat studiowałem, by zdobyć klucz do Róży Uzdrawiania, a ty nie wiesz! Gdzie jest księga twojego ojca? Czego cię nauczył?

– Nie – powiedziała, a krew ściekała jej po policzku.

Przerzucił ją sobie przez ramię i zaniósł do swej celi. Tam rzucił na łóżko. Leżała, patrząc

na niego. Mierzył ją spojrzeniem, lewa dłoń zamykała się i otwierała w jemu tylko znanym rytmie.

W końcu ukląkł obok. Otarł cienką warstewkę krwi z jej policzka. Dotykał delikatnie.

– Liath – miał przekonujący głos. – Jaki pożytek z wiedzy, jeśli się jej nie dzieli? Czy nie nauczyliśmy się wiele przez zimę? Nie możemy nauczyć się więcej? – Pocałował rozorany pierścieniami policzek, potem szyję, usta, długo, nalegająco.

Ale w niej zapłonął ogień, choć z mokrego drewna. Od chwili, gdy wypaliła różę, tliła się w niej siła tam, gdzie przedtem nic nie było. Ogień topi lód. Kiedy ją całował, uchylała się.

– Nie – rzekła cicho i przygotowała się na cios.

– Liath – westchnął. Pogładził jej ciało. Jego oddech był bardziej urywany niż wtedy, kiedy się wściekał. – Nigdy cię w łóżku źle nie traktowałem.

– Nie – przyznała.

– Mogłabyś zaznać rozkoszy. Ale musisz mi zaufać. Widziałem, że szybko się uczysz. Że bardzo pragniesz się uczyć. Że chcesz wiedzieć więcej. – Położył się na niej. Nawet przez ubranie czuła, jak ogarnia ją gorąco bijące od jego ciała. – Wiesz bardzo dobrze, moja piękna, że z nikim innym nie możesz porozmawiać. Nie masz się do kogo zwrócić. Jestem tylko ja. Plotkowano o twoim tacie, drogim starym panu Bernardzie, ale wioskowi nie zaprzęтали sobie nim głowy, bo go lubili. A biskupina we Freelas miała inne sprawy na głowie, niż zajmowanie się jednym lichym czarownikiem, który rzucał zaklęcia, żeby odpędzić lisy od kurników.

Uwięziona w celi o grubych ścianach i stęchłym powietrzu, była zamurowana żywcem przez Hugona.

– Ale ty nie będziesz miała takiego szczęścia, taka młoda, z takim wyglądem. – Pogładził ją, przesuwając dłonią po karku i wsuwając palce we włosy z tyłu głowy. – Masz zbyt piękne włosy, twoja skóra jest brązowa w zimie, jak skóra ludzi z południa, ale kto na tym odludziu widział kiedykolwiek południowców albo wierzy w ich istnienie? I twoje oczy. Niesamowicie błękitne, wiesz o tym? Ja wiem. Od lat chłopięcych próbowałem poznać sekrety magii. Są inni podobni do mnie, którzy uczą się i doskonalą. A ty masz ten dar we krwi. Wiem, kim jesteś, ale nikomu tego nie zdradzę. Wierzysz mi?

Nawet uwięziona pod nim, mając świadomość, że powie cokolwiek, żeby przekonać ją, aby wyznała, gdzie jest księga, zdradziła wszystko, co wiedziała, ku swemu przerażeniu stwierdziła, że mu wierzyła. Zrozumiała nagle, że mówił te słowa szybko i wkładał w nie całe serce.

– Wierzę ci – powiedziała, a słowa bolały. Wiedział, kim była. Czarownik pracuje nad sobą, ale dwoje magów nie może się pobrać. Tak powiedziała kiedyś matka, kładąc dłoń na czole Liath. Dziecko dwojga czarowników może odziedziczyć dziki talent, niebezpieczniejszy nawet od królewskiego gniewu. A jednak Liath odziedziczyła odporność na magię. Tato uczył ją, aby mogła się bronić. „Nie możesz tego użyć, jesteś odporna na magię.”

Tak przynajmniej sądziła. Ale teraz wypaliła na drewnianym stole Różę Uzdrawiania.

Hugo nie zabraniałby jej studiowania księgi taty i innych dzieł tak długo, jak długo dzieliłaby się z nim całą posiadaną wiedzą.

– Będę ci wierny. Liath – powiedział, biorąc jej twarz w dłoń, gest kochanka, czułość kochanka – tak długo, jak ty mi będziesz wierna.

O, Pani, jak parzył ten nowy ogień. Bolał przeraźliwie, wypalał w ciele dawno uśpione linie. Nie mogła już trwać w letargu. Czuła to: nadchodził czas podejmowania decyzji.

Poruszył się, przesunął i zamruczał, zadowolony.

– Liath – rzekł, cicho, miękko, przekonująco, zaciskając wokół niej ramiona.

Hanna wyjeżdżała. Ona też wyjedzie, będzie sama z Hugonem w Firsebargu. I będzie tak trwać, zawsze mu się opierać, zimna, bez czucia, nieporuszona. Rzadko oglądająca innych ludzi; okradziona z kontaktów z innymi, izolowana przez Hugona.

Czy nie byłoby łatwiej się poddać? Dać mu, czego chciał? Sama pani Birta powiedziała, że zazdrości Liath pozycji. Nie traktowałby jej źle. Prawdopodobnie traktowałby ją dobrze.

Wypaliła w stole Różę Uzdrawiania. Na boską krew, mogła się nauczyć tyle, żeby przekonać się, czy istotnie była odporna na magię. Może tato naprawdę nie wiedział, że urodziła się z mocą. Albo cały czas ją okłamywał.

Dlaczego miałby ją okłamywać? Żeby ją chronić.

Hugo przesunął dłonie na jej ramiona. Pogłaskał po szyi, dotykając gardła jak klejnotu, a ona zadrżała. Wziął głęboki oddech i zaczął odpinać pas.

– Przestań ze mną walczyć, Liath. Dlaczego nie chcesz zaznać przyjemności? Dlaczego?

Jego pocałunki wywoływały mrowienie. Dlaczego? Nadszedł czas, by wybierać.

– Nie będę twoją niewolnicą – wyszeptała. Płakałaby, bo słowa przychodziły z trudem, ale za bardzo się bała, by płakać. Położyła dłonie na jego piersi i odepchnęła go, prostując łokcie.

Zamarł.

– Coś ty powiedziała?

Wiedziała, że będzie musiała z całej siły trzymać się tych słów. Wywineła się i spadła z łóżka, lądując na kolanach, klęcząc na dywanie i patrząc na niego jak królik na lisa. Ale teraz jej głos nie był szeptem.

– Nie będę twoją niewolnicą.

Usiadł.

– Ale ty jesteś moją niewolnicą.

– Bo zapłaciłeś złotem.

Zacisnął usta.

– W takim razie wracaj do świń. – Uśmiechnął się, wiedząc, że po zimie przeżytej w luksusie nie mogłaby wrócić do chlewu.

Liath przemyślała to: brudne siano, grzbiet Łazika, zimne wiosenne noce.

– Tak – powiedziała wolno. – Tak. Wrócę do świń.

Podniosła się sztywno na nogi, sztywno ruszyła do drzwi. Jej kończyny odmawiały posłuszeństwa.

Natychmiast poderwał się z łóżka. Złapał ją za ramiona, odwrócił i uderzył tak mocno, że się zatoczyła. Ponowił cios. Upadła, uderzając głową o ścianę. Oparła się na rękach i podniosła. Zastaniając twarz ręką, chciała przejść obok niego, by dotrzeć do drzwi. Uderzył. I znów. Tym razem padła na kolana i dyszała. Ból palił. W uszach dzwoniło. Kopnął ją w bok i zabrakło jej tchu.

– I co – jego głos był stłumiony z furii – świnie czy moje łóżko?

Wstała ostrożnie. Straciła równowagę i ostrość widzenia w prawym oku. Zrobiła jeden niepewny krok, złapała oddech, zrobiła drugi i położyła dłoń na skoblu. Podniosła go.

Cios spadł równocześnie z otwarciem drzwi. Upadła na korytarz, na dłonie i kolana. Ból w żebrach – chyba ją kopnął. Walczyła, by wstać, ale gdy tylko wykonywała najmniejszy ruch, uderzał.

Krew zalała jej prawe oko, ale i tak już wcześniej straciła w nim wzrok. Kiedy podparła się o ścianę i wstała, natychmiast wyśladowała na drugiej ścianie. Rąbnęła głową o kamień i upadła. Nie mogła wstać, mimo prób. Leżała tam, jęcząc, próbując nie jęczeć, nie wydawać z siebie dźwięku, zmusić nogi do pracy. Jego but dotknął jej boku.

– A teraz, Liath, co wybierasz?

– Świnie – powiedziała. Trudno było wypowiedzieć te słowa, bo usta miała pełne krwi. Nie mogła wstać, więc podparła się na rękach i spróbowała pełznąć. Tym razem, gdy spadł cios – nie wiedziała, pięść czy but – zalała ją ciemność. Słyszała swoje własne dyszenie. Straciła wzrok. Pociemniało jej w oczach, pojaśniało. Wąski korytarz jawił jej się jako zamazany wzór kamienia i cienia, ale to wystarczało. Podniosła się na łokciach i powlokła ciało. Naprzód, do świń.

Usłyszała słowa, przerażony krzyk, który jej nie dotyczył.

Bolało ją wszędzie. Kłujące siniaki, ostry, głęboki ból w kościach, ogniste klucie w żebrach; słona krew kapała jej z ust, a jednak czuła w nich suchość. Była taka spragniona. Doskonale wyobrażała sobie świnie. Mieszkały poza miastem pamięci i było im dobrze: jej ulubiony Łazik, stara maciora Trufla i prosięta Hib, Nib, Jib, Bib, Gib, Rib i Tib, które czasami potrafiła rozróżnić, ale nie mogła sobie przypomnieć, które z nich zarżnięto i zapiekowano na zimę, a które zostały.

Znów ją uderzył i padła na podłogę. Szorstki kamień wciskał się w jej twarz, ale te drobne drażniące ziarenka pomagały jej zachować przytomność; liczyła je, wciskające się w otwartą ranę na policzku jak sól. Oddychała przez moment. Nie szło jej najlepiej. Wdychanie i wydychanie bolało, ale musiała w końcu dotrzeć do świń. Z nimi będzie bezpieczna. Księża będzie z nimi bezpieczna.

Ból, jak gorący nóż, przeszył jej brzuch. Krzyknęła ze strachu. Hugo wolał ją zabić, niż

pozwolić jej odejść. Zabić ją!

O tym nie pomyślała.

Otworzyła lewe oko i zobaczyła, że Hugo stał o długość ciała od niej, nie spuszczać z niej wzroku, a twarz miał kamienną i zaciętą. Ale jej nie tknął.

Znów szarpnął nią nagły ból. Po udach pociekł ciepły płyn. Próbowwała coś powiedzieć, ale język odmawiał jej posłuszeństwa. O Pani, jak bolało! Zwinęła się w kłębek i zemdlała.

Na wpół oprzytomniała, gdy Lars ją podniósł. Dorit coś mówiła. Liath dostrzegła Hugona i zaraz straciła go z oczu. Jej uda były lepkie od wilgoci. Chłodne popołudniowe powietrze przyprawiło ją o dreszcze, kiedy Lars wyniósł ją na dwór. Ból ścisnął podbrzusze. Zwinęła się, odrzucając głowę. Dorit mówiła do niej, ale Liath jej nie rozumiała.

Kołyszącym krokiem Larsa towarzyszył przeszywający ból. Zemdlała.

Tym razem, kiedy się ocknęła, spróbowała nie wpaść w panikę. Leżała na twardej powierzchni. Nie mogła otworzyć oczu. Przykrywało je coś zimnego i lepkiego jak dłoń rozkładającego się trupa...

Zadrżała i złapała to, ale ktoś przytrzymał jej dłonie w silnym uścisku.

– Liath, to ja, Hanna. Nie rób tego. Przestań. Zaufaj mi.

Hanna. Oczywiście, że Hannie mogła zaufać. Przywarła do jej dłoni. Co się stało? Była naga od pasa w dół, leżała na plecach ze zgiętymi nogami, skąpana w bólu.

Inny głos:

– Liath, możesz usiąść? Powinnaś, jeśli możesz.

– Chodź – rzekła Hanna swym cudownie praktycznym tonem. – Obejmę cię i podtrzymam. Oprzyj się na mnie, Liath.

Gdy się podniosła, rozbolała ją głowa. Ból w podbrzuszu atakował falami. Lepka dłoń spadła jej z twarzy i okazała się kawałkiem szmaty. Zdrowym okiem widziała panią Birtę i Dorit. Pani Birta, kucająca między nogami Liath, wyprostowała się. Miała dłonie czerwone od krwi.

Liath ogarnęły mdłości.

– Muszę się położyć – jęknęła. Gdy Hanna ją położyła, straciła zupełnie świadomość.

Ocknęła się, leżąc na twardej powierzchni. Pani Birta mówiła.

– Przeniesiemy ją na górę. Zrobiłam, co mogłam.

– Widziałam parę razy, jak ją bił – powiedział ktoś i Liath ledwo rozpoznała głos Dorit. – Ale nigdy go nie winiła, bo to jego niewolnica i do tego wredna. Ale to. – Cisza, przzerwana cmokaniem. – To wbrew Pani, naprawdę. Nie mogłam jej tam zostawić, kiedy krwawiła i widziałam, że traci dziecko.

Hanna i Birta zaniósł ją na górę. Dopiero wtedy dotarły do niej słowa Dorit.

„Traci dziecko”.

Położyły ją na łóżku Hanny i obłożyły mchem, który wchłaniał wciąż płynącą krew. Birta okryła jej biodra prześcieradłem, dla przyzwoitości.

– Czy to prawda? Byłam w ciąży? – wykrztusiła.

– Ano prawda, dziewczyno. Sądzisz, że można kłaść się z mężczyzną całą zimę i nie zajść w ciążę? Nie zauważyłaś, że ci krwawienia ustały?

Liath leżała bez ruchu. Hanna położyła swą ciepłą dłoń na jej włosach. Droga Hanna, taka pocieszająca.

– Jestem taka zmęczona.

– Śpij, dziecko – rzekła Birta. – Hanna tu z tobą posiedzi.

– Dlaczego nigdy o tym nie myślałam? – wyszeptała Liath. – Dziecko Hugona. Nie mogłabym mieć jego dziecka.

– Cicho. Liath. – powiedziała Hanna. – Myślę, że powinnaś spać. Na Pana i Panią, ależ cię stłukł. Jesteś jednym sińcem. Musiał wpaść w szal.

– Nie będę jego niewolnicą – szepnęła Liath.

Kiedy obudziła się po raz kolejny, znacznie później, czuła przyjemną ociążałość. Mały pokój na strychu był ciemny, ale przez okiennice wpadało trochę światła. Stary koc, w który ją owinięto, był szorstki, ale ciepły. Była wyczerpana, ale przynajmniej sama, bez Hugona.

A to się liczyło.

A potem usłyszała kroki na schodach i podniesione głosy.

– Nie pozwolę wam jej budzić, fratrze!

– Przepuście mnie, pani Birto, a tym razem puszczę w niepamięć waszą impertynencję.

– Fratrze Hugonie, może to nie miejsce na takie rozmowy, ale Bóg mi dopomóż, jeśli mnie nie wysłuchacie, wyślę męża z wiadomością o tym incydencie do biskupiny we Freelas.

– Jestem pewien, pani, że biskupina ma większe zmartwienia niż to, że wzięłam sobie konkubinę.

– Nie wątpię – odparła Birta zadziwiająco ostro – ale nie sądzę, żeby potraktowała łagodnie fakt, żeście sobie wzięli konkubinę, a potem pobili dziewczynę tak brutalnie, że poroniła dziecko poczęte z tego nielegalnego związku.

– To nie było dziecko. Nawet się nie rozwinęło.

– Nie szkodzi, stałoby się dzieckiem z woli naszej Pani, gdybyście nie pobili Liath!

– Przypominam wam, że to moja niewolnica i robię z nią to, na co mam ochotę. Zapomnieliście albo nie wiecie, pani Birto, że biskupina Freelas, choć szlachcianka o dobrej duszy, nie ma potężnych krewnych. Ja mam. A teraz się odsuńcie.

– To dziecko naszego Pana i Pani, fratrze. To Ona decyduje, nie wy, czy dziecko ma się narodzić. My, kobiety, jesteśmy wybranym naczyniem naszej Pani i z Jej woli dostąpiłyśmy zaszczytu dawania życia; dar to okupiony bólem, bo jak inaczej poznałybyśmy prawdę o

ciemności na tym świecie i obietnicę Komnaty Światła? Wielu kobietom z tych okolic byłam akuszerką, wiele widziałam kobiet, co poroniły z choroby, głodu albo z Jej woli, widziałam, jak kobiety z dziećmi marły w położu. Ale aż do teraz nie widziałam nigdy kobiety pobitej tak bardzo, że straciła dziecko. I jeśli będę musiała, zeznam to przed biskupiną.

Cisza. Liath zmierzyła dystans od łóżka do okiennic, choć wiedziała, że nie miałyby siły dotrzeć do nich, otworzyć i rzucić się w dół, by od niego uciec; nawet teraz nie chciała umierać. Światło sączyło się do pokoju, w oddali zapiał kogut. Musiał być wczesny poranek. Cisza przyprowadziła ją o gęsą skórę. Czekala, drząc, na ruch skobla.

W końcu odezwał się Hugo. Furia tłumiła mu głos. O Pani, znała go tak dobrze, że w wyobraźni potrafiła ujrzeć wyraz jego twarzy.

– Zwróćcie mi ją, gdy będzie mogła chodzić. Za dziesięć dni wyruszamy do Firsebargu.

– Zwrócę wam ją, kiedy wydobrzeje.

Był wściekły. Słyszała to w jego głosie.

– Jak śmiecie stawiać mi warunki?

– Ona jeszcze może umrzeć, fratrze. I chociaż to nie moja krewna, lubię ją. Jest kobietą tak jak ja i inne kobiety, w specjalnej pieczy naszej Pani. W Świętych Wersach napisano: „Ognisko moje, na którym płonie ogień mądrości, powierzam kobietom”. Możecie sobie mnie straszyc. Nie wątpię, że moglibyście mnie łatwo zrujnować, bo wszyscy wiemy, że wasza matka to wielka szlachcianka, ale najpierw wyleczę Liath, zanim pozwolę jej ruszać w tak daleką trudną drogę.

– Świetnie – warknął. Zaśmiał się. – Na Boga, macie odwagę, pani. Ale zobaczę ją, zanim pójdę.

Liath zacisnęła powieki i modliła się, aby pani Birta go odesłała.

– Wasze prawo – powiedziała Birta opornie. Drzwi się otwały.

– Sam – rzekł Hugo.

Liath nie otwierała oczu.

– Zaczekam na zewnątrz – rzuciła Birta. – Tuż pod drzwiami.

Hugo zamknął drzwi na skobel. Słyszała odgłosy, skrzywienie drewnianej podłogi, trzaśnięcie drzwi, stuknięcie skobla, zamykającego ich razem. Nie otwierała oczu. Milczał. Była tak wrażliwa na jego obecność, że wiedziała dokładnie, jak daleko od niej stał, że w każdej chwili jego szala mogła otrzeć się o koc, a dłonie zwisały tuż przy jej twarzy.

Wiedziała doskonale, że sobie nie pójdzie tylko dlatego, że ona miała zamknięte oczy. Tato powtarzał, że trzeba zmierzyć się z tym, co wzbudza w nas lęk, aby nie stać się ofiarą. Oczywiście, tato powtarzał to z gorzkim uśmiechem, bo uciekał, odkąd umarła jej matka.

Zacisnęła dłonie na kocu, wzięła głęboki oddech i spojrzała na niego. Przyglądał jej się dziwnym uważnym spojrzeniem. Oddała spojrzenie, nagle tak zmęczona, że nawet strach nie miał do niej dostępu.

– Dlaczego mnie nie zabiłeś? – wyszeptała.

Zachichotał.

– Bo jesteś zbyt cennym skarbem, by cię ot tak wyrzucić – Wyraz jego twarzy zmienił się jak morze podczas burzy. – Nie możesz mi się stawiać, Liath. Nigdy.

Popatrzyła na deski na ścianach. Wystawało z nich kilka źdźbeł siana.

Usiadł wygodnie obok niej.

– Będziesz potrzebowała jakiejś służącej, kiedy będziemy podróżować, i jestem pewien, że będziesz czuła się lepiej w Firseburgu, jeśli będzie ci towarzyszył ktoś znajomy. Słyszałem, że córka Birty ma wyjść za jednego z rolników i szczerze tego nie chce. Pomyślałem, że mogłaby pojechać z nami. Miałabyś towarzystwo, kogoś do pomocy. Jeśli okaże się bystra, może nawet będzie zarządzać naszym gospodarstwem. Dla kogoś z jej urodzeniem to świetna perspektywa. Jeśli chcesz, pomówię o tym z panią Birtą.

„Nasze gospodarstwo”.

Nieważne, co zrobiła, jak silna była jej wola oporu, jak bardzo się na nią wściekł, jak oziębła była, jak dobrze zamknęła swe serce ani jak dobrze ukryła księgę i wiedzę ojca, uparte naleganie Hugona zmiotłoby ją w końcu z powierzchni ziemi. Był całkowicie zdeterminowany, by ją pojąć. A gdyby uciekła, to dokąd? W objęcia śmierci albo do życia pełnego poniżenia, głodu i brudu. Gdyby udało jej się uciec. Niezależnie od tego, jakie miałyby fory, Hugo i tak by ją dogonił. Zawsze wiedział, gdzie była i co robiła. Tak długo, jak był jej cierpliwym właścicielem, nie miała szans.

– Hrabia Harl udzielił Iwarowi pozwolenia na zabranie Hanny ze sobą do Quedlinhamu – powiedziała. Miała ochryply głos: nie wiedziała, dlaczego. Prawie nie zdawała sobie sprawy, że mówiła.

– Hanny? Tak jej na imię? Cóż, Liath, ja będę opatem, a za kilka lat podniosą mnie do rangi prezbitera i zdobędę laski samej skoposy. Mogę jej zaoferować lepszą przyszłość niż zwykły mnich. Jeśli ją chcesz, to nie widzę problemu, by załatwić wszystko z jej rodzicami. Chcesz ją?

Dlaczego nie poddać się nieuniknionemu? Gdyby tylko lepiej dbała o sprawy taty. Gdyby nalegała na skromniejsze życie. Gdyby go zeszłej wiosny nie błagała, aby jeszcze jedno lato spędzili w Spokoju Serca.

Jaki pożytek z prowadzenia tej ciągłej walki, której nie mogła wygrać? Gdyby miała ze sobą Hannę, może życie nie byłoby takie złe? Mogłaby uczyć się i poznawać boskie sekrety gwiazd i może też wiele innych rzeczy. Może odkryłaby tajemnicę róży wypalanej w drewnie. To byłaby jej pociecha.

– Tak – rzekła. Ledwo wydobyła z siebie głos. – Chciałabym, żeby Hanna z nami pojechała.

– Gdzie jest książka, Liath? – Wyraz jego twarzy nie zmienił się.

– Książka.

– Księga – zawtórował. – Księga, Liath. Powiedz mi, gdzie ona jest, a pozwolę ci zabrać

z nami dziewczynę.

Zamknęła oczy. Dotknął jej, przesuwając palcami po obojczyku, znacząc obrozę niewolnicy – bezcielesną, nie z drewna czy żelaza, ale równie więżącą.

Wygrał. I on to wiedział, i ona.

Nie otworzyła oczu.

– Pod deskami za korytem świń w stajniach gospody.

Pochylił się lekko i pocałował ją w czoło.

– Dopilnuję, żeby dziewczyna nam towarzyszyła. Wyruszamy za dziesięć dni.

Liath usłyszała szcęk skobla i głos Hugona, prowadzącego Birtę do sali biesiadnej. „Dziesięć dni”.

Zakryła twarz dłońmi i leżała, załamana.

2.

Dziesięć dni wlokło się niemiłosiernie. Nawet pani Birta nie spodziewała się, że rekonwalescencja Liath potrwa tak długo. Na początku głównie spała, bolesnym, urywanym snem, który zakłócała słoma wystająca z siennika Hanny. Kiedy wstawała, by sobie ulżyć do wiadra przy drzwiach, była wyczerpana.

Po dziesięciu dniach mogła już raz dziennie pokonywać schody. W południe siedziała na ławeczce przed gospodą, czekając na posiłek, kiedy Hanna nadeszła z ogrodu.

Jej twarz była spalona na czerwono przez słońce, oczy czerwone od łez i pociągała nosem, jakby miała katar. Padła na ławkę obok Liath, wyglądając na równie przygnębioną.

– Ivar wyjechał dziś rano. Pobiegłam tam, kiedy się dowiedziałam, ale się z nim minęłam. Nawet nie zostawił mi wiadomości.

Liath poczuła palący wstyd.

– To moja wina. Przepraszam. Potrzebował cię. Nie powinnam cię błagać, żebyś ze mną została. Nigdy nie chciał wstąpić do klasztoru, tylko jeździć ze Smokami. I gdyby nie ja, spełniłyby się jego marzenia.

– O Bogini, oszczędź mi tego! – jęknęła Hanna. – Jesteś równie niemożliwa jak on. Nic mu nie będzie. Hrabia Harl wysłał z nim dwóch służących, więc będzie mógł popatrzeć na znajome twarze w Quedlinhamie. Jeśli naprawdę król Henryk przyjeżdża tam każdej wiosny, Ivar będzie mógł się widywać z Rosvitą, swoją siostrą. Jest kleryczką w królewskiej scholi. Biorąc pod uwagę jej pozycję i legat, jaki hrabia złożył klasztorowi, jestem pewna, że Ivar biedy nie zazna. Pewnie będzie mu lepiej niż u rodzonego ojca, który miał tylko jedną jeszcze młodszą córkę, a ta zawsze była jego pupilką. Z pomocą Rosvity Ivar może nawet zostać zauważony przez króla. Nie sądzisz?

Liath potrafiła zapomnieć o swoim nieszczęściu na tyle, aby dostrzec, że Hanna praktyczną oceną położenia Ivara usiłuje stłumić własny żal.

– Tak – powiedziała, bo Hanna zdawała się potrzebować takiego zapewnienia. – Nie wątpię. Wyedukują go. – Umilkła i wzięła przyjaciółkę za rękę. Rozejrzała się po pustej sali, nasłuchując, ale były same. – Hanno, wiem, że potrafisz dobrze liczyć, ale nauczę cię czytać i pisać. Musisz to umieć, jeśli chcesz być zarządczynią.

Naśladowując Liath, Hanna też rozejrzała się po sali i rzuciła okiem na drzwi wiodące na podwórko. Stały otworem i słyszały, jak pani Birta każe Karłowi biec z jajkami do starego Johana i przynieść w zamian ziół.

– Ale nie uczono mnie w kościele. Jeśli będę umiała czytać i pisać, czy ludzie nie nazwą mnie wiedźmą?

– To będzie nas dwie. – Puściła dłoń Hanny i zaplotła nerwowo palce. – Słuchaj, Hanno. Lepiej, żebyś się dowiedziała, zanim dojedziemy do Firsebargu. Tato...

– Liath. Wszyscy wiedzą, że twój tato był czarownikiem. Mnichem, który zgrzeszył, ale jeden błąd, jedno dziecko to zbyt mało, żeby kogoś wyrzucić z klasztoru. Musiał zrobić coś jeszcze, zbuntować się, zwątpić, może studiować zakazane sztuki. Diakonisa Fortensja opowiadała nam tyle historii o mnichach i mniszkach, zakradających się do skryptorium i praktykujących mroczne sztuki, ile mam palców u rąk i nóg. Ale twój tato nigdy nikomu krzywdy nie wyrządził, nie tak jak stara Marta, która próbowała rzucać uroki na każdego, kto na nią krzywo spojrzeł, taka była pyszna, bo frater Robert z nią sypiał. Ale przestała kiedy daliśmy jej do zrozumienia, że nie będziemy tego tolerować. Twój tato był szczodry. Co złego jest w magii, która pomaga? Tak mówiła diakonisa.

– Ale tato nie był prawdziwym czarownikiem. To znaczy, posiadał wiedzę, ale nie zrobił nigdy...

Hanna spojrzała na nią dziwnie.

– Oczywiście, że był! Dlatego byliśmy tacy zadowoleni, że zapuścił tu korzenie i nie odchodził. Nie wiedziałaś? Ludzie nie przychodzą do czarownika, którego zaklęcia nie działają. Co z krową starego Johana, która nie mogła się ocielić, dopóki twój tato zaklęciem nie otworzył jej macicy? A tamta zima, kiedy śnieg nie chciał topnieć, a on wezwał deszcz? Mogłabym ci jeszcze ze dwadzieścia podobnych historii opowiedzieć. Naprawdę nie wiedziałaś?

Liath była zaskoczona. Ona pamiętała tylko motyle, trzepoczące jaskrawymi skrzydłami i znikające w popołudniowym skwarze jak duchy, jak jego magia, która rozwiła się i zniknęła po śmierci jej matki.

– Ale... ale czy on się na coś przydał? Wiesz, burza mogła przyjść sama z siebie. Pogoda się zmienia nawet bez pomocy tempestarów.

Hanna wzruszyła ramionami.

– Kto wie, czy to magia, modlitwa czy uśmiech losu? A co z wilkiem, tym, który wszystkich zwodził, dopóki twój tato nie złapał go w klatkę uplecioną z sitowia? To musiała być magia, bo każdy wilk uszedłby z tak kruchej pułapki.

Liath pamiętała wilka. Tato był przerażony, słysząc, że wilczysko panoszyło się po wzgórzach, ale nie zabijało owiec. Złapał go, ale pozwolił innym go zabić i płakał kilka dni. Ona po tym wilku rozpaczała trzy tygodnie i przekonywała go, by jednak zostali w Spokoju Serca.

Hanna wciąż mówiła.

– Może nie był prawdziwym magiem, jak te diabły, co zbudowały Imperium Dariyańskie, postawiły mur na południu, który rozciąga się od morza do morza. Teraz już się rozpadł, a magów, którzy mogliby go postawić, nie ma.

– Nie sędzę, aby tato był takim czarownikiem – rzekła Liath bardziej do siebie niż do Hanny. – Może udawał, że nim był, próbował nim być i raz czy dwa mu się udało. Ale to moja matka była prawdziwą magiczką. Pamiętam to. Za to ją zamordowano. Miałam tylko osiem lat, ale pamiętam, że posiadała moc i praktykowała... – urwała, rozejrzała się po sali, choć nic się nie zmieniło. Zniżyła głos do szeptu – ...starą dariyańską magię.

Hanna przyjęła tę rewelację w milczeniu.

– Księga...

– Nie ma jej – odparła Hanna. – Hugo ją zabrał. Nie mogłam go...

– Oczywiście, że nie mogłaś go powstrzymać – Liath była zbyt otepiąta, by płakać. – To czarnoksiężka księga. Tato zapisywał w niej wiedzę zbieraną latami... – ...swą własną ręką. – Bogini, nienawidziła siebie. Zdradziła ojca, oddając książkę. – Nie musisz z nami jechać. Powinnam była ci wcześniej powiedzieć o tacie i księdze, jeszcze przed wyjazdem Ivara. Gdybyś знаła prawdę, mogłabyś nie zechcieć ze mną zostać. Mogłaś wyruszyć z Iwarem...

– Jakby to miało jakieś znaczenie! Jeśli frater Hugo naprawdę ma zostać opatem, to wie co robi, zabierając ze sobą konkubinę.

Ten temat był łatwiejszy.

– Mówi, że niektórzy ludzie Kościoła studiują magię. Tato twierdził, że dama Sabella osłania heretyków i magów, aby pomogli jej walczyć przeciw królowi Henrykowi.

– Cóż – rzekła Hanna po namyśle – wolę spłonąć na stosie, niż wyjść za młodego Johana. Wielka Bogini! Ty potrzebujesz kogoś, kto cię ochroni przed Hugonem. Ciągłe jesteś błąda, ale wrócił ci apetyt. Mama zawsze powtarza, że dopóki jesteś głodna, znaczy to, że nie masz zamiaru umierać.

Liath zachichotała.

Główne drzwi do karczmy otwały się. Hanna wstała, wysuwając podbródek. Dlaczego przychodził za każdym razem, kiedy zaczynała czuć się wolna od tego ciężaru spoczywającego na jej barkach? Czy to była magia – znaleźć, wiedzieć, upolować i pożreć? Chciała wejść pod stół, ale zmusiła się do siedzenia bez ruchu. Czuła go, jego ciepło, fizyczną obecność, kiedy stanął za nią. Dotknął jej ramienia. Uchyliła się.

Złapał ją za ramię i podniósł, a ona wstała. Pod drugim łokciem trzymał, jak tato – który nigdy nie zostawiał jej bez nadzoru – *Księgę tajemnic*.

– Wyglądasz dość dobrze – rzekł opryskliwie. – Wyjeżdżamy. – Popatrzył na Hannę bez zainteresowania. – Mała, spakuj to, co chcesz ze sobą zabrać, i powiedz pani Bircie, że zmieniłem plany. Wyjeżdżamy od razu. Mój wóz jest gotów i czeka przy kościele. Idź.

Hanna gapiała się na niego, a potem wypadła przez tylne drzwi.

– Wyjeżdżamy – powtórzył.

Nie rozumiała tej nagłości. Ale sprzeciw nie miał sensu. Już i tak wszystko straciła. Poprowadził ją do drzwi i na zewnątrz. Hanna wybiegła zza węgła.

– Spakuję tylko rzeczy – zawołała bez tchu. – Dogonię was. Nie odjeżdżajcie beze mnie!

Hugo odpędził ją niecierpliwie, nie przystając. Liath straciła dech i nie mogła go nawet błagać, by nie zostawiał Hanny.

Próbowała za nim nadążyć, ale nie uszli nawet ćwierci drogi do kościoła, kiedy stanęła.

– Muszę odpocząć.

– Jesteś szara – powiedział bez śladu współczucia. – Poniosę cię.

– Potrzebuję chwili odpoczynku. – Na demony! Nie chciała, żeby ją niósł jak bezwstydną dziwkę!

– Nie mamy czasu. – Wcisnął jej książkę w dłonie i chwycił na ręce. Nawet niosąc ją, nie zwolnił. Pchało go jakieś pragnienie. Przycisnęła księgę do piersi; bała się, że ją upuści, tak kręciło jej się w głowie.

Wóz rzeczywiście czekał przed kościołem, załadowany i przykryty wełnianym dywanem. Przy drzwiach stało trzech mężczyzn, których Liath rozpoznała jako żołnierzy hrabiego Harla, uzbrojonych i przygotowanych na długą podróż. Dorit, załamując ręce, stała przy zaprzęgu; Lars trzymał konie przy pysku.

Bez ceregieli Hugo rzucił Liath na wóz, na materac. Czwarty żołnierz wynurzył się ze stajni, prowadząc osiodłanego gniadosza i jabłkowitzką klaczkę. Hugo dosiadł konia.

– Gdzie ta dziewczyna? – spytał. – Nie możemy czekać. Dorit, jeśli nie spotkamy jej w gospodzie, powiesz jej, żeby ruszyła za nami drogą na południe. Jeśli się pospieszy, dogoni nas przed zmierzchem.

– Nie możesz jej zostawić! – krzyknęła Liath, wyrwana z otępienia. – Przyrzekłeś!

– Nie możemy czekać.

– Jest! – wrzasnęła Dorit. Hanna biegła drogą, niosąc na plecach skórzany worek.

Hugo pogonił gniadosza. Żołnierz wskoczył na wóz, a Lars ledwo umknął koniom spod kopyt. Wóz podskoczył i zaczął się toczyć. Trzej żołnierze zostali z tyłu. Patrzyli na Liath i jej książkę spod oka, ale nic nie mówili. Dotarli do Hanny.

– Będziesz szła – rzucił Hugo, a po namyśle dodał – ale możesz wrzucić worek na wóz.

Hanna zrobiła, co kazał, i ruszyła truchtem.

– Co się stało? – zapytała cicho. – Wygląda na wściekłego.

– Nie wiem, Hanno, ale dał mi książkę.

Hanna nie powiedziała ani słowa i Liath pojęła gorzką prawdę. Hugo dał jej księgę, bo

wiedział, że mógł ją odebrać, kiedy tylko zechciał. Kościół mała za nimi. Dorit i Lars stali przy bramie, patrząc na orszak wjeżdżający do wioski, na drogę prowadzącą na południe. Jechali w milczeniu, gdy widząc gospodę, Hugo nagle zaklął.

Liath podniosła się i rozejrzała.

Czterech jeźdźców – niezwykle tutaj widok – czekało przed karczmą. Rozpoznała szeryfa Liudolfa. Pozostała trójka nosiła płaszcze obszyte szkarłatem oraz brązowe brosze z orłem, które świadczyły o tym, że jeźdźcy byli w służbie króla: Królewskie Orły. Dwoje: mężczyzna i kobieta – było młodych: najstarszy był potarganym, opalonym mężczyzną o dziwnie znajomej twarzy, ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie go już widziała.

– To podróżny, który był tu zeszłej jesieni – szepnęła Hanna. – Pytał o ciebie, Liath.

– Nie zatrzymywać się – rozkazał ostro Hugo.

– Fratrze Hugonie – szeryf podniósł dłoń. – Jedno słowo, jeśli pozwolicie.

Liath widział, że Hugo chciał zignorować to wezwanie. Że chciał jechać. Ale osadził gniadosza. Powożący żołnierz ściągnął lejce. Pani Birta wyszła z karczmy i stanęła przy drzwiach, uważna i cicha.

– Jak widzicie, szeryfie – powiedział Hugo – właśnie wyjeżdżamy. Przed nami długa droga na południe, dziesięć – albo i dwudziestodniowa, w zależności od deszczów, a dni o tej porze roku są krótkie.

– Nie zatrzymam was długo, fratrze. Ci jeźdźcy z Królewskich Orłów przyjechali wczoraj, szukając zdrowych młodych ludzi, którzy mogliby się nadać do służby jako posłańcy. – A potem szeryf urwał i popatrzył pytająco, niemal ulegle, na starszego Orła.

– Jestem Wilkun – powiedział ów człowiek. Miał głęboko osadzone oczy, ocienione srebrnymi brwiami. Jego włosy były też srebrne, gdzieniegdzie tylko przetykane brązowymi nitkami. – Musicie zrozumieć, że wraz z natężeniem wypadów Eików i plotkami o varyjskich kłopotach, których przysparza dama Sabella, potrzebujemy młodych ludzi zdolnych do wożenia wiadomości.

Hugo ściągnął gniadoszowi wodze.

– Nie wątpię. Jak sądzę, hrabia Harl ma dwoje młodych synów, i może uda wam się go przekonać, aby się z nimi rozstał.

– Nie potrzeba nam dzieci szlachty – odparł gładko Wilkun. – I wy, fratrze, dobrze o tym wiecie, jako żeście byli edukowani w królewskiej scholi. Zawsze słyszałem, żeście byli jednym z najlepszych studentów.

– Nauczyłem się wszystkiego, czego mogłem. Wy, oczywiście, nie mieliście możliwości tak się wykształcić. Nie przypominam sobie imion waszych rodziców ani waszego rodu.

Wilkun uśmiechnął się lekko.

– Żaden z Orłów nie ukończył królewskiej scholi. Ale nie szukamy też dzieci rolników, które są niezdolne do podjęcia takiej odpowiedzialności. Jak rozumiem, niedawno przyjęliście młodą kobietę, która może nas zainteresować. – Powiedział to, nawet nie patrząc na Liath,

choć na pewno wiedział, że ona właśnie była rzeczoną młodą kobietą.

– Spłaciłem długi jej ojca. Nie mam zamiaru jej sprzedawać. – Głos Hugona był zimny i matowy.

– Ależ mój drogi Fratrze – powiedział Wilkun, obnażając zęby w uśmiechu istic wilczym – ja noszę królewską pieczęć. Szeryf Liudolf powiedział, żeście zapłacili za dziewczynę dwie nomie. Mam złoto. Chcę dziewczynę. Możecie, oczywiście, zaskarżyć mnie, ale musicie wnieść skargę do króla Henryka. A dopóki król nie wyda wyroku, ja mam prawo zażądać, aby ona znalazła się w służbie królewskiej.

Było tak cicho, że Liath słyszała szelest liści i starego perszerona, który przestępował z nogi na nogę w stajniach. Słońce malowało drogę na żółto. Koń szeryfa położył ucho. Z ogrodu dobiegał głos Karla, śpiewającego fałszywie przy pracy.

Hugo był sztywny z wściekłości. Starszy mężczyzna nadal na nią nie patrzył, w przeciwieństwie do młodszych Orłów. Dosiadając koni, wydawali się bardzo wysocy, szczególnie kobieta. Miała szeroką twarz, wydatny nos – jastrzębi, jak tu mówili – i jasne otwarte spojrzenie. Obserwowała Liath z zainteresowaniem zmieszonym ze sceptycyzmem. Jej towarzysz był zaciekawiony. Ich płaszcze, spoczywające na grzbietach koni, odsłaniały futrzane podszycie. Kiedy się poruszyli, by spojrzeć na starszego mężczyznę, odznaki zabłyśły w słońcu.

W końcu odezwał się Hugo.

– Jak sądzę, niezbędna jest zgoda tej osoby.

Wilkun, nieporuszony, skłonił głowę.

– To prawda.

Hugo zsiadł i rzucił wodze czekającemu żołnierzowi. Podszedł do wozu. Liath chciała zniknąć, ale nie miała dokąd uciekać. Hanna zawahała się, po czym cofnęła, by zrobić mu miejsce. Uwolnił jedną z dłoni Liath od książki i zacisnął na niej boleśnie palce.

– Popatrz na mnie. – Posłusznie spozrzała. Podniósł jej podbródek drugą dłonią, aby patrzyła mu prosto w oczy. Dlaczego nie pamiętała, że jego oczy są tak niezwykle niebieskie, jakby zlało się w nich wiele odcieni błękitu?

– Co powiesz, Liath? – zapytał cicho, napierając na nią swą żelazną wolą, z całej siły, jak robił to przez te wszystkie lodowate zimowe miesiące. Takie były jego oczy: jasny błękit lodu, zwielokrotniony chłodnym blaskiem słońca, oślepiającym, ale jałowym jak wiatry hulające nad zamrożonymi polami.

Spróbowała odwrócić wzrok, ale nie potrafiła. Nigdy się jej nie wyrzeknie. Nigdy. Po co próbować? Odnalazła miasto wznoszące się w jej pamięci. Tam, w skarbcu, zamknęła serce i duszę.

Nie. Płonął ogień, na siedmiu murach otaczających miasto powiewały proporce. Nie. Straciła głos. Odebrał jej głos.

A potem, jak odległy wystrzał, usłyszała dzwonięcie upręży, kiedy koń jednego z Orłów

poruszył się. Czekali. Czekali na nią.

– Nie – rzekła, niemal skrzecząc.

– Widzicie – powiedział Hugo, nie puszczając jej, nie odwracając wzroku – że nie zgadza się z wami pojechać.

Cisza.

Liath ogarnęła panika. Odwróciła się i odjadą, na zawsze zostawiając ją we władzy Hugona.

– Nie – powiedziała głośniej. I znów: – Nie! – Spróbowała wyrwać głowę z jego uchwytu, ale nie mogła. – Nie. Nie chcę z tobą zostać. Daj mi spokój! – Ale jej głos był taki słaby.

– Co powiedziała? – zapytał Wilkun. Koń poruszył się, zastukały kopyta, ale Liath nie wiedziała, zbliżały się czy oddalały. Boże, proszę, niech zostaną!

– Mówi, że nie chce z wami zostać i macie dać jej spokój – odparł Hugo powoli i triumfalnie.

– Nieprawda – wtrąciła się nagle Hanna, doskonale słyszalnym głosem. – Ona nie chce zostać z nim. On przekreśla jej słowa.

– Fratrze – powiedział Wilkun głosem łudząco łagodnym – sugeruję, abyście pozwolili dziewczynie mówić za siebie.

Hugo nie posłuchał natychmiast, ale powoli rozluźnił uścisk, a potem, blady z wściekłości, odsunął się od wozu.

Bez ostrzeżenia Hanna wyrwała książkę z uścisku Liath.

– Wynoś się! – warknął Hugo, wyciągając ręce.

Hanna skoczyła w tył i stanęła bezpiecznie między dwoma Orłami.

– Ona była chora! – zawołała do Wilkuna. – Nie wyzdrowiała na tyle, żeby podróżować. Muszę pomóc jej zejść z wozu. – Jednak zawahała się, nie wiedząc, co zrobić z książką.

Ale w Liath rozpalila się nadzieja, tłumiąc rozpacz. Ukłękła, podpierając się o bok wozu. Złapała krawędź i zeskoczyła, zadrzała, niemal upadła. Ale stała na nogach, uparta jak osioł. Nie patrzyła na Hugona. Było to zbyt niebezpieczne. Wzięła głęboki oddech. Spróbowała stłumić ogień. Było jej gorąco, ale powoli to uczucie mijało. W końcu spojrzała na Hannę, by nabrać sił.

Hanna oddała spojrzenie, jasnooka, niewinna, i uśmiechnęła się, dodając odwagi. W ramionach, jak dziecko, trzymała księgę. Liath nabrała powietrza i podniosła wzrok, patrząc prosto na Wilkuna. Mężczyzna pognął konia wprzód i dostrzegła, że jego oczy były dziwnie, przesywająco szare.

– Chcę z wami jechać. – Z każdym słowem jej głos był coraz silniejszy. – Chcę być Orłem. – Schyliła głowę, czekając na cios Hugona.

Ale kobieta o jastrzębiej twarzy zsiadła i stanęła między Liath a Hugonem. Była niemal tak wysoka jak frater, na biodrze nosiła miecz, a za pasem nóż.

– Niech tak będzie – powiedział Wilkun. Wyjął dwie monety z sakiewki. Były żółte jak słońce i tak jak ono wyczekiwane. Wręczył je szeryfowi. – Biorę was na świadka tej transakcji, szeryfie Liudolfie, i płacę fratrowi Hugonowi złotem za tę młodą kobietę.

– Jestem świadkiem – powiedział Liudolf – i biorę te nomie, by oddać je fratrowi Hugonowi jako zapłatę za tę młodą kobietę. Liath, córkę Bernarda.

– Nie wezmę ich – rzekł Hugo. – Protestuję przeciw tej kradzieży. Zaprzeczam, że jakakolwiek zapłata miała miejsce. I mówię wam. Wilkunie, że wniosę tę sprawę przed królewski sąd.

– Jak sobie życzyacie – odparł Wilkun. – Ale dziewczyna i tak pojedzie ze mną. Twoi ludzie, jak sądzę, nie mają ochoty na potyczkę, a gdyby któreś z nas zostało ranne, ty odpowiadałbyś przed królem za zbrodnię. Wszystkie przywileje, jakie ci nadano, na przykład opactwo, zostałyby natychmiast cofnięte.

– To jeszcze nie koniec! – wrzasnął Hugo. Zniżył głos. – Nie uwolniłaś się ode mnie, Liath.

Nie odważyła się na niego spojrzeć. Wpatrywała się w odznakę, która spinała płaszcz kobiety na prawym ramieniu: orzeł wznoszący się na wietrze, trzymający strzałę w dziobie i zwój w szponach.

Jeśli nie spojrzała na Hugona to, wolna od niego czy nie, była przez chwilę bezpieczna. Jeśli mogła być bezpieczna.

– Szeryfie – znów Wilkun. – Żądam, byście zatrzymali to złoto jako świadek i poświadczyli, że frater Hugo odmówił przyjęcia zapłaty.

– Potwierdzam – powiedział Liudolf.

– Potwierdzam – dodał młody Orzeł.

Przez długą chwilę nikt się nie ruszał, nie potrafiąc rozwiązać patowej sytuacji. Ciszę przerywał tylko świergot ptaków i odległe pokrzykiwanie rolnika orzącego pole. Z kuchni doleciał zapach gotowanej fasoli. Liath wydawało się, że nawet wóz czekał.

– To jeszcze nie koniec – rzekł w końcu Hugo. Poruszył się i drgnęła, ale odchodził, wsiadał na konia, dawał znak.

Puściła wóz wystarczająco szybko, by nie poranił jej dłoni i zdążyła jeszcze złapać worek Hanny. Hugo udawał, że tego nie widział. Bez słowa, nie zwracając uwagi na to, co zostawił, pojechał na południe, a za nim wóz i maleńki orszak.

Liath upuściła worek i upadła na ziemię.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytała ciekawie jastrzębionosa.

Z Hugonem odjechały cztery ojcowskie książki, ale ich teksty zachowały się w mieście pamięci, razem z tym, czego tato ją uczył. A Hanna ocalała najważniejszą.

– Nie – szepnęła Liath. – Nie. Po prostu muszę przez chwilę odpocząć. – Napotkała spokojny, taksujący wzrok kobiety, a potem popatrzyła na Wilkuna. Przyglądał jej się w milczeniu.

„Dlaczego?” Ale nie mogła zapytać.

– Zanim odjedziecie, szeryfie – powiedział Wilkun – napiszę akt uwolnienia. Nie przyjmujemy niewolnych do Orłów. Potrzeba mi jeszcze jednego świadka.

– Ja zaświadczę, panie – odezwała się nagle Birta. – Jestem wolna i urodziłam się z wolnych.

– A – rzekł Wilkun – pani Birta, jeśli mnie pamięć nie myli.

Birta zaczerwieniła się ze zdziwienia i radości.

– Tak, panie.

– A to, jak mniemam – dodał, przenosząc spojrzenie na Hannę – jest wasza córka, Hanna?

– Tak.

– Czy chcielibyście, żeby ona również została przyjęta na służbę królewską?

Birta zaczerwieniła się tak mocno i wyglądała na tak wzruszoną, że Liath zapomniała na moment o własnych lękach i zaczęła się zastanawiać, jakie były najskrytsze marzenia karczmarki.

– Panie, musicie wiedzieć, że gdyby moja córka została Orłem, przyniosłaby największy zaszczyt memu domowi.

Wilkun nie uśmiechnął się. Skinął głową, jakby przyświadczać jej słowom.

– Nie zatrzymujemy szeryfa Liudolfa ponad potrzebę. Napiszemy i przypieczątujemy akt uwolnienia. Mam sprawy do załatwienia we Freelas. A ponieważ widziałem, że dziewczyna jest wyczerpana i nie nadaje się do podróży, pojedę na północ sam, zostawiając ją tu na dziesięć dni. Jeśli nie macie nic przeciwko, pani Birta. Zostaną tu też Manfred i Hathui, na wypadek, gdyby fratrowi przyszły do głowy jakieś głupoty. Zgadzacie się?

Birta przytaknęła. Po raz pierwszy w życiu Liath widziała, że zabrakło jej słów.

Wilkun zsiadł z konia. Manfred złapał wodze wierzchowców dowódcy i Hathui i poprowadził zwierzęta do stajni.

– Hanno – Birta, jak każda dobra karczmarka, szybko się pozbierała – pomóż mu przy koniach. – Hanna obróciła się na pięcie i pobiegła za młodzieńcem.

Liath spróbowała wstać, ale nie mogła. Hathui natychmiast ją objęła.

– Zaprowadzę ją do karczmy – powiedziała.

– Na górę – rozkazała Birta. – Do łóżka, i niech coś zje. Musi odpocząć.

– Tak, pani – skłonił się Wilkun. – Widzę, że zajmiecie się nią, jak tylko umiecie najlepiej. Szeryfie, czy możemy dokończyć sprawę?

Liath nie usłyszała odpowiedzi, wchodząc do karczmy. Ledwo pokonała schody, nawet przy pomocy Hathui, i kiedy dotarła do łóżka, złożyła na nim głowę, zamknęła oczy i poczuła, że spełnienie marzeń zupełnie ją wyczerpało.

Była wolna od Hugona. Wciąż miał księgę. Była Orłem. Potrzebowała tylko siły. Niemal w to nie wierzyła. Zasnęła.

3.

Później Birta przyniosła jej miskę fasolówki i dobry ciemny chleb. Głód ją obudził i pochłonęła jedzenie w mgnieniu oka. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była wyголоzona. Birta wyszła, kiedy do pokoju wszedł Wilkun. Usiadł na brzegu łóżka i wyciągnął przed siebie prosty pierścionek z brązu, ozdobiony pieczęcią królewskich Orłów. Pachniał deszczem i mokrą wełną. Wzięła delikatnie pierścionek i kiedy go trzymała, niepewna, co z nim zrobić, usłyszała krople deszczu spadające na dach. Szare światło wpadało przez okiennice. Przespała prawie cały dzień.

– Ten pierścień to pieczęć naszego przymierza – wyjaśnił Wilkun. – Oddajesz Orłom swe imię i ród, płacąc tak za służbę wśród nich.

Bała się na niego spojrzeć.

– Mam na imię Liath – rzekła fałszywym tonem. – Mój ojciec miał na imię Bernard.

Wilkun westchnął ciężko, nie wiedziała: smutny czy rozczarowany.

– Liath, albo mi zaufasz, albo to, że cię uwolniłem i przyjąłem do Orłów, nie będzie miało sensu. Znałem twoją matkę. Od ośmiu lat szukałem ciebie i twojego ojca.

Patrzyła na pierścień jak zając zaskoczony przez wilka. Deszcz osłabł.

– Gdybym znalazł was wcześniej – dodał gorzko – być może twój ojciec nadal by żył. – Podniósł dłoń, a ona się uchyliła. – O Pani! – warknął. – Posłuchaj mnie, młoda damo. Słuchaj i zrozum. Nie będę cię zmuszał, byś wstąpiła do Orłów. Jesteś wolna i możesz zrobić, co tylko chcesz.

– A gdzie mam pójść? – zapytała ostro. – Z powrotem do Hugona? Nigdy do niego nie wrócę.

– Nie będę cię zmuszał – powtórzył. – Ale też nie przyjmę cię do Orłów, jeżeli nie powierzysz mi twego pełnego imienia i rodu. Jak będzie? – Zabrał jej pierścień i zważył go na dłoni. – Aby jeździć z Orłami, musisz całkowicie zaufać swym towarzyszom. Inaczej nic z tego nie będzie. Jeśli nie zaufasz mi w tak drobnej sprawie, będziesz zbyt niebezpiecznym, zbyt słabym ogniwem, abyśmy my zaufali tobie.

– Imiona to nie drobiazg.

– Prawda – skłonił głowę, przyznając jej rację. – Dlatego o nie pytamy.

– Dlaczego mnie uwolniłeś?

– Bo znałem Anne. – Podskoczyła. Usłyszeć imię matki z ust innego mężczyzny niż ojciec było niemal przerażające. Wilkun uśmiechnął się krzywo. – Ciebie też znałem, kiedy byłaś ledwie dzieciaczką.

– Nie pamiętam cię!

– Nie szkodzi – odparł, nie tracąc spokoju. – Anne prosiła mnie, abym cię strzegł, gdyby coś jej się przytrafiło.

Chciała mu zaufać, ale po przejściach z Hugonem nie odważyła się ufać nikomu. Kiedy się jej przyglądał, bardziej cierpliwy niż rozbawiony, ona przyglądała się jemu. Był już

posunięty w latach, ale żywotny i pełen charyzmy, promieniującej ze wszystkich, którzy poznali trudy życia. Na szyi miał starą bliznę, o włos mijającą główną tętnicę. Siedział ze spokojem człowieka, który przyzwyczajony był i do zasiadania na radach królewskich, i do plotkowania w oberżach. Byłoby tak łatwo poddać się jego żądaniu, ale nie o to prosił. To, o co prosił, było bez porównania trudniejsze.

Ale, być może, powinna otworzyć pierwszą, najniższą bramę miasta pamięci? Może powinna nauczyć się mu ufać, ufać innym Orłom, towarzyszom. Jej dłonie drżały, gdy brała od niego pierścień.

– Moje prawdziwe imię brzmi Liathano – powiedziała niewiele głośniej od szeptu. – Jestem córką Anne i Bernarda. Nic więcej nie wiem o mym rodzie.

Zrobiła to. Drżała tak bardzo, że ledwo włożyła pierścień, pieczęć przymierza, na palec. Wstał natychmiast i choć nie był zbyt wysoki, górował nad nią.

– Witaj, Liath – rzekł poważnie – wśród Orłów. Twoja służba będzie ciężka, ale nie sądzę, abyś kiedykolwiek żałowała dokonanego wyboru. Kiedy wrócę z Freelas, pojedziemy na południe.

I wyszedł. „Pojedziemy na południe”. Tego ranka te same słowa napełniły ją rozpaczą; teraz otwierały przed nią świat pełen nowych możliwości.

Położyła się, ale mimo wyczerpania nie mogła zasnąć. Siano łaskotało ją w różne części ciała, kiedy przewracała się po łóżku. Deszcz znów się rozpadał, a wilgoć przynosiła z lasu zapach pleśni. Kichnęła.

Drzwi skrzypnęły, weszła Hanna. Ona też nosiła pierścień, symbol nowej pozycji.

– Myślałam, że będziesz chciała wiedzieć – szepnęła, siadając na łóżku obok Liath – że znów ją ukryłam. Jesteś wolna, Liath.

„Wolna”.

Liath była zbyt zmęczona, aby odpowiedzieć, więc po prostu oparła głowę o ramię Hanny.

Gdzie był teraz Hugo? Z każdym krokiem oddalał się coraz bardziej, dzięki Bogini. Ale czy Wilkun był lepszy, czy również chciał ją zamknąć w klatce, którą zbudował? Jak poznał jej matkę? Czy wiedział, że była czarownicą? Jak szukał i jak odnalazł Liath po tak długich, prowadzonych przez lata poszukiwaniach? Dlaczego tato nigdy nie mówił o tym człowieku, dlaczego ona go nie pamiętała, dlaczego nie było go pośród tych zamglonych wspomnień pięknego domu i kolorowego ogrodu?

Ale tato zawsze powtarzał: „Skoro już wyszłaś z domu w deszczowy dzień, nie żałuj, że mokniesz”.

Deszcz i ciepło Hanny ukołysały ją do snu.

Rozdział siódmy

Odjazd

1.

Alain nigdy nie odnalazł ciała Półgłówka, chociaż przez kilka dni, kiedy tylko miał okazję, chodził do ruin i szukał śladów świeżo poruszonej ziemi.

Ale nie spodziewał się niczego znaleźć. Rankiem po tej strasznej nocy specjalnie zakradł się w pobliże inwentarza damy Sabelli, trzymanego za palisadą, i ukrył się tak, aby obserwować klatkę i jej tajemniczego mieszkańca. Dzięki swemu nowemu czułemu słuchowi, do którego jeszcze nie przywykł, podsłuchał jak służący rozmawiali między sobą.

– Niewiele mięsa zostało na trupie, ale na razie bestia ma dość, dzięki Pani.

Przestał szukać, kiedy dwór damy Sabelli spakował się i odjechał, kierując na południowy zachód, ku ziemiom diuka Varingii. Tego wieczora Lavastine zwołał swoich ludzi w sali jadalnej. Kasztelanka Dhouda i klerycy stali za nim, ale według Alaina wyglądali na równie zdziwionych jak reszta.

Lavastine był blady i bez życia. Bardzo długo stał bez ruchu, gapiąc się w jeden punkt, jakby widział coś, czego inni nie mogli dostrzec. Było to tak niepodobne do tego mężczyzny, niecierpliwego i podejmującego szybkie decyzje, że Alain poczuł ciężar w żołądku – przerażenie. Psy skomlały, kręcąc się u stóp pana. Furia i Smutek jak zwykle siedziały, dysząc, przy Alainie; od nocy, kiedy złożono ofiarę, były dziwnie posłuszne.

To też zauważono. Większość ludzi w Lavas traktowała Alaina z obojętnością podszytą obrzydzeniem, jak trędowatego, na którego lepiej nie pluć, bo może okazać się świętym.

– Wyjeżdżamy – powiedział nagle Lavastine. – Uzbroimy się, weźmiemy zapasy i wyruszymy na świętą Izydorę. Ucztę na świętego Sormasa spożyjemy w jadalni pani Aldegundy, żony mego kuzyna Godtryda. Będą musieli wybierać: albo przyłączą się do rebelii Sabelli, albo stracą swe ziemie.

Wszyscy zaczęli mówić naraz.

– Ale to ledwie dwadzieścia dni! – zawołała kucharka wściekle. – Uzbroić wojsko i dopatrzeć wiosennego siewu? Ani jedno, ani drugie dobrze nie wyjdzie!

Inni przytaknęli, ale Lavastine nie spuszczał z nich oczu i w końcu ludzie ucichli, czekając na jego słowa.

– A potem – ciągnął hrabia tym samym monotonnym tonem, jakby nie słyszał sprzeciwu – dołączymy do damy Sabelli i jej armii. Wyruszymy przeciw Henrykowi, uzurpatorowi tronu Wendaru i Varre. – Podniósł rękę. – Tak nakazuję. Niech się nikt nie sprzeciwia.

Na początku Alain był oszołomiony. Oczywiście, jak zwykle kucharka miała rację; wymarsz, zanim zakończono wiosenne siewy, był błędem. Po chwili jednak, jak szczeniak szarpiący za but, zaczął go dręczyć okropny bezsilny gniew. Wsunął dłoń w wycięcie tuniki i przebiegł palcami po rzemyku, aż dotknął róży. Jej płatki pieściły skórę, a czy one były cieplejsze, czy jego ciało, nie umiał powiedzieć.

Lavastine prowadził swych ludzi na wojnę.

Ale to nie był dobry pomysł.

Najszybciej jak mógł, Alain opuścił jadalnię. Poszedł do kaplicy, nakazał Furii i Smutkowi warować i czekał przy siedmiu świecach rozjaśniających ołtarz. Tak jak się spodziewał, wkrótce nadszedł Agius, by się modlić. Ukląkł niezdarnie, bo ślady po zębach Smutka nadal dawały mu się we znaki.

– Fratrze – powiedział Alain cicho. – Sądzicie, że to czary.

Agius machnął niecierpliwie. Klęczał na gołych kamieniach, ale nie złożył czoła na dłoniach, jak to miał w zwyczaju. Pierwszy raz zaprzętały go ziemskie sprawy.

– Być może hrabia wybrał rozsądniejszą opcję. Nie potrafię osądzić.

– Ale co myślicie? – zapytał Alain. – Kiedy dama Sabella tu była, nie okazywał jej przychylności. Zbywał wszystkie jej pytania. Nie decydował. A poza tym nie możemy zorać połowy pól i zostawić oziminy i całej roboty... – urwał. Chciał powiedzieć „Półgłówkowi i jemu podobnym”. Zakrztusił się tymi słowami.

Zdziwiony gniewem Alaina, Agius popatrzył na niego. W świetle świec frater wydawał się młodszy niż zazwyczaj. Płomień złagodził ostre rysy twarzy, a zmarszczki zlały się w jedno z cieniem, wygładzając profil. Alain zrozumiał, że te zmarszczki były wynikiem ciągłej wewnętrznej walki. Agius nie był chyba wiele starszy od najstarszej córki ciotki Bel, Stancy, która na Peniter skończyła dwadzieścia pięć lat.

– Zabiła Półgłówka – wykrztusił w końcu chłopak. – Zabiła go, święta biskupina! – Ta zdrada była chyba najgorsza. Pomyśleć tylko, co brat Gilles, dobra łagodna dusza, powiedziałby, widząc takie okrucieństwo! – A teraz Lavastine mówi, że mamy iść na wojnę, kiedy trzeba pracować w polu, i wspomina nawet o walce przeciw swemu ukochanemu kuzynowi! To nienormalne!

Agius westchnął.

– Alainie, uklęknij przy mnie. Wiele się jeszcze musisz nauczyć o świecie. Może kiedyś

będziesz mógł odwrócić się plecami do intryg, jak ja bym chciał. To, co zrobiła biskupina... – Skrzywił się, przenosząc ciężar ciała na pogryzioną nogę. Alain z ociąganiem uklęknął obok. – Bądź pewien, że jeśli będę mógł, zgłoszę to. Ale mogą mi nie uwierzyć. Ona jest biskupiną, mianowaną przez samą skoposę. I chociaż moje słowa bardzo się liczą, to jednak tylko my dwaj widzieliśmy, co się zdarzyło. Gdyby Lavastine uznał cię, Alainie, za swego syna z nieprawego łoża, twoje słowa znaczyłyby więcej.

Ale teraz, przypominając sobie bladą twarz, i monotony głos, którym Lavastine oznajmił przyłączenie się do Sabelli, Alain nie wiedział, czy chciałby zostać uznany za krewnego tego człowieka. Szczególnie, jeśli wiązało się to z większym zainteresowaniem.

– Mimo wszystko, Alainie, jest wiele powodów, dla których szlachetnie urodzeni zmieniają swe upodobania. Tylko kilka z nich to słuszne powody. Tak się zabawiają wielcy książęta, zamiast, jak powinni, zwracać serca i myśli ku ołtarzom naszej Pani. Zatracają się w tym świecie i jego przyjemnościach. Nie wiemy, czy to czary są powodem decyzji księcia.

– Ja to wiem! – wybuchł Alain. – Wiem!

Agius podniósł brew. Był sceptyczny.

– A niby skąd wiesz? Jesteś biegły w czarach? Poznałeś zakazaną wiedzę?

Alain oparł się pokusie, by wydobyć różę, pokazać jej pąk, pozwolić Agiusowi poczuć jej zapach. Nie była to na pewno pora kwitnienia róż, ale hrabia posiadał mały ogródek, oświetlany słońcem i często ogrzewany koksownikami; róże zakwitły w nim wcześniej i więdyły późno. A jeśli Agius nie uwierzy w jego opowieść o Pani Bitew i oskarży o kradzież kwiatu?

Albo, co gorsza, uwierzy? I zdecyduje, że to on, Agius, powinien pokierować losem Alaina?

– Nie – mruknął chłopak w końcu, zwieszając głowę. – Nic nie wiem o czarach oprócz bajek dla dzieci i historii opowiadanych przez naszą diakonisę.

Agius machnął ręką, zmieniając temat rozmowy.

– Musisz poczekać i przekonać się, Alainie. Ale te sprawy i tak mnie nie dotyczą. Zostanę w Lavas, aby nauczać.

– Nie jedziecie z nami? – Od razu przypomniał sobie ugryzienie Smutka; gdyby lepiej pilnował psów, Agius nie zostałby ranny.

Ale frater nie wspominał o obrażeniu.

– Jestem fratrem, zaprzysiągłem służyć naszej Pani. I chociaż na jakiś czas osiadłem w tej fortecy, nie służę hrabiemu tak jak ty. Ty musisz.

Smutek, siedzący cierpliwie u drzwi, zaskomlał. Alain przypomniał sobie o obowiązkach: mistrz Rodlin na niego czekał. Wstał.

– Ale, bracie, jeśli hrabia nakaże ci podróżować ze swoim orszakiem?

Agius uśmiechnął się lekko.

– Lavastine nie może mi rozkazywać, Alainie. Nawet nie spróbuje.

Rzeczywiście, ku zaskoczeniu Alaina, nie spróbował. Wymaszerowali na świętą Izydore, krótko po wschodzie słońca, dwudziestu jeźdźców, osiemdziesięciu pieszych i dwadzieścia wozów z zaopatrzeniem. Frater Agius został w Lavas. Podobnie kasztelanka Dhouda, która miała pilnować zamku.

Alain nie mógł się zdecydować, czy się boi, czy też jest niezmiernie podniecony. Zostawiał za sobą wszystko, co znał. I chociaż nie widział Osny od roku, nie wydawała mu się odległą; leżała raptem o cztery dni marszu i należała do znajomych ziem. Teraz te znajome ziemie zostały za nim, na zachodzie. Przekroczyli Vennu i skierowali na wschód poprzez nieznane pola i wzgorza.

Cały pierwszy dzień wahał się między tymi dwoma uczuciami, przerażeniem i podnieceniem. Ale trzeciego dnia nieustająca mżawka i wolne tempo nadszarpane jego morale, i tak osłabione kaszlem i ciekącym nosem. Jego buty pokryło błoto, a każdego wieczora miał przemarznęte stopy.

Czuł się dobrze tylko wtedy, kiedy wyglądało słońce. On i psy spali w nocy pod wozem, przed namiotem rozbijanym dla hrabiego. Przynajmniej nie przemakał. Wielu innych żołnierzy nie miało takiego szczęścia i narzekało.

Czwartego dnia marszu, kiedy poił psy w strumieniu, ktoś rzucił w niego kamieniem z krzaków, które gęsto porastały brzeg. Kamień mocno uderzył go w ramię. Krzyknął, a w gęstwinie coś zatrzeszczało. Psy, oczywiście, wyskoczyły ze strumienia i pognały ku krzakom, szczekając i warcząc. Kiedy Alain je złapał, nieznani prześladowcy zniknęli w lesie. Nie widział ich twarzy; naliczył trzech.

Po tym incydencie dali mu spokój, chociaż od czasu do czasu znajdował w owsiance zdechłego szczura. A ponieważ Agiusa z nimi nie było, nie miał z kim porozmawiać. Mistrz Rodlin traktował go grzecznie, ale zimno, a reszta albo go unikała, albo była zbyt ważna, by go w ogóle zauważyć. Hrabia nie rozmawiał z nikim, ograniczając się do wydawania rozkazów.

Alainowi zostały psy i choć stanowiły dobre towarzystwo – coraz bardziej słuchały jego poleceń – kiedy dotarli do zamku lorda Godfryda i pani Aldegundy, chłopak był już głęboko nieszczęśliwy.

Lord Godfryd był zdziwiony, widząc krewniaka, ale wyszedł z zamku w towarzystwie kleryków, kasztelanki swej żony i kilku jej krewnych, by powitać hrabiego Lavastine'a przed bramą. Jak nakazywał zwyczaj, nie dosiadali koni. Lavastine nie zsiadł z wierzchowca, by objąć kuchynia.

Godfryd wyglądał na urażonego.

– Wybacz – rzekł, szukając słów i z niepokojem przyglądając się Lavastine'owi. – Moja droga Aldegunda ma gorączkę, ale ponieważ wszystkie dzieci też były chore i szybko wyzdrowiały, nie lękamy się o nią. Jest z nią uzdrowiciel. – Zawahał się przy tym słowie,

jakby chciał użyć innego, ale zmienił zdanie. – Dziecko urodzone w Lavas jest zdrowe i silne, ma prawie sześć miesięcy i właśnie świętowało swój pierwszy Peniter. Ochrzciliśmy ją wodą święconą i daliśmy na imię Laurencja, jak obiecaliśmy. Co cię tu sprowadza, kuzynie? Przyjechałeś świętować z nami ucztę świętego Sormasa? Z takim orszakiem?

Orszak Lavastine'a rzucał się w oczy. Nawet Sabella i jej ludzie na pierwszy rzut oka nie wyglądali na tak solidnie uzbrojonych i gotowych na wojnę.

– Przybyłem, aby uzyskać two poparcie, ciebie i twych żołnierzy dla damy Sabelli.

Lord Godfryd podskoczył. Alain uznał to za potwierdzenie swego przekonania, że Lavastine'a zaczarowano. Na pewno Godfryd znał najlepiej poglądy kuzyna na tę sprawę.

– P... poparcie dla Sabelli? – wyjąkał.

– Tak rzekłem. – Uciał Lavastine.

– Ale to zdrada wobec króla Henryka.

– Zdradą jest nie poprzeć sprawy Sabelli przeciw Henrykowi. Jest starszym dzieckiem, prawą dziedziczką. Jej matka była królową Varre.

– Ale prawo płodności... – zaprotestował Godfryd.

– Sabella ma córkę, zrodzoną z jej łona. Jakim prawem Henryk rości sobie prawa do tronu? Prawem, jakie daje mu bękart zrodzony ze stwora, którego nawet nie można nazwać prawdziwą kobietą? Czy to dopuszczalne, aby przysięga takiego stwora, nawet złożona przed konklawe, była uznana za prawdę? Skąd mamy wiedzieć, że to Henryk dał jej dziecko? Jak można w ogóle ufać linii po mieczu? Tylko kobiet możemy być pewni.

Argumenty najwyraźniej zaskoczyły Godfryda.

– Ale, kuzynie. Twój własny ród, twój ojciec... Od trzech pokoleń Lavas przechodzi na męskich potomków!

– Jesteś ze mną? – zapytał Lavastine beznamyślnie. – Czy przeciw mnie? – Uniósł rękę, dając znak oddziałowi. Kapitan zawahał się, zaskoczony rozkazem.

– Ja... ja muszę mieć czas do namysłu!

– Nie ma czasu! Wybrałeś!

Lavastine spiął konia i dobył miecza. Radość i Strach były tuż przy nim. Godfryd był zbyt zaskoczony, by się uchylić, kiedy hrabia runął na niego z obnażonym mieczem. Ale jego klerycy i towarzysze nie byli ani powolni, ani głupi. Kilku rzuciło się przed swego pana, więc kiedy opadło ostrze, cios przyjął mężczyzna w wełnianej tunice i spodniach. Godfryd ledwo krzyknął, zaszokowany.

Kleryk we fratrzym habicie obrócił się i pobiegł do bramy. Być może szukał schronienia. Być może chciał ostrzec pozostałych.

Alain nie wiedział. Kuszniak spuścił cięciwę, belt trafił fratra w plecy. Ten padł na kolana, na moment zamarł jak w modlitwie, a potem padł w kałużę. Błoto splamiło jego habit. Woda zakipiała czerwienią.

Lavastine przejechał obok Godfryda i garstki jego ludzi, zostawiając ich na łasce swych

żołnierzy. Minał umierającego fratra. Kapitan dał ostrogę wierzchowcowi, wołając za sobą innych konnych, którzy pogalopowali za Lavastine'em. Ktoś próbował opuścić bramę.

– Dalej! Dalej! – wrzeszczał Fell, biegnąc na czele piechoty. – Uformować szyk i biegiem marsz!

To, co nastąpiło później, działo się tak szybko, że Alain nigdy nie ogarnął wydarzeń umysłem. Pobiegł z innymi żołnierzami. Nie potrafił się zatrzymać. Ogary szczekały i kłapały paszczami, czując bitwę. Powstrzymał kilka, ale reszta wyrwała się i ruszyła za Lavastine'em.

Wokół Godfryda zaczęła się potyczka, chociaż jego ludzie nie mogli liczyć na zwycięstwo. Bili się, używając pięści, kijów i lekkich włóczni, nawet drzewca od sztandaru rodu pani Aldegundy, przedstawiającego białego jelenia na granatowym tle.

Lavastine i jego żołnierze dotarli do bramy. Szybko złamali opór. Żołnierze Godfryda nie spodziewali się ataku ze strony kuzyna ich pana. Tylko jeden człowiek zachował przytomność umysłu. Został w wieżycze z kuszą w ręku.

Być może zamierzał zastrzelić Lavastine'a i zdrząła mu ręka. A może się nie pomylił. Alain zrozumiał, że bełt przeszył serce Radości, kiedy reszta psów oszalała.

Nawet on nie mógł ich opanować.

Lavastine zniknął w twierdzy. Alain pobiegł za psami i nie musiał nawet przebijać się przez żołnierzy, którzy rozbiegli się, gdy ogary rzuciły się na lorda Godfryda i jego ludzi, najbliższych wrogów.

Alain uderzał je oszczepem, chociaż rozszalałe psy kąsały go. Niektórych ludzi nie mógł ocalić, ale osłonił młodego fratra i chyba z dziesięć razy odgonił psy od Godfryda, zanim zawarczały na niego i pobiegły do twierdzy. Ich oczy były dzikie, zabarwione na czerwono bitewną furją. Ślina i krew kapały im z pysków.

Zostawiły po sobie krwawe pobojowisko, jednego człowieka z odgryzioną ręką, innych z wyrwanym do kości ciałem. Biedakowi, który trzymał sztandar, przegryzły gardło. Lord Godfryd odniósł wiele ran, ale mógł ustać na nogach. Zataczał się; Alain nie wiedział, czy szok wywołały rany, czy atak kuzyna.

Nie było gorszej zdrady od ataku na własnego krewnego.

Czy takiej wojny chciała dla niego Pani Bitew?

Nieemożliwe. Lavastine zawsze trzymał się pośrodku. Rozumiał chyba, że wojna między Henrykiem i Sabellą była najgorszym, co mogło ich spotkać?

Od tej chwili Alain był pewien, że hrabia nie działał z własnej woli, niezależnie od tego, co mówił Agius. Nawet Agiusa zaszokowałby ten atak na lorda Godfryda, którego wszyscy znali jako ulubionego krewniaka Lavastine'a. Krew i życie Półgłówka dało biskupinie Antonii siłę, by skraść Lavastine'owi serce i wolę.

– Zostanę z nim – wymruczał Alain do siebie, lekko zakłopotany własną arogancją. – Ktoś go musi chronić. – Nawet, jeśli tym kimś miał być zwykły prostak, którego całym majątkiem była róża, która nie wiedła.

Sierżant Fell wysłał do twierdzy połowę swych ludzi, ale krzyki, które wybuchły za palisadą, urwały się już. Reszta sprzątała. Fell czuł się wyjątkowo źle, umieszczając Godfryda pod strażą; frater, który znalazł się na leczeniu, biegł, by udzielić pomocy rannym.

– Hej, ty! Chłopcze! – sierżant zauważył Alaina. – Biegnij, mały, biegnij. Musisz złapać i spać psy. Pomyśl o dzieciach.

Kilku żołnierzy odruchowo nakreśliło kręgi na piersiach. Nikt z nich nie zapomniał, że psy zabiły żonę i dziecko Lavastine'a. Alain nigdy nie usłyszał całej historii, bo nikt w Lavas o tym nie opowiadał.

– Idź! – rozkazał Fell.

– Moja żona! – jęknął Godfryd. – Dziecko!

Gdyby Alain się ociągał, byłoby za późno. Łatwo było znaleźć trop sfory; naliczył dwa trupy i jedenastu rannych na podwórku. Służący zebrali się przy studni, pilnowani przez pięciu żołnierzy Lavastine'a.

Konie stały przed wielkim budynkiem z piaskowca, w którym mieszkał lord z żoną. Co najmniej połowa konnych zostawiła tam wierzchowce pod opieką przerażonych stajennych i podążyła za hrabią. Alain wbiegł do środka.

Psy gnały po schodach, które prowadziły do sali nad jadalnią; rezydowała w niej pani, jej damy, dzieci i służący. W oczach zwierząt wciąż błyszczał szal bitewny. Alain złapał ostatniego ze sfory za ogon i pociągnął. Pies obrócił się i ugryzł.

– Smutek! Leżeć!

Jakimś cudem podziałało. Smutek usiadł. Daleko na schodach, słysząc głos Alaina, Furia też usiadła. Ale reszta płynęła na górę jak woda; nie można jej zatrzymać, chyba że się posiadało moce czarnoksięskie.

Alain przeskakiwał po dwa stopnie naraz. Przecisnął się przez psy i chociaż kłapały na niego zębami, zbyt były zajęte łupem, by zwracać uwagę na jednego chudego wyrostka. Lavastine szedł z obnażonym mieczem. Wydawał się obojętny na ogary i zagrożenie, jakie stwarzały, nie dla niego, oczywiście, ale dla dzieci i garstki mężczyzn, którzy, krok po kroku, wycofywali się pod przeciwległą ścianę.

Tylko dwoje miało odwagę, by stawić im czoło. Alain natychmiast rozpoznał młodą panią Aldegundę; na pewno nie była od niego starsza, ale stała się już kobietą. Błada i drżąca, złapała laskę i zbliżyła się do Lavastine'a, krzycząc:

– Cóż to, kuzynie? Dlaczego najechałeś zbrojnie dom, który zawsze witał cię z miłością i przyjaźnią?

Miała w ramionach sześciomiesięczną córeczkę, tę, która mogła stać się dziedziczką bezdzietnego Lavastine'a. Jedna starsza kobieta, zawodząc, trwała przy swej pani, gotowa rzucić się przed nią, by ocalić Aldegundę od miecza albo zakrwawionych kłów.

Alain łapał psy za ogony i karki, ale wyslizgiwały mu się i atakowały. Chciały zabić. Zabijają ją, jeśli nikt nie zadziała, a dziecko rozerwą na strzępy.

Uderzał więc oszczepem i wrzeszczał, nie bacząc na konsekwencje:

– Siad! Leżeć! Słuchajcie mnie, dranie! Siad! – Przerazenie złapał suknię pani, zanim Alain rąbnął go w łeb tak silnie, że pies się zatoczył. Reszta usiadła w końcu, warcząc groźnie, wpatrując się w służących Aldegundy.

Lavastine nie schował miecza.

– Przyłączycie się do damy Sabelli albo opuścicie ten zamek – powiedział.

Aldegunda jęknęła. Wyglądała, jakby miała zemdleć, ale kiedy krewniaczka dotknęła jej łokcia, wyprostowała się.

– To niemożliwe – odparła dumnie. – Moja rodzina przysięgła wierność pierwszemu królowi Henrykowi, kiedy królowa Konradina pominęła w sukcesji swego brata Eberharda, by ogłosić królem Henryka, księcia Saony. I choć przez małżeństwo weszłam do varryjskiego rodu, nie zdradzę wiary, którą moi krewniacy tyle lat nosili w sercach.

Alain nie potrafił sobie wyobrazić, ile kosztowało ją to oświadczenie. Nie wiedział wszak, co uczyni Lavastine. Aldegunda też nie wiedziała, a miała w ramionach niemowlę, i dwoje pasierbów, których musiała chronić. I, oczywiście, nie miała pojęcia, co się stało z jej mężem.

Lavastine pozostał nieporuszony. Powtórzył matowym głosem:

– Oddasz mi dzieci jako gwarancję waszego posłuszeństwa. A potem wraz z orszakiem opuścisz to miejsce i wrócisz do włości twej matki.

– To są włości mej matki! – krzyknęła Aldegunda. – Dostałam je w posagu! Nie możesz ich zabrać!

– Powstrzymasz mnie? Te ziemie wspierają teraz damę Sabelle. Wyznaczę nad nimi zarządcę, dopóki nie wróci ci rozum i nie poprzesz Sabelli, albo sama Sabella nie odda ich we władanie nowej pani. – Machnął ręką i jego ludzie – z ociąganiem, ale nie zamierzając sprzeciwić się jego woli – otoczyli dzieci.

Alain spiął wszystkie psy na długiej smyczy. Warczały i kłapały zębami, ale posłuchały jego rozkazów. Tylko Smutkowi i Furii ufał na tyle, aby ich nie spinać. Siedziały przy schodach jak strażnicy, patrząc.

Aldegunda przycisnęła niemowlę do piersi.

– Nie oddam jej! – zawołała. – Jeszcze ją karmię. Obrażasz naszą Panią, zabierając przemocą dzieci od matki!

– Zostawcie jej przynajmniej niemowlę, hrabio – wymruczał Alain. Nie wiedział, czy hrabia go usłyszał.

Lavastine zamrugął. Jego wzrok się zamglił. Otarł twarz, jakby odganiał muchę.

– Tylko starsze dzieci – powiedział niepewnie, niemal zaskoczony. Ale ta chwila szybko minęła.

Usta Aldegundy drżały, ale nie poddała się łzom. Dwoje dzieci Godfryda z pierwszego małżeństwa wprowadzono. Lavastine schował miecz i z zaskoczeniem popatrzył na Alaina.

Potem potrząsnął głową i zeszywniał. Strzelił palcami na psy, które podeszły do niego, liżąc po palcach i skubiąc buty. Wziął smycz, odwrócił się i bez słowa wyszedł z sali.

Ucztowali w twierdzy na świętego Sormasa, ale była to ponura biesiada. Lavastine i jego żołnierze jedli przy stołach bankietowych, obsługiwani niechętnie, ale bez protestów, przez służących Aldegundy i Godfryda. Godfryda zamknięto w wieży, a Aldegunda pozostała w swych komnatach.

Rankiem Lavastine pozwolił kobietom, wyposażonym w prowiant na pięć dni, odjechać na wschód, gdzie leżały ziemie pani Albergi, matki Aldegundy. Był to żaloszny orszak – Aldegunda, niemowlę, dwie damy, mamka i tylko dwie służące. Jak można się było spodziewać, że Aldegundę rozpoznają jako szlachciankę? Nie pozwolono jej nawet zatrzymać koni, musiała dosiadać osła.

Godfryd nie był zdolny do podróżowania; rany, które zadały mu psy, były poważne, ale nie śmiertelne. Zostawiono go pod opieką fratra, nakazując opuścić twierdzę, gdy tylko będzie mógł wyruszyć.

Lavastine wyznaczył zarządcę spośród swych służących, wolnego chłopca, który zaciągnął się na służbę, licząc na coś więcej w życiu niż skromne poletko. Gdyby Sabella wygrała, ten człowiek mógł nawet zostać kasztelanem. A jeśli przegra...

Ale kiedy Alain patrzył na wozy wyjeżdżające z twierdzy – wypełnione warzywami i owocami, tarczami, grotami oszczepów, drzewcami, mieczami, starymi i nowymi hełmami, materiałem na tuniki i spodnie, zmielonym ziarnem, skórą i pięcioma kufkami ze złotem i srebrem, w których zawierał się cały ruchomy majątek Godfryda oraz posag wniesiony przez Aldegundę – widział, jak Sabella zwiększa swe szanse na zdobycie tronu.

Ruszyli na południe wzdłuż granicy, oddzielającej niegdyś Wendar od Varre, przez ziemie, których mieszkańcy często łapali dwie sroki za ogon. W dwóch twierdzach otrzymali entuzjastyczne poparcie, a Lavastine przyjął dwudziestu czterech nowych ludzi i ich dowódców.

Przez następne dziesięć dni zajęli trzy zamki, których panowie i panie zaprzysięgli lojalność królowi Henrykowi. Nikt się nie opierał, widząc oddział Lavastine'a i słysząc warunki, jakie dyktował hrabia. Ocalili głowy, ale stracili połowę dóbr. Wozów z zaopatrzeniem było coraz więcej, a z pięciu kufeków pełnych srebra, złota i klejnotów zrobiło się dziewięć.

Szybko dotarli do ziem diuka Varingii i skręcili na zachód, do Varre, by przyłączyć się do armii Sabelli.

– Kiedy osiem lat temu padł bunt Sabelli, jej popleczników też ograbiono z ziem i dóbr – powiedział pewnej nocy Rodlin. Najwyraźniej był głęboko zaniepokojony, zazwyczaj nie rozmawiał z Alainem, a na pewno mu się nie zwierzał.

Alain nakarmił i napił psy, a potem przywiązał je na noc pod wozem. Leżała tam piątka,

która ocalała: Strach. Wiarus. Mocarz. Szczęściarz i Humor, wpatrując się w Alaina i ognisko. Odkąd Radość zginęła, Groza sypiała w namiocie hrabiego, a Alain pozwalał Smutkowi i Furii biegać luzem, bo słuchały go i nie nękały ludzi.

Alain chciał rozmawiać. Powiedzieć: „A pozbawianie ziem i dóbr tych, którzy popierają Henryka, to niby jest bardziej sprawiedliwe?”

Ale nie odważył się odezwać. Pomyśleliby, że sprzyjał Henrykowi.

Nie sprzyjał. Wiedział tylko, jak król miał na imię. Ale Sabelli też nie sprzyjał. Jakże mógł, wiedząc o czynach biskupiny Antonii i o tym, że Sabella je popierała?

Miał wiele czasu na myślenie i skrupulatnie go wykorzystywał. Oczywiście, najpierw w jego sercu był Bóg, Pan i Pani, a po nich jego rodzina, jego ojciec Henri i ciotka Bel, i kuzyni. Ale pozostawił rodzinę daleko za sobą.

Często w Osnie powtarzano, że hrabia Lavastine to dobry pan, który w zamian za uczciwe podatki chronił port. Osna była celem ataków z morza i lądu, bo mieszkało w niej wielu kupców.

A opieka panów na Lavas służyła wiosce, odkąd cesarz Taillefer założył w niej port handlowy. Żaden wolny chłop nigdy nie został zmuszony do pańszczyzny, aby opłacić bandyckie podatki, chyba że powodziło mu się naprawdę źle. W Salii takie rzeczy były na porządku dziennym, bo tamtejsza szlachta słynęła z chciwości. Nikt z Osny nigdy nie musiał sprzedawać dzieci w niewolę, aby spłacić długi; ale niewolnicy saliańscy, urodzeni z wolnych rodziców, byli przywożeni do Osny każdego lata i sprzedawani rodzinom mieszkającym w pobliżu albo wysyłani dalej na wschód.

Wobec tego to jego obowiązek. Tyle zdołał wymyślić, mimo kompletnego pomieszenia w głowie. Będzie wspierał Lavastine'a na ile siły i inni pozwolą. Czy taki znak zesłała mu Pani? Czy to Jej dłoń zesłała przyjaźń z ogarami, aby mógł pozostać w pobliżu hrabiego?

Na pewno. Agius podejrzewał, że Alain był bękartem Lavastine'a, ale dlaczego szlachcic miałby oddawać dziecko chłopu, zamiast od razu wysłać je do klasztoru?

Biskupina Antonia pewnie podejrzewała, że był owocem związku między duchem elfiego księcia i dziewczyny, uwiedzionej w Sobótkę. Ale jak martwa istota, nawet elf, mogła zapłodnić żywą kobietę?

A księżę Eików zupełnie opacznie zrozumiał jego słowa i wziął go za syna króla Henryka!

Nie. Wyobrażał sobie, co ciotka Bel powiedziała by o takich wymysłach. „Pan i Pani działają z rozmysłem”, mawiała. Była dobrą i rozsądną kobietą i dla niej, podobnie jak dla diakonisy z Osny. Bóg objawiał się w praktyczny sposób. Nagradzał tych, którzy byli wierni, pracowici i pragmatyczni. Oczywiście, ciotka wiedziała, że Bóg działał w świecie, aniołowie mogli objawić się w dobrych domach, a święci schodzili z niebios, by ocalić zmęczonych i zapomnianych. Nie wątpiłaby w różę Alaina ani w wizję, którą miał w dariyańskim forcie.

Ale oczekiwałyby od niego pokory, nie pychy.

„Nie zdarzyłoby się to”, powiedziałyby, „gdybyś, chłopcze, nie miał zadania do wykonania”.

Była tylko jedna sensowna odpowiedź: on, Alain, był jedyną osobą, która wiedziała i wierzyła, że Lavastine wyruszył na wojnę nie dlatego, że popierał Sabelle, a dlatego, że go zaczarowano.

Nie wiedział, co mógł zrobić, prócz czuwania nad hrabią. Takie było widocznie jego zadanie.

2.

Wilkun wrócił z Feelas po czternastu dniach. Przywiózł złe wieści.

Eikowie spustoszyli klasztor w Owczej Głowie i pożeglowali na wschód, by przyłączyć się do swej armii. A ta armia, jak głosiła plotka, oblegała Gent, wielki port i bramę do serca Wendaru, miejsce urodzenia pradziadka króla Henryka, księcia, a potem króla, Henryka I. W katedrze Gentu syn Henryka, znany jako Arnulf Starszy, zaślubił swą siedmioletnią córkę Adelhaide Ludwikowi, pięcioletniemu królowi Varre. Starszy Arnulf oczywiście ogłosił się regentem. Dla pewności siostrę Ludwika, Berengarię, oddał za żonę swemu następcy, młodszemu Arnulfowi, ojcu Henryka. To, że Ludwik zmarł młodo i bezdzietnie, znaczyło, że Pan i Pani łaskawym okiem spojrzeli na dom Arnulfa. Śmierć Berengarii w połogu przesądziła sprawę. Dla wendarskich królów Gent symbolizował przejście domu królewskiego Varre i przyłączenie kraju do Wendaru.

– Musimy jechać na wschód – powiedział Wilkun – do Gentu, by się przekonać, czy plotki nie kłamią. Król Henryk nie odważy się na wyprawę na północ, chyba że zostanie do niej zmuszony. Zbyt wiele się szepcze o tym, co robi jego siostra Sabella. Niektórzy mówią, że otwarcie nawołuje do buntu. Co za przekleństwo, że akurat teraz są z nią kłopoty, kiedy tak bardzo potrzebujemy armii na północy.

Siedział w sali jadalnej karczmy, z łokciami na stole i kubkiem piwa w lewej dłoni. Mówił głównie do Manfreda i Hathui, ale od czasu do czasu popatrywał na Hannę i Liath, które siedziały ciche i uważne na końcu stołu. Wieczorem wielu miejscowych przychodziło napić się tylko po to, by, jak twierdziła Hanna, popatrzeć na Orły i posłuchać nowin z wielkiego świata. Nabrali tego zwyczaju przez ostatnie dziesięć dni, a goście stali się obiektem uzasadnionego zainteresowania osiem dni temu, kiedy Hathui złamała nos bardzo pijanemu i nachalnemu rolnikowi.

Hanna podziwiała Hathui, grubokościstą silną kobietę, która wedle własnych słów wyrosła wśród hodowców koni daleko na wschodzie, w marchii Estfalii, za którą leżały dzikie ziemie barbarzyńskich Qumanów – uskrzydłonych jeźdźców, jak ich nazywała Hathui. Żyli w ciemności, poza Światłem rzucanym przez Krąg Jedności, a brat Hathui wyruszył do nich jako misjonarz i nigdy nie wrócił.

„A ja poświęciłam życie Perpetui, Pani Bitew” – opowiadała Hathui – „i przysięgam z nimi walczyć”.

Aż do dnia, kiedy przyjęła pierścień i wstąpiła na królewską służbę, Hanna nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo chciała poznać świat poza Spokojem Serca, zanim się ustakuje i jak matka zostanie karczmarką. Nie pozwalała sobie na marzenia, wiedząc, że leżą poza jej zasięgiem, a co dobrego może przyjść z pragnień, które się nigdy nie spełnią? Dlatego chciała być karczmarką, bo, jak powiadali: „Karczmarz widzi świat w gościach, którzy przechodzą przez próg”.

Mogła przecież pojechać z Ivarem do Quedllinhamu, gdzie zobaczyłaby królewski dwór. Mogła pojechać z Liath do Firsebargu. Woliała nie myśleć o Firsebargu, bo myślała wtedy o Hugonie.

– Co zaś was się tyczy – powiedział Wilkun i Hanna skupiła uwagę na nim – będziecie się uczyły na Orły w drodze. Miałem nadzieję wysłać was... – Urwał, pociągnął łyk piwa i westchnął, stawiając kubek tak zamasyście, że piana się wylała. – To będzie musiało poczekać. Wydobrzałaś już, Liath? Jeśli nie, możemy cię tu zostawić i...

– Nie! Wydobrzałam!

Hanna położyła rękę na ramieniu przyjaciółki, by ją uspokoić. Liath rzeczywiście była silniejsza, ale lękliwa jak cielątko i zżerał ją ciągły strach. Ale nawet widząc ją w tym stanie, Hanna czasami śniła o Hugonie. Prawie zawsze, jeśli miała być szczerą. Nie знаła nigdy takiego mężczyzny jak on. Lepiej nie dręczyć się marzeniami o kims, kogo nie mogła mieć. Tym lepiej dla niej. W drodze na pewno przestanie o nim myśleć.

– We Freelas zabezpieczyłem dla was konie – Wilkun popatrzył niewinnie na Hathui i Manfreda. – Sądzicie, że dziewczyny potrafią jeździć?

– Co? – rzekła Hathui, uśmiechając się. – Konie? Nie widziałam koni.

Wilkun wyszczerzył zęby.

– Dwa szybkie i wytrzymałe. Dziecko, wysłuchaj mnie. Jazda do Gentu będzie trudna, a nie wiem, co tam znajdziemy ani jak szybko będziemy musieli wyjechać. Mówią, że tę armię Eików prowadzi król, który jest magiem. Mówią, że nie można go zabić. Jeśli te dwie mają nas wstrzymać, będziemy musieli zostawić je w Freelas albo na posterunku w Steleshamie.

To był prawdziwy powód do zmartwienia. Hanna, prosta dziewczyna, nie była od małego przyzwyczajona do siodła. Jeśli znała się na koniach, to tylko dlatego, że rodzice mieli karczmę. Wstrzymała oddech. Liath, nieobecna, wpatrywała się w ogień.

– Hanna utrzyma się w siodle, nic poza tym – powiedział burkliwie Manfred. – Ale ma na tyle silną wolę, że dotrzyma nam kroku pomimo trudów.

Wilkun podniósł brew.

– Na pochwałę z twoich ust, Manfredzie, trudno zasłużyć. A Liath?

Liath zadrżała, słysząc swe imię.

– Liath – rzekła pogardliwie Hathui – potrafi doskonale jeździć, choć utrzymuje, że od trzech lat nie siedziała na koniu. Jest jeszcze słaba. Ale sądzę, że nabierze sił po drodze; jeśli nie, zostawimy ją w Steleshamie.

– Świetnie – powiedział Wilkun, a Hanna przestała wstrzymywać oddech. – Chodźcie, dzieci, obejrzyjcie konie. Najlepsze, jakie udało mi się znaleźć w tak krótkim czasie. Odjeżdżamy, kiedy tylko je osiodłacie.

Wyjeżdżają! Hanna miała wrażenie, że jej stopy wrosły w drewnianą podłogę i nigdy nie zdoła opuścić ukochanego domu. „Wyjazd” był tylko cudownym słowem.

– Tak szybko? – wykrztusiła. – Sądziłam, że rankiem...

Wilkun popatrzył na nią twardo. Był miły, dopóki mu się nie sprzeciwiano.

– Jesteśmy Orłami, Hanno. Nie można opóźniać królewskich spraw. Rozumiesz?

Posłusznie wstała. Spełniało się jej marzenie. Nie pozwoliła, aby strach ją opanował, zwłaszcza że widziała, jak to uczucie pożera i bierze górę nad Liath.

– Oczywiście.

Zaśmiał się.

– Dzisiaj jest świętej Euzebii. Szósty dzień Avrila. Czy może być lepszy dzień, by rozpocząć służbę w Orłach? – wstał. – Hathui, dopilnuj zaopatrzenia. Ruszaj się, Liath. Pójdziecie ze mną do stajni.

Hanna zauważyła, że głos mu złagodniał, kiedy mówił do Liath. Biedna Liath. Hanna wiedziała, że to nie wina przyjaciółki, że była taka piękna i tak strasznie zagubiona. Dotknęła jej ramienia, a Liath skoczyła na równe nogi, objając sobie jak zwykle biodra o stół. Tym razem zakłęła jednak i pomasowała siniaki, a potem roześmiała się z innymi.

W stajniach Hanna dobrze obejrzała rosnącego wałacha, którego przeznaczył dla niej Wilkun, zanim podeszła do niego z jabłkiem. Chwilę później głaskała konia po chrapach i zakładała mu siodło.

Kasztanka Liath była bardziej płochliwa i kiedy wszyscy już osiodłali wierzchowce, Liath dopiero odważyła się ją pogłaskać. Hathui przyniosła prowiant, zebrany od wieśniaków jako część daniny dla króla. Z wprawą objuczyła muła, a potem ona i Manfred wyprowadzili konie przed stajnię.

– Spakujcie to, co chcecie ze sobą zabrać – powiedział Wilkun. – Ale pamiętajcie, że Orzeł nie może mieć wiele oprócz zaufania towarzyszy i własnej siły.

– Ja mam tylko ubranie na grzbiecie – odparła Liath.

Była to tak wierutna bzdura, że Hanna popatrzyła na nią z zaskoczeniem. Liath wpatrywała się w ścianę. Jeśli reszta się czegoś domyśliła, nie dała tego po sobie poznać. Ale nie znali Liath tak dobrze jak Hanna.

– Pójdę po torbę – stwierdziła Hanna. – Mam nadzieję, że pozwolicie mi się pożegnać z rodziną.

– Jasne – rzekł Wilkun.

Liath nadal wpatrywała się w ścianę.

Hanna przełknęła ślinę i ciągnęła:

– Moja matka byłaby szczęśliwa, gdybyście wy też się z nią pożegnali.

– O – mruknął Wilkun, nie zdradzając żadnych uczuć. Oczywiście, widział księgę – wszyscy widzieli – ale żaden z Orłów o niej nie wspomniał. Czy podejrzewał, że Liath ją przed nim ukryła? Hanna nie wiedziała. – Oddaj swego konia Hathui. Pójdę do twojej matki. Liath musi osiedlać wierzchowca. Spotkamy się na zewnątrz.

Hanna przepuściła go w drzwiach. Liath wyszeptała: „Dziękuję”.

Na zewnątrz południowe słońce oświetlało dalekie wzgórza i trawę na wioskowym placu. Cała rodzina Hanny zgromadziła się przed stajniami. O cudzie, Karl przyniósł jej torbę – zapasowe ubranie, kubek, łyżkę, trochę innych rzeczy – i błagał, aby pozwolono mu przytroczyć ją do siodła. Oczy mu błyszczały i Hanna zrozumiała, że ją podziwiał, nowego jasnego Orła, tak jak ona podziwiała Hathui. Prawie się rozplakała.

– Ale z ciebie ni pies, ni wydra – powiedział Karl impertynencko, psując nastrój.

Uśmiechnęła się. Nie miała porządnych ubrań, wysoko rozciętej tuniki, jaką nosiły Orły. Ona i Liath odziane były w swoje ubrania i stare rzeczy, które zostały po Thanymarze, jej żonatym bracie. Połatanne i poskracane mogły jeszcze służyć. Birta nigdy nie skąpiła na ubranie, wiedząc, że płacąc połowę ceny za coś, co mogła jeszcze przerobić, ubijała świetny interes. Hanna czuła się dziwnie, ubrana w kobiece i męskie odzienie, ale Liath twierdziła, że podczas podróży z tatą nie ubierała się inaczej.

Birta podeszła i objęła ją.

– Pamiętaj, Hanno – wyszeptała – żebyś dbała o siebie i o Liath. Ona jest bardziej krucha, niż sądziłam, i jeszcze długo nie dojdzie do siebie.

– Przrzekam. – Potem objęła ojca, milczącego jak zawsze, i Karła. – Niech cię szlag trafi – dodała, trzymając go za tunikę – jeśli nie będziesz się słuchał we wszystkim mamy i taty. Zrozumiano?

Wykrztusił „tak” i odskoczył na bezpieczną odległość. Hanna otarła łzę.

Liath wyszła ze stajni, prowadząc swoją kasztankę. Hanna nie zauważyła, aby w jej jukach przybyła jakaś nowa prostokątna rzecz, na przykład książka – Liath musiała wszystko przepakować, by ją ukryć. Nie patrzyła na Hannę, żegnając się z Birtą, Hansalem i Karlem. Miejscowi przyszli się pogapić, ale zachowali odpowiedni dystans.

W końcu dosiedli koni i podążyli za Wilkunem na południowy gościniec. Z całej piątki tylko Hanna oglądała się za siebie, kiedy minęli zakręt i stracili z oczu gospodę. Kiedy drzewa zasłoniły ostatnie domy, a droga wiodła pomiędzy polami i zagajnikami, Liath nagle powiedziała:

– Nigdy tu nie wrócę.

Hanna zadrżała, nagle przestraszona.

– Czy to przysięga? – zapytał Wilkun, uśmiechając się lekko.

Liath podskoczyła, jakby nie zdawała sobie sprawy, że mówiła na głos.

– Nie – odparła. – Nie. Aż taka głupia nie jestem. Po prostu tak czuję.

– Anne też miała podobne przeczucia – rzekł cicho Wilkun.

Anne, Matka Liath. Czarownica, którą zabito. „Dzieje się więcej, niż się na pozór wydaje”. Ale Hanna zdecydowana była na wszystko, by chronić Liath.

– Dalej, długa droga przed nami – rzucił Wilkun.

Jechali, nie rozmawiając wiele, równym kłusem, aby nie męczyć koni. O zmierzchu Spokój Serca został daleko za nimi.

CZEŚĆ DRUGA

CZYNY WIELKICH KSIĄŻĄT

Rozdział ósmy

W królewskim orszaku

1.

Rosvita z Korvei, najlichsza sluga naszych Pani i Pana, jej królewskiej mości, królowej Matyldzie, śle najpokorniejsze zapewnienia o swym całkowitym oddaniu i z serca płynące pozdrowienia w imię Naszej Pani, której mądrość i gloria opromieniają Was, nasza wspaniała królowo, matko naszego najwspanialszego króla Henryka, drugiego tego imienia.

List od ojca leżał na następnej stronie, zakrywając słowa, które napisała wczoraj, zanim przerwał jej posłaniec z północy, a potem wieści o sprzeczce, jaka wybuchła między królewskimi doradcami. Wsunęła pergamin do kieszeni tuniki. Jej palce przesunęły się po złocistym jedwabiu szaty, którą nosili wszyscy królewscy klerycy. Był cudowny w dotyku. „Jak wszystkie ziemskie przyjemności”, przypomniała sobie ostro. Złocista szata, symbol królewskiej służby, zakrywała prosty czarny habit, który świadczył, że przybyła z klasztoru Bogini w Korvei.

Wróciła do książki.

Na Wasze żądanie podejmuję się spisania czynów wielkich książąt, a dodatkowo zadałam sobie trud stworzenia kilku słów o pochodzeniu i kondycji Wendarczyków, którym król Henryk I był władcą, abyście czytając to dzieło, mogła zakosztować rozrywki, zapomnieć o troskach i oddać się przyjemnemu odpoczynkowi.

Tutaj skończyła wczorajszego popołudnia. Powrót do skryptorium po wczorajszym zamieszaniu, które trwało, dopóki król Henryk nie skończył kolacji, był ulgą. Spojrzała na tabliczkę woskową, na której notowała, kreśliła i dodawała zdania, zanurzyła pióro w atramencie i podjęła pracę.

Wyznaję jednakże, że wszystkich czynów opisać ze szczegółami nie mogła, przeto ujęłam je krótko, aby narracja nudną i niejasną dla czytelnika nie była. Może więc Wasza Wysokość czytać tę książeczkę, pamiętając o nas i oddaniu, z jaką ją pisano.

Tu kończy się *Przedmowa do Księgi pierwszej czynów wielkich książąt*.

Rosvita poprawiła się na stołku. Już ją bolały plecy. Kiedy po raz pierwszy przybyła do Kaplicy Królewskiej, miała dwadzieścia lat i dopiero co opuściła klasztor w Korvei, mogła więc długie noce spędzać przy świeczce na przepisywaniu starych ksiąg oraz tekstów, które sama pisała, choć taki czyn u młodej osoby znamionował brak pokory. Ale po dwudziestu latach służby królowi Arnulfowi Młodszemu i królowi Henrykowi jej ciało nie było już tak sprawne jak niegdyś.

Uśmiechnęła się, czytając kolejną stronę. Przeorysza zawsze powtarzała: „Bóle starości przypominają nam o mądrości, którą zgromadziliśmy”. Matka Otta z Korvei była wtedy pełną życia staruszką, która przekroczyła siedemdziesiąty rok życia, a do tego najlepszą, najbardziej godną miłości i najmądrzejszą osobą, jaką Rosvita знаła, jej słowa były więc pełne czarującej pokory. Matka Otta nadal żyła, zbliżając się do dziewięćdziesiątki, w łasce Pana i Pani, choć oślepała już niemal zupełnie.

Przez dziesięć lat Rosvita pracowała, notowała, rozmawiała z dworakami i biskupami, studiowała stare kroniki w archiwach klasztorów i zakonów, przez które przewinał się dwór królewski w swej nieustającej wędrówce. Teraz zaczęła pisać. Miała nadzieję, że uda jej się skończyć to wielkie dzieło przed śmiercią matki Otty.

Oto początek *Księgi pierwszej czynów wielkich książąt*.

Po dwudziestu latach pracy w skryptorium Rosvita doskonale wiedziała, jak trudno będzie nanosić poprawki, gdy już rozpocznie pisanie, zdawała sobie sprawę, ile czasu zajmowało przekopiowanie całej strony albo, co gorsza, rozdziału. Podjęła już decyzję co do porządku rozdziałów i powinna przestać planować, a zacząć tworzyć.

1. Po pierwsze zapiszę tu kilka uwag o pochodzeniu i kondycji Wendarczyków, opierając się w tej kwestii tylko na przekazach ustnych, albowiem prawda o tych czasach ginie w pomroce dziejów.

Niektórzy powiadają, że Wendarczycy pierwsi żyli na północy, skąd na południe pognęła ich inwazja tych, których dziś nazywamy Eikami, smokoludźmi. Inni uważają, że Wendarczycy pochodzą z Aretuzy, a są potomkami wielkiej armii prowadzonej przez Aleksandrosa, Syna Grzmotu, która po porażce z armiami dariyańskiej cesarzowej Arkuaknii rozpierzchła się po całym świecie. Tę opinię słyszałam w młodości od starego scholara. Reszta zaś zgadza się, że Wendarczycy byli dawnym szlachetnym ludem, znanym Hessiom i opisywanym przez nich w prastarych tekstach; wspomina o nich też Poliksen w swej „Historii Dariyi”.

Jesteśmy jednak pewni, że Wendarczycy przywędrowali ku tym ziemiom na statkach, a wylądowali w mieście zwanym Hathelenga, na północ od Gentu. Na ziemiach tych mieszkali wtedy Ostravianie, którzy zaatakowali przybyszów. Wendarczycy walczyli dzielnie i zdobyli kontrolę nad wybrzeżem.

Przy wejściu do skryptorium wybuchł tumult. Klerycy i mnisi, pogrążeni w pracy, podnosili głowy i patrzyli, jak kleryczka Monika prowadziła swą gromadkę. Nie była to

jednak inwazja wendarskich plemion, tylko przybycie najmłodszych uczniów królewskiej scholi.

Rosvita westchnęła i odłożyła pióro. Zawstydzona swego niezadowolenia i powstała, by pomóc Monice usadzić trzódkę przy wolnych pulpitych. Gdy wróciła do swej ławki, żegnając czysty pergamin tęsknym spojrzeniem, młody chłopak wślizgnął się obok niej.

– Wybaczcie – wyszeptał.

Był to młody Berthold Villam. Uśmiechnął się do niej słodko; należał do tych młodzieńców, którzy byli czarujący i zupełnie nie zdawali sobie z tego sprawy. Spośród dzieci i młodzieży na dworze królewskim jego lubiła najbardziej. Zeszłej zimy skończył piętnaście lat i, jak to było w zwyczaju, miał już swój orszak. Był więc zbyt duży na szkołę, ale uwielbiał się uczyć – albo nie mógł nasycić ciekawości.

Ostrożnie wyciągnął ręce i dotknął palcem wskazującym pergaminu, na którym jeszcze nie wysechł atrament.

– To wasza *Historia*?

Rosvita przytaknęła. Reszta malców też przysiadła się do kleryków w skryptorium. Przez ostatnie pół roku liczba dzieci w królewskim orszaku podwoiła się. Był to znak, że źle się działo w królestwie.

Popatrzyła na dziewczuszkę, która z upartym wyrazem twarzy siedziała najbliżej Moniki. Ten ostatni nabytek to najstarsza córka Konrada Czarnego, diuka Waylandu; chociaż miała tylko osiem lat, wiedziała, że jest zakładniczką, gwarantującą ojcowskie dobre sprawowanie.

– A teraz, dzieci... – rzekła Monika. Artretyzm zgiął ją niemal wpół, ale nadal była imponująca. Spojrzała na podopiecznych i podniosła dłoń. – Uważajcie. Tabliczek jest tyle, że wypada po jednej na dwoje. Kilku chłopców niech tylko słucha.

Berthold bawił się rysikiem Rosvity. Jak większość chłopców i młodych mężczyzn, których przeznaczeniem było ożenić się i większość życia spędzić na wojaczkach i bronić majątku żony, nie nauczono go pisać, chociaż potrafił czytać. Zauważył, co robił, i zaambarasowany schylił głowę.

– Możesz go użyć – powiedziała. Uśmiechnął się i pracowicie wyrył „B” na tabliczce.

– Uważajcie – powtórzyła Monika. – Aby czytać starożytne teksty, musicie znać dariyański, bo tym językiem mówiono i pisano w Imperium Dariyańskim. I chociaż wiele możemy się dowiedzieć z dzieł, jakie nam zostawiono, najważniejszym jest fakt, że stare Imperium, unia ludzi i elfów, musiało upaść, bo jego cesarze i cesarzowe nie przyjęli do serc prawdy o Jedności i błogosławieństwa Światła. Dlatego, kiedy wielki Taillefer odbudował imperium w roku 600, nazwał je Świętym Imperium Dariyańskim.

– Nikt nie wątpi w pobożność Taillefera – wymruczał Berthold, starając się napisać „E” z prostymi daszkami. – A jednak imperium upadło i nikt więcej nie został w Darre koronowany na świętego cesarza. Jak to wytłumaczyć?

– Dobrze pytanie – odmruczała Rosvita, świadoma, że ostre spojrzenie Moniki zwróciło

się w ich stronę. Jaka szkoda, że chłopak musiał się żenić. Byłby z niego świetny historyk.

Monika zakasłała znacząco i ciągnęła wykład. Berthold westchnął i spróbował szczęścia z „R”. Rosvita patrzyła na zgromadzone dzieci.

Wielcy posiadacze ziemscy byli zobowiązani wysyłać swe potomstwo na dwór królewski. Część, zazwyczaj młodsze dzieci, była kształcona na kleryków i dołączała do Kaplicy Królewskiej i Wyższej Scholi. Większość spędzała tu rok lub dwa w ramach nauki, by zaznać życia na zmiennym, wiecznie podróżującym dworze, który przemierzał ziemie Henryka.

Kilkoro zaś, których rodzice poddali w wątpliwość swą lojalność wobec króla, zostawało znacznie dłużej. I chociaż nikt nigdy nie powiedział ani słowa, byli to dobrze traktowani, dziecięcy zakładnicy.

Oczywiście, Berthold do nich nie należał. Jego ojciec, margrabia Helmut Villam, był ulubionym doradcą i najbardziej zaufanym towarzyszem króla Henryka.

Ze wszystkich książąt to czterej margrabiowie najczęściej dochowywali wierności królowi. Oni najbardziej potrzebowali królewskiego wsparcia. Sprawując pieczę nad marchiami, najdalej na wschód wysuniętymi ziemiami Wendaru, byli najbardziej narażeni na ataki barbarzyńców, poszukujących łupów i niewolników.

Z ich ziem wyruszali misjonarze, by nawracać pogan. Na tych ziemiach osiedlali się najbardziej zdeterminowani, którzy ryzykowali ataki ze strony pogan w zamian za dobre pola i fakt, że podlegali bezpośrednio królowi lub księciu.

Przez trzy ostatnie lata na granicach panował spokój, więc margrabiowie lub ich potomstwo mogli pewien czas spędzać na dworze królewskim. Tej wiosny, oprócz Villamów, król gościł słynną Judith, margabinę Olsatii i Austrii.

Zostawiła marchię w rękach najstarszej córki i przywiozła na dwór dwie młodsze pociechy. Jedna z nich, czternastolatka o woskowożółtej cerze, siedziała z otwartą buzią, gapiąc się na Monikę, jakby tej właśnie wyrosły rogi i skrzydła.

Werinhar, margrabia Westfalii, wysłał na dwór najmłodszego brata. Chłopak przeznaczony był do stanu duchownego i jak na pilnego braciszka przystało, zapisywał skrupulatnie słowa kleryczki.

Zazwyczaj to diukowie – najpotężniejsi książęta w kraju – stwarzali problemy. Trzy księstwa leżące w granicach Wendaru pozostały lojalne: Saony, Fesse i Avaria. Wszyscy diukowie mieli dzieci lub młodsze rodzeństwo na dworze; Rosvita przez ostatnie dwadzieścia lat napatrzyła się na młodzież z tych rodów.

Ale księstwa Varingii. Waylandu i Arconii leżały w dawnym Varre i lojalność tamtejszych książąt nie była pewna. Dlatego córka Konrada z Waylandu pisała literki pod czujnym okiem Moniki. Pół roku temu Tallia, córka Sabelli i Berengara, osiągnęła wiek pozwalający jej porzucić dwór i wrócić do Arconii. Nikomu wtedy przez myśl nie przeszło...

Ale dwa miesiące temu Rodulf, diuk Varingii, odwołał swego najmłodszego syna, Erchangersa. A teraz codziennie słyszeli plotki o tym, że Sabella zamierzała zbuntować się

przeciw władzy Henryka.

Berthold, rozbawiony, parsknął:

– Ekkehard znów zasnął.

– O Pani – mruknęła Rosvita. Na początku nie miała odwagi spojrzeć. Kiedy już się odważyła, dostrzegła, że jedyny, syn Henryka i królowej Sophii spał z głową na ramieniu, a podciągnięta tunika odsłaniała złoty torwes na jego szyi. Pochrapywał cichutko. Ekkehard był dobrym chłopcem, ale bardziej sobie cenił trwające do późna bankiety i pieśni minstreli niż naukę.

Monika, całe szczęście, jeszcze tego nie zauważyła. Większość uwagi poświęcała córce Konrada, szczupłej dziewczynce, która odziedziczyła urodę po babce: była czarna jak jinnijski kupiec. Jej złoty torwes, zarezerwowany dla potomków królów w prostej linii, odbijał się pięknie od ciemnej skóry.

Berthold, idąc za wzrokiem Rosvity, wyszeptał przebiegle:

– Będzie wyjątkowo śliczna, gdy dorośnie.

– O jej babce też powiadano, że była wielką piękną, choć jej cera miała kolor inny niż ten, do którego przywykliśmy. Ale sam błogosławiony Daisan mieszkał na terenach, które teraz należą do Jinitów, więc może miał skórę równie ciemną?

– Nie oskarżysz człowieka dlatego, że jest wysoki lub niski, czarny czy biały, albo dlatego, że ma jakąś wadę postury – zacytował Berthold.

– Cicho – szepnęła Rosvita, podnosząc dłoń do ust, by ukryć uśmiech.

– Lordzie Bertholdzie – powiedziała Monika. – Albo zaczniecie mnie słuchać, albo wyjdziecie, pozwalając reszcie pracować w spokoju.

Skłonił głowę. Słowa Moniki, znane na pamięć, były nudne. Rosvita rozciągnęła się i pomasaowała plecy, próbując robić to ukradkiem, ale Berthold zauważył to i posłał jej współczujący uśmiech, zanim skończył ryc swe imię na tabliczce.

Nagle Rosvita usłyszała głosy, dochodzące z ogrodu przez okiennice, otwarte, aby wpuścić światło dnia. Reszta, dzieci i klerycy, skupieni na wykładzie Moniki, zdawali się je ignorować. Rosvita nie mogła.

Wielka Pani! Królewskie córki znów się kłóciły.

– Powiedziałam tylko, że to niemądrze pozwalać temu człowiekowi mieć taki wpływ na twoje decyzje.

– Jesteś zazdrosna, bo woli moje towarzystwo od twojego.

– To nieprawda, oczywiście. Obchodzi mnie twoja reputacja. Wszyscy wiedzą, że to szarlatan.

– Nieprawda! Zazdroszczą mu mądrości.

– A mnie się wydawało, że gniewa ich jego arogancja i ohydne maniery.

Rosvita westchnęła, odłożyła pióro, otarła palce i wstała, masując plecy. Berthold popatrzył na nią, zaskoczony; kazała mu zostać na miejscu. Monika ledwo skinęła jej głową,

zauważając odejście; bez wątpienia kleryczka wiedziała, co Rosvita zamierzała zrobić i aprobowała to.

Rosvita zbiegła po schodach, przecięła zakrystię – budząc mnicha, który zasnął – i wyszła do ogrodu różanego, aby ujrzeć dwie wspaniałe siostry.

Były dziwną mieszanką cech rodziców. Sapientia, jak jej matka, była mała, drobna i ciemna, ale poza tym odziedziczyła wygląd po ojcu, łącznie ze skłonnością do ciemnego rumieńca, pojawiającego się, gdy traciła nad sobą panowanie.

Theophanu była wyższa, miała mocniejszą i bardziej zaokrągloną figurę, a poza tym – po matce – niezwykle chłód usposobienia; wschodnia flegma, mawiali dworzanie, którzy nigdy do końca nie ufali królowej Sophii, chociaż szczerze opłakali jej śmierć. Bez wątpienia dlatego, pomyślała Rosvita bezlitośnie, że zdawali sobie sprawę, iż gdyby Henryk wziął drugą żonę, na dworze zapanowałyby nowe porządki.

– Jesteś wściekła, bo ojciec ma zamiar mianować mnie margrabiną Estfalii i oddać mi tamtejsze ziemie. Sama masz na nie chrapkę! – Kolor twarzy Sapientii przypominał barwę pnącą różę, rosnącą na murze; rózy czerwień służyła znacznie lepiej.

Przez osiemnaście lat Rosvita nigdy nie widziała, by Theophanu poniosły nerwy, nawet, kiedy księżniczka była mała. Niezwykła dziewczyna! Znała setki lepszych sposobów, aby wprowadzić starszą siostrę z równowagi.

– Ufam, że ojciec powiększy moje dobra, kiedy uzna to za stosowne. Zawsze uważałam, że to nieprzystojnie błagać o obowiązki, których nie zamierzał na mnie nakładać.

Rosvita zaczęła biec. Biedna Sapientia, której obelga musiała przypomnieć o wczorajszej awanturze, była bliska jednego ze swych słynnych ataków szału.

– Wasze Wysokości – powiedziała Rosvita, kiedy Sapientia nabrała powietrza – nareszcie was znalazłam! – Słowa odniosły oczekiwany efekt: Sapientia, której przerwano, straciła wątek.

Theophanu prowokacyjnie uniosła brew;

– Przynosicie wiadomości? – zapytała grzecznie, chociaż Rosvita doskonale wiedziała, że księżniczka nie dała się nabrać.

Przypomniała sobie list od ojca i podziękowała Bogini za inspirację.

– To tylko drobna sprawa rodzinna, nic wielkiego, ale z całą pokorą odwagę się pomówić o niej z Waszymi Wysokościami.

– Mów – zażądała Sapientia, biorąc dłoń Rosvity. – Zrobimy, co w naszej mocy.

Theophanu skinęła głową.

– Mam brata, Ivara, którego właśnie posłano do zakonu. Ma zostać mnichem w zakonie matki Scholastyki w Quedlinhamie. Myślałam, że mogłybyście zrobić mi zaszczyt i poprosić ciotkę Scholastykę, aby zaopiekowała się nim przez pierwsze kilka dni. Jest bardzo młody, dwa czy trzy lata młodszy od was, Wasza Wysokość – skinęła ku Theophanu. – I jak wnioskuje z tonu ojcowskiego listu, nie zamierzał wstępować do klasztoru.

– Jest młodszym synem – stwierdziła Sapientia. – Czego innego się spodziewał?

– Nie wiem. Spotkałam go raptem dwa razy. Urodził się co najmniej dziesięć lat po tym, gdy wstąpiłam do nowicjatu w Korvei. Jest dzieckiem drugiej żony mojego ojca, córki hrabiny z Hesbaye.

– A, tak, miała trzy córki z trzecim mężem. – Sapientia puścił rękę Rosvity i podeszła do nieczynnej fontanny. Cztery kamienne jednorożce, wspinające się na tylnie nogi, spoglądały na nią spokojnie, poznaczone śladami strumyczków, które tryskały niegdyś z ich grzyw i rogów. Zimowe burze uszkodziły konstrukcję i jeszcze jej nie naprawiono. Ojciec Bardo bardzo się kajał, kiedy król przybył do klasztoru w Hersfordzie i stwierdził, że czarująca ozdoba ogrodu nie działa.

Był ciepły wiosenny dzień. Kiedy zimna rosa nie chłodziła ogrodu, mozaikowy basen fontanny bardzo się nagrzewał.

– Jej córka, która jest teraz żoną Helmuta Villama, poparła mnie wczoraj – dodała Sapientia i zaśmiała się. – Ciekawe, kto pochowa więcej małżonków, Helmut Villam czy hrabina Hesbaye. Villam ma już piątą żonę, prawda? A czwarty mąż hrabiny nadal żyje. Będzie go musiała posłać na wojnę jak innych.

– Cóż za brak taktu – powiedziała Theophanu. – Nic dziwnego, że ojciec nie wysłał cię na wyprawę.

Sapientia odwróciła się od fontanny, zrobiła dwa kroki i uderzyła siostrę w twarz.

– Bogini, miej mnie w swej opiece – mruknęła Rosvita.

Twarcz Theophanu przypominała drewnianą maskę: księżniczka ani nie uśmiechnęła się triumfalnie, ani nie krzyknęła z bólu.

– Nie powinnaś kpić z ich śmierci.

– Spokój – rzekła Rosvita, stając między młodymi kobietami. – Nie kłóćmy się i nie uderzajmy, kiedy tracimy głowę. „Dobrze jest najpierw przemawiać”, powtarzał błogosławiony Daisan, kiedy jego uczniowie pytali go, co zrobić, gdy zostali fałszywie oskarżeni o czary.

– „Bo prawda nas uwolni” – dokończyła Theophanu.

Sapientia wybuchnęła gniewnym płaczem i uciekła. Z ukrytej ławeczki poderwała się pokojówka i pobięła za swą panią.

– Nie jestem pewna, czy takie prowokowanie siostry jest rozważne.

– Gdyby myślała, zanim coś powie... – Theophanu urwała, obróciła się i podeszła, by powitać mężczyznę, który wszedł do ogrodu. Podobnie jak dwie młode kobiety, on też nosił złoty torkwes, pleciony otwarty naszyjnik. Theophanu ukłękła. – Ojczy.

Rosvita poszła w jej ślady.

– Wasza Królewska Mość.

– Wstańcie, moja najcenniejsza kleryczko – powiedział król. – Mam dla was zadanie, które tylko wy możecie wykonać.

Rosvita wstała i spojrzała na króla. Jako młodzieniec był, podobnie jak teraz jego starsza córka, gwałtowny; teraz zaś miał poważny wyraz twarzy, nie pasujący do srebrzystych włosów.

– Jestem waszą sługą, Wasza Królewska Mość – uśmiechnęła się. – Wasza pochwała to zaszczyt.

– To szczerą prawdą, przyjaciółko. Pochlebicie mi, jeśli natychmiast wykonacie zadanie.

– Oczywiście.

– Ojciec Bardo mówił, że jest tu pustelnik, święty mnich, który żyje w celi w górach nad klasztorem. Jest stary i kiedyś, jak mówią, był scholarem.

Rosvita poczuła, jak serce zaczyna jej szybciej bić. Stary scholar! Opowieści takich ludzi zawsze przynosiły coś nowego.

– Znany jest z dobrej znajomości praw cesarza Taillefera, jego kapitularzy, które zaginęły. Jednak niechętnie przerywa kontemplację, jak twierdzi ojciec Bardo.

– Czy powinniśmy więc mu przeszkadzać, Wasza Wysokość?

– Muszę dowiedzieć się pewnych rzeczy dotyczących dziedziczenia. – Jego ton zdradzał poruszenie. Theophanu popatrzyła uważnie na ojca, ale zachowała milczenie. – Ojciec Bardo mówi, że ten mnich słyszał, że spisujecie historię dla mojej matki, i może zgodziłby się z wami porozmawiać. Może ciekawość wzięłaby górę nad cierpliwością – jak wszyscy wielcy, miał w lekkiej pogardzie poszukiwania ludzi Kościoła.

„Albo medytacja nad Świętym Słowem Pana i Pani nie przytłumiła jeszcze jego pasji poznawczej”. Rosvita nie odważyła się powiedzieć tego na głos.

– Myślicie o tym samym – powiedział król z uśmiechem.

– Zaiste.

– Wobec tego musicie mówić, co myślicie, jakże inaczej mógłbym korzystać z waszych mądrych porad?

Rosvita też się uśmiechnęła. Zawsze lubiła Henryka, o ile można lubić następcę tronu i później króla; ostatnio, kiedy znalazła się bliżej, nauczyła się go też szanować.

– Muszę więc zapytać, czy spodziewacie się, że odkryję coś specjalnego podczas tego spotkania?

Król zdjął rękę z głowy córki i rozejrzał się po ogrodzie. Za cyprysami Rosvita zobaczyła dwóch dworzan. Jednym był Helmut Villam, stały doradca i towarzysz króla; drugiego zakrywały liście.

– Gdzie jest twoja siostra? – zapytał Henryk. – Słyszałem, że spacerowałyście we dwie.

– Weszła do środka.

– Jeśli poczekaasz z Villamem, zabiorę cię na przejażdżkę.

– Poczekaam, ojcie – Theophanu wstała i oddaliła się. Rosvita dostrzegła Bertholda. Najwyraźniej wymknął się za nią, by przekonać się, o co poszło. Trzecią osobą była wspaniała Judith, margrabina Olsatii i Austrii. Towarzyszyło jej kilku służących.

Słońce, grzejące mocno w ogrodzie otoczonym murem, zniknęło nagle za chmurą.

– Wiecie, o czym się szepcze – powiedział Henryk. – Czego nie mówi się na głos.

Diukowie, margrabiowie, hrabiowie, biskupiny, klerycy i dworzanie na dworze królewskim mówili otwarcie o problemach: czy siostra króla, Sabella, wznieci rebelię? Czy Eikowie, jak chodziły słuchy, wylądowali na północnym wybrzeżu, prowadząc armię? Co skoposa w Darre zamierzała zrobić w obliczu herezji, która ponoć kiełkowała w Kościele?

Ale tylko jeden temat nie był otwarcie poruszany, wszyscy unikali rozmowy wprost. Podczas wczorajszej straszliwej popołudniowej kłótni i na kolacji, kiedy słyhać było ostre szepty, jednego imienia nie wypowiedziano.

– Sanglant – powiedziała, wymawiając imię po saliańsku: „sąglą”.

– Co takiego mówią o Sanglancie?

– Nie o nim, lecz o was. Mówią, że uczucie wzięło górę nad rozumem. Mówią, że czas już wysłać Sapientię na wyprawę, aby dowiodła, czy jest godna czy niegodna tronu. A jeśli nie Sapientię, to Theophanu.

– Theophanu nie jest tak lubiana.

– Nie, raczej nie.

– Ale bardziej się nadaje, Rosvito.

– Nie moją jest sprawą o tym decydować.

– A czyją? – zniecierpliwił się.

– Waszą, Wasza Królewska Mość. Taki ciężar nałożyli na władcę Pan i Pani.

Uniósł brew; ujrzała nagle, jak bardzo Theophanu była podobna do ojca. Dzwon zaczął bić, wzywając mnichów na sekstę. Poczula dym i zapach mięsa kładzonego na węgle. Po długiej przerwie Henryk odezwał się znów:

– Co mówią o Sanglancie?

Lepiej powiedzieć mu prawdę, którą znał, lecz ignorował.

– Że jest bękartem, Wasza Królewska Mość. Że nie jest prawdziwym człowiekiem. Inne przymioty, które niewątpliwie posiada i które są w pełni docenione, nie zrekompensują jego urodzenia i pochodzenia jego matki. – Zawahała się – I nie powinny rekompensować.

Wyglądał na zdenerwowanego, ale nie odpowiedział. Dzwony ucichły; słyszała szelest habitów mnichów, którzy szli do kaplicy na nabożeństwo.

– Pójdę na mszę – rzekł. – Ale wy, Rosvito, i tak odwiedzicie pustelnika. I dowiedziecie się, czy ten święty mąż zna precedens, w którym dziecko zrodzone z konkubiny lub innego nieoficjalnego związku uznano następcą tronu.

Jego głos cichł. Tylko ona go usłyszała. Ale wszyscy, którzy byli na królewskim dworze, znali uczucia Henryka: najstarszy syn, bękart zrodzony z kobiety Aoi, która zauroczyła Henryka podczas wyprawy, zawsze był ojcowskim faworytem, choć królowa Sophia dała mu potem troje dzieci, zdrowych na ciele i umyśle.

Ujrzała na jego twarzy dawną tęsknotę, uczucie, które nigdy nie wygasło, nigdy nie

zaznało spełnienia. Szybko wyparła ją jednak kamienna maska władcy.

– Zrobię, jak każecie, Wasza Miłość – rzekła, zgadzając się na nieuchronne. Choć taka obsesja nie mogła przynieść nic dobrego.

Rozdział dziewiąty

Smoki

1.

Dziesięć dni po wyjeździe ze Spokoju Serca Liath siedziała na starym murze i rozkoszowała się wiosennym słońcem. Była zmęczona, ale nie wyczerpana; bez towarzystwa Hugona szybko odzyskiwała siły.

Wolne chwile wykorzystwała na przyglądanie się temu, co działo się wewnątrz murów steleshamskiej fortecy: beczkom z barwnikami pod zadaszeniem, dwóm kotłom pełnym wrzątku, w których trzy kobiety mieszały filcowaną wełnę, rolnikom przy pracy, dwóm czeladnikom kowalskim, łączącym kolczugę małymi ogniwoami, rozłożonym futrom.

Tutaj, na dziedzińcu chronionym palisadą, stały pozostałości po starszej budowli. Orły założyły tu posterunek i użyły kamienia do budowy wieży obronnej. Zarządzająca i jej rodzina mieszkali w drewnianym domu, stajnie też zbudowano z drewna. Ze starego fortu został tylko szkielec, linie wyznaczające równonocę i przesilenia, mapę słoneczną. Widziała wzór i gdzieś tam odczytywała stare inskrypcje, wryte w kamieniu przez żołnierzy i rzemieślników, którzy tu kiedyś mieszkali.

„Lucian kocha rudą kobietę”.

„Estephanos jest winien Julii osiem quinionów”.

„Niech będzie wiadomym, że posterunek ten wzniesiono na rozkaz Arikai Tangashuana, pod auspicjami najwspanialszej Cesarzowej Thaisani, zamaskowanej”.

Liath przyklękła, aby ztrzeć pył z ostatniej inskrypcji, wrytej na kamieniu na wpół zagrzebanym w ziemi koło poidła. Jak długo tam leżał, tratowany przez konie i bydło, chłostany wiatrem i kurzem, zalewany deszczem? Zakaszła, wdychając kurz pędzony przez wiatr. Jej palce natrafiły na ubitą ziemię; inskrypcja, zasypana, ciągnęła się dalej.

– Zamaskowanej – powiedział za nią Wilkun. – Pogańskiej cesarzowej, przed którą błogosławiony Daisan stanął bez strachu i ogłosił Święte Słowo oraz Łaskę Pana i Pani

Jedności.

Zaskoczona, Liath zerwała się na równe nogi. Wilkun uśmiechnął się, obnażając zęby.

– Nie zaprzeczaj, dziecko, że umiesz to przeczytać. I twój ojciec, i matka wykształceni zostali w kościele, a kiedy miałaś sześć lat, potrafiłaś czytać po dariyańsku jak scholar wychowany w klasztorze.

– Na pewno nie – wyjąkała.

Jego uśmiech przestał być wymuszony.

– Może nie jak dorosły, ale jak na ten młody wiek zadziwiająco dobrze. Chodź. Jest tu zbrojownia, musimy dobrać ci odpowiednią broń. Siostrzenica pani Giseli wyszywa obramowanie na płaszczach dla ciebie i Hanny.

Hanna była już przy wieży, ważąc miecze. Trzymała je niezdarnie. Podczas dziesięciodniowej podróży Manfred i Hathui przetestowali umiejętności szermiercze dziewcząt i uznali je za absolutnie niewystarczające.

– Orły to nie żołnierze – mówiła Hathui, kiedy Liath i Wilkun zatrzymali się przy wzmocnionych żelazem drzwiach, które prowadziły do okrągłej komnaty na parterze wieży. – Ale musisz wiedzieć, jak się obronić przed bandytami i wrogami króla. Ech, kobieto, czy ty w ogóle coś umiesz?

– Umiem wydoić krowę, ubić masło, zrobić ser – parsknęła Hanna – porządnie nakarmić dwudziestu wędrowców, rąbać drewno, rozniecić ogień, zasolić i uwędzić mięso, uprząć len...

Hathui roześmiała się, opuszczając miecz. Nie była zaskoczona.

– Wystarczy! Wystarczy! – Kobiety starły się, zataczając koła, a Manfred użył kija, aby odgonić z podwórca pętające się po nim psy, kury i dzieci – Pani nagradza tych, co doglądają paleniska, bo ona sama nad nimi czuwa. Ale z mieczem sobie nie radzisz, Hanno. Manfredzie, daj jej oszczep. – Manfred zastosował się do polecenia, a Hanna rzuciła Liath tęskne spojrzenie – jakby chciała powiedzieć „Szkoda, że nie jesteś na moim miejscu”, po czym wręczyła mu miecz i ujęła oszczep.

– Ale kij. – Hanna zacisnęła dłonie na drzewcu. Spróbowała kilku markowanych ataków na manekina, stojącego na środku dziedzińca. Ku zaskoczeniu Liath, wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Thanymar i ja walczyliśmy na kije. Kiedy byliśmy młodszy, biliśmy się, żeby pasanie owiec szybciej minęło.

Hathui była nastawiona sceptycznie.

– Kiedy nauczysz się używać oszczepu, siedząc na koniu, będziesz miała się czym chwalić. Pieszy Orzeł w złym towarzystwie to martwy Orzeł. Owcom łatwo zaimponować.

Hanna zaśmiała się.

– Od dziesięciu dni siedzę w siodle i się nie poddałam, chociaż Pani jedna wie, gdzie jestem poobcierana! I na Boga, tego też się nauczę.

– A i tak musisz opanować szermierkę – ciągnęła Hathui, jakby nie słysząc słów Hanny.

Jastrzębionosa wciąż wyglądała groźnie, ale w kącikach ust czaił się uśmiech.

– Chodź do środka – powiedział Wilkun.

Liath schyliła głowę, przechodząc, bo niska futryna stanowiła kolejne zabezpieczenie, i natychmiast kichnęła. Otarła łzawiące oczy i zamrugała, gdy Wilkun zapalił pochodnię i zaczął myszkować po kątach. Ułożono tu worki z cebulą i marchwią, koszyki fasoli, groszku i jabłek, dzbany oliwy, drewniane beczułki z peklowanym mięsem. Coś się zepsuło. Za zapasami leżało pięć skrzyń, zamkniętych na żelazne skoble. Jedna była inkrustowana lwami z brązu. Tę właśnie otworzył Wilkun. Zawiasy, dobrze naoliwione, nawet nie skrzypnęły.

Liath podeszła do niego, miażdżąc po drodze coś, co zaśmierdziało zgniłym owocem. Zabrzęczała mucha.

– Hathui twierdzi, że jesteś dobra w walce na noże, czego, jak przypuszczam, nauczyłaś się od Bernarda, gdy podróżowaliście. Wydaje mi się, że jest tu ciągle użyteczny stary miecz. Znalezione go w forcie.

– Jakim forcie? – zapytała, a potem zrozumiała: tym forcie, starej dariyańskiej budowli wzniesionej na rozkaz Arkikai Tangashuana siedemset lat temu według naszego kalendarza. Teraz znano go jako Stelesham, gródek pod zarządem pani Giseli, oficjalny posterunek Orłów, pozostający pod opieką króla, a nie lokalnego hrabiego.

Wilkun podniósł przedmiot zawinięty w naoliwione szmaty.

– Jest krótszy i nie tak ostry jak nasze miecze, ale dla ciebie, kiedy nauczysz się szermierki, stanie się użytecznym narzędziem. Hathui wspomniała, że z nożem rzeźnickim świetnie sobie radzisz.

Kiedy odwijał szmaty, Liath zajrzała do skrzyni i wstrzymała oddech. Na pożółkłym płótnie leżał kołczan, a w nim łuk bez cięciwy. Kołczan zrobiono z czerwonej skóry, na której wytłoczono postać gryfa z rozłożonymi skrzydłami. Stwór trzymał w dziobie łeb jelenia; z jego rogów wyrastały orle głowy, jakby pożerane zwierzę przekształcało się w drapieżcę, który je zabił.

– Mogę? – spytała.

– Co znalazłaś? – zapytał Wilkun, ale ona już sięgnęła do skrzyni i wyjęła kołczan. – Ach – mruknął. – Barbarzyńska robota. Popatrz na jego kształt.

Łuk wygięty był w złą stronę, ale Liath dobrze знаła ten typ. Obróciła kołczan. Po drugiej stronie nie było dekoracji, tylko krąg dziesięciu wytłoczonych symboli, przypominających runy.

– Czy to litery? – zapytała Wilkuna. Wzruszył ramionami. – Mój ojciec miał taki łuk. Mówił, że pochodził ze wschodu. Tato powtarzał, że ta broń ma największy zasięg, i co dziwniejsze, sprawdza się w walce z konia. Nauczył mnie, jak się nim posługiwać, bo kiedy podróżowaliśmy... – urwała i spojrzała na Wilkuna, który klęczał na brudnej podłodze ze szmatami na kolanach.

– Podróżowaliście? – zdziwił się. – Ty i Bernard przemieszczaliście się od lat i nigdzie

nie zagrzewaliście długo miejsca.

– Aż do Spokoju Serca – powiedziała gorzko. Dopóki nie zaczęła taty błagać, by zostać jeszcze rok, a potem jeszcze jeden, aż w końcu zdarzyło się to, czego się obawiał: wrogowie ich dopadli. Dlaczego nie powiedzieć Wilkunowi prawdy? Nie było go przy śmierci taty. A poza tym i tak była zdana na jego łaskę i niełaskę. – Uciekaliśmy. Zawsze uciekaliśmy.

– Przed czym?

Jego spokój sprawił, że nagle ogarnął ją straszny gniew – na utratę ojca, na te wszystkie lata ukrywania się i ucieczki, które nie zdały się na nic.

– Może przed tobą.

Wilkun przez chwilę zastanawiał się nad tymi słowami, a potem podniósł się z krótkim mieczem w dłoniach.

– Mówiono, że jako młody frater Bernard podróżował po dalekich i egzotycznych krainach. Posłano go tam, aby niósł Święte Słowo żyjącym w ciemności, ale niewiele wiem o tych podróżach.

– Tato był fratrem? – wyjąkała zaskoczona.

– Nie wiedziałas, dziecko?

Pokręciła głową.

– A jak myślisz, gdzie się uczył? Nie znasz jego rodziny?

Znów zaprzeczyła. Zastanawiała się, czy Wilkun znał historię ojca, ale nie odważyła się zapytać – aby on nie zaczął jej zadawać pytań – i nie sądziła, że sam zacznie mówić.

– To niezbyt wysoki ród, ale podążyli na wschód w czasach cesarstwa, kiedy Taillefer próbował podporządkować sobie Wendar. To, że mu się nie powiodło, nie przynosi mu ujmy, bo plemiona wendarskie były wtedy dzikie i nie znały Jasności Bożej. Rodzina Bernarda pobudowała się na ziemiach, które nawet teraz, gdy król Henryk wysłał kolonistów za Eldar, aby rozciągnąć królestwo na wschód, uważane są za krainę barbarzyńców.

– Mam żyjących krewnych? – Była od tak dawna samotna, najpierw w domu rodziców, potem w podróży z ojcem, że nie potrafiła wyobrazić sobie posiadania rodziny, z którą łączyłyby ją więzy krwi.

– Większość członków rodu wstąpiła do zakonów, więc nie mieli wielu dzieci. Podczas kryzysu dynastycznego za Arnulfa Starszego niestety poparli niewłaściwą stronę i stracili łaski króla, a nimi większość ziem. Bernard miał kuzynkę, ale jej włości to tylko smutne wspomnienie tego, co posiadała ich wspólna babka. Ma ona syna, który służy w Smokach, i pewnie go niedługo spotkamy. Drugi syn jest mnichem w klasztorze świętego Remigiusza. A ich siostra pewnie już wyszła za mąż.

– Gdzie jest ten majątek? Skąd to wiesz? – I pytanie, którego nie mogła zadać: „Dlaczego tato nigdy mi o tym nie mówił?”

– W pobliżu Bodfeldu. Od dawna zajmowałem się wszystkim, co ciebie dotyczy. Liath – Te słowa, niemal bezlitosne, sprawiły, że zadrżała i cofnęła się o krok. – Towarzyszyłem twej

matce w innych poszukiwaniach i łączyły nas więzi, których jeszcze nie rozumiesz.

– Jakie więzi? – zapytała, wcale nie chcąc pytać. Tyle chciała wiedzieć o rodzicach.

– Twoja matka należała do tych, których zwą magami. Ja też do nich należę.

– Ale... – ledwo mogła wykrztusić słowo. „Jesteś odporna na magię, Liath”, powtarzał tato. A jednak wypaliła w drewnie Różę, nie parząc się. – Dlaczego jesteś w Orłach?

– Dobre pytanie. Kiedy przysięgałem Orłom, byłem mniej więcej w tym samym wieku co ty. Kiedy dostaniesz odznakę Orłów, nie możesz ich już opuścić. Tak samo jest z mężczyznami i nielicznymi kobietami, przysięgającymi służyć w Smokach: prędzej umrą niż odejdą. I z pieszą gwardią królewską, Lwami, chociaż mówi się, że często można spotkać starego Lwa odpoczywającego na polu, kiedy żona zarządza domem.

– Jak poznałeś moich rodziców?

– Skrzyżowały się nasze drogi. Co wiesz o magii, Liath?

– N... nic – język jej się zdradziecko zaplątał.

– Musisz mi zaufać, dziecko.

– Jak mogę zaufać tobie czy komukolwiek innemu? – Czara się przelała. Zaciśnęła palce na kołczanie, gładkie drewno łuku gniotło jej biodro. – Tato i ja przez tyle lat na próżno uciekaliśmy. Nie wiem, kto go zabił. To mogłeś być ty albo twoi ludzie. To mógł być ktoś inny, twój przeciwnik. Ale ja tego nie wiem! Tato nie uczył mnie zakazanych sztuk. Nie wiem prawie nic o świecie. Nie wiedziałam nawet, że miał kuzynkę, dom, do którego mogliśmy uciec... – urwała, widząc gorzki uśmiech na twarzy Wilkuna.

– Kiedy Bernard opuścił Kościół, rodzina się go wyrzekła. Odszedł z powodu godnego pogardy, z miłości do kobiety; twojej matki, Anne.

Zaczerwieniła się ze wstydu.

– Wielu w Kościele twierdzi, że poświęca się tylko naszym Panu i Pani, ale nie dotrzymują ślubów. – Musiała spojrzeć w bok. Drżała, dłonie miała zimne. „Hugo”.

– Ale rzadko odchodzą z Kościoła. Odpuszczenie naszych grzechów zależy od łaski boskiej. Błąd można wybaczyć, jeśli się odprawi pokutę. Ale Bernard odwrócił się od Kościoła. Jak mniemam, przystał do Herezji Noża, a potem spotkał Anne. Dla jego rodu, z którego wywodziło się wielu świętych, było to praktycznie równoznaczne z wyrzeczeniem się nauk błogosławionego Daisana i Kręgu Jedności.

– To nieprawda!

– Szepcze się, że matematycy, ci, którzy obserwują niebo i wpływ, jaki wywiera ono na Ziemię, nie czczą naszej Pani i Pana, tylko demony powietrza, które mają większą od nas wiedzę, lepszy wzrok, są stare jak świat, niższe od aniołów, ale zbyt dumne, by słuchać Pani i Pana czy wejść do Komnaty Światła.

– Ale to nieprawda! Tato nie wierzył w takie rzeczy. Był dobrym człowiekiem. Modlił się jak każdy.

– Nie mówiłem, że to prawda. Powtórzyłem tylko, co ludzie rozpowiadają o tych, którzy

posiedli starożytną wiedzę na temat magii. Zapamiętaj to, Liath.

– Tato zawsze mówił – mruknęła – że ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć, niezależnie od tego, czy to prawda. – Powstrzymała łzy, otarła nos wierzchem dłoni. – Ale ja jestem odporna na magię, mistrzu Wilkunie. Nieważne więc, co umiem.

– Doprawdy?

– Długo jeszcze będziecie się grzebać? – zapytała Hathui od drzwi, zaglądając do środka i patrząc ku pochodni, którą Wilkun umieścił w żelaznym uchwycie. – Biedna Hanna jest wykończona i musi zająć się swymi siniakami. Czy możesz oddać mi Liath?

Wilkun wstał. Liath podążyła za nim. Oparła kołczan o ścianę i wzięła miecz, sprawdzając jego wyważenie. Był ciężki, ale nie aż tak, aby nie mogła się przyzwyczaić do jego wagi.

– Dobra broń – stwierdziła Hathui. – Wykuta, aby zabijać, nie ozdabiać jakiegoś paniczyka, za którego inni walczą.

– Ty nie jesteś szlachetnie urodzona, Hathui? – zapytała Hanna. Zmęczona, podparła ścianę, ale nie chciała usiąść.

Hathui parsknęła.

– Myślałaś, że jestem? Moja matka to wolna chłopka, nie ma nad sobą pana. Ona, jej siostra i brat dawno temu ruszyli na wschód. Było to wtedy, kiedy młodszy Arnulf po raz pierwszy nadał ziemię tym, którzy zdecydowali się przekroczyć Eldar i zbudować domy na pogańskich ziemiach. Moja ciotka nie żyje. Zabili ją Qumanowie. Moja matka i wuj ciągle uprawiają swe pola. Więcej ich mają niż ktokolwiek w naszej dolinie. A to co? – Potarła ostrze przy jelicu. Litery, wyczyszczone jej potem, zalsniły w słońcu.

– Ten dobry miecz jest przyjacielem Luciana, syna Livii – przeczytała odruchowo Liath. Czy miecz należał do tego samego Luciana, który w kamieniu utrwalał swą miłość do rudowłosej? Potem zdała sobie sprawę z zaskoczonych spojrzeń. Troje dzieci, dotychczas trzymających się na uboczu, podeszło bliżej, gapiąc się na dziwnie wyglądającą młodą kobietę, która nie nosiła habitu, a potrafiła czytać – i to takie stare słowa. Liath przypomniały się słowa Wilkuna: „Powtórzyłem tylko, co ludzie rozpowiadają”.

– Nie wiedziałem, że jesteś kształcona – powiedział Manfred, tak zaskoczony, że aż przemówił.

Hathui kaszlnęła i pogoniła dzieci.

– Edukacja nie ocali ci życia, kiedy napadnie cię poganin. – Kazała Liath stanąć na podwórku, o który Gisela dbała tak dobrze, jak Birta o dziedziniec przed karczmą. – Pamiętaj, dziewczyno – dodała niemal współczująco – że najlepsza jest broń, którą lubisz. A teraz stawaj. Zobaczymy, co umiesz.

Hathui była szybsza, silniejsza, wyższa, a długi miecz dawał jej lepszy zasięg, ale po kilkunastu krokach stwierdziła, że Liath w swoim czasie osiągnie w szermierce poziom wystarczający, by się obronić. Liath dyszała, splywała potem, a na pośladku miała

olbrzymiego siniaka, nabitego płazem miecza.

– Manfred przytnie kije do długości wybranych przez was mieczy – dodała Hathui, a Liath i Hanna skrzywiły się. – Na każdym postoju będziecie ćwiczyć.

Liath pokuściła do ściany, oganiając się od kurczaków, wręczyła miecz Hannie i wyjęła łuk. Obróciła go, oglądając z daleka, potem przybliżyła do oczu. Mogła rozróżnić trzy warstwy: drewno i dwie warstwy rogu sklejone razem na łożysku i wzmocnione ścięgna. Pomalowano go na szkarłatny kolor: farba pokryta była siateczką drobnych pęknięć. Na końcach łuku umieszczono brązowe uchwyty w kształcie gryfich głów. Ich dzioby trzymały cięciwę. Łuk wyglądał na nieuszkodzony.

W kołczanie znalazła jedwabną cięciwę. Polizała palce i przeciągnęła nimi po cięciwie, by ją wygładzić. W końcu ujęła łuk między kolano i biodro i naciągnęła ze stęknieniem.

Wypróbowała, mierząc ku palisadzie. I nagle ujrzała, że na wewnętrznej warstwie rogu wyryto małe sploty, które się ze sobą splatały, jak salamandry o oczach poznaczonych niebieską farbą. Między nie wpleciono starożytne litery, spadające jak wodospad. Przeczytała je:

„Zwą mnie Poszukiwaczem Serc”.

Hathui przy poidle polewała twarz i włosy. Ociekając wodą, kazała Hannie zrobić to samo. Stała przy Liath, aby obejrzeć łuk.

– Qumańska rzecz – powiedziała bez podziwu. – Znam ten typ. Wiele z nich zebraliśmy z trupów. A potem zdzieraliśmy z nich farbę, żeby się pozbyć tych brzydkich pogańskich wzorków. Ich robota. Robią łuki krótsze niż my, wygięte w drugą stronę. Ale równie śmiertelne. A do tego zatrują strzały. Dzikusy! – Splunęła na ziemię.

Litery przypominały starożytne darijańskie znaki, ale w subtelny sposób różniły się od tych, które wyryto w kamieniu czy na jelu nowego miecza, i tych, które widywała w skryptoriach klasztorów, gdzie czasami zatrzymywała się z tatą.

Poszukiwacz Serc. Słowa cisnęły jej się na usta, ale nie mogła ich wymówić. Nikt inny ich nie zauważał. Tylko wewnętrzna strona łuku, ta, na którą patrzył łucznik, mówiła. Liath milczała. Tato powtarzał: „Słowo wylatuje wróblem, a wraca wołem” i: „Zachowaj milczenie, Liath! Opowiadać głośno o sekretach to jak otwierać skrzynię z kosztownościami przed każdym napotkanym człowiekiem i oznajmiać bandytom o swym majątku”.

Jak *Księża tajemnic*. Nie spozrzała ku stajniom, w których spoczywały jej juki. Wilkun na pewno podejrzewał, że zabrała książkę ze sobą; widział ją w rękach Hanny. Nigdy o niej nie wspominał, nie pytał i samo to milczenie wydawało się Liath podejrzanym.

– Skąd się tu wziął? – spytała Liath, pokazując łuk.

– Nie widziałem go wcześniej – odparł Wilkun. – Ale ostatni raz byłem tu pięć lat temu.

– Ja dwa – rzekła Hathui. – Nie przypominam go sobie. Manfred?

Pokręcił głową i wyciągnął rękę po łuk. Po krótkim wahaniu Liath wręczyła mu broń. Obrócił go, obejrzał, wyjął strzałę z kołczanu i strzelił w palisadę. Kiedy z głuchym stukaniem wbiła się w drewno, kurczaki się rozbiegły, psy zaczęły szczeleć, a dzieci wrzeszczeć.

Zamruczał z zadowoleniem i oddał łuk Liath. Nie powiedział nic o rzeźbieniach.

Z domu wynurzyła się pani Gisela. Jej dwór – kobiety z twierdzy – dreptał za nią. Liath widziała kobiety, dzieci i mężczyzn, pracujących na polach wokół Steleshamu, przez które przejeżdżali rankiem. Gisela była tęgą kobietą, a jej błękitne oczy patrzyły władczo. Trzymała w dłoni łyżkę moką od gulaszu; jego zapach sprawił, że Liath ślina napłynęła do ust. Za Giselą dziewczynki z wrzecionami tkwały lniane nici.

– Mam nadzieję, mistrzu Wilkunie – powiedziała surowo Gisela – że nie zamierzacie w tych murach urządzać sobie zawodów. Nie mam nic przeciw szermierce, ale z łukami proszę na zewnątrz. Moje dzieci i kury są mi bardzo drogie.

– Wybaczcie, pani – rzekł Wilkun. Wskazał łuk i kołczan. – Pamiętacie, kiedy się znalazł w Steleshamie?

Zmarszczyła brwi.

– Nigdy go nie widziałam, najlepiej zapytajcie kowala. On wie, która broń zostaje, a którą zabierają.

Fakt, że Stelesham miał własnego kowala, był dowodem prestiżu i opieki królewskiej. Kowal, mały okrągły mężczyzna, którego skóra po latach pracy przy palenisku była niemal tak brązowa jak skóra Liath, nie znał łuku i kołczanu i nie miał pojęcia, kiedy i skąd broń przywędrowała do Steleshamu. Nikt nic o niej nie wiedział i Gisela zagoniła dzieci z powrotem do pracy, a kobiety do tkania.

Na południowy posiłek podała pieczone kurczaki, pory, chleb, ser, owsiankę z miodem i jabłka. Kiedy skończyli jeść, wzniesli toast za świętą Bonfilię, której dzień wypadł, Gisela pozwoliła swej siostrzenicy, ładnej jasnowłosej dziewczynie, przynieść nowe płaszcze.

– Utkane zeszłej zimy – powiedziała. – Z andallańskiej wełny z gór Pyraniów. Wełna z tego regionu jest szczególnie ciepła i wytrzymała. Mąż, kuzynki przywiózł cztery wory z Medemelachy.

– Medemelacha leży daleko stąd – zauważył Wilkun.

– Pływa tam co drugi rok – rzekła Gisela z dumą. – Mamy porządny dwór i gdyby król z orszakiem tu przyjechał, miałby co jeść!

– Uważajcie, czego sobie życzycie – mruknęła Hanna. – Wyobrażam sobie, jak to jest karmić tych wszystkich ludzi, którzy podróżują z królem.

– Od sześciu lat król nie był w Gencie – rzekł spokojnie Wilkun, jakby nie słysząc przechwałek Giseli. – A biorąc pod uwagę kłopoty, o których słyszeliśmy, może wasze życzenie się spełni.

Pokiwiała głową.

– Smoki przejeżdżały tędy nie dawniej, jak dwanaście dni temu, mówiłam wam. Bardzo im się spieszyło i mogłam im tylko uzupełnić zapasy, kiedy kowal naprawiał zbroje i broń. A potem ruszyli dalej.

Liath zauważyła ze zdziwieniem, że siostrzenica Giseli zaczerwieniła się ogniście i ukryła

twarz w płaszczach.

Gisela zacmokała.

– Oj, tak, mam nadzieję, że Smoki odgonią Eików. Gent jest tylko trzy dni jazdy stąd, przy dobrej pogodzie. Mąż mojej kuzynki wyrusza z Gentu, z biegiem Veseru, a potem na północne morza i wzdłuż wybrzeża ku Varre, i dalej na południe, aż do Salii, do portów handlowych. Jeśli Eikowie nadal będą na nas napadać albo, jak niektórzy mówią, zaczną inwazję, cóż! – Wyrzuciła ręce w górę, ale Liath podejrzewała, że Gisela chwaliła się słuchaczom koneksjami swej ważnej rodziny. – Jak będziemy handlować z portami, jeśli rzeka dostanie się w ręce barbarzyńców?

– Nie wiem. Wasza gościnność była wyjątkowa, pani Giselo. – Wilkun wstał. – Ale musimy jechać.

Na ten znak wszyscy się podnieśli.

– Chodź, dziecko – rzuciła Gisela. Siostrzenica, ciągle czerwona, podeszła z ociąganiem i pokazała Wilkunowi płaszcze. Wziął je i wręczył po jednym Hannie i Liath.

– Jakie wspaniałe! – powiedziała zaskoczona Hanna.

– Dziękuję – odparła Gisela. – Zapewne dojdzie do waszych uszu, że Stelesham słynie z tkactwa. Zatrzymuję tu tylko te kobiety, które są dobrego zdrowia i radzą sobie wyjątkowo sprawnie. Inne sprzedaję albo wysyłam na pola do pracy z mężczyznami. Córki moich krewnych, które są biegłe w igle, mieszkają tu aż do ślubu.

Liath uśmiechnęła się, gładząc gruby szary płaszcz. Brzegi wykończono materiałem w kolorze krwi, wyhaftowanym od dołu do góry w złote orły. Podeszła do siostrzenicy.

– To ty haftowałaś? – spytała. Ślicznotka skinęła głową i znów się zaczerwieniła. – Jest bardzo piękny. Będę zawsze o tobie myślała, gdy go włożę.

Dziewczyna uśmiechnęła się i zapytała głosem tak cichym, że Liath ledwo rozróżniała słowa:

– Spotkacie się ze Smokami?

– Tak sądzę.

– Mogłabyś może zapytać... – urwała, przerażona, a potem dokończyła. – Nie. Nie będzie o mnie myślał.

– Słucham?

Reszta wyszła już. Liath podążyła za nimi. Stajenni siodłali konie. Hathui już siedziała w siodle, nie mogąc się doczekać odjazdu.

– Ja sobie radzę – mówiła Hanna – ale boję się, że Liath nie jest jeszcze wystarczająco silna. – Rzuciła okiem ku drzwiom i ujrzała przyjaciółkę. – Wiesz, że to prawda – dodała gniewnie.

– Jestem wystarczająco silna. – Liath nie chciała zostać w Steleshamie, podczas gdy reszta jechała do Gentu. Chciała zobaczyć Smoki, żołnierzy, wśród których pragnął służyć Ivar – jego marzenie już się nie spełni. Chciała spotkać kuzyna taty. „Krewniaka”.

A poza tym nie mogła opuścić Hanny i Wilkuna. Tylko oni osłaniali ją przed Hugonem. Gdyby została na miejscu, dopadłby ją. Wiedziała o tym.

– Sądzę, że Liath jest wystarczająco silna – powiedział łagodnie Wilkun. – Wyzdrowiała szybciej, niż się spodziewałem. – Podeszedł do nich i gestem nakazał, aby się nie ruszały. Brązową broszą spiął na ramieniu Hanny nowy płaszcz, potem zajął się Liath. Jego dłonie ruszały się szybko i pewnie.

– Ten płaszcz oznacza, że Orły was chronią – powiedział, a potem kazał im dosiąść koni.

– Orły noszą też pieczęć królewską jako odznakę – powiedziała Hanna, która, jak jej matka, zawsze zwracała uwagę na szczegóły.

– Jeszcze nie zasłużyliście na prawo noszenia odznaki – Dotknął tej, którą nosił przypiętą do koszuli. – Musicie nauczyć się zasad, wedle których działa Orzeł. I musicie przysiąc, że ich nie złamiecie. – Urwał, patrząc na Hathui i Manfreda. Oboje nosili pieczęć, wyciśniętą w okrągłych odznakach. I chociaż byli znacznie młodszy od Wilkuna, ich odznaki nie wyglądały na nowe.

Z pól dobiegł śpiew. Brama stała otworem, a dwóch chłopców wywlekało z chlewika dwa kwiczące i wrywające się prosięta, które zamierzali zarznąć na wieczerzę. Hathui, która nie mogła dłużej czekać, popędziła konia za bramę.

– A do tego – dokończył Wilkun – nikt nie dostaje odznaki Orłów, dopóki nie ujrzy, jak umiera jego towarzysz. Śmierć jest zawsze blisko. Nie staniemy się prawdziwymi Orłami, dopóki tego nie zaakceptujemy i nie pocujemy, że jesteśmy gotowi zapłacić życiem za służbę dla naszego króla.

2.

Dziesięć dni po wyjeździe ze Steleshamu Liath wraz z Wilkunem i resztą Orłów jechała przez równiny na zachód od Gentu, prac przez fałę uchodźców. Ludzie szli, jechali, prowadzili krowy i osły, nieśli klatki pełne drobiu. Ciągnęli dzieci, skrzynie i wory wypełnione rzepą, słojami i koszami ze zbożem. Stara droga zaśmiecona była porzuconym bagażem; nierzadko jedyne, co zdołali unieść z pogromów, to własne głowy. Wilgotna ziemia zamieniła się w błoto. Tam, gdzie pobocza nie porastał las, trawę zryły koleiny, znaczące nowe ścieżki wydeptywane przez uchodźców.

Wilkun zauważył szlachcica odzianego w lnianą tunikę w orszaku złożonym z dwóch wozów, pięciu służących i dziesięciu krów. Odciągnął go na bok. Rozmowa była krótka; lord odjechał na zachód, a Wilkun wrócił zaszępiony jak nigdy.

– Czy to są mieszkańcy Gentu? – zapytała Liath, rozglądając się. Nie mijaly ich olbrzymie rzesze, ale uciekających przybywało; Liath nigdy przedtem nie widziała takiego tłumu. Jedyne podróżnikami byli zawsze ona i tato, kupcy, którzy handlowali między miastami, fratrzy, klerycy, posłańcy kościelni i królewscy.

Fratrzy przypomnieli jej o Hugonie; zamknęła oczy. Zemdlilo ją; ledwie powstrzymała się od spoglądania przez ramię. Jakimś sposobem znał jej położenie; czuła to.

– Nie, dziecko. To rolnicy z zagród otaczających miasto. Gent ma mury – głos Wilkuna otrzeźwił ją.

– Dlaczego nie uciekli do miasta?

Wilkun pokręcił głową.

– Nie umiem powiedzieć. Ale to źle wróży tym, którzy zostali w Gencie.

Ludzie wołali do nich:

– Niesiecie wieści od króla?

– Co z hrabiną Hildegardą? Przybyła wreszcie? Mówią, że zebrała swój ród i jedzie na odsiecz.

– Kiedy Eikowie odejdą? Kiedy będę mógł bezpiecznie wrócić do domu?

– Czy król Henryk przyprowdzi armię? – zapytała stara kobieta w spódnicy poplamionej świeżym błotem.

– Nie ma tu Smoków? – odwrzasnął Wilkun.

– Tak ich mało, a Eików tak wielu.

– Jak wielu? – zapytał, ale ona pociągnęła swój wózek. Biegło za nim sześcioro dzieci o twarzach ściągniętych strachem.

Po południu napotykali tylko pieszych. W końcu natknęli się na diakonisę, idącą na piechotę jak wieśniaczka, w habicie ubrudzonym błotem. Służący prowadzili dwa muły, jednego obładowanego masywnym srebrnym Kręgiem, który ozdabiał Palenisko, drugiego w pośpiechu zwiniętym ornatem wyszywanym złotem, księgami i kielichem, ocalonymi z porzuconego kościoła.

– Nie jedźcie dalej, szlachetni – powiedziała do Wilkuna, nakazując służącym zatrzymać się. – Zawróćcie, dopóki jesteście bezpieczni. Powiedzcie królowi, że Gent jest oblężony.

– Dlaczego nie schroniliście się w mieście? – zapytał Wilkun.

– Pustoszą wioski wokół. – Liath pomyślała, że diakonisa była niezwykle spokojna wobec takiego nieszczęścia. – Są wszędzie, dobry posłańcu. Gent jest otoczony. Nauczałam na zachód od miasta, więc mogłam uciec, kiedy wszyscy moi parafianie odeszli bezpiecznie. Nie wiem, co się dzieje na wschodzie, od dwudziestu dni unosi się tam dym, jakby wiele ogni płonęło.

Hathui wzięła głęboki wdech.

– Stare i nowe ognie – powiedziała, wężąc. – I pył, jak od armii. – Popatrzyła na zachód i na wschód. – Widzicie – rzekła do Liath i Hanny – niebo i chmury mają inny kolor. Patrzcie i uczcie się. – Znów powęszyła. – Jeszcze jeden zapach, jak stęchłe powietrze. Dziwne.

Machnęła ręką na Manfreda. Mężczyzna pojechał naprzód, minął diakonisę i jej służbę, zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt kroków dalej i popatrzył na wschód. Jeszcze nie mogli dostrzec nad drzewami wież katedry.

Liath mogła wyczuć tylko ciężki zapach deszczu nadchodzącego z północy, znad morza. Wisiały tam czarne chmury, choć niebo na wschodzie wciąż pocięte było pasmami błękitu.

– Znad morza idzie burza – powiedziała diakonisa, strzepując błoto z rękawa, a potem westchnęła, uświadamiając sobie bezsensowność tego gestu. – Muszę iść. Wiozę ze sobą kość palca świętej Perpetui. Taka relikwia nie może wpaść w ręce dzikusów.

– Jedźcie więc – odparł Wilkun.

– I wy, z moim błogosławieństwem. – Nakreśliła znak w powietrzu, zanim ruszyła; jej nerwowi służący przyjęli to z ulgą.

Wilkun jeszcze bardziej zmarszczył czoło. Nie ujechali nawet dwustu kroków, kiedy koń Manfreda na przedzie zadrzał nagle i spróbował skoczyć w tył. Wilkun i Hathui natychmiast dobyli mieczy, a Manfred okiełznał wierzchowca. Reszta koni poczuła coś niepokojącego i zaczęła się cofać, kładąc uszy po sobie. Liath zapała się w strzemionach, owinęła luźno wodze wokół łęku siodła i sięgnęła po łuk. Nałożyła strzałę.

Droga mijala zagajnik zasłaniający widok na wschód; w szerokim zakręcie strumienia płynącego ku Vesperowi leżały pola porośnięte młodą trawą.

– Tam będą – powiedziała Hathui, wskazując zagajnik.

Zbyt spokojnie, pomyślała Liath.

– Bogini, boję się – szepnęła Hanna, podjeżdżając do Liath. Wyjęła oszczep z uchwytu i oparła go o czubek prawego buta.

– Na pola – zarządził Wilkun. – Na otwartej przestrzeni możemy ich wyprzedzić.

Skreścili w lewo i ruszyli przez pole. Zielona trawa ugięła się pod kopytami i prostowała za nimi. Liath spoglądała przez ramię ku drzewom, jedną ręką trzymając wodze, drugą ściskając łuk i strzałę. Mżawka moczyła jej włosy, ale nie odważyła się naciągnąć kaptura, aby nie ograniczać sobie pola widzenia. Wiatr przyniósł zapach, który przestraszył konie.

Był suchy jak zapyłone gorące powietrze. Jak kamienie, które popękały z gorąca albo jak piżmo w smoczej grocie.

– Jazda! – wrzasnęła Hathui.

Tam! Spomiędzy drzew wypadły trzy stalowoszare psy, największe, najbrzydsze bestie, jakie Liath w życiu widziała. Za nimi gnało pięciu Eików. Trzymali włócznie i nagle, jak na komendę, rzucili nimi. Większość padła w trawę, ale jedna wbiła się w ziemię tuż przy koniu Hanny; zwierzę stanęło dęba. Hanna runęła na ziemię jak worek.

Hathui natychmiast zeskoczyła z konia.

– Liath! – krzyknął Wilkun. – Gnaj do miasta!

Teraz, kiedy drzewa nie zasłaniały widoku. Liath widziała odległą wieżę katedry, szary kamień wznoszący się ku szaremu niebu na tle spiralnych wstęg dymu.

Hanna pozbierała się, a potem krzyknęła, łapiąc się za kolano. Manfred jechał już na Eików, wznosząc miecz. Stwory pokonały połowę dzielącej ich odległości. Psy biegły przodem, pod wiatr.

„Nie mogę jechać”

Liath nagle pojęła, że nie odjedzie, dopóki Hanna nie będzie bezpieczna. Bez Hanny...

– Bez Hanny byłabym martwa – powiedziała głośno. Tylko jej naprawdę ufała. – Mój jedyny obrońca – dodała, podniosła łuk, założyła strzałę i naciągnęła cięciwę.

Wycelowwała w jednego z psów. Widziała go dokładnie. Z jego szczęk i długiego wiszącego jęzora ciekła ślina. Był zaprawdę potworny, miał wielkie kły, pusty brzuch i długie łapy.

Strzeliła.

Pies padł, wyjął upiornie. Dwa pozostałe wpadły na niego i ku przerażeniu Liath zaczęły go rozrywać na strzępy.

To zamieszanie, opóźniające atak Eików, pozwoliło jej ponownie naciągnąć cięciwę. Popatrzyła na wroga, który biegł dokładnie na linii jej strzału, dojrzała jego włosy, zaplecione w białe jak śnieg warkocze. Strzeliła.

Padł jak kamień, ze strzałą w brązowej piersi. To skóra czy zbroja? Przerażona, nie mogła się ruszyć. Jej dłonie błędziły w poszukiwaniu kołczanu. Skomlenie napełniło powietrze, kiedy Eikowie obwąchiwali martwego towarzysza, ale jeden, a za nim drugi i trzeci, skoczyli ku Manfredowi. Czwarty rzucił się na psy i kułakami odpędził od rozrywanego ścierwa.

Z lasu wynurzył się jakiś tuzin Eików i ze cztery psy. Ich wycie i wysokie szczekanie raniło jej uszy, choć nie potrafiła odróżnić, które stworzenia wydawały te dźwięki. Ruszyli w dół wzgórza ku pięciu Orłom.

– Liath! – Wilkun zatrzymał się przy niej. – Jedź! – Jedną dłonią wykonał bezużyteczny, niezrozumiały dla niej gest. Przez chwilę poczuła delikatny nacisk: „Powinam jechać. Mam jechać do Gentu”. Otrząsnęła się, zacisnęła dłoń na strzale. Nałożyła ją na cięciwę.

Ten jeździec też miał włosy białe jak mleko. Jego tors pomalowano na biało, niebiesko i żółto; spod farby błyskała miedź, jakby skórę pokryto warstwą metalu. Strzeliła.

Padł ze strzałą w piersi.

Trzech najeźdźców dopadło Manfreda, wywijającego oszczepem. Hathui wepchnęła Hannę na konia i złapała wodze swego wierzchowca. Zasypał je deszcz włóczy i Hathui cofnęła się; z jej lewego biodra płynęła krew. Wilkun ruszył naprzód, by pomóc Manfredowi. Hanna wyciągnęła rękę do Hathui, ale ta złapała się lęku i wciągnęła na siodło.

Liath naciągnęła cięciwę. Tam! Topór spadający na plecy Manfreda. Wypuściła strzałę.

Stwór cofnął się i runął na ziemię, topór wypadł mu z ręki. Zostało dwóch, nie licząc tuzina gnających przez pole i morderczych psów. Jeden z nich ugryzł konia Manfreda; wierzchowiec wymierzył mu tęgiego kopniaka. Manfred złapał się lęku, niemal wypuszczając oszczep.

Wszystko działo się zbyt szybko, by zarejestrować coś poza własnym strachem, ich nieludzkimi twarzami, ostrym klusem, szybszym niż bieg jakiegokolwiek człowieka, błyszczącymi, ostrymi kościstymi szponami, i straszną dziwną skórą, przypominającą

łuskowaty metal, a nie ciało.

Eików było zbyt wielu, a Orłów zbyt mało. Znów strzeliła, ale jej dłonie drżały tak strasznie, że posłała strzałę dwadzieścia kroków od napastników atakujących Manfreda. Było za późno; jeszcze dwadzieścia oddechów i rzuci się na niego reszta.

Granie rogu.

Brzmiał jasno i czysto. Jakby podkreślając ten dźwięk, przez chmury przedarło się słońce. Liath usłyszała konie.

Tam! Na wschód od zagajnika pojawiło się sześciu jeźdźców w zbrojach i hełmach inkrustowanych brązem; ich złote kubraki znaczył złowrogi czarny smok, czarne płaszcze powiewały na wietrze. Dwóch Eików atakujących Manfreda odskoczyło i pognało ku towarzyszom. Z zagajnika dobiegł przeszywający, głośny gwizd. Liath jęknęła i prawie upuściła łuk. Jeden z psów pobiegł ku wzgórzu; drugi zawahał się, a potem ruszył na jeźdźców, którzy niemal od niechcienia przecięli go na pół.

Smoki podjechały do Wilkuna. Liath ruszyła za nim, Manfred został na polu, obserwując.

– Orły! – zakrzyknął dowódca. Nie zdjął hełmu; Liath ledwo widziała niebieskie oczy, blond brodę i ponurą twarz za przyłbicą. – Ten gwizd to sygnał dla posiłków. Odeskortujemy was do miasta.

– Tam jest diakonisa. – Wilkun machnął na zachód. – Wiezie świętą relikwię, opuściła kościół dopiero wtedy, kiedy jej owieczki bezpiecznie odeszły. Ona i relikwia potrzebują ochrony.

Smok skłonił się sztywno.

– Będziemy jej towarzyszyć na zachód tak daleko, jak to możliwe.

– Co z Gentem? – zapytał Wilkun.

– Naliczyliśmy już pięćdziesiąt dwa okręty Eików, a przybywa ich coraz więcej. Chcą, aby zniszczyć mosty, umożliwiając im popłynięcie w górę Vesscru. Burmistrz Gentu odmawia.

– Będzie oblężenie?

– Już jest. Okopali się na połowie wschodniego brzegu.

Wilkun odwrócił się.

– Hathui, zabierz Hannę i jedź ze Smokami. Doprowadzicie diakonisę do Steleshamu i tam ją zostawicie. A potem ruszycie na południe, aby zanieść tę ponurą wieść królowi Henrykowi.

Krew płynęła z rany na nodze Hathui. Miała usta zaciśnięte z bólu.

– Rozkaz – wycedziła przez zęby.

Obrócił się natychmiast, a Hanna, rzucając Liath desperackie spojrzenie, ruszyła za nią. W cieniu drzew czekali Eikowie, podobni do kamiennych rzeźb, nie spuszczać oka z przeciwników.

Smok podniósł przyłbicę i przyłożył do ust drewniany gwizdek zawieszony na piersi.

Liath nie usłyszała żadnego dźwięku. Psy Eików zaszczekały dziko i zostały uciszone kopniakami. Smok zagwizdał jeszcze raz, schował gwizdek pod zbroję i opuścił przyłbicę.

– Jedźcie do Gentu. – powiedział. – Szybko. Niedługo będzie tu znacznie więcej Eików. I nigdy nie zapominajcie: psy są gorsze od panów. – Przejechał obok Wilkuna i Liath i na czele pięciu towarzyszy ruszył na zachód, za Hathui i Hanną. Więcej niż połowa Eików pognąła za nimi, jakby zamierzali ścigać Orły i eskortujące je Smoki aż do Otchłani. Hanna odwróciła się ostatni raz, unosząc rękę, którą opuściła, kiedy ujrzała pogoń.

– Jedziemy. Dalej, Manfred! – warknął Wilkun.

Liath ruszyła za nimi; nie odwracała się. Żołądek zacisnął jej się w twarde i ciężki węzeł. Nie mogła się nawet pożegnać! Powstrzymała łzy.

– Ani śladu – powiedział Manfred, obserwujący pola, łąki i wypalone ruiny, dzielące ich od odległego mostu, brzegu rzeki porośniętego drzewami i murów Gentu.

Pognali konie. Setki pytań przelatywały Liath przez głowę. Czy Eikowie nie mieli innej broni prócz włóczni? Żadnej zbroi? Czy skóra służyła im za zbroję? Jeśli nie byli ludźmi ani elfami, to czym byli? I skąd wzięły się ich psy, bardziej przypominające diabły na czterech łapach? Dlaczego ich nie ścigali? Bogini, a jeśli dopadną Hannę i innych? Czy Hannie uda się uciec?

Znów zaczęło padać. Jej koń potykał się w błocie, zwolnili. Pognali ku drodze, licząc, że nawierzchnia będzie lepsza. Płaszcz chronił przed deszczem, ale zimne strumyczki spływały jej po karku i piersi. Czy Hanna też przemokła? Czy Eikowie ich dogonią? Czy też dzikusy nie zamierzały zaczynać ze Smokami, jak tego dowiodły w zagajniku?

Wilkun zaklął.

Powiodła oczami za jego wzrokiem i krzyknęła. Z północy, wraz z deszczowymi chmurami, nadciągała co najmniej setka białowłosych Eików. Byli uzbrojeni w włocznie, topory i okrągłe tarcze, wymalowane w czerwone węże na żółtym, białym albo pasiastym tle. Przed nimi tłoczyła się masa psów.

Jej konia nie trzeba było popędzać. Na drodze, twardszej od pól, zaczął galopować ku mostowi. Obejrzała się: Manfred i Wilkun wyjechali na drogę. Manfred uniósł oszczep i rozwinął sztandar z symbolem Orłów: orłem niosącym w dziobie strzałę, a w szponach zwój. Eikowie byli bliżej rzeki. Ich cwał pożerał przestrzeń między nimi a ich ofiarami. Nawet Liath widziała, że dotrą do mostu przed nimi. Spięła konia, obrócił się, ale w odległym zagajniku zgromadził się kolejny oddział. Manfred przejechał mimo niej, obojętny na los, który ich czeka.

Wilkun uderzył jej konia w zad. Ruszyła za nim. Po co? „Przynajmniej”, pomyślała gorzko, „jeśli Hanna przeżyje, zostanie przyjęta do Orłów, okupię ten zaszczyt moim życiem”.

Wilkun schował miecz; przesunął lewą pięścią po piersi, a potem wykonał gest, jakby coś rzucał w stronę Eików.

Błysk, migotanie światła jak ogień obserwowany z ciemnego pokoju. Liath zamruwała; konie zarżały ze strachu. Przez chwilę zwisła bezradnie z siodła; Manfred, zasłaniający sobie oczy, niemal spadł.

Wrogowie przeszli z cwału w kłus. Chwilę później rozległ się odległy grzmot.

– Cholera jasna – zaklął Wilkun – używają magii. Liath, niezależnie od tego, co się z nami stanie, musisz dotrzeć do miasta. Jeśli tobie się uda, a ja zginę, udaj się do klasztoru świętej Valerii i oddaj pod opiekę matki przełożonej. Ochroni cię.

Pierwsi z Eików dotarli do mostu, ustawiając mur z tarcz. Była zbyt daleko, aby widzieć mury miasta, nie wiedziała więc, czy ktokolwiek ich dostrzegł. Manfred osadził konia. Wymienił spojrzenia z Wilkunem, a potem uderzył wierzchowca ostrogą.

– Za nim! – ryknął Wilkun. – I nie zwracaj uwagi na to, co zobaczysz!

Nic nie zobaczyła, chociaż czuła łaskotanie na plecach i chłodny powiew na policzkach. Na moment głowę i ramiona Manfreda otoczyły tysiące płomyków, ale ten widok ustąpił miejsca czerwonym węzom, uniesionym włóczniom Eików szykujących pułapkę, czekających na łup.

Za Eikami był most z kamieni i drewna, strome brzegi rzeki, a za nimi, tak blisko, że rozróżniała postaci na blankach, mury Gentu.

Bramy otwarły się bez ostrzeżenia z upiornym skrzypieniem.

Z miasta wyjechały Smoki.

Ruszyli galopem, opuścili lance, ich tarcze w kształcie łzy były tak szare jak niskie chmury na niebie. Jedynymi kolorami była czerwień węży na żółtych tarczach, złote kropierze Smoków jasne jak słońce, brąz na ich hełmach niby wojenne maski.

Smoki uderzyły z impetem, który Liath poczuła. Kilku przedarło się i teraz, zamiast pomóc towarzyszom rąbiącym Eików, którzy nie padli, zbliżało się ku trzem Orłom. Za nimi drugi oddział natarł na pierzchających. Nie mieli włóczni, tylko miecze i ciężkie topory. Eikowie wyłazili spod mostu; walka przeniosła się na pola. Psy rwały kłami Smoki i ich konie.

Sześciu Smoków otoczyło ich.

– Za nas! – krzyknął mężczyzna, bez wątpienia dowódca. Brosza, spinająca płaszcz na jego prawym ramieniu, lśniła od klejnotów. Na szyi miał złoty torkwes; znak księcia królewskiej krwi. Spojrzał na Liath.

Nie mogła odwrócić wzroku, chociaż nie widziała jego twarzy, tylko oczy, zielone jak jadeit. Na jego hełmie nie było brązowej dekoracji jak u innych żołnierzy. Wyłożono go złotem, tworząc podobiznę smoka, straszną, a jednocześnie, wraz z resztą Smoków żelaznych, czarnych, złotych, piękną.

A potem ruszyli ku bitwie. Dwóch jadących na przedzie opuściło w dół włócznie, kiedy wyskoczyli na nich Eikowie. Przeszli dzięki ciężarowi koni. Napastnik, wznosząc topór, skoczył ku nieuzbrojonemu Wilkunowi. Książę pochylił się w prawo i ciał, strącając

napastnikowi głowę. Ale coraz więcej stworów roilo się wokół księcia, jak pszczoły wokół miodu albo psy czujące świeże mięso. Robiło się gorąco; Liath przyciskała się do końskiej szyi, modląc bezgłośnie. Manfred przebił przeciwnika oszczepem, a potem, gdy konie zaplątały się w wir, stracił broń, która tkwiła w ciele ugodzonego wroga padającego na pobocze.

Byli już prawie na moście, jednak coraz więcej Eików wypełzało, tworząc gruby, żywy mur.

Psy skakały, rzucając się na Smoki i Orły. Były to straszne bestie, potworne, żądne krwi, wściekłe i nieulękłe.

Jeden minął konia Manfreda i runął na Liath. Ujrzała jego oczy jak płonąca żółć.

Zbyt blisko, by strzelać. Skoczył.

Książę obrócił się i ciął go na odlew przez grzbiet. Pies padł, koń Liath przeskoczył nad nim. Szybko. Za szybko.

Eikowie byli wszędzie, zbliżali się, zacieśniali pętlę.

Z dzikim wrzaskiem nowy oddział Smoków uderzył na nich od tyłu. Szarża zmiotła przeciwników. Smoki rozdzieliły się, przepuszczając Orły i ich eskortę. Konie gnały po kamieniu; potem ich kopyta zatętniły po drewnie zwodzonego mostu. Wjechali w dające schronienie mury.

Deszcz lunął z nową siłą, kiedy znaleźli się na podwórcu przed bramą. Cały wielki plac zaśmiecały popalone i porzrucane puste resztki straganów.

Za nimi rozległo się wycie i szczekanie. Ono i nagły tętent oraz okrzyki ogłuszyły Liath. Nie słyszała rozkazów, widziała tylko, jak książę odrywa się od eskorty i pędzi przez bramę. Minęła go reszta Smoków, wracająca do bezpiecznego miasta; brama zaczęła się ze zgrzytem zamykać.

Przepchnęła się, aby coś widzieć: na moście tuzin Smoków osłaniał odwrót towarzyszy. Jeden z żołnierzy zwiślał z konia; drugi opierał się bezwładnie o szyję swego wierzchowca. Za nimi, na moście i zrytej kopytami ziemi, nie było ani śladu złotych kropierzy, żaden ze Smoków nie leżał w błocie. Psy rwały na strzępy ciała martwych Eików.

Wielu Smoków gnało już po schodach na blanki; milicja miejska zasypywała Eików gradem strzał. Brama zatrzasnęła się za ostatnim jeźdźcą: księciem. Uderzył konia ostrogą, kiedy za jego plecami pociemniało od rzuconych oszczepów. Uderzyły one w uzbrojone skrzydła bramy przy akompaniamencie wściekłego wycia. Kolejny zgrzyt: most zwodzony podnosił się w górę.

Koń księcia potknął się, zrzucił jeźdźca, potknął się znów, upadł, wierzgając, próbując wstać. Książę wstał, zerwał hełm i odrzucił go na bok, nie zwracając uwagi na piękną dekorację. Złapał musztunk i przytrzymał głowę zwierzęcia na ziemi. Kiedy przeklinał długo i wytrwale, jego czterej ludzie zbadali konia: oszczep rozorał mu brzuch. Krew zmieszana z deszczem znaczyła ubitą ziemię. Koń zadrżał, potem znieruchomiał: jego boki unosiły się w

płytkich oddechach. Poza murami miasta Eikowie wyli i wrzeszczeli, rozpoczynając odwrót. Ludzie na blankach skłękli ich solidnie.

Książę sięgnął do pasa, wy dobył nóż i podciął koniowi gardło. Krew spłynęła mu na buty, brudząc je, ale nie podniósł się z klęczek i nic już nie mówił. Deszcz moczył jego czarne włosy i przyklejał je do czaszki. Miał dziwną gładką skórę w kolorze brązu i niezwykłą twarz, której rysy zdradzały, że jego matka zaiste nie była człowiekiem.

A co najdziwniejsze, nie miał ani śladu brody.

Podniósł wzrok, westchnął i odszukał mężczyznę ubranego w bogatą tunikę; jego głowę osłaniał czerwony płaszcz, niesiony przez czterech służących.

– Oprawcie go i zasolcie – powiedział książę, odwracając się od martwego zwierzęcia. Miał ochryply głos człowieka, który przyzwyczajony był do wydawania rozkazów. – To tylko drobna sugestia, panie burmistrzu.

– Jeść koninę? – Burmistrz nie wiedział, na co patrzeć: na księcia, na konia, na Smoki, które usuwały oszczep z brzucha zwierzęcia, na skręcone wnętrzności.

– Jeśli Eikowie zaczną nas oblegać, w zimie wyda się wam delikatesem. – Książę dostrzegł Wilkuna, skinął na niego i odszedł. Smok podniósł książęcy hełm z błota i pobiegł za dowódcą.

Wilkun wręczył wodze Manfredowi i oddalił się bez słowa.

3.

Liath zsiadła i podeszła do Manfreda, drżąc na całym ciele; opuściło ją bitewne podniecenie.

– Nigdy wcześniej nie widziałam mężczyzny bez brody – szepnęła. – Oczywiście, prócz tych z kościoła.

Manfred przecesał palcami swą krótko przyciętą bródkę.

– Eikowie nie mają bród.

Zaśmiała się nerwowo. Dłonie jej drżały i miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi.

– Nie zauważyłam. Jak myślisz, czy Hanna i Hathui uciekły?

Wzruszył ramionami.

– Co teraz robimy?

Zabrali konie do stajni przeznaczonej dla Smoków, wytarli wierzchowce i dali im obroku; Liath uspokoiła się. Przerzuciła sakwy i pled przez ramię i podążyła za Manfredem ku schodom wiodącym do wielkiej sali nad stajniami, w której kwaterowały Smoki. Podłogę pokrywało świeże siano, pod ścianami leżały porządnie zwinięte pledy. Zapach koni i stajni był mocny, ale nie przykry. Mężczyźni odpoczywali, grali w kości, strugali w drewnie, czyścili broń, gawędzili. Z ciekawością popatrzyli na dwa Orły, ale nie wykazali chęci do rozmowy.

Czy jeden z nich był jej krewnym? Próbowwała niepostrzeżenie przyglądać się ich twarzom, szukając podobieństwa do ojca.

Manfred poprowadził ją do przeciwległego kąta wielkiej sali. Okiennice były otwarte, aby wpuścić trochę popołudniowego światła. Deszcz lał jak z cebra, ale w sali było duszno i gorąco. Książę i Wilkun siedzieli na belach siana po przeciwnych stronach stołu. Przed księciem leżała otwarta szachownica z figurami z kości słoniowej. Bawił się nimi, kiedy Wilkun mówił, podnosił, przestawiał: osiem Lwów. Wieżę, Orły. Smoki i – chronione przez resztę – Biskupa i Władcę.

Za nim siedziała jedyna prócz Liath kobieta: trzymała na kolanach hełm księcia i czyściła go szmatką. Nosiła Smoczy kaftan, miała muskularne ramiona, szczękę poznaczoną siateczką blizn, a jej nos wyglądał, jakby został złamany i źle złożony.

Manfred usiadł, przygotowany na dłuższe oczekiwanie. Liath uklękła obok. Od czasu do czasu na twarz, spływała jej chłodna mgła. Słoma łaskotała dłonie, w nosie kręciło.

– Oceniam, że miasto przetrwa oblężenie. Ale moje Smoki same nie przerwą linii Eików, zbyt wielu ich przybyło. Nie mamy wieści od hrabiny Hildegardy, nie wiemy, czy ona i jej brat Dietrich przyprowadzą armię. A ty mówisz, że nie będzie królewskiej pomocy.

– Nie wiem, co zamierza król, książę Sanglancie. Ale może nie być zdolny do przysłania tu armii, nawet gdyby chciał.

Książę unióś Smoka i ustawił go między dwiema Wieżami, jak w pułapce. Liath widziała linię jego szczęki: albo się właśnie ogolił, albo broda mu nie rosła. Ale jak można bezbrodego nazwać prawdziwym mężczyzną?

– Słyszałem plotki, że dama Sabella zamierza zebrać popleczników i wystąpić przeciw królowi. Ale osiem lat temu przysięgła przed biskupiną z Mainni nie podnosić już swych bezpodstawnych roszczeń!

– Owszem – zgodził się Wilkun. – Ale podobno biskupina z Mainni jest jednym z jej doradców. A wszyscy trzej diukowie Varre oraz pięciu hrabiów odmówiło pojawienia się na królewskim dworze.

– To wyjątkowo zła nowina, ale co mam powiedzieć mieszkańcom Gentu? Jeśli Eikowie będą mieli czas, spalą wszystkie mosty, a kiedy to zrobią, będą mieli otwartą drogę w górę Vesseru i nic na to nie poradzimy. Jeśli popłyną w górę rzeki, żądania Sabelli przestaną się liczyć. Centrum Wendaru będzie zagrożone.

– Doradzilibyście ojcu uznać to za większe zagrożenie? Książę. Eikowie co roku najeżdżali, a potem odjeżdżali zadowoleni, że mają na okrętach złoto i niewolników.

Książę popatrzył za okno, chociaż widać było tylko deszcz i drewniane dachy ratusza. Liath słyszała odległe bębny.

– To nie jest „co roku”. To nie wypad. Wysłannik generała Eików odmówił wzięcia dziesięciu skrzyń złota i stu niewolników, które burmistrz Werner zaproponował jako opłatę za odstąpienie od miasta.

Wilkun zachichotał.

– Usłyszałem od was dwie rzeczy, w które ledwie wierzę. Po pierwsze, że jest tu burmistrz mężczyzna. Po drugie, że Eikowie mają generała. To zwykli bandyci, może mają kapitana na każdym okręcie, o ile opisując ich hordy, możemy użyć takich określeń. Najsilniejsze zwierzę zmusza inne do posłuchu pazurami i kłami.

Sanglant odwrócił głowę i popatrzył na Liath. Zadrżała zakłopotana; jego oczy były jasne, a rysy twarzy ostre i niezwykle. Patrzył na nią z nieskrywaną ciekawością tak długo, aż poczuła na plecach spojrzenia innych mężczyzn, którzy chcieli poznać obiekt zainteresowania ich dowódcy. Tak długo, że Wilkun w końcu się odwrócił.

I na jego twarzy ukazał się wyraz, którego Liath nigdy nie spodziewała się ujrzeć: Wilkun był zły.

Sanglant uśmiechnął się leniwie, zapraszająco. Kiedy się rozpoznał, był tak czarujący, że poczuła rumieniec wypływający na policzki. Manfred wymamrotał coś pod nosem. Sanglant parsknął w odpowiedzi. A potem, wzruszając ramionami, popatrzył ponownie na Wilkuna. Twarz tego ostatniego była całkowicie obojętna.

– Burmistrz Werner to ciekawa postać. Jest bardzo przywiązany do bogactw rodzinnych. Czyż nie jest powiedziane, że nasz Pan sądzi swych synów po ich hojności dla towarzyszy i biednych? Tak powiedziałby król Henryk. Matka Wenera była burmistrznią tego miasta, a on jej jedynym żyjącym synem. I, jak mówią, jej oczkiem w głowie, choć oczywiście władzę powinny były przejąć jego siostry przyrodnie. – Wypowiedział te słowa jednocześnie z goryczą i z kpina. – Jak na razie Gentczycy nie znaleźli powodu do niezadowolenia z jego rządów, by zdjąć go z urzędu na rzecz kobiety, która, jak mówisz, częściej otrzymuje błogosławieństwo naszej Pani. Co zaś się tyczy drugiej sprawy... – Wyciągnął rękę; kobieta podała mu hełm, czysty i błyszczący; złota paszcza smoka wyglądała jak chłodny ogień płonący na twardym żelazie. Nagle spowaźniały, przebiegał po hełmie długimi ciemnymi palcami.

– Jakaś inteligencja prowadzi Eików. Czuję ją. Ja o niej wiem, tak jak ona wie o mnie, i oboje pragniemy zniszczyć przeciwnika.

– Sądzicie, że to człowiek?

– Sądzę, że nie. A kto może wiedzieć lepiej ode mnie, przyjacielu. Mam rację?

Wilkun skłonił głowę.

– Ale czy to członek ich plemienia odmienny umysłem i talentem od reszty, czy też zupełnie inne stworzenie, nie umiem powiedzieć. Od ośmiu lat walczę w królewskich wojnach, odkąd osiągnąłem odpowiedni wiek i dostałem oddział Smoków. Taki mój przywilej, dziecka poczętego, aby udowodnić ojcowskie prawo do tronu Wendaru. – Jego głos był lodowaty jak zimowy wiatr. – Ale te wojny były zwykłe: walki z Qumanami, rebelia diuka Konrada, koniec rewolty Sabelli.

– Pierwszej rewolty – rzekł cicho Wilkun.

– Pogłoski nie czynią buntu – odparł Sanglant równie cicho i podniósł dłoń, ucinając komentarz. – Ale ufam twojemu sądowi, Wilkunie, skoro twierdzisz, że ona szykuje nowy bunt. Wiernie służyłeś wendarskiemu tronowi. A przynajmniej tak słyszałem.

– Wy również – wyszczerzył zęby Wilkun. – A przynajmniej tak słyszałem.

Ci ze Smoków, którzy usłyszeli to zdanie, ze świstem wciągnęli powietrze. Ale Sanglant uśmiechnął się czarująco i podrzucił figurkę szachową, rzeźbioną na kształt Królewskiego Smoka. Hełm stoczył mu się z kolan, a kobieta z blizną na szczęce złapała go, nim uderzył o podłogę.

Książkę otworzył dłoń. Figurka z wypolerowanej kości słoniowej odcinała się od brązowej skóry. „Półczłowiek”, pomyślała Liath, a potem zawstydziała się: czy ona też nie była inna, ze skórą zawsze spaloną na brąz? Ale karnacja niewolników pracujących na polach pod koniec lata, o ile nie byli poparzeni przez słońce dorównywała jej własnej. A tato opowiadał jej o mieszkańcach południowych krain, gdzie słońce było jaśniejsze i gorętsze, których skóra była jeszcze ciemniejsza. Czy więc lepiej było być człowiekiem, nawet niewolnikiem i poganinem, niż półludzkiem księciem, do którego nikt nie miał pełnego zaufania?

„Już byłam niewolnicą”. Zaplotła palce. Swędział ją kark, jakby samo wspomnienie tamtych dni oznaczało, że Hugon na nią patrzył. „Patrzy na mnie”. Jak inteligencja, która towarzyszyła Eikom, walcząc z księciem, tak Liath wiedziała, że Hugo czeka, zawsze świadomy jej obecności, niezależnie od tego, jak daleko uciekła. Czeka, aż znów wpadnie mu w ręce.

„Ten strach sprawia, że ciągle jestem niewolnicą”. Oczy zapiekły ją od łez i schyliła głowę, by nikt ich nie dostrzegł. Manfred pocieszająco pogładził ją po udzie. Przełknęła łzy, zebrała się na odwagę i podniosła głowę. Nikt nie zauważył tej chwili słabości.

– Jak ta figura – powiedział Sanglant – istnieję tylko po to, aby prowadziła mnie dłoń innego człowieka.

Wilkun uśmiechnął się słabo. Nagle wydał się bardzo stary. Podniósł figurkę z dłoni księcia.

– Zbyt młody jesteście na taką wiedzę, Sanglancie.

– Pochlebiasz mi. Mam tylko dwadzieścia i cztery lata wedle kalendarza ludu mego ojca. – Rzucił to ostro, niemal wyzywająco.

– W ruinach starego imperium jest inny kalendarz – odparł Wilkun – który liczy czas wedle podróży jasnej Somorhas, gwiazdy porannej i wieczornej jednocześnie, oraz wedle wschodu siedmiu gwiazd, które są siedmioma klejnotami w Koronie. Dziecko sięga po Koronę. Kto wie, co się stanie, kiedy niebiosa zostaną ukoronowane?

Sanglant wstał sztywno, władczo, jak król, który ma ogłosić wyrok.

– Nigdy nie znałem mej matki, Wilkunie. Nie objawiła mi się nigdy we mgle, w nocy czy w zaklęciu. Porzuciła mnie, kiedy nie miałem nawet dwóch miesięcy. Jeśli zostawiła mnie, jeśli pozwoliła mojemu ojcu zapłodnić ją, bo było to częścią planu uknutego przez jej naród,

nic o tym nie wiem, nie znam mego miejsca w tych planach. Rzeczywiście, niewiele jest śladów Zaginionych w tych krainach, choć słyszałem, że w Albie przechadzają się po lasach. Już mi to mówiłeś, rzucałeś aluzjami, a ja jestem zmęczony twoimi insynuacjami. Jestem żołnierzem. Jestem kapitanem królewskich Smoków, takie moje prawo, i tych, którzy służyli w tej randze przede mną: Konrada Smoka, Karola Wilka i leworęcznego Arnulfa, królewskich bękartów. Służąc, zostawiałem za sobą skrwawione pola, więc chyba zasłużyłem na imię, jakie nadała mi matka. Patrzyłem na śmierć moich ludzi, walczących by chronić mnie i królewskie interesy. Zabijałem bez litości wrogów króla i nikogo nie oszczędzałem. Słuchaj mnie: służę tylko królowi. Wierz sobie w twe plany, spiski i tajemne sprawy niebios, jeśli chcesz. Ale mnie w to nie mieszaj.

Pochwyił hełm i ruszył ku schodom. Podążyły za nim dwa Smoki: kobieta i młody blondyn, który utykał.

Kiedy wyszli, jedynym dźwiękiem był deszcz i człapanie wołu na zewnątrz. A potem wszyscy obecni głośno wypuścili powietrze z płuc i wrócili do swych zajęć.

Wilkun postawił figurę. Manfred wstał, otrzepał tunikę i stanął obok starego Orła, który długo patrzył przez okno. Kiedy Wilkun również się podniósł, Liath z opuszczoną głową zerwała się i ruszyła za towarzyszami do stajni. Czowała na sobie wzrok pozostałych. Bardzo chciała zapytać o krewniaka, ale po oskarżeniach Sanglanta nie śmiała się odezwać.

Przez chwilę bała się odezwać nawet do Wilkuna, wiedząc, że nie będzie mogła oprzeć się chęci zapytania o starożytny kalendarz. Znała Koronę: było to siedem jasnych gwiazd tuż obok konstelacji zwanej Dzieckiem, drugi dom zodiaku, smoka spinającego niebiosą. Znała wiele nazw, jakie starożytni dariyańscy matematycy nadali gwiazdom, różniących się od popularnych imion używanych dziś. Ale że Dariyańczycy używali innego kalendarza od tego, który znała... tego tato nigdy jej nie nauczył, o ile sam o tym wiedział.

Ale gwiazdy poruszały się w ustalonym porządku. Gdyby miała *Księgę tajemnic*, czas i papier, aby dokonać skomplikowanych obliczeń, ustaliłaby, kiedy następnym razem Korona „ukoronuje niebo”. Nie była pewna, o co chodziło, ale zapewne miało to coś wspólnego z górowaniem, osiągnięciem zenitu, najwyższego punktu na nieboskłonie.

W stajniach też się nie odezwała. Kiedy ostatni raz obserwowała niebo? Tato zawsze powtarzał, że na wiosnę Pani zasnuwa je chmurami, aby ludzie pamiętali o siewie. Kiedy Wilkun uwolnił ją od Hugona? Miesiąc bez jednego dnia temu.

Zadrżała. Czowała się tak, jakby Hugo mówił, stojąc pod murami niewidzialnego miasta, które chroniło jej serce. Jak Eikowie okopujący się wokół Gentu, tak on ją oblegał, ale temu oblężeniu nie było końca.

„Trzydzieści dni, odkąd cię mnie skradziono”.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Wilkun.

Podskoczyła. Doszli do drzwi. Manfred zamierzał wyjść: cofnął się i popatrzył na nią. Miał miłe niebieskie oczy i poważną twarz, ani brzydką, ani ładną, rozsądną i spokojną.

Dobry towarzysz.

– Trochę mi gorąco. – Przewiesiła płaszcz przez jedno ramię i zarzuciła sakwy na drugie. Manfred wyskoczył na dwór i pobiegł ku drzwiom ratusza. Naciągnęła płaszcz na głowę i chciała ruszyć za nim, kiedy Wilkun ją zatrzymał.

– Nie ma potrzeby nosić ze sobą rzeczy – powiedział. – Śpimy w stajniach.

Musiała wrócić. Nie odważyła się powiedzieć mu, że miała książkę. „I tak wie, że jesteś wyuczoną matematyczką”, powtarzała sobie, idąc przez stajnie, mając nadzieję, że nikt jej nie zauważy. Panowała cisza. Smoki były na górze i odpoczywały albo pełniły wartę, albo poszły do miasta. A gdyby Wilkun po prostu odebrał jej książkę? Gdyby wymknęła jej się z rąk, nie mogłaby go powstrzymać ani jej odzyskać.

Znalazła pusty boks, w którym Manfred i Wilkun ułożyli swoje rzeczy, zostawiając miejsce, aby się położyć spać. Wsunęła swe sakwy pod siano, ściągnęła brwi. Zbyt oczywiste. Nie mogła się oprzeć i wsunęła dłoń do torby, poczuła gładź skórzanej okładki, litery wytłoczone na grzbiecie. Przesunęła wzdłuż nich palcami, poczuła jak skrzydła ćmy pergamin i papier trzech ksiąg spiętych razem okładką.

– Co się stało ze Sturmem i jego oddziałem? – zapytał głęboki głos. – Nie wrócili z patrolu.

– Nie słyszałeś? Zostali za murami, aby eskortować dwa ranne Orły, diakonisę i świętą relikwię w bezpieczne miejsce.

Zniecierpliwione:

– Nie, nie słyszałem. Właśnie wróciłem. W przeciwieństwie do ciebie walczyłem z paroma Eikami i miałem trochę czyszczenia.

Drugi parsknął.

– Dopuściłeś ich aż tak blisko? Ja jestem czysty jak niemowlę i mam nadzieję, że Pani pobłogosławi mnie jakąś chętną panną.

– Ha! Tutejsze panny są tak przyjazne jak dzikie świnię. Myślisz, że będzie podrywał tę ładniutką Orliczkę?

Zdała sobie sprawę, że mówili o niej.

– Po kłótni ze starym? Nie sądzę.

– Skąd wiesz? Młodą pannę Villam owinął sobie wokół palca, a dziewczyna była zaręczona i jej ojciec dwukrotnie go ostrzegał.

Zobaczyła rozmyte cienie, zarysowane na ścianie przez słabe światło padające od drzwi.

– Nie, chłopcze, nie wychowałeś się na dworze i jeszcze nie wiesz, co jest grane. To, co się mówi i co się robi to czasami dwie zupełnie różne rzeczy. Panna i stary Villam chcieli małżeństwa, ale król Henryk nigdy na to nie pozwoli. W końcu to bękart, nie? Powiedziano więc to i owo, zaręczono pannę z innym, dziewczyna dostała, czego chciała, a do tego dziecko, które przyszło na świat już po ślubie.

– A książkę? Dostał, czego chciał?

– Kto wie? – odparł drugi, o wyższym, pewnym siebie głosie. – Księżę robi to, co mu każe król ojciec. Wątpię, aby ten układ mu nie odpowiadał.

– Ależ patrzył – mruknął pierwszy – na tę młodą Orlicę. Jest łakomym kąskiem, taka jasna i ciepła. Dlaczego ma jej nie poderwać? Nie podobało mi się, jak stary do niego mówił.

– Mnie też nie. Nie jest lepszy od naszego księcia.

Drugi przytaknął gniewnie.

– Ale poza Smokami istnieje inny świat, a takie żółtodzioby jak ty często o tym zapominają. Poznanie zasad, które nim rządzą, to cięższa praca niż walka z wrogami króla Henryka. Słuchaj więc, co ci powiem. Nigdy nie rozgniewaj Orła. Nigdy nie śpij z kobietą, jeśli przyjemność nie jest warta ceny, jaką możesz zapłacić. A jako zapłatę za dobrą radę możesz naoliwić moją uprząż, a ja pójdę zapolować na dzikie świnie.

– Naoliwić twoją uprząż!

Mężczyzna poruszył się. Liath wcisnęła się w róg, ciągle trzymając dłoń na książce, myśląc usilnie o cieniu, ciemnościach i niewidzialności. Smoki przeszły przez stajnię, nie zauważając jej; młodszy nie przestawał narzekać.

Chwilę później usłyszała wołającego ją Wilkuna. Wsunęła juki pod siano, rzuciła na nie siodło i pled i pobiegła na zewnątrz. Manfred wrócił; jego płaszcz był przemoczony, reszta ubrania sucha. Uśmiechnął się. Świadoma jego spojrzenia, zakłopotana, sięgnęła do włosów, przekonana, że miała w nich siano. Gdyby Hanna z nią była! Gdyby mogła być pewna, że Hanna przeżyła.

– Jesteś – powiedział Wilkun. – Burmistrz Werner zaprosił nas na wieczerzę. Albo to zaszczyt, albo nie ma lepszych gości.

– Czy księżę tam będzie?

Wilkun podniósł brwi.

– Tak sędzę. Burmistrz nie odważyłby się go nie zaprosić, nawet jeśli za sobą nie przepadają. A Sanglant zbyt gustuje w dobrym jedzeniu i pić, by odrzucić zaproszenie.

Jedzenie było zadziwiająco dobre jak na oblężone miasto: wołowina natarta przyprawami, których Liath nigdy nie kosztowała, budyń, ciasteczka jabłkowe, dwie pieczone świnie, pszenny chleb, wiele wina. Liath poszła za przykładem Wilkuna i piła mało, mieszając wino z wodą. Księżę siedział po drugiej stronie stołu i pił równo z Wernerem.

Manfred przyglądał się temu z obrzydzeniem.

– O co chodzi? – szepnęła.

– W zimie, kiedy przyjdzie głód, mieszczanie będą marzyć o takiej uczcie.

Było to zapewne najdłuższe zdanie, jakie wypowiedział.

– Na pewno mają własne zapasy.

– Wystarczające na długie oblężenie?

– Sądzisz, że potrwa tak długo? Hrabina Hildegarda na pewno przyjdzie z odsieczą.

– Jeśli jej się uda.

Jedzenie i picie ciągnęło się w nieskończoność. Starzec recytował poezję napisaną w stylu, który w założeniu miał być dariyańskim; Liath, znająca *Heleniadę* Virgilio, przeżywała męki. Na szczęście inni poeci śpiewali własne piosenki, miłsze dla ucha, ballady o herosach i fragmenty epickiego *Złota Hevellów*. Grano na lirach i cytrach. Zabawiał ich żongler i dwie dziewczyny, balansujące na linie trzymanej przez dwóch mężczyzn.

A poza tym było gorąco, parno, głośno i nudno.

Przepraszała, tłumacząc się chęcią ulżenia sobie. Kiedy to zrobiła, nie miała ochoty wracać ponownie na salę. Przestało padać, pojaśniało, połowa nieba była pełna gwiazd. Liath stała w cieniu, ciesząc się samotnością; było cicho, pomijając odgłosy uczyty i odległy dźwięk bębna. Cztery kobiety, śmiejąc się radośnie, szły do kuchni, trzymając tace oparte o biodra.

– Mężczyzna jest mężczyzną, bo ma brodę – powiedziała jedna.

– Ale fratrzy i mnisi nie mają bród.

– Aby upodobnić się do kobiet i przypodobać naszej Pani! Poświęcają ciała i cześć Kościołowi, goląc brody. To znak ich służby.

– To jak mówisz? Mężczyzna to nie mężczyzna, skoro nie ma brody i nie jest mnichem?

– Moja droga Fastrado – powiedziała jedna, która dotąd się nie odezwała. – Może to i prawda, ale ja twierdzę, że książę jest mężczyzną jak inni. A mnie trudno oszukać.

Roześmiały się i zażądały szczegółów. Odmówiła.

Liath przeszła przez podwórzec, modląc się, by jej nie zauważono, i weszła do stajni. Nie było tam nikogo; jej rzeczy leżały tak, jak je zostawiła. Wyszła.

Ratusz stał na małym wzniesieniu na wschodnim brzegu rzeki, otoczony niniejszymi budynkami. Wspięła się na mury i spojrzała na Gent, wschodni brzeg, ciemną wstęgę Veseru. Księżyc był w pierwszej kwadrze i rzucał wokół blade światło. Nie było straży. Przypuszczała, że ci, którzy strzegli ratusza, teraz zostali odesłani na mury miasta. Na wschodzie jaśniały ogniska obozowiska Eików, rozciągające się jak okiem sięgnąć na południe i północ. Gent był ciemny: jedynymi światłami był blask z sali biesiadnej i pochodnie nocnych stróżów oraz posterunków na murach. Dwie ciemne linie na zachodzie i wschodzie przecinały rzekę: mosty prowadzące na wyspę, na której zbudowano Gent.

Była sama.

Patrzyła w górę, myśląc o słowach Wilkuna. Korona, ku której wyciągało rękę Dziecko, wraz z wiosenną równonocą zniknęła z nieboskłonu. Lew bladł. Smok i Wąż władały domami nocy. Czerwona planeta – Jedu, Anioł Wojny – wciąż świeciła w domu Łucznika, jasnego poszukiwacza. Ale niedługo, za siedem dni, Jedu przejdzie do domu Jednorozca; ambicja połączy się z wolą. Przepowiadało to czas parcia do przodu, gdy ludzie obdarzeni silną wolą mogli zrobić użytek z niej i swej ambicji, aby zdobyć panowanie nad światem.

Jednak tato zawsze powtarzał, aby do astrologów, którzy twierdzili, że z ruchów gwiazd i planet potrafili przepowiedzieć przyszłość, podchodzić sceptycznie. Ze znajomości niebios

płynęła moc, ale nie taka. Zapamiętała te nauki; nie sądziła jednak, że będzie ich kiedyś używać.

„Ruch wędrujących gwiazd to jeden ze znaków, wedle których magowie i matematycy wytyczają linie, po których mogą ściągnąć na ziemię moc z niebios. W ten sposób mogą też rozróżnić te z demonów powietrza, które znając lepiej wszechświat, są bardziej podatne na namowę i przekupstwo niż inne stworzenia niebieskie.

Z dołu dobiegły ją głosy, wytrącając z marzeń. Ktoś szedł po drabinie na mury. Schowała się w cieniu, otuliła szczelniej płaszczem, jakby on też był cieniem, przekształcając ją w kolejny element nocy, ciszy i bezruchu.

– Nie ja zacząłem tę dyskusję – powiedział pierwszy, który wszedł i oparł się o parapet, aby popatrzeć na wschód. Był to książę; rozpoznała jego głos, dziwnie ochryply, i sposób poruszania się. Był wysoki, miał szerokie ramiona i posturę człowieka, który od dawna używał wszelkich rodzajów broni.

Ku jej zaskoczeniu, towarzyszył mu Wilkun. Rozmawiali serdecznie mimo sprzeczki w kwaterach.

– Ale i tak ciebie to dotyczy. Nieraz słyszałem, że król Henryk nie pozwala Sapientii wyruszyć na wędrowkę i że wolałby wysłać Theophanu. Sapientia ma prawie dwadzieścia lat.

– A w tym wieku król Henryk został już przez prawo płodności wyznaczony następcą tronu, czego jestem żywym dowodem – powiedział Sanglant kpiąco.

– Musisz się wypowiedzieć.

– To nie moje zadanie. Król ma doradców. Ma też towarzyszy, mężczyzn i kobiety w jego wieku, z własnym prawem dziedziczenia, ziemiami i posiadłościami.

– Ale wielcy magnaci nie mogą doradzać królowi, nie mając na uwadze swych własnych korzyści.

– Czyż wszyscy tak nie doradzamy, lordzie Wilkunie, mając na względzie to, co będzie dla nas najkorzystniejsze? Oprócz tych nielicznych, których mądrość nie jest naznaczona egoizmem.

– O kim mówisz, książę?

– Z tej garstki zaufałbym tylko kleryczce. Rosvicie z Korvei. Jest elegancka, dobrodusza i posiada dar słowa. Jest cierpliwa i pokorna, i bardzo uczona. To czyni z niej mądrego doradcę.

Obrócił się lekko. Liath cofnęła się, drewniane belki werżnęły się jej w plecy. Ale księżyc i gwiazdy dawały zbyt mało światła, aby ją dostrzeżono.

Książę westchnął.

– Czego ode mnie chcesz, Wilkunie? Niektórzy chcą się wkupić w moje łaski. Inni mówią o mnie źle w nadziei, że nastawią wrogo ojca. Ty wspominasz o strasznych spiskach knutych przez lud mej matki i sugerujesz, że ukrywam przed ojcem i wami wszystkimi mój w nich udział. Nie jestem tak wykształcony jak ty. Nie umiem czytać między wierszami

wypowiadany w języku, którego nie znam. Mówią, że wstąpiłeś do Orłów w tym roku, kiedy umarł Arnulf Starszy, zostawiając Wendar i Varre Arnulfowi Młodszemu i Berengarii. Ale mówi się też o tobie, przyjacielu, że w roku, kiedy Berengaria zmarła w połogu, zostałeś przyjęty w poczet tych, którzy studiują zakazane sztuki magów. I dlatego, pomimo całej twojej wiedzy i doświadczenia, nie znajdujesz się wśród tych, którzy nazywają samych siebie doradcami króla Henryka.

– Orzeł służy władcy, nosząc posłania i dekrety, obserwując i składając raporty z tego, co widział. Nie doradza. Jesteśmy oczami i uszami, książę, niczym więcej.

– A jednak przywiodłeś sobie do gniazda najpiękniejszą Orliczkę, jak widzę. – Książę zamierzał sprowokować Wilkuna.

Ten nie odpowiedział od razu. Bębny, brzmiące bez przerwy w obozie Eików, zmieniły rytm, dodając uderzenia przypominające czkawkę w środku rytmu na cztery.

Wilkun odezwał się tak cicho, że słowa brzmiały jak uderzenia młotem:

– Trzymaj się od niej z daleka, Sanglant. Nie tobie jest pisana. Tak jak nie ty jesteś pisany na ojcowski tron.

Sanglant roześmiał się.

– Czyżby ktoś się spodziewał, że tak długo pożyje? Mimo wszystko jestem kapitanem Smoków. Tylko Konrad Smok przesłużył więcej lat niż ja.

– Możesz wpłynąć na decyzję króla.

– Doprawdy?

Wilkun nie dawał się wyprowadzić z równowagi, mimo tego, że Sanglant go drażnił.

– Nie ma ani jednej osoby w królewskim orszaku, która nie dostrzega, że król przedkłada cię nad troje dzieci z prawego związku.

– Chcesz, żebym powiedział, że nie chcę tronu.

– Nie tylko ja. Musimy martwić się o królestwo, zanim spadną na nas gorsze nieszczęścia, bo dwór królewski jest podzielony.

Sanglant odwrócił się i wychylił przez parapet, patrząc na odległy obóz Eików albo próbując schwytać gwiazdy. Zachowywał spokój.

– Odmawiam, jak to zawsze czyniłem i czyniłem będę. Ty musisz rozmawiać z królem na ten temat. Jestem tylko Królewskim Smokiem, posłusznym synem i sługą. Zawsze byłem.

– To twoja jedyna odpowiedź?

– To moja jedyna odpowiedź.

Wilkun zgiął się lekko, choć Sanglant tego nie widział.

– Zostawię cię więc z twymi przemyśleniami – jeśli był wściekły, nie zdradzał tego ani głosem, ani gestem.

– Kiedy wyjeżdżacie? – spytał Sanglant.

– Moja towarzyszka Hathui jedzie do króla z wieścią o oblężeniu. Pobędziemy tu trochę, aby zobaczyć, jak się sprawy rozwiną, i przekonać się, czy potrafię wśród Eików wyszukać tę

inteligencję, o której mówiłeś.

– Ufasz moim instyktom?

– Byłbym głupcem, lekceważąc je.

– To zaiste pochwała, Wilkunie – przypominali dwóch pojedynkujących się szermierzy.

– Owszem. Życzę wam dobrej nocy.

– Na taką się zanosi.

Nie sposób było zignorować zaczepkę. Wilkun rozejrzał się wkoło, po murach, podwórku, dachu ratusza. Liath stała bez ruchu, nie wydając z siebie dźwięku. Wilkun nie zauważył jej. Zszedł po drabinie i jego kroki szybko ucichły.

Zapadła cisza przerywana tylko odległym dźwiękiem bębnow. Modliła się, aby Sanglant szybko odszedł.

I nagle usłyszała ciche słowa:

– Cały czas tu byłaś.

Nie poruszyła się, nie odważyła odetchnąć.

Odszedł od muru i ruszył pewnie w ciemności prosto do rogu, w którym się skryła. Widziała, jak podniósł dłoń i nakazał jej wstać. Nie odważyła się nie spełnić rozkazu.

Wstała, podeszła i zatrzymała się na długość ramienia.

– Skąd wiedzieliście, że tam byłam?

– Mam czuły słuch. Nie wiesz, co mówią o ludzkiej matki? – Jego głos był tak pełen goryczy, że nagle pojęła, iż większość z tego, co powiedział Wilkunowi, zrodziła się z żalu, którego nie rozumiała. – Są pomiotem upadłych aniołów. Demonów powietrza, które parzyły się z ludzkimi kobietami. Jak ich niewidzialni ojcowie, mają dar słyszenia nawet niewypowiedzianych życzeń ludzkiego serca, którymi potem kuszą.

– Nie tego uczył błogosławiony Daisan – wyrzuciła, zadziwiona swą śmiałością.

– A czego uczył? – Nie wiedziała, czy pytał z ciekawości, czy też bawił się nią.

„Książę jest mężczyzną jak inni”, powiedziała służąca. Zrobił krok w jej stronę; gdyby mogła, byłaby uciekła. Ale nie mogła.

Nie wiedząc, co zrobić, przemówiła szybko:

– Uczył, że elfy zrodzone były z ognia i światła. Bo wszystkie rzeczy pochodzą od czterech żywiołów, ognia, światła, wiatru i wody. A kiedy ciemność podniosła się z głębin, wszechświat został skażony złem. Elfy więc naznaczone są ciemnością jak wszystkie rzeczy na tym świecie. Tylko w Komnacie Światła cała ciemność została wypalona przez ognistą prawdę spojrzenia Pani i Pana.

Ponieważ widziała tak dobrze w ciemności, ujrzała, że zamrugał zaskoczony. Podeszedł jeszcze bliżej, czuła ciepło jego ciała.

– Doprawdy? Mam się trzymać od ciebie z daleka, tak? – Pochylił się, jakby chciał ją pocałować. Przemyślał to i położył palec na ustach, nakazując obojgu milczenie. – Jaka szkoda, że zawsze byłem posłusznym synem.

Zostawił ją, zszedł po drabinie i zniknął w ciemnościach.

„Hugo”. Hugo ich widział. Hugo się dowie.

O, Pani, wcale nie o Hugonie myślała. Pożądanie. Zawstydzila się tego, co zadrzało w jej sercu. Co się z nią stało, że takie uczucie mogło się w niej zrodzić po zimie, którą przetrwała?

Na jeziorze leży wyspa. Na wyspie stoi miasto, otoczone siedmioma murami. Na wysokości wznosi się kamienna wieża. W tej wieży jest pięć drzwi, zamkniętych tym samym kluczem z brązu. Ale w północnych drzwiach widać cień drzwi wiodących w dzicz. Dzicz jest teraz jasna, jest ciepła i zachęcająca, te bezdroża, w które rzuciła klucz. Tylko ona chodzi po nich bezpiecznie.

Ale niebezpieczeństwo zawsze czyha.

Padła na kolana, skłoniła głowę i ukryła ją w dłoniach. Nie może poddać się pokusie.

Syn króla. Zaprzysięgły Smokom, zakazany. Zaplątany w dworskie intrygi. Zbyt niebezpiecznie było nawet myśleć o takim mężczyźnie – jakby on mógł kiedykolwiek pomyśleć o niej. Nie mogła poddać się takim myślom.

Musiała się ukrywać. Musiała być ostrożna, bo nie mogła nikomu zaufać, nikomu prócz Hanny, która odeszła, może zginęła – nie, na pewno nie – i która nie miała żadnej władzy.

– O Pani, chroń swą córkę – wyszeptała. A jednak, pomimo gorzkiego wstydu, nie przestawała myśleć o księciu. Pożądanie jest jak płomień, jak pochodnia płonąca w nocy. Wędrowiec w ciemności kieruje się ku niej.

Liath zamknęła oczy. Ujrzała pochodnie płonące na murach, ognie na brzegu, pożądanie, które spalało jej serce. Hugo mógł je dostrzec i odnaleźć ją.

Wygasiła je. Nad pustkowiem otaczającym miasto jej umysłu słońce przestało świecić. Chłodny wiosenny wieczór dawał ulgę jej zmrozonemu sercu. Była bezpieczna; była bezpieczna, kiedy nic nie czuła.

Na wschodnim brzegu, choć tego nie widziała, ognie zgasły, mimo że nie spadł na nie deszcz. Na murach Gentu zgasła co trzecia pochodnia, choć nie było wiatru.

Rozdział dziesiąty

Grzech pychy

1.

Płoną ognie, gęsty dym kwaśny od zapachu ludzkiego lęku. Zatrzymuje się, liże powietrze. Wśród zmieszanych woni zwęglonego drewna, trupów, płonącej smoły i kurzu wzniesionego przez wiele stóp znajduje znajomy suchy, piżmowy zapach swej rasy – chociaż nie jest on naznaczony charakterystyczną ostrością jego własnego miotu, jego plemienia, jego rodzinnego brzegu.

Dalej morze szumi za odległą plażą, miękko wpadając na piasek, gdzie leżą czyste drewniane łodzie. Pachną wodą morską, omułkami i dobrym mocnym dębem doprawionym jesionem i wierzbą.

Z lasu dobiega krzyk i szamotanina. Skacze w krzaki. Biegną miękcy ludzie; ich ból i przerażenie kładzie mu się słodkością na języku. Ale pozwala im przejść. Dwoje to dzieci, niesione przez silną matkę, której łzy pachną jak morska sól. Wyczuwa w sobie nową słabość, zrodzoną przez kontakt z Halanem, synem Henriego. Myśli o Starej Matce, która rozpoczyna właśnie swą podróż w górę fjallu, gdzie zajmie miejsce wśród Mądrych Matek. Ona o miękkich mówi z pogardą, bo nie rodzą miotów tak licznych i silnych jak Skalne Dzieci. Jednak Halan miał właśnie taką matkę. Pozwala im przebiec, a potem wyczołguje się z ukrycia i rusza w stronę kuzynów.

Czy kuzynowie powitają go z pokojem w sercach? Czy też poszczują go psami?

Odrzuca wątpliwości. Zapach Starej Matki jest na nim silny. Wiele mu przyobiecала, zanim jej stawy zesztyniały, a nóż decyzji powędrował do nowej MłodejMatki. Nawet jeśli ci wojownicy to nie jego kuzyni, tak uprzywilejowanemu nie zrobią krzywdy. A psy z żadnej sfory nie ruszą tego, którego naznaczył zapach StarejMatki.

A jednak ma w sobie nową słabość, kiedy idzie przez las. Spoczywa w nim, ale on uważa drewniane koło, które ma na piersi, za jej widzialne przypomnienie. Inni ludzie biegną, unika

ich. Ta nowa słabość nauczyła go czegoś: miękcy nie są oczywiście prawdziwymi ludźmi, ale ludźmi. Ludzie potrafią mówić. Tak uczył MądreMatki. To wyszeptaly mu do ucha, kiedy był ledwie szczenięciem i wspinał się do świętego miejsca pilnowanego przez SzybkieCórki, aby przekonać się, czy MądreMatki będą z nim rozmawiać, czy też za śmiałość zostanie ukarany śmiercią.

„Język to broń równie silna jak nóż”.

MądreMatki przemówiły dwukrotnie, zapamiętał słowa na zawsze.

„Zmierz się ze słabością – stanie się siłą”.

Wychodzi z lasu na plażę porwaną wichrem. Domy miękkich ciągle płoną. Zapach dymu miesza się z ostrym zapachem morza i piasku. Psy szczekają. Obserwator widzi go i gwizdże pytanie. On odgwizduje, może przejść. Pewny siebie, rusza ku morzu.

Alain obudził się na ziemi, zziębnięty i drżący. Nie poruszył się. W umyśle pozostały jeszcze straszne obrazy ze snu. Ciągle czuł morze i dym, słyszał krzyki dzieci i jęki mężczyzn padających pod oszczepami i toporami Eików. Widział potworne psy, ich puste brzuchy i wieczny gniew, żółte oczy siejące skry. Zawsze dyszały, wywalały jęzory, ślina ciekła im z pysków.

Poruszył się. Z obu stron ścisnęły go Smutek i Furia. Ich solidne grzbiety dawały mu poczucie bezpieczeństwa.

W przeciwieństwie do reszty piechoty Lavastine'a, miał teraz porządne łóżko: przed wejściem do namiotu hrabiego zawsze leżał dywan. Każdej nocy, po napojeniu i nakarmieniu psów, a potem posłania ich na spoczynek u boku pana. Alain kładł się na dywanie. Choć było to absurdalne – miał nóż i oszczep, ale ledwo potrafił się nimi posłużyć – uważał się za strażnika hrabiego, mimo że na noc wystawiano warty. Nikt jednak nie próbował go usunąć. Najprawdopodobniej nikt się nie odważył, gdyż Alain zawsze miał u boku psy, a Lavastine zdawał się obojętny na wszystko prócz nakazu pomocy Sabelli.

Furia zaskomlała i zadrżała. Smutek sypiał cicho, ale budził się przy najdrobniejszym ruchu Alaina. A ten musiał się podnieść.

Wczoraj hrabia Lavastine z orszakiem dołączyli do damy Sabelli. Imponujący orszak, który Alain widział pierwszy raz dwa miesiące wcześniej w Lavas, rozrósł się teraz do wspaniałej armii. Rodulf, diuk Varingii, oraz inni hrabiowie i lordowie dołączyli do Sabelli. Przybycie stu dwudziestu zbrojnych Lavastine'a dało powód do świętowania. Ucztowano długo w noc i Alain wypił zbyt wiele piwa, które krążyło wśród żołnierzy. Teraz miał suchość i niesmak w ustach, bolała go głowa i naprawdę musiał pójść za potrzebą.

Jeden ze strażników spał, a drugi ziewnął bez zainteresowania, kiedy Alain się podnosił. Smutek obudził się natychmiast, gdy chłopak powędrował w rzadki lasek dwadzieścia kroków od obozu. Pies poszedł za nim, piszcząc cicho.

Alain ulżył sobie. Księżyc już zaszedł, ale na wschodzie widniała tylko cienka czerwona

kreska nad horyzontem. Z obozu dobiegały stłumione głosy chóru fratrów i kleryków, śpiewających laudę. Kiedy odwrócił się, by wyjść spomiędzy drzew, Smutek złapał go za nadgarstek i pociągnął. Alain padł w poszycie.

– Co to? – zaszeptał ktoś z lasu.

Smutek pchał Alaina tak mocno, że ten musiał pozostać na czworakach. Częściowo skrywały go niskie krzaki. Przez ich gałęzie widział dwie postacie niosące między sobą jakiś kształt. Zatrzymali się, by odpocząć.

– Cicho – mruknął drugi.

Alain był cicho, podobnie Smutek. Dwaj tajemniczy mężczyźni również. Klerycy i fratry śpiewali, ich głosy stapiały się z rzadniejącym mrokiem.

– Nic – powiedział jeden. – Pośpiesz się, zanim obóz się zbudzi. – Podnieśli niesioną rzecz wyżej i ruszyli w stronę wschodniego skrzydła obozu.

Nieśli ciało.

Serce Alaina zamarło. Smutek polizał mu dłoń. Poczuli się za nimi, Alain z dłonią na karku psa. Aby dodać sobie odwagi, wsunął dłoń w wycięcie tuniki i dotknął róży, żywej, kwitnącej. Ukłucie jej cierni odpędziło strach.

Nie wiedział, czy nieśli mężczyznę czy kobietę, żywego czy umarłego. Donieśli ciało do obozu Sabelli, minęli namiot kuchenny i dotarli do osłoniętej płachtą klatki, ustawionej pięćdziesiąt kroków od ognisk. Na spotkanie wyszedł im zakapturzony mężczyzna. Jego ramiona owijały skórzane pasy.

Rozmawiali cicho. Na początku Alain nie rozróżniał słów: człowiek nie potrafił ich podsłuchać. Ale...

Alain napiął się, znieruchomiał i po chwili słyszał cichy oddech Smutka i wszystkie głosy mnichów śpiewających laudę, niektóre w odpowiedniej tonacji, niektóre nie. Słyszał drapanie szponów o drewno, klekotanie gałązek na wietrze, nawet ziemię przesuwaną się między jego palcami.

– ...nie będą zadawać pytań.

– Przyniesiony z majątku pod Autunem. To ziemie biskupiny autuńskiej, ziemie fałszywego króla. Biskupina Antonia mówi, że na ludzi uzurpatora można polować.

– Dopóki nie będzie z tego kłopotów – mruknął strażnik. – Od Autunu musieliście iść cały dzień. Żywy?

– Zdaje się, że jeszcze dycha. Dałem mu tego napoju, ile kazałeś. Nie obudził się. Po co to? Jakaś przyprawa?

Głos strażnika był pełen obrzydzenia:

– Nie musi się niepotrzebnie męczyć.

– Żałujesz ludzi uzurpatora?

– Wykonuję swoją robotę. Odsuńcie się.

– Nie możemy popatrzeć?

– A patrzcie sobie do woli. Będziecie żałować – parsknął strażnik.

Coś w jego głosie nakazało tamtym odejść. Ale Alain nagle zrozumiał, że tym razem nie będzie się beczynnie przyglądał.

Skoczył na równe nogi. Smutek kłapnął zębami, ale spudłował i chłopak wyskoczył z poszycia.

– Nie! – wrzasnął.

Dwaj mężczyźni złapali go natychmiast i wykręcili mu ręce. Szarpał się przez chwilę, jednak byli znacznie silniejsi. W klatce załomotało, jakby coś rzuciło się na pręty.

– Może tego wrzucimy? – zaproponował jeden z mężczyzn. – Jest świeższy i młodszy.

Spomiędzy drzew wyskoczył warczący Smutek. Napastnicy natychmiast puścili Alaina i odskoczyli, wyciągając długie noże.

– To jeden z psów Lavastine’a – powiedział nerwowo strażnik. – Nie róbcie mu krzywdy. Smutek usiadł, opierając się o nogi Alaina.

– Nie róbcie tego – poprosił chłopak. – To nie jest miłosierne. To wbrew naturze.

Z bliska widział, że strażnik miał kikut zamiast dłoni; jego twarz poznaczona była na czole i szczęce głębokimi dziurami, a w miejscu prawego oka widniała masa białej, zbliznowaczonej tkanki. Na piersi miał brązowy Krąg Jedności.

– Trzeba go nakarmić, chłopcze. Świeżą krwią. A może rzucisz się do klatki na ochotnika?

Alain zadrzał. Ciągle miał w pamięci straszne wycie i skomlenie Półgłówka. To była jego wina, jego niedopatrzenie. Nagle pomyślał o fratrze Agiusie i jego niebezpiecznych heretyckich słowach: błogosławiony Daisan oddał się w ofierze, aby odkupić nasze grzechy; poprzez poświęcenie stajemy się wartościowi. Pchnięty tym wspomnieniem, intensywnością modlitw i kazań Agiusa, Alain postąpił krok ku klatce.

Smutek popchnął go tak mocno, że Alain padł na kolana. Pies złapał go za ramię i boleśnie wbił zęby w ciało, nie rozrywając skóry. Dwóch mężczyzn uniosło noże. Smutek warknął, ale nie puścił.

– On ma chyba inne zdanie – mruknął strażnik, rozbawiony. Schylił się ku ciału, wsunął przedramiona pod pachy śniącego. Mimo braku dłoni był silny: powłókł ciało do klatki, przymocował do jakiegoś uchwytu i podciągnął w górę małe drzwiczki, nie większe od męskich ramion.

– Puszczaj! – powiedział wściekle Alain. Nie bacząc na ból, wyrwał się z paszczy Smutka i skoczył naprzód. Musiał zapobiec temu morderstwu.

Strażnik podniósł głowę, a potem, odruchowo, zerwał całun z klatki, odsłaniając...

Mężczyźni za Alainem wrzasnęli ze strachu, zanim głos zamarł im w gardłach.

Stworzenie potoczyło wokół wielkim okiem – miało bowiem tylko jedno; drugie było masą zgnilizny, pełną wijących się robaków, larw pełzających po dziobie. Jego wzrok uderzył Alaina jak boży miecz.

Nie mógł się poruszyć.

Ale mógł patrzeć, z gardłem zaciśniętym przerażeniem. Litością.

Mimo okropnego wyglądu, stworzenie było chore. Jak wielki ptak, miało dwie pazurzaste łapy i skrzydła pozbawione piór. Dno klatki pokrywało pierze i odchody. Miało długi ogon i łysą głowę stalowego koloru z zielono-żółtym połyskiem, znaczącym wszystkie chore stworzenia. Niezgrabnie przemierzyło klatkę ku swemu posiłkowi.

Wpychany do klatki mężczyzna zadrżał i jęknął cicho, jak ktoś, kto budzi się z koszmaru tylko po to, aby przekonać się, że rzeczywistość jest gorsza. Wielka łapa złapała ciało, wbiła w nie pazury i wciągnęła je do klatki.

Strażnik zarzucił całun na klatkę. Alain usłyszał zduszony krzyk, a potem odgłosy łapczywego pożerania. Guivre przestał na niego patrzeć. Chłopak upadł, drżąc konwulsyjnie, i zaczął płakać. Nadal nie mógł się poruszyć: to, co widział, było zbyt przerażające.

Strażnik zamknął drzwi na łańcuch. Patrzył na Alaina.

– Lepiej idź z nimi, chłopcze. Biskupina będzie chciała cię zobaczyć.

Biskupina Antonia. Oczywiście, to ona za tym stała. Frater Agius odmówił zmierzenia się z nią w ruinach i następnego dnia w Lavas. Teraz zaś Alain nie miał wyboru – chyba że ze Smutkiem u boku chciał toczyć idiotyczną bójkę, której nie mógł wygrać.

Świadomość opuściła go. Kiedy go odprowadzano, ze Smutkiem przy nodze, ogarnął go nagły spokój.

Ten spokój, poddanie się woli Boga, opuścił go, kiedy czekał w antyszambrach namiotu, a na zewnątrz biskupina odprawiała nabożeństwo prymy, celebrację wschodu słońca i nowego dnia. Zgromadzili się wszyscy szlachetnie urodzeni.

Kiedy Antonia wróciła, wspaniała w białych szatach przetykanych złotem, z pastorałem trzymanym pewnie w prawej dłoni i wysłuchiwała wyszeptanego sprawozdania, rzekła tylko:

– Znowu on? Bracie Heribercie, zanieś hrabiemu Lavastine'owi wiadomość, że od dziś chłopak będzie w moim orszaku. Lavastine nie będzie się sprzeciwiał.

Kleryk wyszedł. Alain klęczał, nieszczęśliwy i przestraszony, kiedy namiot pakowano i ładowano na wóz. Smutek nie ruszał się od niego na krok. Nikt się do niego nie odzywał, ale dwaj strażnicy nie spuszczaali z niego oka.

Kiedy wszystko było gotowe i moźni dosiadali koni, zrobiło się zamieszanie. Czarny kształt przedarł się między wozami i u boku Alaina pojawiła się Furia, zajmując swe miejsce przy Smutku. Nikt nie próbował jej powstrzymać. Jej obecność podniosła go na duchu.

Kiedy ludzie ruszyli, żołnierze pchnęli go naprzód. Posłusznie rozpoczął marsz. Co innego mógł zrobić? Najgorsze było to, że nie wiedział, co go czeka. Ukarają go? Zetną? Nakarmią nim guivre'a? Nie wyobrażał sobie, co mu przeznaczyła biskupina Antonia.

Cały dzień maszerowali równym krokiem, zatrzymując się w południe, by napoić konie. Szli przez tereny rolnicze, pełne gospodarstw i pól, z niewielkimi lasami na szczycie

łagodnych wzgórz. Okolica była ładna, obfitująca w trawę dla bydła i uboga w ludzi wiernych królowi Henrykowi.

Późnym popołudniem pola zmieniły się w zbocze, schodzące ku rzece Rhowne. Alain mógł dostrzec kamienną wieżę katedry w Autunie, małą jak model kamieniarza, rozmytą przez upał. Doszli do granic ziem diuka Varingii; za nimi leżało serce starego królestwa Varre, nazywanego teraz księstwem Arconii. A za Arconią leżał Wendar.

Armia zatrzymała się i zaczęto rozbijać obozowisko. Alainowi nakazano wejść do namiotu. Tam, na rozkaz biskupiny, usiadł na stołku. Psy poszły z nim i ułożyły się u jego stóp.

Oddała Alaina pod opiekę kleryka, młodego mężczyzny o bladych niebieskich oczach, na którego wołała Willibrod. Twarz i kark kleryka pokrywały czerwone ranki. Rzeźbił w drewnie Kręgi Jedności i rył na ich odwrocie litery. Co dziwniejsze, przyczepiał do Kręgów kosmyki włosów, kawałki liści i inne śmieci, wyciągane z czegoś, co przypominało upierzenie na lotki. Potem zawieszał Kręgi na rzemykach.

– Nowicjusz? – zapytał Willibrod. – Jesteś ogolony jak przystało na sługę bożego.

Alain zaczerwienił się straszliwie. Fakt, że na podbródku nadal rósł mu ledwie puch, straszliwie go krępował. Nie golił się, ale ten kleryk nie mógł tego wiedzieć.

– Przyrzeczono mnie klasztorowi – wyjąkał w końcu – ale teraz jestem żołnierzem hrabiego Lavastine’a.

Kleryk wzruszył ramionami.

– Zdarza się, że klerycy i mnisi służą w wojsku, bo przecież powiedziane jest, że kiedy nasza Pani dogląda Ognia, nasz Pan włada mieczem.

Do namiotu weszła biskupina Antonia. Otoczyli ją służący, przynosząc dzban wody, piękną misę z brązu i ręcznik z białego lnu, aby mogła odświeżyć twarz i dłonie. Inni otrzepywali z pyłu i błota jej strój, a jakaś kobieta zaplatała długie srebrne włosy Antonii w warkocz, upinając na nich białe lniane szal, gdy skończyła. Na szalu dwóch kleryków umieściło biskupią mitrę. Wysoka, ostro zakończona, wykonana była ze sztywnego białego materiału obszytego grubymi złotymi wstążkami. Biało-złote pasy zwieszały się na plecach Antonii.

Kleryk wręczył biskupinie pastorał, a ona obróciła się z miłym uśmiechem i podziękowała służącym za pomoc. Popatrzyła na Alaina. Skłonił głowę, przerażony, że przyłapała go na podglądaniu ablucji. Nie widział więc wyrazu jej twarzy, kiedy przemówiła:

– Wiele dni temu wydałam polecenie, aby przyprowadzono tego drugiego. Jeszcze nie dotarł?

– Jeszcze nie, Wasza Świątobliwość.

– Mam nadzieję, że będzie z nami na komplecie – mówiła słodko, z nadzieją, ale Alain znał ją już... Chociaż zdawała się miła i łagodna, nie znosiła sprzeciwu. Klerycy odsunęli się; reszta zajęła miejsca i orszak wymaszerował przed namiot, aby biskupina mogła odprawić

nieszpory.

Kleryk Willibrod pozwolił Alainowi klęknąć i modlić się, kiedy śpiewano nabożeństwo. Podczas ostatniego psalmu w wejściu do namiotu pojawili się dwaj żołnierze. Pomiędzy nimi, jak więzień, szedł frater Agius. Utykał; jego brązowy habit był poplamiony i nieświeży. Alain, zaskoczony, skoczył na równe nogi.

Agius strząsnął dłonie żołnierzy. Natychmiast ukląkł, by odśpiewać ostatnie wersy psalmu, a Alain, zawstydzony, poszedł w jego ślady.

– Sądziłem, że zostaliście w Lavas – wyszeptał po ostatnim *Alleluja*. – Sądziłem, że nie zamierzacie przyłączyć się do hrabiego Lavastine’a.

– Nie zamierzałem. – Agius wstał, rozejrzał się, i utykając, podszedł, aby umyć twarz w misie biskupiny. Alain był zaskoczony i oburzony takim przejawem ziemskiej pychy ze strony fratra. Ten otarł twarz i dłonie w ręcznik, którego używała Antonia. – Moje życie nie polega na angażowaniu się w ziemskie spory, kuszące tych, którzy dali się zwieść blaskom doczesnych przyjemności i władzy.

– Więc dlaczego tu jesteście?

– Przywieziono mnie wbrew mej woli.

Agius usiadł w wymoszczonym poduszkami krześle, które nawet taki wioskowy prostak jak Alain rozpoznawał jako krzesło przeznaczone dla biskupiny. Ta jawna bezczelność sprawiła, że chłopak zadrżał. Psy, wyczuwając jego nastrój, kręciły się niespokojnie, wałąc ogonami i patrząc na pana.

– Wybaczcie, bracie – powiedział nerwowo Willibrod, drapiąc się po twarzy – ale to krzesło biskupiny Antonii. Zwykłemu bratu nie wolno siedzieć...

Agius popatrzył na kleryka bez słowa.

Alain ujrzał światło pochodni w przedsionku. Wróciła biskupina.

2.

– Czy właściwym jest – spytała Antonia swym łagodnym głosem, kiedy przebrzmiały już okrzyki zaskoczonych służących – aby zwykły frater pozwalał sobie zajmować miejsce tej, którą namaściły dłonie samej skoposy?

– Pani już osądziła me serce i uznała, że jestem chętny. Walczę o to, aby być godnym Jej miłosierdzia i przebaczenia. Nie twojego. – Agius najwyraźniej był wściekły.

– Jesteś zły, dziecko. Takie serce okazujesz Pani i Panu?

Słowa biskupiny nie obeszły fratra.

– Ona zna moje serce – Wstał, nie przypominając już fratra przywiezionego przed oblicze biskupiny, tylko szlachcica, którego rozgniewał sługa. – Ty nie.

Służący zaszeptali między sobą, zaszokowani; Antonia uciszyła ich gestem.

– Kto teraz przemawia, Agiusie? Pokorny braciszek? Czy też dumny syn? – Jej głos

przybrał nagle twardy i oskarżycielski ton.

Agius skrzywił się, choć nie ustąpił.

– Odpokutuję za moją pychę. Czego ode mnie chcecie, wasza świętobliwość? Dlaczego mnie tu sprowadziliście? Już nie służę światu.

– Ale na nim żyjesz. Nie możemy uciec od świata, choć bardzo się staramy, fratrze Agiusie. Nawet ty jeszcze się nie nauczyłeś poddawać woli naszej Pani i Pana. Część twego serca nadal żyje tak jak dawniej, kiedy przyzwyczajony byłeś mieć własne zdanie.

– Nasza Pani mnie osądzi – odparł krnąbrnie. – Czego ode mnie chcecie?

Jeśli na jej twarzy pojawiły się kiedykolwiek twarde linie, roztopiły się teraz w uśmiechu, którego słodycz podkreślały jeszcze okrągłe różowe policzki i niebieskie oczy.

– Abyś się spotkał z bratanicą, oczywiście.

– Z bratanicą! – ryknął niemal.

– Wychowuje ją biskupina Autunu – nie zauważyła nawet jego gniewu. – Wiedziałeś o tym?

– Oczywiście, że wiedziałem!

– Za twoją sugestią, prawda?

Nie spuszczał z niej oczu.

– Zostaniesz tu na jakiś czas.

– Masz zamiar zrobić ze mnie zakładnika?

Dała znak. Służba natychmiast opuściła namiot, zostawiając ją z Agiusem, Alainem i psami. Popatrzyła na ogary i uznała, że była w ich towarzystwie bezpieczna – a raczej w towarzystwie Alaina, który je kontrolował.

– Mam zamiar zrobić z ciebie broń.

– Nie jestem już bronią, której można użyć w ziemskich wojnach, biskupino. Kiedy składałem śluby, przysięgałem nie zwracać więcej uwagi na sprawy tego świata.

– Zobaczymy – uśmiechnęła się łagodnie. Skinęła Alainowi głową i wyszła z namiotu.

Agius ruszył za nią, ale drogę zatarasowali mu strażnicy. Przez chwilę Alain sądził, że frater rzuci się na nich. Ten jednak padł na kolana, by się modlić, jęcząc, kiedy zraniona noga – choć przecież minęły prawie dwa miesiące, odkąd Smutek go pogryzł – przejęła ciężar ciała. Trochę potrało, zanim Alain zaczął rozróżniać słowa:

– Jestem niegodnym synem, o Pani, proszę, uczyni mnie wartym Twego miłosierdzia. Nie osądzaj mnie surowo, Pani. Wybacz grzesznikowi, Pani. O Pani, ześlij mi spokój, abym mógł stać się pokornym i zwalczyć pychę.

Nie zamierzał zamilknąć. Słyszac na zewnątrz nabożeństwo komplety, Alain uklęknął i przyłączył się do modlitwy.

Biskupina nie wróciła po nabożeństwie. Prawdopodobnie poszła na wieczerzę. Willibrod przyniósł chleb, ser i wino dla Agiusa i Alaina, a potem on i kilku innych kleryków wrócili do robienia naszyjników. Frater nie tknął jedzenia, choć Alain zmusił go w końcu do

przełknięcia kilku łyków wina.

Antonia wróciła późno i poszła spać; służba i klerycy nocowali na rozłożonych wokół jej łoża materacach. Alain spał źle, wciśnięty między dwa przygniatające go psy. Dręczyły go pytania. Co miała wspólnego bratanica Agiusa z rewoltą Sabelli? W końcu Agius był tylko zwykłym fratrem – choć zwykły frater nigdy by się nie odważył usiąść na krześle zarezerwowanym dla biskupiny.

Za każdym razem, gdy się budził, słyszał Agiusa odmawiającego modlitwy.

Rano pozwolono Alainowi pod strażą wyprowadzić psy. Kiedy wrócił, ujrzał zbliżający się orszak bogato odzianych mężczyzn i kobiet, obwieszonych złotem i srebrem. Pobiegnął do Agiusa.

– Idzie biskupina z innymi! – syknął. – Są z nią jacyś możni.

Agius wstał niezdarnie, ale wyprostował się i dumnie zwrócił ku wejściu – nie przypominał pokornego braciszka. Alain ukląkł z psami u boku; on nie mógł stać w obecności szlachty. W końcu był tylko synem kupca.

Światło dzienne zostało przyćmione przez blask bijący od odzienia damy Sabelli i mężczyzny, który jej towarzyszył: Rodulfa, diuka Varingii. W porównaniu z ich szatami, nabijanymi klejnotami, obszytymi złotymi i srebrnymi taśmami oraz dużą ilością złota w postaci łańcuchów, pierścieni i naszyjników, odzież Antonii, ledwie wyszywana złotą nitką, zdawała się skromna.

Rodulf zaśmiał się krótko i odezwał do Antonii:

– Na Boga! Gdybyś mnie nie ostrzegła, wasza świątobliwość, nigdy bym szczeniaka w tych łachmanach nie poznał. – Dał kilka kroków do przodu. Szeroki w barach i ciężki, miał czerwone policzki kogoś, kto nie skąpi sobie pożywienia. Poklepując Agiusa po ramieniu, potrząsnął nim radośnie. – Co jest, chłopcze? Popadłeś w niełaskę? Oj, słyszałem, że twoja matka i ojciec wpadli w szal, kiedy zamiast w związku małżeńskie wstąpiłeś do zakonu. Ale sądziłem, że będziesz pewnie prezbiterem w orszaku skoposy w tym cholernym gorącym Darre. A to co? – Schwycił w grubą dłoń habit fratra i pociągnął tak mocno, że Alain miał tylko nadzieję, że materia nie pęknie.

– Służę naszej Pani – odparł sztywno Agius. – Nigdy nie zamierzałem robić nic innego. – Nie pokłonił się ani Rodulfowi, ani Sabelli, która stała za nim, poważna i zamyślona.

– Ale przybyłeś pomóc kuzynce – powiedział Rodulf, wskazując Sabelle.

– Nie.

Alain bał się nawet drgnąć, czekając na wybuch, który musiał nastąpić.

Ale Sabella zdawała się nieporuszona. Dała krok naprzód.

– I tak posłużysz naszym celom, Agiusie – powiedział matowo. – Nie mam czasu, aby oblegać Autun, a biskupina Konstancja nie odda mi miasta po dobroci, zaś ja nie mogę sobie pozwolić, aby autuńscy zbrojni byli mi wrody. W zamian za bezpieczeństwo twojej bratanicy

przywieziesz mi biskupinę Autunu jako zakładniczkę, używając wszelkich sposobów, by tego dokonać.

Ta pogroźka, o ile była to pogroźka, nie poruszyła Agiusa, wręcz dodała mu pewności siebie.

– Jeśli nie masz wystarczającego poparcia, by zmierzyć się z królem Henrykiem, może lepiej zrobisz, wracając do swoich posiadłości i dbając o nie?

Cienkie wargi Sabelli drgnęły, choć się nie uśmiechnęła. Dała znak jednemu ze służących. Do namiotu wkroczyła natychmiast pokojowa, prowadząc ze sobą dziewczynkę pięcio – lub sześćioletnią, o włosach jasnych i cienkich, która na twarzy miała ślady łez, ale krzyknęła głośno na widok Agiusa, wyrwała z uścisku pokojowej i skoczyła ku niemu, wołając:

– Stryjku! Stryjku! Zabili moją nianię! – Wybuchnęła płaczem.

Objął ją mocno, szepcząc uspokajające słowa.

Kiedy ucichła, Sabella znów przemówiła:

– Moi ludzie natknęli się na twoją bratanicę z orszakiem, jadącą ku Autunowi. Była potyczka. Kilku z jej orszaku nie chciało się poddać bez walki.

– Co zamierzasz z nią zrobić? – zapytał. – Jest przeznaczona do stanu duchownego, jak zapewne wiesz.

Rodulf poruszył się niespokojnie, bawiąc pierścieniami. Wyglądał, jakby ta rozmowa była mu wstrętna. Antonia popatrywała słodko na zgromadzonych; kiedy Alain poczuł na sobie jej wzrok, zadrżał, jakby oblaży go pająki. Furia warknęła, więc położył jej dłoń na pysku.

– Nic nie zamierzam z nią zrobić – powiedziała Sabella. – Chyba że zostanę zmuszona. Chcę biskupiny Konstancji.

Agius był tak blady, że jego ciemne oczy wyglądały jak pomalowane na czarno, niby powieki ulicznicy. Dziecko tuliło się do niego, chowając twarz w habicie.

– Konstancja nie będzie cię podejrzewać, Agiusie – ciągnęła Sabella. – Wychowywaliście się razem i, o ile sobie przypominam, krążyły nawet pogłoski o waszych zaręczynach, zanim okazało się, że ona wstąpi do zakonu, a ty poślubisz księżnę Liutgardę. – Dotknęła złotego torkwesu, a potem otworzyła pustą dłoń. – Ale te zaręczyny zakończyły się ślubem nie twoim, a twego brata. Dobrym i szczodrym człowiekiem był młody Frederic. I dobrym żołnierzem. Szkoda. Wielu zginęło w wojnach, które Henryk toczył na wschodzie, zamiast dawać baczenie na ziemie, które już uznał za własne. Już – dała znak pokojowej, która ruszyła ku dziewczynce.

Mała znów uderzyła w płacz, czepiając się stryjka. Ten objął ją mocniej, wściekły, ale w końcu, z twarzą wykrzywioną wstrętem do samego siebie, przekonał dziewczynkę, aby go puściła. Pokojowa wyprowadziła ją.

– Widzę, że się rozumiemy – powiedziała Sabella i bez słowa opuściła namiot.

– Musisz zrozumieć – rzekł Rodulf ostro – że nie będę już tolerował wendarskich królów i biskupów na mojej ziemi. Twój ojciec był Wendarczykiem, więc pewnie nie podzielasz moich poglądów, ale ja ich nie zmienię. Jednak nie apróbuję takich metod.

– Oszczędzimy w ten sposób wiele istnień – rzekła uspokajająco Antonia – a Autun nie zostanie spustoszony. Na pewno wszyscy się zgadzamy, że pokój jest lepszy niż wojna.

– Wojna przynajmniej jest honorowa – mruknął Rodulf. – Nie tak jak podstęp, nawet pobłogosławiony przez biskupinę. – Wyszedł.

– Wyruszamy jutro w południe – powiedział Antonia. – Będę was eskortować. – Zatoczyła ręką krąg po namiocie. – Przygotuj się tak, jak to uznasz za stosowne.

Kiedy wyszła, Alain i Agius mogli się umyć. Alain nalał wody do miedzianej misy, używanej przez służących. Zdjął tunikę, umył pierś, ramiona i twarz. Woda była wściekle zimna.

Głęboko osadzone oczy Agiusa były czerwone z wyczerpania. Ukłąkł i złożył dłonie.

Alain współczuł fratrowi. Pan i Pani na pewno nie chcieli, aby ktoś przechodził przez takie męki zwątpienia. Przecież dzięki ich litości ludziom obiecywano uwolnienie z ciemności. Wziął misę, podszedł do Agiusa i ukłąkł.

– Umyjcie się, bracie.

Agius wykrzywił się z bólu.

– Jestem na zawsze skażony grzechem pychy – rzekł przez zaciśnięte zęby.

Po raz pierwszy Alain zwrócił uwagę na stopy fratra, ukryte pod habitem. Były bose, pokryte starymi popękkanymi pęcherzami i świeżymi otarciami, na których zaschła krew i błoto. Każdy krok musiał mu sprawiać ból. Alain nagle zapragnął oszczędzić go Agiusowi, którego twarz naznaczona była cierpieniem. Zanurzył myjkę w wodzie i delikatnie umył twarz towarzysza.

– Błagam – powiedział Agius, nie otwierając oczu – nie jestem wart twego współczucia.

– Każda dusza jest warta współczucia – odparł zaskoczony Alai. Zanurzył myjkę w wodzie i zaczął delikatnie myć stopy Agiusa. – Przecież mamy braciom i siostram czynić dobro. – Spojrzał w górę. Ku swemu przerażeniu ujrzał, że Agius płakał. Oderwał myjkę, pokrytą krwią, ropą i brudem. – Wybaczcie. Nie chciałem sprawiać wam bólu.

– Nie dbam o ból ciała. Przypomina mi on o grzechach. O Pani, w swej dumie myślałem, że potrafię przeciąć stare więzy krwi i ziemi. Ale nie. Nie mogę zapomnieć o uczuciu do brata. Nie mogę kochać go mniej, niż Kocham Panią, choć on umarł i jest pod Jej opieką. Teraz jego dziecko jest w niebezpieczeństwie, a ci, którzy chcą władzy na świecie, wykorzystają mnie. W swej pysze sądziłem, że odrzuciłem mój ród. Teraz wiem, że to niemożliwe, dopóki tkwią we mnie dawne uczucia. Nie jestem skłonny złożyć prawdziwej ofiary, oderwać się od więzi rodowych i oddać całkowicie naszej Pani.

Nie wiedząc, co robić, Alain znów zabrał się za mycie stóp fratra, starając się nie oderwać świeżych strupów.

– Kim jesteś? – zapytał, a potem przestraszył się swej ciekawości.

Po długiej chwili Agius rzekł:

– Jestem najstarszym synem Burcharda, diuka Avarii i Idy, córki duca de Provensalle.

W Osnie obowiązkiem najstarszej córki było odziedziczyć matczyne dobra i kontynuować pracę na nich, zadaniem najstarszego syna zaś było dobrze się ożenić i połączyć rody. Kościołowi oddawano tylko młodsze dzieci. Na pewno wielcy książęta oczekiwali tego samego od swoich synów i córek.

– Nic dziwnego, że twoi rodzice się wściekli – powiedział Alain, kiedy dotarły do niego wszystkie konsekwencje czynu Agiusa.

Frater zamruczał cicho. Usiadł, przejechał palcami po włosach i podrapał się po podbródku, pokrytym jednodniowym zarostem.

– Co zrobisz? – zapytał Alain.

– W imię naszej miłości ocalę córkę mego brata. I znów zgrzeszę.

– Ale powiedziałeś, że im nie pomożesz... a ona jest taka młoda. – Alain cofnął się. Dziewczynka była trochę młodsza od najmłodszej córki ciotki Bel, słodkiej Agnes. – Czym oni mogą cię szantażować? Przecież jej chyba nie...

– Zabiją? – Agius uśmiechnął się kwaśno. – Jesteś dobrym chłopcem, Alainie. Jeszcze nie rozumiesz, do czego jesteśmy zdolni, goniąc za władzą, którą kusi nas Nieprzyjaciel. Władza, jaką mamy na tej ziemi, jest niczym w porównaniu z ofiarą błogosławionego Daisana i obietnicą Komnaty Światła. Ale wszyscy jesteśmy skażeni ciemnością, więc z zasłoniętymi oczami łapiemy cienie. – Klasnął władczo w ręce. – Przynieście mi nóż! Z taką brodą nie jestem wart miana dobrego księdza – jego twarz pełna była rozpacz, ale ruszał się szybko i zdecydowanie, jak ktoś, kto pogodził się z okrutnym przeznaczeniem.

3.

Alain szedł u boku Agiusa, a za nimi podążały psy. Na czele procesji jechała biskupina na białym mule, prowadzonym przez służących. Kleryk niósł zielony sztandar z herbem Antonii: czarną wieżę u zbiegu dwóch rzek. Na czarnej wieży złotą nicią wyszyto pastorał.

– Nic nie rozumiem z tego gadania o diukach, ziemiach, biskupach i zależnościach – wyznał Alain.

Agius uśmiechnął się lekko.

– Nie rozumiesz, dlaczego używają mnie jako przynęty, by schwytać Białą Łanię?

– Białą Łanię?

– Tak mówiliśmy na Konstancję. – Kiedy Alain skinął głową, udając, że wszystko doskonale pojmuje, Agius wydał zniecierpliwione westchnienie. – Konstancja to najmłodsza, prócz Bruna, z rodzeństwa króla Henryka.

– Ale dlaczego Sabella mówiła do ciebie „kuzynie”? Nie nosisz... – Alain objął gardło

palcami.

– Tylko ci, którzy pochodzą z królewskiego rodu, mogą nosić złoty torkwes. Jest on symbolem królewskiej krwi. I Sabella, i jej mąż Berengar mogą nosić torkwes. Tak samo księżna Liutgarda. Janie.

– Ale dlaczego... A ty nie...? Jeśli jesteś synem diuka? – Ze wschodu nadciągały chmury. Zrobiło się chłodniej. Alain czuł, że po deszczu droga zamieni się w błoto. Ile deszczu, ile błota potrzeba, aby pokrzyżować ten plan? A przecież maszerował w armii Sabelli, pod sztandarem hrabiego Lavastine’a. Dlaczego nie pragnie jej zwycięstwa?

– Nie dość, że czytanie i modlitwa, to jeszcze porządek świata – powiedział Agius, wzdychając.

– Co?

– Alainie, wygląda na to, że moim przeznaczeniem jest cię uczyć. Ufam, że w swej łaskawości nasza Pani sprawi, że do nauk o prawdzie męki Jej syna przyłożysz się lepiej niż dotychczas do abecadła. Słuchaj.

Szli opustoszałą drogą. Wszyscy rolnicy mieszkający wokół Autunu uciekli do miasta, gdy ujrzeli zbliżającą się armię. I chociaż teraz mieli nad głową niebo zamiast sufitu i otaczały ich pola, nie ściany, Alain poczuł się jak za dawnych dni w Lavas. Agius był niemiłym i niecierpliwym nauczycielem, bezlitośnie wytykającym błędy i rzadko przyzymkającym oko na pomyłki. Chciał, aby wszyscy wiedzieli to, co on.

– W królestwie Wendaru i Varre jest dziesięcioro wielkich książąt. Sześcioro z nich to diukowie. Czworo to margrabiowie, zawiadują bowiem marchiami na wschodniej granicy. Władca jest pierwszym spośród tej dziesiątki. Ich zgoda i siła władcy sprawiają, że książę lub księżniczka królewskiej krwi zostaje uznany za następnego króla Wendaru i Varre.

– A czy Wendar i Varre nie były kiedyś oddzielnymi królestwami?

– Nie wiem, co wyobrażał sobie twój ojciec, szczedząc ci porządnej edukacji – warknął Agius.

– Mój ojciec nauczył mnie wszystkiego, co powinien wiedzieć syn kupca – odciął się Alain, którego zdenerwowała niezasażona krytyka. – Potrafię naprawić łódź. Znam się trochę na żeglowaniu i nawigacji. Wiem, ile są warte monety różnych królestw i ludów. Potrafię się targować.

– Nie mówiłem o twoim przybranym ojcu.

Alain natychmiast zapomniał o gniewie.

– Ty ciągle wierzysz, że jestem bękartem Lavastine’a?

Agius szerokim gestem wskazał psy, drepczące za Alainem. Były łagodne jak szczenięta, dopóki w pobliżu znajdował się hrabia albo Alain. Agius doskonale wiedział, jak traktowały intruzów.

– Ale to nie ma znaczenia. Spełnię zadanie, jakie wyznaczyła mi nasza Pani. Uważaj.

Weszli na wzniesienie. W oddali Alain widział Autun, wieże katedry, mury miasta, słabe

łśnienie Rhowne'u płynącego przez pola pełne gęstego zboża. Kiedy weszli do lasu, drzewa zasłoniły widok.

– Nie będę cię zanudzał historią rodu Saony. To długa i skomplikowana opowieść, więc lepiej zostawić ją zakonnicom z Korvei, które od lat spisują czyny wielkich książąt. Musisz jednak wiedzieć, że w roku 679, wedle kronik, młody król Louis z Varre, znany jako Ludwik Dziecko, umarł. Dwa lata później Starszy Arnulf, król Wendaru, umarł. Arnulf Młodszy, jego syn, został królem Wendaru i Varre. Jaki mamy rok, Alainie?

Jaki rok? Była wiosna. Tego dnia wypadało świętego Casceila, jak odczytano na porannej mszy. Ponieważ jeszcze nie było świętej Zuzanny, Sormas się nie zaczął, ale on nie pamiętał, którego dnia Avrila przypadało świętego Casceila.

A już lata... Alain nie był przyzwyczajony do numerowania ich. Szukając gorączkowo w pamięci, potknął się o dziurę w drodze i przypomniał sobie.

– Mamy rok 728 od ogłoszenia Słowa.

– Dobrze. Wiesz o zmaganiach Henryka i Sabelli o prawo do zasiadania na tronie Wendaru i Varre. – Agius machnął ręką w stronę biskupiny. Zaczęła śpiewać i jak zwykle klerycy przyłączyli się do niej. Alain nie rozumiał słów, bo śpiewano po dariyańsku.

Agius, wyrwany z zamyślenia, mruczał pod nosem:

– *Cztery diakonisy pilnowały skarbcza*

W swej jedności posiadały

Klucz do tajemnicy

Otworzyły nam czworo drzwi

Każda swym kluczem

Chwała Tobie, która mądrze je wybrałaś!

– To są słowa tego hymnu?

– Tak. To stara pieśń ze wschodu. Nieważne, nie możemy się rozpraszać. Niedługo dotrzemy do murów Autunu i lekcja się skończy. Jak ma na imię król i kim jest jego rodzeństwo?

– Król Henryk, oczywiście! – Alain zdał sobie sprawę, że odezwał się głośno i wciągnął głowę w ramiona. W obozie Sabelli nie mówiło się o Henryku jak o królu. – Dama Sabella jest jego starszą siostrą.

– Przyrodną siostrą – poprawił Agius. – Jej matką była królowa Berengaria z Varre. Gdy zmarła, Arnulf Młodszy poślubił Matyldę z Karrone, matkę Henryka. I?

– Nie mam pojęcia.

– Żyjące dzieci Arnulfa i Matyldy. Henryk. Rotrudis. Richardis, znana jako Scholastyka, przeorysza klasztoru w Quedlinhamie. Benedykt, Konstancja. Bruno. Henryk ma też przyrodną siostrę, którą Arnulfowi urodziła konkubina. To Alberada, biskupina Handelburga, ale to tak daleko na wschodzie, że nie miesza się ona w rozgrywki między Henrykiem i Sabelłą. Kim są diukowie?

– Nie... nie wiem. Rodulf to jeden... Czy przypadkiem mąż Sabelli nie jest diukiem?

– Jest. To diuk Arconii, chociaż to Sabella zarządza ziemiami. Rodulf jest diukiem Varingii. Autun leży na pograniczu ziem zarządzanych przez Rodulfa i jego żonę, zwanych Varinią, i włości Sabelli i Berengara, zwanych Arconią. Zapewne zastanawiasz się, dlaczego biskupina Autunu sprzyja Henrykowi, skoro jej miasto leży na terenach kontrolowanych przez Sabelle.

Alain przytaknął.

– Kiedy Sabella zbuntowała się po raz pierwszy, osiem lat temu, jej głównym popiecznikiem była biskupina Autunu. Henryk usunął ją i uczynił przeoryszą małego, odciętego od świata klasztoru. A potem przekonał skoposę, aby nadać biskupstwo Konstancji. Białej Łani. Oczywiście Konstancja popiera Henryka.

– A pozostali czterej diukowie?

– Troje z nich sprzyja Henrykowi. Rotrudis jest diuszesa Saony i Attomaru. Z Saony wywodzi się cały ród. Zanim zostali królami, byli diukami Saony.

– A jak zostali królami?

– Tego nauczę cię innym razem albo sam przeczytasz. Uważaj. – Spojrzał przed siebie, kiedy wynurzyli się z cienia drzew na słońce. Zaczynało się łagodne zejście: niedługo podejda do bram miasta. Alain zastanawiał się, kiedy strażnicy na murach ich dostrzegą. – Burchard, diuk Avarii.

– Twój ojciec.

– Tak. – Alain zamierzał pociągnąć Agiusa za język, ale zrezygnował, słysząc jego ton. – Trzecia to Liutgarda, księżna Fesse, która też wywodzi się z królewskiego rodu.

– Twoja była narzeczona.

– Nie spodziewałem się, że słuchałeś aż tak uważnie.

– Ale ożenił się z nią twój brat.

Agius odwrócił twarz. Alain pomyślał o dziewczynce, która tuliła się do stryjka w namiocie Antonii; Agius musiał być bardzo związany z bratem i jego dziećmi.

Rozumiejąc żal Agiusa i jego furię w obliczu uwięzienia bratanicy, Alain zadał kolejne pytanie:

– Kto jest szóstym diukiem?

Wahanie. W końcu Agius odpowiedział, patrząc w ziemię:

– Konrad, diuk Waylandu, znany jako Konrad Czarny. Sabella twierdzi, że ją popiera, ale nie wystawił swej armii.

– A margrabiowie?

Agius wyprostował się. Uniósł podbródek – wygolony gładko, jak przystało mężczyźnie służącemu Kościołowi – i wziął głęboki oddech.

– Głównym margrabią jest Helmut Villam. Drugą, niemal równie silną, Judith, margrabina Olsatii i Austrii. Kolejny to Werinhar, margrabia Westfalii.

– Mówiłeś, że jest ich czterech.

Po twarzy Agiusa przemknął cień dzikiego cierpienia. Alain zrozumiał, że miało to coś wspólnego z ukochanym bratem fratra.

– Margrabina Estfalii i obaj jej synowie zginęli trzy lata temu w bitwie z Qumanami.

– Czy... czy w tej bitwie zginął twój brat? – Z ostrego spojrzenia i nagłej ciszy Alain wywnioskował, że miał rację.

Szli dalej. Biskupina i klerycy nadal śpiewali; hymn ze wschodu miał wiele wersów. Alain nie chciał ani patrzeć na Agiusa ani zadawać mu pytań o margrabiów i hymny. Frater nosił w sobie tyle bólu, że udzielał się on Alainowi.

Agius szeptał po wendarsku, równo z innymi:

*Córki Nisibii, czyńcie tak, jak matka
Która złożyła w sobie Ciało
A ono stało się Murem!
Złóżcie w sobie żywe Ciało
Które stanie się Murem waszego życia.
Chwała Tobie, która wybierasz mądrze!*

Kiedy klerycy skończyli śpiewać, Antonia ściągnęła wodze muła. Cała procesja stanęła; biskupina zsiadła.

Autun zbudowano na wzgórzu wzrastającym z równiny Rhowne'u. Pod murami stały warsztaty i chaty, ale były one puste, nie licząc kurcząt pętających się tu i ówdzie. Orszak Antonii znajdował się o strzał z łuku od bram, ale przed wielką bramą, głównym wejściem do miasta, zebrała się kompania. Powiewały nad nią dwie flagi i gdy kompania zbliżała się, Alain ujrzał herby: jeden, jak sztandar Mainni, przedstawiał wieżę – szarą, nad którą unosił się czarny kruk. Tło drugiego było tak złote, że zdawało się odbijać światło słońca; na tym tle widniała biała łania.

Agius dał krok naprzód i stanął obok Antonii; był chorobliwie blady. Antonia, spokojna jak zawsze, uśmiechała się szeroko i nieszczercze ku nadchodzącym.

Jak przystawało córce i siostrze króla, biskupina Autunu miała olśniewający orszak. Jej klerycy nosili habity z cienkiego lnu ufarbowanego na ciemny burgund; każdy trzymał księgę. Na lewym ramieniu mieli udrapowane wyszywane lniane szale. W orszaku było może ze trzydziestu kleryków; Alain nigdy nie widział tylu ksiązek naraz. Nie zdawał sobie sprawy, że tyle ksiązek istniało!

Konstancję otaczali też mnisi i mniszki, niosący kadzidła z brązu, w których paliły się aromatyczne zioła; kadzidła na łańcuchach kołysały się w przód i w tył, do rytmu zaśpiewu: „*Kyria eleison. Kyrie eleison. Pani zmiłuj się. Panie zmiłuj się.*”

Biskupina Autunu jechała na białym mule pośrodku procesji. Chociaż nosiła bogate szaty

i mitrę, Alain dostrzegł na jej szyi złoty torkwes. Była młoda, na pewno młodsza od Agiusa, ale poważny wyraz twarzy sprawiał, że wyglądała jak kobieta dwa razy starsza. Miała bladą, ale zdrową cerę i kiedy zsiadła, wyciągając ręce, by powitać biskupinę Antonię, Alain ujrzał, że była wysoka i dobrze zbudowana, jak Sabella. Szła lekko i nosiła się elegancko. Alain natychmiast zrozumiał, dlaczego nazwano ją Białą Łanią.

Wzięła dłonie Antonii w swoje i natychmiast śpiew procesji ucichł. Zapadła cisza, przerywana tylko szuraniem stóp i podzwaniem uprząży.

– Pozdrawiam cię, siostrze, i witam w moim mieście – powiedziała Konstancja. Miała miły wysoki głos, czysty i donośny. Nie uśmiechnęła się jednak. – Jestem zaskoczona, widząc cię tutaj, tak daleko od Mainni i Paleniska, którego nakazano ci strzec.

– Ja również cię pozdrawiam, siostrze – odparła Antonia ze słodyczą, która mdliła. – Przychodzę w pokoju Pani i Pana.

– Są z tobą inni. – Konstancja popatrzyła na drogę, którą przybyła Antonia.

Oczywiście, droga była pusta. Armia Sabelli stacjonowała o kilka godzin stąd, bezpieczna na ziemiach diuka Varingii. To samo w sobie było dziwne. Arconia pozostawała we władaniu Sabelli i Berengara. Zadania biskupiny były dwojakiemu rodzaju: doglądała duchowego rozwoju swych wiernych i Paleniska w katedrze, którą otrzymała od skoposy. Ale biskupina miała swe zdanie w sprawach ziemskich, podobnie jak diuk czy król mógł się wypowiadać, która ze szlachcianek była najbardziej godna, aby otrzymać pastorał. Jako biskupina Autunu, której zadaniem było roztaczanie duchowej pieczy nad mieszkańcami środkowej części Wendaru i Varre – Arconii, Konstancja miała prawo zabierania głosu w sprawach dotyczących księstwa. Być może miłość poddanych Berengara do młodej biskupiny była większa niż ich lojalność wobec Sabelli.

– Obawiam się, że w twojej rodzinie wybuchł konflikt – powiedziała Antonia zmartwionym głosem. – Przybyłam jako mediator. Błagam, abys ze mną podążyła i porozmawiała z Sabellą i Rodulfem.

– Zasmucają mnie takie wieści – odparła Konstancja, dla której podobne wiadomości nie były nowością. – Ale obawiam się złej woli Sabelli z powodów, które musisz znać, i wzdrygam się przed zostawieniem mych ludzi – wskazała miasto, spokojne w promieniach południowego słońca – bez dozoru i ochrony, jaką daje moja obecność.

Agius stał z tyłu, ukryty wśród kleryków. Teraz postąpił naprzód. Jego ciemne proste szaty odznaczały się od kolorowych habitów jak czarna plama.

Konstancja rozpromieniła się. Wyglądała na zachwyconą.

– Agius! Zaskoczyłeś mnie. – Puściła dłonie Antonii i schwycił Agiusowe, jakby był jej bratem. Ta bliskość zaszokowała Alaina. – Nie sądziłam, że spotkam cię w takim towarzystwie.

Alain usłyszał w jej tonie lekki niesmak. Antonia nie dała po sobie poznać, czy to zauważyła; popatrywała na nich tak miło i łagodnie, jak starsza ciotka na brata i siostrę,

spotykających się po długiej rozłące.

– Podróżuję, z kim muszę – odparł Agius. Był rozdarty między radością ze spotkania z Konstancją a dylematem, który wisiał mu nad głową jak katowski miecz. – Podążam ścieżką, którą wyznaczyła mi nasza Pani.

– I ta ścieżka zawiodła cię do obozu Sabelli? – spytała Konstancja. Alain nie słyszał sarkazmu w jej głosie.

– Do obozu Sabelli zaprowadziły mnie ziemskie zmartwienia, wasza miłość.

– Sądziłam, że odwróciłeś się od ziemskich zmartwień, Agiusie, kiedy wyrzekłeś się małżeństwa i przywdziałeś habit.

Uśmiechnął się ponuro:

– Świat jeszcze ze mną nie skończył, wasza miłość. Niestety.

– Zawsze tak jest, świat wdziera się, kiedy chcemy tylko pobożnie kontemplować Boga – Konstancja złożyła dłonie i lekko skłoniła głowę, jakby poddając się woli boskiej. Po czym spojrziała na Agiusa: – Ale Bóg w swej dobroci nadał ludziom wolność równą anielskiej. Przecież nawet słońce, księżyc i gwiazdy mogą poruszać się tylko po ścieżce, którą im wyznaczono. Z ludźmi jest inaczej. Nasze zachowanie musi być porównywane z zachowaniem aniołów: człowiek sam pracuje na swą chwałę lub winę. – Odwróciła się do Antonii – Zgadzasz się, wasza świętobliwość?

Alain natychmiast zrozumiał, że uwaga ta przypominała oszczep z zadziarami: uderzała głęboko i sprawiała olbrzymi ból.

Ale Antonia nosiła zbroję nie do przebiccia. Przytaknęła.

– Jak mówisz. Pan i Pani oceniają nasze czyny wedle tego, co zrobiliśmy i czego zaniechaliśmy.

Agius milczał.

Ciszę wykorzystwała Konstancja.

– Skoro spotkaliśmy się na drodze, wróć ze mną do pałacu, gdzie moi ludzie podejmą cię ucztą i dobrym autuńskim winem.

Agius zadrżał.

– Przybyłem prosić – powiedział szybko – abyś wróciła z nami do obozu Sabelli, jak proponowała Antonia.

– Byłoby to wyjątkowo niemądre, oddawać się w ręce Sabelli, choć nie żywię do mej siostry urazy.

– Jeśli stanie ci się jakaś krzywda, wasza miłość, tylko ja będę za to odpowiedzialny.

– Zapewnisz mi bezpieczną drogę, Agiusie?

– Przrzekam odstawić cię bezpiecznie do miasta, wasza miłość.

Była zaskoczona, choć starała się to ukryć.

– Zgadzam się więc – powiedziała. – Pokój jest lepszy od wojny, jak mawiał błogosławiony Daisan.

– Pojadę z tobą do twego pałacu, gdzie zbierzesz wszystko, czego potrzebujesz – dodał Agius.

– Nie ma takiej potrzeby. – Wzruszyła ramionami i nakazała przyprowadzić swego muła.
– Moja wiara jest moją tarczą, podobnie jak wszystkich, którzy oddali życie Panu i Pani. Umacnia mnie zaufanie, jakim obdarza mnie brat – tak jak jego wzmacnia moje.

– Wobec tego powinniśmy jechać – Agius zawahał się, kiedy obie biskupiny dosiadały swych mułów. Podeszedł i schwycił wodze wierzchowca Konstancji. – Ale czy błogosławiony Daisan nie mówił też, że ten, który pogardza jałmużną, najbardziej jej potrzebuje? Jest po południu i jeśli pojedziemy teraz, kompania biskupiny Antonii będzie szła cały dzień głodna.

Nawet Alain wiedział, jak się zachowa Konstancja: była zachwycona, mogąc udzielić gościny. Ciotka Bel powtarzała często: „Pani sądzi nas po szczodrości przy stole”. Ciotka Bel była tak znana z dokarmiania ludzi wędrujących przez Osnę, że mniej szczodrzy gospodarze często podsyłali jej swych gości. Nigdy nie odprawiła nikogo spod drzwi.

– Musimy więc wrócić do mego pałacu na obiad – powiedziała Konstancja z nieskrywanym zadowoleniem.

Wrócili więc do Autunu. Było to największe miasto, jakie Alain w życiu widział, otoczone kamiennym murem, z katedrą zbudowaną z kamienia i drewna, i budynkami tak ściśniętymi, że chłopak zastanawiał się, jak ludziom w nich mieszkającym udawało się nie wpadać na siebie. Przeszli szybko przez bramę i podążyli ulicą, przy której stały drewniane domy zupełnie niepodobne do wioskowych. Ściany pałacu biskupiego były wysokie na trzech mężczyzn. Ledwo złapał dech, kiedy wprowadzono ich przez wielkie drewniane drzwi.

Pozwolono mu się przy piecu i jeść chleb tak biały i miękki, że bardziej przypominał chmurę, inny niż ciężkie bochny z grubo mielonego ziarna, które dotychczas znał. Mógł jeść tyle, ile chciał, najlepszego sera, ryby i przepiórek, które złożyły się na prosty posiłek biskupiny. Furia i Smutek pożerały kości szynki, na których zostało sporo mięsa i tłuszczu. Biedny Półgłówek pewnie przez całe samotne życie nie zjadł tyle wieprzowiny, co psy przez godzinę. Radowanie się ucztą było straszne; Alain nie mógł odpędzić myśli, że Półgłówek nie miał nawet grobu.

Alain jednak nie umiał się powstrzymać. Nawet służąc do stołu podczas wizyty Sabelli w Lavas, nie widział tak eleganckiego posiłku. Ale biskupina Konstancja była wszak królewską siostrą z panującego rodu. Ściany zawieszane arrasami, zabiegani klerycy i cienki len, noszony przez wszystkich służących przypominały mu, jak mała była Osna. Na pewno ciotka Bel i Henri byli poważanymi i bogatymi gospodarzami. Z tego oni i ich potomstwo zawsze mogli być dumni. Choroby, ale nigdy głód, odbierały dzieci Bel. Jednak kiedy Alain siedział w kącie przy palenisku, zdawał sobie sprawę, że ich poziom życia był niczym w porównaniu z życiem wielkich książąt.

Nie miał pojęcia, o czym rozmawiali wielmoże. Zjadł zbyt wiele i rozbolał go żołądek, nieprzyzwyczajony do wykwintnego jedzenia. Marsz do obozu Sabelli zdawał się trwać całą

wieczność. Każdy krok był torturą. Aby nie stracić równowagi, opierał się na Smutku i Furii. Biskupiny jechały strzemień w strzemień, nie wywyższając się. Agius, który zdecydował się być zwykłym fratrem, a nie synem szlachcica, prowadził muła Konstancji.

Alain miał nadzieję, że nie dostanie torsji gdzieś po drodze.

Ale po godzinie spaceru, kiedy wiatr ochłodził mu twarz, zaczął czuć się lepiej. Za to Agius, w miarę zbliżania się do obozu, wyglądał coraz gorzej.

Wysłano posłańców. Kiedy ich kompania pokonywała ostatnie pastwisko przed obozem, przy drodze zaczęli pojawiać się żołnierze i służba, aby popatrzeć na biskupinę. Antonia i Konstancja tworzyły fascynującą parę: radosna starość i poważna młodość. Ujrzeć je razem było rzeczą niezwykłą i Alain zapragnął nagle, aby Półgłówek żył. Tak uwielbiał patrzeć, nawet z oddali, na wszystko, co było lśniące i śliczne. Antonia zabiła go. Jak mogła teraz jechać z takim radosnym wyrazem twarzy, jakby nic nie obciążało jej sumienia?

Agius mówił o wewnętrznym obrazie. Ciotka Bel mówiła: „Pogodna twarz odbija spokój serca”. Alain zawsze w to wierzył. Teraz zwątpił. Jak ktoś mógł igrać z krwią i złymi cieniami, zabić niewinnego chłopca i nie mieć twarzy naznaczonej przez ten grzech?

Dama Sabella czekała przed wielkim namiotem, nad którym powiewał jej sztandar. Jej córka Tallia stała obok, blada i zimna w sukni z jedwabiu w kolorze zboża. Za nią stał diuk Rodulf i inni popiecznicy Sabelli; pomiędzy nimi hrabia Lavastine zdawał się drewniany, wyprany z życia. Sabella nie podeszła, aby powitać przyrodną siostrę; poczekała, aż Konstancja zsiadła z muła i sama do niej ruszyła.

– Siostro – powiedziała łagodnie Konstancja – pozdrawiam cię. Mam szczerą nadzieję, że potrafimy rozwiązać problemy, które dzielą naszą rodzinę.

Sabella nie wyciągnęła dłoni na znak braterstwa i bezpieczeństwa. Cofnęła się i dała znak żołnierzom. Ci otoczyli obie kobiety i ich orszaki. Antonia stanęła przy boku Sabelli. Tallia patrzyła na Konstancję, jakby biskupina była zjawą. Agius opadł na kolano i skłonił głowę, nie wypuszczając z ręki wodzy muła Konstancji.

– Oddałaś się w moje ręce, Konstancjo – powiedziała Sabella matowo, ukrywając uczucia, o ile jakiegokolwiek posiadała. – Jesteś moją zakładniczką, gwarantem dobrego zachowania Henryka i jego zgody na oddanie należnego mi pierwszeństwa.

Jak łania, zaskoczona nagłym pojawieniem się myśliwego. Konstancja podrzuciła głowę i potoczyła wokół wzrokiem, jakby miała zamiar skoczyć. Była otoczona. Złożyła ramiona na piersi. Ten gest pozwolił jej odzyskać spokój.

– Zdradzono mnie – powiedziała głośno i wyraźnie. Popatrzyła na Agiusa, który wstał. Miał białą twarz. – Obiecałeś mi eskortę, Agiusie. Kuzynie. – Ostatnie słowo, wypowiedziane z gniewem i złością, miało ranić.

Agius milczał.

– Zapewnił ci eskortę – przerwała Antonia. – Odstawił cię bezpiecznie do miasta, gdzie spożyliśmy posiłek. Potem przybyliśmy tutaj, ale on już spełnił obietnicę. Nie obiecywał ci

bezpiecznej drogi po raz drugi.

Konstancja nie zaszczyciła Antonii spojrzeniem.

– Oszukałeś mnie. Agiusie. Nie zapomnę tego.

– Ja też nie – odparł szorstko. Ale nie patrzył ani na Konstancję, ani na Sabellę. Alain nagle zdał sobie sprawę z różnicy wieku między dwiema kobietami: Sabella mogłaby być matką Konstancji; byłaby, gdyby dowiodła wiele lat temu, że jest płodna, wyruszając na wędrowkę, która miała zagwarantować jej prawo do tronu. Tallia, późny owoc małżeństwa, przypominała patyczek, z którego Sabella zamierzała strugać berło, zapewniające jej pozycję suwerennej władczyni.

– Damo Sabello – powiedział Agius ostro. – Moja rola się skończyła. Uwolnij moją bratanicę i pozwól nam odjechać, jak obiecałaś.

– Jak obiecałam, przekażę twoją bratanicę pod opiekę biskupiny Autunu, którą przywracam teraz na urząd, odebrany jej bezprawnie przez mego brata Henryka, popieranego przez moją siostrę Konstancję. – Dała znak. Przykuśtykała stara krucha kobieta, nosząca szaty biskupie z herbem Autunu.

– Zadziałasz wbrew życzeniom Henryka? – zapytała Konstancja. – Ja jestem biskupiną Autunu.

– Jakim prawem Henryk usunął tę kobietę z urzędu? – Sabella mówiła łagodnie, ale twardo. – Helvissa otrzymała pastorał z rąk samej skoposy dwadzieścia lat temu. Ziemską władza Henryka nie jest większa niż duchowa władza skoposy. Ja tylko oddaję Helvissie to, co do niej należy.

Alain nie wyobrażał sobie, jak staruszka, której ręce drżały niekontrolowanie, mogła być kimś więcej niż pionkiem w grze Sabelli.

– Jest teraz przeoryszą – rzekła Konstancja. – Nie biskupiną. Mnie namaszczoneo...

– Namaszczoneo cię na diakonisę, siostrze. Twój wybór na biskupinę można, jak sądzę, uznać za niebyły. Pozostajesz w mojej władzy jako diakonisa.

Konstancja parsknęła. Wściekła, zasznurowała usta.

Nadeszła służąca z małą bratanicą Agiusa. Dziewczynka wyglądała jak zaszczute zwierzątko, czekające na śmiertelny cios. Ujrzała stryja i pochyliła się ku niemu, jak trzcina zgięta podmuchem wiatru, ale nie wyrwała się i nie pobięła. Zupełnie, jakby trzymała ją na smyczy. Łzy ciekły jej po policzkach, ale mimo drżącego podbródka nie wydała dźwięku. Wąski złoty torkwes lśnił na jej szyi.

– Dziecko wróci z biskupiną do Autunu – oznajmiła Sabella, zadowolona z siebie i spełnienia swych planów. – Ale ty nie możesz odejść, Agiusie. Mogę cię jeszcze potrzebować.

– A moja bratanica pozostanie w twojej mocy. – Mówił cicho, może za cicho. Alain nigdy nie słyszał podobnego tonu. Agius spojrzał na dziewczynkę, a potem odwrócił wzrok. Mała zakrztusiła się szlochem.

Konstancja uklękła nagle, wyciągnęła ręce.

– Chodź, mała – rozkazała. Dziewczynka spojrzała na stryjka, który lekko skinął głową, i dała kilka niepewnych kroków ku Konstancji. Ta położyła jej ręce na ramionach. – To jest Ermengarda, córka księżnej Liutgardy i Frederica z Avarii, jej męża. Jest przeznaczona Kościołowi – Dopiero wtedy Konstancja spojrzała na Sabellę. – Nawet nasze kłótnie nie mogą przeszkodzić woli naszej Pani i Pana. Niech jeden z moich kleryków odeskortuje ją do Autunu i odda pod opiekę kasztelanki, kobiety dobrego urodzenia i wychowania.

Agius stał ze złożonymi rękami, wpatrując się w bratanicę z niezwykłą intensywnością. Nowa biskupina potknęła się; służący ją podtrzymał.

– Na to pozwolę – stwierdziła w końcu Sabella. – Konstancjo, zostawiam cię w rękach biskupiny Antonii. – Zwróciła się do Rodulfa: – Wyruszamy. Autun zrobi, co nakaże jego biskupina, choć aby zagwarantować jego lojalność, będziemy musieli zostawić tam garnizon.

Alain nagle zauważył męża Sabelli, Berengara, siedzącego ze służącym na ziemi przed wielkim namiotem. Dwaj mężczyźni – szlachcic i sługa – grali w szachy. Berengar zaśmiał się triumfalnie, niemal zakwiczał z radości, zbił pionki służącego i ogłosił się zwycięzcą. Tallia zadrżała. Antonia uspokajająco położyła dłoń na ramieniu młodej kobiety.

Dokonało się. Dziewczynka, Ermengarda, została odprawiona w towarzystwie nowej biskupiny Autunu. Konstancję odprowadzono pod strażą; odmówiła zdjęcia biskupich szat, mitry i szala, a nikt nie odważył się jej siłą rozebrać.

– Oszukałaś mnie, Sabello – rzekł w końcu Agius.

– Zdziwiasz mnie, mówiąc takie rzeczy – odparła Sabella. – Oboje obiecaliśmy bezpieczny przejazd i dotrzyaliśmy słów. Nie uważam tego za oszustwo.

– Ja tak.

– Pomyśl o tym, kuzynie. Gdyby Konstancja została w Autunie, wybuchłaby wojna między jej ludźmi i moimi. Jakie może być lepsze rozwiązanie niż to, dzięki któremu znikną spory i pokój zostanie zachowany?

– Lepsze rozwiązanie? Takie, jakie wybiera nasza Pani, zaglądając nam w dusze i osądzając, co w nich widzi.

Sabella podniosła brew w swym najbardziej ekspresyjnym geście.

– Jestem, jaką mnie widzisz, fratrze Agiusie. Wedle tego mnie sądź. Ufam, że oddasz się w ręce biskupiny Antonii.

– Owszem, bo nie mam innego wyboru.

– Jest wasz, wasza świętobliwość – powiedziała Sabella do Antonii.

– Ten też – zażądała Antonia, ku przerażeniu Alaina patrząc prosto na niego.

– Ten? – Sabella rozejrzała się wokół i z pewnym zdumieniem spojrzała na chłopca i psy, jakby nigdy wcześniej nie rzucili jej się w oczy. – To chłopak z psiarni? Poznają ogary Lavastine’a.

– Sądzę, że to nie jest zwykły chłopak z psiarni – powiedziała Antonia. – Będę

wdzięczna, jeśli oddasz go pod moją opiekę.

Sabella wzruszyła ramionami. Nawet nie spytała o zdanie Lavastine'a, który odzywał się tylko wtedy, kiedy zadano mu pytanie, i odpowiadał monotonnym głosem, przypominającym głos Sabelli. – Jest twój.

Odwróciła się, prowadząc za sobą Rodulfa i innych. Tallia dreptała za matką, patrząc przez ramię. Alain napotkał jej spojrzenie: miała szaro-błękitne oczy, jasne jak niebo w bezchmurny poranek. A potem zniknęła w wielkim namiocie.

Alain drżał. Nie odważył się spojrzeć na Antonię. Obojętność Sabelli wobec jego losu przeraziła go; tak łatwo go opuszczono. Poza obozem Lavastine'a nikogo nie obchodziło, co się z nim stanie. A co, jeśli Antonia podejrzewała, albo i wiedziała, że widział mord popełniony na Półgłódku?

– Chodź – powiedziała biskupina miłym głosem. – Będiesz dziś podawał do stołu, Alainie.

Zatrzęsło nim: pamiętała jego imię.

– Fraterze Agiusie, mam nadzieję, że nie jesteś zbyt dumny, by również służyć.

– Będę służył, jak mi nakazano.

Alain wyczuł potworny ból przebijający przez pokorne słowa.

Zostali odprowadzeni nad rzekę i zostawieni w samotności, by się umyli. Oczy Agiusa były tak puste, że Alain zaczął się o niego bać. Frater nic nie powiedział; klął na brzegu rzeki i modlił się cicho, gdy Alain umył twarz i dłonie, a potem, ostrożnie, zdjął tunikę i opłukał plecy i pierś. W końcu, nie wiedząc, czy będzie miał jeszcze taką szansę, rozebrał się, poszedł ku najgłębszemu miejscu w rzece, gdzie woda sięgała mu do pasa, wziął głęboki oddech i zanurkował.

Wynurzył się, plując i kaszląc, z wody wzburzonej przez psy. Pływały wokół niego, waląc go ogonami po skórze. Furia lizała go, a Smutek popłynął na drugi brzeg i otrząpał się z taką siłą, że krople wody spadły na Alaina.

Nagle chłopak poczuł czystą radość. Roześmiał się. Smutek i Furia wybrały go na towarzysza; biskupina nie mogła mu zrobić krzywdy, dopóki dwa ogary były u jego boku.

Poszedł na brzeg. Agius nadal się modlił. Alain nie miał pojęcia, czy choć raz podniósł wzrok.

– Umyj się, przyjacielu – zaproponował. – Nasza Pani chce przecież, abyśmy pojawiali się przed nią czyści.

Nie był pewien, czy frater go usłyszał. Wytrzeptał swe rzeczy najlepiej, jak mógł, poczekał, osuszył się i odział. Strażnicy kręcili się niecierpliwie, chcąc jak najszybciej zwrócić swych podopiecznych biskupinie.

– Masz rację – powiedział nagle Agius. Zdjął habit. Pod nim, na gołej skórze, nosił koszulę utkaną z lnu i końskiego włosia. Alain zauważył, że noga, w którą ugryzł go Smutek,

była brudna, czerwona i spuchnięta. Zanim chłopak powiedział choć słowo, Agius zdjął włosienicę.

Alain jęknął. Nawet strażnicy zamruczeli, zdziwieni i przerażeni.

Sztywny materiał otarł skórę Agiusa do żywego mięsa. Gdzieniedzie w otwarte rany wdała się infekcja.

– Czy to nie boli? – szepnął Alain, czując ognisty ból na własnej piersi i plecach.

Agius padł na ziemię, składając ręce i odsłaniając zmacerowaną skórę.

– Zasłużyłem na to. Zdradziłem jedną dla drugiej i sam zostałem zdradzony. O Pani, a chciałem tylko pomóc dziecku, przez miłość do Frederica.

– Ale ocaliłeś bratanicę?

– Ocaliłem ją przed czym? Nadal jest w mocy Sabelli, bo jej popiecznica jest teraz biskupiną w miejsce Konstancji. Nawet nie mogłem zawieźć małej w bezpieczne miejsce, do zamku jej matki albo na dwór królewski. Modłę się, aby król jak najszybciej się o tym dowiedział, bo to go bardzo rozgniewa. – Mówił wolno, niemal rozkoszując się słowami. – A gniew króla to rzecz straszliwa. – Zajęczał cicho. – O Pani, osądzisz mnie surowo, jak na to zasłużyłem. Przysiągłem opuścić świat i wstąpić na Twoją służbę, a jednak świat mnie ściga i nie okazuje miłosierdzia. Wybacz mi me grzechy. Niech moja wiara w poświęcenie Twego syna da mi trochę spokoju serca.

I tak pograżył się znów w modlitwach. Strażnicy szeptali do siebie, patrząc i słuchając.

Alain nie wiedział, co począć: Agius dziwnie przypominał mu godnego pożałowania guivre'a, rannego i cierpiącego w klatce zbudowanej przez innych. A jednak guivre sam z siebie nie był żałosny: był dziki i wstrętny, odległy od ludzkich spraw.

Po chwili psy podeszły bliżej, a potem zaczęły poszturchiwać pokaleczone ciało Agiusa. Frater nie zareagował. Być może oczekiwał przez moment, że rozerwą go na sztuki i zakończą jego cierpienia. Zamiast tego Smutek lizał ranę na jego nodze, a Furia wylizywała poranione plecy.

Alain podbiegł i ujrzał, że Agius cicho płacze. Przykląkł i szeptał ciche słowa, podobne do tych, którymi uspokajał małą Agnes, gdy dręczyły ją koszmary.

Pozwolił się w końcu poprowadzić do wody i umyć.

Tego wieczoru frater nie jadł, podobnie jak nazajutrz, kiedy opuścili Autun. Wieczorem Alain przekonał go do posilenia się czerstwym kawałkiem chleba, dobrym dla żebraków.

Oczywiście, strażnicy donieśli o tym biskupinie. Następnego ranka wzięła Alaina na stronę i podziękowała za opiekę nad Agiusem.

– Chociaż wyznaje herezję – powiedziała – mam nadzieję przywieść go do zdrowych zmysłów i na łono Kościoła.

Alain obawiał się jednak, widząc zacięcie Agiusa, że frater powziął jakiś straszny zamiar, że szykował coś głupiego i niebezpiecznego. Agius modlił się bezustannie, nawet w czasie marszu. A na każdym postoju opowiadał rosnącemu audytorium o objawieniu Syna,

błogosławionego Daisana, przez którego poświęcenie odkupione zostały ludzkie grzechy.

Rozdział jedenasty

Głód myszy

1.

– Odpocznijmy tutaj – zaproponowała Rosvita orszakowi. Wskazała na pień, który dzięki łasce Pana i Pani upadł tam, gdzie ścieżka wybiegała z lasu na szczyt wzniesienia. Z tego prostego, ale wygodnego siedziska można było obserwować dolinę poniżej, murowane i drewniane budynki klasztoru w Hersfordzie, wielką posiadłość i kilka wiosek, rozrzuconych jak grona na szypułce wzdłuż rzeki Hers.

Nie była pewna, czy magnat o pozycji Helmuta Villama zniży się do spoczęcia na tak podłym siedzisku, jednak sama usiadła. Villam po chwili podążył w jej ślady, oddając wodze wierzchowca synowi.

Wiatr przyniósł ku nim nikły dźwięk rogu. Patrzyli, jak z zagajnika wynurza się król i jego orszak pod powiewającymi sztandarami.

Wśród flag pojawił się biały sztandar z czerwonym orłem. Księżna Liutgarda z Fesse przybyła wczoraj do klasztoru. Hersford leżał na pograniczu Saony i Fesse; zgodnie z tradycją diuk eskortował króla przez swe ziemie aż do zamku. Liutgarda bardzo młodo odziedziczyła tytuł – i może właśnie dlatego tak ściśle przestrzegała starych zasad.

– Obawiam się, że straciliście polowanie – odezwała się Rosvita. Ziarna jakich intryg zasiano na dzisiejszych łowach i jakie owoce wydadzą za wiele miesięcy: dobre czy złe?

Villam zakaszłał, ciągle zarumieniony po wspinaczce. Z uwagi na swą posturę zsiadł z konia na ostatnim stromym podejściu.

– Polowanie trwa zawsze, siostró Rosvito. Tylko łup zmienia się z łowów na łowy.

– Sądzicie, że król Henryk mówił poważnie? Że przedłoży dziecko z nieprawego łoża nad legalne?

Villam uśmiechnął się kpiąco.

– Nie jestem obiektywnym obserwatorem. Gdyby Henryk rzeczywiście mianował

Sanglanta na swego następcę, łamiąc wszelkie zasady, uznaliby, że miałem interes w promowaniu księcia.

– Jak to? – zapytała, zastanawiając się, czy powiedział wprost to, co inni podejrzewali: że przymykał oko, kiedy jego najstarsza córka, Waltharia, romansowała z księciem przez kilka miesięcy; romans skończył się ciążą i Waltharię szybko wydano za młodego szlachcica o dobrych manierach.

Villam tylko się uśmiechnął. Jego syn Berthold, stojący na tyle blisko, aby podsłuchiwać, parsknął radośnie. Należy zapamiętać, pomyślała Rosvita, że po ojcu odziedziczył nie tylko niebываły talent do wojaczki, ale też ironiczne poczucie humoru i niezwykłą przyjacielskość.

– Sądzę – rzekł nagle Villam – że król musi się ponownie ożenić. Królowa Sophia od niemal dwóch lat spoczywa w spokoju Komnaty Światła, a mniszki przez dwa Penitery odśpiewywały za nią psalmy. Król jest silny, ale mężczyzna zawsze zyskuje, kiedy ożeni się z kobietą równie jak on dzielną i mądrą.

Rzucił okiem na młodego, który najwyraźniej tłumił śmiech. Villam był znany ze swej słabości do chętnych młodych konkubin, dobrze więc było wiedzieć, że jego dzieci zdawały sobie sprawę z tej przywary i nie osądzały ojca zbyt surowo. Westchnęła. Teraz, kiedy król zlecił jej zadanie, wiedziała, że będzie wciągana w intrygi, które podróżowały razem z ludźmi tworzącymi dwór królewski. Nie uśmiechała się jej ta perspektywa. Nie będzie miała czasu na pisanie swej *Historii*.

– Musi być rozważny, jeśli zamierza ponownie się ożenić – rzekła, godząc się na nieuniknione.

– Kiedy się ponownie ożeni. Henryk jest zbyt choleryczny, by się nie ożenić, a kiedy pojawi się dobra partia, na pewno z niej skorzysta. Henryk to mężczyzna jak inni. – Villam pogładził się po szarej brodzie, patrząc na ogary i jeźdźców znikających w lesie. Jak zwykle uśmiechał się uprzejmie, ale był cichy, kontemplując w zamyśleniu las. – Mężczyzna jak inni. No, ma tylko jednego bękarta i nie chce innych. Jego pobożność jest bez zarzutu.

– Rzeczywiście – przytaknęła szybko. Miał rację.

– Ale to nie pobożność mu przeszkadza.

– Mówicie, lordzie Helmucie, że pamięć, nie pobożność, przeszkadza mu wziąć konkubinę. Odwołujecie się do wydarzeń, które miały miejsce, kiedy byłam jeszcze nowicjuską w Korvei. Sądzicie, że ciągle kocha tę kobietę?

– Nie kobietę. Nie jestem pewien, czy można to nazwać miłością. Bardziej czarami. Zrozumcie, siostró. My jej wcale nie obchodziliśmy. – Ironiczny uśmiezek znów przemknął mu po ustach. – I nie mówię tego tylko dlatego, że byłem nią zainteresowany, a jej obojętność uraziła mą męską dumę. Była niewątpliwie piękna. Była też arogancka, a równy byłby jej tylko cesarz Taillefer, gdyby powstał z martwych. Byliśmy dla niej niczym. Jej obojętność wobec nas była taka sama, jak nasza wobec... – przebiegł palcami po gładkim pniu, obranym do czysta z kory przez słońce, deszcz i wiatr. Podniósł robaczka, pozwolił mu spacerować po

paznokciu, a potem od niechcenia go strzepnął. Robaczek zniknął w chwastach. – ...tego najmniejszego z boskich stworzeń. Może to tylko pycha, ale zawsze czułem, że ona chciała czegoś od Henryka, a nie obdarzała go uczuciem. Ale nigdy się nie domyśliłem, czego chciała.

– Nie dziecka?

– Czy zostawiłaby je, gdyby go pragnęła? Niemowlę nie miało nawet dwóch miesięcy. Nie. – Potrząsnął głową. – Może opętało ją nagłe szaleństwo. Może jak wszystkie zwierzęta weszła w okres godów, a Henryk był odpowiednim samcem? Być może jej rasa nie rozumie tak jak my, więc nie zdołamy nigdy poznać ich myśli i zamierzeń. Albo, jak szepczą niektórzy, działają tu siły, o których nie mamy pojęcia. – Wzruszył ramionami. – Sanglant jest silny i odważny, zaprawiony w bojach, hojny, lojalny i rozsądny. Jest też bękartem i bękartem pozostanie.

– I znów wracamy do celu naszej dzisiejszej podróży. Już odpoczęłam, lordzie Helmucie. Możemy jechać?

Przytaknął. Jego syn wręczył mu wodze, a Rosvita wzięła w dłoń laskę. Zaproponowano jej osiołka, ale wołała udać się do tak pobożnego pustelnika na sposób jak najbardziej pokorny, niby święta Tekla do błogosławionego Daisana, kiedy po raz pierwszy błagała go, aby zechciał ją nauczać.

Ruszyli. Przez kilka dni odkładała wykonanie zadania, mając nadzieję, że Henryk zmieni zdanie i odwoła rozkaz. Nie zmienił. Współczucie dla ojca Bardo pchnęło ją w końcu do czynu: zadaniem opata było bowiem karmienie królewskiego orszaku, rezydującego w klasztorze w Hersford. Hersford był zamożny, ale stać go było na goszczenie króla i święty tylko przez pięć, sześć dni.

Szeroka pylista droga szybko zmieniła się w ścieżkę, wijącą się wśród poszycia i drzew. Oddział musiał iść w szeregu, a konie denerwowały się, uderzane gałęziami. Rosvita, idąca na przedzie, nieraz przeproszała młodego Bertholda, kiedy puszczona przez nią gałąź uderzała chłopca w głowę, ale ten nie narzekał. Dzień był duszny, parny i zapowiadał gorące lato.

Szczyt wzgórza nie był porośnięty, jak się spodziewała, gęstym lasem. Ścieżka nagle urwała się i wyszli na polanę, pokrytą wielkimi leżącymi głazami i niskimi krzakami; miejsce to było kiedyś zamieszkałe przez ludzi, ale teraz powoli poddawało się lasowi. Na wielkiej polanie stały cztery kopce, porośnięte trawą i kwiatami.

– Nigdy nie sądziłem, że Dariyanie budowali na tak wysokich wzgórzach – powiedział Villam, zaskoczony znaleziskiem.

Rosvita ruszyła na polanę. Wpadła na kamień ukryty w trawie. Był to wielki kamienny blok, szary i spękany, pokryty obrazkami lub literami, tak zniszczonymi przez pogodę, lata i rosnący na nich mech, że Rosvita nie potrafiła odgadnąć, co też dawni kamieniarze wykuli. Przesunęła dłońmi po monolicie, odgarniając porosty. Blok był duży, dwa razy dłuższy od niej. U jego podstawy dostrzegła głęboką dziurę, w której niegdyś został osadzony. Teraz

dziura zarosła gęstymi pokrzywami.

– Sądę, że to nie są dariyańskie ruiny – powiedziała, kiedy Villamowie do niej podeszli.

– Popatrzcie. Te inskrypcje są bardzo zatarte, a zazwyczaj potrafimy odczytać dariyańskie napisy. A poza tym ich forty budowane były na planie kwadratu. Rozejrzyjcie się.

Popatrzyła na polanę. Cztery kopce stały w równej odległości i pod takim samym kątem do wielkiego głazu. Otaczał je las, a wysokie drzewa zasłaniały widok.

– Wygląda na to, że reszta kamieni została ustawiona w kręgu wokół tego. I wszystkie znalazły się w ziemnych kopcach. To nie są dariyańskie budowle.

– W takim razie czyje? – zapytał Villam. Dyszał. – Chyba olbrzymy przyniosły tutaj te głazy. Wzgórze jest zbyt wysokie i strome dla koni.

– A drzewa są za wysokie, aby budować tu fort – dodał Berthold, zaintrygowany ruinami.

– Nie widać otaczającego nas terenu.

Rosvita przypatrywała się kopcom i drzewom.

– Ciekawe. – Ruszyła ku jednemu z kopców, rozgarniając laską poszycie. Berthold podążył za nią, a Villam nadal łapał oddech. Żołnierze pozwolili koniom skubać trawę. Coraz bardziej świadoma otaczających ją kamieni, Rosvita zrozumiała, że żołdacy mogli po prostu nie mieć ochoty wstępować w stary kamienny krąg.

Bo był to kamienny krąg. Krąg olbrzyma, jak nazywali je jedni, elfia korona – jak mawiali drudzy. Inni zaś opowiadali, że były to zęby smoków, które zasnęły i zostały przez światło słoneczne zmienione w kamień. Jeszcze inni twierdzili, że jeszcze zanim Aoi, Zaginieni, opuścili Darię, uchodząc przed ludami Bwr i ich sojusznikami ze wschodu, po Ziemi przechadzały się inne istoty, stawiające te budowle: olbrzymy, półludzkie, smocze pomioty albo dzieci aniołów. Mówiono, że stworzenia te miały siłę i wiedzę, którą ludzkość zatraciła, podobnie jak po upadku Imperium Dariyańskiego niecałe czterysta lat temu zachował się tylko ułamek mądrości, która rozwijała się i kwitła w czasie unii ludzi i elfów, znanej jako stare Imperium.

Podparła się laską, aby wejść na szczyt kopca, zachodniego, jak oceniła po pozycji słońca i cieni. Zaplątała się w swój habit, więc szarpnęła go z pomrukiem irytacji. Berthold nie wszedł na górę. Krążył wokół kopca, opukując kamienie i odsuwając pokręcone gałązki trzonkiem noża.

Ciężko oddychając, z zaróżowionymi policzkami, stanęła na nierównym szczycie i rozejrzała się wokół z satysfakcją. Jak przypuszczała, z tego miejsca mogła spojrzeć ponad wierzchołkami drzew, chociaż nie widziała doliny, a tylko szczyty pobliskich wzgórz i niebiosa. Widziała polanę i leżące kamienie: zdecydowanie były ułożone w kręgu.

– Popatrzcie! – wykrzyknął Berthold, podniecony. Stał u podstawy kopca, po przeciwnej stronie. Ostrożnie zsunęła się ze szczytu, docierając do chłopca równo z jego ojcem.

Berthold poczerwieniał z wrażenia.

– Widziałem przedtem takie stare kopce. Nad rzeką w Auras, w posiadłości mej

błogosławionej matki, stało ich kilka. Zawsze mają jakieś wejście, korytarz. Spójrzcie tutaj. – Znalazł grubą gałąź i podważył jeden z kamieni. Rosvita uklękła i zajrzała do środka. Wejście było czarne jak smoła, a zapach przywodził na myśl przedmioty, które od dawna nie widziały światła. Otrząsnęła się i cofnęła. Berthold, z właściwym młodości entuzjazmem, zajął jej miejsce, poszerzając wejście.

– Sądzisz, że to rozsądne? – zapytał nagle Villam.

– Wleźliśmy do jednego – Berthold wsunął się tak głęboko, że jego głos był stłumiony. – Nie było w nim nic prócz suchej komnaty, jakichś starych kości i potłuczonych skorup. I brudu.

Villam zakreślił krąg na piersi.

– Czy tak się okazuje szacunek doczesnym szczątkom? – zapytał. – Należy być ostrożnym, zadając się z... – urwał.

– Ech! – powiedział Berthold z niesmakiem, wycofując się. – Jest za ciemno i nie mamy pochodni. Nawet gdybym ruszył ten kamień, korytarz zakręca i nie byłoby nic widać. Ale mogę wrócić jutro albo pojutrze z kilkoma ludźmi i pochodniami. – Obejrzał się przez ramię i uśmiechnął słodko. – Za twoim pozwoleniem, ojcze.

– I spokój jakiegoś stworzenia zakłócić? – zapytał Villam, przerażony.

Rosvita przytaknęła. Stary grobowiec, o ile był to grobowiec, należało zostawić w spokoju. Ale Bertholdem powodował ślepy entuzjazm. Wyglądał na zachwyconego.

– Żadnego, podejrzewam – odparł. – Jeśli działała tu stara magia, to pewnie od dawna spoczywa w spokoju. A mogą tu być skarby!

– Na pewno, siostrze Rosvito – Villam odwołał się do niej – uważacie, podobnie jak ja, że lepiej pozwolić umarłym spać i nie zakłócać ich odpoczynku, o ile oni sami tego nie pragną.

– Nie znam się na czarach, lordzie Helmucie. Siostry od świętej Valerii zajmują się zakazanymi sztukami, podczas gdy w Korvei pracujemy nad kronikami. Ale jakakolwiek możliwość istnienia magii nie może zostać zlekceważona. Magii żywej czy umarłej.

Mówiła ostro, próbując wyrzucić wrażenie na młodzieńcu, ale ten tylko pokiwał głową i ruszył obejrzeć kolejne kopce.

Villam westchnął.

– To dobry chłopak. Ale zbyt ciekawski i nieostrożny.

– Niedługo wyjedziemy z klasztoru w Hersford. Spróbuję do tego czasu mieć na niego baczenie.

– Dziękuję wam.

Obserwując chłopca, spojrzała na las i ujrzała tam ścieżkę. Był to ledwie przesmyk między drzewami, ale odpowiadał mętnym wskazówkom podanym przez ojca Bardo: „Za szczytem wzgórza jedźcie ścieżką zwierząt; tak mi przynajmniej mówili”. Ojciec Bardo najwyraźniej nigdy nie odwiedził najstynniejszego mnicha w swym zakonie. Ale ojciec Bardo lubił wygody i nie przepadał za opuszczaniem swego przyjemnie urządzonego klasztoru.

„Nie bądź zbyt dumną. Rosvito”, upomniała sama siebie... bo zostaniesz osądzona równie surowo, jak sądzisz innych”.

– To nasz szlak – powiedziała, odwracając się ku lasowi.

I natychmiast, mając kopiec i wejście do niego za plecami, poczuła, że jest obserwowana.

Określiła się w miejscu. Wrażenie niewidzialnej obecności natychmiast zniknęło. Został tylko kopiec porośnięty roślinami, z wejściem zasłoniętym kamiennymi płytami.

Villam miał dziwny wyraz twarzy.

– Odniosłem nagle wrażenie – powiedział, otrząsając się – że coś mnie chwyciło, próbując dowiedzieć się, kim jestem, jak ślepiec, który maca rękoma przed sobą, bo dłonie służą mu za oczy.

– Wynośmy się stąd – nakazała Rosvita.

– Zabiorę syna i spotkamy się na ścieżce.

Odszedł. Ostrożnie odwróciła się od kopca. Znów poczuła obecność, ale przytłumioną, odleglejszą. Wiele wysiłku kosztowało ją dojście do ścieżki bez popatrywania przez ramię.

Villamowie i ich orszak dołączyli do niej na ścieżce, która była ledwie wyrwą w roślinności. Prowadziła w las. Ale po nie więcej niż stu krokach kończyła się pod skałą, z której tryskało źródelko. Pomiedzy drzewem a skałą stała maleńka chatka. Była świeżo pobielona; na dachu rósł mech, pokrywając go grubym zielonym dywanem.

Usłyszała wiatr, poruszający koronami drzew i postukiwanie gałęzi o skałę, głosy małych stworzeń, milknących, gdy słyszały konie, śpiew ptaków.

Na polanie wśród kamieni panowała absolutna nienaturalna cisza. Jedynymi dźwiękami, jakie tam słyszała, były te wydane przez nich.

Tu było spokojnie, ale nie cicho. Villam i jego ludzie zostali w należnym oddaleniu, gdy podchodziła do chatki. Przed drzwiami stała ławeczka z pnia drzewa; drzwi wykonano z wielu patyczków związanych razem. Nie miały zamka. U ich dołu wycięto mały otwór, długi na łokieć i szeroki na dłoń.

Uklękła i odezwała się cicho:

– Bracie Fidelisie, jestem Rosvita z Korvei. Przyszłam was błagać o rozmowę.

Nic. Ani odpowiedzi, ani dźwięku. Chatka była tak maleńka, że Rosvita nie wyobrażała sobie, jak człowiek mógł w niej wygodnie żyć, nie mogąc się położyć ani wyprostować.

– Bracie Fidelisie?

Nic.

Nagle przeraziła się, że umarł. Ale śmierć starego pustelnika nie byłaby niczym strasznym, anioty uniosłyby go prosto do Komnaty Światła. Oczywiście, rozczarowałyby się, bo spodziewała się tyle od niego usłyszeć. Uśmiechnęła się gorzko, świadoma, że żądza wiedzy sprawiała, iż jej serce było niespokojne i nie zawsze pozwalało w spokoju kontemplować miłosierdzie Pana i Pani, jak powinna była czynić.

Żadnego dźwięku. A jeśli zabrała go ta obecność z kopca? A jeśli żyła tam jakaś

pradawna istota, nienawykła do towarzystwa i zazdrosna o swój spokój, nienawidząca wszystkiego, co spacerowało pewnie w świetle dnia?

A potem usłyszała ciche skrzypienie.

– Bracie Fidelisie?

Jego głos brzmiał jak szelest liści przesuwanych po ziemi.

– Przeczytaj mi coś z twojej nowej książki, tej historii Wendarczyków, nad którą się trudzisz, siostrze Rosvito.

– Nie wzięłam jej ze sobą – wyznała, zaskoczona prośbą.

– Moja ciekawość mnie upokarza – usłyszała radość w suchym, cichym głosie, który wymawiał wendarskie słowa z saliańskim akcentem. – Ale niestety, przyjaciółko, moje serce zawsze szukało spokoju, a umysł pozostawał niespokojny. – Uśmiechnęła się, a on ciągnął, jakby dojrzał ten uśmiech. – Jak sądzę, z tobą jest tak samo, siostrze, ale nie przybyłaś tu, by słuchać mej spowiedzi.

To zaskoczyło ją jeszcze bardziej.

– Chcecie mi się wyświadczyć, bracie? Oczywiście, że was wysłucham, jeśli czujecie potrzebę mówienia.

– Jestem pełen grzechu, jak wszyscy, którzy żyją na tym świecie. Byłem wiernym synem Kościoła, ale niestety, me serce nie zawsze dochowywało wierności Panu i Pani. Diabły mnie kusiły.

Miała przed sobą drzwi z gałązek, widziała tylko ich powierzchnię wygładzoną przez czas. Oczywiście, teraz pragnęła dowiedzieć się, w jakim przebraniu diabły kusiły brata Fidelisa. Był tak stary jak matka Otta, przeżył dziewięć albo dziesięć dekad, tak przynajmniej powiadano w klasztorze. Ale zazwyczaj kobieta nie słuchała spowiedzi mnicha; czynili to klerycy albo fratrzy. Większość pustelników z rozmysłem odwracała się od świata, również od posług diakonis.

Za ścianą chatki brat Fidelis zakaszał, z trudnością wydając z siebie dźwięk.

– Jesteśmy podobni, ty i ja – rzekł, gdy odzyskał oddech. – Wiem, co myślisz, bo zastanawiałbym się nad tym samym, gdybyś to ty była tutaj, a ja po drugiej stronie. Wiele lat temu złożyłem śluby milczenia i zamknąłem się w tej chatce, aby świat mnie nie rozpraszał, ale teraz czuję, że moja ziemská egzystencja dobiega końca. Będę więc z tobą rozmawiał i odpowiem na twoje pytania.

Usiadła na piętach i złożyła dłonie na biodrach, pozwalając mu złapać oddech.

– Przybyłam z rozkazu króla Henryka. Chce wiedzieć, czy posiadasz wiedzę na temat praw z czasów panowania cesarza Taillefera.

– Jako dziecko oddano mnie do klasztoru założonego i zarządzanego przez świętą Radegundis, ósmą żonę i wdowę po Tailleferze. Służyłem tam aż do jej śmierci, która miała miejsce jakieś pięćdziesiąt lat po zejściu Taillefera. – Jego głos załamał się i musiała przyłożyć ucho do drewna, by go słyszeć. – Był to czas próby, a ja poddałem się, ku memu

wiecznemu smutkowi. – Wziął głęboki, świszczący oddech.

Zapadła długa cisza. Rosvita czekała cierpliwie. Konie przestępowały z nogi na nogę, śpiewał ptak. Żołnierze rozmawiali cicho między sobą. Nawet Villam nie odważył się zbliżyć do chatki, choć Berthold niespokojnie krążył wokół wzniesienia, szukając na skale oparcia dla rąk.

– Kiedy opuściłem klasztor, wędrowałem po świecie. Mówiłem, że szukam dowodów na cuda świętej Radegundis, którą pełna miłosierdzia dobroć i szczodrość serca uczyniły najpobożniejszą z nas. Ale naprawdę szukałem wiedzy. Byłem ciekawy. Nie znajdowałem w sobie oderwania, którego poszukujemy my, oddani Kościołowi. Wiedza zbyt mnie kusila. W końcu przybyłem tutaj, kiedy byłem już zbyt słaby, by wędrować. Zostawiłem za sobą nawet klasztor i ruszyłem na wzgórze, aby zobojętnieć na sprawy tego świata. Nie udało mi się. – Jego głos był łagodny, lekko niewyraźny. – Dobrze, że Pani i Pan są miłosierni; modłę się, aby wybaczyli mi moją słabość.

– Jestem pewna, że wybaczą, bracie – odparła, poruszona tą krótką historią jego życia.

– Posiadam więc pewną znajomość praw Taillefera – zakończył. – Pytaj, o co chcesz.

Zawahała się. Ale sam król wyznaczył jej to zadanie i chociaż służyła Kościołowi, służyła też królowi.

– Król Henryk pragnie dowiedzieć się wszystkiego o saliańskich prawach sukcesji podczas panowania Taillefera.

– Wpływy Taillefera rozciągały się kiedyś na te ziemie. Ale umarł, nie wyznaczając następcy, jak pewnie wiesz, siostrze, bo wy w Korvei studiujecie stare kroniki. Bez dziedzica wielkie cesarstwo szybko upadło, targane waśniami o tron.

– Miał córki.

– Z prawego łoża, w tym trzy oddane Kościołowi. Ale wedle saliańskiej tradycji tylko mężczyźni mogli być władcami, a ich żony królowymi małżonkami, nikim więcej.

– Ale nasz Pan i Pani razem rządzą Komnatą Światła.

Jego oddech świszczał, kiedy zbierał siły, by przemówić.

– Czy to nie błogosławiony Daisan mówił: „Bóg dał ludziom wolność, a oni ustalili prawa”? Ludzie nie żyją wszędzie tak samo. Odnosi się to też do Salii i Wendaru.

– W ten sposób błogosławiony Daisan przypominał nam, abyśmy nie byli niewolnikami naszej cielesności.

Zaśmiało się cichutko i znów musiał czekać, aż odzyska oddech.

– Niektóre kroniki podają – dodała Rosvita – że królowa Radegundis była w ciąży, gdy umarł jej mąż, i to dziecko, gdyby urodził się chłopiec, Taillefer wyznaczyłby na swego następcę. Ale nikt nie wie, co się stało z dzieckiem, czy urodziło się martwe, zostało zamordowane, czy też Radegundis poroniła.

– Nigdy nie mówiła o dziecku. Z tych, którzy służyli wtedy na dworze Taillefera, została przy niej tylko jedna kobieta, Klotylda, żyjąca u boku Radegundis w klasztorze. Może знаła

rozwiązanie tej zagadki, ale zachowała milczenie. To milczenie przyniosło upadek wielkiemu cesarstwu Taillefera. Gdyby dziecko się narodziło i zostało uznane, chłopiec objąłby tron. Gdyby Radegundis znalazła wsparcie wśród szlachty Salii i Varre, do czasu aż chłopak osiągnąłby pełnoletność.

Rosvita pomyślała ponuro o Sabelli, szykującej rewoltę przeciw królowi tak silnemu jak Henryk. Szlachta na pewno walczyłaby o tron, na którym zasiadało dziecko. Wedle kronik, Radegundis była bardzo młoda, poślubiając Taillefera, piękna, ale z niezbyt ważnej rodziny; w sześćdziesiątej piątej wiosnie cesarz mógł przebierać w kandydatkach na żonę. Żadna młoda królowa bez wsparcia swego rodu nie mogła liczyć, że udałoby jej się ochronić dziecko przed wrogimi diukami i hrabiami.

– W Varre czy Wendarze – kontynuował Fidelis. – córka, której nie oddano Kościołowi, odziedziczyłaby i utrzymała tron, gdyby była wystarczająco silna. Ale Salianie woleli syna z nieprawego łoża od córki z prawego. Na własne oczy, kiedy jeszcze przebywałem w klasztorze świętej Radegundis, widziałem ówczesny kapitularz, w którym stało, że nieślubny syn mógł odziedziczyć ojcowskie dobra. Dlatego hrabiowie i diukowie Salii walczyli z bękartami Taillefera, który miał wiele żon i konkubin, i zrujnowali cesarstwo.

Oto wiadomość, którą król chciał usłyszeć, pomyślała smutno Rosvita: „Kapitularz, w którym stało, że nieślubny syn mógł dziedziczyć”. Wahala się jednak, bo brat Fidelis mówił o zniszczeniu.

– Więc w Salii bękart mógł dziedziczyć tron i koronę?

– Jeden nawet odziedziczył. Rządził cztery lata, zanim zamordował go due de Rossalia podczas zawieszenia broni. Za tę podstępność został on ukarany przez Pana i Panią: jego ziemie dwadzieścia lat pustoszyli Eikowie, aż spalili wszystkie domy, a ludzie uciekli. Tron dostał się dalekiemu kuzynowi Taillefera, nie jego dzieciom, ślubnym czy nie, i tak zniknął wspaniały ród.

Rosvita westchnęła głęboko. Cztery lata. Nie był to dobry znak.

– Nie to pragnęłaś usłyszeć? – zapytał Fidelis. Miała wrażenie, że widział wyraz jej twarzy i zaglądał w duszę.

– To, czego ja pragnę, się nie liczy. Ale być może, bracie, właśnie ta wiadomość, o upadku nieślubnych synów, musi dotrzeć do króla Henryka.

– Nawet ja, w mej chatce, słyszałem szepty o bękartcie, którego Henryk ma z kobietą Aoi. Ptaki śpiewają o tym dziecku, a w nocy, kiedy medytuję, demony powietrza szepczą między sobą o tym, jak chłopiec wyrasta na mężczyznę, a ja nie potrafię ich nie podsłuchiwać.

Żartował czy mówił poważnie? Nie wiedziała. Nie podjął tego wątku. Jego oddech świszczwał, cichy jak dźwięk żdźbła słomy spadającego na ziemię. Rosvita czuła, jak ziemia uwiera ją w kolana. Stopa jej zdrętwiała.

– Opowiedz mi o swej pracy – rzekł.

Usłyszała w jego głosie tę samą tęsknotę, która ją pożerała: nieustanną ciekawość,

nienasyconą i męczącą jak głód myszy.

– Piszę historię Wendarczyków, którą dam matce króla Henryka, królowej Matyldzie. Przebywa ona teraz w klasztorze w Quedlinhamie, gdzie znalazła spokój, jak mniemam, i skąd czuwa nad synem i resztą potomstwa. Większość dzieła to historia rządów pierwszego Henryka i obu Arnulfów, bo dzięki ich wysiłkom Wendarczycy osiągnęli dzisiejszą pozycję.

Myślała. On, cierpliwy, oddychał cicho. Zadanie, jakie sobie postawiła, stało jasno przed jej oczami, trudne, ale tak pociągające, bo było wyzwaniem. A ten człowiek na pewno zrozumiałby, co nią powodowało, jej ciekawość, jej obawy, potrzebę badania i odkrywania.

– Moja praca była jak brnięcie przez głęboki las, w którym ścieżki są zasypane śniegiem. Nikt mnie nie prowadził, czasami wypuszczałam się na zwodnicze ścieżki, czasami gubiłam drogę. Bracie Fidelisie, tyle moglibyście mi powiedzieć! Musieliście tyle widzieć i tyle usłyszeć!

– Niewiele mi tchu zostało. – Jego głos był tak słaby, że zdawało jej się, iż tylko sobie go wyobraziła. – Pomóż mi, siostrzo. Czy mogę ci się wypowiedzieć, jak dziecko matce?

Ogarnęło ją gorzkie rozczarowanie. Ale nie mogła odmówić.

– Wyświęcono mnie na diakonisę. Mogę spowiadać.

Mówił powoli, biorąc głęboki oddech po kilku słowach.

– Zgrzeszyłem raz, ciężko, śpiąc z kobietą. Było to wiele lat temu, ale nadal myślę o niej z uczuciem. Próbowałem być szczęśliwy. Próbowałem pokonać gniew, zżerający moje serce. I w końcu odnalazłem coś na kształt spokoju. Odwróciłem się od świata i pojąłem, że jego pokusy są niczym w porównaniu z obietnicą Komnaty Światła. – Miał taki miły głos, głos człowieka, który rozumie swe wady i grzechy i wybacza je sobie, nie z pychy czy lenistwa, ale z mądrością, wiedząc, że jak wszyscy ludzie, tak i on jest skażony. – Ale nadal odwiedzają mnie diabły. Nie w przebraniu kobiet, jak to czynią z moimi braćmi. Nawet nie jako ta, którą tak dobrze pamiętam. – Urwał. Aż przykro było słuchać jego oddechu, ostrych świstów wydobywających się ze słabych płuc. – Ale w przebraniu scholarów i magów, kuszących wiedzą, gdybym... gdybym tylko...

Zawiódł go głos. Słyszała jego oddech, tak cichy, że mógł go zagłuszyć trzepot motyli skrzydeł. Nagle stała się świadoma otaczającego ją świata. Ptaki śpiewały. Czy opowiadały o czynach Sanglanta? Nie rozumiała ich języka. Berthold wlaź na szczyt skały i z widoczną przyjemnością rozglądał się wokół. Młodość biła z jego sylwetki, stojącej na krawędzi urwiska. Villam stanął u stóp skały i najwyraźniej był zaniepokojony, ale nie chciał podnosić głosu i denerwować świątobliwego.

Było gorąco, choć chmury przysłaniały słońce. Pot spływał spod jej wełnianego habitu, ściekając wzdłuż kręgosłupa. Powstrzymała się przed otarciem karku; jej ruchy mogły zagłuszyć słowa brata Fidelisa.

Usłyszała, jak się poruszył.

– Gdybym tylko im powiedział, co wiem o sekrecie Siedmiu Śpiących. Ale przysięgłem

nigdy więcej o tym nie mówić. A jednak...

Czekała. Nie podjął wątku.

Z chatki dobiegł ją dźwięk przesuwania czegoś, lekkiego, ale twardego. Cień zasłonił wycięty w drzwiach otwór, a potem powoli pojawił się ciemny kształt. Z bijącym sercem, Rosvita ujęła go i wyciągnęła.

Była to książka.

Pracowicie oprawiona, z pozszywanych arkuszy pergaminu, zapisana ładnymi wyraźnymi literami.

– Nad tym pracowałem przez lata, które powinienem był spędzić na medytacji nad Świętym Słowem Boga Jedności. Oddaję ci ją, aby już nie trzymała mego ducha na ziemi. Życzę ci szczęścia, siostrze. Niech Pan i Pani czuwają nad twymi wysiłkami. Nie zapomnij, czegoś się tu dowiedziała. Żegnaj.

Gapiła się na książkę. Na okładce napisano: „Żywot świętej Radegundis”.

W końcu dotarły do niej ostatnie słowa: „Żegnaj”.

– Bracie Fidelisie?

Słońce wynurzyło się zza chmur, oślepiając ją nieoczekiwaną jasnością.

– Idź już – zabrzmiał jej w uszach jego głos. Rozkazywał głośno i wyraźnie, jego głos nie przypominał tego słabego głosiku, który słyszała przez zasłonę z patyków.

Wstała, trzymając książkę.

– Żegnajcie, bracie. Dziękuję wam. Zachowam wasze słowa w moim sercu.

Czy usłyszała śmiech? Tylko jej się zdawało. Chatka, mała i brzydka, wyglądała jak schronienie, które zbudował żebrak, aby nie moknąć na deszczu. Wycofała się tyłem, nie chcąc okazać braku szacunku dla starca. Potknęła się.

Villam złapał ją za ramię.

– Skończyło się?

– Tak. – Odwróciła się. Żadnego znaku życia.

– Nic nie widziałem, nic nie słyszałem – powiedział. – Mój syn skakał po skałach jak wiewiórka, próbując rozwalić sobie łeb.

– Chodźmy – mruknęła. Nie miała ochoty rozmawiać.

Villam uszanował jej milczenie. Dał znak swym ludziom; wrócili ścieżką na polanę. Rosvita była zbyt pogrążona w myślach, aby zwracać uwagę na zwałone kamienie, chociaż Berthold spróbował skrócić ku jednemu z kopców i został powstrzymany przez ojca.

Królowi Henrykowi nie spodobała się słowa brata Fidelisa, jeśli zamierzał wyznaczyć Sanglanta na swego następcę. Łatwo było powiedzieć, że bękart mógł dziedziczyć tron w Salii, ale nie wtedy, kiedy ceną za niego była śmierć, wojna domowa, zniszczenie wspaniałego rodu. Być może Henryk zrozumie. Był dobrym człowiekiem i dobrym królem, i miał troje silnych ślubnych dzieci.

Ale nie to ją gnębiło. Jak kąpiąca woda, dręczyło ją pytanie: kim było Siedmiu Śpiących?

Podczas swych lektur i studiów, poprzedzających pisanie *Historii*, natknęła się na kilka wzmianek o Siedmiu Śpiących. Była to jedna z wielu opowieści o wczesnych męczennikach; wspominała o niej nawet święta Euzebia w swej *Eklezjastyce*.

W czasach prześladowań daisanitów przez cesarza Tianathano, siedmiu młodych ludzi z miasta Sais ukryło się w jaskini, chcąc zebrać siły przed męczeńską śmiercią; jaskinia zamknęła się cudownie za nimi i mieli w niej spać aż do...

Aż do kiedy? Tego Rosvita nigdy się nie dowiedziała. W ciągu dwudziestu lat studiowania kronik i rozmawiania z naocznymi świadkami nauczyła się, że nie wszystkie opowieści były prawdziwe.

Ale coś w sposobie, w jaki wypowiedział te słowa Fidelis, w jego wahaniu, sugestii, że nieludzkie istoty zakłócały jego spokój, namawiając do rozmów o Siedmiu Śpiących, sprawiło, że zaczęła szukać ziarna prawdy w legendzie.

– Skąd ta powaga, siostrze? – zapytał Villam.

– Mam wiele do przemyślenia – odparła. Był zbyt dobrze wychowany, by indagować ją dalej.

2.

Tego wieczora ucztowali na cześć świętej Zuzanny, patronki ślusarzy i jubilerów. Orszak królewski zajął wszystkie pokoje gościnne w klasztorze i połowę wiosek oddalonych o godzinę jazdy, a oprócz tego wielu mieszkało w namiotach rozbitych na klasztornych pastwiskach. Brat podkomorzy, zajmujący się zaopatrzeniem klasztoru, mruzczał, że dworzanie za bardzo rozsmakowali się w hersfordzkim jadł i winie.

Henryk prezentował wszystkim niewzruszoną twarz. Tylko Rosvita i Villam znali powód rozmowy siostry ze starym pustelnikiem. Tylko Rosvita знаła treść rozmowy i reakcję Henryka na przekazane wiadomości.

Długo myślał, a ona stała za nim i cierpliwie czekała. Ojciec Bardo zaoferował Henrykowi swoją komnatę, król wybrał jednak pokoje na piętrze głównego budynku dla gości. Komnata była obszerna, ale skromna.

W niej ona i król Henryk mogli być sami.

Oprócz okazji ceremonialnych, król ubierał się tak jak jego ludzie: w długą do kolan tunikę, obszytą złotą taśmą, nogawice i wysokie buty z miękkiej skóry, wyszywane w orły, lwy i smoki, symbolizujące trzy filary, na których zbudował swą potęgę. Orły były jego posłańcami, Lwy wierną piechotą, a Smoki ciężką kawalerią, dumą armii. Ale to była broń osobista.

Prawdziwa potęga króla Wendaru i Varre zależała od posłuchu, który miał u wielkich książąt.

Na czarnym skórzanym pasie wymalowano na złoto sześć symboli księstw: smoka Saony,

Iwa Avarii, orła Fesse, guivre'a Arconii, ogiera Varingii, która słyneła z koni, oraz orła Waylandu.

Nosił cztery złote pierścienie, oznaczające czworo margrabiów: Helmuta Villama, Judith z Olsatii i Austrii i Werinhara z Westfalii. Margrabina Estfalii zginęła, a jej pierścień przepadł podczas bitwy albo został skradziony przez rabusiów i ozdabiał teraz palec jakiegoś qumańskiego wodza.

Piąty pierścień, z pieczęcią suwerena, król nosił na szyi na złotym łańcuchu.

Nie nosił korony. Podróżowała ona wraz z płaszczem, berłem i lancą świętej Perpetui, Pani Bitew, w dębowej skrzyni ozdobionej gryfami i smokami toczącymi wieczną wojnę.

Słuchał opowieści Rosvity o rozmowie z bratem Fidelisem. Dumiał nad nią, a ona czekała. W młodości był znacznie bardziej porywczy, wypowiadał na głos pierwsze myśli, jakie mu przyszły do głowy. Teraz, osiemnaście lat po wyborze na króla Wendaru i Varre, posiadał sztukę kontrolowania emocji.

– Jednak Tailleler sam nie wyznaczył żadnego ze swych nieślubnych synów na następcę – powiedział w końcu. – Wystarczy, że popatrzę na rodzinę. Sabelłę uznano za niezdolną do rządzenia, podobnie jak uznano by mnie, gdybym nie dowiódł swej płodności. Wtedy ojciec wyznaczyłby jedną z moich sióstr albo mego brata Benedykta na następcę. Jednak uznał, że to mnie przedstawi swemu dworowi jako dziedzica. Taillefer nie wskazał żadnego dziecka, ślubnego czy nie. Gdyby to uczynił, wypadki mogły potoczyć się inaczej.

Rosvita nie dowiedziała się więcej, bo choć pytała, król nie wyjawiał jej swych zamiarów. Na wieczornej uczcie Sapientia i Theophanu siedziały po obu stronach ojca. Ekkehard, najmłodszy syn króla, śpiewał, wtórując sobie na lutni; dziecko miało naprawdę piękny głos. Jeśli Henryk rzeczywiście zamierzał oddać Ekkeharda do klasztoru, ku niebiosom popłyną wspaniałe modlitwy.

Późnym rankiem następnego dnia przybyły dwa Orły, brudne, zdrożone i zmęczone. Przyniosły niedobre wieści.

– Gent jest obleżony – powiedziała starsza z kobiet, ponura i kulejąca. Nie onieśmiała jej obecność króla. – Jechaliśmy w piątkę do Gentu, by sprawdzić te pogłoski. Pod murami miejskimi napadli nas Eikowie. Ja i moja towarzyszka zostałyśmy ranne w potyczce – wskazała drugą kobietę, która mogła być w wieku Bertholda i Theophanu. – Ruszyliśmy na zachód, by przynieść wam tę wieść, Wasza Wysokość. Część drogi przebyliśmy w towarzystwie Smoków. Eskortowali w bezpieczne miejsce diakonisę i relikwię. Reszta Smoków, w tym książę Sanglant, jest obleżona w mieście.

– Czy to zwykły atak łupieżczy? – zapytał cicho król.

Pokręciła głową.

– Wedle eskortujących nas Smoków nie, Wasza Wysokość. Ostatnim razem naliczyli pięćdziesiąt dwa okręty Eików.

Henryk siedział na ławce w ogrodzie jednorożca, otoczony towarzyszami i dworzanami. Zaczęli mrużyć między sobą, ale szybko zamilkli, gdy król podniósł dłoń.

– Sądzisz, że zamierzają przeprowadzić inwazję?

– Wedle Sturm, dowódcy oddziału, z którym jechałyśmy, Eikowie chcą, aby zburzyć mosty łączące Gent z zachodnim i wschodnim brzegiem Veesru. Będą mogli popłynąć w górę rzeki.

– Gdzie jest teraz Sturm?

– Wrócił w pobliże Gentu. On i jego ludzie zamierzają nękać Eików poza murami miasta, aby pomóc swym uwięzionym towarzyszom.

Henryk spojrział w prawo, ku Helmutowi Villamowi.

– Gent leży na ziemiach rządzonych przez hrabinę Hildegardę, prawda?

Villam przytaknął.

– Co z jej siłami?

– Nie wiem – odparła Orlica. – Nie ma ich w mieście. Na pewno już do niej dotarła wieść o oblężeniu.

Król dał znak i służący przyniósł mu kieliszek wina. Henryk pociągnął łyk.

– Mówiłaś, że było was pięcioro?

Kobieta przytaknęła. Jej towarzyszka, i tak blada, teraz jeszcze bardziej pobieliała, jak ktoś, kto spędził wiele bezsennych nocy na zamartwianiu się; miała jasną cerę, zdradzającą północną krew, jasnobłękitne oczy i gęste włosy koloru pszenicy, splecione w warkocze. Starsza kobieta nie pokazywała po sobie ani gniewu, ani żalu.

– Reszta ruszyła dalej. Nie wiem, czy bezpiecznie dotarli do miasta, ale wierzę, że tak.

– Nie widziałaś, jak wjeżdżali do Gentu?

– Nie. Ale człowiek, z którym jeździłam, Wilkun, połączył ze sobą mojego towarzysza Manfreda i mnie na liczne sposoby. Wierzę, że wiedziałabym o jego śmierci.

– Aha – rzekł Henryk, podnosząc brew. – Wilkun.

Dla Rosvity wszystkie Orły wyglądały tak samo. Dzieci szlachciców, gdy dorastały, dostawały swój własny orszak albo, jeśli wymagały tego okoliczności, służyły w Smokach. W królewskiej piechocie albo jako posłańcy służyły dzieci wolnych obywateli, nie szlachty, ale każdy kleryk w królewskiej scholi znał Wilkuna z widzenia albo ze słyszenia. Nie było starszego od niego Orła, a chodziły słuchy, że jego wiedza wykraczała poza ludzkie możliwości. Pozostawał w łaskach za panowania młodszego Arnulfa; niektórzy utrzymywali, że jak na kogoś, kto nie był szlachetnie urodzony, jego wpływ na Arnulfa był zbyt wielki. Łaska skończyła się rok po wstąpieniu Henryka na tron. Wilkunowi zakazano pojawiania się przed królem. Rosvita nie wiedziała dlaczego.

– Tak, Wasza Wysokość. – Kobieta miała ostre spojrzenie i nie bała się patrzeć królowi prosto w oczy. – Jestem dumna, mogąc go nazwać preceptorem. – Nauczycielem i przewodnikiem. Specjalnie użyła dariyańskiego słowa. Rosvita podejrzewała, że Orlica

wiedziała coś niecoś na temat Wilkunowej reputacji na dworze.

Henryk uniósł kącki ust. Rosvita знаła go na tyle dobrze, aby wiedzieć, że otwartość młodej kobiety zaimponowała królowi.

– Jak długo służysz w moich Orłach, jak masz na imię i od kogo się wywodzisz?

– Od siedmiu lat służę w Orłach, głównie w marchiach. Wstąpiłam, gdy tylko przekroczyłam przepisowy wiek. Jestem Hathui, córka Elsevy z Esflalii.

– Twój ojciec?

– Mój ojciec miał na imię Volusianus. Urodził się z wolnych rodziców. Niestety, Wasza Wysokość, zginął w służbie króla Arnulfa, walcząc z Redarimi.

Król rzucił okiem na Villama, poglądnącego łagodnie na młodą kobietę. Rosvita dobrze pamiętała ostatnią wojnę z Redarimi; miała miejsce w ostatnim roku panowania Arnulfa i toczono ją głównie na ziemiach Villamów, które bardzo się powiększyły, kiedy Redari skapitulowali i przyjęli wiarę w Jedności.

– Po jego śmierci moja matka, jej siostra i brat ruszyli za Eldar, gdzie Arnulf nadał im ziemie; nie mają nad sobą żadnego pana ani pani.

– Prócz króla.

Lekko skłoniła głowę, przyznając mu rację.

– Prócz króla – powtórzyła.

Henryk podniósł dłoń, nakazując jej wstać.

– Będziesz podróżować z moim dworem, Hathui, córko Elsevy, i służyć mi. – Ten zaszczyt nie uszedł uwagi zgromadzonych, którzy zapewne zaczęli się zastanawiać, jak bardzo król obsypie łaskami młodą kobietę. Rosvita rozejrzała się po dworzanach. Kto pierwszy spróbuje się zaprzyjaźnić z Orlicą, a kto już knuje przeciw niej intrygę?

Hathui pozostała nieporuszona.

– A co z moją towarzyszką. Hanną, córką Birty i Hansala? Jest w Orłach nowa, ma mało doświadczenia i żadnej rodziny w pobliżu.

– Ona również, może się do nas przyłączyć. Będziesz jej preceptorką.

Rosvita zdała sobie nagle sprawę z tego, że Henryk nagradzał Orły z jeszcze jednego powodu: za przywiezienie mu wieści o synu.

– Musimy zebrać armię – powiedział król, zwracając się do Villama. – Jak szybko możemy wyruszyć do Gentu?

3.

Kiedy minął pierwszy szok, Hanna stwierdziła, że nagle wyniesienie w szeregi Orłów, które służyły bezpośrednio królowi, bardziej ją sfrustrowało niż zaszczycało.

Nie z powodu Henryka. On był królem, który w pełni pasował do jej wyobrażeń: poważnym, ale z poczuciem humoru; eleganckim, ale nie próżnym, jak ci mężczyźni, którym

ubrania i klejnoty służą jako pretekst do demonstrowania zamożności; łaskawy bez cienia przyjacielskości; nie tolerujący niekompetencji i opieszałości.

Ale wykazywanie braku tolerancji dla tych przywar było wszystkim, co mógł zrobić, kiedy należało szybko przenieść dwór z miejsca na miejsce albo zgromadzić armię z tak odległych zakątków królestwa, jak północno-zachodnie Saony, góry na południu Avarii i wschodnie marchie.

Wychowana przez energiczną karczmarkę, Hanna była zaskoczona tym, jak wolno wszystko się działo i jak wiele kłótni staczali ze sobą kasztelanowie, podczasy i lordowie o status i honor, które dla ludzi zamkniętych w Gencie nie będą miały żadnego znaczenia, gdy już Eikowie przedrą się przez miejskie mury.

– Jak tak dalej pójdzie, ogłuchną, zanim wyjedziemy z klasztoru – mruknęła wieczorem do Hathui, patrząc na kolejną szlachciankę, tłumaczącą królowi, ile to czasu zajmie jej zebranie ludzi i wyprawienie ich na daleką północ do Gentu. Na litość Bogini! Nie dość, że denerwujące, było to też nudne. Hanna stłumiła ziewnięcie, a Hathui przestąpiła z nogi na nogę.

– Jak twoja noga?

– Wytrzyma – odparła Hathui. – Masz obowiązki. Kto to jest?

– Co?

– Kim jest kobieta rozmawiająca z królem?

Hanna wytrzeszczyła oczy; dla niej wszystkie lordziątka były takie same: zlewały się w jedną gromadę odzianą w piękne tuniki, wyszywane złotem spodnie i całą masę biżuterii.

– To część twoich obowiązków, Hanno – powiedziała ostro Hathui. – Musisz zapamiętać wszystkie wielkie domy Wendaru i Varre, nauczyć się imion lordów i dam z tych rodów, przymierzy poprzez małżeństwo, pokrewieństwo i przysięgi, wiedzieć, kto kogo nie lubi, kto się chce z kim ożenić i dla jakich korzyści, jakie posiadłości straciły swą panią i zostaną oddane Kościołowi albo królowi.

– O Pani – syknęła Hanna. – Wszystko?

– I jeszcze więcej – Hathui uśmiechnęła się, rozładowując sytuację. – To jest Liutgarda, księżna Fesse. Ponieważ Fesse leży w centrum królestwa, do Gentu na północnym wschodzie jest stamtąd daleko. A poza tym Fesse graniczy z księstwem Arconii, ziemiami przyrodniej siostry Henryka, Sabelli. Słyszałaś pewnie plotki, że Sabella planuje bunt przeciw królowi?

W ciągu ośmiu godzin od przybycia do Hersfordu Hanna usłyszała tyle plotek, że miała mętlik w głowie.

– I co z tego? Jakie to ma znaczenie dla księżnej Liutgardy?

– Takie, że Liutgarda nie chce wysłać oddziałów do Gentu, który leży o wiele dni marszu na północny wschód, kiedy Sabella może zagrozić jej ziemiom. Henryk musi wybrać: Gent czy Fesse.

Hanna westchnęła.

– Jak udaje ci się w tym nie pogubić?

– To dopiero początek.

Do Hanny dotarło, że Hathui z niej kpi.

– Było ci trudno, kiedy wstąpiłaś do Orłów? Wydawało ci się, że to tylko wiele imion bez znaczenia?

Hathui wzruszyła ramionami.

– Kiedy masz Wilkuna za preceptora, nigdy się nie przyznasz, że ci trudno. Ale tak naprawdę nie było łatwo. W końcu jednak zaczęłam ich od siebie odróżniać. Musisz znać po imieniu każdego wieśniaka ze Spokoju Serca, prawda? I z pobliskich gospodarstw?

– Oczywiście!

– Wobec tego wyobraź sobie wszystkich szlachejnych panów i panie na królewskim dworze jako wioskę. Niektórzy nie opuszczają wioski; inni przyjeżdżają i wyjeżdżają, w zależności od zadań, jakie wykonują w rodzinnych posiadłościach. Naprawdę, Hanno, niczym się nie różnią od wieśniaków. Mają kłótnie i romanse, przymierza i spory jak zwykli ludzie. Śpią, jedzą, modlą się i korzystają z wychodków. Wcale nie jestem przekonana, czy gdybyś ubrała wieśniaka w elegancką tunikę, a jednego z tych tutaj w kapotę rolnika, potrafiłabyś odróżnić, który z nich jest szlachejnie urodzony, a który nie.

– Hathui!

Hathui uśmiechnęła się, jak na dumną kobietę z marchii przystało, i nakazała Hannie obserwować wydarzenia.

Hanna obserwowała. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu szokująca opinia Hathui pomogła jej odróżnić szlachejczyków od siebie. Zniknęło upokorzenie. Zauważyła, że stary doradca – margrabia Helmut Villam – ziewał, kiedy księżna Liutgarda obiecywała, że następnego dnia o świcie wyjedzie, jednak zebranie wojska zajmie jej kilka tygodni, a przemarszu przez królestwo nie dokonają w ciągu nocy.

Stojący obok Villama młodzieniec – jego syn, ale Hanna nie mogła sobie przypomnieć jego imienia, chyba go nawet nie słyszała – kręcił się i wyglądał, jakby bardzo chciał się znaleźć gdzie indziej. Mleczny brat Hanny, Ivar, miał taki sam wyraz twarzy, kiedy wymyślał jakąś psotę albo wyprawę do lasu i chciał, aby Hanna brała w niej udział; Ivar należał do ludzi, którzy byli albo pełni energii, albo kompletnie przygnębieni.

Jak mu się teraz wiodło? Czy już dojechał do Quedlinhamu, by rozpocząć życie mnicha? Hanna nie znała dobrze odległości w królestwie ani rozmieszczenia poszczególnych miast i klasztorów. Ale wiedziała jedno: Ivar nie zniesie klasztornych murów. Na pewno wpakuje się w jakieś kłopoty.

Westchnęła. O Pani. Nie mogła nic zrobić dla Ivara. Wybrała Liath i teraz, jakby chcąc ją ukarać, Pani rozdzieliła ją z obojgiem.

Księżna Liutgarda skończyła rozmowę z królem i cofnęła się, by zrobić miejsce szlachejczce mniej więcej w wieku Henryka. Ta kobieta dumnie obnosiła swe lata. Długie

włosy, zaplecione w warkocze, miała spięte z tyłu głowy; choć teraz były szare, błyskały między nimi kasztanowe nitki.

– Judith, margrabina Olsatii i Austrii – wyszeptała Hathui do ucha Hanny.

Margrabina poinformowała Henryka, że niezwłocznie wyruszy do swych posiadłości w Austrze i zbierze co najmniej dwustu zbrojnych, by ruszyć na Gent.

– Nie zapominajcie, Wasza Wysokość, że mój syn Hugo jest opatem w Firsebargu. Jeśli wyślecie mu wiadomość, jestem pewna, że wystawi kontyngent, aby was wspomóc.

„Hugo!” Hanna na moment straciła dech. Niemal wyrzuciła go z pamięci, ale patrząc na tę wspaniałą kobietę na nowo sobie go przypomniała. Judith miała już swoje lata, była szeroka w biodrach i nosiła się z godnością. Miała delikatną twarz, na której czas jeszcze nie wycisnął piętna, i Hanna dostrzegła podobieństwo do Hugona: ostre rysy, jasne, głęboko osadzone oczy, wyniosłą minę. Ale włosy margrabiny były ciemne, niepodobne do jasnych pukli Hugona. Czyżby naprawdę ojcem fratra był niewolnik z Alby? Ponoć ci mężczyźni byli piękni i jasnowłosi.

– Nie bądź głupia, Hanno – skarciła się szeptem. Natychmiast pomyślała o Liath. Czy dotarli bezpiecznie do Gentu? Czy Liath była cała i zdrowa? Żywa? Czy Hugo ciągle o niej myślał? Oczywiście, nie zawracał sobie głowy ludźmi podobnymi Hannie. A jeśli poprowadzi ludzi do Gentu? Czy Wilkun zdoła ochronić Liath, nie wiedząc, co zaszło zeszłej zimy w Spokoju Serca?

Hathui uspokajającym gestem położyła jej dłoń na łokciu, choć nie znała myśli Hanny. A ona nie miała ochoty ich zdradzać, bo się wstydziła, wiedząc, jak podle Hugo obszedł się z Liath. Otrząsnęła się i zajęła rzeczywistością.

Po skończonych audiencjach Hathui wysłano do królewskiego lekarza, a Hannę do domu gościnnego, gdzie rezydowały królewskie dzieci.

Hanna zatrzymała się przy drzwiach, a dwaj strażnicy – sądząc po złotych kaftanach z wyszytymi czarnymi lwami członkowie królewskiej piechoty, Lwy – obrzucili ją zaciekawionym spojrzeniem.

Hannę bardziej interesowały królewskie dzieci. Ekkehard ciągle się uczył; był zbyt młody, aby dostać swój orszak albo zostać wysłanym w świat. Teraz siedział obok jednej z siostr, przygrywającej mu na lutni. Miał piękny głos.

*Kiedy z północy nadpłynęły statki
I zobaczył złoto błyszczące na ich kadłubach
Rzucił się do wody
Choć była zimna jak serce jego matki
I płynął, aż dotarł do łodzi.
Mieczem zabił strażników
Nożem zabił sternika*

*Niewolnicy się przed nim pokłonili
I błagali o opowieść
Kiedy zdobył statki,
Tak zaśpiewał.*

Akompaniowała mu Theophanu. Chociaż na królewskim dworze wrzało od rana, ona siedziała nieporuszona i trącała struny lutni, przygrywając bratu.

Ta druga, ciemna, szczupła i niska musiała być Sapientią. Chodziła w tę i z powrotem jak zwierzę w klatce. Hanna dała krok w przód. Sapientia dostrzegła ją, rzuciła się w jej stronę, a potem zamarła, przypominając sobie o swej pozycji. Skinęła na nią.

– Masz dla mnie jakieś wiadomości? – spytała.

Nie przerywając grania, Theophanu podniosła oczy znad lutni, oceniła scenę jednym spojrzeniem i wróciła do piosenki. Ekkehard niczego nie zauważył.

Hanna przyklęła na podłodze.

– Tak. Król Henryk nakazuje wam iść do kuźni.

– Aha! – wykrzyknęła radośnie Sapientia. Odwróciła się i dała znak damom dworu, siedzącym przy kominku. – Idziemy! – powiedziała i wyszła tak szybko, że kobiety rzuciły swe hafty na ławę i wybiegły, nie mając nawet czasu złapać płaszczy.

Hanna zawahała się. Ekkehard śpiewał teraz pieśń, w której heros Sigisfrid opowiadał galernikom o swych bohaterskich czynach i po raz pierwszy zwierzał się z zakazanej miłości do swej kuzynki Waltharii – miłości, która zgubiła oboje. Ekkehard miał imponujące wycucie epiki. Hanna słyszała starych bardów, śpiewających ballady podczas noclegów w karczmie, i chociaż wykonanie księcia było niedojrzałe, mógł spokojnie stawać w konkury z tamtymi.

Theophanu popatrzyła na Hannę. Spojrzenie księżniczki było absolutnie nieodgadnione. Onieśmielona Hanna cofnęła się i wpadła na jednego z Lwów.

Podtrzymał ją z uśmiechem

– Wybacz, przyjaciółko – rzekł. – To wy przyjechałyście dziś rano z Gentu?

– Tak.

– Jesteś nowa w Orłach?

Przytaknęła. Nie ufała mu; był przystojnym młodzieńcem, a tych niewielu przystojniaków ze Spokoju Serca, których znała – na przykład jej brat Thanemar – było wyjątkowo nadętych.

Otworzył drzwi, uśmiechnął się do towarzysza i wyszedł za nią.

– Gdzie dzisiaj nocujesz? – zapytał. Miał miły uśmiech, miłą twarz i bardzo ładne ramiona, ale Hanna nienawidziła zarozumiałców. „Wszystkich prócz Hugona”. Odepchnęła tę myśl.

– Z Orłami, jak sądzę – odparła zimno. – Gdziekolwiek to będzie.

Przemyślał to. Nie wyglądał na zranionego czy obrażonego odprawą; nie była właściwie

pewna, czy uznał jej słowa za odprawę.

– No cóż, pewnie nie będziemy nocować razem – powiedział szybko, patrząc za siebie. – Jestem na służbie i nie mam czasu na rozmowę. Byłaś w Gencie. Widziałaś tam Smoki?

– Widziałam oddział, ale nie byłam w samym mieście. Zawróciliśmy spod murów, Hathui i ja.

– Była z nimi kobieta?

– Kobieta? Ze Smokami? Żadnej nie zauważyłam.

– Oj. – Skrzywił się, rozczarowany. Czyżby miał wśród Smoków ukochaną? Źle go oceniła; nagle wydał jej się całkiem atrakcyjny. – Moja siostra służy w Smokach.

– Twoja siostra?

Roześmiał się.

– Uważasz, że taki prostak jak ja nie może mieć siostry w Smokach.

Właśnie tak myślała.

– Faktycznie, większość z nich to szlachta, zazwyczaj nieślubne dzieci albo młodszy synowie, którzy nie mają ochoty iść do zakonu. Ale moja siostra zawsze chciała walczyć. Poświęciła się świętej Andrei bardzo młodo, jeszcze przed pierwszym krwawieniem, i nic jej nie mogło powstrzymać. Wstąpiła, a raczej wdarła się do Smoków. A ja poszedłem w jej ślady.

Hanna przypomniała sobie, jak Karl patrzyła na nią, gdy odjeżdżała ze Spokoju Serca jako nowo pasowany Orzeł. Czy ten młodzieniec też widział odjeżdżającą siostrę? Czy to podziw sprawił, że poszedł w jej ślady?

– Okryła się chwałą – ciągnął Lew, znalazłszy nowego słuchacza, przed którym mógł się chwalić siostrą. – Ocaliła sztandar. Jedni mówią, że uratowała księcia, a drudzy, że żaden człowiek nie może tego dokonać. Że jego matka zakłęła go, gdy był niemowlęciem: nie może go zabić żaden śmiertelnik, czy coś takiego. No dobrze; ja twierdzę, że uratowała mu życie.

– Nie widziałam jej – powtórzyła Hanna z przykrością. – Jak jej na imię?

– Adela – złożył rękę na sercu i skłonił się lekko; niewątpliwie podpatrzył ten gest u szlachty. Kiedy się uśmiechał, robił mu się dołek w policzku. – Ja jestem Karl.

Roześmiała się.

– Mój brat ma na imię Karl. Ja jestem Hanna.

– O rany. To zły znak: będziesz mnie uważała za brata. – I nagle przypomniał, że była noc, on był młody, a ona – może nie piękna, ale apetyczna i nowa. Zaczerwieniła się, zła na siebie.

– A co mówi twoja siostra? O księciu? – zapytała, żeby coś powiedzieć.

Parsknął.

– Same pochwały, a kiedy kobieta wychwala mężczyznę, jest to męczące. Jest mu wierna jak pies. Podobnie reszta Smoków. Nie rozumiem ich. – Przejechał dwoma palcami po podbródku, gładząc jasną bródkę. – Jak można go nazwać mężczyzną, skoro nie ma brody?

Ponieważ Hanna nie знаła odpowiedzi na to pytanie, rozsądnie zmilczała.

Drzwi się otwały.

– Hej, Karl, miałeś dość czasu! – Jego towarzysz zamrugał, ujrzał ich i skinął na Karla. – Dalej, wracaj. Od Orła nic nie dostaniesz, wiesz, jakie one są.

Karl posłał jej całusa i wrócił na posterunek.

– Panie, zmiłuj się – mruknęła i pobiegła do sali obrad. Hathui powiedziała jej, że król się już położył.

– Gdzie śpimy?

– A co, nikt ci nie zaproponował łóżka? – spytała Hathui i roześmiała się, widząc rumieniec Hanny. Szybko jednak umilkła. – Słuchaj mnie uważnie, Hanno. Kobieta jest usuwana z Orłów za jedną rzecz: jeśli nie będzie mogła jeździć, bo zaszła w ciążę. „Nie bierz ślubu z nikim prócz Orła, który złożył taką samą przysięgę”.

– Surowy nakaz.

– Nasza służba jest surowa. Wielu z nas ginie, służąc królowi. Nie mówię, że nie możesz nigdy nikogo kochać czy sypiać z mężczyzną, ale nie dokonuj wyboru zbyt szybko i nigdy tylko dla przyjemności. Są oczywiście ludzie, zazwyczaj starzy mężczyźni i kobiety, którzy znają się na ziołach i olejkach...

– To magia – szepnęła Hanna. – Do tego pogańska magia.

Hathui wzruszyła ramionami.

– Widziałam, jak diakonisa używała ziół i hymnów ze Świętej Księgi, by leczyć rany, więc jeśli to magia. Kościół nie sprzeciwia jej się zbyt energicznie. Mówię tylko, Hanno, że jeśli cię przyciśnie, zawsze są sposoby, aby uniknąć poczęcia, choć nie zawsze skuteczne. Każdy dar od Pani to jednocześnie ciężar i skarb. Takiej nam udziela lekcji: tak jak ogień potrafi ogrzać i zabić, tak i słodka namiętność przyniesie śmierć albo pobłogosławi zdrowym dzieckiem. – Uśmiechnęła się krzywo. – Czasami łatwiej jest zaprzysiąc się świętej, jak ja to zrobiłam. Kiedy wstępowałam do Orłów, nie byłam już dziewicą, ale miast cnoty ofiarowałam świętej Perpetui czystość.

– Byłaś mężatką, zanim wstąpiłaś do Orłów?

Hathui pokręciła głową, zamykając jedno oko i krzywiąc usta, jakby chciała odpędzić od siebie złe wspomnienia.

– Nie. Zostałam zgwałcona przez Qumana. I jeśli spotkam się z nim albo z jego ludem, słono mi za to zapłacę.

Hanna poczuła, jak opada jej szczęka.

– Mucha ci wleci – rzekła Hathui, która już się pozbierała.

– Prze... przepraszam.

– A czego się spodziewałaś po barbarzyńcach? – parsknęła. – Jakoś to przeżyłam, w przeciwieństwie do ciotki, którą zabili.

– Ale... czy to znaczy, że nie mogę mieć dzieci? – Hannie ta perspektywa nie przypadła

do gustu. Nigdy o tym nawet nie myślała. Była kobietą, nie wstąpiła do zakonu, musiała mieć dzieci!

– Oczywiście, że możesz, jeśli ich pragniesz. Ale musisz albo odejść z Orłów, albo wyjść za jednego z nas. Dziecko zrodzone z Orłów jest akceptowane. Widziałam troje takich pociech.

– A widziałaś kiedyś kobietę, wyrzuconą z Orłów za... za dziecko?

– Tak. – Hathui dotknęła brązowej zapinki, przesuując długimi palcami po orle. – To jej odznaka. Niestety, zmarła przy porodzie. Dziecko też.

Hanna nakreśliła krąg na piersi. Śmierć lub błogosławieństwo. Te słowa doskonale oddawały sprawę. Jej matka powiedziałaaby coś podobnego.

– Dalej, Hanno, idziemy spać. Jutro czeka nas bieganie, bieganie i jeszcze raz bieganie. – Hathui pocałowała Hannę w czoło i ujęła pod ramię. – Idziemy po koce. Możemy spać tutaj, u stóp królewskiego krzesła.

– U stóp królewskiego krzesła! – Był to taki zaszczyt, że Hanna zaczęła się zastanawiać, czy jej rodzice uwierzyliby, iż przypadł w udziale ich rodzonej córce.

– Tak sam powiedział. Nasz król to dobry człowiek i dumna jestem, mogąc mu służyć.

Rankiem, gdy tylko odśpiewano tercję, przyjechał kolejny Orzeł. Przybył z zachodu. Był wyczerpany; jego koń padł.

Hathui wzięła Orła za rękę i z Hanną depcząca im po piętach poprowadziła do sali, w której król obradował z Helmutem Villamem, margrabiną Judith i innymi, dyskutując o planach zebrania armii i ruszenia na Gent. Henryk urwał i wstał.

Orzeł padł na kolana przed królem.

– Wasza Wysokość – ledwo mówił, tak miał wysuszone gardło.

– Przynieście mu miodu – nakazał król. Mężczyzna osuszył puchar; miód złagodził jego kaszel.

– Wybaczcie, Wasza Wysokość.

– Wieści?

– Straszne, Wasza Wysokość. – Mężczyzna niemal płakał. – Przybywam z Autunu.. Jechałem cztery dni i pięć nocy, zatrzymywałem się tylko, żeby zmienić konie. – Zamknął oczy.

Napięcie w komnacie stało się nieznośne; wszyscy czekali na jego dalsze słowa. Hanna desperacko próbowała sobie przypomnieć, gdzie leżał Autun i jakie miał znaczenie. Czy to było biskupstwo? Tak! Właśnie: młodsza siostra Henryka, Konstancja, była biskupiną Autunu.

Kiedy sobie przypomniła, Orzeł opanował się i mówił dalej.

– Udało mi się uciec z Autunu dzięki pomocy kasztelanki biskupiny Konstancji. Autun wpadł w ręce damy Sabelli.

Kilku dworzan zaczęło mówić naraz i umilkło, gdy król podniósł rękę. Był ponury.

– Jak to się stało?

– Zdrada, Wasza Wysokość – odparł Orzeł. – Biskupina Konstancja jest więźniem damy Sabelli i jej popleczników. Sabella osadziła w Autunie Helvisse.

– Helvisse, którą za zgodą wszystkich biskupin usunąłem osiem lat temu?

– Tę samą, Wasza Wysokość. Autun poddał się bez walki ze względu na bezpieczeństwo biskupiny Konstancji. Nikt w mieście nie uznaje Helvisy za prawowitą panią. Ale to nie wszystko. Sabella ma armię i towarzyszy jej diuk Rodulf z Varingii.

Nikt się nie poruszył ani nie odezwał, czekając na reakcję króla.

Hanna słyszała tylko te straszne słowa: „Sabella ma armię”.

– Co z diukiem Konradem z Waylandu?

Hanna nie pamiętała, gdzie w tym bałaganie zwanym dworem królewskim miał swe miejsce diuk Konrad z Waylandu, ale dla reszty to pytanie było kluczowe. Wszyscy czekali. Villam otarł usta kciukiem. Księżna Liutgarda, odziana do drogi, nerwowo splatała i rozplątała dłonie.

Orzeł tylko potrząsnął głową. Wyglądał na kompletnie wyczerpanego.

– Nie wiem, czy się do niej przyłączył, czy nie. Musiałem uciec w środku nocy. Nie ma więcej wieści poza tą, że Sabella maszeruje na wschód.

Wschód. Nawet Hanna wiedziała, co to znaczy. Na Wendar.

– Przysięgała mi – powiedział Henryk miękko. Był wściekły, a jego ruchy, kiedy odwrócił się do towarzyszy, przypominały ruchy gotującego się do skoku lwa. Opanował się jednak. – Wendar jest zagrożony. Sabella buntuje się przeciw mej władzy, a tego buntu tolerować nie możemy. Nie możemy jechać do Gentu.

Słowa te uderzyły Hannę jak obuchem.

– O Pani – jęknęła z ciężkim sercem. Co się stanie z Liath?

4.

„Nie możemy jechać do Gentu”.

Ile kosztowało Henryka wypowiedzenie tych słów?

Rosvita zerknęła na Villama, który też na nią popatrzył, jakby myślał o tym samym. Henryk miał troje ślubnych dzieci. Dla dobra królestwa musiał zaryzykować utratę czwartego.

Dłonie Henryka były zaciśnięte w pięści. Długo patrzył na piękny aretuzański dywan pod stopami, geometryczny wzór cesarskiej purpury i kości słoniowej, kwieciste koła otaczające ośmioramienne gwiazdy. Dywan był częścią posagu wniesionego przez królową Sophię, bo tylko ona, córka cesarza i bratanica panującego władcy Aretuzy, mogła stąpać po purpurze. Po jej śmierci część rzeczy, zgodnie z jej życzeniem, przesłano do Aretuzy. Henryk zatrzymał dywan prawdopodobnie wbrew jej woli, ale czyż nie szeptano, że król uważał się za jedyne

władcę godnego noszenia płaszcza Świętego Imperium Dariyańskiego? Inni próbowali przywłaszczyć sobie tytuł po cesarzu Tailleferze i żadnemu się nie udało. „Nowe” imperium przetrwało tylko dwadzieścia cztery lata i umarło wraz z Tailleferem. Żaden król, stojący w obliczu wojny domowej, nie mógł liczyć na to, że zostanie cesarzem, nawet jeśli popierała go sama skoposa.

– Przygotujcie się do wymarszu – powiedział w końcu Henryk. – Wyruszamy o świcie.

Orzeł, chociaż jechał długo i naraził na niebezpieczeństwo, nie zyskał królewskiej łaski. Oddalono go, aby napił się, najadł i wypoczął. Król udał się do sypialni, reszta zaś do swych komnat i po chwili cały królewski orszak rozpoczął przygotowania do drogi. Szlachcice, którzy – jak Judith i Liutgarda – zamierzali wrócić do swych posiadłości, zamieniali się teraz w królewską armię. Nie mieli już czasu, by zbierać oddziały w odległych częściach królestwa.

Posłano Orły do Rotrudis, księżnej Saony i Attomaru, oraz do Burcharda, diuka Avarii; Orły ruszyły też do pomniejszych książąt i hrabiów. Z piwnic klasztornych zniknęły wielkie ilości zbóż i warzyw, ładowane na wozy, a kury i gęsi zamknięto w klatkach i wrzucano na stosy worów rzepy, fasoli, pszenicy, żyta i owsa. Dowiedziawszy się o rewolcie Sabelli, brat podkomorzy nie protestował, gdy z piwnic klasztornych wytoczono wszystkie beczki piwa.

Po niesporach do Rosvity, pakującej w skryptorium do skrzyni swe notatki, rysik, pergamin, pióra i atrament, przyszedł Villam. Był tak bliski paniki, że natychmiast porzuciła swe zajęcie i podbiegła do niego.

– Mój syn zniknął – powiedział. – Widzieliście go dzisiaj?

Poczucie winy ścisnęło jej serce. Tyle się wydarzyło, że zapomniała o swej obietnicy doglądania chłopca. Podejrzewała, dokąd się udał.

– Nie widziałam go. Jego orszak?

– Zniknęło jeszcze sześciu jego rówieśników, nikt ze starszych. Żaden nie chce nic powiedzieć. – Villam najwyraźniej przeczuwał najgorsze.

– Przeprowadźcie ich do mnie.

Villam wyszedł z ponurym uśmiechem. Skończyła pakowanie i oddała skrzynię służącym pod opiekę. Spotkała się z nimi przed Paleniskiem, w jedynym miejscu zapewniającym trochę spokoju. Villam przyprowadził dwóch mężczyzn: siwowłosego, wyglądającego na zaprawionego w bojach i wiernego oraz młodzika, który miał nie więcej niż osiemnaście lat, czerwonego i zapłakanego.

Rosvita przyjrzała się obu. Starego odpuściła sobie od razu. Wyglądał na preceptora, któremu wiele lat temu powierzono wychowanie chłopca, oddanego swemu młodemu panu całym sercem; nie ulękłby się. Ale ten drugi...

– Będziesz mnie okłamywał? – spytała młodzieńca. – Kim jesteś, dziecko? Kim są twoi rodzice?

Wyjąkał swe imię i ród.

– Gdzie jest lord Berthold?

Zdradził się, rzucając okiem na starego. Ten uparcie patrzył przed siebie. Młody zaczął się kręcić, wykrecać ręce i przygryzać dolną wargę.

– Spójrz mi w oczy, dziecko i przyrzeknij na Pana i Panią, że nie wiesz.

Rozpłakał się.

Szybko, jakby chcąc młodemu oszczędzić wstydu kłamstwa i zdrady, przemówił stary zbrojmistrz:

– On nic nie wiedział o wyprawie. Odradzałem ją, ale kiedy lord Berthold podjął decyzję, nie udało mu się tego wyperswadować.

– Ale z nim nie pojechałeś! – Villam uniósł pięść i chciał nią uderzyć w Palenisko; zmitygował się w ostatniej chwili i uderzył w otwartą dłoń. Ściemniało się. Rosvita nie zdołała już czytać z subtelnych zmian wyrazu twarzy. Do kaplicy weszło dwóch mnichów, niosąc płonące pochodnie; zaczęli rozpalać kandelabry. Niedługo odśpiewana zostanie kompleta i mnisi udadzą się na spoczynek.

– Tak mi rozkazał, panie. Jestem jego posłusznym sługą. I prawdę mówiąc, nie obawiałem się niczego. To tylko stare ruiny. Widziałem już takie i niczego złego się nie spodziewałem. Upewniłem się, że zabrał sześciu swych najlepszych żołnierzy, kiedy wyruszał po prymie.

– Ale jeszcze nie wrócił.

Zbrojmistrz zwiesił głowę. Nawet w słabym świetle pochodni widziała na jego twarzy wyraźne poczucie winy.

– Zabierzcie pochodnie, łopaty i oskardy, czego potrzebujecie, dziesięciu moich żołnierzy i resztę orszaku mojego syna. Ruszajcie się.

Wykonali rozkaz.

Rosvita modliła się na komplecie. Kaplica była zatłoczona, bo przyszli wszyscy szlachcice, którzy zdołali się wcisnąć. Kiedy wyszli, na posadzce pozostał klęczący Villam; modlił się całą noc.

Mnisi odśpiewali nokturn, a potem, o pierwszym brzasku, laudę. Król Henryk przybył na prymę gotowy do wymarszu, odziany w zbroję. Sapiaientia szła za nim, także gotowa do drogi; pod pachą trzymała ojcowski hełm, a na prawym ramieniu nosiła znak świętej Perpetui, Pani Bitew. Theophanu miała pozostać poza linią frontu, z tymi, którzy jak Rosvita nie zamierzali walczyć.

Kiedy odśpiewano prymę i odmówiono modlitwy, Henryk wyszedł z kościoła i podszedł do swego osiodłanego konia. Świtało. Z nocnej wyprawy do ruin nikt nie wrócił.

– Musimy jechać – powiedział król.

Villam skłonił głowę, bo wiedział, że król miał rację. Ochlapał twarz wodą i wyruszył razem z innymi.

Tego poranka armia nie oddaliła się zbyt daleko od wozów, na którym przewożono dobra królewskiego orszaku. W południe dotarł do nich oddział z klasztoru.

Rosvita odbiła z szeregu, aby usłyszeć nowiny. Berthold był dobrym, obiecującym chłopcem. Czuła się odpowiedzialna. Nie baczyła na niego tak, jak przyrzekła.

W twarzy zbrojmistrza nie było nadziei.

– Muszę wam smutną nowinę oznajmić, panie – jego głos był silny, ale oczy zdradzały ogrom bólu.

– Mój syn nie żyje – powiedział Villam, jakby wypowiedzenie tych słów mogło najgorszy ból, ból utraty ukochanego syna, oddalić, zmienić w cierpienie przeżyte wiele lat temu. Lepsze to, niż przesywający żal.

Zbrojmistrz pochylił głowę.

– Nie, panie. – Ale jego ton nie niósł pociechy. Przez chwilę nie mógł mówić.

Rosvita przepchnęła się przez tłum. Ludzie rozstępowali się; stanęła przy Villamie. Ujrzał ją i schwycił za ramię, uspokajając się. Król Henryk porzucił swe miejsce na czele armii. On również stanął obok Villama.

– Widziałem dziwne rzeczy, których nie umiem wyjaśnić. Oto, co się stało.

Dzień świętego Ambrożego, drugi po świętej Zuzannie, trzeci dzień Sormasu, wstał jasny i czysty, pogoda miała się utrzymać. Na pewno był to znak, że Pan i Pani sprzyjali ekspedycji. Rosvita zauważyła, słuchając opowieści sługi, że chmury wiszące na północy, nie poruszały się; niebo było czyste, słońce przygrzewało. Jeśli przebudziły się złe moce, to nie w nich zostały dziś wymierzone.

– Wiele godzin zajęła nam wspinaczka na wzgórze – powiedział zbrojmistrz. – Chociaż świecił księżyc i szliśmy ścieżką, wiła się ona i skręcała tak myląco, że kilka razy zgubiliśmy drogę. Napotkaliśmy las wysokich północnych sosen, którego nikt z nas wcześniej z dołu nie widział. O pierwszym brzasku doszliśmy do urwiska, o którym nie wiedzieliśmy, ale jeden z waszych żołnierzy, panie, rozpoznał jej jako miejsce, w którym medytował święty człowiek.

Ku naszemu zaskoczeniu, kiedy zrobiło się jasno i widzieliśmy dalej niż na długość ramienia, zobaczyliśmy na skale dwa lwy. Gdy nas ujrzały, uciekły. Bojąc się o życie świętobliwego, pobiegliśmy do jego chatki.

Nakreślił na piersi krąg i dotknął ustami kciuka, jakby ofiarowując Pani pocałunek.

– Kiedy dotknąłem drzwi, otwarły się, odsłaniając wnętrze. – Zamrugał kilka razy, jakby oślepiło go światło. – Cud! Święty mąż siedział wyprostowany, nie dotykając ścian chatki. Pachniał tak słodko, jakby wokół niego kwitły łąki pełne kwiatów, ale przecież nie było tam nic poza nim, jego odzieniem i brudną podłogą. Kiedy go dotknęliśmy, by go zbudzić, bo wydawał się spać, był zimny jak kamień. Nie żył – jego głos zadrzał.

Rosvita pochyliła głowę i zmówiła cichą modlitwę. Jego imię doda do modlitw, odśpiewywanych w każdy Peniter. Nie mogła płakać: brat Fidelis wszedł do Komnaty Światła. Poza tym miała ze sobą jego cząstkę: księgę, którą jej dał.

– Wysłałem dziesięciu ludzi, aby przeszukali ruiny, o których mówiliście, panie – ciągnął zbrojmistrz. – A ja zostałem z innymi, by sprawić świętemu mężowi godny pochówek. Nie

potrafię wyjaśnić... czuwała nad nami jakaś moc, bo gdy kopaliśmy, lwy znów się pojawiły na skale nad nami. Nie zbliżały się. Wydawało się, że nad nami czuwają, a kiedy pochowaliśmy świątobliwego, zniknęły.

Potem odnaleźliśmy ścieżkę i krótko po wschodzie słońca weszliśmy w ruiny na szczycie wzgórza. Jaki dziwny widok ujrzelśmy! Mówiliście o ruinach, ale ich tam nie było! Przed nami był krąg stojących kamieni, a pośrodku stał wielki monolit.

– Stał? – spytał Villam, skacząc jakby ktoś kłuł go szpilką.

– Stał i to mocno, a na jego szczycie leżał drugi. Widziałem już takie ruiny, dzieła olbrzymów, ale nigdy tak dobrze zachowane jak te.

– Niemożliwe! – krzyknął Villam. – Trzy dni temu leżały w gruzach!

Zbrojmistrz skłonił głowę i oparł ją na złożonych dłoniach. Pozostał tak przez chwilę, a Henryk odciągnął Villama na bok i uspokoił go.

– Byliśmy zadziwieni – wyszeptał w końcu zbrojmistrz. – Kopce były otwarte. Wejście do każdego okalały kamienne portale. Zapaliliśmy pochodnie i weszliśmy do wnętrza, trochę zaniedbanego, to prawda, ale ściany z płaskich kamieni były tak doskonale zbudowane, że przypominały raczej korytarze w fortecy, a nie w grobie. Każdy kopiec był taki sam. Weszliśmy przez korytarz, prowadzący prosto do okrągłej sali w samym centrum. A w nich nic. Ani przejść, ani śladu grobów, kości olbrzymów czy ofiar. Ani śladu skarbów. Nic. Tylko odcisk stopy w kurzu. I to.

Wyciągnął prawą rękę i otworzył pięść. Na dłoni leżał złoty pierścień.

Villam zawył z bólu i złapał pierścień. Obracał go w palcach, ale na jego twarzy nie zagościło zwątpienie.

– Pierścień jego matki – szepnął. – Dała mu go na łożu śmierci.

I rozplakał się, a inni płakali wraz z nim, zbrojmistrz i towarzysze młodego Bertholda. Zawiedli swego pana, nie chroniąc go. Henryk, skory do łez, też płakał, jak przystało człowiekowi dzielącemu ból, który czuli inni – co było iście królewską cnotą.

Rosvita nie mogła płakać. Opowieść ją przytłoczyła, zaskoczyła, a jednocześnie jej umysł pracował. Dziwne siły działały. Jak takie wielkie kamienie mogły wrócić na miejsca? Skąd wzięły się lwy? Dlaczego brat Fidelis dał jej księgę, niby człowiek, który pozbywa się swych rzeczy, przeczuwając zbliżającą się śmierć? O co mu chodziło w opowieści o Siedmiu Śpiących?

Co skłoniło Bertholda do wyprawy z sześcioma towarzyszami?

Rosvita nie wierzyła w zbiegi okoliczności.

Villam w końcu opanował żal, która nie opuści go przez wiele miesięcy. Miał obowiązki wobec króla i wojnę do stoczenia.

Z posepnymi twarzami i ciężkimi sercami ruszyli na zachód, spotkać się z armią Sabelli.

Rozdział dwunasty

Krwawe serce

1.

Na ulicach Gentu panował chaos; tylko mżący deszcz sprawiał, że nie podnosiła się z nich chmura pyłu. Brud i błoto były wszędzie; nikt nie śmiał używać cennej wody do mycia. Studnie, zapewniające miastu wodę, nie powinny wyschnąć, czerpiąc z rzeki, ale nikt nie chciał ryzykować. Można się było myć na brzegu rzeki, ale Eikowie mieli prymitywne łuki, a strzały o kamiennych grotach też potrafiły zabijać.

Liath widziała w życiu wiele miejsc: mieszkała w skoposkim mieście Darre, odwiedzała ruiny wspaniałych starożytnych miast: Sirraqusae i Kartiako, przebywała w pobliżu pałacu kalifa w jinnijskiej metropolii Qurtuba, poznała stolicę królów Salii, Pairri, popłynęła do portu zwanego Medemelachą i chodziła wśród dumnych, wiecznie zajętych obywateli Autunu. Ona i tato przejeżdżali przez wioski dotknięte klęską głodu, omijali miasta, nad którymi powiewał czerwony sztandar zarazy; modliła się w małych i dużych kościołach, nawet w wielkiej bazylice w Darre, poświęconej świętej Tekli. Przez osiem lat ona i tato zjeździli taki kawał świata, jakiego nie poznały przez całe życie tysiące ludzi.

Nigdy jednak nie widziała miejsca podobnego do Gentu: zamożnego miasta, którego populacja przekroczyła dwa albo trzy razy swój normalny stan; rolnicy szukali w jego murach schronienia i żyli w ciągłym strachu.

Każdego dnia przemierzała ten chaos.

Burmistrz Werner był pysznym, rozpuszczonym przez matkę człowiekiem, przyzwyczajonym do tego, że spełniano jego zachcianki. Fakt, że miał na swe rozkazy królewskie Orły, niewymownie go radował. Wieczorami Werner wymagał od Wilkuna uczestniczenia w ucztach. Wilkun – co zrozumiałe – imponował Wernerowi wiekiem i reputacją człowieka, który był niegdyś zaufanym doradcą Arnulfa Młodszeo. Wieczorami więc Wilkun nie mógł wypytywać Liath o życie, jakie prowadziła przez ostatnich osiem lat.

Za dnia Liath biegła z posłaniami od Wenera po całym mieście. Większość z nich była bezsensowna, ale przynajmniej miała co robić i mogła się trzymać z dala od Wilkuna. Chciała mu zadać wiele pytań, ale tato zawsze powtarzał: „Nie wskakuj do strumienia, jeśli nie znasz dna”. Nie była na tyle głupia, aby sądzić, że udałoby się jej okpić Wilkuna, a nie czuła się jeszcze na siłach stawić mu czoło. Wołała więc go unikać.

Ale nie mogła uniknąć miasta. Tego dnia czuła wzbierające szaleństwo, jak błyskawicę spływającą po drzewach. W drodze do zbrojowni, by sprawdzić, ile wykuto mieczy, przygotowano oszczepów i czy kowalowi nie brakło opału, musiała łokciami torować sobie drogę na chodniku, mimo że nosiła czerwono wykończony płaszcz Orła. Ludzie gromadzili się na ulicach, niektórzy nieśli dobytek na grzbietach. Inni rozmawiali, krzyżąc, gestykulując, na rogach albo pod arkadami czy w karczmach.

– Z drogi! – powiedziała, próbując przepchnąć się przez grupę mężczyzn na rogu rynku. – Jestem Orłem.

– Pieprzony Orzeł! – wrzasnął jeden z nich, wygrażając jej kijem. – W pałacu dostajesz dużo żarcia! – Był chudy, w łachmanach i wysuszony, ale gniew się w nim gotował. Liath nagle uświadomiła sobie, że wielu jego kompanów przyglądało jej się wrogo. Jeden bawił się nożem.

– Przestań, przyjacielu – podszedł do nich solidny rzemieślnik z poplamionymi dłońmi i ponurą twarzą. – Orzeł to tylko królewski posłaniec. Nie jest odpowiedzialna za błędy burmistrza. Przepuść ją.

Mężczyzna niechętnie się cofnął; jego kamraci mruzcili coś pod nosem.

– Dziękuję wam – powiedziała do rzemieślnika.

– Myślę, że lepiej zrobicie, unikając targowiska – rzekł. – Gromadzi się tu wielu rozgniewanych ludzi. Tam jest boczna uliczka. Idźcie, a po powrocie do ratusza powiedzcie burmistrzowi ode mnie, dobrego obywatela Gentu, że jeśli porządnie nie nakarmi zwierza w murach, niech się go lęka równie bardzo, jak tego za murami.

– Powiem – odparła zdziwiona. Ruszyła boczną uliczką, ale nawet na niej potykała się o uchodźców opartych o ściany, niektórych z gołymi głowami wystawionymi na deszcz. Niemowlęta płakały, dzieci zawodziły. Stara kobieta, owinięta w brudną chustę, której fantazyjne frędzle zamiatały błoto, próbowała upiec placki z mąki zagniecionej z wodą. Kopzące ognisko rozpałała tuż przy ścianie domu.

O Pani, jak łatwo byłoby zaproszyć ogień, gdyby nie padało, pomyślała Liath. Może lepiej, że padało. Ale ona nocowała pod dachem.

– Proszę! Orle! – mężczyzna mówił cicho, głosem ochryplym od flegmy.

Zaskoczona, zatrzymała się przy kupie odpadków. Śmierdziała. Leżały na niej skóry i oczyszczone z mięsa kości szczurów. Czuła urynę i odchody. Z cienia wynurzył się mężczyzna w rolniczej tunice; miał wąską zdesperowaną twarz, z nosa ciekła mu ropa. Przestraszona, cofnęła się.

– Błagam – powtórzył. – Zabierzcie mnie do burmistrza.

– Nie mogę, biegnę z posłaniem.

– Proszę. – Spróbował chwycić ją za rękę i pociągnąć; odskoczyła, ale coś w jego zachowaniu nie pozwoliło jej odejść. – Proszę. Musicie coś zrobić. Moja córka.

– Twoja córka?

– Jest chora i wygłodzona. Zobaczcie.

Jego córka. Żal po śmierci taty przeszył ją na nowo, łzy napłynęły do oczu. Podążyła za mężczyzną w cuchnącą uliczkę, gdzie zbudował swe schronienie. Dziewczynka mogła mieć osiem albo dziesięć lat; kaszlała bez ustanku, na wpół uszpięta, ale gdy usłyszała kroki ojca, wyciągnęła ramiona w jego kierunku.

– Tato? – szepnęła. – Tato, tak mnie boli w piersiach. Przepraszam, tatusiu, próbowałam być silna. – Zobaczyła Liath. Jej oczy zrobiły się wielkie; rozkaszała się.

Mężczyzna ukląkł obok i pocieszał ją, dopóki się nie uspokoiła. A potem, zrozpaczony, spojrzął na Liath.

– Nie jesteśmy biedni, Orle. Byłem dobrym rolnikiem i rzetelnie płaciłem podatki hrabinie Hildegardzie. Dwa lata temu moja żona umarła na zapalenie płuc, a dziecko, które powiła, umarło wraz z nią. Została mi tylko moja Miriam. Ale nie mamy nic, żadnych krewnych, nikt nie chce nam pomóc i nie mogę znaleźć pracy. Proszę, pomóż nam. Na targu mówią, że burmistrz każdego dnia ucztuje, a my tu głodujemy. Boję się, że ona... – urwał i schował twarz we włosach dziecka.

Liath przełknęła łzy. Nagle, niespodziewanie, uświadomiła sobie, że tato nie żył. Nie żył, już nigdy nie wróci, nie będzie z nią spacerował, pocieszał jej ani uczył. Niezależnie od tego, jakie miał wady, a miał ich sporo, bo jak każdego człowieka skaziła go ciemność, starał się jak mógł, był dobrym człowiekiem i zawsze, zawsze o nią dbał. Łzy zmieszały się z deszczem na jej twarzy. Dziewczynka patrzyła na nią z lękiem, mężczyzna z rozpaczliwą nadzieją.

– Nie możecie iść do katedry? – spytała. – Biskupina pozwoliła wielu uchodźcom spać w nawie i jak sądzę, dokarmia ich.

– Próbowałem – odparł; nadzieja zgasła w jego oczach. – Ale tylu ich tam jest. Zawrócono nas, zanim jeszcze dotarliśmy do schodów. Straż burmistrza nas wygoniła.

Zdjęła orli pierścień i podała mu.

– Zanieś to – nakazała – do ratusza i każ, aby cię zaprowadzono do stajni. Powiedz Smokom, że chcę, żeby cię zatrudnili. Znasz się na koniach?

Przełknął.

– Miałem owce, kozy i kury, nigdy konie.

– No to przy kurach – rzuciła. – Zabierz córkę. To zapewni ci wejście. Musisz wejść, bo pierścień jest mi potrzebny, odbiorę go od ciebie w ratuszu.

– Tato! – szepnęła dziewczynka i zakaszła.

Mężczyzna zaczął dziękować jej tak wylewnie, że przestraszyła się, iż ściągnie na nich

uwagę innych. Nie mogła ocalić wszystkich.

– Muszę iść – powiedziała. – Mam zadanie. – Wybiegła na deszcz i płakała całą drogę do zbrojowni i z powrotem.

Werner miał dla niej zajęcie przez cały dzień, a wieczorem, aby ukoić nerwy, wydał wystawną ucztę, w której nie miała ochoty uczestniczyć. Po uczcie objęła nocną wachtę i położyła się tuż przed świtem, spała źle i została obudzona rankiem przez zdenerwowanego służącego. Błagał, aby natychmiast zjawiała się w ratuszu.

Werner nerwowo przemierzał salę.

– Orle! Słyszałaś? Widziałaś?

– Wybaczcie, burmistrzu – powiedziała. – Właśnie mnie obudzono. Stałam wczoraj na...

– Na bogów! Do czego doszliśmy! – Machnął ręką, nakazał przyniesienie tacy i wepchnął do ust ciasteczko, jakby mogło go to uspokoić. – Wysłałem już Wilkuna z tym drugim do garbarni, więc co ja pocznę? Co ja pocznę?

Czekała, gdy wrzeszczał na przechodzącego służącego. Uspokoił się na tyle, że mówił jasno.

– Przed bramami zebrał się tłum. Przed bramami, jakbym to ja był ich wrogiem! Co za nieszczęście!

– Czy powiedzieli, czego chcą, burmistrzu?

– Chleba i fasoli! – parsknął. – Chleba i fasoli! Dobrzy obywatele Gentu nigdy by się tak nie zachowali, gdyby ci wieśniacy nie mieli na nich złego wpływu! Co najmniej jedna diakonisa, wyobraź sobie, nakładła im do głów, że ja uczuję, a ich dzieci głodują! Żadne dziecko nie głoduje w murach Gentu. Biskupina się tym zajmuje. Nazywają mnie obżartuchem i mówią, że uczuję, gdy ich dzieci głodują! Wyobrażasz sobie?

Czekała, ale on, niestety, spodziewał się odpowiedzi.

– Jestem tu, by wam służyć – powiedziała ostrożnie.

– Ktoś musi wyjść i ich uspokoić – odparł, spoglądając na nią przebiegle.

– Ale oni chcą was, panie – zareagował natychmiast służący.

Werner nerwowo wygładził wełnianą tunikę i wepchnął palce za pas. Złota kłamra wysadzana była wielkimi lazurytami.

– Ja... ja nie mogę, to zbyt niebezpieczne... – Jego rozbiegany wzrok znów spoczął na Liath i twarz burmistrza się rozjaśniła. – Orle, przyprowadź księcia Sanglanta. Będzie mi towarzyszył. W końcu... – zaczął okręcać pierścionki na palcach, jak to miał w zwyczaju. Pierścienie były piękne: jeden wysadzany małymi rubinami, drugi ametystem, a trzeci lazurytem o wyjątkowo błękitnym odcieniu; czwarty, obrączka, spleciona była z ogniwek tak delikatnych, że Liath nie mogła uwierzyć, iż wyszła spod ludzkich rąk. – W końcu ma bronić Gentu, a jeśli tłum zrobi się wściekły i żądny krwi albo zacznie mi grozić...

Skłoniła się i wyszła z sali. Na zewnątrz świeciło słońce. Z wielkiego podwórca, otoczonego z jednej strony murami ratusza, z drugiej budynkami kuchennymi, z trzeciej

barakami i stajniami, a palisadą z czwartej, słyszała tłum, który zebrał się po drugiej stronie solidnych murów. Wielogłosowy chór przemawiał z furią i desperacją ludzi, którzy nie mają nic do stracenia.

Werner nie mógł pozwolić sobie na obłężenie i bunt; nagle pojęła, co rzemieślnik miał na myśli, mówiąc o zwierzu w murach. Wygładziła tunikę i przeczesła warkocz, a potem przeklęła się za próżność. Może i księżę Sanglant od czasu do czasu na nią popatrywał, ale popatrywał na wszystkie atrakcyjne kobiety w okolicy. Liath zauważyła to, bo sama na niego zerkała, kiedy przebywali razem w ratuszu, stajniach czy na dziedzińcu.

Nie powinna przejmować się takimi drobiazgami. Tato powtarzał: „Nie martw się wełną, kiedy owcę zjada wilk”.

Uspokoila się i pomaszzerowała długim ciemnym korytarzem. Nie zauważyła mężczyzny i dziecka, którym chciała pomóc. Za stajniami, w obrębie murów ratusza, był mały podwórzec. Na nim Smoki odpoczywały na słońcu czy – znacznie częściej – ćwiczyły szermierkę. Jak teraz.

Zatrzymała się w drzwiach, wycierając pył z nosa i starając nie kichać. Dwaj mężczyźni walczyli na kije. Kilku młodszych gorliwie waliło w pał, umieszczony na środku dziedzińca. Jeden siedział na ławce, naprawiając parę skórzanych naramienników, zaimpregnowanych olejem na ciemnobrązowo. Sanglant się śmiał.

Jego śmiech był tak ostry i jasny, że aż dźwięczał. Znalazła go za sznurem, na którym wisiała suszona bielizna. Pot perlił mu się na czole; w jednej ręce trzymał miecz owinięty w szmatę, w drugiej tarczę w kształcie łyzy, pomalowaną w smoczy wzór. Nie nosił zbroi, tylko spodni kubrak. Jego towarzysze – kobieta i młodzik o jasnej brodzie – byli podobnie uzbrojeni; najwyraźniej ćwiczyli szermierkę.

Sanglant otarł pot z twarzy i odwrócił się, patrząc wprost na Liath. Podniósł dłoń. Wszelkie działanie ustało i wszystkie Smoki obróciły się, by na nią spojrzeć. Stłumiła nagłą chęć ucieczki, uniosła podbródek i ruszyła przez podwórze.

– Burmistrz Werner pragnie was widzieć – powiedziała głośno. – Tłum...

– A, tak – przerwał jej księżę. – Zastanawiałem się, kiedy Werner po mnie pośle. Zbierają się od świtu – wydawał się bardziej rozbawiony niż zagniewany czy zmartwiony. Wręczył kobiecie miecz i tarczę, otrzymał oszczep i nakazał Liath iść przodem. Kiedy wracali przez stajnie, czuła na plecach jego wzrok.

– Nigdy nie widziałem, żebyś używała tego łuku. To qumańska robota, prawda? – odezwał się.

– Tak.

– Dziwny wzór, jeleń jest pożerany, a jednocześnie z jego rogów rodzą się gryfy.

Bystrość obserwacji zaskoczyła ją, ale nie odważyła się obejrzeć czy zwolnić.

– Twoje oczy są takie błyszczące – dodał. – Jak błękitny ogień. Albo ten lazuryt na palcu Wenera.

Policzki jej płonęły. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Kiedy wyszli ze stajni, zastali na głównym dziedzińcu burmistrza i kilku jego służących, zbitych w nerwową grupkę.

– Otworzyć bramy – nakazał Sanglant.

– Ale..

– Otworzyć, powiedziałem!

Werner nie wydał rozkazu, zanim bezpiecznie nie ukrył się za palisadą, na wypadek gdyby dzika horda wpadła na dziedziniec. Ale kiedy już tam wszedł, zebrani mogli go dostrzec. Liath wspięła się za nim. Stojąc na murach, widziała tłum. Rzeczywiście, byli to rolnicy i biedacy, przerażeni, chudzi, zdesperowani – tacy sami jak ci, przez których się wczoraj przepychała. Zobaczywszy burmistrza, zaczęli wrzeszczeć, niektórzy prosząc, inni przeklinając i grożąc. Jakiś mężczyzna uniósł nad głową dziecko, jakby chciał, by burmistrz – którego nalana twarz aż za jasno świadczyła, że nigdy nie głodował – ujrzał głód w oczach maleństwa. Kilku miało kije i kosy; wymachiwali nimi ze złością, gdy Werner próbował powiedzieć kilka pocieszających słów; i tak nikt go nie słuchał.

Brama się otworzyła. Sanglant wyszedł, trzymając w lewej ręce oszczep, prawą, otwartą i pustą wyciągając przed siebie. Nie miał eskorty. Zdenerwowana Liath dobyte łuku, naciągnęła cięciwę i wyjęła strzałę, aby być w pogotowiu, gdyby ktoś spróbował napaść na księcia.

Ten spojrział w górę, jakby usłyszał szcęknięcie cięciwy w brązowych uchwytach. Uśmiechnął się do niej swym czarującym uśmiechem, jakby ta ochrona rozbawiła go lub mu pochlebiła, i na moment Liath zapomniała, gdzie jest. A potem spojrział na tłum i uniósł oszczep. Ludzie ruszali się niespokojnie, zauważając tylko Sanglanta. Kroczył wśród nich bez lęku; łatwo go było dostrzec, bo był pół głowy wyższy od najwyższych ze zgromadzonych. Rozstępowali się przed nim; znalazł jakiś kamień lub skrzynkę, użył jej jako platformy, uniósł oszczep nad głowę i nakazał ciszę.

Ku zaskoczeniu Liath tłum zamilkł.

– Ojej, ojej – mrucał Werner, a potem, uświadamiając sobie, że Sanglant nie zostanie rozerwany na sztuki przez rozwścieżoną tłuszcę, zamilkł.

– Wybierzcie spośród was troje – powiedział Sanglant bez wstępów – a oni przed burmistrzem przedstawią wasze bolączki. Wybierzcie ich szybko i bez kłótni. Reszta pójdzie do domów czy tam, gdzie nocujecie. Zażądam, aby biskupina była mediatorem.

Liath dziwiła się, że tak ochryply głos niósł się tak dobrze. Poruszył się, a słońce odbiło się od złotego torkwesu. Liath opuściła łuk; patrząc na księcia, nie mogła się skoncentrować. Starożytni mieli rację, pożądanie to przekleństwo. Ręce jej drżały. Schowała strzałę do kołczanu; księciu nie groziło niebezpieczeństwo.

Ale jej tak.

– Przypominam wam – ciągnął – że Gent jest obleżony. Czekaający na zewnątrz wróg jest

bardziej nieubłagany od głodu; zapasów nam wystarczy, jeśli będziemy nimi mądrze gospodarować, ale w jego sercu, o ile je ma, nie znajdziecie litości. Nie możemy walczyć między sobą, bo to dla nas pewna śmierć. Macie prawo żądać jedzenia, jeśli wasze dzieci są głodne, ale nie możecie spodziewać się uczt...

– Burmistrz co wieczór ucztuje! – wykrzyknęła kobieta wysokim ostrym głosem. Nosiała habit diakonisy.

– I wy, dobra diakoniso, możecie mu prosto w oczy powiedzieć, co o tym myślicie. Wybierzcie jeszcze dwoje.

Jego rozkaz uciszył tłum. Niektórzy zaczęli odchodzić. Po krótkich rozmowach do diakonisy przyłączyło się dwóch mężczyzn i weszli z Sanglantem na dziedziniec. Liath rozpoznała rzemieślnika, którego spotkała na targu. Werner zszedł z murów dopiero, gdy zamknięto bramę. Kiedy wprowadzono ich do sali, troje szaraczków zdawało się przytłoczonych obecnością burmistrza – albo raczej księcia.

– Orle – powiedział Werner. – Znajdziesz i przyprowadzisz tu biskupinę. To znaczy, pokornie ją poproś, by przyszła.

Sanglant poruszył się i Liath pomyślała, że zechce jej towarzyszyć. Ale on tylko usiadł z westchnieniem na krześle obok Wenera.

Co za idiotka! Przeklinała siebie, biegnąc. Otwarto bramę i wypuszczono ją, a ludzie odchodzący z placu robili jej miejsce. Może tato miał rację; zazwyczaj miał. „Jesteś tak próżna?” – zapytał. Ale mówił o Hugonie, a co do niego to ona miała rację. Tato nie rozumiał, czego naprawdę chciał Hugo.

Ale nie miała zamiaru teraz o nim myśleć. Ani teraz, ani nigdy.

Biskupina Gentu nie traciła czasu; odesłała Liath z wiadomością, że za godzinę pojawi się w ratuszu i albo przed zmrokiem znajdą rozwiązanie problemu, albo ona je narzuci.

Kiedy Liath wróciła, diakonisa i rzemieślnik najwyraźniej wypowiedzieli już swe żale. Trzeci reprezentant, starszy mężczyzna w tunice z dobrego lnu, znamionującej człeka zamożnego, rozwodził się przed burmistrzem na temat pozycji gwiazd na niebie i przepowiadanego przez nie losu Gentu, ze szczególnym naciskiem na los burmistrza. Werner słuchał z taką uwagą, że nie zwrócił uwagi na powrót Liath.

– W pismach Matek Kościoła i w obliczeniach matematyków babaharskich – mówił mężczyzna głosem, z którego przebijała pycha – zapisano, że przejście Smoka w znak Uzdrawiciela, jedenasty dom mniejszego kręgu, ziemskiego smoka spinającego niebiosa, wyznacza okres uzdrowienia i nadziei, wzmocniony jeszcze przez przejście Jedu, groźnego Anioła Wojny, w ten sam znak, a to stanie się niedługo, bardzo niedługo, bo groźny Jedu wkrótce opuści Jednorożca i wejdzie w Uzdrawiciela. Powinniście więc wziąć sobie do serca to, że niebiosa zsyłają nam nadzieję w ten mroczny czas i szczerze zmniejszać ból tych, którzy uwięzieni zostali w waszym pięknym mieście.

– Oszczędźcie mi tych bzdur – syknęła Liath. Natychmiast tego pożałowała. Zapomniała,

że księżę miał bardzo czuły słuch.

Sanglant popatrzył na nią, ale nic nie powiedział.

– Mów dalej – ponaglił Werner; mężczyzna kontynuował, obojętny na wszystko prócz ciekawości burmistrza.

– Tak, niebiosa dają nam nadzieję. Nie oczekujmy nieszczęścia, bo żadna kometa nie przefrunęła przez niebo, a tylko te miecze ogniste zwiastują ruinę. Możemy więc wszyscy świętować i ucztować, bo ratunek już blisko – Werner natychmiast się rozpogodził – i jeśli rozrzucę złoto na sposób tylko mnie znany, poznam dokładny dzień i godzinę naszego wyzwolenia!

– Ach! – westchnął Werner w ekstazie.

O Bogini! Ten człowiek mógł narobić więcej szkody niż pożytku. Ale Orły nie miały prawa wygłaszać swego zdania, w przeciwieństwie do księżąt. Zaryzykowała.

– To krętacz – mruknęła cicho.

Sanglant natychmiast podniósł dłoń.

– Gdzie nauczyłeś się tyle o niebiosach? – zapytał starca. – Jak nam udowodnisz, że mówisz prawdę?

Mężczyzna przycisnął dłoń do piersi.

– Szlachetny księżę zaszczyca mnie swą uwagą. Uczyłem się w Akademii Diotimy w Darre, leżącej w cieniu pałacu skoposkiego. W tej Akademii poznawaliśmy tajemnice niebios z pism starożytnych oraz uczyliśmy się, jak z ruchów gwiazd przepowiadać los człowieka i świata.

– I jak żądać zapłaty – powiedziała Liath. – Zazwyczaj w złocie.

Po czym przeraziła się swych słów. Nie mogła się opanować. Podczas wędrówek tato nigdy nie podawał się za astrologa czy wróżbitę, jednego z tych, którzy twierdzili, że potrafią przewidzieć los „królów i ich ludów”. Wszyscy to krętacze jak jeden mąż, twierdził tato, choć ze swą wiedzą mógł zarobić na utrzymanie dla nich obojga. Jednak on szanował i bał się tego, co wiedział. Nie należało igrać z nauką. Fakt, że wiedza, za którą tato zapłacił tak wysoką cenę, była traktowana przez takich szarlatanów jak jeszcze jeden towar, na którym można się szybko wzbogacić, nabierając łatwowiernych, rozdzierał jej serce.

Starzec zmarszczył czoło.

– Nie oszukuję i chociaż niektórzy ludzie w Kościele nie pochwalają tego, nie potępili...

– Na soborze w Narvone zakazano stawiania horoskopów – przerwała mu diakonisa. – Tylko Bóg i aniołowie znają nasz los.

– Ja... – zachłysnął się – nie stawiam indywidualnych horoskopów, oczywiście, ale posiadam wielką wiedzę i nikt nie śmie mnie obrażać, bo znam ruchy niebios. Czytałem nawet *Astronomicon* Virgillii i...

Liath parsknęła.

– Virgilia napisał *Heleniadę*. To Manilius napisał pięć ksiąg zatytułowanych

Astronomicon, na które się powołujesz. A Akademia założona przez Diotimę z Mantinei znajduje się w Kellai, a nie w Darre.

Sanglant rozkaszał się, ukrywając wybuch śmiechu.

Zadrżała. Wszyscy w sali gapili się na nią, jakby nagle zaczęła mówić w obcym języku, niby uczniowie na Pentekost, dotknięci Świętym Słowem.

O Pani. Pozwoliła, aby zawładnęła nią złość na głupców i gniew po stracie ojca. Zdradziła się przed wszystkimi.

– Co? – powiedział burmistrz, wyglądający jak ryba na talerzu. – Co? Nie ro...

– Zostałem znieważony! – rzekł rzekomy astrolog, a diakonisa dała krok w przód, przyglądając się Liath z zainteresowaniem... a może podejrzliwie?

– Burmistrzu – powiedział Sanglant tak ostro, że wszyscy zwrócili się ku Wernerowi. – Potrzebuję tego Orła, aby zaniósł wieści moim ludziom rozstawionym na murach. Radzicie tu sobie, jak sądzę, a niedługo nadejdzie biskupina.

Werner otworzył usta.

– Dobrze – rzekł Sanglant. – Idziemy – rzucił.

Liath podążyła za nim. Serce waliło jej w piersi. Z jakiegoś dziwnego powodu nie była jednak przestraszona, tylko rozluźniona, a nawet radosna.

Stanął na wielkim dziedzińcu, w słońcu i przeciągnął się jak wielkie zwierzę po zwycięskiej walce. A potem przyjrzał jej się; ponieważ już się zdradziła, oddała mu spojrzenie.

– Oczywiście, słyszałem *Heleniadę* – powiedział – No, w części. Na królewskim dworze wielu poetów śpiewało ten epos, a ty oczywiście słyszałaś, jak recytował ją bard na ucztach Wenera przez ostatnie dziesięć dni.

– Raczej bełkotał.

Uśmiechnął się.

– Ty pewnie zrobiłabyś to lepiej.

– Nie jestem poetką ani bardem, żeby śpiewać publicznie – pokręciła głową.

– Nie, nie jesteś. Jesteś, jak mniemam, kimś zupełnie innym. Czy ten... *Astronomiom* naprawdę istnieje?

– Słyszałam o takiej księdze, ale nigdy jej nie widziałam. Jest do niej odnośnik w *Etymologiach* Isidory z Seviya, kiedy komentuje... – urwała. Dobry Boże! Czyżby próbowała się przed nim popisywać?

– Rzeczywiście jesteś uczennicą Wilkuna.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Ja też nie wiem – odparł, zmarszczył brwi i spojrzał w bok. Niemal ją to zabolalo; nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo ogrzewało ją jego spojrzenie, czy też jak bardzo pragnęła jego uwagi. Niby głodne dziecko chleba.

Skrzywiła się, bo porównanie było aż nadto prawdziwe. Była sama, on był tutaj...

Nigdy nie spotkała kogoś takiego jak on.

Sanglant podniósł dłoń, a ona znieruchomiała, bo po części pragnęła, by jej dotknął, po części zaś obawiała się, co ten dotyk – namacalny i nieodwołalny dowód zainteresowania – mógł spowodować. Jak mogła czuć coś takiego po tym, co zrobił jej Hugo?

Ale Sanglant nie spróbował jej dotknąć; otworzył dłoń, na której leżał jej Orli pierścień.

– Wczoraj ktoś mi to przyniósł. Sądzę, że należy do ciebie?

Czekał. W końcu, ostrożnie, wyjmując go jak brylant z zębów kobry, wzięła pierścień.

– Jest mój. Co się stało z człowiekiem...?

– Daliśmy mu schronienie i jakąś pracę. – Jego oczy błysnęły. Nie mogła odczytać wyrazu jego twarzy. – Jego córkę posłałem do naszego lekarza. Może wyżyje.

– Dziękuję – powiedziała cicho. Pierścień zachował jeszcze ciepło jego ciała.

– Pozwól – rzekł. Ujął jej dłoń i wsunął pierścień na palec. Spojrzał ponad jej ramieniem, puścił ją i dał krok w tył. – Oto twój preceptor. – Kłaniając się Wilkunowi, roześmiał się kpiąco. – Jest twoja – powiedział do niego – ale chyba powinieneś bardziej na nią uważać. – Odwrócił się i odszedł.

Wilkun skrzyżował ręce na piersi i popatrzył na nią. Zaczerwieniła się, kręcąc pierścionkiem na palcu, i milczała. Wilkun cuchnął garbarnią.

– Księżę Sanglant ma rację – rzekł w końcu. – Rzeczywiście powinienem bardziej na ciebie uważać. Idziemy.

Nie odważyła się sprzeciwić.

2.

Werner znów znalazł dla nich zajęcie, ale w końcu Liath zasiadła naprzeciw Wilkuna w pustej stajni, która stała się przechowalnią bagażu i sypialnią zarazem.

– Dobrze – powiedział Wilkun spokojnie, tonem kogoś, kto nie zniesie sprzeciwu. – Od dwudziestu pięciu dni stacjonujemy w Gencie i cały czas mnie unikałaś, oprócz tego momentu, kiedy zażądałem, byś nauczyła się obowiązków Orła.

– Burmistrz Werner potrzebował mnie jako posłańca.

– Burmistrz za bardzo się przejmuje swoją osobą, której pragnie przydać świetności, traktując królewskiego Orła jak zwykłego chłopca na posyłki. Byłabyś bardziej pomocna na służbie u Smoków... i ich kapitana.

Zaczerwieniła się.

– To królewski syn, Liath. To, co jest dla niego zwyczajne, ciebie by zniszczyło. – Zaczerwieniła się bardziej, przerażona. – Pamiętaj o zasadach, których cię nauczyłem, i zrozum, że gdy zostaniesz prawdziwym Orłem, będziesz się musiała ich trzymać. – Spróbowała przytaknąć, ale mogła tylko lekko schylić głowę. Litościwie zmienił temat. – W każdym razie dziś wymigałem się od uczy, która najwyraźniej będzie znacznie skromniejsza,

skoro wkroczyła biskupina i zażądała jedzenia dla miasta. Manfred zostanie z Wernerem, a ty ze mną. Nadszedł czas, abyś przyjrzała się pracy maga, nawet tak niewprawnego w sztuce jak ja.

– Tato mówił, że jestem odporna – wykrztusiła.

– Odporna na co?

– Na magię – nareszcie wyrzekła to na głos.

– Więc uczył cię magii. Musisz mi zaufać. Liath. Nie możesz kryć przede mną prawdy. Za dobrze znam twe pochodzenie.

Lepiej, zdawało się, niż ona sama. Wzruszyła nonszalancko ramionami, ale Wilkun był zbyt dobrym obserwatorem. Nie mogła go zwieść. Jednakże...

Podniósł brew, czekając, aż ona przemówi.

Zdjęła źdźbło słomy z nogawic i poprawiła siedzisko. Miała szczerze dosyć słomy; włożyła wszędzie i całą noc łaskotała ją w nos. Siodło za plecami dawało oparcie. Czowała obecność książki, ukrytej za siodłem, w skórzanych jukach. Czy Wilkun też czuł tę obecność? Czy czekał na odpowiedni moment?

– Co masz zamiar zrobić? – spytała.

– Mam zamiar wywołać wizję tej inteligencji, o której mówił książę Sanglant, czymkolwiek jest stwór dowodzący atakiem Eików. – Wstał. Ponieważ nie miała wyboru, też się podniosła i ruszyła za nim do drzwi.

W Gencie zmierzchało. Po wspianym słonecznym poranku znów nadciągnęły chmury i zapadł wilgotny, wstrętny, wszechobecny wieczór. Dzień świętej Melanii, pomyślała Liath, na cześć tej, która napomniała patriarchów z Kellai, kiedy odmówili uznania wyższości Pana i Pani Jedności. Był to też siedemnasty dzień Sormasu. Ponieważ chmury pokryły niebo, nie mogła ustalić swego położenia według gwiazd. Nie odważyła się. Wystarczyło, że Wilkun wiedział, iż jej rodzice praktykowali zakazane sztuki. A ona tylko pogorszyła sprawę, odzywając się tak głupio w ratuszu.

Tej nocy ulice były puste. Być może poranne wydarzenia wszystkich wyczerpały. Ich kroki tłumiła cisza wielkiego miasta wchodzącego w noc, układającego się do niespokojnego snu, zakłócanego obecnością Eików pod murami. Cienka warstwa wilgoci pokrywała drewniane chodniki, niosące ich ponad błotnistymi ulicami. Bębny, zawsze rozbrzmiewające w obozie Eików, były tej nocy, dzięki Bogini, przytłumione, choć ciągle słyszalne. A jednak spostrzegła, że idzie w ich rytmie; skróciła krok, by z niego wypaść.

Wilkun uśmiechnął się; przeszli przez targowisko i ominęli ściśle strzeżoną królewską mennicę. Wiatr się zmienił, przynosząc odór garbarni z zachodniego brzegu rzeki. Tam pracowano do późnej nocy, w przyległych kuźniach zmieniając żelazo, drewno i skórę przywiezione przez uchodźców, w zbroje i broń.

Poprowadził ją przez główny plac miasta do katedry. Zbudowany z kamienia, masywny fronton wznosił się w środku Gentu jak ostoja wiary. Wślizgnęli się do środka; drzwi nie

miały zamków.

A poza tym w nawie zamieszkali uchodźcy ze wsi. Liath zawahała się w wejściu, słysząc poruszenia ciał, kaszlnięcia i szepty. Po zmroku nawet w kamiennych budynkach nie pozwalano rozpalać ognia z obawy przed pożarem, ale widziała cienie, koce i prześcieradła rozwieszane na ławach, aby oddzielić jedną rodzinę od drugiej. Wszyscy ułożyli się do snu. Wilkun dotknął jej ramienia; cicho podążyła za nim ku schodom prowadzącym do krypty.

Liath nigdy nie bała się umarłych i ciemności. Tato powtarzał: „Ci, którzy dotarli do Komnaty Światła, spoczywają w pokoju; reszta nie ma siły, by nas zranić”. Kiedy schodzili po schodach, wpieryw kamiennych, a potem wyciętych w ziemi, zrobiło się tak ciemno, że nawet ona, z jej oczami salamandry, nie potrafiła dostrzec ścian i musiała zdać się na dotyk.

Wilkun stanął, a ona zatrzymała się z ręką na jego ramieniu. Panował zupełny mrok. Krypta pachniała gliną i wapnem. Było wilgotno. Na granicy słyszalności pojawił się dźwięk wolno spadających kropli.

Ten nierówny dźwięk drażnił ją, kropla wody rozbryzgująca się na kamieniu, a potem, wreszcie, następna. Przypomniała sobie wodę w krypcie kościelnej, gdzie szeryf Liudolf zamknął ją po zamordowaniu taty. Tam też było ciemno i była uwięziona. Aż przyszedł Hugo.

Strach ścisnął ją za gardło i konwulsyjnie zacisnęła dłoń na ramieniu Wilkuna, przerażona. „A jeśli Hugo ukrywa się w tych ciemnościach?”

– Przywołaj światło. Liath – powiedział Wilkun.

– Nie umiem.

– Poszukaj w umyśle wspomnienia światła i przywołaj je.

Potrząsnęła głową. Pociła się, chociaż w podziemiach panował chłód. Dziwne dźwięki brzmiały w powietrzu. Wiedziała, że Hugo był daleko, a jednak miała wrażenie, jakby zamierzał jej dotknąć.

Wilkun, jak zawsze spokojny, ciągnął:

– Jeśli się nie mylę, jest tu pochodnia. Pomyśl o płomieniach i wezwij ogień.

– Nie nauczono mnie takich rzeczy!

Powietrze za jej plecami zadrżało. Światło! Zamknęła oczy, choć wymagało to odwagi mimo kompletnej ciemności. Stworzyła obraz światła, rozświetlonej komnaty, słońca wpadającego przez okna wieży jej pamięci, kładącego się na czterech drzwiach, które prowadziły wszędzie i nigdzie, oblewającego złotem piąte drzwi, niemożliwie umieszczone pośrodku pokoju. Światło.

Nic. W zmrożonej wieży światło było zimne jak zimowy pocałunek i choć oświetlało, nie przynosiło życia. Nic, jak pajęczyna opadająca z sufitu, połaskotała ją w kark. Podskoczyła i odrzuciła ją, ale nic nie znalazła. A jednak coś, jak wieczny prześladowca, stało za jej plecami.

Nie mogła już tego znieść. „Lepiej iść naprzód”, powtarzał tato, „niż oglądać się na to, co

na ciebie czyha”. Przepięła się obok Wilkuna, potknęła na równej kamiennej podłodze i przesunęła dłonią po ścianie. Zacięła palce na pochodni. Wyjęła ją z uchwytu i odwróciła się, trzymając jak broń, ale niczego nie ujrzała. Niczego, prócz jej własnego strachu, tam nie było.

A to wywołało gniew. Jakim prawem Hugo ją dręczył? Czy nigdy się od niego nie uwolni? Mroczna obecność za jej plecami to był on, choć czaiło się tam coś jeszcze, bezimienne, przed czym ona i ojciec przez lata uciekali.

– Odczep się! – krzyknęła. Kamienne ściany krypty wessały i stłumiły jej głos.

– Teraz. Liath... – zaczął Wilkun.

Och, jaka była teraz wściekła, czysty gniew palił ją jak ogień. Pochodnia w jej ręku rozjarzyła się i zapłonęła silnym niezwykłym światłem. Odskoczyła, powstrzymując łzy. Wilkun wydał jej się siny, ale potem jej oczy przywykły do blasku i ujrzała, że uśmiechnął się krzywo.

– Tak lepiej – powiedział.

Liath była przerażona. Wezwała ogień, ale nie wiedziała, w jaki sposób. Teraz Wilkun myślał, że znała sztuki czarnoksiężskie.

Ale skoro potrafiła wezwać ogień, dlaczego nie miała nauczyć się czarów? Dlaczego nie mogła zostać magiem i matematykiem? Czyż nie miała tego we krwi?

Wilkun nie powiedział nic o płonącej pochodni ani nie zapytał, w jaki sposób wykonała zadanie. Przeszedł przez kryptę, a ponieważ nie chciała zostać sama, podążyła za nim. Pod szerokimi kamiennymi łukami podtrzymującymi sklepienie zatrzymał się by obejrzeć słynny grób Mariany, poprzedniczki obecnej biskupiny. Wtulony między jej grobowiec i kamienną ścianę stał inny sarkofag. Wyrzeźbiony w pośledniejszym granicie nosił pyszniejsze epitafium.

Tu leży Flodoard, prezbiter Świętego Kościoła, sługa Pana i Pani, przewodnik i nauczyciel Ludwika, króla Varre. Pobożnego czynu i pokornego ducha, był spośród nas najlepszy. Spoczywa w świetle boskiej prawdy.

Nagle Liath zdała sobie sprawę z przestrzeni za swymi plecami, z przepastnego łona katedry, pomników zdobiących groby kobiet i mężczyzn służących tutaj. Być może z Wilkunem czy innym śmiertelnikiem nie była bezpieczna, jednak ci święci strzegli jej, jak strzegli każdego wiernego.

– Słyszałem, że w krypcie katedry Gentu ukryty jest grób świętej – Wilkun rozglądał się po ciemnej jaskini. Cisza była głęboka. Nie słyszała nawet najlżejszych dźwięków z powierzchni, choć w katedrze gnieździło się kilkuset uchodźców, a miasto na pewno nie spało spokojnie, mając na karku oblegających. Groby rozmywały się w ciemności, znacząc swe położenie szarością w świetle pochodni. Liath nie mogła dojrzeć ani ścian, ani schodów. Katedra w Gencie była stara, niektórzy twierdzili, że jej fundamenty położył w ostatnich dniach starego imperium półelfi książę, nawrócony na wiarę w Jedności, kiedy wokół walił

się stary porządek.

Wilkun ruszył dalej, ku ciemnym komnatom i krótkim schodom, a Liath za nim. Im bardziej się zagłębiali w podziemia, tym świeższe było powietrze, przesycone suchą słodyczą jakiegoś zboża. Kichnęła.

– Ale mówią też – dodał Wilkun – że tylko wielka świętość, wielka niewinność albo wielka potrzeba doprowadzi cię do tego grobu.

– Czyj to grób? – spytała, rozglądając się, szukając choćby śladu srebrnego lśnienia albo ukrytego w cieniach kamienia, ale widziała tylko sarkofagi biskupin i prezbiterów, świętych diakonis i ustrojonych burmistrzów, oraz jednej hrabiny, którą przedstawiono trzymającą w jednej dłoni zwój, a w drugiej nóż.

– Świętej Krystyny od Noży, która wycierpiała niewysłowione tortury w ostatnich dniach starego imperium, by nie oddać swej ziemi najeźdźcom. Mówi się, że choć imperium zostało zbrukane, ona pozostała czysta, tak była silna.

Ale nie znaleźli grobu świętej.

Wrócili i przeszli ciemnym korytarzem do położonej z boku kaplicy, w której stały dwa grobowce tak stare, że inskrypcje były niemal nieczytelne, oraz pojedynczy czarny kamień lśniący w blasku pochodni.

Uklękła i pogładziła go. Był gładzy od szkła.

– To obsydian – powiedziała. – Chociaż niektórzy powiadają, że to nie kamień, tylko pozostałości smoczych kości leżących na słońcu.

Wilkun ukląkł po drugiej stronie.

– Dzięki niemu będę widział. Czy Bernard nauczył cię sztuki wizji?

Pokręciła głową. Nigdy nie dostrzegła, aby tato miał „wizje”, choć czytała, że było to możliwe przy użyciu pewnych mediów: wody, ognia i niektórych kamieni.

– Czy... czy właściwe jest praktykowanie zakazanych sztuk na świętej ziemi? W kościele?

Podniósł wzrok, łagodny, ale skupiony.

– To konieczność, a Pani i Pan nie zabraniają tego, co konieczne. Tak uznali starsi na soborze w Kellai. Kościół nie potępia czarów, Liath, choć sobór w Narvone nałożył karę na tych, którzy praktykują je bez jego nadzoru.

Co mówił Hugo? „Jestem pewien, że są w Kościele tacy, którzy nauczyli się zakazanych sztuk magicznych, ale jeszcze ich nie spotkałem”.

– Ale to sztuki zakazane – wyszeptwała.

– Prawdą jest, że Kościół nie aprobuje tych, którzy poszukują starszych sztuk, tych praktykowanych przez pogan, które poznaliśmy dzięki ich tekstom. Tych, których bezwzględni mogą użyć, by zyskać moc. Ale głupotą byłoby zaprzeczać, że takie sztuki leżą w zasięgu naszych rąk albo potępiać je jak herezję. Byłoby to i niemożliwe, i niebezpieczne. Skoposa Maria Joanna, przewodząca soborowi w Kellai, w swej mądrości jako pierwsza

ogłosiła, że niektóre z zakazanych sztuk leżą w gestii Kościoła, co sto lat później potwierdził sobór w Narvone. W naszych czasach klasztor świętej Valerii znany jest ze swych studiów nad zakazanymi sztukami.

– Ale ty nie jesteś człowiekiem Kościoła.

– Część wykształcenia odebrałem w klasztorze w Aoście, w tamtejszej scholi. Nigdy nie złożyłem ślubów. Uważaj teraz.

Otworzył skórzaną sakiewkę przy pasie i wyciągnął z niej flakon. Wyjął z pochwy miecz i sztylet i odłożył na bok. Odkorkował flakon i podał go Liath. Pokręciła głową, więc sam pociągnął łyk i odstawił naczynie na ziemię.

Czekała. Zdradzenie pożerającej ją ciekawości wydawało się bezpieczne. W końcu wiedział przecież, kim byli jej rodzice. Czy nie wezwała ognia?

Położył obie ręce, rozłożone na szerokość ramion, dłońmi do dołu, na szklanej czarnej powierzchni. Przez długą chwilę po prostu wpatrywał się w kamień. W krypcie było tak cicho, że wydawało jej się, iż słyszy opadający kurz i ciche zgrzytanie kamienia o kamień. Ciemność rozciągająca się poza kręgiem światła pochodni już jej nie przerażała; była tylko cieniem, ciszą szczątków zmarłych, których dusze już dawno uleciały ku siedmiu sferom.

– Liath.

Podskoczyła. Wilkun spojrzał na nią, zaskoczony.

To nie on się odezwał.

Spoglądał na nią pytająco. Potrząsnęła głową i usiadła.

– Przepraszam – powiedziała.

– Co się stało? – spytał. Albo nie usłyszał głosu, albo był bardziej wyrafinowany, niż się obawiała.

– Nic – zacieśniła chwyt na pochodni. Palila się nieprzerwanie. – Pająk wlaź mi na rękę.

Przyjął to wyjaśnienie. Odwrócił prawą rękę dłonią do góry, nie podnosząc jej, i zgiął lekko palce, jakby trzymał kulę.

– Czary to sztuka umysłu, nie ciała. To manipulacja niewidzialnymi siłami, które nas otaczają, które są zawsze aktywne, choć niedostrzegalne dla naszych pięciu zmysłów. Są tacy, którzy używają fizyczności do praktykowania magii: inkantacji, śpiewów i przedmiotów, aby skupić umysł i odkryć niezwykłą wiedzę. Znamy ich pod wieloma nazwami, w zależności od tego, jakim żywiołem manipulują. Tempestari próbują kontrolować pogodę; haroli szukają sposobów, by wezwać demony powietrza, prawie tak uczone jak anioły. Sortelegi rzucają losy i głoszą przepowiednie, a starzy ludzie, zwani mądrymi, którzy pamiętają dawnych bogów i jeszcze nie oddali się całkowicie Pani i Panu, odczytują przyszłość z głosów i lotu ptaków. Tych nazywamy augurami. Nawet wśród ludu zdarzają się tacy, którzy dzięki różnym środkom i wielu nieporozumieniom posiadli prostą wiedzę o magii.

Urwał, czekając na jej komentarz.

Marmurowy sarkofag po jej prawej stronie ozdobiony był podobizną kobiety w biskupiej

mitrze i szatach: *Cezaria, diakonisa i biskupina*. Na płaskorzeźbie biskupina trzymała tarczę, na której przedstawiono kobietę, dzierżącą w wyciągniętych rękach noże; nóż tkwił także w jej piersi, zagłębiony po rękojeść symbol męczeństwa. Święta Krystyna.

– Ale Kościół potępia niektórych magów – powiedziała Liath. – I podejrzliwie patrzy na wszystkich, którzy nie są mu zaprzysiężeni.

– Prawda. Kościół nie aprobuje tych, którzy poszukują wiedzy bez jego nadzoru. Zawsze znajdują się ludzie, którzy będą sztuki używać dla własnych celów i krzywdzić innych. Tych zwiemy malefikusami. Najgorsi spośród nich są ci, którzy bratają się z diabłami poprzez krew ofiary. Ale inni też są podejrzani, szczególnie zaś matematycy, ponieważ nauka o niebiosach ma początki w magii babaharskiej, a Kościół niechętnie spogląda na wszystko, co wywodzi się z pogaństwa.

A co z tymi, którzy potrafią wymówić imię i sprawić, by zabrzmiało w oddali? Nie po raz pierwszy usłyszała ten głos, ale na pewno należał on do maga albo jakiegoś nieludzkiego stworzenia, anioła, demona, czy diabła w służbie Nieprzyjaciela. Zadrzała.

Wilkun uniósł dłoń i położył ją na chwilę na jej kolanie.

– Ze mną jesteś bezpieczna, Liath.

Nie odpowiedziała. Nie wierzyła mu. Patrzył na nią w milczeniu. Spokojna, przyjrzała mu się: smutnej twarzy, poważnemu błyskowi w dobrych oczach, zmarszczkom na skórze, włosom i brodzie, w których pozostało już tylko kilka brązowych pasemek pośród siwizny.

Nie, żeby Wilkun życzył jej źle; w to nie wierzyła. Ale nie wiedziała, co nim powodowało; podejrzewała, że potrzebował jej do jakiegoś celu, którego nie wyjawiał. „Nie ufaj nikomu”. Nawet jeśli dobrze jej życzył, jak mógł ją uchronić przed losem, który ścigał jej ojca? Jak mógł ją ochronić przed siłą, która zadała śmierć bez otwierania drzwi czy okna, nie zostawiając ani śladu na ciele? Jak ona sama mogła się obronić?

Wilkun położył dłoń na kamieniu.

– Jeśli jednak umysł jest odpowiednio wyszkolony, inne sposoby nie są potrzebne ani pożądane. W jaki sposób mag szkoli i koncentruje swój umysł?

– Drabina.

Skinał głowę.

– Drabina, po której wstępuje mag. Możesz ją wyrecytować?

Tak bardzo się starała o tym nie myśleć, gdy była niewolnicą Hugona, że trochę czasu zabrało jej przejście przez miasto pamięci, odnalezienie bram i poziomów, na których zgromadzona była jej wiedza.

– Drabina ma siedem szczebli, odpowiadających siedmiu sferom niebieskim. Pierwsza jest Róża Uzdrawiania. Potem Miecz Siły. Puchar Nieskończonych Wód. Pierścień Ognia, znany nam jako Krąg Jedności, symbol Pana i Pani, którzy razem tworzą Boga Jedności. Tron Cnoty. Scepter Mądrości. I Korona Światła, znana też jako Prawda.

Wilkun potwierdził.

– Tych narzędzi używają magowie. Podążaj za mną w myślach. Poprzez pierścień ognia ujrzymy obraz innego miejsca. – Rozsunął dłonie i wpatrzył się w czarny kamień.

Liath poczuła, że jego milczenie stało się głębsze, jakby się od niej oddalał, choć się przecież nie poruszał. Ale ona nigdy nie nauczyła się rozpałać w myślach pierścienia ognia; tato nauczył ją ćwiczeń mentalnych tylko do miecza siły. Gapiła się na kamień pomiędzy dłońmi Wilkuna. Zacisnęła palce na pochodni. Samo powietrze zdawało się gęstnieć. Wilkun z sykiem wciągnął oddech. Jego źrenice rozszerzyły się, a potem zmały, jak od nagłego jasnego światła.

Widziała tylko czarny kamień.

– Co widzisz? – wyszeptał, jakby słowa przychodziły mu z trudem.

– Nic.

Potrząsnął głową, a jego źrenice powiększyły się. Wydawał się czegoś szukać.

– Ja też nic nie widzę – mruknął. – Ognie obozowe, namioty, ich statki i ciemność ocieniającą środek obozowiska. – Zamknął oczy, podniósł ręce i otrząsnął się jak pies. Popatrzył na Liath. – Ten szaman chroni się przed moim wzrokiem. Obawiam się, że to źle wróży. Nie jestem silny, ale, jako Orzeł, doświadczony w pewnych sprawach. Jedną z nich jest widzenie. Też nic nie spostrzegłeś?

– Nic nie widziałam. – Uświadomiła sobie jednak, że w jej przypadku znaczyło to co innego. Ona naprawdę nic nie widziała. Tato miał rację: była odporna na magię.

Ale jak w takim razie rozpałała pochodnię?

Wilkun zmarszczył czoło.

– Nigdy nie słyszałem, by Eikowie byli magami czy posiadali jakąkolwiek wiedzę na temat zakazanych sztuk, że o doświadczeniu nie wspomnę. W końcu to dzicy. Ale już wierzę księciu. Między nimi jest ktoś, kto posiada wielką moc. To tłumaczy... – Przesunął dłonią po kawałku obsydianu. – Dziwne.

– Co tłumaczy?

Jego głos stwardniał.

– Nie ruszaj się! – nakazał. Narysował krąg na kamieniu i ułożył na nim dłonie, jedną grzbietem w dół, drugą w górę. Wpatrywał się w czarną powierzchnię, skupiony, uważny. Nic nie widziała, ale poczuła oddech, muskający jej policzek jak skrzydła.

– Orzeł! – rzucił ostro, cofając się. – Orzeł spadający ku ziemi. – Skoczył na równe nogi. – Chodź, Liath, musimy wracać. Nie wiem, co to oznacza. – Szybko zebrał broń z podłogi i pobiegli ku schodom prowadzącym do wyjścia. Kiedy Liath wepchnęła pochodnię w uchwyt, ta zgasła, gdy tylko dziewczyna cofnęła dłoń, zatapiając ich w ciemności. Wilkun mruknął zaskoczony, ale nic nie powiedział. Na wyczucie weszli po schodach i wypadli z katedry.

Było ciemno, a na niebie nadal wisiały chmury, ale po ciemności krypty noc już nie przytłaczała. Bębny Eików stały się głośniejsze; zazwyczaj były najbardziej donośne koło północy.

Kiedy szli szybko do ratusza, Liath przypomniła sobie o urwanym zdaniu Wilkuna.

– Mówiłeś, że obecność czarownika może coś tłumaczyć.

– A... – Przez pięć szybkich i mocnych kroków po chodniku zastanawiał się. – Kiedy jechaliśmy do Gentu, rzuciłem zaklęcie, które miało opóźnić grupę ścigających nas Eików. Zwyczajna iluzja. Moje zdolności nie są wielkie, jestem adeptem tylko w pewnych sztukach wizji. Kazałem ci nie zwracać uwagi na to, co ujrzysz.

Cwał ku Gentowi tkwił w jej pamięci jak świeżo namalowany fresk. To, co powiedział, sprawiło, że zrozumiała coś, co niemal wyrzuciła z pamięci jako bezsensowne.

Błysk, migotanie światła, jak ogień widziany z ciemnego pokoju. Koń ją niemal zrzucił, a Manfred uniósł dłoń, by osłonić oczy, jakby bronił się przed znacznie ostrzejszą wizją.

Łaskotanie na karku. Błyski iskierek.

Tyle tylko widziała. Albo możliwości Wilkuna rzeczywiście były niewielkie, albo...

– Wiedziałem, że musiały działać jakieś czary – ciągnął. – Teraz wiem, że są znacznie potężniejsze, niż się obawiałem. Rozproszenie iluzji to jedna rzecz. Zakłócenie mego widzenia to coś zupełnie innego.

Albo odsłoniła się przed nią tylko częśćka jego mocy – albo nawet nie jego, tylko ślad zaklęcia, które chroniło Eików.

– Myślałaś o czymś – rzekł.

– Nie, o niczym. – Zanim sama tego nie pojmie, nie wyzna mu tajemnicy. Miałby nad nią władzę, jeszcze większą niż dotychczas. – Tylko o tym, co mówił tato: „Opanować wiedzę to czerpać z niej moc”.

– Prawda – skomentował Wilkun.

Przed nimi w mroku wyrosła wewnętrzna palisada, otaczająca fortecę burmistrza. Usłyszała gwar wielu głosów mówiących naraz.

Czy to była prawda? Czy kiedy tato mówił: „Nie ufaj nikomu”, miał na myśli także siebie? Była odporna na magię, a jednak zaczął uczyć ją sztuk magów. Była odporna na magię, jednak posiadała moc: dwa razy się ona objawiła, raz, kiedy wypaliła Różę Uzdrawiania na stole Hugona, i teraz, kiedy rozpała pochodnię.

– Tylko o tym myślałaś? – zapytał.

Nie odezwała się.

– Czy spróbowałem cię skrzywdzić, Liath? – zapytał łagodnie, choć trochę oskarżycielsko. – Sprowadziłem na ciebie nieszczęście?

– Sprowadziłeś mnie do Gentu! – rzekła z krzywym uśmiechem, próbując go rozbawić.

Przeszli przez drewnianą bramę na dziedziniec ratusza. Brukowany dziedziniec zalany był światłem pochodni, ogień i dym zasnuwały żółtą mgłą ludzi, rojących się jak pszczoły. Tłum był mniejszy niż ten poranny i poruszony w zupełnie inny sposób.

– Niestety – mruknął. Potem złapał ją za ramię i z ponurą miną pociągnął przez ciżbę, roztrzaskując Smoki, mieszczan, służących burmistrza, aby mogli dostać się do środka.

A tam znaleźli burmistrza. Manfreda i księcia – i Orła, niewiarygodnie poranionego, z głową owiniętą przesiąkniętą krwią, brudną szmatą, ramieniem zwisającym wzdłuż ciała, koniem umierającym u jego stóp.

Orzeł spojrział, zobaczył Wilkuna przedzierającego się przez tłum, spróbował wstać, ale nie zdołał. Manfred go podtrzymał.

– Znajdźcie medyka – rozkazał Sanglant swoim Smokom. – Przynieście nosze i wino. – Jego adiutanci, kobieta z bliznami i kulejący mężczyzna, rzucili się wykonać rozkaz.

Twarz burmistrza była blada. Wyglądał jak człowiek, który ujrzał własny grób.

– Połóż się, synu – Wilkun ukląkł obok Orła i położył go na zwiniętym płaszczu Manfreda. – Jakże wieści?

Liath podeszła bliżej. Krew przemoczyła tunikę Orła, oddech zmienił się w poszarpane spazmy. Złamane drzewce strzały wystawało mu z piersi. Westchnęła i wbrew sobie dała krok naprzód. Chwilę później ktoś złapał ją za ramię.

Zanim spojrziała, wiedziała, poczuła całą sobą, że podeszła do księcia i to on ją powstrzymał. Jego dłoń zdawała się przepalać jej ramię nawet przez ubranie, choć wiedziała, że to jedynie godne potępienia pożądanie sprawiało, że tak wyraźnie czuła jego obecność. Spojrzała na niego, bo tchórzostwem byłoby nie spojrzeć. Kiedy ich oczy się spotkały, to on odwrócił wzrok. Puścił ją i cofnął się pół kroku. Uświadomiła sobie z przykrością, że jej obecność go niepokoiła.

Orzeł zakaszłał, plując krwią. Bogini, strzała przeszła przez płuco. To była tylko kwestia czasu.

– Złe wieści. – Oddychał urywanie. Zacerwienił się, próbując przemówić. – Hrabina Hildegarda. Jechała do Gentu. Wiele oddziałów. Wpadliśmy w zasadzkę. Uciekłem...

– Podjechał pod wschodnią bramę mniej niż godzinę temu – powiedział Sanglant. – Oni go tu przynieśli. – Wskazał na tłum, który napatrzył się, i odpychany przez Smoki, cofnął w końcu, pozwalając im oddychać. – Chociaż dotarłby tu szybciej, gdyby zostali w łózkach, a nie tłoczyli się na jego drodze.

– Co z hrabiną Hildegardą? – spytał Wilkun.

Mężczyzna znów zakaszłał, wyrzucając z siebie skrzepy, a kiedy przemówił, Liath musiała się pochylić, by go usłyszeć.

– Nie wiem. Może się wyrwała. Boże...

Chwyciły go konwulsje. Liath rzuciła się i pomogła przytrzymać jego ramię, z Manfredem u boku, podczas gdy Wilkun złapał jedną nogę, a Sanglant drugą. Jak z oddali słyszała jęki Wenera i płacz tłumy.

Orzeł zwiotczał. Liath usiadła, uniosła oczy i napotkała wzrok Sanglanta, trzymającego lewą nogę mężczyzny. Książę trwał tak, znieruchomiały, przez długą chwilę. Wilkun zaklął i pochylił się, przykładając ucho do piersi rannego.

– Nie trzeba – powiedział Sanglant, nie spuszczać oczu z Liath. – Przestał oddychać.

Brak pulsu. Nie żyje. – Ta dziwna chryпка w głosie dawała złudzenie żalu, którego nie było w książęcej twarzy; nie był też zadowolony – po prostu śmierć już go nie zasmucała ani nie dziwiła.

Spojrzała w bok i ujrzała, jak Manfred zasłania oczy dłonią. Wilkun pozostał schylony nad ciałem, skrywając twarz. Wyprostował się w końcu.

– Nie żyje. – Ukucnął: za nim burmistrz wylewał łzy. Liath sądziła, że nie nad zmarłym, tylko nad utraconą nadzieją.

Sanglant podniósł dłoń. Smoki usunęły gapiów z dziedzińca.

– To nie czas na łzy – powiedział książę, wstając i patrząc na Wenera. – Był dzielnym człowiekiem i zasługuje, abyśmy go uczcili, nie tracąc nadziei mimo wieści, za których dostarczenie zapłacił życiem. Hrabina Hildegarda mogła się wyrwać.

– A jeśli nie?

– A jeśli nie – odparł książę – jeśli jej siły zostały całkowicie rozbite, będziemy oszczędniej rozdzielać jedzenie i przygotujemy się na długie oblężenie. Mamy dobre źródła wody. Jest nadzieja, że towarzysze Wilkuna dotrą do króla Henryka. Moi ludzie ciągle są za murami i będą nękać Eików, aż się wyrwiemy albo inne siły przybędą na odsiecz.

Wilkun poruszył się w końcu, aby odpiąć brązową odznakę, którą martwy Orzeł miał pod szyją. Była mokra od krwi i zasychającej śliny. Otarł ją krawędzią płaszcza. Wstał, a Manfred i Liath podnieśli się wraz z nim. Wilkun wyciągnął dłoń, a leżąca na niej odznaka połyskiwała w świetle pochodni.

– Jakie zasady rządzą zachowaniem Orła, Liath?

Proste. Szybko się ich nauczyła.

– Służ królowi i tylko jemu. Mów tylko prawdę o tym, co widzisz i słyszysz, ale milcz przy wrogach króla. Niech nic nie stanie na przeszkodzie twym obowiązkom wobec króla, ani pogoda, ani bitwa, ani przyjemność, ani zaraza. Ród swój stawiaj na drugim miejscu i nie bierz ślubu z nikim prócz Orła, który złożył taką samą przysięgę.

Nie mogła się powstrzymać. Spojrzała na Sanglanta, który odwrócił się i patrzył na nią albo na Wilkuna, nie wiedziała. Jego wzrok był spokojny i trochę wyniosły, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

Ale kiedy wzięła oddech, by dokończyć, spostrzegła, że Manfred też na nią patrzył, z dziwnym wyrazem twarzy, jakby chciał ujrzeć jej reakcję. Czyżby była ślepa? Czyżby czuł do niej coś więcej niż do towarzyszki? Niecierpliwie odpędziła od siebie tę myśl: to była zwykła próżność, nic więcej. Fakt, że Hugo pożądał jej, a nie innych kobiet ze Spokoju Serca, nie znaczył, że pragnęli jej wszyscy mężczyźni.

Manfred uśmiechnął się smutno. Oddała uśmiech i ciągnęła:

– Pomagaj każdemu potrzebującemu Orłowi i chroń swych towarzyszy przed wszystkim, co mogłoby ich zranić. I służ w wierze w Pana i Panią.

– Czy przyrzekasz służyć w wierze? – zapytał Wilkun.

Było cicho, bo odpędzono tłum. Burmistrz przestał zawodzić. Schował się za Sanglantem, posepni służący zgromadzili się wokół, składając ręce do modlitwy. Pochodnie jaśniały, a wiatr przyniósł zapach dymu, ostry i gorzki. Ze wschodu słyszała coraz głośniejsze dźwięki bębnow Eików.

– Przrzekam – odparła cicho, rozumiejąc, co się dzieje.

Manfred przyklęknął i zakrył pokrwawioną twarz Orła szczątkami płaszcza. Wilkun pochylił się, podnosząc odznakę. Ale Sanglant wszedł między nich i wyciągnął dłoń.

– Mam prawo, jako przedstawiciel króla – powiedział.

Wilkun zawahał się tylko przez chwilę. Jaki miał wybór?

Podał księciu orlą odznakę. A Sanglant przypiął ją do tuniki Liath, dotykając jej gardła. Kąciki jego ust były lekko wzniesione, ale Liath nie była pewna, czy można było uznać to za uśmiech. Wiedziała tylko, że się zaczerwieniła. Jego wzrok spoczywał tam, gdzie trzeba: na ostrej szpili przypinającej odznakę do jej tuniki. Ale kiedy skończył, nie opuścił od razu rąk. Spojrzał jej w oczy i wyszeptał trzy słowa, które, ponieważ Wilkun i inni stali za jego plecami, usłyszeli tylko oni dwoje:

– Nie bierz ślubu.

A potem odwrócił się, odszedł i szybko zniknął w ciemności. Patrzyła za nim, a potem, zakłopotana, opuściła wzrok. Spoczął na martwym Orle. Dotknęła odznaki na szyi. Metal był zimny i ciągle śliski od jego śmiertelnych wydzielin.

– Teraz naprawdę jesteś Orłem – powiedział łagodnie Wilkun, nie bez triumfu.

3.

Liath obudziła się o świcie, zeszywniała i drżąca. Noc była chłodniejsza od poprzedniej i kiedy zakładała wełnianą tunikę, spostrzegła, że światło również było inne. Wyszła na zewnątrz, narzucając płaszcz.

Chmury zniknęły i widziała błyszczący, chłodny dysk słoneczny, jasny, ale wciąż skażony zimą, przypominający o lodzie, śniegu i chłodzie. Zatupała i potarła ramiona. Nie pozwoli, aby wspomnienia o Hugonie popsuły ten dzień, jej pierwszy dzień jako prawdziwego Orła. Dotknęła brązowej odznaki. Na pewno ta brosza ochroni ją przed nim. Nawet bękart szlachcianki nie spróbuje zmusić jej do złamania ślubów złożonych w służbie królewskiej. Tak przynajmniej sobie powtarzała. Ten poranek był zbyt piękny, aby skazać go strachem.

Wschodni brzeg spowity był mgłą, której słońce jeszcze nie wysuszyło. Nie widziała obozu Eików i dostrzegła tylko cień okopów, ciemne kopce spowite przez całun mgły. Na zachodzie zauważyła chmury. Polizała palec i podniosła go w górę; wiatr wiał ze wschodu, wobec tego chmury na zachodzie były tymi, które zeszłej nocy wisiały nad Gentem. Uśmiechnęła się lekko; Hathui parsknęłyby, słysząc to głębokie spostrzeżenie, i wytknęła, że

byle dziecko doszłoby do podobnego wniosku.

Myśl o Hathui przywołała wspomnienie Hanny. Gdzie teraz była? Czy uciekła Eikom? Czy znalazła schronienie? Czy dotarły do króla, czy wymaszerował, aby przełamać oblężenie? Tak bardzo tęskniła za Hanną. Chłód tylko pogorszył sprawę, bo przypominał Hugona, tę noc, kiedy wybrała życie, kiedy światło zataczało kręgi, zbliżając się do niej, leżącej w chlewiku, i okazało się Hugonem niosącym latarnię. Hugonem, który zabrał ją do domu...

Nie było sensu tego roztrząsać. „Nie ma sensu myśleć o tym, co cię gnębi” – powtarzał tato. Ale on był mistrzem w ignorowaniu kłopotów, czy to były długi, czy to, co go w końcu zabiło. Otarła łzę wierzchem dłoni, a potem zatarła ręce, próbując je rozgrzać.

– Liath!

Odwróciła się. Z podwórca machał do niej Wilkun. Zeszła po drabinie i podbiegła do niego.

– Muszę przygotować ciało do pogrzebu – powiedział. – Ale w zaskoczeniu i pośpiechu zapomniałem wczoraj wieczorem zabrać flakon z krypty w katedrze.

– Przyniosę ci go.

– I wracaj tu zaraz – rzekł. – Po tercji pogrzebiemy naszego towarzysza.

Tego dnia, tak wcześnie, miasto było bardziej niespokojne niż zazwyczaj. Ludzie kręcili się po ulicach jakby w poszukiwaniu zaginionych krewnych. Uderzenia młotów dobiegały z kuźni, a nieprzerwany strumień ludzi z pakunkami na plecach – metalem, skórą, wszystkim, co można było przekształcić w broń – płynął do magazynów, w których były zbrojownie. Liath zauważyła, że na ulicach nie było dzieci.

Kiedy dotarła do katedry, usłyszała ostatni psalm prymy.

– Bóg, nasi Pan i Pani, przemówili i między wschodem a zachodem słońca stworzyli świat.

Pokonała schody i weszła. Katedra była zatłoczona: uchodźcami, mieszczanami, ludźmi burmistrza. Na honorowym miejscu z przodu klęczał książę Sanglant; jego czarne włosy i błysk złota na szyi przyciągnęły jej wzrok. Nosił zbroję i tunikę, a za nim klęczało pięćdziesięciu Smoków, gotowych do bitwy, z hełmami pod pachami. Biskupina stała przed swym złotym krzesłem, ustawionym za Paleniskiem; podniosła ramiona i nadała ton ostatnim wersom psalmu.

Nasz Pan nadchodzi i nie będzie milczał.

Ogień biegnie przed nim i ciasno go otacza.

Nasza Pani pozywa niebiosy wysokie i Ziemię

Na sąd ludzi.

Pomyśl o tym, ty, któryś zapomniał o Bogu,

Albo rozedrą cię na strzępy

I nikt cię nie uratuje.

Wszyscy klęczeli. Liath uklękła w bocznej nawie, na samym końcu i odmówiła z kongregacją ostatnią *Kyria*.

Panie zmiłuj się. Pani zmiłuj się.

A potem, kiedy słowa modlitwy rozplywały się, a wierni czekali, aż biskupina ich odprawi, Liath wstała i prześlizgnęła się wzdłuż ściany ku zacienionemu kątowni, w którym ciężkie drewniane drzwi zamykały wejście do krypt. Skrzypnęły, gdy je otwierała. Odwróciła się, ale hałas tłumu, wstającego, ruszającego się, czekającego, aż biskupina albo burmistrz wspomną o wieści przyniesionej zeszłej nocy, zagłuszył skrzypnięcie. Zostawiła za sobą uchylone drzwi.

Wąski strumyk światła towarzyszył jej, gdy schodziła, a na pierwszym zakręcie padł prosto na krople wody na delikatnej pajęczynie. Skręciła i straciła drzwi z oczu, ale światło słoneczne wciąż jej towarzyszyło. Szła jak najciszej, nie chcąc zakłócać spokoju umarłych. Dotarła do podłogi, uderzając stopą o ziemię tam, gdzie spodziewała się jeszcze jednego stopnia i zatrzymała, aby rozprostować ramiona.

Dziwne, ale światło z góry wciąż dawało słaby, ale stały blask, wystarczający, aby widziała kształt swej dłoni uniesionej przed twarzą. Wczoraj – ale wczoraj była już noc, kiedy ona i Wilkun tu zeszli; dlatego było tu ciemno choć oko wykol. Nagle usłyszała hałas na schodach. Zamarła, nadstawiając ucha.

Ktoś schodził w dół. Ciężkim krokiem towarzyszyło ciche grzechotanie wielu cienkich łańcuszków, stłumione przez materiał. Z cienia wyglądały blade widma trumien. Ku swemu zaskoczeniu odkryła, że wcale się nie boi. Po prawdzie, nie wiedząc czemu, spodziewała się go.

– Liath – powiedział. Widziała tylko jego kształt, masywny w zbroi, czuła powiew powietrza, kiedy zatrzymał się pięć stopni wyżej, blokując wąskie przejście.

– Usłyszałeś skrzypnięcie drzwi – rzekła. – Nawet w hałasie zgromadzenia.

– Pomimo hałasu zgromadzenia – poprawił ją. Poczwała, że się uśmiechnął lub tylko chciała, by tak było. Zszedł w dół. Potknął się na podłodze i zaklął.

– Do diabła, jak tu ciemno. Jak możesz cokolwiek dostrzec? Co tu robisz?

– Zabieram coś, czego zapomniano.

– Odpowiedź godna Wilkuna. Nie jestem twoim wrogiem. Liath.

– Nie – odparła. Jej głos drżał. – Nigdy cię za niego nie uważałam.

Jego poszukująca dłoń odnalazła jej ramię; był jak ślepiec kierujący się słuchem. Krypta dziwnie odbijała dźwięki i nawet cichutkie pobrzękiwanie zbroi, rozlegające się z każdym jego ruchem, rozpraszało się między grobowcami tej wielkiej groty, pełnej powietrza i kamienia.

– Kim jesteś? – zapytał. – Skąd pochodzisz?

– Jestem córką Anne i Bernarda. Nic nie wiem o rodzie mej matki, oprócz tego, że urodziła się wolna. Wilkun ją znał. Wygląda na to, że wie o niej rzeczy, których nie uznał za stosowne mi powiedzieć.

Zachichotał; cichy dźwięk.

– Zwierzenia nie są mocną stroną Wilkuna. Przynajmniej tak twierdzi mój ojciec. Ale nie spodziewam się, abyś ty była traktowana jak reszta.

Jego dłoń na ramieniu strasznie ją rozpraszała, ale nie chciała, by ją cofał.

– Dlaczego? Dlaczego to mówisz?

– Faworyzuje cię. Czy też powinienem rzec, wydaje się, że cię chroni.

– Może i chroni. Nie wiem.

– Ach. A ród twego ojca?

– Niewiele o nich wiem prócz tego, że wyruszyli na zachód i osiedli w Wendarze za panowania Taillefera. Kuzynka ojca ciągle ma ziemie w pobliżu Bodfeldu, ale nigdy jej nie spotkałam. Jeden z jej synów służy w Smokach.

Zdjął rękę z jej ramienia, a jej zrobiło się przykro. Poruszył się; patrzyła, jak jego głowa odchyła się do tyłu, a potem przechyliła na jedno ramię, jakby nasłuchiwał. Ona rejestrowała tylko ciężar kamienia nad nią, bardziej dźwięk niż obecność.

– Bodfeld – wyszeptał. – To pewnie Sturm. Ale został poza murami.

– Spotkałam go! – Przypomniała sobie Smoka prowadzącego oddział, który ocalił ich przed pierwszym atakiem Eików. Ale wszystkim, co dostrzegła, były niebieskie oczy, blond broda i ponury wyraz twarzy. Podobny, jak wnioskowała z tonu głosu, do obecnego wyrazu twarzy Sanglanta.

– To dobry żołnierz.

Pochwała krewniaka rozgrzała ją, choć wypowiedział ją mimochodem, i nie zamierzając jej pochlebiać.

– Dlaczego za mną poszedłeś? – odważyła się zapytać.

Zamiast odpowiedzieć, usiadł na przedostatnim stopniu. Był to gest niespodziewany i dziwnie poruszający: teraz, zamiast górować nad nią, miał głowę na wysokości jej piersi. Nie wydawał się taki wyniosły. Może o to właśnie mu chodziło.

– Dobry ród, jeśli nie jeden z najlepszych – powiedział. – To może tłumaczyć twój brak szacunku.

Dotknięta i zawstydzona, zaczerwieniła się.

– Wybaczenie, panie. Mój ojciec zawsze mi powtarzał, że pochodzimy z dumnego rodu i tylko przed królem musimy się kłaniać.

Roześmiał się. Nie był urażony.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego za mną poszedłeś?

Pokręcił głową, odmawiając odpowiedzi. Może sam nie wiedział.

Ale ona wiedziała. Nie bała się Sanglanta. Jego powściągliwość irytowała ją, drażniła. Na

pewno ciemność, kamień i ziemia kryły ich przed wzrokiem obserwatorów. Zimne grobowce fosforyzowały leciutko, ale siostrzyczki i braciszki byli przecież przyzwyczajeni do grzechu. Nauczali wszak przebaczenia. Czy nawet jednorazowe poddanie się głosowi serca było niedozwolone?

Liath zapomniała już, że ma serce. Odkrycie bolało, jak rana posypana solą. Sanglant się nie poruszył. Nie widziała wyrazu jego twarzy. Na jego szyi błyszczało złoto splecione w warkocz, oznaka królewskiego rodu. Mogła dostrzec kontury czarnego smoka na kaftanie, jakby zostały wyszyte nicią utkaną z blasku księżycy i pajęczych sieci mokrych od rosy.

Czy prawdą było, że nie miał brody, jak kobieta? Impulsywnie podniosła dłoń, by dotknąć jego twarzy. Prawie podskoczyła na myśl o nieogolonej gębie Hugona, ale skóra Sanglanta była zupełnie inna: stwardniała od wiatru, otarta od rzemienia hełmu i chłodna.

I bez zarostu. Tak gładka, jakby ogolił się godzinę temu.

Jej serce waliło. Cień Hugona wpadł w furję, ale był daleko, bardzo daleko.

– Sanglant – wyszeptała, zastanawiając się, czy zdobędzie się na odwagę, by...

By co?

Wziął jej dłoń w swoje – ukryte w rękawicach z miękkiej skóry – i odsunął ją od swej twarzy.

– Tą drogą nie odważę się pójść – powiedział cicho, ale stanowczo. Puścił jej dłoń.

Opadła bezwładnie.

– Wybacz mi – dodał, jakby naprawdę mu na tym zależało.

O Pani. Była zła, zawstydzona i pełna uczuć tak pomieszanych, że nie potrafiła ich od siebie odróżnić. Sanglant był osławionym kobieciarzem; wszyscy tak mówili. Dlaczego więc ją odrzucał?

Sanglant poruszył się niespokojnie. To była jej kara. Prawie słyszała śmiech Hugona, cichy arogancki dźwięk. „Jesteś moja, Liath. Niczyja inna”. Łzy napłynęły jej do oczu. Oto lekcja: musi pozostać zamknięta w swej wieży. Nie mogła – nie było jej wolno – poddać się pokusie. Nigdy. Została nieodwołalnie splamiona.

– Muszę iść – powiedział ostro. Jego ochryply głos sprawił, że przez chwilę sądziła, iż było mu z tego powodu przykro; ale jego głos zawsze tak brzmiał. Wstał, dzwoniąc zbroją. – Szykujemy się do wypadu za mury, aby rozejrzeć się za hrabiną Hildegardą i jej ludźmi.

– Dlaczego to wczoraj powiedziałaś? – Gniew pozwolił powstrzymać łzy, gniew na Sanglanta, który ją odrzucił, na Hugona za wpływ, jaki na nią wywierał, na Wilkuna za jego półprawdy, na tatę, bo umarł. – Dlaczego?

– Co powiedziałem?

– Nie zapomniałaś.

Uczynił ostry gest i zrozumiała, że nie zapomniał, że przemawiał do niej całym ciałem.

– Nie bierz ślubu, Liath – rzekł ostro. – Bądź spętana, jak ja, przeznaczeniem, które inni dla ciebie wybrali. W ten sposób będziesz bezpieczna. – Kpił z samego siebie.

– Będę bezpieczna? Przed czym mam się chronić? Przed czym ty się chronisz. Sanglancie?

Uśmiechnął się kpiąco.

Jak mogła widzieć jego uśmiech? Było za ciemno.

Nie, nie było całkiem ciemno. Jego twarz i pierś oświetlone były lekkim białym światłem, niby stłumionym blaskiem gwiazd. Czarny smok drżał w tym świetle, gdy Sanglant się poruszył, wpatrując w korytarz. Jego oczy rozszerzyły się w szoku. Podniósł dłoń, znieruchomiał, kompletnie zaskoczony.

Liath odwróciła się. Tuż za nią, tak blisko, że poczuła drganie powietrza, Sanglant ukląkł.

Ona stała obok grobowców, jakby wynurzała się z ziemi. Nosila długą lnianą szatę o kroju, który Liath widziała tylko w mauzoleach i na płaskorzeźbach. Jej twarz była blada jak księżyc, a oczy płonęły jak błękitny ogień. Jej długie włosy, opromienione niezwykłym blaskiem, wyglądały jak spadająca do kolan złota przędza. Miała białe stopy, które nie dotykały podłogi krypty. W każdej dłoni trzymała nóż, których ostrza lśniły, jakby zrobiono je z płonącego szkła.

I krwawiła, krew płynęła z dłoni, ze stóp, z piersi, z której wystawał nóż, wbity głęboko w serce. Spływała strumieniami z tej rany; ona płakała krwawymi łzami.

Ale patrzyła na Liath i Sanglanta ze spokojem kogoś, kto nie doświadcza już bólu i cierpienia. Skinęła na nich.

Z wahaniem, zaciskając dłoń na drewnianym kręgu Jedności noszonym na szyi, Liath postąpiła naprzód. Sanglant ruszył za nią. Usłyszała, że szeptał modlitwę.

Zjawia nie odezwała się, cofała się tylko w głąb krypty, ku komnatom, w których spoczywały diakonisy oraz bracia i siostry służący biskupinom, mniej znani i mniej szanowani.

Tam, na ziemi, leżał płaski kamień nagrobny. Nie było na nim znaków ani napisów; w połowie pokrywała go szara pleśń, której wzór mógł odkryć tajemnice, gdyby ujrzał światło dzienne. Ale światło, bijące od świętej – bo któż inny mógł to być? – wystarczało, aby ujrzeć dziurę, otwierającą się za nagrobkiem, pustkę przechodzącą w schody, które wiodły coraz głębiej i głębiej w kompletną ciemność.

Sanglant ukląkł przy grobie. Liath ruszyła naprzód, za świętą, która schodziła po schodach. Jej światło gasło i zniknęło w końcu w katakumbach. Liath postawiła stopę na pierwszym stopniu.

– Nie idź dalej – rzucił Sanglant. – Powietrze jest tu świeże i pachnie owsem.

Zatrzymała się, patrząc przez ramię. Nieziemskie światło zniknęło jak zdmuchnięta świeca.

Dodał niecierpliwie:

– Gleba w korycie rzeki i na wschód od Gentu jest wystarczająco żyzna, by siać pszenicę i żyto. Rolnicy sieją owies tylko na zachodnich wzgórzach. Ten tunel musi prowadzić mile od

miasta.

– Ale wzywała nas...

Z góry rozbrzmiały głosy, którym towarzyszył szczepek zbroi i ciężkie kroki. Do krypty wlało się światło pochodni, tańcząc na kamieniu, grobie i ziemi. Liath zakryła oczy.

– Panie! Książę Sanglancie!

Wstał i odwrócił się, by spotkać Smoki.

– Mój panie! – Była to kobieta z bliznami. Najpierw spojrzała na niego, potem na Liath, która nadal stała w dziurze, i znów na księcia.

Powiedział szybko i głośno, widząc innych:

– Szliśmy za zjawą świętej Krystyny. Tu nas przywiodła.

Kilku nakreśliło krąg na piersi. Nikt nie zamierzał się śmiać czy żartować. Nawet znajdując księcia w takim miejscu, sam na sam z młodą atrakcyjną kobietą.

– Panie, mgła uniosła się ze wschodniego brzegu – powiedziała kobieta. Ona też nosiła zbroję. Sądząc po jej słusznym wzroście i szerokich ramionach, zdolna była walczyć równie ostro jak jej towarzysze. – Warty dostrzegły sztandar hrabiny Hildegardy pośród jeźdźców. Uciekają przed hordą Eików. Jadą do Gentu.

Sanglant spojrzał, raz, ostro, na Liath. Nie był człowiekiem, którego twarz zdradzała uczucia; nie potrafiła z niej nic wyczytać. Ale podniósł dłoń i dotknął palcem policzka, nieświadomie powtarzając jej gest. Uświadomił to sobie i natychmiast opuścił rękę. Potem precyzyjnie się na czoło Smoków. Ich ciężkie kroki i zgrzyt zbroi rozbrzmiały w krypcie jak grom, raniąc jej uszy. Nikt na nią nie poczekał.

Czekała, ale światło zgasło, poświata świętej i pochodnie, zostawiając ją w ciemności rozświetlanej tylko przez słaby blask słońca przefiltrowany przez ciemności i pył. Powietrze, lekkie jak pióro, owiało jej twarz, płynąc z otchłani u jej stóp. Czowała świeżą ziemię i rośliny, ale nie mogła odróżnić zapachu owsa od zapachu pól i otwartej przestrzeni.

Święta zniknęła w ciemnej tajemnicy u dołu schodów. Liath nie odważyła się za nią podążyć, choć rozpaczliwie tego pragnęła. Przez moment rozumiała Sanglanta. „Tą drogą nie odważę się pójść”. Ale to nie zmniejszyło bólu.

Otrząsnęła się i wyszła z dziury. Po omacku wróciła do wielkiej krypty, znalazła obsydianowy głaz i mały flakon zapomniany u stóp grobowca biskupiny Cezarii. Odkorkowała go i pociągnęła łyk. Płyn był gorzki, aż łzy stanęły jej w oczach, ale rozgrzewał. Pokrzepiona, wyszła na świat.

Jak Sanglant, nie wątpiła, że ukazała im się święta Krystyna od Noży. Ale nie mogła znaleźć odpowiedzi na dręczące pytanie: Dlaczego im? Dlaczego teraz?

Wyszła przed katedrę i zobaczyła, jak Sanglant dosiada konia. Wziął swój hełm od kobiety, jednak zanim go założył, rzucił okiem na wrota katedry. Ich spojrzenia spotkały się ponad głowami tłumu. Ulice rozbrzmiewały historycznymi głosami ludzi pełnych strachu i nadziei.

Nie uśmiechnął się do niej, tylko patrzył. A potem ktoś przemówił i odwrócił jego uwagę. Włożył hełm na głowę i zmienił się: nie był już księciem Sanglantem tylko kapitanem Smoków.

Ich kubraki były jasne jak słońce, a jego najjaśniejszy, z czarnym smokiem wyszytym srebrną nicią na złotym polu. Wyglądali na godnych swej straszliwej reputacji, krwiożerczy i bezlitośni w żelaznych hełmach inkrustowanych brązem; fakt, że jego hełm ze złotym smokiem był również piękny, sprawiał, że kontrast między ornamentami a ich okrutną niszczycielską siłą był jeszcze bardziej widoczny.

Książę uniósł swą tarczę, dotknął rękojeści miecza i ruszył naprzód. Inni, ponad setka, pognali za nim główną ulicą do wschodniej bramy, gdzie spotkali się z resztą towarzyszy, którzy właśnie pełnili służbę.

Pobiegła do ratusza. Ludzie na ulicach, widząc obrębiony szkarłatem płaszcz i orlą odznakę, ustępowali jej z drogi.

Wilkun czekał, niecierpliwie przemierzając kaplicę, w której leżał martwy Orzeł. Ciało przykryte było płótnem, a twarz zakryta białą chustą; leżało, jak nakazywał zwyczaj, w stóp Paleniska.

– Liath!

Wręczyła Wilkunowi flakon. Wziął go odruchowo, nie zwracając na niego uwagi, i wepchnął za pas.

– Posłałem Manfreda do wschodniej bramy, by służył nam za oczy przy Smokach. Jedź tam. Jeśli będą musieli wyjechać, patrz i raportuj. Konia już osiodłano.

Wszystko działo się tak szybko. Sprawdziła łuk, kołczan i miecz: wszystko na swoim miejscu. Wybiegła na dziedziniec, gdzie czekał na nią koń, jeden ze stajni burmistrza, ładny kasztan. Jego wielkość pomagała jej teraz bardziej niż orla odznaka. Ulice były zapchane, bo coraz więcej ludzi wylęgało z domów na wieść o zbliżaniu się sił hrabiny Hildegardy.

Im bliżej wschodniej bramy, tym bardziej tłum rzedniał; w oblężonym mieście, nawet mając Smoki do obrony, mieszczanie zachowywali ostrożność. Ulica biegła równoległe do muru przy rzece. Spotkała tam grupę chłopców, wystarczająco dużych, by byli pomocni, i tak młodych, że jeszcze nieustraszonych i zakochanych w Smokach. Wręczyła wodze młokosowi o szczupłej twarzy i bystrych oczach. Z tego miejsca widziała szyk bojowy około dwustu Smoków, ustawionych w szeregi po dziesięciu, czekających na otwartej przestrzeni przed bramą.

Chłopcy, wychowani w mieście, pokazali jej drabinę prowadzącą na mury. Wspięła się, zaskakując strażników, którzy wpatrywali się we wschodni brzeg.

Mgła rzeczywiście opadła. W oddali, na niegdyś żyznym polu, masa ludzka kłębiła się jak muchy na padlinie. Eikowie wyruszyli. Płaski teren pozwalał dobrze widzieć. Po kilku chwilach konfuzji zaczęła rozróżniać szczegóły obrazu, przypominającego ruchomą mozaikę.

Eikowie rzeczywiście ruszyli: wręcz się wyroili. Liath nigdy nie widziała tylu ruchomych

ciał w jednym miejscu. Zielonobiały sztandar sił hrabiny Hildegardy chwiał się niepewnie w masie zbitych jeźdźców, wspieranych przez rozproszoną piechotę. Ci, którzy nie mogli dotrzymać kroku, otaczani byli przez Eików, wchłaniani i niszczeni. Eikowie zwierali szyki wokół sił hrabiny, powoli otaczając je, odcinając. Pozostał tylko wąski pasek ziemi: droga ku rzece i wschodniemu mostowi Gentu.

To był wyścig. Liath nie wyobrażała sobie, jak hrabina i jej żołnierze mogliby na czas dotrzeć do mostu – chyba, że Smoki wyjadą prosto w łapy Eików.

Ta myśl podziała na nią jak wiadro zimnej wody w upalny dzień. Oczyszczyła jej umysł. Pociemniało jej w oczach; zamknęła je i potarła powieki, a potem otworzyła.

I teraz, ku jej przerażeniu, widok na polu za rzeką przedstawiał się zupełnie inaczej.

Był sztandar, biały i zielony, z herbem, który prawdopodobnie należał do rodu hrabiny Hildegardy. Ale nie otaczali go ludzie. Jeźdźcy nie tłoczyli się wokół, na tyłach nie walczyła desperacko piechota. Otaczał go śnieżnobiały kłęb Eików, biegnących szybko wąskim pasem drogi, prowadzącym ku mostowi z drewna i kamienia. Ku Gentowi.

To, co ujrzała wcześniej, było iluzją.

To, co ujrzała wcześniej, widzieli teraz inni: wszyscy wartownicy, Smoki, które zsiadły z koni i wspięły się na bramę, aby wykrzykiwać meldunki do księcia, ocenić najlepszy moment do wypadu. To, co widzieli, było wizją sprowadzoną przez potężnego i straszliwego czarownika, powołaną do życia przez siły, których nie potrafiła sobie wyobrazić, a ona była jedyną, która przejrzała iluzję i dostrzegła prawdę.

„Jesteś odporna na magię”, powtarzał tato.

Albo przed nią chroniona.

Myśl ta uderzyła ją z taką siłą, że przez jedną straszliwą chwilę nie mogła ani się ruszać, ani myśleć.

Ale myśleć musiała. Nie wiedziała, co się stało z hrabiną Hildegardą i jej żołnierzami, ale nietrudno było zgadnąć. Armia hrabiny została doszczętnie zniszczona, a sztandar wydarto z rąk umierającego, ostatniego wiernego żołnierza, aby teraz zwabić Smoki ku śmierci.

I tylko ona mogła to powstrzymać.

4.

Liath po prostu zjechała po drabinie, tak szybko się ruszała. W jej lewą dłoń wbiły się drzazgi, ale ból był kolejnym popędzającym bodźcem. Chłopcy pilnujący jej konia gapili się, kiedy gnała ku Smokom, skupiającym swą uwagę jedynie na mężczyznach stojących nad bramą.

– Przepuście mnie! – wrzasnęła. – Muszę mówić z księciem!

Przepuścili ją bez słowa. Sanglant osadził konia na przedzie szeregu, rozmawiając z innymi: starszym strażnikiem. Smokiem i swym adiutantem, kobietą z bliźną.

Sanglant dojrzał Liath; może usłyszał jej głos. Podniósł dłoń i uciszył mówiącego strażnika.

– Ależ mój panie! – zaprotestował mężczyzna, źle rozumiejąc księcia. – Jest ich zbyt wielu! Głupotą będzie wypad przeciw takiej sile. Jeśli hrabina Hildegardą się uwolni, otworzymy bramę, by ją wpuścić. – Po czym ujrzał Liath i zamilkł.

– Nie możecie! – krzyknęła. Wyrwała Smokowi z ręki wodze Sanglantowego wierzchowca, jakby trzymając końską uprząż mogła wpłynąć na książęcą decyzję. – Tam wcale nie ma hrabiny Hildegardy. To iluzja. To magia...

Sanglant natychmiast zeskoczył z konia. Nie czekając na nikogo, podbiegł do bramy, i przeskakując po trzy stopnie, dostał się na wieżyczkę nad nią. Wspięła się za nim. Stał tam Manfred wraz z dwoma Smokami i kilkoma strażnikami; nakazał innym, by się cofnęli, przepuszczając księcia. Liath przycisnęła się do Manfreda; na pewno on jej uwierzy, jeśli inni zawiodą. Na blankach, chronieni przez drewniany ostrokół pokryty mokrymi skórami, wpatrywali się w przeciwległy brzeg.

Teraz widziała wyraźnie. Eików było więcej niż tysiąc, pewnie dwa, znacznie więcej niż obrońców Gentu. Barbarzyńcy biegli naprzód miarowym krokiem, a pośrodku powiewał sztandar, łup wojenny. Obok biegły ich olbrzymie psy, podnosząc pyski. Szereg za szeregiem błękitnych i żółtych tarcz ze złowieszczym czerwonym węzem, ciemna linia toporów gotowych do ciosu; ich białe włosy lśniły w słońcu, kiedy mgła nad rzeką opadła. Jak ktokolwiek mógł ich uznać za niedobitki armii hrabiny Hildegardy? Eikowie wykrzykiwali coś; nie rozumiała słów, ale brzmiały jak przekleństwa. Psy biegły cicho, co było jeszcze gorsze. Rzeka płynęła obojętnie. Bębny były w rytm biegnących stóp.

Zbliżali się coraz bliżej i bliżej. Liath mogła dostrzec szczegóły na biało-zielonym sztandarze: dzika na białym polu. Widziała długie grzbiety psów i wysunięte jęzory. Eikowie podeszli tak blisko – pierwszy szereg niemal wbiegł na most – że książę miał sekundy na podjęcie decyzji.

– Nie widzicie? – krzyknęła.

Sanglant zmrużył oczy.

– Manfred! – Złapała go za ramię i mocno potrząsnęła. – To wcale nie jest hrabina Hildegarda! To tylko Eikowie! Przypatrz się. Jesteś Orłem. Musisz ujrzeć prawdę.

– Tam! – wrzasnął Sanglant. – W czwartym rzędzie! To hrabina Hildegarda i jej brat! – Odsunął się od muru.

Sztandar i pierwsi Eikowie dotarli do mostu. Łomot ich stóp rozbrzmiał na drewnie i kamieniu jak ciężki krok przeznaczenia. Z pierwszych szeregów rozległo się przeszywające wycie, jakby zwietrzyli swój łup. Jakby ujrzeli na blankach smoczy hełm Sanglanta i wiedzieli, że na nich czeka.

– Eikowie ich prawie dopadli! – krzyknął Manfred, wrywając ramię z uchwytu Liath. Rzucił jej jedno spojrzenie, jakby chciał przeprosić.

Sanglant spojrział na nią przesywając. Wahał się. To było oczywiste. Tak bardzo chciał jej zaufać. Ale potem spojrział w dół. Z mostu rozległo się wycie psów i Eików, tak donośne, że ją ogłuszyło. Twarze patrzących, twarze, które mogła dostrzec, pobiełały z przerażenia. Liath nie potrafiła już sobie wyobrazić, co takiego ujrzeli, albo sądzili, że ujrzeli. Ona widziała, że Eikowie prawie ich mieli.

– Otworzyć bramy! – rozkazał Sanglant.

Kiedy przepchnął się obok, złapała go za ramię. Najbliższe Smoki zakłęły i rzuciły się na nią. Wielki kołowrót, otwierający bramę, skrzypnął i zaczął się obracać, a skrzydła ruszyły w przód.

– Zamknijcie bramę! – wrzeszczała, ale nikt jej nie słuchał. Na dole Smoki podzieliły się, robiąc miejsce uciekającym do miasta żołnierzom hrabiny. – To iluzja. To sztuczka!

Widziała tylko oczy Sanglanta, zielone jak jadeit, wpatrujące się w nią. Pokręcił głową. A potem zbiegł po schodach.

Brama otwierała się szerzej, nabierając szybkości. Eikowie w pierwszych szeregach ruszyli galopem.

– Manfred! – krzyknęła, łapiąc go za płaszcz i tarmosząc. – Nie widzisz? Manfred! Zaufaj mi!

Ale było już za późno.

Brama otwarła się. Sztandar hrabiny minął ostatnie przesłó, pokonał przejście z mostu na ład. A przez otwartą bramę do Gentu włali się Eikowie. Sanglant, unieruchomiony na drabinie, nie mógł dotrzeć do konia i swych ludzi.

Na dziedzińcu zapanował chaos. Wycie osiągnęło szczyt, stało się tak ostre i wysokie, że raniło jej uszy. Manfred jęknął i pchnął ją na mur.

– Biegnij! Biegnij wzdłuż murów, aż będzie bezpiecznie. Znajdź Wilkuna!

Potknęła się i padła na kolana, a strzała ugodziła zaszokowanego strażnika, który stał za nią. Stęknął, bardziej z zaskoczenia niż bólu, i powoli osunął się na kolana. Trzymając strzałę wystającą z piersi, spadł w dół z parapetu, mijając wyciągnięte ręce Liath. Runął prosto na dwóch Eików, którzy rzucili się na Smoka odciętego od towarzyszy. Upadli, ale za nimi napływali inni, niepohamowani jak woda podczas wiosennej powodzi. Dopadły go psy; część przebiegła, ale kilka zaczęło go szarpać. Liath poczuła żółć podchodzącą do gardła.

Podniosła ją ręka w zbroi. Wstała i uderzyła w napierśnik – czarnego smoka wyszywanego srebrem.

To był Sanglant. Nie odezwał się. Pociągnął ją wzdłuż murów tak szybko, że jej stopy ledwie dotykały ziemi. Nie mogła nawet obejrzeć się i sprawdzić, co z Manfredem. Była zbyt otumaniona, by czuć strach; ogarnął ją kompletny paraliż.

Z pleców Sanglanta wystawały dwie strzały, tkwiące w zbroi. Jedna wypadła. Wartownicy klęczeli i strzelali z łuków, celując ponad murami w most, na którym kłębili się Eikowie. Przed bramą było zbyt wielu ludzi, aby strzelać do wroga, nie ryzykując trafienia

żadnego z obrońców Gentu.

Obrońców było zbyt mało. Smoki zostały zepchnięte w tył przez siłę niespodziewanego ataku, liczbę napastników i ich dzikość. Eikowie nie ustępowali. Nie widziała, co się działo wokół bramy; dostrzegała tylko Smoki zakute w stal, desperacko próbujące przebić się z powrotem do oddziału.

Z oddali usłyszała skrzywienie kołowrotu. Potem krzyki. Poczowała dym.

Usłyszała nierówne *stacatto* strzał wbijających się w drewno tuż za nią, jak nagłe bębnienie, ostre i ostateczne. Sanglant stęknął, zaklął i stanął. Odwróciła głowę. Z jego lewej nogi, tuż nad kolaniem, wystawała strzała. Kiedy patrzyła – jakby czas płynął tu inaczej – przez skórę przesiąkła kropla krwi, a za nią druga i trzecia, znacząc czerwony szlak w zagłębieniu kolana. Czerwona krew, jak jej własna, jak każdego człowieka.

Powietrze nie dochodziło do jej płuc. Zaraz się zakrztusi.

– Złam ją – Sanglant ją puścił.

Posłusznie schwyciła strzałę, zaparła się jedną ręką o jego nogę, drugą złapała za lotki. Niebieskie, zauważyła obojętnie; pióra były sztywne jak metal, wbijały się w jej skórę. Drzewce było mocne. Złamała je jednak i odrzuciła.

Złapał ją i pociągnął dalej.

– Mój książę! – zawołał wartownik, stojący w bezpiecznej wieżyczce strażniczej. Sanglant wepchnął ją do środka, a białobrody mężczyzna zatrzasnął wzmocnione drzwi.

– Tędy, panie – powiedział. Liath nie mogła złapać tchu. Wpatrywała się w brązową pelerynę mężczyzny, dziwnie zafascynowana jej prostym ścięciem i zwykłą fakturą. Na ramieniu przszyto łatę, która nie pasowała kolorystycznie do całości.

Sanglant oparł się o zamknięte drzwi i dyszał. Liath słyszała odgłosy bitwy, miecze uderzające w zbroje, we wzmacniane żelazem tarcze; alarm, cienki głos rogu wznoszący się jak sygnał, ostrzegający mieszkańców Gentu.

Sanglant odepchnął się od drzwi i podszedł do ściany. Nie puścił Liath, więc musiała za nim podążyć. Łucznik usunął się natychmiast. Razem patrzyli przez wąskie okienko na wschodni brzeg rzeki.

Wieżyczkę zbudowano pod takim kątem, że patrzący widział miejsce, w którym most dotykał brzegu rzeki. Eikowie zalewali most, ale ich strumień zwalniał, zatrzymywany przez na wpół zamknięte wrota, opór wewnątrz miasta, wąską drogę na most, która zmuszała do zacieśnienia szeregów.

Jednak nadal parli naprzód, wyjąc i skowycząc jak dzikie bestie.

Na wschodnim brzegu pasma mgły zakrywały pola. Panował tam cień.

Nie była to ani mgła, ani opar. Coś: wzór, drżenie, sposób, w jaki oczy od tego uciekały. Czar. Zmusiła się, aby tam popatrzeć i nie wierzyć, że był to cień czy mgła, tylko maskowanie.

Rozwiął się, a raczej nie rozwiął, tylko zniknął jej z oczu i zmienił w cztery postacie.

Dwie z nich były wojownikami Eików, pomalowanymi i uzbrojonymi jak reszta, z tarczami spoczywającymi u stóp, toporami o dwóch ostrzach trzymanymi czule w ramionach. Między wojownikami stał jeden rzucający się w oczy, niski i nagi: nosił tylko szmatę wokół lędźwi i złoty pas. W dłoniach trzymał małą drewnianą szkatułkę. Z pasa zwisała skórzana sakiewka.

A obok tych trzech stał czwarty, odróżniający się od nich postawą, cechą, której Liath nie potrafiła nazwać, ale rozpoznawała. Nie mogła od niego oderwać oczu; był to potężny wojownik, którego twarz, ramiona i pierś błyszcząły jak żywy brąz. Nie nosił tuniki, niczego na piersi – nawet malowideł ozdabiających wojowników – tylko sznury naszyjników, paciorków, muszli i kości, wymieszane z łańcuchami złota i czegoś, co wyglądało jak złote i srebrne monety, w których wywiercono dziury i nanizano na sznurki. Sztywne spodnie uszyte z materiału ufarbowanego na krzykliwy niebieski, za pasek służyła złota koronka, spadająca do kolan. Nosił złote naramienniki, jak złote węże zwinięte wokół masywnych bicepsów. Włosy, białe jak mleko, lśniły w słońcu, zebrane w pojedynczy warkocz opadający na plecy.

Sanglant ze świstem wciągnął powietrze.

– Tam! – powiedziała. – Widzisz go?

– Widzę. – Potrząsnął głową, jakby odganiał natrętnego owada. – To jego przez cały czas czułem. Jego jest moc.

– To czarownik. – Jak Sanglant, czuła moc.

Książę wychylił się przez okno, skupiony, wpatrując się w oddalonego przeciwnika. Otworzył usta.

– Powiedz mi swe imię – wyszeptał.

Czarodziej zadrżał, obracając głowę tak szybko, że Liath podskoczyła. Jakby usłyszał. Rozejrzał się i szybko skupił wzrok, patrząc prosto na nich, choć na pewno nie mógł ich dostrzec, ukrytych za drewnianymi ścianami i wąskimi lukarnami wieżyczki. Na pewno nie mógł wiedzieć, skąd książę mu się przyglądał.

Dlaczego nie, skoro był potężnym czarownikiem?

Wydało jej się, że odpowiedział, ale nie widziała go na tyle dobrze, by odgadnąć wypowiedane sylaby, a poprzez zgiełk bitewny nie mogła go usłyszeć.

– Krwawe Serce – rzekł Sanglant cicho, nie spuszczać wzroku z tamtego, jakby we wzrokowym pojedynku. – Spotkamy się, ty i ja.

Na brzegu potok Eików wezbrał. Węzeł szturmujący most złamał się i Liath oderwała wzrok od czarownika, by ujrzeć, jak wrota rozstępują się i Eikowie wpadają do Gentu.

Odskakując od lukarny, Sanglant zwrócił się do Liath.

– Biegnij do katedry. Ocal tych, których zdołasz. – Strażnik czekał, zdenerwowany, spięty, przy drzwiach.

– Dokąd idziesz?

To było głupie pytanie. Znała odpowiedź, zanim Sanglant ją wymówił.

– Moje Smoki mnie potrzebują. Powstrzymamy ich tak długo, jak będziemy mogli. –

Podniósł rękę i dotknął jej policzka dłonią w rękawicy – jak ona, w ciszy krypty, dotknęła jego.

A potem poprawił tarczę, uniósł miecz i wypadł przez drzwi, zanim zdołała cokolwiek powiedzieć. Skoczyła za nim na mury, by zobaczyć, jak schodził po przystawionej drabinie. A potem zniknął w chaosie, kiedy bitwa przenosiła się spod bram na ulice Gentu. Rozległ się krzyk świdrujący uszy, wykrzykiwano księżę imię. Zanim strażnik wciągnął ją z powrotem, zobaczyła linię Smoków, przebijających się konno i na piechotę ku samotnej postaci księcia, który zamierzał najwyraźniej sam stawić czoła całej armii Eików.

Dłoń, która opadła jej na ramię, odciągnęła ją od drzwi tuż przed tym, jak wbiła się w nie strzała. Płonąca strzała. Dym zakłuł ją w oczy. Płomień zgasł; brodacze zatrzasnęli drzwi, ale usłyszała stuk kolejnych strzał, jak echo bębnow bijących w obozowisku Eików.

– Tędy! – ponaglił. – Dwa piętra w dół do tunelu. Biegnie on od tego posterunku do ratusza. Napotkasz większy tunel, prowadzący prosto. Nie skręcaj, bo dojdiesz do innych posterunków. Modłę się, żeby Eikowie nie odkryli tuneli.

Zeszła, nie patrząc w górę. Mężczyzna nie poszedł za nią. Pierwsza drabina skończyła się małym występem, zrobionym z drewna, na którym ledwie mogła oddychać. Znalazła drugą drabinę, zeszła niżej, dwanaście szczebli, do tunelu wyłożonego cegłą. Przestrzeń była ledwie szersza od jej ramion. Zawahała się, dotknęła łuku i dobyła swego krótkiego miecza. Jej palce przesunęły się po słowach wyrytych na klindze: „Ten dobry miecz jest przyjacielem Luciana”.

– Błagam – szepnęła. – Bądź i moim dobrym przyjacielem.

Szła ostrożnie, bo było ciemno, i słyszała echa bitwy toczącej się nad nią, niby nici skomplikowanego gobelinu. O Boże, oby ten gobelin nie przedstawiał upadku Gentu.

Wąski tunel zmienił się w szersze przejście, w którym mogło poruszać się jednocześnie najwyżej dwóch mężczyzn. Za sobą, gdzie, jak oceniła, stał mur, dostrzegła płomień i poczuła ostry zapach dymu. Jej oczy przywykły już do ciemności. Przed nią było ciemniej i ciszej.

Za sobą usłyszała pomruk i ciężkie uderzenie spadającego ciała. Obróciła się. Ujrzała zdradzieckie lśnienie białych włosów. Co robić?

Miała przewagę. Pobiegła i kiedy napastnik obrócił się, wbiła mu miecz w brzuch. Poczula opór, jakby jego skóra była pokryta metalem. Ale miecz Luciana zaiste był dobry. Być może Dariianie znali sekrety obce dzisiejszym metalurgom. Może skóra Eików nie była tak twarda, na jaką wyglądała. Ostrze przeszło stwora na wylot.

Zawył i zamachnął się na nią; odskoczyła i cięła go w twarz; padł. Śmierdział okrutnie. Nad nią zapłonął płomień i usłyszała mężczyznę krzyczącego: „Aj! Aj! Aj!”, a dalej, ponad tupotem stóp, krzykiem i kakofonią przerywanej bitwy, ostry wrzask: „Do księcia! Do księcia!”

Odskoczyła od ciała. Pobiegła dalej tunelem. Nie zauważyła, by ktoś ją gonił: była zbyt

pochłonięta ucieczką. Zbyt zajęta wspomnianiem.

Dotknął jej policzka. Czy zależało mu na niej? Na pewno go zabiją. Ale jakie to teraz miało znaczenie? I tak w Gencie nie było wystarczająco wielu obrońców, skoro Eikowie wyłamali bramę. Nie poradzą sobie, skoro Eikami dowodził czarodziej – nawet jeśli potrafił tylko tworzyć iluzje. Iluzja była potężną bronią w rękach kogoś, kto odważył się jej użyć dla swoich celów.

„Ocal tych, których zdołasz”. Tak powiedział Sanglant. Pewnie dlatego objawiła im się święta. Dla świętych, jak dla aniołów i demonów powietrza, czas nic nie znaczył: mogli widzieć przyszłość.

Mijała boczne tunele i słyszała tylko walkę i krzyki, czuła tylko dym i krew.

Tunel prowadził do baraków. Wspięła się wąską drabinką, uderzyła głową w klapę, którą udało jej się podważyć od dołu, ocierając pięści o żelazne taśmy spajające deszczułki.

Baraki były teraz zupełnie puste; słyszała tylko odległy łoskot bębnow i alarmujący dźwięk rogu. I zbliżającą się muzykę, i woń bitwy. Wszystkie Smoki odeszły. Odeszły. Niedługo umrą. Nie miała siły płakać. Musiała ostrzec Wilkuna. Musiała wyprowadzić przez katakumby jak największą ilość ludzi, zanim miasto padnie. Nie wątpiła już, że Gent był skazany.

Ale za drzwiami baraków zamarła. Zawahała się i odwróciła, gapiąc na puste stajnie, cuchnące słomą, suchą i wilgotną od moczu i nawozu. Baraki będą się świetnie palić.

Pobiegła do boksu, w którym sypiali. Siodło Manfreda stało pod ścianą, jak cały poprzedni miesiąc. Jego obecność oskarżała. Co się z nim stało? Żył jeszcze? Czy pomyślała o nim od chwili wyłamania bramy? Nie miała czasu; nie powinno jej tu w ogóle być. Każda chwila oznaczała czyjeś stracone lub uratowane życie.

Ale musiała zabrać książkę. Podniosła swoje siodło, złapała sakwy i przerzuciła je przez ramię. A potem wybiegła i przecięła wyludniony podwórzec. W ratuszu było zbyt cicho.

– Liath!

Wilkun stał na palisadzie. Zeskoczył z drabiny, tak się spieszył.

– Nie ma nadziei! – krzyknęła. – Eikowie wyłamali bramę. Wszyscy muszą się uzbroić i walczyć albo biec do katedry.

– Jak...?

– Czarownik. – Przypomniała sobie nagle dziwną wymianę zdań. Któregoś dnia to, że ona i Sanglant poznali jego imię, mogło okazać się ważne – Nazywa się Krwawe Serce.

Wilkun raz, ostro, kiwnął głową.

– Biegnij więc, Liath, biegnij. Jeśli uciekniesz, musisz zanieść wieści do króla.

Nie pytała go, co zamierzał robić. Nie miała czasu. Dym podnosił się już w ciężkich chmurach, grubych i czarnych, ze wschodniej części miasta, a płomienie lizały dachy pobliskich domów. Prawdopodobnie gwardia burmistrza pobiegła już do wschodnich wrót.

Ale kiedy wybiegła przez łukowatą bramę i wpadła na główną ulicę, natknęła się na

kompletne zamieszanie. Tłoczyli się tam ludzie oszaleli ze strachu, a połowa zdawała się zmierzać ku bramie zachodniej. Garstka uzbrojona w noże rzeźnicze, kije, łopaty, widły i inne przedmioty mogące służyć za broń, przedzierała się na wschód. Wielu biegło w tym samym kierunku; mieszkańcy Gentu zapomnieli o wszystkim i spanikowali. Liath przepychała się łokciami. Najpierw próbowała co trzeci krok krzyknąć „Do katedry!””, ale nie miało to sensu. Jej głos ginął wśród zgiełku, krzyków, ryczenia osłów, gdakania kur, płaczu dzieci, trzasku ognia i tupotu niezliczonych stóp, zmierzających we wszystkich kierunkach.

Ale nie musiała się martwić. Przepchnięcie się wzdłuż palisady ratusza, przebrnięcie przez plac i dotarcie do szerokich stopni katedry okazało się najłatwiejszą częścią podróży.

Katedra była zatłoczona.

Ludzie zebrali się na schodach, krzyżąc i błagając, unosząc dzieci nad głowami, aby przynajmniej niemowlęta znalazły się w bezpiecznym miejscu.

– Z drogi! – krzyknęła Liath, choć jej słowa zginęły pośród zgiełku. Dobyła miecza i płazem torowała sobie drogę. Ludzie, źli lub zapłakani, ustępowali, kiedy dostrzegli orlą odznakę.

W ten sposób powoli pokonała schody. W środku, choć zdawało się to niemożliwe, było jeszcze więcej ludzi. Nie rozumiała, jak mogli oddychać, wciśnięci między Palenisko i ołtarz. Na pewno nawet dzicy Eikowie nie sprofanują świętego miejsca Boga Jedności.

Śmierdzieli potem i strachem. Niemożliwe, absolutnie niemożliwe było przecisnięcie się przez tłum ku Palenisku, gdzie miała nadzieję znaleźć biskupinę. Schowała miecz.

A potem, ku jej zdumieniu, coś się zmieniło. Niby rozciągnany materiał, zawodzenie bez słów przyjęło formę i kształt. Rozbrzmiał hymn.

– Podnieście mnie! – rozkazała Liath.

Dwóch mężczyzn schwyciło ją za nogi i uniosło. Przy Palenisku stała biskupina z rękoma wyciągniętymi ku niebiosom i śpiewała wraz z wiernymi.

*Ciebie, który żyjesz pod ochroną Światłości.
Ciebie, który powtarzasz: Pan jest moim schronieniem
A Pani siłą, której ufam.
Ciebie okryje swymi skrzydłami,
Ona udzieli ci schronienia.
Nie będziesz się obawiał strzały wystrzelonej w nocy
Ani oszczepu rzuconego za dnia.
Tysiąc polegnie u twego boku.
Dziesięć tysięcy za tobą,
Ale ty pozostaniesz nietknięty.*

Liath śpiewała z nimi. Kiedy psalm zakończył się ponurą *Kyria*, biskupina odwróciła

dłonie i masa ludzka uciszyła się. Ciszę przerywała tylko histeryczna czkawka przerażonego dziecka.

– Błagam was o ciszę – krzyknęła biskupina.

W tejże chwili, kiedy do wnętrza katedry przedostawał się huk płomieni, bitwy i odległych bębnow, kiedy panika zgromadzonych na zewnątrz mogła w każdej chwili zakłócić kruchą ciszę. Liath podniosła głos. Zwróciła na siebie uwagę w sposób, przed jakim zawsze przestrzegał ją ojciec:

„Nigdy nie rzucaj się w oczy. Nigdy się nie wychylaj. Nigdy nie podnoś głosu”.

– Biskupino, błagam, wysłuchajcie moich słów. Jestem Królewskim Orłem!

Trzymający ją mężczyźni zadrżeli; musiała złapać równowagę, opierając się na ich ramionach. Wszystkie głowy w katedrze odwróciły się w jej stronę, ukazując twarze zbielełe ze strachu. Biskupina opuściła dłonie i gestem kazała jej kontynuować.

– Wasza Miłość, uwierzcie mym słowom. Widziałam znak. Ukazała mi się święta Krystyna... – Liath urwała. Widziała, jak ludzie tracą wiarę w jej słowa. – Święta Krystyna od Noży ukazała się księciu Sanglantowi! To była prawdziwa wizja. Pod katedrą jest katakumba, tunel prowadzący na zachód. Tą drogą...

Nie miała czasu powiedzieć więcej.

Tłum na zewnątrz zaczął krzyżeć.

– Smoki! Smoki padły!

Liath zasłoniła uszy dłońmi, a dwaj mężczyźni ją puścili. Spadła, ale nie potłukła się, tak ciasno było w katedrze. Nawet rzucając się w panice, nikt nie mógł ruszyć się więcej niż pół kroku w prawo czy lewo.

W następnej chwili zabrzmiał dźwięk rogu, odbijając się echem od kamiennych ścian i ogłuszając wszystkich w budynku. Uciszył tłum na tyle, aby usłyszeli biskupinę.

– To mówię! – rozległ się jej mocny głos. – To wam mówię, ludzie, nie ruszę się od tego Paleniska, dopóki wszyscy nie znajdą się w bezpiecznym miejscu albo Eikowie nie zostaną odparci! Wy wszyscy, którzy macie dość siły, musicie znaleźć broń i walczyć, by ochronić nasze miasto. W imię Pana i Pani, w imię świętej Krystyny, która cierpiała i zmarła w tym świętym miejscu i która nas nie zawiodła!

Wzięła oddech, ale siła jej głosu i napięcie sprawiło, że nikt nie odważył się pisnąć.

– Święta Krystyna objawiła się księciu, który swym własnym ciałem chroni nas teraz przed bólem i zbezczeszczeniem. To moje słowa, a wy, moi wierni, macie mnie słuchać. Niech dzieci i ci, którzy się dziećmi opiekują, zjedzą wedle starszeństwa za tą Orlicą do krypty. Zbierzcie dzieci, bo one i święte relikwie to skarby naszego miasta. Musimy je ocalić, jeśli taka jest wola Pani i Pana oraz świętej, która nad nami czuwała. Niech starsze dzieci pilnują młodszych, a słabi niech czekają ze mną przy Palenisku. Ufajmy Bogu. Panie, zmiłuj się. Pani, zmiłuj się nad nami.

Diakonisy przyniosły pochodnie. Tłum rozstał się przed Liath, która wzięła jedną i

wskazała drogę do krypty. Kiedy schodziła po schodach, zgiełk i tumult zostały stłumione przez kamień i ziemię, ustępując miejsca ciszy śmierci. Pochodnia płonęła równo, buchając żarem w twarz, załzawiając oczy.

Zatrzymała się, a za nią zgromadziły się diakonisy z relikwiami świętej Krystyny, schody zaś wypełniły się cicho płaczącymi dziećmi, czekającymi, napierającymi. Czuła je jak ciężar na plecach: wszystko zależało od niej.

„Ocal tych, których zdołasz”, powiedział Sanglant. A inni krzyczeli: „Smoki padły”.

Nie miała pojęcia, gdzie znajdował się grobowiec świętej. Wszystko zdawało się inne. Otwierała się przed nią cicha tajemnica krypty, milczącej i nieskorej do wyjawiania sekretów.

A potem, powodowana impulsem, uklękła tam, gdzie tak niedawno ona i Sanglant zostawili odciski stóp. Rozejrzała się i – tam!

W kurzu, może dwa kroki dalej, ujrzała szlaczek zaschniętej krwi.

Ruszyła tropem zostawionym przez krwawiącą świętą. Poprowadził ją do dziury, schodów i czarnej czeluści ziejącej niżej. Krypta za nią szybko się wypełniła. Diakonisy szeptały, przerażone. Dziecko zaszlochało i zostało uciszone.

Odgłosów bitwy o Gent nie mogła usłyszeć. Nie wiedziała, czy Sanglant jeszcze żył; nie miała pojęcia, co się stało z Manfredem i Wilkunem.

Mogła mieć jedynie nadzieję, że Hannie udało się ująć z życiem. Ironią losu zdawało się, że Hanna, zmuszona do ucieczki, zapewniła sobie bezpieczeństwo, choć wtedy wydawało się inaczej.

Nie mogła opóźniać ucieczki. To, co kryło się w ciemności, nie mogło być gorsze od losu, jaki czekał tych, których dopadali Eikowie. Wzięła głęboki oddech i zeszła po schodach.

Liczyła kroki, świadoma obecności uchodźców za plecami, choć nie obejrzała się ani razu, by na nich spojrzeć, aby im pomóc, upewnić się, że nikt się nie potknie. Musiała iść nieznaną ścieżką. Naliczyła osiemdziesiąt siedem stopni, bo liczenie dawało jej odwagę do dalszego marszu, nie musiała nasłuchiwać, więc ciemność nie wydawała się tak wszechobecna. Powietrze było ciężkie, pachniało pleśnią i ziemią. Raz czy drugi, wodząc dłonią po ścianie, zdawało jej się, że palce natrafiły na robaki czy inne wilgotne stworzenia żyjące w ciemności. Ale nie miała czasu na obrzydzenie. Musiała przeć dalej.

Stopnie skończyły się, podłoga korytarza wyrównała się, a ten nagle skręcił. Rozszerzył się nieco. Zatrzymała się, ale tylko ten jeden raz. Pochodnia oświetlała szorstkie kamienne ściany i sufit wykuty ze skały. Podłoga też była kamienna, usiana żwirem i kamykami, które zgrzytały pod jej butami. Ale była dość gładka, jakby płynęła tu kiedyś woda albo wiele stóp maszerowało tam i z powrotem, ścierając kamień przez wiele lat.

Nie widziała drogi przed sobą, ale czuła, że powietrze nie zostało skażone zapachem pożaru, wojny i śmierci. Czuła owies, przywiany tutaj bryzą z odległych wzgórz. To podniosło ją na duchu. Diakonisy tłoczyły się za jej plecami, wgniatając w żebra drewnianą skrzynkę zawierającą święte relikwie. Dziecko przemówiło wysokim, załamującym się

głosem:

– Jest tak ciemno. Gdzie moja mamusia?

Szła w ciemność. Prowadziła ich, licząc, aż liczenie stało się śmieszne, do tysiąca, dwóch tysięcy i jeszcze. Tunel biegł prosto, jak strzała ku wybranej ofierze.

Płakała idąc, wielkimi, gorącymi, cichymi łzami. Nie mogła pozwolić sobie na szloch. Nie mogła pozwolić, aby żal ją oślepił. Z tyłu słyszała podążających za nią, cienkie zawodzenie niemowląt i bezradne łkanie dzieci, które nie rozumiały, co się z nimi działo. Diakonisy mamrotały cicho w rytm kroków słowa psalmu śpiewanego w katedrze.

*Bo Ona wysłała anioły
By cię strzegły, dokądkolwiek podążysz
By cię uniosły na rękach.
Szła, prowadząc ich.
Dalej i dalej, coraz dalej od upadku Gentu.
Tak niewielu ocaleje.*

„Powstrzymamy ich tak długo, jak będziemy mogli”. Jego ostatnie słowa.

Nie był jej przeznaczony, oczywiście. To było głupie zakochanie, nie miłość, na pewno, bo miłość buduje się na więzach krwi albo wspólnej pracy i towarzystwie, a nie na spojrzeń czy błędnych krokach upartego gwałtownego pożądania. Nigdy nie był dla niej, nawet gdyby żył. I nie chodziło tu tylko o różnice stanu, bo wierzyła w słowa ojca, że kłaniać się musiała tylko królowi. Byli wolni, ze starego rodu, jak tato zawsze powtarzał, chociaż nigdy nie udzielił żadnej informacji ponad to. Z rodu, który zdobył ziemie w zamian za wasalstwo, podległego nie diukowi czy hrabiemu, a tylko królowi. Jak ród Hathui teraz, we wschodniej marchii.

Nie, to było coś więcej, coś zupełnie odmiennego.

„Bądź spętana, jak ja, przeznaczeniem, które inni dla ciebie wybrali”. Tak powiedział Sanglant. Czy obowiązkiem kapitana królewskich Smoków nie było umrzeć w służbie króla, a jej żyć, skoro mogła?

Czyż nie była spętana inną tajemnicą: śmierci taty, śmierci matki osiem lat wcześniej, skarbcza, sekretu, który nosiła w jukach i w samej sobie? Została niewolnicą, bo inny mężczyzna pożył tego, co było w niej ukryte. Teraz i na zawsze została naznaczona tym niewolnictwem, tak jak została naznaczona mordem na tacie i tajemnicą białego pióra, które znalazła przy jego trupie. Odporna na magię – albo przed nią chroniona. Ale mimo wszystko z magią związana.

Bywają przeznaczenia, którym nie można uciec.

Szła więc, zostawiając za sobą Gent. Nic nie czuła. Nie mogła sobie pozwolić, aby żal ją powalił, a podczas długich miesięcy z Hugonem nauczyła się, jak odsuwać od siebie silne

emocje, zamykać je za grubymi drzwiami.

Ale pozwoliła sobie na łzy. Płakała nad Sanglantem i tym, czego nigdy być nie mogło. Płakała nad tatą, nad matką, nad Wilkunem i Manfredem, nad martwym Orłem, którego odznakę odziedziczyła. Nad wszystkimi duszami, dzielną biskupiną i jej ludźmi, którzy zginą. Liath widziała czarodzieja Eików, który zwał się Krwawym Sercem. Nie wierzyła, aby okazał litość czy szacunek świętości Paleniska. Dlaczego miałby to zrobić? Nie należał do Kręgu Jedności. Zabił hrabinę Hildegardę i użył potem jej sztandaru jako części bezlitosnej sztuczki. Chciał Sanglanta z powodów, o których nie miała pojęcia. Ale on i Sanglant stanęli do pojedynku, który zaczął się, zanim na siebie spojrzeli.

Jej pochodnia płonęła równo i nie spalała się. Trzymała ją przed sobą jak berło; to było jej jedyne światło.

Nie jedyne. Wierzyła, że Hanna żyła. Odnajdzie Hannę.

Bez namysłu podniosła dłoń i dotknęła odznaki, poczuła wybitego w brązie orła. Hanna i Orły były wszystkim. Teraz naprawdę stała się jedną z nich. I być może dzięki temu znajdzie bezpieczne miejsce.

Więc szła. Tunel ciągnął się dalej. Nie wiedziała, czy idący za nią słabli. Prowadziła ich i nie oglądała się.

5.

Eikowie zdobyli wschodnią bramę tuż po świcie. Było południe, kiedy Liath wynurzyła się, mrugając, na wpół oślepiąca i wyczerpana, z wąskiej jaskini prosto w ostre światło pięknego wiosennego dnia.

Za nią wyszli uchodźcy z Gentu, zataczając się po stromej wspinaczce po kilkuset stopniach. Sam tunel był długi, a strach sprawił, że wydawał się jeszcze węższy niż w rzeczywistości. A Liath obawiała się, że ostatnie podejście, po stopniach wykutych w skale, okaże się zbyt trudne dla najmniejszych i najsłabszych uchodźców, wstrzymując tych, którzy podążali za nimi.

Wychodzili tak wolno. Najpierw wynurzyły się zaniepokojone diakonisy, niosące święte relikwie z katedry. Po nich wyszedł długi sznur dzieci, starsze niosły młodsze, matki trzymały w ramionach niemowlęta. Były kobiety w ciąży, a jedna zaczęła rodzić. Tu i ówdzie pojawiali się inni – kowal z narzędziami, którego umiejętności były zbyt cenne, aby zmarnować je w beznadziejnej walce, dwie giętkie dziewczyny, które dały przedstawienie w ratuszu, stary bard, który marniał *Heleniadę* i podczas tyłu uczt prezentował swoją własną, straszną wersję starego dariyańskiego poematu.

Zbyt wolno. Wychodził tuzin, potem następowała przerwa, tak długa, że Liath wstrzymywała oddech i modliła się, aby to nie był koniec. A potem pojawiali się kolejni, potykając się, otepiali, albo dziecko mdlało i nie było zdolne do dalszego marszu. Strumyczek

zmieniał się znów w strumień, kiedy tylko wstrzymujący marsz wychodzili i znikali na polach. Liath nie mogła znieść ich żalu. Jej był dostatecznie przytłaczający. Odeszła od jaskini, która leżała, na wpół ukryta, wśród drzew i krzewów u podnóża wzgórza.

Było tak, jak powiedział Sanglant. Na wzgórzu rosło pole owsa.

Dojrzewający owies otaczały kępy drzew, a za nimi rozciągał się las. W cieniu drzew stały dwie chaty. Na jej oczach zza bliższej wynurzył się mężczyzna, aby popatrzeć, a potem, machając ramionami, pobiegł do diakonis. Zaczęli mówić jednocześnie. Liath nadstawiła ucha, a potem przypomniała sobie, że jako królewski Orzeł miała pełne prawo do przysłuchiwania się rozmowie.

– ...ale... ale to cud! – wykrzykiwał mężczyzna, przyciskając dłonie do policzków. – Jaskinia zwęża się i kończy sto kroków dalej kamienną ścianą. Chowaliśmy się w niej od czasu do czasu, kiedy zwiadowcy Eików przejeżdżali zbyt blisko. Oddział Smoków ukrył się tam pięć nocy temu. Ale nigdy nie widziałem stopni ani tunelu prowadzącego na wschód!

Chociaż niebo było czyste, usłyszeli niski pomruk, niby odległy grzmot. Liath pognęła na półkę skalną, która górowała nad jaskinią. Jak można się było spodziewać, wzgórze opadało ku równinie, ciągnącej się na wschód aż po horyzont, złoto-zielonej, z cętkami ziemi. Stamtąd mogła dostrzec rzekę, wijącą się jak ciemna nić na równinie. Niebo było tak czyste, że światło słoneczne rozjaśniło intensywny błękit nieba w zenicie, zalewając świat jasnością. Odległy Gent wyglądał jak dziecięca zabawka, miasteczko ułożone z klocków.

Miasto Arnulfa, jak je nazywali niektórzy, w którym król Arnulf Starszy zaślubił swe dzieci następcom tronu Varre.

Miasto płonęło. Liath patrzyła przez długi czas. Dym plamił horyzont, unosząc się słupami ku niebu. Wiatr był tak słaby, że dym wznosił się grubymi kolumnami, zakrywając widok. Miasto leżało zbyt daleko, by mogła rozpoznać budynki. Nie mogła dostrzec nawet wieży katedry.

Na równinie roiły się mrówki. Eikowie przybyli ucztować na resztkach. Potrząsnęła głową. Czowała otepienie, a potem nagle ogarnęła ją przytłaczająca żalność. Nieważne, jak się starała, nie mogła już jej od siebie odepchnąć.

Zostawiła swój posterunek trzem chłopcom, którzy wspięli się za nią. Pokazywali sobie miasto palcami, a jeden gapił się na nią. Jego szczupła twarz zdawała się znajoma, ale nie mogła sobie przypomnieć, skąd ją zna. Może był służącym w ratuszu.

– Zgubiłem konia – powiedział i wybuchnął płaczem.

Uciekła. Nie miała nic do powiedzenia ani jemu, ani innym. Kiedy schodziła, ostrożnie stawiając stopy między luźnymi kamieniami i skręconymi korzeniami, patrzyła, jak uchodźcy wynurzali się z pieczary. Dzieci i jeszcze więcej dzieci, ciemnowłose pulchne dzieciak niewiadomej płci, niesiony przez chudą jasnowłosą dziewczynkę, która zdawała się za słaba na taki ciężar, kilku starców, niektórzy z zawiniątkami na plecach, kilka cennych rzeczy, a inni bez niczego, sami. Niektórzy padali na kolana i dziękowali Bogu za ocalenie. Niektórzy

osuwali się na ziemię i trzeba ich było odprowadzić, aby oczyścić ścieżkę prowadzącą z jaskini.

Ale wychodzili zbyt wolno. Tak niewielu zdołało uciec. Smoki na pewno zostały już całkowicie pokonane. W każdej chwili spodziewała się, że sznur uchodźców się urwie, albo że wyskoczą za nimi Eikowie, waląc na prawo i lewo toporami i śmiercionośnymi oszczepami.

– Oj! Wozy! – wrzasnął jeden z chłopców na szczycie.

A drugi dodał:

– Są w barwach burmistrza!

Liath pobiegła za rolnikiem do miejsca, gdzie droga – jeśli można ją było tak nazwać – kończyła się niedaleko zabudowań. Podążyło za nimi kilka odważnych diakonis, ale reszta została na polu, jakby jaskinia i pamięć o miłosierdziu świętej mogły zagwarantować im bezpieczeństwo. Liath dobyte łuku i schowała się za drzewem. Rolnik zważył w ręce widły.

Ale nie potrzebowali broni, nie tym razem. Wozy naprawdę należały do burmistrza Wenera. Chwiały się i skrzypiały, pokonując dwie koleiny udające drogę. Sam burmistrz, zaczerwieniony i mokry od łez, siedział na koźle wozu powożonego przez...

– Wilkun! – Liath skoczyła i pobiegła, niemal tańcząc, przy wozie, który podskakiwał i trząsał się, aż do szczytu wzgórza, zatrzymując się przy dwóch ubogich chatach rolnika.

Wilkun zeskoczył, obejrzał ją badawczo, a potem skinął na rolnika:

– Pokaż służącym, gdzie mogą rozpałić ogień. Gdzieś na uboczu.

– I zaalarmować Eików? – zaprotestował mężczyzna.

Wilkun machnął niecierpliwie ręką.

– Zdobyli dzisiaj lepszy łup niż te niedobitki, które mogliby tu najść. – Rolnik oddalił się posłusznie.

– Widziałam Gent – powiedział Liath. Nie mogła oderwać oczu od Wilkuna. Nie mogła uwierzyć, że żył. – Płonie.

– Płonął, kiedy wyjeżdżaliśmy.

– Jak się wydostaliście? – Patrzyła do tyłu, mając nadzieję, że ujrzy...

Ale Smoków w pobliżu nie było, tylko służący z ratusza, jakaś trzydziestka idąca obok dziesięciu wozów. Ostatnim powoziła blada ładna kobieta, z suchymi oczami i ponurą twarzą; zaczęła wycierać konie. Liath rozpoznała ją: to była służąca, która, jak wszyscy wiedzieli, romansowała z księciem. Czy zapłacze po swoim kochanku? Czy też po prostu cieszyła się, że przeżyła?

Pomógł jej mężczyzna: dziewczynka leżąca na wozie podniosła głowę i rozejrzała się wokół. To była para, którą Liath ocaliła, ojciec i córka.

Uchodźcy z tunelu podeszli bliżej, otoczyli burmistrza Wenera, zasypując go gradem pytań:

– Gdzie jest mój mąż? Wiecie, co się stało z moją matką? Czy widziano mojego brata?

Co z mennicą? Mój ojciec tam stróżował. Czy biskupina żyje?

I tak w kółko. Jak tchórz, pomyślała gorzko, burmistrz ocalił swą skórę, zamiast zginąć w obronie miasta. Ten obowiązek zostawił księciu Sanglantowi i Smokom.

– Moi dobrzy ludzie – zawołał, ocierając łzy z policzków. Jak bardzo nienawidziła jego głosu, zarozumiałego głosu rozpieszczonego dziecka. – Proszę, uciszcie się. Nie ma czasu do stracenia. Musimy ruszać. Wiele dni zajmie nam dotarcie do Steleshamu, a większość z nas jest słaba. Opróżniliśmy piwnice ratusza. Musi nam to wystarczyć na podróż. Słuchajcie moich słów! – Teraz grupa uchodźców uciszyła się i przybliżyła, a inni wciąż wychodzili, pojedynczo lub dwójkami, z pieczary.

– Niech starsze dzieci zaopiekują się młodszymi, i niech podzielone zostaną na grupy, aby nie było zamieszania i nikt się nie zgubił. Niech najsilniejsi niosą jedzenie na plecach, a na wozach będzie miejsce dla tych, którym nogi osłabną. Rozdamy teraz chleb. Za godzinę zaczynamy marsz. Nie możemy czekać dłużej.

Odwrócił się i zaczął wydawać rozkazy służącym. Ładna pokojówka odrzuciła ciężki materiał, którym przykryła jedzenie na swym wozie, i zaczęła wydawać chleb ze zręcznością nabytą podczas długoletniej praktyki; ojciec jej pomagał. Diakonisa zaczęła dzielić dzieci na dziesięcioosobowe grupy pod opieką nastolatków. Kobieta, płacząc bezgłośnie, tuliła niemowlę, a drugie dziecko czepiało się jej spódnicy. Jedna ze szczupłych akrobatek zbliżyła się do niej ostrożnie i podała chleb. U wejścia do jaskini pojawiali się w południowym słońcu kolejni uchodźcy. Teraz jednak służący prowadzili ich do miejsca, gdzie było jedzenie i odpoczynek przed kolejnym etapem podróży. Teraz co piątym uciekinierem okazywał się dorosły, poraniony lub w popalonym ubraniu; na polu owsa zgromadziło się może osiemset osób. Oceniała, mierząc palcami położenie słońca, że wyszła jakąś godzinę temu. Czy Smoki nigdy nie nadejdą?

Oczywiście, że nie. Księżę Sanglant nie zostawi miasta, dopóki wszyscy nie będą bezpieczni lub martwi.

– Liath – skinął na nią Wilkun. Podążyła za nim za chatę, gdzie rolnik rozniecił ogień w palenisku. Płonął radośnie, garść patyków, które zapadły się, kiedy te na spodzie doszczętnie spłonęły. Rolnik dorzucił do ognia, a potem, na znak dany przez Wilkuna, oddalił się i zostawił ich samych.

– Musimy patrzeć – powiedział Wilkun.

– Jak się wyrwałeś? – spytała. – Czy inni...? Gdzie jest Manfred?

Pokręcił głową. Po raz pierwszy ujrzała, jak zacisnął wargi, dławiąc ból serca. – Załadowaliśmy zapasy na wozy i ruszyliśmy ku zachodniej bramie. Inni też uciekali z miasta przez tę bramę, choć wielu zginęło z rąk Eików. Może niektórym udało się ująć z życiem, ale my nadjechaliśmy później. W tym czasie bitwa, która zaczęła się przy wschodniej bramie, ogarnęła połowę miasta. Mogliśmy więc uciec bez problemu. Straciliśmy tylko jeden wóz, dlatego że pękła oś. I spotkaliśmy Smoki...

– Smoki!

Uniósł ostro dłoń, uciszając ją.

– Będziesz ich pamiętać. To ci, którzy ocalili nas, kiedy pierwszy raz jechaliśmy do Gentu, miesiąc temu.

– Szturm – mruknęła. Jej kuzyn, jeśli to była prawda.

– Przebili się przez oddział Eików, uwalniając nas.

– A potem? – spytała.

Zmarszczył czoło, niemal się skrzywił, jakby nie warto było sobie tego przypominać.

– A potem pojechali do miasta przez zachodnią bramę, aby dołączyć do towarzyszy.

Liath zamknęła oczy.

– Uważaj – rzekł Wilkun. – Żal jest luksusem. Liath. Musimy patrzeć orlim wzrokiem. To nasz obowiązek.

– Przez ogień i kamień? – szepnęła.

– Nie każdy Orzeł posiada takie zdolności, to prawda. Uważaj teraz. – Zamknął oczy i podniósł dłonie, rozłożone na szerokość ramion, wewnętrzną stroną ku ogniu.

– Ale to prawda – powiedziała, przerywając mu. Musiał zrozumieć. – Nie umiem tak patrzeć. W krypcie nic nie widziałam nie dlatego, że był tam cień, tylko dlatego, że widziałam tylko kamień. A tamta obecność... Tam jest czarownik, żaden inny stwór – Wspomnienie bolało, było wciąż tak świeże. Wspomnienie, jak Sanglant ujrzał i nazwał wodza Eików. – To tak zdobyli bramę. Stworzył iluzję. To wcale nie były siły hrabiny Hildegardy.

Wilkun otworzył oczy i utkwiał w niej wzrok.

– Mów dalej.

– To była iluzja. Wszyscy widzieli sztandar, hrabinę i jej ludzi. Wszyscy. Oprócz mnie. Ja widziałam przez iluzję.

– Co mówisz?

– Mówię, że jestem na nią odporna, tak twierdził tato. Albo chroniona przed nią. Nie wiem. – Natychmiast przekląła się za zwierzenia. Ale była taka szczęśliwa, że go widzi. Na pewno ta radość znaczyła, że można mu było zaufać, choćby częściowo. Ocalił ją przed Hugonem. Traktował ją z bezinteresowną łagodnością i dobrą wolą. I zdała sobie sprawę, że zaczęło jej na nim zależeć. Odruchowo położyła dłoń na ciepłej skórze sakw, wyczuwając ukrytą w nich książkę. Czekwała.

Wilkun wyglądał na prawdziwie zaskoczonego.

– Krwawe Serce – rzekł. – Iluzja. Teraz rozumiem. Przedtem nie pojmowałem. Zastanawiałem się, dlaczego nie widziałem w mieście żadnego żołnierza hrabiny, nawet ostatnich niedobitków. Zastanawiałem się, jak zdobyli bramę. Bo ja też to widziałem, Liath. Widziałem jej sztandar, jej przybocznych, ściganych przez Eików. Z palisady ratusza obserwowałem, jak wpadli na most, a potem już nic. A ty mówisz, że patrzyłaś przez iluzję.

– Tak.

– Nie umiem tego wyjaśnić ani tobie, ani sobie. Uważaj, Liath. Powiedz, co widzisz. – Podniósł ręce i zamknął oczy, a po chwili otworzył je i wpatrzył się w ogień.

Żółto-pomarańczowy płomień lizał powietrze. Liath wpatrywała się w niego. Ujrzała w myślach krąg zakreślony w powietrzu – Pierścień Ognia, czwarty szczebel na drabinie magów. Przez niego obserwowała płomień.

Widziała tylko język ognia. Ale czy kiedyś nie przyglądała się salamandrom, ich błękitnym oczom mrugającym wśród żaru paleniska? Czyż nie widziała motyli, wezwanych przez ojca w letnim ogrodzie? Kiedyś, lata temu, przed śmiercią matki, widziała magię. Przed śmiercią matki. A potem wszystko się zmieniło.

„Tato mnie chronił”.

Oddał życie, by ją chronić. By ją ukryć.

W powietrzu płoną duchy o ognistych skrzydłach i oczach lśniących jak noże. Za ich plecami ryczy ściana ognia, ale nie ma się czego bać. Przejdź przez nią, a otworzy się nowy świat. W oddali bęben brzmi jak puls, a gwizd fletu, niesiony przez wiatr jak ptak, rozkłada skrzydła.

Skrzydła, opadające na dach. Nagły powiew śniegu przez komin. Dzwony, słyszane przez wiatr.

– Gdzie ona jest? – zapytał głos jak dzwon.

– Tam, gdzie jej nie znajdziesz – odparł tato.

Ogień rozpalił się mocniej, urósł, otoczył drwa, aż palił się jak burza. A w płomieniach zobaczyła bitwę, schody katedry, Smoków w ostatnim postrzępionym szeregu, tak niewielu teraz, ich konie i towarzyszy rozrzuconych wzdłuż drogi odwrotu. Psy – te, które nie szalały w samym sercu walki – obzerały się. Targnęły nią mdłości.

Ostatni oddział straży walczył desperacko przy mennicy i w końcu został pokonany. Za nimi palisada ratusza i drewniany dach wielkiej sali płonęły, oświetlając upiornie pole bitwy.

Eikowie parli na Smoki, raz za razem ryjąc toporami w tarczach, czerwone węże przyciśnięte do smoków, odrzucające je samą tylko liczebnością w tył i w tył, po schodach pod drzwiami.

Tam! Sanglant, kulejący i zakrwawiony, walczący obiema rękami, wchodził na schody, ostatni człowiek w szeregu, biorący na siebie główne uderzenie. Po jego prawej ręce kobieta z blizną, owinięta poszarpanym sztandarem Smoków, uderzała i cofała ostrze; po jego lewej Sturm z ponurymi błękitnymi oczami, który ciał jednego wroga i gdy ten upadł, następnego. Manfred stał w drzwiach katedry, wypatrując; patrząc, jak miał obowiązek.

Ale Smoki padały jeden po drugim. Gent płonął, a na ulicach nie było nikogo prócz Eików, węszących w progach i rabujących. Oprócz trupów. Oprócz obzerających się psów.

Na plac przed katedrą wprowadzono wóz i stamtąd, otoczony wyjąca hordą i stadem morderczych psów, Krwawe Serce obserwował ruiny i ostatni bastion Smoków. Zeskoczył i zważył oszczep w potężnych dłoniach, pobiegł ku schodom i przesadzał je po dwa na raz. Za

nim ruszyli żołnierze, z ustami otwartymi we wrzasku i wyciu, które Liath tylko widziała, nie mogła słyszeć. Tylko stary nagi wojownik został za wozem, ale nawet on się śmiał, wysadzone klejnotami zęby odbijały płomień pożaru.

Szarża Krwawego Serca uderzyła w ostatnich Smoków jak taran. Z tak niewielu, już wyczerpanych i rannych, padła połowa zmiażdżona atakiem. Sturm zniknął wśród ostrzy toporów. Kobieta z bliznami została odrzucona, padła pod ciężarem ogromnych psów. Smoki wykrzykiwały imię swego księcia, ale rozdzielono ich, kilku zostało przy drzwiach, kilku otoczono i pokonano u podnóża schodów, a Sanglant stał w środku – w oku cyklonu – jak szalencie rozdalając ciosy obiema rękami, torując sobie drogę do Krwawego Serca.

Cios, który go powalił, spadł od tyłu.

Otoczony, omotany, zdławiony. Wrzeszczący wojownik Eików wskoczył w wyrwę, która otworzyła się za księciem. Zamachnął się. Sanglant szarpnął się i padł, tak szybko, jak puszczony kamień. Jego ciało upadło, rozciągnięte u stóp Krwawego Serca.

Smoki odeszły, zniknęły, jakby nigdy nie istniały. Krwawe Serce wpatrywał się w księcia. Schylił się i zerwał mu hełm z głowy, odsłaniając twarz bez życia. Wsadził rękę pod złoty torkwes i zerwał go, rozrywając szponami twarz i kark Sanglanta. Krew popłynęła, zwolniła, zakrzepła.

Krwawe Serce uniósł torkwes jak zdobycz, odrzucił głowę w tył i zawył triumfalnie.

Liath zadrzała. Nie mogła słyszeć wycia, a jednak słyszała – jak lecące z wiatrem przez mile, jak niesione przez uchodźców z tunelu, uderzające prosto w jej serce.

Ale nie mogła odwrócić wzroku.

Krwawe Serce opuścił torkwes, bo musiał odgonić psy. Uderzał mocno, używając obu rąk i oszczepu, warczał i przeklinał zwierzęta, odpędzając je od łupu: Sanglanta. Psy w końcu usłuchały i siadły, ich oczy płonęły na żółto, z pysków ciekła ślina i krew. Największy warknął, obnażając kły, a potwór uderzył go w łeb gołą ręką; jego pazury – twarde twory na kłykciach – rozorały psi pysk. Pies zaskomlał i padł na brzuch. Reszta obróciła brzydkie łby i wpatrywała się głodnym wzrokiem w ciało księcia, ale się nie poruszyła. Jeszcze.

Wkrótce. Wkrótce będzie ich.

Liath pochyliła się do ognia, jakby mogła dosięgnąć ciała i zabrać je w bezpieczne miejsce, oszczędzając mu zbezczeszczenia. Żar wypalił jej łzy, ale nie mógł wypalić bólu. Nie mógł zmienić tego, co widziała.

Krwawe Serce otrząsnął się i obrócił, jakby poczuł na karku oddech wroga. Utkwił wzrok w dali. Wszystko zadrzało: ogień rozgorzał. Zamrugła, a on na nią spojrział.

– Kim jesteś? – zapytał Krwawe Serce, wpatrując się w nią przez ogień, choć to było niemożliwe. – Przeszkadzasz mi swym szpiegowaniem. Znikaj!

Splunął. Szarpnęła się w tył i patrzyła na ogień, ryczący, trzaskający, pożerający, płonący, na kamienne budynki trawione czerwienią żaru i płomieni, czuła gęsty tłusty dym w nozdrzach. Usłyszała tętent galopujących koni, odległy krzyk, słaby dźwięk rogu niesiony

wiatrem. Ale takich budynków nigdy wcześniej nie widziała. To nie był Gent.

Postać obróciła się, spojrzała, męska postać uzbrojona w napiersnik z brązu i lancę o srebrnym ostrzu.

– Liathano – powiedział.

Brama przez niego, jego cień sam jest bramą, jak gwiazdy widziane przez kupon cienkiego lnu. Bęben brzmi jak tętno, a flet zawiesza muzykę w powietrzu jak opadające i wznoszące się fale. Widzi przez płomienie, patrzy poprzez ogień, ale odmienny ogień, nie jej własny.

Na płaskim kamieniu siedzi człowiek – może nie człowiek, bo rysy jego twarzy są egzotyczne i nie przypomina żadnego z ludzi, których Liath widziała, może podobny jest trochę do Sanglanta, ta brązowa skóra, wysokie, szerokie kości policzkowe, twarz bez brody. Ubrany jest dziwnie: w długi, wyszywany koralikami zawój tak przemyślnej roboty, że paciorki układają się we wzór ptaków i liści złączonych razem. Jego przedramiona i łydki okrywa skóra, ozdobiona zielonymi i złotymi piórami, muszelkami, złotymi paciorkami i polerowanymi kamieniami, związanymi razem. Płaszcz wyszywany białymi muszlami i spięty na prawym ramieniu jadeitową broszą opada mu do pasa. Zwija długie włókna – chyba konopie – na gołym udzie, łącząc je w sznur.

Podnosi wzrok, zaskoczony, i patrzy na nią, nie zauważając jej. Za nim porusza się postać, zbyt odległa, by ją wyraźnie zobaczyć.

– Liath.

Podskoczyła i znalazła się przed paleniskiem i Wilkunem naprzeciw niej. Na jego policzkach widniało kilka łez. Patrzył w płomienie; w końcu oderwał wzrok i wyszeptał, tak cicho, że ledwie go słyszała:

– Aoi.

Zamrugła, zaskoczona. Kto wymówił na końcu jej imię, odrywając ją od ostatniej wizji?

– To byli Zaginieni, Liath.

– Kto? – Nie mogła poskładać w całość fragmentów świata, swych palców, trzaskania płomieni, wiatru na twarzy.

O Pani. Sanglant zginął.

Wilkun otrzepał się jak pies – albo wilk – i wstał szybko.

– Tę tajemnicę musimy rozwiązać później – powiedział. – Chodź, Liath. Mamy obowiązek wobec króla, któremu trzeba o tym powiedzieć.

– O czym? – Samo zadanie pytania było dostatecznie trudne. Nie mogła się ruszyć. Nie pamiętała nawet, jak to się robi.

– O upadku Gentu. O śmierci jego syna.

Śmierci syna.

– Nakarmili nim psy – mruknął Wilkun. Skrzywił się jak człowiek, któremu z uda wyciągają ząbkowany grot strzały.

Liath opadła na kolana i złożyła dłonie.

– O Pani – szepnęła. – Usłysz moje słowa. Nigdy nie będę kochała nikogo prócz niego.

– Nierozważne słowa – rzekł ostro Wilkun. – Chodź. Liath.

– Bezpieczne słowa – odparła gorzko – bo on nie żyje. A ja pójdę za przeznaczeniem, które inni dla mnie wybrali.

– Jak my wszyscy – powiedział cicho.

Zostawili płonący ogień i zeszli na pole, na którym uchodźcy uformowali postrzępione szeregi, gotując się do odejścia.

– Tyle czasu minęło? – zdziwiła się Liath. Oceniała, że kolejna setka uciekinierów znalazła się na polu, a z tunelu wypełzali kolejni, przerażeni, drżący i zanoszący się płaczem. Ale oni wyszli z Gentu kilka godzin temu. Nie wiedzieli, co się właśnie stało, co widziała ona i Wilkun. – Jak długo patrzyliśmy w ogień?

Wilkun nie odpowiedział. Poszedł pocieszyć burmistrza Wenera i zażądać, by Orłom dano dwa konie. Liath nie słuchała sprzeczki; patrzyła na jaskinię, z której na światło dzienne wciąż wychodzili ludzie, mrugając, płacząc, przerażeni, ocaleni. Ilu jeszcze przyjdzie? Czy Manfred będzie wśród nich, czy zginął? Czy biskupina przeżyła?

– Liath! – zawołał ją Wilkun, niecierpliwy, spięty i zły. – Chodź!

Przyprowadzono konie. Werner parsknął i był wściekły, ale nie mógł odmówić. Liath dosiadła wałacha.

– Co z Manfredem? – spytała, oglądając się przez ramię ponad wozami i głowami uchodźców, gotujących się do marszu w małych grupach. Patrzyła z nadzieją na jaskinię.

– Nie możemy czekać – odparł. Pognał swego konia, zmierzając ku starej drodze.

Pierwszy z wozów ruszył, kierując się na zachód, do Steleshamu i bezpiecznego schronienia. Uchodźcy zaczęli iść, szepcząc i wzdychając; ktoś nie mógł przestać płakać. Ale Liath wahała się, patrząc za siebie.

Może to było tylko złudzenie. Zdawało jej się, że dostrzegła bladą postać stojącą na kamienistym wzgórzu nad jaskinią: figurę kobiety, odzianej w szatę starożytnego kroju, ranną, ale nie zważającą na rany. Święta patronka Gentu wciąż czuwała nad swą trzódką.

Może był to tylko wiatr. Wydawało jej się, że usłyszała, jak ostatni człowiek wychodzący z jaskini krzyczał:

– Tunel się zamknął! Zatrzasnął się, jakby nigdy nie istniał!

– Liath! – Wilkun dojeżdżał już do drzew. Wozy podskakiwały za nim.

Podążyła za Wilkunem starą drogą wiodącą ku drzewom, daleko od Gentu. Szybko zostawili za sobą kolumnę uchodźców.

Rozdział trzynasty

Cień Guivre'a

1.

Armia Sabelli rozbiła obóz w dolinie Elmark, na wschodnim krańcu ziem należących do jej męża. Tutaj, pięćdziesiąt lat temu, królestwo Varre podporządkowało się ziemiom władanym przez królów i królowe Wendaru. W górach za doliną leżały wioski hrabiego Fesse, a ich wierność wendarskiemu domowi panującemu była absolutna.

O zmroku nadeszła wieść, że armia dowodzona przez samego Henryka przybyła do Kassel, granicznego miasta oddalonego o dzień marszu. Tego wieczora klerycy Antonii chodzili po obozie, rozdając amulety – po jednym każdemu żołnierzowi. Alain chodził z nimi, przyzwyczajony już do obecności kleryków; spał, jadł, spacerował i modlił się w zasięgu wzroku Willibroda albo Heriberta.

Oczywiście, Agius też. Ale towarzystwo Agiusa przypominało raczej włosienicę noszoną przez fratra: Alain podejrzewał, że jego ciągła drażniąca obecność była dobra dla duszy i pomagała jej się wznieść na wyżyny, ale on nie przepadał za obdzieraniem żywcem ze skóry.

Niewątpliwie takie podejście ujawniało, jak daleko mu było do prawdziwej świętości. Ale przecież każdego dnia obserwował Agiusa i widział człowieka, który pragnął tylko jedności z Bogiem. Alain podziwiał to zajadłe oddanie Agiusa. On sam czuł się podniesiony na duchu, widząc, mimo okoliczności, że coś może trwać. Modlił się, aby Pan i Pani wybaczyli mu, że chciał doświadczyć świata zanim odda się całkowicie w Ich służbę.

– Co to jest? – zapytał Agius, kiedy Alain i klerycy wrócili późno do namiotu biskupiny. Agius wolał modlić się pod strażą niż przemierzać obóz w towarzystwie kleryków Antonii, którymi pogardzał. Prawdopodobnie też wolał być, bez wątpienia, więzionym, niż pozwolić komukolwiek uwierzyć w bajkę o jego dobrowolnym przyłączeniu się do Sabelli. – Czy to amulet?

Willibrod wyjąkał coś niezrozumiałego i podrapał się po tyłku.

Heribert, którego ton Agiusa nie wzruszał, wyciągnął niecierpliwie amulet.

– To dla ochrony. Weź go.

Agius podniósł brew.

– Magia? Czyżby biskupina Antonia oddawała się nie tylko zdradzie, ale i magii?

Willibrod zachichotał nerwowo.

Heribert wcisnął amulet Agiusowi w rękę i odwrócił się do Willibroda.

– Już późno, bracie – powiedział. – Musimy zmówić modlitwę... a potem pójść spać.

Łóżko polowe Antonii było puste: nadal uczestniczyła w naradzie Sabelli i lordów. Strażnik ziewnął. Smutek i Furia poszły do ulubionego kąta i obróciły się kilka razy, goniąc za własnymi ogonami, zanim się położyły. Agius gapił się na amulet, gładził go, obracał na wszystkie strony.

Alain usiadł na piętach obok fratra.

– Myślisz, że to magia? – szepnął.

Agius wzruszył ramionami.

– Nic nie wiem o magii, czy też nie więcej od ciebie.

Alain miał jeden z amuletów zawieszony na szyi. Podniósł go, porównując z Agiusowym. Było to małe drewniane kółko, na tyle niewinne, że mogło uchodzić za Krąg Jedności, ten sam, który każdy chciał nosić na piersi. Ale z tyłu wyryte były małe litery, których Alain nie rozpoznawał, a do sznurka przywiązano kosmyk włosów, tak delikatnych, że zdawały się pochodzić z pióra oraz wysuszony jarzębinowy liść.

– W naszej wiosce jest stara kobieta, która rozumie język ptaków – powiedział Alain. – Raz przez Osnę przechodził mężczyzna, który twierdził, że potrafi odczytać los, wróżąc z układu gwiazd na niebie w dzień, kiedy się urodziliśmy. Ale żądał pieniędzy za przepowiednie, więc diakonisa Miria powiedziała, że to oszust i wygnała go.

Agius ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się wypalonym w drewnie literom.

– Nie znam tego pisma ani tych słów – rzekł. – I nie mam zamiaru pytać kleryków, co one oznaczają, o ile oni to wiedzą. – Spojrzał na Alaina z nieobecny wyrazem twarzy. Alain od razu domyślił się co tamten sobie przypominał: noc, kiedy Antonia złożyła Półgłówka w ofierze, kiedy przybyły duchy, przyciągnięte zapachem krwi. Po tamtej nocy hrabia Lavastine zmienił się ze zdecydowanego, mądrego człowieka w marionetkę, za której sznurki pociągał ktoś inny.

– Biskupina Antonia zamierza użyć magii – szepnął Alain, rzucając okiem na kleryków. Modlili się i zdawali nie zwracać uwagi na rozmowę pojmanych. – Już jej użyła.

– Ale w jakim celu? – mruknął Agius. – I jak? W scholi, kiedy byłem na królewskim dworze jako chłopiec, uczyło się kilkoro, którzy mogliby wiedzieć czy odgadnąć. Na przykład bękart margrabiny Judith. Zawsze interesował się tym, czego klerycy nie chcieli go nauczyć. Ale mnie nigdy nie interesowały zakazane sztuki. Odkryłem już zaginione słowa

błogosławionego Daisana i ukrywane świadectwo jego świętej uczennicy Tekli...

Urwał i wstał. Smutek podniósł łeb i zawarczał gardłowo. Alain skoczył na równe nogi, kiedy do namiotu weszła biskupina i jej świta. Jej szaty usiane były kroplami deszczu, lśnącymi w świetle pochodni. Powietrze, które wpadło do namiotu, pachniało wilgocią. Z oddali Alain usłyszał pijackie nieprzyzwoite śpiewy. Niedawno Sabella odprawiła ostatniego kochanka, biorąc sobie młodszego, przystojniejszego mężczyznę, żołnierza ze straży diuka Rodulfa. Dwaj mężczyźni mieli krótką, ale ostrą sprzeczkę pięć nocy temu, w której porzucony doznał znaczącego szwanku. Był on teraz obiektem żartów i wielu obscenicznych wierszyków.

– Heribercie – rzekła biskupina. Młody kleryk ukląkł przed nią. – Dopilnuj, by w kącie ustawiono łóżko, przy naszych gościach. – Zawsze używała takiego eufemizmu w odniesieniu do Alaina i Agiusa. – A potem idź i przyprowadź ją. Musimy zrobić miejsce. Przybyli następni, by przyłączyć się do Sabelli. „Zgromadzą się ludzie w domu prawości”.

– „Nie zapraszaj do swego domu wszystkich przechodzących” – odparł Agius. – „Nieprawość wiele postaci przyjmuje”.

Antonia rzuciła mu pełne politowania spojrzenie, jak chłopcu, który mimo, iż dorósł już do pasania kóz, nadal się moczy. Zwróciła miłe oczy na Alaina. Smutek zawarczał. Alain położył mu dłoń na pysku, uciszając. – Chodź, dziecko – powiedziała, ignorując psią wrogość. – Porozmawiamy, kiedy będę się kładła do łóżka.

Willibrod przyniósł Alainowi stołek i niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, kiedy służący biskupiny zdejmowali z niej mitrę i szaty, składając je ostrożnie w bogato rzeźbionej i malowanej skrzyni u stóp łoża. Biskupina nosiła halkę z cienkiego białego jedwabiu. Usiadła, i kiedy jedna ze służących przeplatała jej włosy, Antonia bawiła się złotym Kręgiem Jedności, wysadzonym klejnotami. Alain przenosił wzrok ze swoich dłoni na jej.

– Czy kontynuujesz wieczorne lekcje? – spytała.

– Tak, Wasza Świątobliwość.

– Poczytaj mi – Podniosła z łóżka książkę tak pięknie oprawioną w filigranową okładkę z kości słoniowej, że kiedy ją otworzyła i podała mu, w pierwszej chwili bał się jej dotknąć. Gestem nakazała mu odebrać książkę.

Delikatnie wziął ją od niej. Na początku po prostu gapił się na strony. Każda była przepięknie iluminowana malunkiem siedmiu uczniów wznoszących ręce do nieba, świętujących cud Pentekostu, wyrysowanych złotym atramentem, a wielki inicjał, zaczynający tekst, zawierał w sobie niezliczone maleńkie sowy siedzące na wąskim Drzewie Mądrości; każda trzymała zwój albo pióro, które przedstawione zostały z niezwykłą pieczołowitością. Nigdy przedtem nie dotykał czegoś tak bogatego.

– Czytaj, dziecko – powtórzyła.

Zacinając się, zaczął czytać.

– Zdarzyło się to, kiedy siedem razy po siedem dni po Przemienieniu Tekla usłyszała głos

błogosławionego Daisana i odzyskała wzrok. Ukazał się jej i jej towarzyszom i dowiódł, że żyje. Mówił do nich przez siedem godzin, nauczając o Bogu Jedności i Komnacie Światła.

Z walącym sercem urwał i wziął kilka nierównych oddechów. Czytanie, kiedy tylko Agius nad nim stał, było katorgą, a uważny wzrok Anlonii dodatkowo strasznie go denerwował. Agius klęczał, jak zawsze, kiedy czytano ze Świętej Księgi.

– Poczyliś postępy – powiedziała Antonia. – Ale do płynności jeszcze ci daleko. Kontynuuj.

Zmówił cichą modlitwę dziękczynną. Radził sobie z dariyańskim, kościelnym językiem, ale prawda była taka, że nie odczytałby żadnej innej książki. Słyszał tę opowieść tyle razy w kościele Osny, kiedy diakonisa Miria czytała na głos albo opowiadała historię z pamięci, że nawet, gdyby nie znał słowa, i tak wiedział, jak brzmiał ciąg dalszy.

– A błogosławiony Daisan powiedział im: „Otrzymacie moc, kiedy anioł niosący Święte Słowo Boże zstąpi na was. Będziecie świadczyć za mnie w Sais, w całej Dariyi i nawet w Arbahii, aż po końcu świata”.

I kiedy to rzekł, na ich oczach uniósł się w górę i zakryła go chmura.

A potem wrócili do Sais ze wzgórza zwanego Olivassia, które leżało za miastem nie dalej niż o dzień drogi. Poszli do domu, w którym mieszkali: Tekla, Piotr, Mateusz i Tomasz, Łucja, Marianna i Joanna. Wszyscy razem nieustannie się modlili.

– Był to dzień zwany Pentekostem, pięćdziesiąty po Ekstazie błogosławionego Daisana i jego Wstąpieniu do niebios. Tego dnia, kiedy wszyscy byli razem, z nieba dał się słyszeć dźwięk jakby gwałtownego wiatru, który wypełnił ich dom. I ukazały się im języki jak płomienie ognia.

Antonia westchnęła i przytaknęła, jakby opowieść głęboko ją poruszyła.

– I uczniowie mówili odtąd wszystkimi językami wszystkich ludów – rzekła. – Nawet tymi, których nie znali. Tak błogosławiony Daisan objawił, że Święte Słowo było dla wszystkich ludzi.

– Nawet dla Eików? – spytał Alain. – Albo Zaginionych? Albo goblinów, które mieszkają w górach Harenz?

– Nawet dla nich – przyświadczyła. – Nie naszym zadaniem jest sądzić, kto może wstąpić do Komnaty Światła, a kto nie.

Alain pomyślał o Piątym Bracie. O tym, jak opowiedział Eice o Ekstazie i Przemienieniu błogosławionego Daisana. Ale księżę nie rozumiał wendyjskiego. A jednak... opowieść spowodowała, że księżę wyrzekł do Alaina pierwsze słowo, zdradzając, że umiał mówić i posiadał inteligencję, dzięki której mógł używać mowy. Spowodowała, że księżę, dzikus, spróbował się zaprzyjaźnić.

Służąca przyniosła dzban pełen wody. Wlała ją do cienkiej glinianej misy, namoczyła myjkę i ostrożnie umyła twarz biskupiny, a potem wklepała w skórę olejek pachnący lawendą.

– Dalej – rzekła Antonia z zamkniętymi oczami. – Czytaj, dziecko.

Przełknął i spojrzął na Agiusa, ale frater oparł głowę na złożonych dłoniach i wpatrywał się w dywan. Alain oblizwał nerwowo usta i ciągnął:

– Tekla wstał z Sześciorgiem i przemówiła do nich: „O tym mówił prorok. Tak mówi Bóg Jedności. Oto, co stanie się w ostatnich dniach: na każdego wylejemy część naszego Świętego Słowa. Wasze kobiety będą miały wizje, a wasi mężczyźni sny. Tak, nawet niewolnikom damy część naszego Słowa i będą wieszczyc. Ukażemy znaki na niebie i ziemi – krew, ogień i burzę. Słońce zgaśnie, a księżyc pokryje się krwią. Wezwijcie Panią imieniem Matki Życia, a Pana imieniem Ojca Życia i ocaleni będziecie i uniesieni ku chwale Komnaty Światła”. A inni uczniowie złożyli dłonie i wzniesli głosy w pochwalnej modlitwie, potwierdzając jej słowa.

Wszedł kleryk i pochylił się, aby wyszeptać coś Antonii do ucha. Uśmiechnęła się słodko i uczyniła gest, a potem się podniosła.

– Będziemy mieć nowego gościa w namiocie – rzekła. Gdy się odwróciła, odrzucono wejście i Heribert w towarzystwie dwóch strażników wprowadził Konstancję. Za nim szli służący, niosący drewnianą ramę i puchowy materac.

W ostatnich dniach Konstancja straciła swe biskupie szaty. Alain nie wiedział, czy je oddała, czy też odebrano jej siłą. Na jej twarzy nie było jednak widać śladów przemocy.

– Moja droga sestro – powiedziała Antonia, podchodząc. Konstancja wyciągnęła dłoń jak do pocałunku, ale Antonia uściśnęła ją tylko, jak dłoń krewniaczki. Jeśli ta impertynencja zirytowała Konstancję, nie dała ona tego po sobie poznać. Sabella odebrała jej przecież biskupstwo i Antonia była teraz wyższa w hierarchii kościelnej, choć nie ziemskiej. Nawet do biskupich szat Konstancja nosiła złoty torkwes, oznakę królewskiego rodu; teraz też go nie zdjęła.

– Tak mi przykro – ciągnęła Antonia – z powodu tych niedogodności. Ale ty i twoi służący zajmowaliście cały namiot, a okazało się, że kuzyn diuka Konrada, syn siostry jego ojca, przyłączył się do nas z dwudziestoma jeźdźcami i pięćdziesiątką piechoty.

– A co z Konradem? – spytała chłodno Konstancja. – Nie przyłączył się do Sabelli? Pewnie porządnie przemyślał udzielanie pomocy wyjętym spod prawa rebeliantom. – Jeden ze służących przyniósł stołek; usiadła. Nie zaszczyciła Agiusa ani spojrzeniem, on też nie przerwał modlitwy. Jednak ramiona fratra były napięte, jakby ciało dawało to, czego odmawiały oczy: komentarz na temat obecności kobiety, którą zdradził.

– Diuk Konrad nie przybył. Mówią, że jego żona Eadgifu ma za siedem dni rodzić.

– To będzie ich czwarte dziecko – rzekła Konstancja. Jeśli była zdenerwowana czy zła, zdradzało ją tylko powolne głaskanie palców lewej dłoni. – To tylko wymówka, wasza świątobliwość. Eadgifu ma przy sobie krewniaczki; nie ma potrzeby, by mąż przy niej zostawał. Nie oszukuj się. Jeśli Konrad jeszcze nie wziął strony Sabelli, nie ma zamiaru tego

uczynić.

– Do Henryka też się nie przyłączył.

Konstancja uśmiechnęła się blado.

– Konrad nie jest pozbawiony ambicji. Oprócz mego rodu on jest jedynym żyjącym potomkiem pierwszego Henryka. Gdyby dzieci Arnulfa Młodszego wygubiły się w walce o prawo do tronu, on może wystąpić z pretensjami.

– Czyżbyś zapomniała, że prawo do tronu może sobie rościć również księżna Liutgarda?

– Prawda, pochodzi z królewskiego rodu, królowa Konradina była siostrą jej prababki. Ale kiedy jej dziadek zrzekł się prawa do tronu i poparł Henryka, jego potomkowie też się go zrzekli. Nie. Lojalność Liutgardy mamy zapewnioną. – Teraz, jakby wbrew sobie, zerknęła na Agiusa, a on podniósłszy oczy, napotkał jej wzrok i szybko przed nim uciekł.

– Cóż więc radzisz? – spytała Antonia. Nie używała zwrotu „wasza świątobliwość” najwyraźniej celowo; tak długo, jak Sabella kontrolowała miasto. Konstancja nie była biskupiną Autunu.

– Doradzam pokój – powiedziała Konstancja. – Jak powinni wszyscy, którzy przysięgli służyć Panu i Pani.

Antonia skinęła na służących, którzy położyli na materacu puchową kołdrę i poduszki.

– Już późno – rzekła. – Wyruszamy rankiem.

– Kiedy wkroczycie do Wendaru, otwarcie sprzeciwiście się rządowi mego brata – rzekła Konstancja – jakby to, co się zdarzyło w ostatnich miesiącach, nie starczyło.

– Niech tak będzie – powiedziała Antonia, uśmiechając się słodko, niby do powolnego ucznia. – Nasi zwiadowcy donoszą, że Henryk czeka w Kasselu. Tam się spotkamy. A teraz módlmy się, a potem udajmy na spoczynek.

Uklękła, a jej służący i klerycy uklękli wraz z nią. Konstancja zawahała się, a potem, dumnie i z miną kobiety, która nie pozwoli pokonać się przeciwnikom, również uklękła i przyłączyła się do modlitwy.

Tej nocy Alain śnił.

Łódź go kołysze, ale nie zasypia. Dwudziestu więźniów, wziętych na niewolników, kuli się na dnie. Płaczą, jęczą lub śpią snem ludzi pozbawionych nadziei. Jego kuzyni wzięli tylko silnych, młodych, którzy posłużą przez rękę lat albo i dłużej, zanim poddadzą się zimowemu lodowi albo głodnym psom. Niektórzy może się rozmnożą, ale dzieci miękkich są słabe i wątłe, niezdolne do przetrwania. Jak udało im się rozplenić po południowych ziemiach to zagadka, na którą nie zna odpowiedzi, ani nie odważy zapytać MądrychMatek, bo ich nie obchodzi los niewiernych. Ale czy Halan Henrisson nie mówił o bogu i wierze? Dotyka Kręgu wiszącego na piersi. Jest zimny.

Fale rozbijają się o dziób, a wiosła skrzypią równo w dulkach, kiedy długi okręt przemierza morza. Całe swe życie słyszał tę muzykę i jej kadencje są mu jak oddech. To dobra

noc do podróży po północnym morzu.

Stoi na dziobie, obserwując mgłę unoszącą się znad wód. Studiuje gwiazdy, oczy StarychMatek, tych, których ciała w końcu zmógł wiatr i zaniósł w dolinę czarnego lodu, do niebiańskiego fjallu. Księżyc, serce StaregoCzłowieka, rzuca światło na fale.

On też kiedyś wiosłował. Ale to było zanim jego ojciec wykradł sekret czarodziejskiej mocy, i zaklinając tę moc w swe ciało, wyniósł swoje plemię i swoje szczenięta ponad nie kończące się waśnie i uczynił je wielkimi.

Kiedyś wiosłował z innymi, ale to było zanim jego ojciec wywiercił sobie dziury w zębach i wypchał je klejnotami, by zaznaczyć swą dominację. Teraz, razem ze swymi braćmi, przewodzi.

Ten statek nie należy do jego plemienia, ale on naznaczony jest mądrością MądrychMatek, a jego ojciec to wielki czarownik i wódz plemion na zachodnim brzegu. Ci kuzyni przyjęli go więc na swego przywódcę. Oczywiście, musiał zabić ich Pierwszego Brata i przywódcę stada psów, ale tak jest we wszystkich plemionach i miotach: tylko jeden samiec dowodzi. Reszta albo obnaży gardła, albo zginie.

Czy mięczaki też wybierają w ten sposób przywódcę? Czy są słabi, bo tak nie robią? Nie rozumie ich i nie rozumie, czemu Halan go uwolnił. Na współczucie nie ma miejsca na okrutnej północy. Jak powiedziała kiedyś StaraMatka, SkalneDzieci dawno by wymarły, gdyby pozwoliły sobie na litość.

Wiatr przynosi ku jego nozdrzom zapach brzegu. Jedna z niewolnic płacze bezustannie, zawodzenie gra mu na nerwach. Przedtem poszczulby ją psami albo własnymi pazurami rozerwał gardło. Teraz powstrzymuje go wspomnienie Halana. Podporządkuje się. Będzie znosił skargi słabych.

Na razie.

Zapach słodkiej wody osiada mu na ustach. Oblizuje je, nagle spragniony, ale jeszcze nie podda się temu pragnieniu. Poddawać się szybko to osłabiać się. Za nim, jakby słysząc jego myśli, warczą psy. Odwraca głowę i też warczy. Kładą się, akceptując jego wyższość.

Na razie.

Czuje jesiony i mocny stały zapach dębu. Mijają las w podróży na wschód. Na wschód, gdzie poluje jego ojciec.

Wiosła mlóć wodę, zanurzają się głęboko i miarowo. Wiatr chłoszcze go w twarz, słona piana osiada na wargach. Wyczuwa na brzegu odrobinę dymu, odrzuca głowę w tył i wacha, wystawiając język na wiatr.

Alain obudził się. Był, co niezwykle, całkowicie przytomny, otwarte oczy przywykły już do ciemności. Furia spała. Smutek zaskomlał cicho, ale się nie ruszył. Za Smutkiem koce Agiusa były puste.

W blasku żaru z koksownika Alain ujrzał ciemny kształt przy łóżku, na którym spała

Konstancja. Serce mu zabiło. Czyżby ktoś zamierzał ją zamordować?

Prawie skoczył na równe nogi. Ale tej nocy jego słuch był ostry. Usłyszał ich oddechy, skórę przesuwającą się po skórze, kiedy złączyli dłonie, usłyszał jak szepczą głosami cichymi jak pomruk demonów nocy.

– Frederic był zamieszany w pierwszą rewoltę Sabelli. Dlaczego miałabym ci teraz zaufać, po tym, co zrobiłeś, wiedząc to, co wiem o twym bracie? – Ale jej słowa przeczyły tonowi głosu i wrażeniu Alaina, że trzymała mocno rękę Agiusa, bardziej jak kochanka, niż biskupina.

– Był niezadowolony i bardzo młody. Dorósł, a mój ojciec dał mu orszak i nie wyznaczył obowiązków. Był niecierpliwy i pragnął działania. Wiesz, że to prawda. Kiedy więc rebelia upadła, utemperowano go i wydano za Liutgardę.

– Uważasz to za karę? Małżeństwo z Liutgardą? – prawie się zaśmiała.

– O Pani. Dla mnie byłaby to kara. – Musiał wykrztusić te słowa, tak pełne były uczuć.

– Cicho, Agiusie. – Poruszyła się, a Alain pomyślał, że podniosła palec i położyła go na ustach fratra, dotykając go najczulej.

Alain zaczerwienił się i odwrócił wzrok. Z jakiegoś powodu pomyślał o Withi, jej ramionach i białych piersiach, które mu pokazała dzień przed wyprawą do ruin w Sobótkę. Nigdy nie dotykał kobiety.

– Musisz kochać Boga, Agiusie – wymruczała Konstancja. – A nie świat i tych, którzy na nim żyją. Biskupina Antonia powiedziała mi, że jesteś zamieszany w herezję. Nie mam powodów, by jej ufać, więc pozwolę ci obronić się przed tak poważnym oskarżeniem.

– Nie mogę. Nie chcę. Po tym, jak oddano cię kościołowi, zamiast... – zawahał się – ...zamiast wydać za mąż, przyrzekłem, że nie spocznę...

– Przyrzekłeś, że zemścisz się na twoim ojcu i moim bracie. Ale nie możesz, Agiusie, musisz zapomnieć o tym gniewie. Nie mogłeś nic zrobić. Ja nie mogłam nic zrobić.

– Mój ojciec przysięgał przed Paleniskiem. I twój brat też. Ale Pan i Pani nie zabili ich, kiedy złamali przysięgę. Wiedziałem więc, że był ona pusta, bo złożona tylko cieniowi prawdy. Słuchali fałszywych słów tych, którzy zasiadali na soborze w Addai i ukryli prawdę. Święta Tekla głosiła prawdę o końcu, jaki spotkał błogosławionego Daisana. Widziałem zwój, na którym spisano jej słowa.

– Gdzie go widziałeś?

– Jest ukryty, bo kościół pali i niszczy jej prawdziwe zeznania, haniebnie o nich zapominając. „Przywiedziono błogosławionego Daisana przed oblicze cesarzowej Thaisanii, zamaskowanej. Ale on nie skłonił się przed nią, tylko mówił prawdę o Matce Życia i Świętym Słowie, więc ona wydała wyrok śmierci. Przyjął go radośnie, bo znał obietnice Komnaty Światła. Jednak uczniowie jego gorzko płakali. Zabrano go i oddano pod katowski nóż, zaś serce jego wycięto z piersi...”

Cisza była tak wszechobecna, a głos Agiusa tak cichy, że Alainowi zdawało się, iż słyszy

syczenie węgla, stygnących na popiół.

– „Ciemność zapadła nad całym krajem, a błogosławiony Daisan krzyknął głośno i umarł. Jego krew spłynęła na ziemię i zakwitła różami. A cały kraj i ziemia cała zalane zostały światłem, jasnym jak szaty anielskie. Światło oślepiło Teklę i innych. Siedem razy po siedem dni żyli w ciemności, ponieważ się lękali”.

– Ale ja się nie lękam, Konstancjo. Nie lękam się głosić prawdy. Przecież błogosławiony Daisan rzekł: „Bądźcie pewni, że jestem z wami aż po kres czasu”. Czy Matka Życia nie oddała swego jedynego syna, by odkupił nasze grzechy?

Konstancja westchnęła.

– Oj, Agiusie, to rzeczywiście herezja. Jak możesz tak mówić? Zarzut jest poważny, należy go wnieść do prezbitera, który jest przełożonym fratrów. Tego chcesz? Zostać potępionym heretykiem?

– Lepiej mówić prawdę i umrzeć niż zachować milczenie i żyć.

– Zgorzkniałeś, Agiusie. Nie byłeś taki wcześniej.

Nagłym ruchem ukrył twarz na jej piersi. Odezwał się głosem stłumionym przez materiał jej szaty.

– Wybacz mi, Konstancjo. Zrobiłem to, by ocalić życie mej siostrzenicy, w imię miłości, która była między mym bratem i mną.

– Zawsze kochałeś za bardzo, Agiusie. – Westchnęła urywanie. – Wiesz, że ci wybaczam. Jakżebym mogła nie wybaczyć? Jesteś pierwszy w mym sercu, zaraz po Pani i Panu.

– Ale nie protestowałaś. Nie zbuntowałaś się, kiedy brat oddał cię Kościołowi.

– Znam swój obowiązek – odparła łagodnie, gładząc go po włosach.

Alain uświadomił sobie, że Agius łkał. Konstancja też płakała, a Alain odkrył, że wystawiając język mógł posmakować ich łez, stopionych w jedno. Być może Agius kochał zbyt mocno. Ale napisano przecież, że błogosławiony Daisan kochał cały świat i wszystkich ludzi. Czy miłość nie była największym błogosławieństwem, zesłanym ludziom z łaski Pana i Pani?

Alain mógł czuć ich bliskość, posmakować zaru ciała, przyciśniętych do siebie – i poczuł zazdrość. Jak to jest, kochać tak bardzo kobietę? Tak bardzo, że, jeśli to, co mówił Agius było prawdą, odwrócił się od świata, kiedy nie mógł jej poślubić i zamiast tego poświęcił się Kościołowi jako pokorny frater, wyrzekając się swej pozycji? Czy jakaś kobieta zapłaciła kiedykolwiek nad Alainem? Przytulił się do niego?

Stare przysłowie było prawdziwe. Zazdrość jest cieniem guivre’a, skrzydłami śmierci. Alain poczuł wstyd, bo pożył czegoś, co mu się nie należało. Został dwukrotnie naznaczony, raz przez Kościół, drugi raz przez Panią Bitew, której różę nosił.

Ale nie mógł przestać myśleć o nocach w domu, kiedy jako dziecko leżał rozbudzony, nasłuchując, słysząc ciche odgłosy z innych łóżek, Stancy i jej męża, ciotki Bel i wujka Ado, nim Ado zmarł. Ze wszystkich dorosłych, jakich znał, tylko jego ojciec Henri i zaprzysiężeni

Kościółowi nie angażowali się w podobne związki. Agiusa i Konstancji nie łączyło nic oprócz uścisku, jednak było między nimi tak wiele, że jaśniało jak wielkie światło, jak płonące węgle.

W namiocie stał jeszcze jeden koksownik, obok łóżka Antonii. Alain odruchowo spojrział w tamtą stronę, próbując nie poruszać się i nie zdradzać, że nie spał. Westchnął jednak i przygryzł wargę. Nie oddychał przez pięć uderzeń serca.

Oczy Antonii były otwarte. Ujrzał w nich blask światła, oczy świecące w nocy. Konstancja i Agius zbyt byli zajęci sobą, by to zauważyć. Ale on dostrzegł.

Patrzyła cicho. Wydała mu się olbrzymią ziejącą paszczą, wsysającą życie i powietrze. Patrzyła czujnie nie dlatego, że miała własne pragnienia czy dlatego, że chciała szpiegować i zebrać informacje, ale dlatego, że była chciwa, bo tak jak kot zlizuje śmietanę albo gryf wysysa krew matki, chciała tyle, ile mogła im zabrać. Jakby zamierzała zatrzymać dla siebie i zgromadzić całą intensywność uczuć.

Od tego poczucia szpiegowania poczuł mdłości.

Zamknął oczy i wtulił twarz w ciepły, bezpieczny bok Smutka.

Później, kiedy nie było już szeptów, zasnął.

2.

O świcie przed namiotem Antonii zwołano radę.

– Nadal twierdzą, że jest za wcześnie na bitwę – protestował diuk Rodulf. Najwyraźniej ta kłótnia ciągnęła się od wielu dni, a on nie miał zamiaru jej przegrać – Rzykujemy wszystko, spotykając się z Henrykiem teraz.

– Spotkanie teraz z Henrykiem to dokładnie ta rzecz, którą planowałam i na którą liczę – odrzekła Sabella. Dziwne, ten monotony głos, owo wypranie z emocji nadawało jej pozór upartej i zdecydowanej. Nie była gwiazdą przewodnią ani charyzmatycznym przywódcą; nie posiadała nawet szorstkiego niecierpliwego autorytetu, dzięki któremu Lavastine rządził (niegdyś) swymi ziemiami. Jak gładz zsuwający się po stoku, nie żądała wiele, nie wzniesła ognia, ale po prostu miażdżyła jakąkolwiek przeszkodę na swej drodze. – Szybko się stawił na spotkanie ze mną. Nie przywiódł wielkiej armii.

– Ale wedle naszych zwiadowców jego armia jest większa od tej, którą tu zgromadziliśmy. – Rodulf zmarszczył czoło i potrząsnął głową.

– Ale nie tak wielka, jak ta, którą by zgromadził, gdyby miał czas wezwać wasali, aby zgromadzili ludzi ze swych ziem i przemaszerowali przez Wendar, aby stanąć u boku Henryka. Nie, to najmniejsza armia, jaką Henryk kiedykolwiek gromadził w obronie swej korony. I tym razem okaże się zbyt mała.

– Jesteś tego pewna – powiedział Rodulf. Ze wszystkich szlachciców i pomniejszych panów, zgromadzonych wokół Sabelli, tylko on ciągle poddawał w wątpliwość jej słowa.

Znosiła to wypytywanie, bo musiała: był diukiem, równym jej we wszystkim, prócz złotego torkwesa. Ale babka Rodulfa była saliańską księżniczką, więc on też pochodził z rodu królewskiego.

Alain stał za biskupiną Antonią, ukryty wśród kleryków, i obserwował zgromadzenie. Kleryk Willibrod nie był już jedynym, który miał otwarte i babrzące się ranki na rękach i ustach, ale tylko on nerwowo obrywał strupy. Tylko Heribert, najczystszy ze wszystkich ludzi, których Alain w życiu spotkał, miał jeszcze czystą nieskażoną skórę. Ale jako główny kleryk Antonii nie wykonywał pracy; on tylko nadzorował dbanie o ubiory, robienie amuletów, opiekę nad chorymi w orszaku i resztę wielu prac, które wykonywano wokół biskupiny.

– Jestem tego pewna – odparła Sabella. – Teraz nastał czas działania. Teraz jest czas, by walczyć. – Spojrzała na Antonię; biskupina przytaknęła, odpowiadając na niezadane pytanie. Czasami Alain zastanawiał się, czy Antonia kontrolowała Sabelle tak, jak to czyniła z Lavastine'em, ale nie dostrzegł ani śladu czegoś podobnego. Sabella i Antonia działały razem. Jakie pretensje, skrywane w sercach, doprowadziły je do podobnych czynów, nie umiał wyjaśnić, chociaż zastanawiał się głęboko. Żal Sabelli był bardziej oczywisty: wierzyła, że pozbawiono ją tronu, który jej się przynależał. Ale czy Bóg nie przemówił, odmawiając jej, kiedy to wyruszyła na wędrowkę i nie zdołała począć dziecka? Henryk podczas swojej wyprawy spłodził potomka, choć z tak dziwną partnerką jak kobieta Aoi. Dlaczego Sabella nie potrafiła zaakceptować tego, co los – albo Bóg – przeznaczył?

„Ja też nie potrafię”, pomyślał żałośnie. Los – albo Bóg Jedności – zdecydował, że miał wstąpić do nowicjatu, a tymczasem znalazł się tutaj, maszerując na wojnę, oglądając więcej świata, niż się spodziewał, choć właśnie o tym marzył.

Wszyscy się przygotowali. Diuk Rodulf oddał się do swych oddziałów, a Sabella czekała, aż przyprowadzą jej konia. Armia utworzyła wielką kawalkadę, kierując się na wschód, przekraczając rzekę El na płytkim brodzie i maszerując w góry. Poruszali się teraz po ziemiach należących do diuka Fesse. Byli w Wendarze.

Wyprowadzając zbrojne oddziały poza Arconię, Sabella przekroczyła linię, spoza której nie było już odwrotu. Alain nie mógł powstrzymać dreszczu podniecenia. Mężczyźni, z którymi maszerował, strażnicy i klerycy broniący biskupiny Antonii i jej „gości” – Konstancji i Agiusa – też to czuli. Śmiali się, śpiewali głośno i dowcipkowali, przechwalając się, co zrobią z dobrami, które zamierzali zrabować trupom królewskich żołnierzy: ostrzem oszczepu, dobrym sztyletem, jakąkolwiek zbroją, tarczą, metalowym hełmem czy skórzanym kaftanem albo, jeśli komuś naprawdę się poszczęści, kolczugą lub mieczem.

Alain uświadomił sobie, że niezależnie od tego, kto wygra bitwę, wiele dobra zmieni właścicieli.

Obie armie, jak umówione, spotkały się w południe, ustawiając się na rozległym polu. Siły Henryka zajęły lepszą pozycję. Równina wznosiła się łagodnie ku bardziej stromym

wzgórzom, a Henryk tak rozmieścił swe siły, aby Sabella musiał atakować pod górkę.

Ale ona zdawała się niewzruszona.

– Ha! – powiedziała dziko i triumfalnie do diuka Rodulfa, który odłączył się od swej kawalerii, by się z nią skonsultować. – Popatrz na sztandary armii Henryka i powiedz mi, co widzisz.

Ze swego miejsca w orszaku Antonii, który maszerował zawsze przy Sabelli, Alain przyjrzał się królewskiej armii. Wydawała się olbrzymia, nieprzebrana; nigdy przedtem nie widział tylu ludzi zgromadzonych w tym samym czasie i miejscu. Nie umiał ich nawet policzyć, choć słyszał, jak Heribert szeptał do Antonii:

– Mniej niż ośmuset ludzi, z tego pewnie jedna trzecia konno.

Alain rozpoznał smoka Saony, ale ludzi zgromadzonych pod tym sztandarem nie było więcej niż tych, których zgromadził Lavastine. Orzeł Fesse powiewał nad wspanialszą formacją, w której było wielu konnych. Jeden oddział otaczał ściśle figurę noszącą kaftan w królewskich kolorach, bieli i złocie; to musiała być księżna Liutgarda. Łopotał też sztandar Avarii, ale choć Alain zerkał w stronę Agiusa stojącego pokornie u boku Konstancji, nie sądził, aby Agius zwracał uwagę na herb swego ojca albo kobiety, którą zamiast niego poślubił jego brat. Agius się modlił. Konstancja stała spokojnie, z dłonią uniesioną prawie do gardła i mówiła – najprawdopodobniej do siebie – imiona lordów, hrabiów i diuków, którzy zgromadzili się w armii Henryka.

W centrum na wiosennym wietrze powiewał wielki sztandar z czerwonego jedwabiu. Na nim, wyszyte złotą nicią, przedstawione były jedno pod drugim trzy zwierzęta: orzeł, smok i lew, symbole władzy Henryka. Nawet z takiej odległości Alainowi zdawało się, że rozpoznał króla otoczonego przez bogato odziany orszak.

Król nosił hełm z kitą i metalowe naramienniki, a jego pierś chronił napierśnik na kolczudze. Na nogach miał zbroję chroniącą uda i łydki; wielu z konnych w jego orszaku też nosiło podobną, na znak zamożności i pozycji. W lewej ręce król trzymał lancę, prawą miał pustą, aby chwycić za miecz, kiedy go będzie potrzebował. Tarcza zwisająca z siodła była metalowa, bez herbu.

Jak inni zwykli żołnierze, Alain nie miał nawet metalowego hełmu, o tak wspaniałej zbroi nie wspominając. Mógł sobie jedynie wyobrażać, ile scett kosztował taki ekwipunek. Nawet diuk Rodulf nie nosił tak imponującej zbroi, choć był porządnie zabezpieczony.

Była to wspaniała armia. Nad siłami Sabelli powiewały tylko dwa sztandary diuków: guivre Arconii i ogier Varingii, ale i ona, i Rodulf wystawili wielu ludzi, choć niewielu z ich dosiadało koni, czy było uzbrojonych tak dobrze, jak ludzie Henryka.

To był rozpaczliwy krok.

– Konrad Czarny zdecydował się nie wyjeżdżać w pole – powiedział Rodulf do Sabelli, zezując na sztandary i zgromadzonych pod nimi żołnierzy.

– Konrad rozgrywa własną grę – odparła Sabella. – Jeśli nie wspiera mnie, szczęśliwa

jestem, że nie wspiera Henryka. Nie widzisz, Rodulfie? Nie widzisz, czego brakuje, tam? – zatoczyła szerokie koło ramieniem. – Nie ma sztandaru Smoków. Widzę czerwonego smoka Saony, ale czarnego nie. Henryk nie wystawił swych najlepszych żołnierzy!

Rodulf zagwizdał.

– Rzeczywiście, nie ma ich. Już się nie smucę. Sabello.

– Wcale nie powinieneś był się smucić. Masz swój amulet?

– Tak, ale...

– Tylko to się liczy. Wracaj do swoich ludzi.

– Ale gdzie w takim razie są Smoki? Książę Sanglant na pewno nie zwrócił się przeciw ojcu. Nigdy wcześniej nie słyszałem, by w chłopaku płynęła choć kropla buntowniczej krwi – Zaśmiał się, ciągle zdenerwowany, ale zdecydowany, by stoczyć tę bitwę do końca. – Szkoda, że moje dzieci nie są takie posłuszne!

– Słyszałaś na pewno, jak mówiłam, że moi informatorzy donosili, iż Smoki pojechały daleko na północ walczyć z Eikami?

– Och, oczywiście. Zaatakuj owcę, kiedy owczarek poluje na wilka, co? – Skrzywił się w grymasie przypominającym uśmiech. – Gdyby Smoki stały dziś u boku Henryka, uznałbym, że lepiej prosić o przebaczenie, niż walczyć. Ale...

– Ale nie stoją. I nie musisz już dokonywać takiego wyboru. Jedź. – Skinęła na jednego ze swych żołnierzy. Czekał na znak, bo odwrócił się i pogalopował ku szeregom.

Rodulf spiął konia i wraz z adiutantem odjechał do swych ludzi, którzy zajęli flankę naprzeciw sztandaru Fesse. Lavastine i zbieranina pomniejszych lordów oraz ludzie zabrani z ziem klasztornych zgromadzili się na lewej flance, oko w oko z lwem Avarii i małym kontyngentem, który wiele dni maszerował z Saony – albo, jak podejrzewał Alain, nie było czasu, by z Saony przywędrował kontyngent. Być może sztandar powiewał nad tymi, którzy już przebywali na dworze Henryka. Być może dodali jeden sztandar, aby pokazać lojalność marchii, a nie, by dodać ludzi do armii.

– Zamierzają rokować – powiedziała nagle i głośno Konstancja, kiedy kilka postaci niosących niebieski sztandar ze srebrnym drzewem odłączyło się od orszaku Henryka i ruszyło przez pole dzielące obie armie. – To herb Villama.

– Oczywiście – rzekła Sabella.

Nagle postać w bieli i złocie, niosąca sztandar Fesse, dołączyła do Villama.

Sabella skinęła na Antonię.

– Wiesz, co powiedzieć.

Biskupina siedziała na swym białym mule. Dała znak klerykom i wszyscy, oprócz Heriberta, odstepili.

– Tallia – warknęła Sabella. Jej córka, ociągając się, podeszła. – Towarzysz biskupinie. Czas, aby cię obejrzeni. – Dziewczyna przytaknęła posłusznie, ale nie wyglądała na szczęśliwą; przypominała raczej mysz złapaną w szpony sowy.

Antonia oceniła liczebność oddziału Villama: on, księżna Liutgrada i dwoje innych. Rozejrzała się po towarzyszach Sabelli, ale jej wzrok w końcu spoczął na Alainie.

– Chodź, dziecko – powiedziała. – Poprowadzisz mojego muła.

Sabella uniosła brew.

– Chłopak z psiarni?

– Więcej, jak sądzę. Te dwa psy, które mu towarzyszą, to ogary Lavastine'a. Villam je rozpozna i będzie wiedział, że Lavastine dobrowolnie się do nas przyłączył.

Sabella parsknęła.

– Wysyłamy psy jako mediatorów? Mnie to bawi, mojego brata na pewno nie. To też służy moim celom. Idźcie.

Nie mając wyboru, Alain ujął wodze muła i poprowadził zwierzę pod górę. Smutek i Furia wędrowały za nim. Kleryk Heribert trzymał konia Talii i szedł obok Alaina; biskupina i dziewczyna jechały ramię w ramię, równe sobie.

Idąc, studiował cztery postacie, które mieli spotkać. Dwie pozostałe okazały się Orłami; rozpoznał je po płaszczach obszytych szkarłatem. Oba były kobietami, jedna z nich na pewno była w jego wieku. To właśnie ta młodsza trzymała w lewej ręce sztandar Villama.

Krzepki starszy mężczyzna to na pewno Villam. Miał na sobie cienką kolczugę; na niej nosił kaftan z wyszytym srebrnym drzewem.

Ale wzrok Alaina prześlizgnął się na czwartą osobę. „Księżna Liutgarda”. To zatem była kobieta, której Agius nie chciał poślubić. Była wysoka i młodsza, niż się spodziewał. Miała arogancką twarz i nieruchomy wzrok oraz oczy zdradzające temperament.

Trzymała własny sztandar, dziwna afektacja, i dosiadała pięknego białego konia, którego uprzęż ozdobiona była złotem. Jej zbroja była bogatsza niż Villamowa, czy nawet królewska. Alaina naprawdę zaskoczył widok kobiety tej rangi, w pełni sił, jadącej na wojnę i narażającej swe życie. Ale wyraz jej twarzy i linia szczęki sugerowały, że księżna Liutgarda posiadała silną wolę i niełatwo było ją pokonać.

Złapała jego wzrok i, zaciekawiona, oddała spojrzenie; wiele można powiedzieć o losach paktu, patrząc na wysłanych mediatorów. Usłyszał głos ciotki Bel: „Czesz się i myj ręce, chłopcze. Nowych ludzi poznawaj z twarzą ani zbyt ponurą, ani zbyt radosną, bo żadnej z nich nie zaufają”. Spróbował przywołać na twarz wyraz obojętnej pokory.

Jego wzrok prześlizgnął się na Tallię. Nigdy wcześniej nie był tak blisko młodej księżniczki. Miała delikatną jasną skórę, poznaczoną piegami, a w blasku słońca jej pszeniczne włosy jaśniały rudawo. Jej dolna warga drżała. Zaryzykował rzut oka na Antonię, ale biskupina miała na twarzy zwykły wyraz, uprzejmej dobrotliwości.

Villam, z pewnym ociąganiem, zsiadł z konia i ucałował upierścienioną dłoń biskupiny na znak szacunku dla jej stanu. Po chwili rozmyślnej przerwy i przekazaniu swego sztandaru Orlicy, Liutgarda podążyła w jego ślady. Dwa Orły nie były na tyle ważne, aby dostąpić tego zaszczytu; jak Alain i Heribert, trzymały się na uboczu i obserwowały.

– Pani Tallio – rzekł Villam, kłaniając się. – Przyjemnie cię znów widzieć.

Odkłoniła się, ale nie przemówiła. Wyglądała na niezdolną do otworzenia ust.

– Nikt więcej nie przybędzie, by paktować? – ciągnął Villam. – Diuk Rodulf nie zaszczyca nas swą obecnością.

– Sądzę, że wystarczająco dobrze znasz jego zdanie.

– Rzeczywiście – odparł, nie skrywając uśmiechu. – Rodulf jest zadziwiająco szczery. Ale widzę tu inne sztandary, które mnie zaskoczyły. Hrabia Lavastine jest znany i królowi, i mnie, a jednak nie przybył z tobą, by powiedzieć, co myśli.

Usta Antonii drgnęły lekko. Wskazała na psy. Villam spojrzał; jego reakcja była dwoista i raczej dziwna. Najpierw wyglądał na rozdrażnionego. Antonia oczywiście sugerowała, że albo Lavastine biegał na smyczy Sabelli, albo, że hrabia zamierzał obrazić króla, wysyłając jako swych reprezentantów dwa psy. Ale potem Villam zauważył Alaina; spojrzał na niego, przez jedną niezręczną chwilę przyglądał mu się; zdradził go wyraz twarzy, którą odwrócił: żalność, której nie mógł okazać. Co dziwniejsze, Liutgarda dotknęła jego ramienia, jakby podtrzymywała kogoś, kto się potknął.

– Chciałbym mówić – powiedział Villam po chwili – z Sabellą.

– Oczywiście – odparła gładko Antonia – każde słowo, które tu wypowiesz, dotrze do niej. Jestem jedynie naczyniem, które je przeniesie. Sabella ma słowa dla swego brata.

– Nie wątpię – rzekł sucho Villam. – Ale obawiam się, że teraz dyskutujemy o czynach, nie o słowach. Dlaczego Sabella wymaszerowała z armią z Arconii, terytorium, którym zawiaduje w imieniu swego męża Berengara?

Muś poruszył się, a Alain zacisnął rękę na wodzach, by go unieruchomić. Antonia otworzyła dłoń i wskazała czerwony sztandar Henryka.

– Jest zasmucona uzurpacją przez Henryka korony Wendaru, zgodnie z prawem jej się należącej.

Villam pokręcił głową. Jego oczy były podkrążone i opuchnięte, jak kogoś, kto ma za sobą wiele bezsennych nocy.

– Ten spór został rozwiązany osiem lat temu. Sabella przysięgła na wasz pierścień, biskupino, że nie będzie wysuwać roszczeń przeciw Henrykowi, wycofa się do swych posiadłości i będzie wiernie popierać jego władzę. Czy złamała ten ślub?

– Przysięgła pod przymusem, jak sam widziałeś. Tylko ci, którzy zaprzysięgną się w męczeństwie, mogą wybierać śmierć zamiast życia, niezależnie od sprawy. I dlatego Pani wybacz nam nasze przywiązanie do życia tak długo, jak długo nasze serca są czyste, a zachowanie godne. Tak długo, jak długo nie zapominamy o naszym obowiązku wobec Boga.

– Tak interpretujecie Pismo? – zapytała ostro Liutgarda, nagle ożywając.

– Nie zamierzam – odparła Antonia z cierpliwym uśmiechem – debatować tu nad Pismem, moja pani. – Wróciła do Villama. Był on wysoki i szeroki w barach i chociaż siedziała na mule, nie górowała nad nim, jak górowałaby nad niższym mężczyzną czy

kobietą.

– Sabella jest rozsądną kobietą. Henryk może zachować swój tytuł diuka Saony, oddając hrabstwo Attomaru swej siostrze Rotrudis. Sabella obejmie tron i koronę Wendaru, a Varre przypadnie Talii. Okaze swoje względy Henrykowi, pozwalając jego synowi Ekkehardowi poślubić Tallię i zostać królewskim małżonkiem.

Villam był zbyt stary i chytry – i zbyt przytłoczony nienazwanym cierpieniem – by okazać gniew.

– Uśmiełbym się, gdyby te propozycje nie były tak obraźliwe. I śmieszne. Król Henryk przesyła Sabelli te słowa: Może zatrzymać swe księstwo, jeśli zawróci i opuści pole.

– To nie jej księstwo, Villamie. Diukiem Arconii jest Berengar.

Villam warknął, w końcu zirytowany.

– Wasza świętobliwość, nie traktujcie mnie jak głupka. Berengar to dobry i szlachetny człowiek, ale, jakby to ująć, niezbyt rozumny. Sabella rządzi księstwem za dwoje. – A potem szybko wskazał na Tallię, która zaczerwieniła się i z takim natężeniem wpatrywała w swoje dłonie, że najpierw Alain, a potem Heribert, dwa milczące Orły i pozostała trójka spojrzeli na dłonie dziewczyny, aby sprawdzić, czy coś na nich wyrosło. – Wybaczcie, pani Tallio.

Wymruczała coś niezrozumiałego, tonem przypominającym przeprosiny.

Antonia przemówiła.

– Jeśli nie możemy dojść do porozumienia, to po co dyskutować, lordzie Villamie?

– Chcecie walczyć? – szczerze zdumiał się Villam. Nic dziwnego: siły Henryka były wyraźnie większe i, co najważniejsze, miał więcej jazdy. Już sam jej ciężar i siła zapewniały Henrykowi zwycięstwo.

– Oczywiście, że nie chcemy walczyć – odparła Antonia z głębokim westchnieniem. – Oczywiście, że pragniemy pokoju, lordzie Villamie. Księżno Liutgarda. Wszystkie dusze pragną pokoju, bo czy nie tego życzą sobie Pan i Pani? Ale Sabella nie może pozwolić, by Henryk zasiadał na tronie, który jej się należy.

– Nie po...

– Ma dziecko. Oto Tallia przed wami. Henryk ma tylko słowo poganki, o ile słowu Aoi można ufać. Czyż nie mówi się, że elfy to dzieci upadłych aniołów i ziemskich kobiet?

– Tak naprawdę – wtrąciła się Liutgarda, kiedy Antonia nabierała oddechu – jeśli przestudiuje się *Dialog Wiary*, okaże się, że błogosławiony Daisan powiedział, że elfy...

– Nie zamierzam tu dyskutować spraw kościelnych. – Antonia uczyniła gest, jakby prawą dłonią odcinała lewą. Cisza.

Księżna Liutgarda pobladła; wyglądała na szczerze rozdrażnioną, a jej usta zacisnęły się. Villam syknął cicho i księżna z widocznym wysiłkiem zachowała ciszę.

– Skąd możemy wiedzieć, że Henryk zasłużył na prawo do tronu? – ciągnęła Antonia. – Skąd możemy wiedzieć, że Sanglant to jego dziecko? Pierwszym wyborem Arnulfa była Sabella. Nie Henryk. Mężczyźni mogą przyrzekać, że dziecko jest z ich nasienia i krwi, ale

tylko kobieta rodząc przy świadkach może udowodnić, iż dziecko jest jej. Żaden mężczyzna tego nie potrafi i nawet, jeśli uwięzi kobietę, to istnieją stworzenia nieludzkie, nie z tego świata, które znają swoje sposoby, by dostać się do środka.

– Mówicie – powiedział Villam cicho, ale z rosnącą furią. – że Henryk skłamał na temat Sanglanta i swej wędrowni.

– Nic nie mówię o Henryku. Powiadam, że Henryk nigdy się nie dowie i my też się nigdy nie dowiemy. Jak sądzisz, lordzie Villamie, dlaczego Kościół zachęca, aby dziedziczenie odbywało się po kądzieli? Księżno Liutgardo? Dawni Dariianie praktykowali adopcję, sprowadzając pod swój dach różne osoby, ale Kościół zabronił tej praktyki w sprawach dziedziczenia trzysta lat temu, na soborze w Nisibii. I tak niektórzy z nas pracują dziś nad zakazaniem dziedziczenia po mieczu – zaperzyła się Antonia. Zawsze zachowywała miły wyraz twarzy; Alain nigdy wcześniej nie widział jej wyprowadzonej z równowagi. – Jeśli Henryk będzie nadal rządził, kto przejmie tron? Dzieci Sophii i Aretuzy? Wschodnia krew ma skazić nasze królestwo? Czy ta nowa herezja, która zapuszcza korzenie w naszej czystej wierze, nie przedostała się z krajów władanych przez atretuzańskich cesarzy? Czy nasi władcy będą z aretuzańskiej, nie wendarskiej krwi?

– To będą dzieci Henryka – rzekł Villam twardo. – Silni władcy, niezależnie od tego, co mówicie, biskupino.

– Strzeżcie się Aretuzańczyków przynoszących dary – odparła. – Gdyby Henryk ożenił się z dobrą wendarską kobietą z wysokiego rodu, nie byłabym tak nieustępliwa. Ale nie zrobił tego. Wiadomo, że sypiał z dwiema kobietami, obie były cudzoziemkami i jedna nie była nawet człowiekiem! – W końcu całkowicie zrzuciła maskę dobrej babuni. Pod nią okazała się twarda i zimna. – Nie mogę zaufać takiemu człowiekowi. Jego potomstwu też nie zaufam. Sanglant! Jego pieścioszek! Bękart, który nawet nie jest człowiekiem i pewnie nawet nie Henryka, bo mamy tylko nic niewarte słowo jego matki, że nie była dziwką. A Henryk robi z siebie głupca, wszyscy to wiedzą; cały Wendar o tym wie; bo faworyzuje takie dziecko! Nie nazwę tego królewską cnotą. Nie sądzę, aby to dowodziło mądrego osądu. Sabella poślubiła, jak należało, męża ze swego ludu. Ale Henryka to nie zadowoli, o nie. Chce czegoś lepszego, czyż nie? Chce tronu cesarza, w Darre. Chce pójść w ślady Taillefera. Dobrze! Ale nich Henryk zadba o własne ziemie, zanim zechce uleczać inne. Niech się ożeni z kobietą spośród swoich, zanim zrobi dziecko obcej kurwie – Antonia była wściekła i czerwona. Alain był przerażony i pod wrażeniem.

Liutgarda ruszyła naprzód, jakby chciała pobić biskupinę, ale Villam powstrzymał ją gestem.

– Dość już wysłuchałem obelg – powiedział. – Nie trzeba mówić nic więcej. Niech ta bitwa spadnie na twoją głowę, biskupino. I od tej chwili niech wszystkie kroniki, które opiszą ten dzień, wspominają, że Sabella odrzuciła zaproponowaną jej ugodę i wybrała wściekłość Henryka. – Dosiadł konia, obrócił go i pognął pod górę.

Liutgarda odrzuciła głowę jak żreback i spojrzała na Anionię twardym wzrokiem.

– Jesteś jak studnia zatruta jadem guivre’a – Odwróciła się i podążyła za Villamem, a Orlica z jej sztandarem ruszyła za nią.

Młodsza Orlica zawahała się. Alain wpatrywał się w nią: miała najjaśniejsze włosy – grube, białoblonde – jakie w życiu widział, prócz włosów Eiki. Złapała jego spojrzenie i przez chwilę po prostu na siebie patrzyli; wydawała się bardziej zaciekawiona niż wroga. Miała zadziwiająco jasne niebieskie oczy.

– Hanna! – Zawołała ostro przez ramię jej towarzysza. Młoda Orlica oderwała wzrok od Alaina, szybko rzuciła okiem na psy, a potem pojechała na wzgórze.

– Czy to prawda, Wasza Świątobliwość? – spytała Tallia.

– Co? – Antonia odzyskała swój zewnętrzny spokój. – Chodź, dziecko, musimy odjechać na tyły. Bitwa niedługo się zacznie.

– T... te rzeczy, które mówiliście. O królu Henryku.

– Oczywiście, że to prawda. Dlaczego miałabym mówić nieprawdę?

– Och – rzekła Tallia i umilkła.

Pokornie pozwoliła Heribertowi odprowadzić się do matki. Kiedy dotarli do Sabelli, Willibrod odebrał od Alaina wodze muła. Tallię odprowadzono na tyły, do wozów z zaopatrzeniem, gdzie ci, którzy nie walczyli, czekali na wynik bitwy. Jeden z wozów przyprowadzono na pierwszą linię. Było to niezwykle także z tego powodu, że Alain rozpoznał wóz, na którym stała zasłonięta klatka z guivre’em.

– Nie widziałas ani śladu Smoków? – spytała Sabella.

– Nie. A nigdy nie słyszałam, aby Smoki się ukrywały. Zawsze jeżdżą w awangardzie.

– Może i jest kurwim bękartem – rzekła Sabella wrogo – ale Sanglant nie jest tchórzem.

Co z resztą?

– Nikogo nie widziałam.

– Żadnego z dzieci Henryka?

– Żadnego.

Sabella zmarszczyła brwi.

– To niedobrze. Liczyłam, że złapię jedno albo wszystkie na zakładników. Gdybym miała je w moich rękach, posłużyłoby to mojej sprawie.

Odpowiedź Antonii była tak cicha, że tylko Alain – i może Heribert – ją słyszeli.

– Lepiej by ci posłużyły martwe.

Kapitan Sabelli nadjechał z wieścią, że ludzie Rodulfa byli gotowi.

– Wasza świątobliwość, udajcie się na tyły – nakazała Sabella Antonii. Nałożyła hełm na kolczy kaptur i zapięła rzemień. Obok niej powiewał sztandar Arconii niesiony przez jednego z żołnierzy: zielony guivre z rozłożonymi skrzydłami, trzymający w lewej łapie czerwoną wieżę na złotym polu. – Nie mogę sobie pozwolić na utratę ciebie.

– A co z naszymi gośćmi? – Biskupina spojrzała z uśmiechem na Konstancję i Agiusa.

– Zabierz ich z sobą. Są zbyt cenni, by ich narażać podczas bitwy.

Antonia dała znak i Konstancję z Agiusem odprowadzono pod strażą.

– Idziemy – powiedziała do orszaku. Zaczęli się wycofywać. Alain zawahał się. – Chodź, dziecko – rzekła Antonia, kiwając na niego. – Ty też będziesz mi towarzyszył.

Sabella zauważyła jego wahanie.

– To jeden ze zbrojnych Lavastine’a, prawda? Czas, żeby wrócił do orszaku swego pana.

– Ale...

– Rób, co mówię – ucięła Sabella, która nie miała czasu na kłótnie.

Antonia stanęła. Jej twarz stała się nieruchomą maską. A potem, jak słońce wychodzące zza chmur, uśmiechnęła się swym dobrotliwym uśmiechem.

– Jak sobie życzysz, moja pani. – Nie skłoniła się, ale poddała. Sabella nie była marionetką. Antonia mogła kontrolować Lavastine’a, ale nie miała władzy nad córką Arnulfa.

Kiedy Antonia odeszła, przestano zwracać na Alaina uwagę, choć paru żołnierzy odepchnęło go i nakazało znaleźć sobie miejsce, by potem, kiedy psy na nich warknęły, przeproszać. Kreślili Krąg na piersiach, jakby był diabelskim nasieniem.

Cofnął się na koniec. Sabella miała w swej kompanii ponad setkę dobrze uzbrojonych kawalerzystów i pewnie dwa razy tyle piechociarzy; wszystkich razem, wedle obliczeń Heriberta, było około sześciuset. Ale armia Henryka była większa, a król miał więcej ciężkiej jazdy, niż jakikolwiek lord. Piechoty, Lwów, była jedna centuria, ale wedle raportu większość Lwów broniła wschodniej granicy przed Qumanami i innymi barbarzyńcami.

Alain dreptał na tyłach. Słyszał skrzyp skóry, kiedy żołnierze się poruszali, czekając, przewidując pierwszy krok. Na wzgórzu nie poruszał się żaden człowiek Henryka. Alain mógł widzieć czerwony sztandar powiewający na tle białych chmur, ale głowy – niektóre w hełmach, niektóre w misiurkach, inne gołe – żołnierzy Sabelli zasłaniały mu widok.

Czy tak staczano bitwy? Czy istniała jakaś strategia, czy też obie strony po prostu czekały, aż dowódca stracił cierpliwość albo nerwy i posłał swych ludzi naprzód lub nakazał odwrót?

Między lewym skrzydłem piechoty Sabelli, a prawym skrzydłem ludzi Lavastine’a otworzyła się wyrwa. Ludzie stali, przyciskając broń do boków, aby oprzeć ciężar tarczy na biodrach. Większość z nich miał oszczepy; paru chłopów znalazło gdzieś miecze.

Kiedy Alain biegł przez otwartą przestrzeń, ku schronieniu między ludźmi Lavastine’a, spojrzał na armię Henryka. Ujrzał ruch na pierwszej linii; a potem, nagle, niebo pociemniało od strzał. Większość spadła, nie czyniąc szkody, przed żołnierzami Sabelli; część za. Kilka trafiło w cel. Ale kiedy mężczyźni przeklinali, a jeden krzyczał z bólu, łucznicy Sabelli wycelowali i spuścili cięciwy.

Musieli podnieść łuki wyżej, aby wycelować we wzgórze, jednak wywołało to zamierzony efekt. Przez armię Henryka przebiegła fala, kiedy strzały dotarły do celu. Armia się poruszyła.

Konie pogalopowały naprzód. Henryk wysłał swych harcowników, konnych uzbrojonych w oszczep i tarczę albo i sam oszczep. Galopowali naprzód, rzucali oszczepami, zawracali i uciekali z zasięgu strzał, tylko po to by wrócić...

Alain biegnący wzdłuż ostatniego szeregu wojska ujrzał plecy Lavastine'a i czarne futro jego psów w momencie, kiedy spomiędzy żołnierzy otaczających sztandar Sabelli podniósł się krzyk. Piechota ruszyła truchtem przez pole dzielące obie armie. Ciągnęli ze sobą zakrytą klatkę.

– Hejże! Za Henryka! – wrzasnęła armia na wzgórzu.

Alain przepchnął się do Lavastine'a. Hrabia nawet nie dostrzegł chłopaka, tak był zaabsorbowany bitwą. Dwudziestu harcowników z jego lewej flanki wyjechało, by zetrzeć się z harcownikami przeciwnika. Spod sztandaru Saony oderwała się grupa jeźdźców i w rozsypce pognęła do lasu.

Lavastine rozejrzał się i znalazł kapitana.

– Wyślijcie za nimi ludzi – powiedział.

Kolejny krzyk odezwał się z armii Henryka. Król ujechał kilka kroków i podniósł lancę.

– Lanca świętej Perpetui – wymamrotał Lavastine, Alain nie wiedział do kogo.

Święta Perpetua. Pani Bitew.

Alain sięgnął ku szyi, znalazł różę. Król Henryk miał ze sobą lancę świętej Perpetui, relikwię starą i błogosławioną. Czy to nie sama Pani Bitew przybyła do Alaina, zwykłego syna kupca, tego burzowego dnia nad zatoką Osny? Czy to nie Pani Bitew zmieniła jego przeznaczenie?

Nie mógł sobie wyobrazić, w jakim celu został tu przywieziony, tego dnia, tej godziny i tej chwili.

Armia Henryka poczęła zbiegać ze wzgórza, nabierając szybkości, aby dzięki ciężarowi przedrzeć się przez linie Sabelli. A pierwszymi na jej drodze była grupka piechociarzy, ciągnących pod górkę zakrytą klatkę.

Klatka chwiała się, podskakiwała i trzęsła. Jedno koło utknęło. Żołnierze Henryka nabierali siły i szybkości. Kapitan Sabelli krzyknął ostro i podniósł białą flagę machając nią. Piechota ruszyła.

Lavastine podniósł ramię. Alain zaś zagubił się, kiedy dwie armie pędziły na nieuniknione spotkanie. Smutek i Furia skomlały. Zachwiał się, niepewny dokąd pójść, gdzie się znaleźć, co robić. Nawet nie był uzbrojony, miał tylko nóż. Co miał robić?

Cofnął się i nie mógł już niczego dojrzeć oprócz sztandarów, flag i plamy chaotycznego ruchu na wzgórzu.

Ale wiedział natychmiast, kiedy zderzyły się pierwsze linie. Był to hałas niepodobny do żadnego, który słyszał w życiu, tym gorszy, że okrutny szczepek mieczy i oszczepów przerywały nagle, przesywające okrzyki śmiertelników.

Pomyślał o ostrzeżeniu Rodulfa i odpowiedzi Sabelli: „Tym razem okaże się zbyt mała”.

Jak mogła liczyć na wygraną z większą i lepiej uzbrojoną siłą?

Nie wiedział, czy klatkę otwarto specjalnie, czy przypadkowo podczas ataku. Widział, że to nastąpiło, ponieważ w tej chwili z samego środka bitwy podniósł się z setek gardeł krzyk, który zmroził mu serce w piersi. Nie mógł złapać tchu tak długo, że zakrztusił się, kiedy Furia uderzyła go od tyłu, wytrącając z omdlenia.

Ujrzał, poprzez chaos ścierających się żołnierzy, poprzez ścisk ciał mężczyzn, którzy zamierzali biec naprzód lub uciekać, jak się wznosi w wiosenny dzień niby ptak lecący ku niebiosom i wolności.

Tylko po to, aby zostać ostro osadzonym, niemal rzuconym na ziemię, przez wielką żelazną obręcz, która mocowała nogę do ciężkiego metalowego łańcucha, ciężaru, który łączył go z ziemią i niewolą. Wywrzeszczał swój gniew i wyprostował się, ciągle w powietrzu, zrzucając swymi olbrzymimi skrzydłami ludzi z koni.

Ciągle wydając z siebie ostry, podobny do orlego krzyk, guivre rozejrzał się po polu. I wszędzie tam, gdzie ludzie specjalnie lub przez przypadek napotykali jego wzrok, zamierali, niezdolni do ruchu. Wszędzie, prócz armii Sabelli, której żołnierze nosili amulety z taką pieczołowitością zrobione przez kleryków Antoni.

Rozpoczęła się rzeź.

3.

Król Henryk był człowiekiem, który nic nie zostawiał przypadkowi.

W dziwny sposób przypominał Hannie jej matkę, panią Birtę. Posiadał twardą, pragmatyczną część osobowości, a jednak jak każdy inny człowiek dawał pełny wyraz swoim uczuciom. Ale dla Hanny najważniejsze było to, co o Henryku powiedziała Hathui tego samego wieczoru, kiedy przybyły na dwór króla w Hersfordzie i zostały przyjęte do jego osobistego orszaku: „Nasz król to dobry człowiek i dumna jestem, że mogę mu służyć”.

Hathui, z silnym poczuciem niezależności właściwym ludziom z marchii, nienawidziła służyć komukolwiek. Fakt, że Henryk tak szybko zyskał lojalność Hathui, był wedle Hanny przejawem jego królewskości. On był prawdziwym sercem królestwa, nie żadne miasto, żadne święte miejsce czy pałac albo forteca.

Teraz, siedząc na koniu, kiedy Villam zdawał królowi relację z katastrofalnych negocjacji, Hanna się martwiła. Z natury nie była skłonna do zmartwień, ale zmieniło się to przez ostatnie tygodnie, odkąd ona i Hathui zmuszone zostały porzucić Liath. Hathui mogła sobie twierdzić, że wiedziałyby, gdyby coś stało się Wilkunowi i Manfredowi. Hannę zjadał nieustanny, dręczący lęk. A jeśli Liath przydarzyło się coś strasznego? Hanna przysięgła chronić Liath i teraz tę obietnicę złamała.

„Chociaż nie z twojej winy”. Czy tak nie powiedziałaby Birta? Czy tak nie powiedziałyby sama Liath?

Ale Hanna mogła myśleć tylko o złamanych ślubach, kiedy patrzyła ku armii Sabelli, rozciągniętej pod nimi. Przymknęła oczy, a teraz była daleko od niej. Sabella, wedle wszystkich, złożyła przysięgę Henrykowi i teraz ją złamała. „Przez moje czyny” pomyślała Hanna „należę do strony Sabelli”.

A potem, wściekła na siebie za tę śmieszna myśl, westchnęła desperacko. Obwinianie się nie miało sensu. To nie ona była wodzem Eików oblegających Gent. Nie ona prosiła Eików, żeby zaatakowali pięć Orłów. Owszem, spadła z konia i skręciła kostkę, ale nie była wszak doświadczonym jeźdźcem. Ona i Hathui przyniosły Henrykowi wieść o oblężeniu tak szybko, jak mogły. Zrobiła, co w jej mocy i musiała żyć z konsekwencjami. To nie była jej wina, tylko Sabelli, że Henryk nie mógł natychmiast wyruszyć do Gentu.

To Liath martwiła się bezustannie i bez powodu, zastanawiając się, co zrobiła źle, zamiast zaakceptować fakt, że czasami nic nie robisz źle, a i tak masz pecha. Tak był urządzony świat, chociaż pewnie diakonisa Fortensja mogłaby powiedzieć, że to pogański sposób myślenia.

Ale Hanna i reszta jej rodziny nadal kładła kwiaty u stóp pewnych drzew w lesie i ofiarowywała girlandy źródelku wytryskującemu ze skały. Oczywiście, wierzyła w Pana i Panią, i Krąg Jedności. Ale to nie znaczyło, że stare duchy przestały zamieszkiwać świat. Po prostu się ukryły.

Stare duchy – jak ten chłopak, który trzymał cugle białego muła biskupiny i patrzył na nią tak dziwnie. Wyglądał dziwnie, elfio. A te psy! Nie były brzydkie, w przeciwieństwie do bydła Eików, ale wyglądały na równie zabójcze; jednak siedziały obok niego jak słodkie szczeniaki. Oj, wiele było dziwnych rzeczy chodzących po ziemi, jeśli tylko się dobrze patrzyło.

– Młoda Orlica...

Potrząsnęła głową i zaczęła słuchać króla.

– Będzie towarzyszyła Sapientii. Ona wie, co robić. Odzyskam Konstancję, zanim Sabella się wycofa i weźmie ją ze sobą jako więźnia.

Henryka otaczała centuria Lwów. Hanna rozejrzała się i znalazła szerokie plecy Karla; kiedy wyciągnęła szyję, mogła dostrzec jego profil. Nie zauważył jej. Wraz z kompanami patrzył w dół wzgórza, na niespokojną armię Sabelli. Lwy były gotowe do bitwy.

Henryk i Villam skończyli konsultacje. Hathui odjechała z wiadomością dla Theophanu, która została z zaopatrzeniem. Henryk, zawsze ostrożny, zostawił wozy i tych, którzy nie walczyli, w obwarowanym mieście Kassel.

Hannę wysłano na tyły w las. Henryk wybrał to pole, by stoczyć bitwę, z powodu ukształtowania terenu. Zgadując, że Sabella przyprowdzi swoje wozy i nie zostawi ich w Arconii, ukrył około osiemdziesięciu jeźdźców w lesie i zlecił dowództwo nad nimi Sapientii, przydając jej doświadczonego kapitana. Ukryci przez drzewa i zamieszanie przed bitwą, mieli zaatakować prawą flankę i przebić się do wozów, uwalniając Konstancję.

„Albo powodując, że ją zabiją” pomyślała Hanna, ale przypuszczała, że Henryk wolałby

widzieć swą siostrę martwą, niż w niewoli. W końcu tak długo, jak żywa Konstancja pozostawała w rękach Sabelli, była bronią, której można użyć przeciw królowi.

Tak w każdym razie wytłumaczyła to Hathui. Ale Hathui wychowała się w kotle, jakim były pogranicza, pogrążone w wiecznej wojnie. Tam, jak powtarzała jastrzębionosa Orlica, prędzej zabijano swe dzieci, niż pozwalano im wpaść w ręce Qumanów.

Sapientia wyglądała jak chart trzymany na krótkiej smyczy: chętna do biegu. Była tak mała, że Hanna dziwiła się, iż Henryk pozwolił jej walczyć.

Oczywiście każdy dorosły walczył w pewnych okolicznościach, podczas oblężenia czy napadu na wioskę; głupotą byłoby marnować silnych. Ale kobiety – pobłogosławione przez Panią darem dawania życia – nieczęsto dołączały do oddziałów zbrojnych. Te, które poświęcały życie świętej Perpetui lub świętej Andrei – Wojowniczkom Boga – odwracały się od małżeństwa i dzieci, jak Hathui. Inne z powodu niezwykłego wzrostu czy siły służyły rok czy dwa u pana, dopóki nie wróciły do domów i nie podjęły dawnego życia.

Dla szlachcianki wymiganie się od bitwy nie było żadnym wstydem: po to miała męża i braci. Jej pierwszym obowiązkiem było administrowanie majątkiem i rodzenie dzieci, aby ród przetrwał. A Sapientia była niezwykle mała, więc Hanna – biegająca z posłaniami od Henryka – była świadoma trudu, jak zadali sobie król i płatnerze, aby wykuć jej przyzwoitą zbroję.

Ale Sapientia chciała walczyć, prowadzić własny oddział. A Henryk pozwolił jej na to, bo – jak podejrzewała Hanna – musiał coś przez to udowodnić. Najprawdopodobniej to ona miała coś udowodnić jemu. Nikt nie mógł zostać władcą, jeśli nie potrafił poprowadzić wielkich książąt i ich wojsk do bitwy.

– Kiedy ruszymy? – zapytała Sapientia, a stary kapitan przemówił do niej uspokajająco.

Z pola Hanna usłyszała żołnierzy podnoszących głosy w wielkim:

– Hejże! Za Henryka! – To był sygnał.

Sapientia podniosła rękę i ruszyła, okrążając drzewa. Hanna zacisnęła dłoń na oszczepie. Jechała z tyłu, chroniona przez żołnierzy; nikt nie oczekiwał, że Orzeł będzie walczył, chyba że napotkają przeważające siły wroga. Jednak wciąż się denerwowała. Próbowwała przebić wzrokiem drzewa, podskakując za każdym razem, kiedy nowy pień pojawiał się w zasięgu wzroku. Na szczęście żołnierze blisko niej zbyt byli skupieni na tym, co ich czekało, by zauważyć, jak była nerwowa. Może sami się denerwowali, ale wątpiła w to. Ponieważ był to jej pierwszy oddział, Henryk dał Sapientii doświadczonych żołnierzy, z których większość służyła na wschodzie. W końcu, jeśli rajd się powiedzie, mogli otoczyć prawą flankę Sabelli albo i wziąć tyły, zapobiegając ucieczce.

Z daleka, pomiędzy drzewami, Hanna usłyszała zmianę w hałasie na polu. Jeden z żołnierzy obok mruknął:

– Starli się – do towarzysza.

Jechali, skręcając w prawo. Nad odległy zgiełek bitewny wzniósł się straszliwy skrzek.

– Co to było? – zapytał jeden z żołnierzy.

Ale potem jeźdźcy na czele ruszyli galopem. Zwietrzyli łup. Ich proporczyki łopotały na wietrze jak strumienie czerwieni i złota.

Przed sobą Hanna ujrzała linię wozów, ustawionych w dwa rzędy i przerwę między nimi, gdzie mogli się schronić ci, którzy nie walczyli. Zadziwiające, Sabella zostawiła tylko symboliczną straż. Kilka strzał przecięło niebo, jak za późne ostrzeżenie.

– Hailililili! – wrzasnęła przesywając Sapientia; jej żołnierze rozproszyli się i uderzyli w linię wozów, angażując w tuzin szybko zakończonych potyczek.

Hanna trzymała się z tyłu, patrząc. Hathui kładła jej to do głowy przez ostatnie dziesięć dni, kiedy jechały na zachód na spotkanie z Sabella.

– Jesteś królewskimi oczami i uszami. Patrzysz i zapamiętujesz, co się dzieje. Nie masz grać bohaterki. Masz przeżyć i przynieść świadectwo.

Ale tu nikt nie grał bohaterów. Oddział Sapientii łatwo opanował wozy i zaczął krępować jeńców, szukając biskupiny Konstancji. Z lasu po drugiej stronie dobiegł krzyk. Hanna podjechała bliżej, aby się przyjrzeć.

Tam! Pomiędzy drzewami zobaczyła jeźdźców, ale nie mogła ich zidentyfikować. Kapitan Sapientii wziął dwudziestu ludzi i ruszył za nimi.

W tym momencie ktoś chwycił cugle jej konia i szarpnął. Uniosła oszczep i wycelowała...

We fratra.

Gapił się. Miał surową twarz. Jego warga krwawiła.

– Daj mi swego konia! – zażądał. To nie był pokorny braciszek. Po niemal dwudziestu dniach na królewskim dworze Hanna rozpoznawała szlachecką arogancję na pierwszy rzut oka.

Zawahala się. W końcu nosił szaty fratra.

– W jakim celu? – zapytała. – Jesteś wśród wozów Sabelli...

– Jestem jej więźniem, nie sprzymierzeńcem.

– Skąd mam wiedzieć?

W oddali ohydny skrzek rozległ się znowu, a po nim nastąpił dziwny odgłos, niby okrzyki triumfu i jęki pokonanych złane w jedno, niby bitwa zmieniona w rzeź.

Frater warknął gniewnie, złapał ją za ramię i ściągnął z konia. Uderzyła twardo o ziemię i straciła mowę. Koń zapłasał, ale frater ściągnął cugle i kiedy Hanna próbowała się pozbierać, wsadził stopę w strzemień i wskoczył na siodło. Kopnął konia i w powiewających wokół ud szatach odjechał ku bitwie. Pani! Był bosy!

Dyszając, Hanna podniosła się na nogi. W lesie spotkały się i zlały dwie siły: dojrzała czerwonego smoka Saony. Przyjaciele, pomyślała, ale natychmiast usłyszała krzyk:

– Jeźdźcy Lavastine'a! Obrót! Obrót i na nich!

O Pani! Co mówiła Hathui? Orzeł na piechotę to martwy Orzeł. Po fraterze i jej koniu zostało jedynie wspomnienie. Ciągłe trzymając oszczep, Hanna pobiegła ku wozom.

4.

To było to. Alain widział teraz wszystko z jasnością zaćmioną tylko przez krzyki i jęki żołnierzy zagubionych, przerażonych, uciekających albo otepiałych od mordowania.

Żołnierze Henryka – schwytani przez wzrok guivre'a – byli jak rzeźne świnie, którym, kwiczącym, podrzynano gardła. To nie była bitwa, uświęcona przez Pana Zastępów, który nie waha się wznieść Miecza Sądu. To była masakra.

Alain całym swym sercem wiedział, że to było złe. Guivre krzyczał szaleńczo, próbując się uwolnić, waląc na oślep skrzydłami. Pierwsza linia jazdy Sabelli wspinała się na wzgórze, powoli, bo tak łatwo było zabić żołnierzy Henryka, bo trzeba było przechodzić ponad martwymi i umierającymi i końmi, które padły w trawę. Na dalekiej prawej flance wrzała bitwa, ale sztandar Fesse zatrzęsł się i zaczął cofać.

Na wzgórzu pół centurii Lwów ruszyło na spotkanie z armią Sabelli. Reszta nie mogła drgnąć. Za nimi siedział na koniu nieruchomy Henryk. Czy patrzył i czekał? Czy też dosięgło go spojrzenie guivre'a?

Jezdni ścierający się z żołnierzami Lavastine'a próbowali ich odepchnąć, aby mogli ruszyć na pomoc Henrykowi. Alain pobiegł, przedzierając się przez padłych w pierwszym starciu łuczników i oszczepników. Używał łokci, a Furia i Smutek szarpały i gryzły, by otworzyć dla niego przejście, ku ich siostrom i braciom, czarnym ogarom otaczającym Lavastine'a.

Alain dotarł do hrabiego, który na tyłach obserwował przebieg bitwy. Alain złapał strzemień i pociągnął. Lavastine spojrzał na niego. W jego oczach nie pojawił się błysk rozpoznania.

Jaka choroba, taki lek. Pomodlił się do Błogosławionej Paniienki o siłę. Potem złapał za kolczugę Lavastine'a i pociągnął z całej siły.

Ponieważ hrabia się tego nie spodziewał, stracił równowagę. Alain poprawił chwyt na jego ramieniu i ściągnął go z siodła. Lavastine upadł.

A Alain poczuł między łopatkami ostrze oszczepu. Opadł na kolana i obejrzał się.

To był sierżant Fell.

– Znacie mnie, sierżancie! – wrzasnął Alain. – Wiecie, że hrabia się dziwnie zachowuje. To jest złe! Nie powinniśmy tu być!

Fell zawahał się. Kapitan Lavastine'a, widząc hrabiego na ziemi, zawrócił z pierwszej linii. Psy natychmiast otoczyły Alaina, warcząc i trzymając wszystkich z dala. Nikt nie odważył się ich zaatakować. Alain znalazł różę i wyjął ją.

– Błagam, Pani Bitew, przyjdź mi z pomocą – wyszeptał. I przeciągnął kwiatem po białych wargach Lavastine'a, tuż pod hełmem.

Za sobą słyszał zgiełk bitwy. Tutaj był chroniony, w wirze, otoczony przez czarną ścianę psów. Smutek polizał Lavastine'a po twarzy; hrabia otworzył oczy. Zamrugał i przesunął dłonią po hełmie, jakby po raz pierwszy go wyczuwając. Potem siadł. Alain złapał go pod

ramiona, a psy rozstały się, przepuszczając sierżanta Fella. Razem podnieśli hrabiego na nogi.

– Co to jest? – zapytał Lavastine, gapiąc się na otaczający ich chaos, jego oddział walczący z jeźdźcami z Saony. Sztandar Fesse się cofał. W środku flaga Sabelli poruszała się do przodu, aż napotkała sztandar Lwów. Guivre zaskrzeczał. Sztandar Lwów złamał się i zniknął z pola widzenia. Henryk, otoczony tylko przez gwardię przyboczną, nie poruszył się.

Kapitan pognął konia przez kłęb ludzi i psów. Sierżant Fell puścił hrabiego i chwycił uzdę, zanim koń stanął dęba. Guivre denerwował wszystkie konie i płoszyły się przy każdym hałasie.

– Walczymy z Sabellą przeciw Henrykowi – powiedział kapitan.

– Nie ma mowy! – wrzasnął Lavastine. – Wszyscy moi ludzie, wycofać się!

Rozkaz przeleciał po oddziałach jak ogień. Lavastine dosiadł konia i wycofał się; krok po kroku jego żołnierze wycofywali się z bitwy, aż w końcu dowódcy z Saony zorientowali się, co się dzieje i pozwolili im odejść.

Ale środek wojsk Henryka padł. Sabella załatwiła połowę Lwów, a Henryk nadal się nie ruszał. Kiedy żołnierze Lavastine'a znikali z pola, Alain stał, aż w końcu został sam pomiędzy trupami i patrzył, jak saońska jazda obraca się i rusza na pomoc królowi. Patrzył, jak guivre skręca się, walcząc z wiatrem i łańcuchem, patrzy, jak jego złowrogi wzrok przemyka po szeregach żołnierzy Saony. Patrzył, jak połowa kompanii Sabelli uderza w nowy cel.

Z szeregów Fesse poleciało kilka strzał i oszczepów; zsunęły się po łuskowatym grzbiecie guivre'a nie robiąc mu szkody. Wokół stworzenia było pusto; żołnierze Sabelli, chronieni przed spojrzeniem, dali mu szerokie pole. Nikt nie wchodził w zasięg jego szponów, zakreślony długością łańcucha, przykuwającego go do żelaznej klatki.

Powoli, żołnierze Henryka ginęli albo wycofywali się ku królowi – ostatniemu bastionowi.

Róża wypadła ze zmartwiałych palców Alaina. Nie mógł już tego znieść. Nie potrafił ocenić słuszności zarzutów Sabelli wobec Henryka. Ale wiedział, że wygrywanie w ten straszliwy sposób nie było słuszne. Zamordowali Półgłówa, aby zyskać poparcie Lavastine'a. Żołnierze Henryka nie mogli walczyć, i zamiast mierzyć się jak równy z równym, byli ścinani jak zboże.

Pobiegł przez pole, potykając się o ciała, przeskakując nad tymi, którzy się wili albo próbowali dopełznąć w bezpieczne miejsce. Biegł ku guivre'owi i zatrzymał się tylko raz, aby wziąć miecz z bezwładnej i zakrwawionej ręki szlachcica. Nawet nie zauważył jego twarzy.

Ale inna postać dotarła do guivre'a przed nim. Ktoś inny, dosiadający bułanego konia. Mężczyzna zeskoczył z wierzchowca i klepnął go w zad. Koń uciekł.

A frater – bo to był frater Agius, Alain widział to teraz, kiedy biegł, zdając sobie sprawę, że przybędzie za późno – bez lęku wszedł w zasięg szponów guivre'a.

Ten wrzasnął z wściekłości i szału, ale pochylił się i zanurkował. Wygłodzony i od dawna oszalały z powodu zamknięcia i bólu rozkładającego się ciała, przyjął ofiarowany mu żer.

Agius zniknął pod ulewą twardych jak metal skrzydeł i ostrych szponów. Guivre opuścił głowę, by jeść.

Armia Henryka – to, co z niej zostało – i sam Henryk wrócili do życia. Z okrzykami wściekłości, doprowadzeni niemal do szału przez to, co widzieli i czemu nie mogli zapobiec, zaatakowali armię Sabelli, która rozpadła się podczas pokonywania wzgórza, mordując łatwe cele. Żołnierze z Fesse i Avarii przegrupowali się i runęli na przerzedzony oddział diuka Rodulfa. Oddziały z Saony cofnęły się, ustawiły i ruszyły na osłabione centrum Sabelli.

Alain biegł do guivre'a. Pierwsi z żołnierzy Sabelli, zaskoczeni takim odwróceniem ról, przemykali obok niego. Ignorował ich, choć Smutek i Furia kłapały zębami i warczały, chroniąc swego pana, aby nikt nie próbował go zatrzymać.

Ale dlaczego ktokolwiek miałby go zatrzymywać? Guivre był ogromny, blisko, przygarbiony kształt wysokości dwóch mężczyzn. Słońce odbijało się w jego łuskach i pożerał z żarłocznością zwierzęcia, któremu długo odmawiano tej przyjemności. Alain nadszedł od tyłu, zamierzył się, ale nie uderzył. Potwór pozostał obojętny na jego obecność. Usłyszał gruchotanie kości i – o Pani! – straszliwy krzyk, który wzniósł się do zdławionego skomlenia i nagle się skończył.

Zatoczył koło. Robaki wypadły z chorego oka bestii i zsuwały się na ziemię. Z tej strony nie widział nadchodzącego Alaina. A poza tym zbyt był zajęty uctowaniem.

Uniósł miecz, kiedy usłyszał za sobą ostrzegawczy krzyk, a potem okrzyk z daleka: „Hailililili!” i grzmot kopyt, wrzaski przerażenia, niosące imię Rodulfa, i znów: „Henryk! Za króla Henryka!”

Z całą siłą uderzył w kark bestii. Wrzasnęła, ogłuszając go, i podniosła swój wielki brzydki łeb znad tego, co zostało z Agiusa. Guivre najpierw spojrzał w drugą stronę, potem, obracając się, załopotał skrzydłami; Alain padł na ziemię. Bestia była niezgrabna, nie potrafiła poruszać się po ziemi; miała tylko parę szponów i skrzydła.

Sięgnął po Alaina, spudłował, bo go nie widział, potknął się, bo był chory i ledwo utrzymywał równowagę. Alain odtoczył się i uniósł miecz, ustawiając go ostrzem w górę. Wstał, jego pięta napotkała opór, padł na kolano. Spojrzał za siebie.

Guivre otworzył brzuch Agiusa, by dostać się do miękkich wnętrzności. Oczy fratra spoczęły na Alanie; Agius ciągle żył.

Guivre wykrzyczał swą wściekłość i znalazł oparcie. Jego cień zakrył Alaina i umierającego Agiusa.

Ale, oczywiście, jak powiadały baśnie, każda bestia miała swój słaby punkt. Alain nie czekał, tylko wbił miecz głęboko w nieosłoniętą pierś bestii.

Trysnęła krew, spadając na niego jak ognisty prysznic. Puścił rękojeść, odskoczył, chwycił Agiusa i odciągnął go, kiedy guivre wiał się w drgawkach. Plując i kaszłąc, osłepiony

przez gorącą piekącą krew, ciągnął fratra w tył. Guivre upadł, a impet zwałił Alaina z nóg. Upadł na Agiusa. Guivre zadrżał raz i znieruchomiał.

Agius wyszeptał coś, jedno urywane słowo, a potem następne. Alain schylił się zapłakany; bolały go ręce. Uderzył go jakiś kształt; Furia zaczęła oblizywać jego twarz i dłonie. Próbował ją odpędzić. Nie mógł skoncentrować się na Agiusie.

– Uwolnij Białą Łanię – wyszeptał Agius. – O Pani, spraw, by to poświęcenie uczyniło mnie godnym naśladowcą Twego Syna. – Jego oczy wywróciły się, wzdrygnął się raz, jak guivre, i skonał.

Smutek szturchnął Alaina. Pies miał coś w pysku. Furia zlizwała krew guivre'a z oczu Alaina, ten zamrugał i po raz pierwszy zdał sobie sprawę ze słonecznego blasku zalewającego pole bitwy i chaosu wokół: sztandar Sabelli cofał się coraz bardziej. Szala zwycięstwa się przechyliła. Wraz ze śmiercią guivre'a, ich symbolu, żołnierze Sabelli stracili ducha i teraz uciekali.

Alain poczuł lekkie ukłucie ciernia w policzek. Podskoczył i ujrzał Smutka, niosącego w pysku różę przyniesioną z drugiego końca pola bitwy. Jej płatki ściemniały do krwistej czerwieni, jak krew Agiusa nadal płynąca na ziemię.

Alain ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

Rozdział czternasty

Obietnica władzy

1.

Rosvita nie mogła się skupić; czekała. Przemierzała salę biesiadną, ozdobę pałacu zbudowanego przez pierwszego diuka Fesse jakieś osiemdziesiąt lat temu. Co chwila podchodziła do wielkich drzwi, z których roztaczał się piękny widok na Kassel, leżący u stóp wzgórza, na którym wzniesiono pałac. Wielki błękitno-szary kamień wieńczył framugę monumentalnych drzwi. Kiedy Rosvita patrzyła w górę, widziała figurki i wzory wyłobione w kamieniu, z konturami zatartymi przez czas.

Ulice miasta ozdabiało jeszcze kilka zabłoconych proporczyków. Kiedy Henryk i jego armia weszli do Kassel, miasto nadal leczyło kaca po zgiełkliwej wigilii świętego Mikhela, która przypadła cztery dni wcześniej. I chociaż biskupina zdecydowanie występowała przeciw kilku miejscowym zwyczajom, nawet jej nie udało się zlikwidować święta, podczas którego młoda dziewczyna przejeżdżała ulicami Kassel, za odzienie mając tylko włosy – albo, jak w tym przypadku, prześwitującą hałeczkę, ukłon w stronę skromności – a mieszkańcy chowali się w domach i zatraskiwali okiennice, udając, że jej nie podglądają. Po tej procesji wszyscy wylęgali na zewnątrz i pili do upadłego. Rosvita nie była pewna, z jakiego powodu dziewczyna z legendy musiała się tak upokorzyć, pamiętała jednak, że święty Mikhel miał cudownie okryć nieszczęsną dziewczę światłem tak oślepiającym, że ochroniło ją przed spojrzzeniami pogan i bezbożnych.

– Mówią – powiedziała księżniczka Theophanu, podchodząc do Rosvity stojącej w plamie słońca – że ta forteca wzniesiona została na murach dariyańskich umocnień, które z kolei ustawiono na ruinach jeszcze starszego pałacu, zbudowanego z wielkich kamieni przez demony powietrza. – Wskazała zwieńczenie framugi.

– Jak kamienne kręgi – rzekła Rosvita, myśląc o młodym Bertholdzie. – Chociaż niektórzy mówią, że wzniesli je giganci. – Tak twierdził Helmut Villam tego dnia, gdy

odkryli krąg leżących kamieni, a młody Berthold jeszcze chodził po ziemi. O Pani, jaki smutek w sobie nosiła. Ale nie mogła pozwolić, aby nią zawładnął. – Chodźcie – powiedziała do Theophanu. – Poczytamy książkę, którą dostałam od pustelnika, brata Fidelisa. W ten sposób możemy rozmyślać nad życiem świętej, czekając na wieści od króla.

Wróciła do sali, gdzie światło i cień grały między kolumnami i na kasetonach wysokiego sufitu. Palenisko wygaszono; było tak ciepło, że rozpalono tylko w kuchni. Służący odziani w kaftany wyszywane w złote lwy Fesse stali, zdenerwowani, przy bocznych drzwiach. Jeden przyniósł wino, ale oddaliła go gestem. Nie była spragniona.

Młody Ekkehard zasnął na ławie. Jego gładka twarz i łagodny profil przypominały gorzko o Bertholdzie Villamie, którego utracili. Ekkehard był dobrym chłopcem, trochę zanadto gustującym w nocnych ucztach i śpiewaniu z bardami, którzy podróżowali od jednego dworu do drugiego.

– Całe szczęście – powiedziała Theophanu, podchodząc do Rosvity.

– Całe szczęście, że co?

Theophanu wskazała na brata. Ze wszystkich dzieci Henryka, Ekkehard najbardziej przypominał ojca: złotowłosey, z okrągłą twarzą i lekko haczykowanym mocnym nosem. W wieku trzynastu lat był szczupły, wysoki i nieco niezgrabny, z wyjątkiem tych chwil, kiedy grał na lutni, ale taki sam – mówiono – był Henryk w tym wieku, nim wyrósł na szerokiego i potężnego mężczyznę.

– Całe szczęście – ciągnęła Theophanu – że Ekkehard kocha muzykę i przyjemności bardziej niż obietnicę władzy.

Rosvita nie wiedziała, co odpowiedzieć na takie odważne słowa.

Theophanu zwróciła na nią ciemne oczy.

– Czy nie stąd bierze się bunt Sabelli? Z faktu, iż nie jest zadowolona z zarządzania męzowskim księstwem? Że chce więcej?

– Czyż chciwość nie jest źródłem wielu grzechów? – spytała Rosvita.

– Tak uczy Kościół, dobra siostrzyczko – uśmiechnęła się niewinnie księżniczka.

Theophanu była już wystarczająco dorosła, by mieć własny orszak, a jednak ojciec trzymał ją u swego boku, podobnie jak Sapientię, zamiast nadać jej ziemie i tytuł. Czy Theophanu drażniło takie traktowanie? Rosvita nie wiedziała. Czy była zła, że jej siostrze pozwolono towarzyszyć Henrykowi na polu walki i dostała oddział pod komendę? Że ona została, choć była silniejsza i bardziej przygotowana na trudy bitewne? Wyraz twarzy Theophanu i jej myśli pozostały nieodgadnione.

Rosvita odwinęła stary pergamin z Inianego zawoju, w który go zapakowała, i ostrożnie otworzyła go na pierwszej stronie. Pismo brata Fidelisa było delikatne, ale mocne, zdradzając starą szkołę kaligrafowania w pętlach, zakrętasach i inicjałach, na które sobie czasem pozwalał. Saliański charakter pisma, pomyślała Rosvita; wiele książek i manuskryptów w życiu przejrzała i nauczyła się rozróżniać wiele mówiące znaki różnych skrybów lub nawyki,

jakich nabierano w pewnych szkołach klasztornych.

Z szacunkiem dotknęła poźółkłej strony, czując linie atramentu pod palcami niby szept Fidelisa, dochodzący do niej z ogromnego tunelu, poprzez całun lat.

Theophanu usiadła obok i czekała, złożywszy dłonie na kolanach. Rosvita czytała na głos.

– „Pan i Pani zsyłają na kobiety łaskę i wielkość poprzez siły umysłu. Wiara je umacnia, a w tych ziemskich naczyniach ukrywa się niebiański skarb. Jedną z nich jest Radegundis, ta, której życie na ziemi ja, Fidelis, najpokorniejszy i najpodlejszy, próbuję teraz opisać, aby wszyscy mogli usłyszeć o jej czynach i śpiewać hymny na jej cześć. Świat rozdziela tych, którzy byli kiedyś jednością. Tak kończy się prolog.”

Rosvita westchnęła, słysząc w tych słowach Fidelisa, jakby jego głos odbijał się echem w atramencie i docierał do jej uszu. Kontynuowała. – „Tak zaczyna się żywot. Najświętsza Radegundis pochodziła z najwspanialszego ziemskiego rodu...”

Ekkehard parsknął i przebudził się nagle, spadając z ławy na dywany, które ułożyli na podłodze zapobiegliwi służący. W tej samej chwili w drzwiach pojawiła się jedna z dam Theophanu.

– Orzeł! – krzyknęła. – Orzeł nadjeżdża.

Rosvita drżącymi dłońmi zamknęła książkę i zawinęła ją w płótno. Przycisnęła ją do piersi i wstała; jej ręce wciąż drżały, kiedy pośpieszyła ku wielkim drzwiom. Theophanu ruszyła za nią, absolutnie spokojna. Ekkehard gadał coś w podnieceniu, a wokół niego kłębili się służący, pomagając mu wstać. Kasztelanka i reszta służby księżnej Fesse tłoczyła się za Rosvitą i księżniczką.

Orłem okazała się Hathui, młoda kobieta, którą Henryk zaszczycił przyjęciem do swego przybocznego orszaku. Wręczyła lejce stajennemu i uklękła przed Theophanu.

– Wasza Wysokość, księżniczko Theophanu – powiedziała, podnosząc oczy. Miała rzadką zdolność bycia dumną, ale nie arogancką. – Król Henryk przysłał wiadomość, że jego siostra Sabella odmawia pojednania i stoczona została bitwa.

– Jaki jest jej wynik? – zapytała Theophanu.

– Nie wiem. Posłuszna rozkazom, jechałam szybko i nie oglądałam się za siebie.

– Przynieście jej miodu – nakazała księżniczka. Spojrzała ponad miastem. Kassel zbudowano na planie kwadratu, z dwiema szerokimi, prostopadłymi ulicami dzielącymi miasto na cztery równe części. Otaczał je stary mur, prócz term ostatnie świadectwo, że w czasach starego imperium było tu dariyańskie miasto, prawdopodobnie większe i gęściej zaludnione. Teraz wewnątrz murów było miejsce na kilka pól – głównie ogrodów warzywnych, jeden sad i parę pastwisk – pomiędzy ostatnimi domami i bramami. Za murami ciągnęły się łąny żyta i jęczmienia, uprawianego na czerwonej gliniastej górskiej glebie.

Co się stało z tymi wszystkimi ludźmi i ich potomstwem? Czy uciekli do Aosty, do Darre, z którego wyrosło imperium? Czy zginęli, wyniszczeni wojnami, zarazami i głodem, które spustoszyły i spowodowały upadek starego cesarstwa? Czy też po prostu zniknęli i nigdy nie

wrócili, jak biedny Berthold?

Rosvita nie mogła powstrzymać się od rozmyślań. „Wiedza zanadto mnie kusila”, powiedział Fidelis. W takich chwilach uświadamiała sobie z całą ostrością, że też była zbyt ciekawska. Henryk mógł zginąć, a wtedy wszystko, o co walczył, zostałoby stracone. Mógł też popełnić straszliwą zbrodnię mordu na własnej siostrze, tej samej, która – wedle niektórych kronik – sprowadziła zgubę na Cesarstwo Dariyańskie. A ona stała tutaj, zastanawiając się nad historią Kasselu, kiedy pokój i stabilność królestwa były zagrożone!

– Chodźmy – powiedziała do Theophanu. – Usiądźmy i czekajmy.

Księżniczka pokręciła głową.

– Należy osiodłać konie – rzekła cicho. – I zebrać uzdrowicieli. Albo pojedziemy na pole bitwy pomagać rannym, albo uciekniemy.

– Uciekniemy?

Theophanu spojrzała na nią spod ciemnych rzęs, otaczających wielkie oczy królowych z dawnych mozaik. Wyglądała na zbyt opanowaną.

– Jeśli Sabella wygra, ja i Ekkehard za wszelką cenę musimy się jej wymknąć. Musimy być przygotowani na ucieczkę do mojej ciotki Scholastyki w Quedlinhamie.

Rosvita położyła dłoń na piersi i skłoniła się lekko, okazując szacunek księżniczce. Oczywiście, Theophanu miała rację. Polityki uczyła się, siedząc matce na kolanach, a królowa Sophia zgłębiała jej tajniki na dworze Aretuzy, gdzie intrygi spletały się w sieć tak zawikłaną i niebezpieczną, jak na każdym dworze ludzkiego świata.

Takiego zatem wyboru musiał dokonać Henryk, ponieważ już dawno upłynął czas wysłania jednej z jego córek na wędrowną. Musiał wybierać między Sapientią, dzielną i otwartą a jednak zbyt często kierującą się złym osądem, a zimną nieodgadnioną Theophanu, która miała polityczną intuicję, ale brakło jej żywego charyzmatycznego czaru, którym Bóg obdarzał panujących. Jedna była zbyt ufna; drugiej nikt nie ufał. Nic dziwnego, że Henryk marzył o osadzeniu na tronie swego nieślubnego syna Sanglanta.

2.

Najpierw frater, teraz diakonisa.

– Znajdź mi konia!

Kobieta, która zażądała tego od Hanny, mówiła władcym tonem szlachcianki, choć nosiła szaty zwykłej diakonisy, a jej warkocza nie okrywała nawet chusta. Ale Hanna nie mogła nic zrobić. Nie miała konia; odebrał go jej zdesperowany frater.

– Wybaczcie, diakoniso – rzekła, unosząc oszczep na wypadek, gdyby kobieta zamierzała uciec w czasie, kiedy Sapientia i jej oddział odpierali nowy atak. – Ale wszyscy w tych wozach są teraz we władzy króla Henryka.

Ku jej zaskoczeniu diakonisa wybuchnęła śmiechem.

– Oczywiście, dziecko. Nie poznajesz mnie?

Hanna pokręciła głową, gapiąc się na las, mając nadzieję, że dojrzy oddział księżniczki. Pokazało się kilku żołnierzy. Większość na tyłach była unieszkodliwiona, martwa lub ranna, albo pałętała się wokół bez celu z wyrazem twarzy ludzi, którzy kompletnie stracili głowę. Jakies dziesięć kroków od diakonisy leżeli dwaj martwi strażnicy w barwach Sabelli. Pięć wozów dalej Hanna ujrzała nagle wspinającą się na kozioł postać w biskupich szatach.

– O Pani! – syknęła. – To biskupina Antonia.

– Nie może uciec – powiedziała twardo diakonisa. – Znajdź mi konia albo znajdź moją bratanicę i wyciągnij ją z lasu.

„Bratanicę”. Straszna myśl zaświtała w głowie Hanny. Spojrzała uważnie na kobietę i uznała, że to prawda, bo w rysach jej twarzy można było bez trudu dostrzec podobieństwo, szczególnie w kształcie nosa, linii szczęki i przeszywającym spojrzeniu.

Padła na jedno kolano i skłoniła głowę.

– Wybaczcie, Wasza Miłość – rzekła szybko.

– Nieważne! – ucięła kobieta. – Nie chcę, żeby Antonia uciekła. A nie mam broni, żeby ją powstrzymać.

Hanna posłuchała rozkazu. Pobiegła do lasu, pewna, że za moment zostanie stratowana. Ale oddział Sapientii już wracał, otoczony przez żołnierzy czerwonego smoka Saony. Reszta, harcownicy Lavastine’a, najwyraźniej zwiali. Hanna zatrzymała księżniczkę.

– Wasza ciotka, biskupina Konstancja, czeka na waszą ochronę – krzyknęła Hanna, łapiąc wodze spłoszonego wierzchowca Sapientii. Znała się na koniach na tyle, aby uświadamiać sobie, że ten, prócz wrodzonej nerwowości, miał jeszcze jeźdźca o twardej ręce i dostał się w sam środek potężnego zamieszania. – Prosi, abyście powstrzymali biskupinę Antonię przed ucieczką.

Ekspresyjna twarz Sapientii rozpromieniła się.

– Kapitanie! – krzyknęła. – Musisz znaleźć i ochronić Konstancję. Reszta za mną! – Pognała konia tak szybko, że wydarła wodze z rąk Hanny. Trzydziestu żołnierzy ruszyło za nią; reszta została, zmieszana, czekając na potwierdzenie rozkazu. Stary kapitan wymruczał coś, a potem podniósł głos, aby usłyszeli go wszyscy żołnierze.

– Dziesięciu niech wraca do wozów i ochrania biskupinę Konstancję. Mamy tu dosyć żołnierzy. Reszta i Sańczycy, wracać na pole walki i do Henryka. – Zaczęli się ustawiać. Spojrzał na Hannę. – Ty zostajesz z biskupiną. – Kiwnęła głową, szczęśliwa, że może słuchać rozkazów kogoś, kto wiedział, co robić. Ruszyli na pole bitwy, której wyniku nikt nie znał.

Mimo zamieszania spowodowanego porywczym entuzjazmem Sapientii, biskupina Antonia została pojmana, a wraz z nią grupa kleryków. Znaleziono diuka Berengara, wciśniętego wraz z jedynym lojalnym służącym pod wóz; był tak przerażony, że posikał się w spodnie. Hannie zrobiło się go żal, kiedy został postawiony przed surowym obliczem Konstancji, która wraz z czterdziestoma żołnierzami Sapientii objęła kontrolę nad wozami z

zaopatrzeniem. Konstancja okazała mu jednak nie litość, ale obojętność. Hanna szybko zrozumiała, dlaczego: widywała już takie opadnięte szczęki i wybuchy śmiechu w najmniej odpowiednich momentach. Berengar był prostaczkiem i zwykłym pionkiem – lwem w partii szachów. Nie liczył się.

Liczyła się biskupina Antonia, którą, wedle Hanny, raczej ubawiła myśl o byciu na łasce Konstancji. Antonia była miło wyglądającą kobietą, bez śladu zarozumiałości właściwej szlachcie, a raczej pełną radosnej skromności. A jednak podczas paktowania, twarzą w twarz z Villamem, pluła jadem, którego nie było teraz po niej znać.

A pomiędzy klerykami skrywał się kolejny łup.

– Ach – rzekła Konstancja. – Chodź tutaj, Tallio. Nie skrzywdzę cię, dziecko.

Dziewczynę popchnięto w przód. Płakała, jej nos był purpurowy. Nie miała nic do powiedzenia; zdała się na łaskę Konstancji. Ale Hanna nie odrywała wzroku od kleryków Antonii. Byli najgorzej wyglądającą grupą mnichów, jaką w życiu widziała; wszyscy zdawali się cierpieć na ospę, ich twarze i dłonie pokrywały czerwone krosty, a podbródki otwarte rany. Kilku z nich kaszłało słabo, a na dłoni jednego – najgorzej wyglądającego – odjętej od ust widniała plama krwi.

„O Pani!” – pomyślała Hanna. „A jeśli to zaraza?”

– Oddzielić ich od reszty – powiedziała Konstancja, której najwidoczniej przyszła do głowy ta sama myśl. – Ale Tallia i Berengar zostaną ze mną.

– Czy oni są chorzy? – zapytała Sapientia, która w końcu zsiadła z konia po przejeździe w lesie, mającej na celu znalezienie jeszcze jakiegoś przeciwnika. Wróciła i oznajmiła, że wraca na pole bitwy, ale Konstancja osadziła ją rozkazem, a nawet w gorącej wodzie kąpana Sapientia nie odważyła się sprzeciwić biskupinie. Konstancja nie mogła być od niej starsza o więcej niż cztery, pięć lat, ale posiadała władzę znacznie większą niż bratanica.

– Nie wiem, czy są chorzy – odparła. – Ale musimy zachować ostrożność. Słyszałam wiele opowieści o zarazie w Autunie, która spustoszyła miasto jakieś dwadzieścia lat temu. Zabierz ich na bok i trzymaj pod strażą, ale niech nikt ich nie dotyka.

Biskupina Antonia nie zdradzała śladów choroby, podobnie jak stojący obok niej młody kleryk. Ale Konstancja nie miała zamiaru spuścić jej z oka, chorej czy zdrowej.

– Odpowiesz za to, co zrobiłaś, Antonio – rzekła.

– Wszyscy odpowiemy przed Bogiem – odparła rozsądnie Antonia.

Zaalarmował ich grzmot kopyt. Wrócił kapitan Sapientii z resztą oddziału, ale bez saońskich harcówników. Wyraz jego twarzy mroził krew w żyłach.

– Co się stało? – krzyknęła Sapientia.

Antonia uśmiechnęła się, jakby znała odpowiedź.

– Kapitanie – odezwała się Konstancja głosem donośnym, ale spokojnym. – Jakie wieści przynosicie?

Wyglądał na porażonego.

– Pani pobłogosławiła nas zwycięstwem, Wasza Miłość, ale straszliwa to wygrana.

Przez moment triumfująca maska opadła z twarzy Antonii, ukazując coś bardziej wstrętnego, podstępnego i kruchego. Hanna rzuciła okiem na Konstancję, niezmiernie w tej chwili poważną, co było zrozumiałe. A kiedy popatrzyła znów na Antonię, biskupina przybrała już zwykły wyraz twarzy, spokojny i słodki jak miód. Dziewczyna potrząsnęła głową, zastanawiając się, czy przed chwilą nic się jej nie przewidziało.

– Złóżcie raport – rzekła Konstancja. Sapientia zdawała się gotowa do wskoczenia na konia i odjechania w dal, ale kiedy ciotka obrzuciła ją jednym ostrym spojrzeniem, została na miejscu.

Kapitan zsiadł z konia i ukląkł.

– Zwycięstwo jest króla Henryka, ale ciężko okupione. Wielu leży na polu, bo Sabella użyła... – zawahał się. – Przywiodła stworzenie, straszliwą bestię, która zaiste musiała się z diabelskiego nasienia zrodzić, i z pomocą jej magii armia Sabelli wyrznęła połowę albo i więcej ludzi Henryka, o tak, prawie wszystkie Lwy, kiedy stali w bezruchu na polu, złapani w sieć jakiegoś przekłętego czaru.

Sapientia jęknęła głośno. Żołnierze mamrotali z niedowierzaniem i przerażeniem. „Prawie wszystkie Lwy”. Hanna przełknęła łzy.

Konstancja uniosła dłoń. Zapadła cisza.

– Jak więc Henryk wygrał? Jeśli wszystko przebiegło tak, jak mówicie?

– Nie wiem. Tyle tylko, że mężczyzna, frater, rzucił się na bestię, która przestała czarować i zginęła.

Antonia wymamrotała coś, czego Hanna nie dosłyszała. Wyraz twarzy biskupiny pozostał miły, ale oczy stwardniały.

– Niektórzy mówią, że to syn Burcharda, diuka Avarii, ale ledwo mogę w to uwierzyć – Konstancja uniosła dłoń i kapitan zamilkł.

Jedna łza stoczyła się po policzku Konstancji; porwał ją wiatr i zniknęła, jakby nigdy jej nie było.

– Zabierzcie ją z moich oczu – rozkazała, pokazując Antonię. – Ale pilnie jej strzeżcie. – Kapitan, zaskoczony, zerwał się na równe nogi i wykonał rozkaz.

– A co z Sabellą? – zawołała za nim Sapientia. – Uciekła?

– Nie – odpowiedział kapitan, kiedy jego ludzie otaczali Antonię i odprowadzali ją ku wozom. – Villam sam ją schwytał, ale został poważnie ranny. Niektórzy boją się, że umrze. Została więźniem Henryka.

Konstancja zamknęła oczy i pozostała tak, kiedy Antonię zamykano w wozie pod strażą, a Sapientia straciła cierpliwość i kazała przyprowadzić sobie konia.

– Chodź, Orle – zawołała – pojedziesz ze mną.

– Nie – rzekła nagle Konstancja, otwierając oczy. – Jedź, jeśli chcesz, ale Orzeł zostaje ze mną, takie moje prawo – dotknęła złotego torkwesu.

– Prawda – odparła Sapientia z namysłem – twój wierny Orzeł dotarł do nas z Autunu i tak ojciec się dowiedział, że powinien tu przyjechać. – A potem nagle uśmiechnęła się. – Ale jak ojciec może jechać do Gentu, skoro nie ma armii?

– Do Gentu? – zapytała Konstancja. – A po co Henryk miałby jechać do Gentu?

Sapientia spięła konia i odjechała, nie odpowiadając, na pole bitwy, na spotkanie zwycięskiego ojca.

– O Pani – mruknęła Hanna. Była to prawda. Henryk wyruszył z wielką armią, ośmiuset albo i więcej żołnierzami. Mógł zgromadzić ich więcej, ale miesiące zajęłoby zebranie wasali z najdalszych zakątków Wendaru i Varre oraz marchii, a jeszcze więcej dotarcie z nimi do Gentu. Sabella też straciła wielu żołnierzy; ale jak mógł Henryk zaufać panom Varre, którzy powstali przeciw niemu? Mogli odmówić wystawienia armii dla ratowania królewskiego syna, którego nikt nie kochał.

Nie pomyślą o mieszkańcach Gentu i ich cierpieniu. Nie pomyślą o Liath i zagrażającym jej niebezpieczeństwie. Ile królów i książąt obchodziło życie Orłów? Jak miecze, byli tylko narzędziami, których szlachcice używali dla swoich celów.

3.

Król Henryk był w paskudnym nastroju. Po prawdzie, Rosvita nigdy nie widziała go tak wściekłego.

Kiedy w Kassel doszły ich wieści o zwycięstwie, wyruszyli natychmiast i natknęła się na Henryka chodzącego tam i z powrotem, tam i z powrotem przed ustawionym naprędce namiotem, w którym leżał Helmut Villam. Szeptano, że umierał. Wszyscy służący Henryka i niektórzy szlachcice z jego orszaku byli przerażeni i trzymali się co najmniej dwadzieścia kroków od króla. Henryk był zdolny do obrzucenia stekiem niezasłużonych wyzwisk każdego, kto pojawił się w zasięgu jego wzroku.

Theophanu, oceniwszy sytuację jednym rzutem oka, odciągnęła Ekkharda i zaprowadziła go do namiotów, w których leżeli ranni, aby tam pomagać. Hathui, doskonała w sztuce nierzucania się w oczy, zajęła stanowisko u wejścia do namiotu, blisko króla, a jednak tak nieruchoma i wtopiona w płótno, że zdawał się jej nie zauważać.

Roswitę obiegli służący, błagając, aby przywiodła króla do przytomności. Uspokoila ich i wysłała z różnymi ważnymi zadaniami, i w końcu znalazła osobę, która mogła udzielić jej informacji: margrabinę Judith.

Margrabina siedziała na stołku polowym i obserwowała całą scenę z bezpiecznej odległości. Jej służący odganiaли natrętów, więc mogła sączyć wino we względnej samotności i śledzić kroki Henryka. Służący przemknęli w pobliżu króla i zostali przegonieni.

Za nimi Rosvita ujrzała rzeź. Pole zasłane było trupami. Większość rannych zniesiono, ale tyłu ciał nie udało się szybko pogrzebać. Prawdopodobnie po prostu zostawiają je na polu;

zdarzało się to już wcześniej. Mężczyźni i kobiety – szeregowcy oraz mieszkańcy okolicznych gospodarstw – chodzili wśród trupów, rabując kosztowności. Rosvita przypuszczała, że najlepsze łupy zostały już zabrane przez królewskich służących albo przez szlachciców.

Co najdziwniejsze i najtrudniejsze do zniesienia, pośrodku tej rzeźni leżał stwór, wielki i tak paskudny, że wzdragała się na niego patrzeć nawet z takiej odległości. Jego głowa miała średnicę koła u wozu, przypominała groteskowy łeb koguta, ale łuskowate ciało i ogon było gadzie, a szpony orle.

– To guivre – powiedziała Judith nieobecny tonem kogoś, kto wyszedł bez szwanku z katastrofy.

– Guivre! – Rosvita otworzyła szeroko oczy. – Czytałam o tych potworach, ale nigdy nie sądziłam, że jakiegoś ujrę.

Stworzenie leżało, gapiąc się jednym otwartym okiem w błękitne niebo. Jego skrzydła miały metaliczny połysk, przetykany miedzią, a co najgorsze, spod ścierwa wystawało ludzkie ciało. Jakiś głupi złodziej ukradł buty martwego mężczyzny – albo ten nie nosił butów. Małe białe stworzenia przypominające larwy pełzały po ścierwie. Rosvita szybko odwróciła wzrok.

– Co się stało? – spytała Judith.

– Wielka bestia zdechła, jak widzicie – odparła margrabina. Miała krew na kubraku, rozdarcie w kolczudze i nabiegający krwią siniak na prawym policzku. U jej stóp leżał hełm, nieco pogięty. – O Panie. Za stara jestem na to. Koniec z dziećmi, koniec z walką, jak mówią lekarze. Mężczyzna może walczyć długo po tym, jak mu skronie posiwieją, o ile dożyje. A mnie bolą wszystkie kości. Od teraz wysyłam w pole mężów mych córek, jak należy, a jeśli kobieta będzie musiała walczyć, to niech jedna z nich się wybierze!

Rosvita nie wiedziała, co powiedzieć. Oczywiście, widziała śmierć wiele razy, ale nigdy takiej rzezi. Pomiędzy Lwami kłęczała Orlica, szlochając nad ciałem żołnierza.

– To była ostra walka – rzekła w końcu.

– Która? Ta na polu, czy ta, której świadkami byliśmy tuż przed waszym przyjazdem?

– A co to było?

– Kłótnia Henryka z księżną Liutgardą.

Rosvita nie знаła dobrze księżnej Liutgardy – młoda dama rzadko bywała na dworze – ale wiedziała, że posiadała ona legendarny temperament, który, wedle kronik, cechował jej praprababkę, królową Konradinę, słynącą z tego, że kłóciła się równie często, jak brała kochanków, a tych miała w nadmiarze.

– Dlaczego król miałby się kłócić z Liutgardą?

Judith znalazła pod paznokciem zaschniętą krew i skinęła na służącą. Ta przybiegła i zaczęła myć ręce margrabiny.

– Liutgarda była z Villamem, kiedy pokonano straż Sabelli. Walczyli dzielnie...

– Liutgarda i Villam?

Judith uśmiechnęła się z lekkim zniecierpliwieniem.

– Nie ich miałam na myśli. Orszak Sabelli walczył dzielnie i wielu padło, zanim się poddali. Rodulf zginął.

– Diuk Rodulf? To ponura wieść.

– Walczył za Varre, jak zawsze. Sądzę, że bardziej za Varre niż za Sabelle. Niestety, nie mógł się zmusić do zaakceptowania wendarskiego króla.

– Być może jego następcy będą bardziej rozsądni.

– Być może – zawtórowała Judith, wyginając usta w wyrazie raczej powątpiewania niż nadziei.

– Villam został ranny? – spytała Rosvita. Zaczęła się zastanawiać, czy Judith bawiła się nią dla rozrywki.

– Tak, ciężko. – Jeśli margrabina była zaniepokojona, nie dała tego po sobie poznać. Rosvita nigdy nie przepadała za Judith, ale margrabina była lojalna wobec Arnulfa, a polem Henryka, udzielając im niezachwianego wsparcia. Nie było łatwo ją lubić ani ją ignorować. Była na to zbyt potężna. – Ponieważ Villam został ranny, to Liutgarda pojmała Sabelle.

– Ach – to wiele wyjaśniało. – Sądzę, że to się Henrykowi nie spodobało.

– Owszem. O to się właśnie spierali. Henryk zażądał, aby Liutgarda wydała mu Sabelle. Liutgarda odparła, że zrobi to, kiedy Henryk ochłonie i będzie zdolny do jasnego myślenia.

– O Pani – mruknęła Rosvita. – To było nierozsądne. Mogła znaleźć bardziej dyplomatyczne słowa.

– Dyplomacja jest dla dworaków i doradców, moja droga kleryczko, nie dla książąt. Liutgarda nigdy nie była subtelna. Wiecie, że syn Burcharda nie żyje?

– Syn Burcharda? – A co miał z tym wspólnego diuk Avarii i jego dzieci? Temat został zmieniony tak szybko, że Rosvita nie zrozumiała przeskoku myślowego. Liutgarda była żoną drugiego syna diuka Avarii, Frederica, ale on zginął kilka lat temu.

Judith ostentacyjnie westchnęła, sprawdziła, czy pod paznokciami nie ma krwi albo innych bitewnych pozostałości i pozwoliła służącej wytrzeć sobie ręce czystym lnianym ręcznikiem. Potem ją odprawiła.

– Sabella wydaje się zdecydowana, aby za każdą jej porażkę mężczyzna z tego rodu płacił życiem, chociaż nic ją nie obchodzi. Mówię o starszym synu Burcharda, Agiusie, który poszedł do zakonu.

Judith opowiedziała raczej skomplikowaną historię guivre'a, fratra i chłopca, który poprowadził ogary hrabiego Lavastine'a do ataku.

– Trochę za szybko opowiadacie – rzekła Rosvita. – Nie rozumiem, jaki udział miał Lavastine w tej bitwie. Ostatni raz, kiedy o nim słyszałam, odmówił stawienia się na dworze króla. To było prawie rok temu.

– Pojawił się na polu bitwy u boku Sabelli – Judith urwała i potarła palcem górną wargę,

na której wyrastały cienkie włoski, znak nieuchronnego przejścia od płodności do mądrości. – Ale to jest dziwne: wycofał swoje siły w połowie bitwy.

– Po tym, jak zabito guivre’a, i zobaczył, w którą stronę wieje wiatr?

– Nie. Przedtem, kiedy zdawało się, że wszystko stracone i Sabella wygra. Nikt tego nie potrafi wyjaśnić, bo Lavastine i jego ludzie uciekli.

Wreszcie Rosvita zaczęła rozumieć, do czego to prowadziło.

– Co z Henrykiem i Sbellą?

– Sytuacja patowa, jak się wydaje. Liutgarda odmawia wydania Sabelli Henrykowi, a jak sama widzicie, Henryk się wścieka.

– Próbowaliście interweniować, pani?

– Ja? – uśmiechnęła się Judith.

Ten uśmiech. To ten właśnie uśmiech, z którego słynęła Judith, sprawił, że Rosvita jej nie lubiła, choć nie miała szczególnych powodów. Margrabina Olsatii i Austrii była wierna domowi Saony, przysięgła wierność najpierw młodszemu Arnulfowi, a po jego śmierci Henrykowi. Ale Rosvita nie wierzyła, aby łączyła ją z nimi jakaś głęboka więź czy uczucie. Uważała, że Judith pozostawała lojalna wobec Henryka, ponieważ potrzebowała jego i tego, co mógł jej dać: wsparcia wojskowego. Pozycja księcia marchii, niestabilnej ziemi przygranicznej, była niepewna i Judith wzywała – i otrzymywała – pomoc Henryka niejednym raz.

Jak wiele szlachcianek z najwyższych rodów, Judith przed swym pierwszym małżeństwem urodziła syna, którego ojcem był jej kochanek albo jakiś inny młody przystojniak z plebsu, którego wygląd zachwyił młodkę. To pierwsze małżeństwo, jak zwykle w takich przypadkach, było zaaranżowane dla obopólnej korzyści dwóch rodów. Kochanek zniknął. Ale dziecko żyło i kwitło.

Pani uchowaj, jak Judith rozpieszczala tego chłopca; być może nie byłby tak nieznośny, gdyby nie był taki przystojny – ci, którzy przebywali na dworze dłużej od Rosvity, mówili, że przynajmniej z wyglądu przypominał ojca; ponoć odziedziczył też jego urok. Był świetnym uczniem, jednym z najlepszych, jacy przewinęli się przez królewską schołę za czasów Rosvity, ale jego wyjazd nie zasmucił jej. Przypominał Bertholda tylko w jednej rzeczy, za którą ona akurat nie mogła go winić: w ciekawości.

Ale Hugo związał się z Kościołem i bez wątpienia zaprzętały go kościelne obowiązki związane z nową pozycją opata Firseburgu. Nie ulegało wątpliwości, że jego matka miała nadzieję, iż wyniesie go aż do rangi prezbitera, a wtedy opuściłby Wendar i pojechał do pałacu skoposkiego w Darre. Nie miał powodu, aby swym pojawieniem się zakłócać spokój dworu. Dzięki Bogini.

– Posłałam do Villama mego osobistego lekarza – oznajmiła Judith. Wzruszyła ramionami, obciągając kolczugę. – Ale nie, nie zamierzałam interweniować. Ten obowiązek spoczywa na jego doradcach.

Rosvita uśmiechnęła się krzywo i pokornie. W ten sposób Bóg przypominał, aby nie sądziła innych. Ukłoniła się margrabinie i odeszła. Nastął czas, aby chwycić byka za rogi.

– Co macie do powiedzenia? – zapytał Henryk na jej widok. – Dlaczego nie przyprowadziliście mi Sabelli? O Pani! Ta idiotka, moja córka, wedle raportu zrobiła z siebie kretynkę na oczach wszystkich, nawet o tym nie wiedząc! O Boże, co zrobiłem, żeś mi zesłał takie dzieci?

– Już tu jestem, Wasza Wysokość – powiedziała, starając się zachować spokój. Na czerwonej twarzy Henryka widać było wszystkie nabiegłe krwią żyły i zdawało się, że król eksploduje. – I choć mój ród jest dumny, musicie wiedzieć, że nie mogę rozkazywać księżnej Liutgardzie.

Rozmyślał nad tym przez chwilę, co dało jej czas, aby położyć mu dłoń na łokciu. Podskoczył. Nie miała prawa, oczywiście, dotykać króla bez jego zgody, ale dzięki temu gestowi przestał myśleć o zgryzotach.

– Jesteście źli, Wasza Wysokość – dodała, kiedy zbierał myśli.

– Oczywiście, że jestem zły! Liutgarda odmawia wydania mi tej osoby, której zdrada może kosztować mnie jedyne dziecko...

– Królu Henryku! – rzekła ostro i głośno. Miała gorzkie przecucie, że zamierzał powiedzieć coś, czego by później żałował. Coś o Sanglancie. – Wejźmy do środka, zobaczycie jak miewa się Villam.

Dlaczego nikt nie pomyślał, aby go uspokoić, odwołując się do szczerzej troski o długoletniego towarzysza i przyjaciela? Rosvita nie mogła uwierzyć, że wszyscy tak się go bali. Wskazała namiot. Zmarszczył brwi i zawahał się. A potem, nagle, wszedł do środka, zostawiając ją samą. Orzeł – Hathui – skinęła głową, kiedy Rosvita nurkowała do namiotu. Aprobująco? Rosvita pokręciła głową. Na pewno żaden nisko urodzony Orzeł, nawet tak dumny jak ta kobieta, nie odważyłby się aprobować lub ganić czynów szlachty.

Villam stracił prawą rękę tuż nad łokciem. Rosvita nie miała śmiałości zapytać, jak zadano ranę. Stary mężczyzna zdawał się na wpół uspiiony i bała się, że nawet szept go obudzą.

Ale Henryk odepchnął lekarza i położył dłoń – delikatnie, choć wciąż biła z niego furia – na czole Villama.

– Jest silny – szepnął, jakby to potwierdzał. Lekarz przytaknął.

– Nie wdała się infekcja? – spytała cicho Rosvita.

– Za wcześnie, by mówić – odparł lekarz. Miał jasny wysoki głos, naznaczony silnym akcentem. – Jest, jak mówi Jego Wysokość, silnym człowiekiem. Jak nie wda się infekcja, wyzdrowieje. Jak się wda, umrze.

Henryk ukląkł przy łóżku. Lekarz natychmiast padł na kolana, jakby nie miał odwagi stać, kiedy król klęczał. Henryk skinął na Rosvitę. Ukłękła obok i wyszeptała modlitwę, którą Henryk powtarzał, prawą dłonią ściskając Krąg Jedności wiszący na piersi.

Kiedy skończyła, król spojrzął na lekarza.

– Co zalecasz?

Rosvita przyglądała się mężczyźnie. Nie ufała lekarzom. Byli dla niej tacy sami jak astrologi wędrujący z miasta do miasta, obiecujący odczytać przeznaczenie ludzi z pozycji gwiazd – za odpowiednią opłatą, oczywiście: żerowali na łatwowiernych i przestraszonych. Ten mężczyzna jednak nie miał brody, należał więc do Kościoła albo, równie możliwe, był eunuchem ze Wschodu. Zastanawiała się, skąd go Judith wzięła i jakie interesy prowadziła margrabina z Aretuzą.

Jego głos potwierdził jej przypuszczenia. Był zbyt wysoki jak na prawdziwie męski.

– Ja studiowałem teksty dariyańskiej lekarki Gakene, ona ze starych dni, ale mądra wielce. I tak mówię. Człowiek z taką raną musi wiele dni leżeć w suchym ciepłym miejscu. Rana musi czysta. Człowiek musi – urwać i zrobić gest jedzenia – e... brać rosół i inne jedzenie dobre w brzuch. Jego ciało się leczyć albo się nie leczyć. Pomagamy. Bóg wybrał. – Nakreślił krąg na piersi i schylił głowę, poddając się woli bożej.

Prawa ręka Villama leżała na piersi. Henryk ją ujął, a oczy mężczyzny otworzyły się i skupiły, ale nie przemówił. Henryk otarł łzy.

– Musisz pojechać do Kassel, Helmucie, i tam odzyskać zdrowie – szepnął Henryk. – Ja wymaszeruję do Autunu, przywrócić mej siostrze biskupstwo. – Pochylił się i pocałował mężczyznę w policzki.

Ten gest niezwykle go uspokoił. Król skinął głową lekarzowi, który wschodnim zwyczajem dotknął czołem ziemi.

Na zewnątrz Henryk zwrócił się do Rosvity.

– Niech Sabella czeka – rzekł niskim głębokim głosem, który zdradzał kipiący w nim gniew. – Niech się zastanawia, my pojedziemy do Autunu, a ja nie będę jej oglądał.

Rosvita uśmiechnęła się lekko. Henryk rzeczywiście poszedł po rozum do głowy. Jak szybko zmieniał sytuację. Teraz zamiast o Liutgardzie chroniącej Sabelę przed Henrykiem wszyscy będą mówić o królu, którego gniew na siostrę był tak wielki, że nie mógł się zmusić do spojrzenia jej w twarz. To, oczywiście, było bardziej efektywne.

Ale należało zadać jeszcze jedno pytanie, choć się przed nim wzdragała.

– Nie pojedziecie do Gentu?

Jego twarz stwardniała. Złożył ręce za plecami, jakby tylko w ten sposób mógł się opanować.

– Dwie trzecie tej armii jest martwe lub ranne. Przywrócę pozycję mojej siostry, zyskam inne rzeczy, a potem będziemy mieli całe lato na zebranie armii. Gent musi się utrzymać do jesieni – w jego oczach rozbłysnął gniew. – A Sabella dowie się, co oznacza podnieść na mnie rękę po raz drugi.

4.

Henryk i jego orszak trzy dni obozowali pod Autunem, zanim biskupina Helvissa zebrała się na odwagę i otworzyła im bramy miasta.

Alain patrzył z punktu obserwacyjnego nad Autunem, jak wielkie odrzwia rozwarły się, a tłum wypadł przed mury, aby powitać powracającą Konstancję.

– Helvissa nie utrzyma się długo na biskupstwie – powiedział Lavastine. Stał obok Alaina, co było niezwykle, i razem wpatrywali się w niedobitki armii Henryka i buntu Sabelli. Przez ostatnie dni, kiedy maszerowali na zachód do Autunu, aby rozbić tam obóz, Alain widział grupy ludzi uciekające na zachód, pozostałości z oddziałów wystawionych przez wasali Sabelli, diuka Rodulfa i innych panów, którzy przyłączyli się do zamieszek. Uciekali na zachód: do domów. Mieli w końcu sporo pracy na polach. Czas wiosennych siewów dawno minął. Teraz musieli ufać, że lato będzie długie, żniwa późne i ich rodziny zdążą zasadzić coś, co uchroni je od głodu w zimie. Ufać, że przyszłoroczna ozimina się uda.

Oprócz armii Henryka i orszaków panów uwięzionych przez króla, tylko oddział Lavastine'a pozostał nietknięty. Wysłał sierżanta Fella wraz z piechotą do domu, ponieważ hrabia też miał pola i musiał przetrwać zimę. Cudownym zrzędzeniem losu nikt z kompanii nie odniósł poważniejszych ran. Wszyscy wrócą do rodzin.

Jednakże Lavastine i jego dwudziestu konnych zostało, śledząc przemarsz Henryka do Autunu i teraz tu czekali. Alain nie wiedział, dlaczego hrabia zwlekał, ani co zamierzał uczynić. Wiedział tylko, że coś uległo radykalnej zmianie. Teraz sypiał w namiocie Lavastine'a, na porządnym łóżku, i jadł to samo co hrabia; dostał porządną lnianą tunikę na miejsce wełnianej, znoszonej już i połatanej.

– Chodź – powiedział Lavastine, odwracając się, kiedy sztandar Henryka zniknął w mieście. – Wracamy do namiotu.

Ruszyli, a wokół skakały psy, radosne tego pięknego słonecznego dnia. Alain był zmartwiony. Ciągłe śnił mu się Agius. Gdyby tylko ocalał fratra. Ale nie udało mu się. Agius poświęcił się – w imię czego? Nie kochał wszak króla Henryka. Działał przeciw Sabelli i Antonii, nie dla Henryka, choć jego czyn ocalał króla.

O Pani. Gdyby tylko miał odwagę; ale brakowało mu jej. Stał z boku, kiedy mordowano Półgłówka, ponieważ bał się mocy Antonii. Nic nie powiedział, kiedy zobaczył, jak guivre'a nakarmiono jakimś nieszczęśnikiem. Nikogo nie oskarżył – choć i tak żaden szlachcic nie wysłuchałby zwykłego wolnego chłopca. Nie pomyślał nawet, aby rzucić się przed guivre'a podczas bitwy; fakt, że udało mu się go zabić, zawdzięczał tylko poświęceniu Agiusa.

Albo jego chęci zemsty na Sabelli.

Alain westchnął. Sprawa była zbyt skomplikowana i głęboka, by ją zrozumieć.

– Wejdz do środka – powiedział Lavastine, tonem zarówno prośby i rozkazu; uwaga, jaką mu hrabia poświęcał, była chyba największą zagadką. Alain ruszył za hrabią. Był o pół głowy wyższy od Lavastine'a, ale nigdy nie miał wrażenia, że nad nim górował, tak silna była

osobowość hrabiego. Zaprawdę czary, rzucone przez Antonię, musiały być potężne, aby pokonać takiego despotę.

Lavastine usiadł na krześle połowym przyniesionym przez służącego.

– Siadaj – nakazał Alainowi, poirytowany, że chłopak nie zrobił tego od razu.

– Ale, panie... – zaczął Alain, w którego wbijali wzrok żołnierze i służący. Byli równie zaskoczeni jak on, że hrabia chciał, aby chłopak z pospólstwa usiadł obok niego, jakby byli krewnymi.

– Siadaj!

Alain siadł.

Lavastine zażądał dwóch kielichów wina, a potem odprawił wszystkich oprócz Alaina. Kiedy płótno zasłaniające wejście opadło za ostatnim wychodzącym, w namiocie zapadł mrok. Cienkie promyki światła wpadały przez dziury w płótnie, oświetlając dywan, głownię miecza, psie ucho. Ogary dyszały radośnie. Smutek przekreślił się na grzbiet i tarzał po dywanie. Furia warknęła i kłapnęła zębami na Stracha, który zbyt blisko się zbliżył do Alaina.

– Alainie Henrissonie – rzekł hrabia. – Tak się zwiesz?

– Tak, panie.

– Ocaliłeś me życie i honor na polu bitwy.

Alain nie wiedział, co powiedzieć, więc skłonił głowę.

– Nie zamierzałem popierać Sabelli. Ani, uściślijmy, Henryka. Obchodzą mnie moje ziemie oraz dobro i bezpieczeństwo żyjących na nich ludzi. To wszystko. Nigdy nie chciałem zostać wciągnięty w ten spisek. Ale tego nie mogłeś wiedzieć. Dlaczego postąpiłeś, jak postąpiłeś?

– B... bo... Ja...

– Dalej! Musiałeś mieć powód.

Widząc, że nawet przyjaźnie nastawionego Lavastine'a irytowała jego powolność, Alain rzekł tak szybko, jak potrafił, mając nadzieję, że mówi z sensem:

– Ja... widziałem, że biskupina Antonia nie była... ona zamordowała Półgłówka. Chciała zamordować księcia Eików, którego wzięliście jako jeńca, ale on... on uciekł. A potem zabiła Półgłówka i nie mogłem jej ufać...

– Czekaj, czekaj, mały. Kim jest ten Półgłówek?

– To jeden ze stajennych, panie.

Lavastine lekko pokręcił głową. Imię nic mu nie mówiło.

– Zamordowała go? Dlaczego nikt mi tego nie powiedział?

– Wezwała, panie, dziwne stworzenia do ruin i potem się zmieniliście. Byliście...

– Pod urokiem, tak. – Nieomal splunął, jakby to słowo było obrzydliwe. – Sądzę, że biskupina Antonia zaprzeczy wszystkiemu i będzie to jej słowo przeciw twojemu. Mów dalej.

– No a potem, panie, wszystko było złe. Bitwa była zła, niedobrze było, żeby Sabella wygrała oszustwem i czarami, a to biedne uwięzione stworzenie...

– Książę Eików? Przecież on uciekł.

– Nie, chodzi mi o guivre'a.

– Guivre! – Lavastine parsknął śmiechem. – Nie ma współczucia dla takiej bestii. – Położył dłoń na głowie psa siedzącego mu u stóp; właściwie pies siedział na jego butach. Miał siwy pysk i Alain rozpoznał Grozę. Psisko podniosło łeb, aby Lavastine podrapał go za uchem.

– Nie, panie – odparł Alain, bo tego się po nim spodziewano. Ale on współczuł bestii, choć była straszna; ona też cierpiała i zabił ją, aby ocalić Agiusa, ale też by oszczędzić jej cierpienie. – A frater Agius...

– Tak – uciął Lavastine. – Frater Agius ocalił króla za cenę swego życia. A ty jakiej nagrody oczekujesz za ocalenie mojego?

– Ja?

– Ponieważ, w namiocie nie ma nikogo innego, chyba ciebie miałem na myśli. Kiedy zadaję pytanie, oczekuję odpowiedzi.

– A... ale ja nie chcę żadnej nagrody, mój panie. Uczyniłem słuszną rzecz, a to już nagroda w oczach Pana i Pani. Ale może coś dla mej rodziny...

– A, tak. Twojej rodziny. Ten Henri jest...?

– Kupcem, panie. Jego siostra Bel jest zamożną gospodynią w Osnie.

– Tak. Niedaleko klasztoru spalonego w zeszłym roku. Co kupiec Henri mówi o twym pochodzeniu, Alainie?

Alain zakręcił się na krześle i pociągnął wina, by ukryć skrepowanie. Wino było lekkie i smaczne; nigdy przedtem nie pił tak dobrego. Takich trunków nie kosztowali zwykli ludzie, nawet wolni.

– On mówi... – „On mówi”. Alain przez chwilę pomyślał o kłamstwie. Ale Henri i ciotka Bel nie nauczyli go kłamać. Traktowali go jak rodzinę i obraziłby ich teraz, przekreślając ich słowa, nawet jeśli prawda miała okryć go hańbą przed hrabią. – Moja matka była służącą w waszym zamku, panie. Henri, mój ojciec... darzył ją uczuciem. Wiedziano, że... – Przygryzł wargę. O Pani, nie mógł swjej matki tak po prostu nazwać dziwką. – ...że sypiała z mężczyznami. Umarła trzy dni po moim urodzeniu. Diakonisa oddała mnie Henriemu w zamian za obietnicę, że wstąpię do klasztoru, kiedy skończę szesnaście lat.

– Jesteś już starszy, prawda?

– Mam siedemnaście lat, panie. Wstąpiłbym do klasztoru w zeszłym roku, ale klasztor na Smoczym Ogonie...

– ...został spalony. Tak. To cała opowieść?

– Tak, panie.

Lavastine siedział w mroku i bawił się swoim pucharem, kręcąc nim tak mocno, że Alain zaczął się obawiać, iż rozleje wino. Na zewnątrz rozlegał się głos kapitana mówiącego coś o Henryku, Autunie i królewskim miłosierdziu, ale nawet swym wyostrzonym słuchem nie

mógł wyłapać poszczególnych zdań. Smutek ziewnął szeroko, pokazując zęby, i położył się Alainowi na nogach, pchając się tak, że krzesło przechyliło się w tył. Alain poprawił je i ten ruch sprawił, że hrabia podjął decyzję.

– Uważaj, dziecko – rzekł w swój ostry niecierpliwy sposób. – Teraz opowiem ci historię, której musisz uważnie słuchać, ponieważ nigdy nie opowiedziałem jej całej i nie powtórzę jej, póki żyję.

Alain pokiwał głową, i zdając sobie sprawę, że światło było kiepskie, szepnął:

– Tak. – Psy węszyły, skomlały i mruczały, osiem wspaniałych czarnych ogarów, pięknych, choć okrutnych stworzeń.

– Ożeniłem się raz – powiedział cicho Lavastine. – Ale jak wszyscy wiedzą, moja żona i córka zostały zabite przez moje psy.

– Ale jak to możliwe? – zapytał Alain, którego ciekawość zwyciężyła rozsądek. – Przynajmniej z dzieckiem...

– Słuchaj! – uciął Lavastine. – Nie przerywaj. – Strach, wypędzony z miejsca u boku Alaina, podszedł do wyjścia i wystawił łeb na zewnątrz. W nowym strumieniu światła Alain dostrzegł ponury uśmiech Lavastine'a. – Jak to możliwe? Nawet ja nie znam prawdy o tym, jak mój dziadek zdobył psy, czy dostał je w zamian za zawarcie jakiegoś paktu, z kim, nie wiem, czy też przypadły mu w spadku. Ale mój ojciec, jedyne dziecko, które przeżyło, odziedziczył je po nim, a ja, też jedyne dziecko, które dożyło dorosłości, dostałem je po nim. We właściwym czasie mój ojciec zaaranżował małżeństwo, abym mógł spłodzić dzieci, więcej niż jedno, dla podtrzymania rodu.

Osuszył puchar i rzucił pusty na dywan.

– Byłem wtedy młody i wziąłem sobie kochankę, ładną dziewczynę ze służby. Często spotykaliśmy się pośród ruin, ponieważ chciałem zachować rzecz w tajemnicy. Ale w swoim czasie, jak to się zdarza, zaszła w ciążę i błagała mnie, bym uznał dziecko, żeby nie została okrzyknięta zwykłą dziwką. Ale moja żona była dumna i zawistna, i gdy przybyła do Lavas, powiedziała mi, iż nie życzy sobie żadnego bachora biegającego po zamku. Rzuciłem więc tamtą kobietę i wyparłem się dziecka, i wypowiadałem się diakonisie, niech spoczywa w spokoju. Diakonisa obiecała zająć się dzieckiem i zapewniła mnie, że nie muszę się więcej martwić. To nawet nie była wolna dziewczyna. – Podniósł puchar, zajrzał do niego, jakby zapomniał, że wypił zawartość, i zirytowany rzucił go znowu. – Być może nie byłem tu bez winy.

Alain chciwie wciągnął powietrze. Zapomniał oddychać.

– Czy ona umarła? To znaczy, przy porodzie.

Lavastine zerwał się na nogi i podszedł do wyjścia. Trzepnął Strach w zad i pies się cofnął; klapa opadła.

– Kiedy ja mówię, Alainie, ty się nie odzywasz.

Alain pokiwał głową, ale Lavastine stał do niego tyłem.

– Koniec z winem – mruknął Lavastine. – Tak, umarła w połogu. – Odwrócił się i powiedział szybko i sucho, jakby chciał jak najszybciej skończyć opowieść: – Moja żona była młoda, uparta, niecierpliwa i kłótniwa. Ponieważ ja byłem identyczny, nie pasowaliśmy do siebie. Rzadko wpuszczała mnie do łóżka. Nie miałem konkubiny, ale szybko zacząłem podejrzewać, że ona wzięła sobie kochanka. Niczego nie mogłem udowodnić, bo jej służące były lojalne i pomagały zataić romans. Kiedy urodziło się nasze pierwsze dziecko, nie ufałem jej. Nie wierzyłem, że niemowlę było moje, choć... – uczynił ostry gest i wrócił do krzesła, ale nie usiadł. – ...mogło być. Nastawiała dziecko przeciw mnie, choć próbowałem się z nim zaprzyjaźnić. Mała była słodka, tyle przynajmniej mogłem stwierdzić z daleka. Mając córkę, która odziedziczy majątek, moja żona przestała udawać. Wyrzuciła mnie ze swego łóża i otwarcie zaczęła przyjmować kochanka, prostego chłopca. Równie dobrze mogła mnie publicznie uderzyć w twarz. Powiedziała: „Skoro ty miałeś chłopkę w łóżku, to mnie też wolno”. Znow zaszła w ciążę i wiedziałem, że dziecko nie było – nie mogło być – moje. Zażądałem, aby poddała naszą córkę testowi i postawiła ją przed psami.

Alain jęknął, a potem zatkał usta dłonią. Oczywiście, wiedział, jaki był koniec.

– Próbowala uciec z dzieckiem. Tamtej nocy psy się zerwały.

Nawet psy były cicho, jakby słuchały. Smutek i Furia były młode, nie miały więcej niż trzy lata. Groza i Mocarz były najstarsze. Gdzie się znajdowały tamtej nocy? Czy ściagały uciekającą ciężarną i jej nieślubną córkę? Czy jeden z nich pierwszy dopadł zbiegów?

Lavastine mówił tak cicho, że Alain musiał się pochylić, aby go usłyszeć.

– Ostatnim słowem mnie przeklęła. „Nie będziesz miał potomka. Każda kobieta, którą poślubisz, umrze straszną śmiercią. Przysięgam na starych bogów, którzy jeszcze chodzą po ziemi i których pomiotem są te psy”. Następnego roku dopełniłem obowiązku i zaręczyłem się z młodą kobietą z dobrej rodziny. Tydzień przed ślubem utonęła w drodze na nasz ślub, kiedy jej koń z niewyjaśnionych przyczyn potknął się na brodzie. Następnego roku poślubiłem młodą wdowę. Podczas wesela dostała krwotoku i zmarła dwa dni później.

Nie próbowałem się już żenić. Nie chcę mieć nikogo więcej na sumieniu. Ale teraz...

Teraz? Alain czekał w milczeniu.

Lavastine przeszedł przez dywan i stanął naprzeciw Alaina. Słabe światło czyniło z niego bardziej cień niż żywą istotę.

– Zacząłem się zastanawiać zeszłej jesieni, kiedy wróciłem z kampanii przeciw Eikom, ale pod urokiem wszystko zapomniałem. A czy teraz nie jest to dla ciebie równie oczywiste?

Na początku Alain nie rozumiał, o co hrabiemu chodziło. A potem uświadomił sobie, że w całym namiocie leżały psy, niektóre przy nim, niektóre przy krześle Lavastine’a, niektóre czołgały się za hrabią. Alain dotknął rąbka swojej nowej pięknej tuniki, wykończonyj wyszywaną taśmą tak bogatą, że nawet tak zamożna wieśniaczka jak ciotka Bel sprzedawały własne dziecko za łokieć tej wspaniałej materii.

Lavastine wziął Alaina za rękę i podniósł go z krzesła. Jego usta były zaciśnięte w wąską, pełną determinacji linię, a kiedy przemówił, jego ton wykluczał jakiegokolwiek wahanie:

– Jesteś moim synem.

5.

Liath miała koszmary. Każdej nocy przybywały psy i rozdzierały jej ciało, rozrywając ją, odrywając członek po członku. Każdej nocy budziła się spocona, z walącym sercem, siedząc na posłaniu, aż chłodna noc zmyła z niej plamy strachu. Ale nie mogła zmyć jej żalu.

A potem płakała.

Wilkun zawsze przesympiał te zdarzenia albo udawał, że śpi. Nie wiedziała. I nie chciała wiedzieć. Był bardzo zmartwiony, mówił tylko wtedy, kiedy ktoś się do niego odezwał, albo gdy trzeba było zdobyć zapasy lub nowe wierzchowce. Tylko raz, kiedy się nie pilnował, usłyszała, jak wyszeptał imię:

– Manfred.

Jechali wiele dni. Liath przestała je liczyć. Choć niebo było czyste i idealne do obserwacji, nie śledziła podróży księżycy przez domy nocy, ziemskiego smoka spinającego niebiosy. Nie śledziła drogi planet przez te same konstelacje. Nie powtarzała lekcji, które tato kładł jej do głowy. Nie chodziła po mieście pamięci, budowanym z takim trudem, tak troskliwie pielęgnowanym przez wszystkie lata.

Płakała i śniła.

Czasami, kiedy zdarzyło jej się patrzeć w ogień na palenisku albo ognisko, odnosiła dziwne wrażenie, że podgląda przez dziurkę od klucza, obserwując scenę rozgrywającą się po drugiej stronie drzwi.

W powietrzu płoną duchy o ognistych skrzydłach i oczach lśniących jak noże. Poruszają się w eterze wiejącym nad sferą Księżyca i za każdym razem ich spojrzenie pada, jak gorejąca strzała, jak błyskawica, na Ziemię w dole i spala wszystko, czego dotknie, ponieważ nie potrafią zrozumieć kruchości ziemskiego życia. Pochodzą ze starszej rasy i nie są tak delikatne. Ich głos to trzaskanie ognia, a ciała nie są ciałami, jakie my znamy, tylko połączeniem ognia i wiatru, oddechem dzikiego Słońca przekształconym w umysł i wolę.

– *Czy nie jesteśmy więc ich kuzynami? Czy nie zrodziliśmy się z ognia i światła? Czy naszym miejscem, jak ich, nie jest sfera za Księżycem?*

Pierwszy mówca porusza się, studiując płomienie, bo on też patrzy w ogień i poprzez drzwi, których nie można dotknąć, obserwuje Liath. Wydaje się wiedzieć, że ona słucha i że może go zobaczyć. Ale mówi do kobiety, która stoi w cieniu za nim.

– *Nie jesteśmy tak starzy, moje dziecko. Nie zrodziliśmy się z samych żywiołów, choć wplotły się one w nasze kształty. Jesteśmy dziećmi aniołów, ale nie możemy żyć wypędzeni z Ziemi, która nas zrodziła.*

Podnosi dłoń. Liath poznaje go; stał się jej znajomy, ale ją przeraża, nie dlatego, że wygląda groźnie, ale ponieważ wygląda nieludzko, tak odmiennie od taty i innych ludzi,

których zna, tych niewielu, na których jej zależy, odmiennie nawet od Hugona, którego ohyda jest głęboko człowiecza. To Aoi, jeden z Zaginionych, stary, na pewno – porusza się z takim dostojnictwem – choć nie wygląda ani na starego, ani na młodego wedle znaków, które ona potrafi odczytać. Przypomina Sanglanta. To też ją przeraża, że dziwnie odziany mężczyzna przywodzi na myśl Sanglanta, o którym pragnie zapomnieć. Nigdy nie zapomnieć.

– Kim jesteś? – pyta z ciekawością, bez lęku czy złości, w odróżnieniu od niej. – Kto obserwuje nas przez ogień? Gdzie znalazłaś to przejście? Jak je ożywiłaś? – Na jego nagich udach leżą nici konopi, które związa w sznur, dłuższy za każdym razem, kiedy ona mu się przygląda. Sznur wydłuża się powoli, o palec, o dłoń, podczas gdy dni mijają, a ona i Wilkun jadą na południowy zachód, szukajcie króla Henryka.

Nie może mu odpowiedzieć. Nie potrafi mówić przez ogień. Boi się, że jej głos odezwie się echem w nieznanym korytarzach i wielkich ukrytych salach, że ogień i wiatr poniosą go do uszu tych, którzy nasłuchują, szukając jej.

Czarnoksiężnik – ponieważ musi nim być, skoro posiada wiedzę i zdolność wizji – wyrzywa złote pióro z naramiennika, który opasuje jego prawe ramię i rzuca je w płomienie.

Liath zerwała się, czołgając w tył, kiedy ogień wybuchnął i potem, nagle, zgasł. Powstrzymała łzy wywołane dymem i otarła nos. Twarz ją paliła. Za nią trzasnęły drzwi i Wilkun wszedł z ciemnej nocy, która ich otaczała.

Siedziała pośrodku małej izby gościnnej – którą opat przeznaczył dla Orłów, nie najlepsze pokoje, ale też nie najgorsze – w klasztorze w Hersford. Ogień trząskał i płonął radośnie, wolny od jakichkolwiek czarów. Mogła śnić... ale nie był to sen. Kiedy śniła, śniła o psach Eików.

– Czego się dowiedziałeś? – spytała.

Wilkun zakaszlał i potarł ręce, strzepując z nich jakiś pył.

– Henryk i dwór świętowali tutaj wigilię świętej Zuzanny, ale wezwano ich na zachód. Wedle ojca Bardo, Sabella zebrała armię i Henryk musiał ruszyć na zachód, aby spotkać się z nią, zanim weszła do Wendaru. Usunęła biskupinę Konstancję z biskupstwa w Autunie i osadziła w jej miejsce inną kobietę. A Konstancję wzięła do niewoli.

Liath umieściła łokieć na kolanie i głowę na dłoni. Była teraz bardzo zmęczona i niewiele obchodziły ją kłopoty i intrygi możnych.

– Sabella lepiej by zrobiła, gdyby tę armię posłała przeciw Krwawemu Sercu – mruknęła.

– Tak – rzekł Wilkun. – Wielcy książęta najczęściej myślą tylko o swoim zysku, nie o innych. Ojciec Bardo nie wie, co się stało z królem, ani czy doszło do bitwy. Chodź, prześpimy się i wyruszmy o świcie.

Lękała się snu, ale w końcu wyczerpanie wzięło górę i osuwała się w dół, w dół, w dół...

...do krypty w Gencie, gdzie pomiędzy bladymi nagrobkami świętych leżały ciała i psy żarły tak łapczywie, że słyszała chrupot kości...

Usiadła na łóżku zlaną zimnym potem, z walącym sercem. O Pani! Ile tego jeszcze musi znieść? Wilkun spał po drugiej stronie ognia, który zmienił się w popioły zimne jak jej serce. Pozostał tylko ślad ciepła, złoty błysk między szarością.

Sięgnęła bez namysłu – i wyciągnęła z popiołów złote pióro.

6.

Henryk miał posłuchanie w wielkiej sali biskupiego pałacu w Autunie; troje dzieci siedziało po jego prawej stronie, siostra Konstancja i inni zaufani doradcy po lewej. Wcześniej, w katedrze, biskupina Konstancja – przywrócona na swój tron – odprawiła Lucjany, jedną z czterech mszy dzielących rok na ćwiartki. Rosvita wiedziała, że matematycy mieli dla nich inne nazwy: wiosenne i jesienne ekwinokcjum oraz zimowe i letnie solstycjum, ale wolała myśleć o nich jak o mszach odprawionych przez czterech uczniów błogosławionego Daisana, którzy ponieśli Święte Słowo w cztery strony świata: Mariany, Lucjany, Mateusze i Łuczywo, znane poganom jako Dheare, mroczna noc słońca. Tym ostatnim dniem była wigilia świętego Piotra, spalonego żywcem na ofiarę Jinnie, bogu ognia, kiedy odmówił wyrzeczenia się wiary w Boga Jedności.

Po mszy Henryk i jego dwór wrócili do sali biesiadnej, gdzie uczta trwać miała do późna w nocy, ponieważ słońce stało długo na niebie, głosząc triumf Boskiego Logosu, Świętego Słowa i obietnicę Komnaty Światła.

A Henryk miał sprawy do załatwienia. Usiadł obok siostry i zgromadził swych ludzi. Czekali w karnych szeregach, tłocząc się na zewnątrz, więcej nawet ludzi, niż przymaszerowało z królem, ponieważ co bogatsi mieszkańcy Autunu też przybyli, aby ślubować swą wierność monarsze.

Z tej okazji Henryk włożył swe wyszywane złotem królewskie szaty, w lewej dłoni trzymał berło, symbol królewskiej sprawiedliwości, a na prawej miał złoty pierścień suwerena. Na jego siwiejących włosach spoczywała ciężka korona wysadzana klejnotami. Biskupina Konstancja pobłogosławiła go i namaściła olejem pobłogosławionym przez samą skoposę i pachnącym różami.

W ten sposób na oczach dworu i swego ludu uznany został za władcę, wybranego i zaakceptowanego przez boską mądrość Pana i Pani.

– Niech się stanie sprawiedliwość – rzekł Henryk do tłumu. Wezwał przed swe oblicze spadkobierców diuka Rodulfa.

Rosvita poczuła nieco współczucia dla młodzieńca, który się pojawił, z orszakiem chowającym się za jego plecami jak psy. Nie miał w sobie ani cienia buty Rodulfa i pewnie dopiero niedawno osiągnął dorosłość. Diuk prawdopodobnie zabrał ze sobą syna, aby ten zasmakował wojny; biedne dziecko musiało widzieć śmierć ojca.

– Kim jesteś? – zapytał Henryk, choć doskonale wiedział.

– Jestem Rodulf, syn Rodulfa i Idy – Chłopak był czerwony, ręce mu drżały, ale nie upokorzył się.

– Przemawiasz w imieniu dziedziców Varingii?

– Prze... przemawiam w imieniu mej starszej siostry, Yolandy, którą ojciec pięć lat temu uczynił swą spadkobierczynią.

– Gdzie ona teraz przebywa?

– W... W zamku Arlanda, fortecy wybudowanej przez ojca. – Młody Rodulf przygryzł wargi i czekał. Karą za zdradę była, oczywiście, śmierć.

– Niech się stawi przede mną przed Mateuszami – powiedział Henryk. Wyciągnął dłoń jak do skinięcia i młodzieniec rzucił się na kolana przed królem. – Jeśli tak uczyni, tego zażądam w zamian za ulaskawienie: pięćdziesięciu najlepszych varingijskich koni do mych stajni. Złotych naczyń i szat do katedry w Autunie jako rekompensatę obrazy wyrządzonej biskupinie Konstancji. Założenia klasztoru imienia mojej matki, królowej Matyldy. A ty, młody Rodulfie, razem z dziesięcioma prawymi szlachcicami, przyłączysz się do moich Smoków i będziesz chronił me królestwo.

Chłopiec zaczął płakać. Tłum zamruczał, zafascynowany królewskim sądem i miłosierdziem. Rodzina Rodulfa nie należała do jego krewnych, mógł więc jako zapłatę za zdradę pozbawić ich życia. Rosvita pokiwała głową. Tak było rozsądniej.

– Przekażę wiadomość, Wasza Wysokość – powiedział chłopiec. – Od tej chwili będziemy lojalnie stać po waszej stronie. Przysięgam. – Konstancja przyniosła relikwiarz zawierający piszczel i strzepy szaty świętego Tomasza Apostoła, a młody Rodulf ucałował wysadzaną klejnotami skrzynkę i królewski pierścień, aby przypieczętować przysięgę.

– Postawcie przede mną biskupinę Antonię – rzekł król.

Antonię przyprowadzono pod strażą. Miała złożone dłonie i patrzyła na Henryka z uśmiechem, jakby był jej ulubionym siostrzeńcem.

Henryk westchnął.

– Chroni was Kościół, Wasza Miłość, i chociaż konspirowałaś przeciw mnie, zmuszony jestem odesłać cię do Darre, abyś przedstawiła swą sprawę skoposie. Niech ona osądzi twą zdradę.

– Nie złamałam przysięgi danej Kościołowi, Wasza Wysokość – rzekła słodko Antonia. – Nie wątpię, że skoposa wyda wyrok na moją korzyść. – Towarzyszył jej tylko jeden kleryk, znany jako Heribert.

Konstancja, z pochmurną twarzą, wystąpiła naprzód.

– Co z resztą waszej świty, biskupino? Połowa z nich nie żyje, a reszta niedługo umrze na zarazę, która dosięgła tylko ich, nie tknęła nawet sióstr, które się nimi opiekowały.

– Rozpaczam – odparła Antonia. – Ale nawet ja nie mogę sprzeciwić się Panu, kiedy swym mieczem przecina więź łączącą nas z życiem.

– Niektórzy oskarżają was o czary – ciągnęła Konstancja, zdecydowana przedstawić sprawę teraz. Nie prosiła Henryka o zgodę, ale on nie zamierzał jej przerywać. Była jedyną osobą równą pozycją Antonii i żadna świecka władza nie mogła się wtrącać. – Niektórzy mówią o amuletach sporządzonych przez kleryków na wasz rozkaz, i że ich cierpienie to wynik okrutnych czarów, tych samych, które przywiodły guivre’a na pole walki i umożliwiły żołnierzom Sabelli poruszanie się bez przeszkód, kiedy to wzrok stwora zamieniał w kamienie żołnierzy Henryka.

Antonia rozplotła ręce i uniosła je dłońmi do góry na znak niewinności.

– Jeśli ich cierpienie to wynik czarów, a ja jestem czarownicą, która sporządziła amulety, dlaczego zaraza mnie ominęła? Dlaczego Herbert – wskazał kleryka stojącego, jak zwykle, krok za nią – też pozostał nietknięty? Wiele rzeczy wywołuje zarazę, włączając w to złe duchy. Przykro mi, że cierpią, robię wszystko co w mej mocy, by im ulżyć, ponieważ strasznie jestem zmartwiona, ale to, co ich powaliło, nie wyszło z mych rąk.

– Dość – powiedział Henryk, wtrącając się w chwili, kiedy Konstancja otwierała usta. – Setki razy już to przerabialiśmy i nie mam ochoty na dalsze dyskusje. Antonia pod strażą zostanie zabrana do skoposy w Darre, aby tam zostać oskarżoną o praktykowanie czarów potępionych przez sobór w Narvone.

Antonia i jej jednoosobowy orszak zostali odprowadzeni. Ale nawet ze swego miejsca po lewicy króla, Rosvita nie mogła dostrzec ani śladu skruchy, strachu czy żalu na twarzy starej biskupiny. Zaprawdę wyglądała jak wiekowa pobożna babunia, która widziała, jak wszystkie jej dzieci i wnuki dożywają dorosłości.

Henryk długo siedział w milczeniu. Tłum się nie niepokoił; nawet nie drgnął. Wiedzieli, że na pewno jako następną król wezwie swą siostrę Sabelę.

W końcu uczynił gest i wystąpiła młoda księżna Liutgarda.

– Zgadzam się teraz rozmawiać z kobietą, którą więzicie – rzekł.

Liutgarda przytaknęła krótko i rzuciła Rosvicie spojrzenie, jakby dziękowała za jej udział w powstrzymaniu Henryka przed popełnieniem głupstwa.

Kiedy Sabelę wprowadzono do sali, zapadła cisza tak głęboka, że Rosvita słyszała szczekanie psów w oddali. Może miała omamy, a może jakiś lord trzymał w pobliżu sfore.

Sabella odmówiła ukłęknięcia przed bratem. Henryk nie wstał i nie postąpił, aby ją powitać, ani nie wyciągnął dłoni do ucałowania. Rosvita i tak wątpiła, aby Sabella złożyła mu ten hołd.

– Co masz do powiedzenia? – zapytał, odwracając od niej na chwilę wzrok, by popatrzeć na jej towarzyszy, na których twarzach malowała się skrucha i strach, nieobecne na twarzy Sabelli. Służący otarł plwocinę z ust diuka Berengara. Młoda Tallia stała bledziutka w zielonej jedwabnej sukni, wyglądając raczej na schwytaną nimfę niż księżniczkę.

Rosvita zerknęła na inne księżniczki, córki Henryka. Sapienia, dzięki Bogu, zachowywała się dziś rozważnie, trzymając temperament, język i entuzjazm na wodzy.

Siedziała tak spokojnie, jak tylko mogła, i obserwowała posłuchania spojrzeniem mrocznym i chciwym, zatapiając się, odgrywając rolę królowej. Obłok spokoju otaczającego Theophanu aż mroził; jej twarz nie miała żadnego wyrazu i nie reagowała na wydawane wyroki. Nawet młody Ekkehard, który większość czasu wyglądał, jakby miał zasnąć, podskoczył i wymamrotał coś zaskoczony łaską, jaką Henryk okazał potomkom diuka Rodulfa. Przy trojgu tych przystojnych i mocnych dzieci Tallia prezentowała się jak bezbarwny pączek, zaćmiony ambicjami matki.

– Nie mam nic do powiedzenia – rzekła Sabella.

Gniew Henryka był ewidentny, choć trzymał nerwy na wodzy.

– Spiskowałaś przeciw prawowitemu królowi Wendaru i Varre, namaszczonego ręką skoposy, wyznaczonego przez naszego ojca, Arnulfa, na swego następcę, uznanego za takowego przez wielkich książąt królestwa. To zdrada stanu, a karą za nią jest śmierć.

Westchnienie gapiów, szybko stłumione. Każdy człowiek w sali wyciągnął szyję. Powietrze zdawało się ciężkie i nie pozwalające na oddech, ponieważ poruszenia jednej klatki piersiowej mogłyby zakłócić czystość widzenia i słyszenia w wielkiej sali.

– Ale jesteśmy rodziną i nosisz złoty torkwes rodu królewskiego. – Henryk nie dotknął swojego, ale Sabella, jakby mimowolnie, podniosła dłoń do szyi. – Nie zbrukam dłoni ani swoich, ani moich dzieci, krwią rodziny. Ale oto, co uczynię. Taki wyrok wydaję.

Wstał.

– Twoją córkę, Tallię, biorę jako zakładnika i zatrzymuję pod moją opieką. Twego męża, diuka Berengara z Arconii, uznaję za niezdolnego do sprawowania rządów i pozbawiam go tytułu książęcego. Uda się do klasztoru w Hersfordzie, gdzie braciszkanie o niego zadbają. A ty, Sabello...

Nikt się nie ruszał. Nikt się nie odzywał.

– Ciebie także pozbawiam tytułu księżnej, jak również twe dzieci, po wsze czasy. Księstwo Arconii nie ma diuka, ja więc zawiadamuję tytułem i władzą, jaką ze sobą niesie. Przekazuję ją teraz w ręce mej siostry, Konstancji, biskupiny Autunu, a ty pozostaniesz pod jej nadzorem, tak jak ona kiedyś pozostawała pod twoim.

Tłum nie mógł już ukryć zaskoczenia. Wybuchnął wrzaskiem tak wielkim, że Rosvita ledwie słyszała swe myśli. Sapientia, wtórując tłumowi, skoczyła na równe nogi, aby po chwili pokornie, ciągnięta przez brata, usiąść. Theophanu nie poruszyła się, ale wąski uśmiezek zagościł na jej twarzy.

Sabella nie powiedziała ani słowa, okazując tylko dziki gniew, ale była bezsilna. Zagrała i przegrała. Diuk – już nie diuk! – Berengar wysmarkał się w rękaw i został natychmiast odprowadzony przez służących. Biedak. Rosvita przypuszczała, że w klasztorze lepiej się nim zajmą. Tallia płakała. Jej twarz pokryła się plamami, a nos poczerwieniał. Sabella odwróciła się i rzekła coś gniewnie do córki, ale Rosvita nie usłyszała słów z powodu hałasu.

Co za ryk podniósł się w sali, krzyki: „Henryk! Król Henryk!” i inne, ogłaszające

Konstancję księżną i biskupiną – fakt bez precedensu, posiadać oba tytuły. Ale Konstancję uhonorowano, oczywiście, za stałość. Mieszkańcy Autunu byli szczęśliwi; kochali swoją biskupinę.

Rosvita nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego słyszy tak głośne ujadanie psów i nagłą zmianę w okrzykach.

– Zróbcie przejście! – krzyknął ktoś.

– Z drogi! – wrzasnęła kobieta.

– Boże uchwaj! Diabelski pomiot!

Straże szybko przesunęły Sabelłę i jej orszak na bok.

Do sali wkroczyła przedziwna procesja, ostatni zbieg, jedyny, którego się nie doliczyli po bitwie: hrabia Lavastine i jego słynne czarne psy. U boku miał kapitana i wystrojonego młodzika, jeszcze nie mężczyznę, ale już nie chłopca.

Król Henryk zamrugał kilkakrotnie, ale tylko tak wyraził swe zdumienie. Hrabia ruszył odważnie do przodu i zatrzymał się przed podwyższeniem. Nie ukląkł.

– W zeszłym roku – rzekł Lavastine – wysłaliście mi Orła, żądając mej obecności na dworze. Przybyłem.

Było to tak szaleńcze wyznanie, że Henryk niemal się roześmiał. Ale sytuacja była zbyt poważna na śmiech.

– Już późno, a wezwanie posłałem dawno – odparł. – Poza tym w dziwnym towarzystwie tu przybyłeś, hrabio.

– Owszem, Wasza Wysokość, ale nie ze swej woli. Mam świadków, którzy potwierdzą, że kierował mną ktoś inny i nie maszerowałem z damą Sabelłą z chęci, tylko z przymusu.

– To niezła wymówka, hrabio. Naprawdę wyszukana i przekonująca, szczególnie teraz, kiedy biskupinę Anionię oskarżono o czary.

Były to słowa wypowiedziane tak ostro, iż Rosvita spodziewała się odpowiedzi w podobnym tonie, jednak tym razem Lavastine opanował swą słynną skłonność do irytacji.

– Złożę zaprzysiężone oświadczenie przed Waszymi klerykami – powiedział hrabia. – Inni też zaświadczą na moją korzyść, między innymi, mam nadzieję, mój kuzyn Godfryd, którego, pozostając pod wpływem uroku, źle potraktowałem.

– Twoje zeznania zostaną przesłane na południe przez delegację, która będzie towarzyszyć biskupinie Antonii do skoposy – odparł Henryk. – Ale szczerze ci powiem, hrabio, że wiem, iż wycofałeś swe siły z bitwy, kiedy przewaga wciąż była po stronie Sabelli. To zaświadczy na twą korzyść, kiedy będę wydawał wyrok. Ale powiedz, wszyscy myśleliśmy, żeś uciekł. Dlaczego teraz się tu zjawiasz? Wiem, że nie darzysz mnie miłością.

– Nie jestem spiskowcem, Wasza Wysokość, i zamierzam oczyścić się z zarzutów. Nie mam nic do ukrycia. Ale chcę prosić cię o łaskę.

– Ach – powiedział Henryk.

– Ach – wyszeptła Theophanu, otwierając lekko usta i pochylając się czujnie w przód.

– Chce czegoś – wymruczała mądrze Sapientia do Ekkeharda. – Dlatego tu przybył, mimo że mógł uciec na swoje ziemie.

– Cicho – powiedziała Konstancja.

Tłum zamilkł. Szaty zaszumiały, kiedy ludzie stawali sztywno. Psy siedzące wokół Lavastine'a – cały orszak, jakiego potrzebował – zawarczały. Jeden podniósł się i wyszczerzył kły na nieostrożnego lorda, który podszedł zbyt blisko.

A potem zdarzyła się dziwna rzecz. Hrabia się nie poruszył. Jego kapitan, oczywiście, pozieleniał na twarzy. Wiadomo było, że Lavastine musiał być dobrym i szczodrym panem, skoro służyło u niego tak wielu lojalnych ludzi, mimo zagrożenia, że w każdej chwili mogli zostać rozerwani na sztuki.

Ale wtedy młodzik powiedział coś cicho i psy spokorniały.

– Uklęknij przed królem – nakazał Lavastine, a chłopak podszedł i posłusznie ukląkł. Był wysoki, szczupły, czarnowłosy i zaskakująco jasnooki; nie był szczególnie przystojny czy elegancki, ale w niewytłumaczalny sposób serce Rosvity radowało się, kiedy na niego patrzyła.

– Wiecie, że dwa razy owdowiałem i nie mam dziedzica – powiedział Lavastine – i raczej już nie będę miał, z powodów, które dawno temu wyznałem i za które odpokutowałem. Przybywam więc przed wasze oblicze, Wasza Wysokość, aby prosić was, by ten młodzieniec, mój nieślubny syn Alain, został uznany za mego spadkobiercę i mógł odziedziczyć mój tytuł i ziemie, gdy umrę.

Pani jedyna! Nogi się pod Rosvitą ugięły. Spojrzała na Henryka. Po łaskotaniu na plecach i ramionach poznała, że wszyscy patrzyli na Henryka. Jego dzieci – troje ślubnych dzieci – gapiły się na niego przeszywająco. Konstancja zamknęła oczy i położyła dłoń na policzku.

Ciszę przerwał śmiech.

– Co zrobisz? – zawołała urągliwie Sabella. – Co zrobisz, bracie? Jednego bękarta uczynisz hrabią, a drugiego królem?

Henryk zrobił ostry, nerwowy gest. Strażnicy wyprowadzili Sabelę z sali i powiedli ją do wieży, w której została uwięziona.

Henryk zszedł z podwyższenia i położył upierścienioną dłoń na głowie chłopca. Spojrzał Lavastine'owi w oczy i dwaj mężczyźni mierzyli się kilka chwil.

– Wielu panów może ogłosić kogoś swym nieślubnym dzieckiem, aby nie stracić ziem na rzecz nielubianego krewnego. Jak to udowodnisz?

– Moje diakonisy mają skrupulatne zapisy wszystkich narodzin i śmierci w zamku Lavas, ale sądzę, że dam wam najlepszy dowód – Lavastine gwizdnął.

Psy ruszyły naprzód i nawet Henryk wycofał się szybko na podwyższenie. Chłopak podskoczył, robiąc wielkie oczy, i nakazał psom spokój. Jak pokorni żołnierze, natychmiast go posłuchały i padły mu do stóp. Kiedy Henryk postąpił naprzód, warknęły.

Chłopak strzelił palcami i odgonił je na bezpieczną odległość od króla.

– A ty, dziecko? – zapytał król, patrząc na młodzika. – Jak się zwiesz?

– Zwę się Alain, Wasza Wysokość. – Miał czysty głos, nie zaciął się ani nie mówił ochryple jak nisko urodzeni.

– Czy to prawda?

Skromnie skłonił głowę.

– Hrabia Lavastine uznał mnie za swego syna.

– Co wiesz o swym urodzeniu?

– Urodziła mnie w zamku Lavas niezamężna kobieta, która zmarła trzy dni później. Wychowali mnie wolni gospodarze w wiosce Osna i obiecano mnie Kościołowi. Ale... – powiedział pokrótce o Eikach i spalonym klasztorze. – Przybyłem więc do Lavas, aby odsłużyć rok.

– I ocalić mi życie – przerwał Lavastine, który przez całą opowieść tupał niecierpliwie. – Uwolnił mnie spod władzy uroku, który na mnie rzucono za pomocą czarów. Nie ja pierwszy pomyślałem o pokrewieństwie. Frater Agius, który służył w moim zamku, wspominał mi o sprawie kilka miesięcy temu, ale ociągałem się z uwierzeniem mu.

Konstancja odjęła dłoń od twarzy.

Henryk znów zamrugął i podniósł rękę do ust.

– A więc to jest chłopak, który zabił guivre'a! – wykrzyknął. – Wiele opowieści słyszałem o tym, co się wtedy stało, ale mimo poszukiwań nie mogliśmy odnaleźć człowieka, który ocalił moje królestwo. Chodź, dziecko, ucałuj mą dłoń.

Alain spojrzał na Lavastine'a – na swego ojca – a potem ukląkł przed królem i został zaszczycony możliwością ucałowania ręki władcy.

Rosvita doznała nagle przecucia, że Henryk miał zamiar popełnić czyn, którego reperkusje miały być długo, długo odczuwane. Wystąpiła i podniosła dłoń – ale było za późno.

– Moją mocą jako króla Wendaru i Varre i wedle prawa zapisanego w kapitularku w czasach cesarza Taillefera, udzielam tobie, hrabio Lavas, pozwolenia na uznanie tego młodzieńca twym dziedzicem, choć nie został on zrodzony z prawego związku. Należy mu się sukcesja twego tytułu i władza nad ziemiami, jaką niesie z sobą ten tytuł. Niech moje słowo stanie się prawem. Niech zostanie zapisane.

O Pani. Wszyscy wiedzieli, co to znaczy, dlatego Henryk miał triumfalny wyraz twarzy. Dokonał wyboru. Pozostawało tylko go zrozumieć. Sapientia zerwała się tak nagle, że jej krzesło runęło; zaczęła mówić, umilkła i wybiegła z sali. Ekkehard gapił się oniemiały. Theophanu wymownie podniosła jedną brew, ale nie uczyniła żadnego gestu.

– Henryku – wymruczała Konstancja tak cicho, że tylko Rosvita i garstka stojących na podwyższeniu mogła ją usłyszeć – Czy ty wiesz, co robisz?

– Wiem, co robię – odparł. – I powinienem to zrobić dawno temu. Bardzo dawno. On jest jedynym, któremu mogę zaufać, że zajmie me miejsce, kiedy opuszczę Ziemię i poprzez sfery

dostanę się do Komnaty Światła.

Konstancja nakreśliła krąg na piersi, aby odpędzić zły omen.

– Nikt – oznajmił głośniejszym głosem Henryk – i nic nie zawróci mnie z tej drogi.

Od drzwi podniósł się krzyk.

– Orły! Przejście dla Orłów!

Weszli szybko, dwoje, zdrożeni i zmęczeni. Jedna była młoda i zadziwiająco ciemna, jakby letnie słońce spaliło ją raz na zawsze. Miała w sobie ciągle letni blask, przyciągający wzrok.

Drugim był Wilkun, którego wygnano z dworu Henryka wiele lat temu. Ale szedł przed siebie, nie okazując, że pamięta zakaz albo ma zamiar mu się podporządkować. Młoda kobieta wyglądała na porażoną smutkiem, rysy jej twarzy ułożyły się w maskę nieszczęścia i beznadziejnej tęsknoty. Wilkun był ponury. Rosvita usłyszała, jak dwa Orły, Hathui i jej młoda towarzyszka, wydały z siebie okrzyk.

– Nie – mruknęła Hathui. – Nie ruszaj się. Musimy poczekać na naszą kolej.

– Ona nosi Orlą odznakę – szepnęła młodsza. W jej głosie brzmiały łzy.

– Na demony – zaklęła Hathui. – Popatrz na ich twarze.

Dwa nowe Orły stanęły przed podwyższeniem.

– Dlaczego stajesz przede mną – zapytał król – skoro wiesz, że zakazano ci tego?

– Przyjeżdżamy z Gentu – powiedział Wilkun – i niesiemy fatalne wieści. Miasto padło pod naporem Eików, a Smoki zostały zabite, co do jednego. Książę Sanglant nie żyje.

– Pani – jęknął Henryk, przyciskając dłoń do piersi. Nie powiedział nic więcej. Nie mógł mówić.

Rosvita natychmiast dostrzegła, że ta straszliwa wiadomość go poraziła. A ponieważ ktoś musiał działać, ruszyła, choć miała wrażenie, że działał ktoś inny. Podeszła do króla i ujęła go pod ramię. Sama prawie upadła, ponieważ osunął się na nią całym ciężarem i zdawał się tak bliski omdlenia, że tylko dzięki pomocy Hathui wyprowadziła go z sali do prywatnej kaplicy, wychodzącej na ogród.

Tam padł na kamienną podłogę przed Paleniskiem, w złotych szatach, nie zważając na koronę, która potoczyła się po ziemi, ani na berło, które wysunęło się z palców pozbawionych czucia. Sięgnął do piersi i wy dobył zza pazuchy stary strzęp materiału pokryty rudymi plamami.

Nie mógł płakać – nie jak król, który musi ronić łzy, by okazać swe współczucie cierpiącemu. Ten ból był zbyt głęboki.

– Moje serce – wyszeptał w nieczuły kamień. – Moje serce ze mnie wydarto. – Przycisnął materiał do ust.

Hathui rozplakała się.

Rosvita nakreśliła krąg na piersi i uklękła przed Paleniskiem, obok złamanego króla, i zaczęła śpiewać modlitwę za zmarłych.

7.

Po tym, jak opróżniono salę i dano Wilkunowi chleba i miodu, po szeptanych konsultacjach między szlachcicami i szlachciankami, których imion nie znała i którzy w końcu złączyli się w jedną nierozpoznawalną masę, Liath odprowadzono do małej kaplicy.

Wilkun nie poszedł z nią. Widziała, że uniemożliwili mu to i zaprowadzili do innej sali. Piękna dumna kobieta w szatach biskupich zaprowadziła ją przed oblicze króla, który siedział na ławie, już bez wspaniałego odzienia i regaliów. Podtrzymywała go kleryczka i kilku innych służących, z których jeden ocierał twarz króla wilgotną szmatką. Liath uklękła. Jego prawa ręka zaciskała się na starej, splamionej krwią szmatce.

– Opowiedz – rzekł ochryple.

Chciała go błagać, by jej nie zmuszał, nie kazał przeżywać upadku Gentu, Pani, nie znów. Ale nie mogła. Była Orłem, królewskimi oczami i jej obowiązkiem było powiedzieć mu wszystko.

Nie wszystko. Pewnych rzeczy nie mogła – i nie chciała – opowiedzieć komukolwiek: twarz Sanglanta blisko jej twarzy, światło w jego oczach, ponury grymas ust, gorzka ironia w jego głosie, kiedy mówił: „Nie bierz ślubu”. Dotyk jego skóry, kiedy pogłaskała go, nieproszona, po policzku. Nie, tego nie. To były jej wspomnienia, których nie chciała dzielić z nikim innym. Nikt nie musiał wiedzieć, że go kochała. Nikt się nigdy nie dowie, nawet Sanglant. Zwłaszcza Sanglant.

Opowiedzenie o wydarzeniach będzie jak ponowne ich przeżycie. Ale nie miała wyboru. Wszyscy patrzyli na nią, czekając. W tłumie stała Hathui i szybko skinęła głową. Ten gest dał Liath odwagę. Odkasznęła i zaczęła.

Ledwo, ledwo zdołała wykrztusić z siebie słowa. Straszne było przynosić złe wieści, ale jeszcze straszniejsze było opowiadanie ich królowi, który patrzył na nią, jakby jej nienawidził, bo kogo innego mógł nienawidzić?

Nie winiła go. Ona też siebie nienawidziła, za to, że żyła, kiedy tylu innych zginęło. W końcu urwała, opowiedziawszy ostatnią i najbardziej oczerniającą część, wizje w ogniu. Oczekiwała, że będą ją przesłuchiwać, być może wyprowadzą w łańcuchach jako wiedźmę. Król uniósł słabą dłoń. Tylko na tyle było go stać.

– Chodź – powiedziała biskupina. Wyprowadziła Liath. Na zewnątrz stanęła z nią w loggii, która otwierała się na piękny ogród, róże, lilie i margaretki. – Jesteś uczennicą Wilkuna? – spytała.

– Ja...? Nie. Dopiero co wstąpiłam do Orłów, krótko po Marianach.

– Ale jużnosisz orlą odznakę.

Liath zakryła oczy dłonią, ukrywając łzy.

– To, co widziałas w ogniu – rzekła biskupina, przybierając ton w jej mniemaniu

łagodniejszy – znane jest nam jako jedna ze sztuk, używana przez Orły, aby widzieć. Nie bój się, dziecko. Nie wszystkie czary są potępione przez Kościół. Tylko te, które szkodzą.

Liath odważyła się podnieść głowę. Biskupina była naprawdę młodą kobietą, bladą i elegancką w biskupich szatach i mitrze.

– Wy jesteście Konstancja! – wykrzyknęła Liath, przypominając sobie drzewo genealogiczne, którego nauczył ją tato. – Biskupina Autunu.

– Owszem – odrzekła Konstancja. – I najwyraźniej jestem też księżną Arconii. – Wypowiedziała te słowa z leciutką ironią, może smutkiem. – Gdzie cię wyedukowano, dziecko?

– Tato mnie uczył – odpowiedziała Liath, przeklinając los, który oddzielił ją od Wilkuna. Nie miała siły, by oprzeć się szczegółowemu przesłuchaniu dotyczącemu jej przeszłości i darów, a na pewno nie prowadzonemu przez szlachciankę o pozycji i wykształceniu Konstancji. – Wybaczcie, Wasza Miłość. Jestem bardzo zmęczona. Przyjechaliśmy tak szybko z tak daleka i... – stłumiła szloch.

– I straciłaś kogoś, kto był ci drogi – powiedziała biskupina, a na jej twarzy Liath ujrzała nagle i zaskakujące współczucie. – Jedna z moich kleryczek pokaże ci baraki, gdzie odpoczywają Orły.

Zaprowadzono ją do stajni. Została sama w sali pod dachem. Okiennice były otwarte, by wpuścić światło słońca. Rzuciła się na siano, potem wstała, otarła nos i zaczęła spacerować. Zupełnie, jakby opowiadając tę straszną historię przekazała część swego paraliżującego żalu królowi Henrykowi. Teraz była zbyt niespokojna, by odpoczywać. W dole rozmawiali stajenni. Była zupełnie sama.

Po raz pierwszy od miesiący, pierwszy raz odkąd Hugo nauczył ją podstaw aretuzańskiego – wszystkich tych przeklętych niemożliwych czasowników! – była sama.

Ostrożnie wydobyla *Księgę tajemnic* z juków i odwinęła ją. Otworzyła na środkowym tekście, tym starożytnym kruchym papirusie, szeleszczącym pod jej palcem, którym przesuwiała wzdłuż linii tekstu, zapisanym językiem, którego nie rozumiała, ale tu i ówdzie uzupełnionym przypisami po aretuzańsku. Litery aretuzańskie były jej nadal obce, ale kiedy się skoncentrowała, otwierając bramy miasta pamięci, znajdując salę, gdzie przechowywała alfabet aretuzański, mogła przetransponować je w myśli na znajome litery dariyańskie i formować słowa; kilku nauczyła się od Hugona, większość była dla niej niezrozumiała.

Na samej górze stronicy, nad właściwym tekstem, napisano po aretuzańsku jedno słowo: *krypte*.

– Ukryj to – szepnęła i poczuła nagły ostry ból w sercu. „Ukryj to”.

Położyła dłoń na ustach, odetchnęła, uspokoiła się i zaczęła studiować tekst. Litery, którymi go napisano, były jej absolutnie obce, nie jak aretuzańskie czy popularne dariyańskie; być może, odrobinę, przypominały wijące się litery jinnijskie, choć były bardziej ostre. Nie mogła ich odczytać ani nawet wyobrazić sobie, co to mógł być za język.

Ale innym charakterem pisma pod pierwszym długim zdaniem napisano coś po aretuzańsku, tłumacząc linijkę; tylko ono zostało przetłumaczone w całości. Na kolejnych stronach przypisy pojawiały się tu i ówdzie, jako komentarz. Ale potrafiła odczytać przynajmniej część tego zdania. Być może dowie się, o czym traktuje tekst. Być może skryba zamierzał przetłumaczyć pierwsze zdanie.

Z wysiłkiem, zatrzymując się co chwilę, aby posłuchać odgłosów z dołu, odczytała na głos zdanie:

Polloi epekheiresan anataxafthai diegesink peri ton peplerophorememon en hemin teraton, edoxe kamoi parekolouthekoti anothern pasinakribos kathexes, soi grapsai, kratista Theophile, hina epignois peri hon katekhetes logon ten asphaleian.

Ściemniało się, było już zbyt mało światła, by czytać – chyba że miało się oczy salamandry.

„Wielu ludzi...” – wyszeptała, rozpoznając pierwsze słowo, a potem opuściła następne w poszukiwaniu kolejnego, które знаła i tam zatrzymała się, z bijącym sercem i zaciśniętym gardłem. – ...o magicznych omenach... – Cofnęła się do słowa w czasie zaprzeszłym, tak dziwnym, że Hugo dobrze się nawysilał, zanim pojęła. – ...magicznych omenach, które się pośród nas spełniały. Wydawało mi się dobrym... – Tu znów nastąpiły słowa, których nie rozumiała, a potem, nagle, jedno znajome. – ...wszystkie rzeczy z niebios... do ciebie, by o nich napisać... – Zamknęła oczy, tak wypełniona pomieszaniem i dzikim podnieceniem, że obawiała się, iż uczucia rozerwą ją jak psy Eików. – Theophilus. – To było męskie imię... – ...Abyś mógł dowiedzieć się o tych... tych słowach? Tych zaklęciach? Czy to mogą być zaklęcia?... o których pouczono cię słowem z ust... – Nie знаła ostatniego słowa.

Jej dłonie drżały. Oddech był urywany. „Wszystkie rzeczy z niebios”.

Na dole usłyszała głosy. Szybko owinęła książkę i wepchnęła ją w juki, kiedy ludzie wspinali się po drabinie. Byli to Wilkun i Hathui.

Przyszła z nimi Hanna. Całe podniecenie, cały żal, wszystkie dni tęsknoty, nadziei i smutku przytłoczyły Liath. Rzuciła się Hannie w ramiona i obie wybuchnęły rozrywającym szlochem, uwalniając nagromadzone przez tygodnie napięcie i strach.

– Musimy modlić się za duszę Manfrteda – powiedział Wilkun. Otarł łzę z twarzy. Uklękli i zaczęli się modlić.

Potem Wilkun wstał i zaczął spacerować.

– Dałbym ci odznakę Manfreda, Hanno, gdybym mógł – powiedział. – Choć nie byłaś przy jego śmierci, jeździłaś z nim, a to się liczy tak samo. W każdym razie podwójnie sobie na nią zasłużyłaś – Westchnął. – Ale nie można jej odzyskać. Poczekasz? Nakażę zrobić dla ciebie nową.

Hanna, trzymająca mocno dłonie Liath i Hathui, przytaknęła ponuro.

– Tak się więc stanie – powiedział Wilkun.

– Muszę wracać do króla – oznajmiła Hathui. Wyszła.

– Już późno, a myśmy odbyli długą drogę i wiele wycierpieli – powiedział Wilkun. – Odpocznijmy.

Liath znalazła posłanie, najlepsze łóżko, na jakim spała od czasów...

„Hugona”.

Nic. Teraz była bezpieczna. Nie musiała się go już obawiać.

Położyła swój miecz, dobrego przyjaciela, obok siebie. Sięgnęła do kołczanu, by dotknąć drewna i rogu swego łuku. Poszukiwacza Serc. W końcu ułożyła przy sobie juki. Czowała księgę jak balsam na duszy, a obok niej, też ukryte, złote pióro; miała nadzieję, że może z czasem rozwikła zagadkę środkowego tekstu.

Przez moment obawiała się snu, ale była tak bardzo zmęczona, że nie miała siły walczyć.

Hanna położyła się obok i otoczyła ją ramionami.

– Myślałam, że zginęłaś – szepnęła. – Och, Liath, taka jestem szczęśliwa, że żyjesz.

Liath pocałowała ją w policzek i otarła ostatnią łzę z twarzy. Nic już więcej nie mogła zrobić, tylko odpoczywać i modlić się, aby rano jej przyszłość okazała się jaśniejsza. Tak wiele musiała odkryć i nauczyć się, o sobie, o księdze, o wszystkim, co tato przez lata przed nią ukrywał.

„*Krypte*”. Ukryj to.

„Nikommu nie ufaj”. Tato nie zamierzał jej opuścić. Zamierzał ją chronić tak długo, jak mógł.

– Kocham cię, tato – wyszeptwała.

Śpiąc w objęciach przyjaciółki nie miała snów.

8.

Henryk nie chciał opuścić kaplicy, a może po prostu nie mógł. W końcu, połączonymi wysiłkami kilku służących, przetransportowano go do przygotowanej obok sypialni. Tam leżał cichy i nieruchomy na łóżku, nie dlatego, że spał, ale dlatego, że nie miał siły, by wstać, uklęknąć czy – nawet – płakać. Przyszły jego dzieci, Theophanu czuwająca nad drżącym Ekkehardem. Jej twarzy nie znaczyły ślady łez, ale była blada. Sapientia szlochała głośno. Rosvita pamiętała, że jako dziewczynka Sapientia ubóstwiała Sanglanta, chodziła za nim jak szczeniak, będąc wręcz męczącą, ale Sanglant nigdy nie stracił nerwów – nie, żeby w ogóle tracił nerwy, był zawsze posłusznym dzieckiem. Być może Sapientia rzeczywiście go oplakiwała, mimo zazdrości, że ojciec przedkładał bękartą nad najstarsze ślubne dziecko. Rosvita nigdy nie zauważyła, aby Sapientia zdolna była do dwulicowości.

W drzwiach stanęła margrabina Judith, porozmawiała ze służącym i została wpuszczona do środka. Podeszła do Rosvity.

– Wieści z Kassel – wymamrotała Judith, patrząc na króla z zainteresowaniem i – być może – litością. – Helmulowi Villamowi się polepszyło. Wygląda na to, że będzie żył.

Zdenerwowany szeptami Henryk uniósł się na łóżku, choć każdy ruch go wyczerpywał. Jego twarz była przeorana smutkiem; postarzał się dziesięć lat w ciągu godziny.

– Czy mówicie o Villamie? – zapytał. – Jakie wieści?

– Będzie żył – odparła Rosvita spokojnie; król potrzebował teraz spokoju, a nie hysterii.

Sapientia zaszlochała, wybuchając nowym potokiem łez.

Henryk zamknął oczy. Powoli podniósł dłoń, szmatkę, do twarzy. Wyszeptał coś, słowo. Nie, imię: „Alia”.

Dotknięcie starego gałgana zdało się wlać w niego siłę.

– Chcę, żeby zniknął! – powiedział. – Precz mi z oczu! Wysłać go do Darre z eskortą biskupiny Antonii.

– Kogo, Wasza Wysokość?

– Wilkuna! Ale zatrzymajcie tu tę drugą, tę, która też widziała. Gdzie jest Hathui?

Wyszła z cienia przy drzwiach.

– Tutaj, Wasza Wysokość.

– Zostaniesz przy mnie – nakazał.

– Tak, Wasza Wysokość.

– Już czas – ciągnął. Jego głos się łamał, ale każdy tutaj uznawał go za króla. – Sapientio.

– Zaskoczona, młoda kobieta padła na kolana i zacisnęła dłonie na pościeli, skłaniając głowę.

Henryk wyciągnął rękę, ale nie dotknął jej włosów. Nie mógł zdobyć się – ani teraz, ani nigdy

– na okazanie jej uczuć. – Rano wyjedziesz na wędrówkę.

Szloch się urwał. Zaczęła mówić.

Odwrócił się od niej

– Odejdź – rzekł, jego głos stłumiła pościel, w której ukrył twarz.

Rosvita dała kilka kroków w przód, by wyprowadzić Sapientię, zanim ta popełni jakieś głupstwo, ale Judith ją powstrzymała.

– Pozwólcie – szepnęła. – Dopilnuję, aby ją porządnie wyposażono na drogę.

– Dziękuję – mruknęła Rosvita.

Margrabina wyprowadziła Sapientię. Służący kiwali się nerwowo, ale Henryk się nie poruszył. Zrobił, co było konieczne. Zrobił to, co należało uczynić wiele miesięcy temu, ale nie zamierzała mu tego teraz uświadamiać. Sanglant był dzielnym człowiekiem i dobrą duszą – choć tylko na wpół człowiekiem – ale nie zostało mu przeznaczone królowanie. Westchnęła z ulgą. Służący przyniósł wodę i gąbkę, by obmyć twarz króla.

Theophanu spojrzała na Rosvitę, a jej twarz wyrażała pytanie. Rosvita pokręciła głową. Lepiej zabrać żyjące dzieci, aby nie przypominały mu o zmarłym. Theophanu przytaknęła lekko i wyprowadziła Ekkeharda.

Henryk nie odpowiadał, kiedy służący proponowali mu wino, kiedy obmywali mu twarz. Był kamieniem, straconym dla świata. Razem z Orłem Rosvita czuwała przy nim podczas ciemnej nocy.

9.

Alain nie mógł spać. Łóżko, które dostał, było za miękkie, za ciepłe i za wygodne. Po prostu nie mógł spać. Psy chrapały cicho. Hrabia Lavastine też chrapał, wtórując psom. W przeciwieństwie do większości szlachty. Lavastine sypiał sam; żaden ze służących nie odważył się przebywać w pokoju pełnym nie uwiązanych psów. Być może to właśnie brak ludzi wytrącał Alaina ze snu. Nigdy wcześniej nie spał tak... prywatnie. W domu ciotki Bel sypiało trzydzieści osób, a w stajniach...

„To już nie jest moja ciotka Bel”.

Usiadł po raz chyba dziesiąty; Smutek obudził się i zapiszczał, liżąc go po dłoni.

Dziedzic Lavastine'a. W najskrytszych marzeniach sobie tego nie wyobrażał. Uświadomił sobie, że tej nocy już nie zaśnie, więc wstał, ubrał się cicho i wyslizgnął na zewnątrz, ze Smutkiem depczącym mu po piętach. Furia spała spokojnie i nawet nie drgnęła.

Służący pod drzwiami zbudził się natychmiast.

– Panie, czy mam wam towarzyszyć?

Jakże szybko zaczęli go inaczej traktować. Ale teraz był dziedzicem Lavastine'a, uznanym przez samego króla. Za dziesięć czy dwadzieścia lat będzie miał władzę nad losem ich i ich rodzin. Służąc w zamku, nauczył się, że nigdzie nie pójdzie sam. Nie pozwolą na to.

– Czy jest w pobliżu kaplica? – spytał. – Chcę się pomodlić.

Znaleziono biskupiego kleryka i odprowadzono Alaina do małej kaplicy, której Palenisko ozdobiono pięknym relikwiarzem wysadzonym klejnotami, leżącym w niemej wspaniałości na polerowanym drewnie ołtarza. Na kamieniu przed Paleniskiem klęczała służąca, polerująca posadzkę własnymi spódnicami.

W następnej chwili, zanim podniosła wzrok jak mysz schwyтана na wyjadaniu sera, rozpoznał ją.

– Pani! – powiedział, zaskoczony spotkaniem Tallii, na kolanach polerującej wapien własną jedwabną spódnicą. Jej dłonie były czerwone, otarte niemal do żywego ciała od pracy, do której nie była przyzwyczajona.

Patrzyła na niego wielkimi, przerażonymi oczami.

– Błagam was – wyszeptała. – Nie odsyłajcie mnie. Pozwólcie mi oczyścić się przed Panią w ten sposób, pracą mych rąk, choć to niewarte Jej spojrzenia.

– Ale nie zamierzacie chyba zniszczyć tak wspaniałej tkaniny? – Alain wyobraził sobie, co powiedziałyby ciotka Bel, gdyby zobaczyła, że jedwab takiej jakości użyty został jako szmata do podłogi, nawet świętej.

– Bogactwa ziemskie to pył w porównaniu z chwałą niebios i Komnaty Światła. Tak nauczał frater Agius.

– Słyszeliście nauki Agiusa?

– A wy nie? – zapytała nieśmiało. Podeszła, wciąż na kolanach i złapała Alaina za rękę, niemal błagalnie. – Byliście jego towarzyszem. Widział, że jesteście szlachetnie urodzony, zanim inni to dostrzegli, prawda? Czy ta wizja nie została mu zesłana przez samą Panią? Czy nie nauczał prawdziwego Słowa o poświęceniu i odkupieniu błogosławionego Daisana?

– To jest herezja – wyszeptał Alain, rozglądając się, ale byli sami w kaplicy. Smutek siedział przy drzwiach i nikt nie odważył się wejść.

– To nie jest herezja – skończyła; jej blada twarz nabrała kolorów, jakby czerpała siłę ze wspomnień o kazaniach Agiusa. – Musicie to przyznać. Słyszeliście go. Musicie wiedzieć, że to prawda.

– Ja... – Bardzo go konfundowało, że klęczała przed nim księżniczka nosząca na szyi złoty torkwes, znaczący jej przynależność do królewskiego rodu, i mówiła o herezji w pałacu biskupim. – Musicie wstać, pani. – Spróbował ją podnieść, ale albo była silniejsza, niż wyglądała, albo trzymała się mocno swej sprawy. Miała ciepłe dłonie, rozgrzewające jego rękę, i spojrział jej w twarz, nie rozumiejąc, co tam widzi.

– Modlę się, aby król Henryk oddał mnie Kościołowi – powiedziała, wpatrując się w Alaina.

„Albo mnie”. Ta myśl pojawiła się nieproszona w głowie Alaina. Tak go zaskoczyła, że puścił jej dłonie i usiadł na najbliższej ławce. O najświętsi Panie i Pani. Teraz był szlachcicem, dziedzicem hrabiego Lavas. Mógł myśleć o małżeństwie.

– A potem, kiedy zostanę diakoniasą, zacznę nauczać – rzekła ostrym szeptem. – Będę nauczać Świętego Słowa, które usłyszałam od Agiusa, choć skoposa zwie je herezją. Jeśli mnie za to skazą, zostanę męczennicą, jak on i wstąpię do Komnaty Światła, gdzie święci męczennicy żyją w oślepiającym blasku spojrzenia Pani i słodkiej chwale Jej Syna.

Alain niemal się zaśmiał, nie z niej, ale z dziwnej ścieżki, która go tej nocy przywiodła do kaplicy.

„Służ mnie”, powiedziała Pani Bitew i dała mu krwistoczerwoną różę jako swój symbol, znak jej łaski. Służył najlepiej jak umiał. Wyruszył na wojnę. Zniweczył urok, rzucony na Lavastine’a przy pomocy czarów i zabił guivre’a, choć tylko przez poświęcenie Agiusa. Zawsze starał się czynić słuszne rzeczy, choć czasami mu się nie udawało. Nie ocalił Półgłówka, ale ocalił księcia Eików, chociaż być może życie dzikusa nie było warte życia biednego prostego chłopca. Ale nie on osądzał wartość ich dusz.

A Alain wiedział, że choć wyniesiono go z chłopca na szlachcica, wielki awans to był w ludzkim świecie, nie mogło się to wydarzyć bez boskiej interwencji.

– Chodźcie, Tallio – powiedział, odważnie używając jej imienia i mając nadzieję, że nie zostanie uznany za dumnego i pysznego. – Nie powinniście klęczeć. Proszę, usiądźcie przy mnie. – Wyciągnął dłoń i pomógł jej wstać, a ona, po chwili wahania, odważyła się usiąść na ławce.

Spojrzała ku drzwiom i zadrżała.

– Co się stało?

– Pies. Przeraza mnie.

– Nie pozwolę mu was skrzywdzić. – Strzelił palcami. – Smutek, chodź tutaj. – Smutek posłusznie przyszedł, a służący, jak pociągnięty niewidzialnym sznurkiem, zajrzał do kaplicy, obserwując ich z bezpiecznej odległości. Tallia cofnęła się przed masywnym psem, ale nakazał ogarowi usiąść, a potem ujął jej dłoń w swoje, i szepcząc, położył ją na psim łbie.

– Widzicie – rzekł – są jak każda inna istota, chcą, aby dotykać ich ze współczuciem, nie nienawiścią czy obrzydzeniem.

– Jesteście bardzo mądry – powiedziała Tallia, ale po chwili cofnęła dłoń, choć Smutek nie warknął ani nie kłapał zębami, posłuszny rozkazom Alaina.

Alain uśmiechnął się krzywo.

– Nie jestem mądry. Powtarzam tylko, co powiedział mój ojciec... – Ale Henri nie był jego ojcem. Był nim Lavastine. Jednak w tej chwili nie miało to znaczenia. Henri wychował go najlepiej, jak umiał. – Powtarzam tylko, czego mnie nauczyli inni.

Przy drzwiach wszczął się ruch. Wpadła Furia, a za nią Lavastine. Tallia cofnęła się, ale Furia siadła ciężko na stopach Alaina, jakby upewniając się, że ten nie ucieknie, i zignorowała dziewczynę.

Lavastine przeciągnął dłonią po potarganych włosach i spojrzał na Alaina.

– A to co ma znaczyć? – zapytał.

– Ja... panie... ja...

– Dalej, wykrztuś to z siebie!

– Nie mogłem spać. Przyszedłem tutaj... – Zatoczył krąg ramieniem, na wpół przerażony, że obraził Lavastine'a, na wpół zaskoczony wyrazem twarzy hrabiego.

Lavastine opanował się i skłonił.

– Księżniczko Tallio, proszę was o wybaczenie. – Wezwał służącego. – Odprowadź księżniczkę do jej komnat.

Ponieważ nie miała wyboru, Tallia wyszła, rzucając Alainowi spojrzenie – proszące albo wdzięczne, nie wiedział – zanim ją wyprowadzono.

– Jest teraz w niełasce – powiedział Lavastine, siadając na ławce obok Alaina i z roztargnieniem pozwalając Smutkowi lizać swą dłoń. – Tak jak jej matka. – Potarł brodę, a potem dotknął srebrnego kręgu, wiszącego mu na piersi na srebrnym łańcuszku. – Henryk może zechcieć wydać ją za żonę, jeśli ubije przy tym dobry interes. Królewska krew wzmocni każdy ród. – Przez chwilę wpatrywał się w Palenisko, choć nie dostrzegał relikwiarza i nie medytował nad jego świętą zawartością. Potem się otrząsnął, ponieważ wyczerpał już swoje pokłady bezruchu. – Chodź, chłopcze. Wiesz, że prawie świta?

Alain tego nie zauważył, ale teraz dostrzegł słaby blask wpadający przez okno. Pokręcił głową.

– Okrutnie się przeraziłem, kiedy się obudziłem, a ciebie nie było w komnacie.

Pomyślałem, że wszystko mi się przyśniło, książę Eików, Sabella, kampania i ty, mój syn. – Lavastine wstał i skinął na służbę. – Chodźmy! Nie widzę powodów, by czekać. Henryk nam wybaczył, ja na pewno nie mam zamiaru zostać w tym ponurym pałacu i przerywać jego żałoby. Ani przypominać mu, co ja zyskałem, a on stracił. – Złapał Alaina za nadgarstek, jakby już nigdy nie zamierzał go puszczać.

– Chodź, synu – powtórzył, smakując słowo.

– Dokąd? – zapytał Alain. Przez okna kaplicy mógł teraz dostrzec przyległy ogród, jego krzewy i kwiaty wynurzające się z mroku w światło nowego pięknego dnia. Z oddali usłyszał kobiecy głos intonujący mszę za zmarłych.

Lavastine uśmiechnął się.

– Jedziemy do domu.

Epilog

Nie od razu zrozumiał, że nadal żyje. W połowie przebudzony, z przytomnym umysłem, ale ciężkimi członkami, uświadomił sobie, że spoczywa częściowo na zimnym kamieniu, częściowo na innym ciele. Jego kręgosłup przeszywał okrutny ból, ale zaczął on słabnąć i zmienił się w natrętne pobołowanie.

Nie potrafił zmusić się do otwarcia oczu. Wiedział jednak, że otaczały go ciała, rozrzucone wokół jak śmieci. Garstka nadal żyła. Słyszał stłumiony grzmot ich pulsu, czuł płytkie oddechy, choć ich nie dotykał. Ciało, na którym leżał, było z pewnością martwe, ale od niedawna. Wyciekało z niego ciepło, zwłoki martwiały, kiedy on przytomniał.

Tak trudno było się obudzić. I lepiej byłoby nie budzić się wcale.

Nie. Nigdy nie powiedzą, że nie walczył do ostatniego tchu.

Usłyszał węszenie psów. I wtedy opanowało go przerażenie: że psy dotrą do niego, zanim będzie zdolny do ruchu i obrony przed nimi. Niewiele było gorszych śmierci od rozerwania przez psy niby jakieś durne zwierzę złapane przed stajnią.

Słyszał ich warkot i czuł, jak wpychały pyski pod materiał, metal i skórę, węsząc za tymi, którzy nadal żyli. Usłyszał niski szmer głosów, daleko, mówiących słowa, których nie rozumiał, ale których gardłowy ton rozpoznawał – to byli Eikowie. Niewidoczni rozmówcy co chwila wybuchali śmiechem. Co chwila psy triumfalnie szczekały, do jego uszu dochodził jęk lub krzyk, urwany, a potem słyszał – i przeklinał swój czuły słuch – płynącą krew i oddzieranie ciała od kości. Raz rozpoznał głos jednego ze swych ludzi.

Nadal nie mógł się poruszyć.

Nos przejechał po jego bezwładnej lewej dłoni, a kiel zaczął o rękaw kolczugi. Pies warknął. Jego gorący oddech, cuchnący świeżą krwią, owionął mu policzek.

Uderzył.

Cudownym zrządzeniem losu ocknął się. Jego prawa ręka się poruszyła. A potem, przekręcając się na bok, rąbnął pięścią zakutą w metal w psi pysk. Pies się cofnął, a on podniósł. Klęczał, kiedy od tyłu zaatakowały go dwie kolejne bestie, drapiąc i gryząc. Przerzucił jednego nad głową i władował łokieć w zebra drugiego, sięgnął do pasa po sztylet,

ale nie znalazł żadnej broni.

Zgubił lewą rękawicę. Jeden z psów zatopił kły w dłoni. Rąbnął psią mordą o kamień. Ból przeszył lewe ramię, ale uwolnił rękę, podniósł oszołomionego psa i rzucił go na dwa pozostałe.

Ale nadbiegało więcej i więcej. Zbliżały się, krążąc. Czekał, dysząc i oblizwał krew z poszarpanej dłoni.

Jeden skoczył i szarpnął za kolczugę. Obrócił się i uderzył, a pies odskoczył, ale od tyłu kolejny złapał go za piętę. Kopnął. Pies zawył i rzucił się wstecz.

Obrócił się, mierząc je wzrokiem. Ale one tylko czekały, sprawdzały go, aby dowiedzieć się, jak był szybki, jak mocny i zdeterminowany.

Za nimi ujrzał inne kształty, ale walka z psami była walką na śmierć i życie i nie miał czasu się rozglądać. Nie miał hełmu, kubraka, żadnej osłony na rozdartej i krwawiącej lewej ręce, ale wciąż miał kolczą rękawicę na prawej i dobrą kolczugę okrywającą tors i ramiona. Miał też psy i chociaż wyglądały okropnie – płomienne oczy, wywalone jęzory, ślina skapująca z kłów – były tylko bezmyślnymi bestiami pełnymi złości, a on był od nich mądrzejszy.

Cofnął się, potykając o zmarłych, znalazł w końcu ścianę, i oparłszy się o nią plecami, spojrzął na psy. Kilka siadło i zawarczało niepewnie. Wybrał największego i najbrzydszego i skoczył, zanim którykolwiek z pozostałych zdążył się na niego rzucić, złapał bestię obiema rękami za gruby kark, i z całej siły, jaką posiadał, zakręcił nią i rzucił o ścianę. Padła, bezwładna, na ziemię.

Eksplodowały ogłuszającym chórem wycia i skoczyły na niego wszystkie naraz. Ich ciężar powalił go i uwięził pod ich ciałami, z unieruchomionymi rękami i nogami. Był bezradny. Miał w końcu umrzeć.

Jeden – teraz największy – przedarł się przez sforę i stanął mu na piersi. Łeb pochylił się nad jego twarzą, pysk otworzył szeroko i pies zawył triumfalnie przed zadaniem śmiertelnego ciosu.

Ujrzał swą szansę.

Ugryzł – podrzucił głowę i wgryzł się w gardło bestii. Zacisnął szczęki.

„O Pani”. Nie mógł rozerwać mu gardła, ale na Boga, mógł mu zmiażdżyć tchawicę i zadusić bydlę. Wielki pies szarpnął się, kiedy on gryzł. Jego szara sierść smakowała metalem. Krew ściekała mu do gardła. Łapy drapały go, zwolniły, a potem zeszywniały. Poczuł, jak tchawica pękła i końcu, z obolałymi szczękami, odważył się puścić.

Pies padł.

Reszta, szarpiąca jego uda i ramiona, cofnęła się. Warczały, kiedy podnosił się na nogi. Wypluł sierść i otarł zęby. Wszystko go bolało. Ale zabił bydlaka.

Dostrzegł ruch w przestronnym pomieszczeniu i zanim Eikowie nadeszli, uświadomił sobie, że stoi w wielkiej katedrze Gentu. Czy przyciągnęli tu wszystkie jego Smoki? Nie

wiedział nawet, ile czasu minęło od upadku Gentu. Mogła to być godzina lub dzień, a może czarownik znał zaklęcia lepsze nawet od iluzji i potrafił zmieniać bieg gwiazd.

– Co tu mamy? – Potężny wojownik pojawił się w jego polu widzenia, odtrącając psy, waląc je pazurzystymi dłońmi.

– Krwawe Serce – szepnął, ponieważ już dawno poznał imię wroga.

Czarownik Eików zaśmiał się śmiechem jak zgrzytanie metalu.

– Księżę wśród psów! Piękna to zdobycz w mojej sforze. Nawet lepsza niż to – i Krwawe Serce poklepał swe lewe ramię. Tam, niby naramiennik, umieścił złoty torkwes, symbol królewskiego rodu.

Sanglant nie mógł się opanować. Zawarczał nisko, widząc dar od ojca wykpiony w ten sposób. Skoczył do przodu i rzucił się na wodza Eików.

Krwawe Serce był silny, ale Sanglant był szybszy i dostrzegł już pochwę, w której spoczywał sztylet przeciwnika. Znalazł rękojeść, wyrwał broń, i kiedy Krwawe Serce się zatoczył, wbił sztylet w twardą skórę, poprzez nią, aż po złotą i wysadzaną klejnotami rękojeść, prosto w serce.

Wódz Eików odrzucił głowę i zawył z bólu. A potem złapał Sanglanta za kark, strząsnął go i rzucił na ziemię. Zaroilo się od psów, ale Sanglant walił pięściami wokół i jego dzika furia odpędziła bestie. Ta furia była mu towarzyszem, kiedy wszyscy inni nie żyli lub umierali. Psy znów siadły – dwa kolejne zostały na polu walki – i ze śliną spływającą z języków gapiły się na niego, otaczając tak, że nie mógł się ruszyć, nie wchodząc w zasięg ich kłów.

Krwawe Serce ze stęknieniem wyrwał sztylet z piersi. Zaklął i splunął na Sanglanta, a potem się zaśmiał, straszliwym zgrzytliwym śmiechem. Wręczył sztylet małemu służącemu, nagiemu, prócz szmaty związanej na łądzwiach, groteskowemu stworzeniu pomalowanemu w dziwne wzory, tak podobnego do człowieka, gdyby nie łuska porastająca jego skórę. Mały splunął na ostrze i wylizał je do czysta. Krew syczała i wrzała, a potem służący przycisnął ostrze do rany na piersi Krwawego Serca i jakimś niewidzialnym czarem zasklepił ranę.

Sanglant skrzywił się od zapachu, ale ta mina sprawiła, że jakiś pies wypuścił się na jego stopy. Kopnął go mocno, niemal odruchowo, a ten zaskomlał i odczołgał się. Patrzył na nóż, który podniesiono, i ukazała się wąska biała blizna na brązowej skórze czarownika.

– Musisz się lepiej postarać – powiedział Krwawe Serce, biorąc głęboki oddech i wypinając pierś. Girlandy cienkich złotych ogniwi, złączonych w spódniczkę wyjątkowego piękna i delikatności, dzwoniły wokół jego bioder i ud, kiedy się ruszał, dźwięk zupełnie nie przystający do jego białych włosów, krwi pokrywającej jego ramiona i łydki oraz wąskiego strumyka znaczącego pierś.

Warknął, złapał największego z martwych psów i rzucił go w tył. A potem, patrząc na Sanglanta, obnażył zęby; zamigotały klejnoty, małe szmaragdy, szafiry i rubiny.

– Nie zabijesz mnie w ten sposób, księżę psów. Nie noszę serca w ciele.

Sanglant poczuł ciepły strumyczek spływający na prawe oko. Dopiero teraz poczuł ranę, nie wiedział, zadaną szponami Krwawego Serca czy przez jednego z psów; nie pamiętał, kiedy ją otrzymał. Miał tylko nadzieję, że nie była zbyt głęboka i nie zaćmi mu wzroku.

Podeszło kilku wojowników, warcząc i pokazując go palcami, wypowiadając słowa w swym ostrym języku. Zgadywał, co mówili: „Czy mogę go teraz zabić? Czy otrzymam ten zaszczyt?”

Spiął się. Nie podda się łatwo i zabierze przynajmniej jednego z nich ze sobą, jako zapłatę za to, co Eikowie zrobili jego ukochanym Smokom. Nic więcej nie mógł dla nich teraz zrobić. Wśród głosów Eików nie słyszał już płytkich oddechów, zaczerpnięcia powietrza, wyszeptanego imienia ukochanej. Zaryzykował spojrzenie, a potem objął wzrokiem przestronną nawę katedry. Światło wpadało przez wielkie szklane okno, tnące blask na tysiące kawałków rozrzuconych po rzezi.

Tam leżał Sturm, otoczony przez swój oddział po śmierci, jak za życia. Tam Adela, kobieta tak zaciekla jak Eikowie, ale teraz martwa i – musiał odwrócić wzrok – poszarpana przez psy. Tam, gdzie odzyskał zmysły, leżał Orzeł, biedny dzielny człowiek, który stał przy nich aż do gorzkiego końca. A teraz są martwi, wszyscy. Dlaczego on wciąż żył?

Jego inne zmysły były boleśnie świadome poruszenia każdego z psów, które ruszały łopatkami, robiły bokami albo zamykały paszcze, aby natychmiast znów obnażyć kły, szczerząc się groźnie jak Krwawe Serce. Lepiej paść walcząc z ludźmi, nawet jeśli to Eikowie, niż zostać rzuconym psom. Psy nie znały honoru.

– Zabijemy go? – pytali wojownicy, a przynajmniej tak przypuszczał po sposobie, w jaki na niego wskazywali i podrzucali swe topory i oszczepy, chętni, by rzucić się i powalić go, ostatniego, na ukoronowanie bitwy.

– Nie, nie – powiedział Krwawe Serce językiem ludzi Wendaru. – To nasz sposób, czyż nie? Patrzcie, jak psy się go słuchają. Patrzcie, jak czekają, wiedząc, że jest od nich silniejszy i bystrzejszy. Jest teraz Pierwszym Bratem w sforze, nasz ksiązę. Zasłużył sobie na ten przywilej. – Pochylił się i odpiął z psiego karku żelazną obrozę. Podnosząc się, wyszczał słowa we własnym języku.

Eikowie ryknęli śmiechem, ich ostre głosy odbiły się echem w nawie, jak niegdyś hymny. Rzucili broń i otoczyli Sanglanta. Ponieważ byli bystrzejsi od psów i silniejsi od niego, w końcu go przygwoździli, choć uszkodził kilku, zanim padł.

Zapięli mu żelazną obrozę na szyi, powlekli przez nawę i przypięli na długim łańcuchu przed Paleniskiem, ołtarzem tak wielkim i ciężkim, że mimo wysiłku nie mógł go poruszyć. Podbiegły do niego psy. Kilka szarpnęło jego stopy, ale w dziwny sposób, już nie wrogi. Jeden go ugryzł, więc trzepnął go ostro w pysk. Zawył i cofnął się, a potem został zaatakowany przez innego; mocowały się trochę, aż jeden nie obnażył gardła przed zwycięzcą.

– Dość! – warknął Sanglant i tym razem nie było zabijania.

Dziwny starzec śpiewał cicho, kucając i kołysząc się w przód i w tył. Miał mały skórzany kubek, którym potrzasał i wyrzucał z niego białe przedmioty: kości. Potem przesunął nad nimi dłoń, przyjrzał się im, znów zaśpiewał i zebrał wszystkie. Wepchnął je wraz z kubkiem do sakiewki przy pasie. U jego stóp stała mała drewniana skrzynka.

Do katedry wlewało się więcej Eików, ciągnęli ciała do krypty. Inni przynieśli wielki tron wyrzeźbiony z jednego pnia. Wielkie krzesło pomalowano na złoto, czarno i czerwono, ozdobiono płaskorzeźbami, psami i smokami gryzącymi swe ogony w nieskończonym kręgu. Ustawili krzesło przed Paleniskiem, kpiąc z tronu biskupiego.

Krwawe Serce siadł na swym tronie i z satysfakcją rozejrzał się po nowych włościach. Chciwie potarł złoty torkwes na ramieniu. Sanglant nie mógł się powstrzymać; dotknął żelaznej obroży, otaczającej jego szyję tak, jak niegdyś złoto.

Ten ruch przykuł uwagę Krwawego Serca. Pochylił się ku Sanglantowi – ale nie za blisko. Nie bliżej, niż pochylałby się do psów.

– Dlaczego ciągle żyjesz – zapytał Krwawe Serce – skoro inni są martwi?

– Daj mi walczyć – powiedział Sanglant i nagle przeraził się, że zabrzmiało to jak błaganie. O Pani, nie chciał umrzeć niehonorowo. Najgorszemu wrogowi nie życzyłby śmierci jak pies pośród psów. – Daj mi honorową śmierć, Krwawe Serce. Niech twój najdzielniejszy wojownik wybierze broń i rozwiążemy to we dwóch.

– Nie, nie – Krwawe Serce obnażył zęby w uśmiechu. Skarb zdołający jego zęby zabłyszczał. – Czyż nie jestem królem Eików zachodniego wybrzeża? Czy nie walczyłem z innymi plemionami, aż wszystkie obnażyły przede mną gardła? Czyż królewski syn nie ozdabia mej sfory? – Roześmiał się, zadowolony z triumfu. – Nie sądzę, mój książę. Jesteś ozdobą mej sfory, wspaniały pan z pięknym orszakiem. Bo moje psy są podobne królestwu Wendaru, nie? Ty nimi rządysz – uśmiech zmienił się w grymas. – Rządz nimi tak długo, jak możesz. Bo osłabniesz, a kiedy osłabniesz, one cię zabiją.

Za nimi Eikowie metodycznie rabowali ciała, zanim wepchnęli je do krypty. Jeden, obszukujący ciało Orła, zerwał mu z płaszcza odznakę i rzucił ją. Wylądowała u stóp Krwawego Serca, który podniósł ją, ugryzł i splunął.

– Brzą! Fuj! – Odrzucił ją. Sanglant rozepchnął psy i podniósł ją z podłogi. To zamieszanie sprawiło, że psy znów zaczęły szczekać i gryźć. Dobrze użył odznaki; miała ostre okrągłe krawędzie i nadawała się do klucia. Psy cofnęły się i uspokoiły. Jeden z większych warknął na niego, ale uczynił ostry gest i bydlę podniosło łeb, odsłaniając przed nim gardło.

Otarł włosy z warg, próbując pozbyć się z ust ohydneho smaku. Bolała go lewa ręka. Krew popłynęła, zwolniła, zakrzepła – tak jak rana na głowie, która już przestała krwawić. To był sekretny dar od matki, który mu pozostawiła, gdy był niemowlęciem, tego dnia, kiedy zniknęła z ludzkich krain. To dała mu jej krew: ostry słuch i nadnaturalne zdolności gojenia ran.

Jeden z Eików złapał martwego Orła z pięty i powłókł go do krypty. Sanglant przycisnął odznakę do policzka.

Wspomnienie młodej Orlicy – Liath – dotykającej jego policzka w ciszy i schronieniu krypty uderzyło go tak mocno, że przez moment kręciło mu się w głowie. Psy, wyczulone na najmniejsze słabości, warknęły. Spiał się: umilkły.

Na Boginię, nie mógł pozwolić, nie pozwoli Krwawemu Sercu wygrać. W to przynajmniej mógł wierzyć: że Liath wciąż żyła, ponieważ ostatni raport, jaki mu złożono, zanim pokonano jego Smoki, brzmiał, że dzieci Gentu zostały bezpiecznie wyprowadzone.

– Zaniemówiłeś, książę – powiedział Krwawe Serce. – Już spsiałeś? Straciłeś zdolność mówienia?

– Jestem jak ty, Krwawe Serce – odrzekł ochrypłym głosem; ale jego głos zawsze był ochrypły, bo odniósł już gorsze rany. Żelazna obroza i łańcuch ciążyły mu na karku. – Moje serce jest nie ze mną, lecz z kimś innym, a ona znajduje się daleko stąd. Dlatego nigdy mnie nie pokonasz.

Ale psy, wciąż uważne, zawarczały. Mogły czekać.

Aneks

Miesiące

Yanu
Avril
Sormas
Quadrii
Cintre
Aogoste
Setentre
Octumbre
Novarian
Decial
Askulavre
Fevrua

Dni tygodnia

Poniedziałek
Wtorek
Środa
Czwartek
Piątek
Sobota
Niedziela

Godziny kanoniczne

jutrznia (ok. 3.00 rano)
lauda (świt)
pryma (wschód Słońca)
tercja (trzecia godzina, ok. 9.00 rano)
seksta (szósta godzina, ok. południa)
nona (dziewiąta godzina, ok. 3.00 po południu)
nieszpory (pieśń wieczorna)
kompleta (zachód Słońca)

Domy Nocy (Zodiak)

Jastrząb
Dziecko
Siostry
Ogar
Lew
Smok
Waga
Wąż
Łucznik
Jednorożec
Uzdrowiciel
Pokutnik

Wielcy książęta królestwa Wendaru i Varre

Diukowie Wendaru:

Saony
Fesse
Awarii

Diukowie Varre:

Arconii
Varingii
Waylandu

Margrabiowie Terytoriów Wschodnich:

marchii Villamów

Olsatii i Austri

Westfalii

Eastfalii